

Damian Gal

SNAPPERKA



NOVAE RES

DAMIAN CAL

Snajperka



NOVAE RES

Snajperka

ISBN: 978-83-8313-820-6

© Damian Cal i Wydawnictwo Novae Res 2024

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody Wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Emil Melerski

KOREKTA: Magdalena Brzezińska-Borcza

OKŁADKA: Paulina Radomska-Skierkowska



Wydawnictwo Novae Res należy do grupy wydawniczej Zaczytani.

Grupa Zaczytani sp. z o.o.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: sekretariat@novaeres.pl

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest na stronie zaczytani.pl.

Opracowanie ebooka

Katarzyna Rek

SPIS TREŚCI:

Okładka

Strona tytułowa

Prolog

CZEŚĆ I

Zapoznanie z bronią

Wyobrażenia wspomaga naukę strzelectwa

Skupienie wzroku na przyrządach

Celny strzał oddaje strzelec, a nie karabin

Pogoda do nauki strzelania jest dobra albo bardzo dobra

Składowe strzału i dwie tajemnice trafienia

Dopasowanie broni

Zachwycający sport

Rozgrzewka i wyciszenie myśli

Ćwiczenia równowagi

CZEŚĆ II

Fale mózgowo

Strzela nie tylko karabin

1000 metrów

Notatnik o broni

Grupowanie amunicji

Gdzie jest źródło niewyczerpalnej energii?

Epilog

PROLOG

Dwupłatowiec przewalił się przez skrzydło i rozpoczął powtórny nalot. Zanurkował i lot wyrównał tuż nad rzeką. Ludzie pracujący przy moście rozpierzchli się w strachu. Na most znowu poleciały miny moździerzowe rzucone celnie przez pomocnika pilota. Samolot dysponował jeszcze karabinem maszynowym, który pluł ogniem, gdy w jego celowniku pojawił się człowiek.

Przeprawa przez rzekę miała być gotowa za dwa dni, a sowiecki samolot zwiadowczy uparł się przeszkadzać saperom od momentu, kiedy wypatrzył budowę konstrukcji.

– Rozgrupować się! Wszyscy w krzaki! – krzyknął dowódca, który widział zavrcający dwupłatowiec.

Jego rozkaz wykonano, zanim padła komenda, bo nikogo nie trzeba było namawiać do ukrycia się przed bombardowaniem. Porucznik tak w zasadzie wydał ten rozkaz dla siebie, ponieważ tylko on pozostał na moście. Rzucił się teraz na piaszczysty brzeg rzeki. W ręku miał karabin porzucony przez jakiegoś żołnierza z poboru. Zarepetował go i wystrzelił. Zdążył zrobić to tylko raz, gdyż dwupłatowiec zniknął z pola widzenia.

Ustrzelić samolot było wielką sztuką. Pilota od przodu ochraniał silnik, a od spodu gruba blacha, specjalnie tam zamontowana. W skrzydła czy kadłub trafiano, jednak małe dziurki po pociskach zaklejano na lotnisku łatkami. Zadzieranie więc z samolotem uzbrojonym w karabin maszynowy i pociski moździerzowe było jak wsadzanie kijów w dwa gniazda szerszeni naraz.

Dowódca leżał teraz na piasku i ciężko dyszał.

– Psia jucha! – Zaklął, gdy zobaczył na swoim udzie olbrzymią plamę krwi i poszarpane mięśnie. – Znowu spodnie do cerowania. Kwatermistrz będzie wkurzony jak cholera! – W chwilę po tym zemdlął.

Ocknął się pod namiotem ustawionym przez jego żołnierzy. Nogę miał opatrzoną starannie, lecz bandaże tu i ówdzie przesiąkły już krwią.

– Pan Telesfor ma pięć żyć tak jak kot. – Zaśmiał się sierżant, który właśnie coś mieszał w kociołku zawieszonym nad ogniem. – Jak zobaczyłem tę ranę, to sam myślałem, że zemdleję. Stracił pan dużo krwi, ale żyje.

– Nie ma co! Jest pan bohaterem! – odezwał się któryś z szeregowców. – Podjąć walkę z samolotem, będąc tak ciężko rannym. To jest heroiczna odwaga.

– Powiedźcie chociaż, czy ktoś zauważył, gdzie trafiłem – wystękał porucznik Telesfor, zaciskając powieki z bólu.

– Trafił pan w ogon. W taką ruchomą płetwę na końcu samolotu.

– W ster.

– Tak, w ster.

– Czyli trzeba celować z wyprzedzeniem jednej sylwetki samolotu na pięćdziesiąt metrów – mruknął jakby do siebie. Głośniejsz dodał: – Budować będziemy w nocy, a w dzień zalegniemy z karabinami gotowymi do strzału. Gdy nadleci jeszcze raz, załatwimy go!

– Będziemy budować, zalegniemy, załatwimy – odezwał się sierżant, który rozpoczął wydawanie kaszy z kociołka. – O czym pan mówi, poruczniku? Wysłałem Piotrka po transport medyczny. Ledwo pan przeżył! Jutro wysyłamy pana do lazaretu i nie ma od tego odwrotu. Musi nam pan zaufać, że dokończymy ten most.

Porucznik nie miał siły sprzeczać się z sierżantem. Zdołał zjeść parę łyżek kaszy i zasnął.

Nazajutrz czuł się jeszcze gorzej. Dostał gorączki, a noga rwała bólem tak, że lzy same ciekły mu z oczu. Od śniadania jednak zaczął męczyć żołnierzy, aby położyli go wraz z karabinem na wysokim brzegu rzeki. Wybrał sobie krzak łoży, pod którym nie był narażony na promienie słoneczne.

– Zostawcie mi tylko manierkę z wodą i podłóżcie coś pod karabin, abym go nie musiał dźwigać – poprosił kompanów, gdy przynieśli go we wskazane miejsce na prowizorycznych noszach.

Reszta oddziału ukryła się kilkanaście metrów obok, aby w razie czego wziąć samolot w ogień krzyżowy. Porucznik strzelał z nich wszystkich najlepiej. Był fascynatem strzelectwa i wszyscy to wiedzieli. Dlatego dostał stanowisko położone najwyżej i w najbardziej dogodnym miejscu.

Samolot nadleciał w południe. Żołnierze otworzyli ogień. Zmienioną taktykę i niebezpieczeństwo pilot zauważył od razu. Jego pomocnik szybko zrzucił bomby. Po dwie i trzy jednocześnie. Pod presją bombardowanie nie było celne. Pilot także zmienił taktykę. Zaczął przelatywać nad stanowiskami strzeleckimi i walić ze swojego cekaemu. Pomocnik starał się po przelocie rzucić celnie choć jedną bombę. Teraz wychodzili znad rzeki wprost na stanowisko porucznika.

Pod krzakiem łoży karabin był już przygotowany do wyrzucenia pocisku. Nie była to zwykła etatówka tylko mosin z niemiecką optyką i przestrzelaną amunicją. Porucznik zapomniał o bólu i skupił się na oddaniu strzału. Nie będzie mógł go powtórzyć. Wiedział o tym, dlatego wykorzystał całą swoją wiedzę strzelecką i wszystkie umiejętności.

– Pang! – Karabin wypalił, gdy tylko wyprzedził samolot o jedną sylwetkę.

Samolotem zachwiało, a głowa pilota opadła bezwładnie na bok. Porucznik widział przez lunetę twarz z otwartymi ustami wyrażającą przerażenie.

Pomocnik jeszcze próbował przejąć stery, ale było już za późno. Samolot nie zdążył wznieść się nad wysokie brzegi rzeki i z głośnym plaśnięciem uderzył w piach. Odłamały się skrzydła i w tym samym momencie eksplodował pocisk mózdzierzowy, z którego pomocnik pilota zdjął zabezpieczenie zapalnika.

Porucznik ponownie zemdlął z bólu i przesilenia. Odplynął w nicość z uśmiechem na ustach.



Po kilku tygodniach, gdy rana na nodze była zablizniona, porucznik wyszedł ze szpitala. W spokojnej wsi odległej od działań wojennych znalazł kwatery, gdzie miał dojść do pełni sił i czekać na dalsze rozkazy.

Tymczasem w sztabie generalnym panowała sielska atmosfera. Wojna z bolszewikami zakończyła się pokojem, a państwa sprzyjające młodej Polsce rozpoczęły normalną wymianę gospodarczą. Marszałek Piłsudski rozpoczął planowanie odbudowy niepodległego państwa. Za najpilniejsze uważał zatroszczenie się o bohaterów wojennych. Zwłaszcza jeden z nich budził kontrowersje w sztabie. Był co prawda Polakiem, ale służył wcześniej w carskiej Rosji. Dopiero po rewolucji przyłączył się do wojska polskiego.

– To co, że służył w Rosji? – Zaperzył się marszałek. – Składał żołnierską przysięgę, której był wierny aż do końca. Dla mnie to atut, a nie hańba. Z przysięgi żołnierza zwolnić może tylko śmierć albo upadek całego systemu państwowego, tak jak się to stało w tym przypadku. Chłopak przeszedł wtedy na słuszną stronę. Podobno nagrzmocił tam jeszcze na stepie sporo komunistów, żeby uwolnić polskich więźniów. Dla mnie to bohater i dlatego awansuję go do stopnia majora.

– Majora? Niemożliwe! – prychnął beczelnie jeden z oponentów. – Jest w stopniu porucznika.

– Aha. – Marszałek spojrział na niego spod krzaczastych brwi. – Dziękuję za wnikliwą uwagę. Awansujemy go więc do stopnia kapitana za budowę przeprawy przez rzekę pod ogniem wroga. Może być?

– Teraz tak – odpowiedział już łagodniej oponent, bo poznał, że naraził się nie tylko marszałkowi.

– I awansujemy go ze stopnia kapitana na majora za uratowanie tegoż mostu poprzez zestrzelenie samolotu – dokończył już całkiem spokojnie marszałek.

– Nie możemy tych spraw oddzielać. Wybudował most i go udostępnił. To jeden wyczyn.

– Dobrze powiedziane. Wyczyn! Był w tym czasie śmiertelnie ranny. Otrzymał za to Krzyż Walecznych. Sam mu go będę wręczał.

**Teraz jeszcze pamiętam, jak
wolno płynął, płynął czas.
Zdać by się mogło, że to dla mnie
spóźniał się specjalnie.**

CZEŚĆ I

Wśród malowniczych pól i lasów nad brzegiem rzeki leżała mała osada. Wyróżniała się tym, że ludzie żyli tu dostatnio. Powód był dość prozaiczny. Nad rwącą i głęboką rzeczką przerzucono solidny most. Jeździli tędy kupcy i płacili przejezdne, czyli myto. Kupcy, jak to kupcy, czuli się ograbiani ze swoich pieniędzy i nazywali wioskę „Grabów”. Aby myto płynęło szerokim strumieniem most musiał być w stanie idealnym! Nie dziwił więc fakt, że cieśla w tej wsi cieszył się nie mniejszym poważaniem niż wójt czy pop.

Wówczas cieślą był tu stary Telesfor. Określenie stary odnosiło się tylko do jego lat, ponieważ ciało miał krzepkie i silne. Lekko utykał na lewą nogę, lecz w codziennych pracach wcale to jemu nie przeszkadzało. Skończył wojskową carską szkołę inżynieryjno-saperską. Był dobrze zapowiadającym się młodym oficerem, gdy w tym czasie wybuchła krwawa i wyniszczająca wojna. Jemu również pozostawiła krwawą pamiętkę. Bliznę po wyrwanym kawałku mięśnia udowego.

Od tamtej pory przebywał na rencie wojennej. Objął także obowiązki cieśli. Ożenił się, lecz jego żona zmarła młodo. Samotnie wychowywał córkę. Całą swoją miłość przelał na to jedno dziecko. Trochę ją rozpieszczał, ale także uczył solidności i pracowitości. Jej trzpiotowatość była jego utrapieniem i zarazem odmładzała go o kilkanaście lat.

W lesie nad rzeką słychać było odgłos siekier. Miarowe dudnienie przeplatane chwilą ciszy, pozwalającej na zmianę pozycji rębacza albo na otarcie potu. Ścięte piłą drzewa trzeba obrobić z konarów, aby stanowiły bale łatwe do wywózki i późniejszej obróbki. Dwie ciężkie siekiery pracowały równo, chociaż jednej z nich używała kobieta. Młoda dziewczyna z krótkim, czarnym jak węgiel warkoczem pracowała wytrwale i szybko. Zakończyła szybciej od mężczyzny i wbiła siekiere w drewno. Napila się wody z kanki i usiadła okrakiem na pniu. Mężczyzna także zakończył pracę. Para z przepoconych koszul unosiła się jak dym z dogasającego ogniska.

– Wskakujemy do rzeki? – zapytała.

– Na co jeszcze czekasz? – odpowiedział jej ze śmiechem.

Chłodna woda obmyła ciała z potu i brudu. Dała ukojenie spracowanym mięśniom. Chlapali się w wodzie jak dzieci. Nurkowali i skakali do wody z gałęzi pochyłej wierzby. Gdy wyszli wreszcie na brzeg, zjedli chleb posmarowany smalcem. Uśmiechali się do siebie pomimo wyraźnego zmęczenia.

– Pora wracać do domu. Jutro weźmiemy konia i zwieziemy drewno na podwórkę.

– Dobrze tato, a będę mogła jeszcze dzisiaj wyjść na wioskę wieczorem?

– Tak, ale najpierw obrządek i kolacja, i nie siedź do późna, i zamknij drzwi na skobel, kiedy wrócisz.

– Zaczynasz zrzędzić. A już myślałam, że mnie to ominie. – Z zaczepnym uśmiechem odpowiedziała córka.

Z doliny rzeki wyszli na równinę, gdzie ich oczom ukazała się malownicza wieś, otoczona prostokątami pól i pastwisk. Szli powoli, rozmawiali i uśmiechy nie schodziły

im z twarzą. Po drodze zabrali krowę z pastwiska. Zwierzę szło szybko, ponieważ nie mogło doczekać się wieczornego udoju. We wsi dzieci, tupocząc bosymi nóżkami, ganiały zabłąkane stado gęsi. Pomagał im nieokreślonej maści młody kundel, podszczypując to gęś, to podrostka.

W domu ojciec i córka podzielili się wieczornymi obowiązkami i zasiedli do ciepłej kolacji. Słońce skryło się za wieczorną mgłą i wieś zasnęła, aby jutro obudzić się do treli skowronka.



Ojciec nie miał z Zośką lekkiego życia. Pomagała mu oczywiście we wszystkich obowiązkach, lecz była trzpiotem, który zawsze robi coś, czego Telesfor by się nie spodziewał.

Spod lasu dobiegał narastający tętent cwałującego konia. Skunks i Telesfor poderwali głowy. Skunks był psem w jesieni życia i nie takie rzeczy już widział, więc jego głowa szybko opadła pomiędzy wyciągnięte przednie łapy. Telesfor, obrabiający deski pod wiatą, zerknął na otwarte drzwi stajni. Targnięty ojcowskim przecuciem rzucił hebel na wióry i jak wystrzelony pocisk pognął na przelaj przez ogródek, przeskakując małe ogrodzenie z żerdzi. Za stodołą zatrzymał się na chwilę. Ściana lasu potęgowała dźwięki, które wydawał cwałujący koń.

Nagle zobaczył swoją bułąną klacz wyciągniętą w pełnym cwale. Ponownie ruszył biegiem. Na grzbiecie klaczy zobaczył bowiem swoją córkę, która na oklep, trzymając się tylko szyi konia, pędziła na złamanie karku. Umiał biegać szybko, ale wiedział, że nie zdąży przeciąć drogi pędzącej klaczy. W bezsilnej złości i strachu krzyknął:

– Zoośka! – Na więcej zabrakło mu tchu.

Cwał jego Gwiazdki wytracił nieco prędkości pod górkę i na jej szczycie mądre zwierzę delikatnie przyhamowało. Klacz rozbawiona i rozochocona swoim nieskrępowanym biegiem podniosła w górę przednie kopyta i stanęła na tylnych nogach.

Ojciec zakrył oczy ręką.

Dziewczyna jednak nie spadła. Trzymała się końskiej grzywy i teraz ostro zjeżdżała z pagóra, a jej czworonożna przyjaciółka podnosiła dumnie pysk i parskała z zadowolenia.

– Zośka! – Telesfor dopiero teraz odzyskał głos i siły. – Zośka!

Dziewczyna z gracją i z nieukrywaną uciechą zatrzymała konia. Ześliznęła się po szyi na ziemię i pogłaskała zwierzę po gwiazdce na czole. Klacz wyciągnęła grzbiet jak sportowiec na treningu. Jakby chciała powiedzieć, że dla niej to tylko rozgrzewka.

– Zośka! – Wychrypiał Telesfor, gdyż sapanie nie pozwoliło na więcej. – Na oklep! Bez wodzy! – Znowu zabrakło mu tchu, ale tym razem z nerwów. Bułanka, lekko stąpając, podeszła do Telesfora. Trąciła go łbem przeprasząco. – Tobie też się dostanie paternoster. Wszyscy do domu! Nie będziemy robić scen teatralnych dla sąsiadów.

– Nooo! A o jakich scenach mówisz? – Odpowiedziała z łobuzerskim uśmiechem, ponieważ zauważyła zbierającą się publikę przy płotach sąsiednich domostw. Wiedziała, że przy ludziach nie będzie na nią krzyczał.

– Zosiu, córeczko... – zaczął pieszczotliwie. – Jak jeszcze raz zobacze, że ryzykujesz, nadstawiasz karku, robisz coś niebezpiecznego, to tak ci witką nachłostam, że na pupę nie siądziesz przez tydzień, bo cię kocham jak nikogo na świecie. – Skończył też łagodnie i ciepło.

Szli do domu w chmurnych nastrojach, za nimi ze spuszczoną głową człapała Gwiazdka.

– Przecież zawsze mi mówiłeś o odwadze i o tym, że nie da się przeżyć życia bez ryzyka – próbowała zacząć dialog zmiękczający.

– Tak, ale mówiłem to w kontekście takim, że los sam podda cię próbie. Życie jest tylko jedno i ryzykowanie upadku z cwałującego konia jest aż nadto oczywiste. Po co kusić los... – Nie dokończył, ponieważ dziewczyna hardo spojrzała mu w oczy.

– Mówisz tak, bo boisz się o mnie. Ja też cię kocham i martwię się o ciebie, kiedy wyjeżdżasz po specjalne zakupy do wielkich miast, gdy przychodzi noc nie mogę zasnąć. Siedzę wtedy w domu przy łuczywie i wariuję ze zmartwienia i strachu o ciebie. Jak wracasz, to opowiadasz, że spokojnie spałeś w gościńcu, a ja się martwiłam. Teraz ty widzisz mnie jeżdżącą szybko na koniu, ale to dla mnie jest jak dla ciebie wyjazd do miasta. Cwałujemy już od kilku lat. Gwiazdka tego potrzebuje i potrzebuję tego ja. Tego wiatru we włosach i smaku przygody, bo jaką przygodę można przeżyć tu? W Grabowie! Pośliznąć się na krowiej kupie?

Ojciec chciał coś powiedzieć, ale koński łeb wcisnął się między nich i cicho parsknął. Telesfor tylko machnął ręką.

Bab nie przegadasz – pomyślał i spojrzał wrogo na Gwiazdkę.

– I ty, Brutusie, przeciwko mnie? To od kiedy tak ujeżdżacie?

– Odkąd tylko Gwiazdka pozwoliła mi się dosiąść. Na początku było ciężko. Próbowałam ją przekupić marchewką, liśćmi buraka. Nic. Dopiero cukier podziałał. Za kryształek cukru zrobi wszystko. – Przerwała dla większego dramatyzmu. – Weszłam na wóz i pokazałam jej cukier. Cwana była. Podeszła i poprosiła, ale ja byłam cwańska. Schowałam cukier do kieszeni, a ona się domyśliła, że chcę na nią wskoczyć. Oparła się bokiem o wóz, a ja na nią hyc! Ciężkiego siodła nie mogłam założyć, więc uczyłam się na oklep.

– Dziecko! – wyrwało się ojcu.

– Nie dramatyzuj. Wygrywam na niej wszystkie wyścigi z dużo starszymi... A Gwiazdka lubiiii się ścigać. Najpierw pozwala wszystkim się wyprzedzić. Wie, że reszta to ciężkie wałachy. Daje im fory, a potem jest cwał, gwizd wiatru i rozwiane włosy.

– Dziecko! – wystękał już poważnie wystraszony. – Kradniecie rodzicom konie i ścigacie się, narażając życie.

– Życie i pieniądze. – Odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Ale ty nic nie tracisz. Ja zawsze wygrywam. Wiesz?

– Uuufff!



Telesfor już tylko milczał.

Wieczorem nie mógł długo zasnąć. Przewracał się z boku na bok, przykrywał kocem i okrywał. Męczyły go myśli i wspomnienia.

Zadał Zośce ciężką karę, którą miała wykonać nazajutrz. Z tego powodu dręczyło go sumienie. Czy dobrze zrobił? Pamiętał te ciężkie czasy, kiedy zmarła jej matka, a on musiał przejąć wszystkie obowiązki wychowania dziecka. Często podczas prac polowych sadzał ją na konia, który ciągnął pług. Przed oczami miał obraz, jak zasnęła przytulona do końskiej grzywy. Wiedział, że pomiędzy nią a zwierzęciem wytworzyła się nierozzerwalna więź. Później klacz często podstępnie opuszczała pastwisko i szła pod szkołę, aby po lekcjach odprowadzić Zosię do domu. Stała pod płotem i z kamienną cierpliwością wpatrywała się w drzwi szkoły. Żadna gęś ani ujadliwy kundel nie mogły podejść do jego dziecka. Klacz nauczyła kopytami szacunku wszystkie wałęsające się psy. Szybko też inne dzieci dołączyły do powracającej ze szkoły dziewczynki, ponieważ widziały jaki pretorianin ochrania ich w drodze do domu.

Czy wobec tego Telesfor mógł mieć wątpliwości co do bezpieczeństwa córki. Czy zareagował właściwie? Czy nie był zbyt impulsywny? Często widział jeźdźców, co nawet w strzemionach i siodłach nie potrafili utrzymać równowagi. Jego córka z Gwiazdką przypominała raczej centaury. W cwałach byli jak jedno ciało. Powinien raczej być dumny z jej talentu jeździeckiego i symbiozy, jaka wytworzyła się między nią a zwierzęciem.

Przewracał się jeszcze w łóżku kilka godzin, aż w końcu nad ranem zasnął. Jego męska duma nie pozwoliła jednak na gest odwołania kary.



Zośka szorowała podłogę szarym mydłem. Nie skończyło się na zwykłym paternoster, a ciężka kara miała nauczyć posłuszeństwa. Miała umyć całą izbę ryżową szczotką. Ojciec posypał jeszcze rzeczny piasek, aby wbijał się jej w kolana. Sam wyniósł wszystkie meble, żeby nie patrzeć na skazaną. Niektóre meble naprawiał. Żałował trochę córki, ale wiedział, że musi ją ukarać. Teraz jego męskie serce pękało z żalu, ale zaciskał zęby i sklejał następne rozeschłe krzesło.

– Skończyłam! – krzyknęła Zośka i chlupnęła brudną wodą w trawę na podwórku. – Podłoga lśni jak nowa. Sień też umyję, tylko zabierz z niej swoje graty.

– To nie są graty tylko moje narzędzia – odburknął, gdyż kara nie przyniosła pożądanego efektów. Miała być skrucha i żal za grzechy, a tu hardość i prośba o jeszcze jedno zadanie. – Nie wytrzymam z tobą! – wybuchnął. – Nie wiesz, że troszczę się o ciebie i martwię!

Zośka odstawiła wiadro.

– Ja też się o ciebie troszczę i martwię! Myślisz, że jestem z innej gliny? Myślisz, że nie martwię się o ciebie, jak wychodzisz w nocy na polowanie? Cały czas myślę, czy cię wilki nie zjadły, czy jakieś oprychy nie napadły. – Przerwała na głośnie przełknięcie śliny i odgarnięcie włosów z twarzy. – A kiedy wracasz, to chce mi się płakać ze szczęścia. Bóg mi świadkiem, że wolałabym być z tobą w zimnym lesie niż pod ciepłą pierzyną. Przynajmniej nie bałabym się o ciebie! – wykrzyzczała to, rozpląkała się i wtuliła w ojcowską pierś.

Stali tak przez chwilę. Ojciec zamarł, ale w jego głowie zapadła pewna decyzja. Czarno-biały kundel zaczął czochrać się nerwowo i wyrwał ich z tego odrętwienia.

– Pewnie, że tak! Nauczę cię polować! Poznasz prawdziwą leśną przygodę! – Odsunął ją na wyciągnięcie ramion, spojrzął z miłością w oczach. – I nie będziesz zostawać sama w domu. Do miasta też możemy jechać razem. Wynajmę parobka do obrządku na te kilka dni. Zobaczysz wielki świat, poznasz nowych ludzi, kupisz sobie jakieś fatalaszki i zjesz obiad podany w restauracji. – Próbował zawoalować swoje prawdziwe motywy, ale córeczka za dobrze go знаła.

Jego kodeks honorowy nie przewidywał wydawania pieniędzy na parobka. Kupowanie fatalaszek i innych zbytków w ogóle nie było w jego mentalności. To żołnierz, który miał jeden łańch, jeden karabin i jedną łyżkę. Cała reszta stanowiła niepotrzebny do dźwigania ciężar. Zośka coś przeczuwała. Miała podejrzenia do nagłej odmiany. Ojciec co prawda miał drugi mundur galowy i srebrne sztuce do niedzielnego obiadu, ale to raczej pozostałość po małżeństwie. Coś wisiało w powietrzu.

– A ile pieniędzy mogę wydać? Bo Łońce tata kupił korale za piętnaście złotych, a ja chcę jeszcze taką bransoletkę do koloru koralu i buciki też mogą być w ten deseń, a Matylda ma jeszcze haftowany toczek z perełkami, ale ja to bym chciała taki ze złotą nitką i może...

Ojciec nie wytrzymał. Wyszedł szybko z domu bez słowa, ale jego czerwona po uszy twarz powiedziała wszystko. Nie zabierał jej po to, aby coś kupić. Zabierał po to, aby pilnować! Wyszła za nim. Stał przy drzwiach stajni i głaskał po szyi bułankę. Gwiazdka przyjmowała jego pieśczoły, przekręcając łeb i nadstawiając nowe miejsca do głaskania.

– Mnie to tak nigdy nie pogłaskasz. Wychowujesz jak żołnierza. Musztrą i rozkazami. Za nagrodę jest pot, krew i łzy. Konia przytulasz i głaskasz, dasz marchewkę, kromkę chleba.

Odwrócił się do niej. Był już spokojny i jak zwykle uśmiechnięty.

– Będę cię zabierał wszędzie – oznajmił stanowczo i poważnie.

Nawet nie wiedział, jakie emocje wywołał w swojej córce i jakie jeszcze przygody go czekają.

Zapoznanie z bronią

– Najpierw musisz nauczyć się składać i rozkładać broń do czyszczenia. Broń brudna, zardzewiała lub z piaskiem w lufie zrobi większą szkodę strzelcowi niż celowi – tłumaczył

cierpliwie Telesfor.

– Tak, ale ja prosiłam, abys mnie nauczył strzelać, a nie czyścić. – Nerwowo parsknęła dziewczyna.

– Najważniejsza cecha strzelca to...? – zapytał ojciec.

– Wiem, wiem. Cierpliwość. Nie ze mną te dyrdymały. Albo uczysz strzelania, albo idę do Łońki na herbatę.

Ojciec westchnął ciężko i zarepetował karabin.

– Masz. Tylko celuj porządnie. Nie za długo.

– Znowu głądzi...

Strzał padł niecelny.

– Zerwałaś!

– Nie. Trafiłam tam, gdzie celowałam – upierała się czarnowłosa. – Jesteś ciężkim nauczycielem.



– Jesteś ciężką uczennicą. – Poirytował się cieśla. Przewrócił się na plecy i westchnął ponownie. Westchnął jeszcze raz i odwrócił się do córki. Przytulił ją.

– Dobrze, masz rację. Jestem kiepskim nauczycielem, ale to ja strzelam wszystkie kozły i dziki. Może mnie obserwuj i staraj się naśladować? – Dziewczyna uspokoiła się i uśmiechnęła.

– No dobrze. To jeszcze raz. Co robię źle?

– Robisz dobrze, trzeba tylko wszystko zgrać i wytrenować. Najpierw oddech. Długi, spokojny, zwłaszcza wydech. Po trzech takich oddechach możesz bezkarnie wstrzymać powietrze na celowanie. Trzy, cztery, a nawet pięć sekund. Potem narastają drgawki i nie trafisz.

– Dobra, spróbuję.

– Nie próbuj. Zrób.

– Zręda.



Ich dom miał trzy izby i sień. Najważniejsza i największa była kuchnia. Z sieni do kuchni wchodziło się na prawo. Po prawej stronie, pod oknem stał duży stół, a po lewej piec, który oprócz funkcji gotowania stawy i pieczenia, ogrzewał jeszcze dwa przyległe pomieszczenia. Po lewej stronie od pieca był kącik z wodą. Mały stół miał wycięte okrągłe otwory na miski, w których myło się naczynia. Przed posiłkami myło się tutaj ręce i twarz. Pod stołem stały dwa wiadra z wodą oraz cynowana kanka. Tę w sobotę wieczorem stawiało się na piecu, a gdy woda w niej się ogrzała, ojciec kąpał Zosię. Sobota była też dniem prania i sprzątanania.

Telesfor właśnie zakończył wyrzucanie obornika ze stajni i kurnika, po czym chciał zamieść podwórze oraz część drogi przed bramą. Coś jednak go tchnęło, aby zajrzeć przez okno do izby.

Zosia miała zetrzeć kurz i zmienić pościel. Tymczasem córka stała w pozycji strzeleckiej z jego karabinem w dłoniach i trenowała na sucho. Ale ją to wciąga – pomyślał i z zadowolenia uśmiechnął się pod wąsem. Jednak najpierw powinna posprzątać. Już miał wejść do domu i zaprowadzić dyscyplinę, gdy w głowie zaświtała mu inna myśl. Była sobota. Pewnie jeden z ostatnich ciepłych dni tego roku.

Zamiast siedzieć w chałupie potrenujmy na strzelnicy – postanowił, a jego twarz nabrała słonecznego blasku.

Zamiótł jednak drogę przed bramą, aby sąsiadkom nie dać powodu do plotek i szybko wrócił na podwórze. Zbił z desek coś na kształt małych drzwi, a potem węglem narysował na nich postać dzika. Wziął też spod wiaty kilka sznurków konopnych. Zadowolony z siebie wszedł do domu niby sprawdzić postępy Zosi. Ta zdążyła już odwiesić karabin i kończyła sprzątać jeden pokój.

– Co się tak guzdrasz? Myślałem, że już strawę szykujesz, a ty jeszcze nie skończyłaś sprzątać? – Udawał zdenerwowanie Telesfor.

– Nie mam dzisiaj nastroju do sprzątanania – przyznała się ojcu i dmuchnęła w swój niesforny kosmyk czarnych włosów.

– Nastrój nie zwalnia od obowiązku, a jakby krowa nie miała nastroju dać mleka...

– Człowiek to nie krowa. Ma mózg stworzony do myślenia i myśli. – Przerwała zaczepnie wywody ojca. – Potrafi pisać, tworzyć muzykę i malować obrazy.

– To chodź i zobacz, co ja namalowałem – zawołał radośnie i wyszedł pierwszy z domu.

– To jest obrazek trzyletniego dziecka, któremu nigdy nie pokazano żywego zwierzęcia. – Zośka stała, gryząc swój kosmyk włosów. – Gdzie chcesz to dzieło sztuki powiesić? W sypialni zamiast ikony z Bogurodzicą, a może wyślesz do miasta na wystawę plastyczną? To jest bawół? Powinieneś podpisać, żeby oglądający to dzieło sztuki wiedzieli, co artysta miał na myśli...

– Ha! Ha! Bardzo śmieszne. Pierwszy raz zrobiłem coś wspaniałego, a tu tyle krytyki.

– Wspaniałego? Hmm. No tak! Lepiej pójde dokończyć porządki, a ty może już nie maluj? – Wiedziała, że ojciec nie tworzył tego obrazka dla ćwiczenia umiejętności plastycznych, a chęć dowiedzenia się, po co to zrobił, bardzo ją intrygowała.

– Weź lepiej karabin. Wyczyść lufę z oleju do sucha i pójdziemy z tym obrazkiem na strzelnicę.

Zośka jak wypuszczona z łuku strzała wpadła do domu. Wycior i szmatka nie wiadomo kiedy znalazły się w jej ręce. Już wyciągnęła zamek i wytarła wszystko z oliwy. W szufladzie biurka były naboje. Wzięła dwie paczki i krokiem defiladowym wyszła na zewnątrz. Poszli na strzelnicę, gdzie ojciec rozciągnął sznurek pomiędzy drzewami. Na nim, na drucianych oczkach zawiesił deskę z namalowanym dzikiem. Do tak powieszonych tarczy przywiązał jeszcze jeden sznurek i przeciągnął go za drzewem, na którym wisiała podobizna dzika.

– Długo tam jeszcze? – zakrzyknęła Zosia.

– Już kończę.

Ojciec zszedł z linii strzału i rozwijał sznurek przywiązany do tarczy. Gdy już zrównał się z córką, owinął mocno sznurek wokół dłoni i zapytał.

– Gotowa?

– Tak.

Przeładowała karabin, a ojciec zaczął biec. Sznurek z początku się naprężył, po czym ruszył dzik.

– Pang! – zagrzmiął wystrzał, lecz nie było słyhać uderzenia pocisku w deskę.

– Co robię źle? – zapytała, gdy wrócił zdyszany ojciec.

– Ciężko powiedzieć. Nie widzę ciebie, jak strzelasz. Karabin musisz prowadzić troszeczkę przed dzikiem i nie zwalniając, płynnie wycisnąć spust.

Przygotowali stanowisko i powtórzyli strzał. Niestety i tym razem był nieudany. Dopiero za czwartym razem usłyszeli wyraźne kłaśnięcie pocisku. Utkwił on nieco w dole, lecz teraz szkolenie nabrało tempa. Zośka załapała, o co chodzi w strzelaniu do ruchomego celu i szło jej coraz lepiej.

Wyobraźnia wspomaga naukę strzelectwa

Strzał był piękny. Równa praca palca na cynglu dała ten efekt. Młode oczy i spokojne nerwy dały piękne trafienie na długim dystansie.

– Naprawdę świetnie! – Telesfor skwitował krótko.

– Trafiłam? – Zapytała z ekscytacją.

– Nie wiem, ale wszystko zrobiłaś dobrze, więc pocisk powinien być w celu.

Zośka wyszarpnęła z ręki ojca lornetkę. Przyłożyła do oczu.

– Jest! Jest w samym środku! Zobacz!

Ojciec przyłożył szkła do oczu.

– Tak. W samym środku. Bardzo dobry strzał – potwierdził.

– Jeszcze raz. – Zniecierpliwiona dziewczyna szarpnęła rączkę zamka.

– Nie dzisiaj.

– Jak to? Teraz, jak dobrze strzelam, to ty zabraniasz mi strzelać dalej? – pytała poirytowana z niedowierzaniem.

– A tak to. Na razie dobrze strzeliłaś tylko raz. Bardzo dobrze. Przypomnij sobie ten strzał i powtarzaj w swojej pamięci wiele razy. To bardzo ważna reguła. Ten strzał wyrze się w twoim mózgu jak pismo w kamiennej tablicy. Jeśli strzeliłabyś jeszcze raz, ale tym razem źle, to nie uzyskałabyś tego efektu. Jutro przyjdziemy tu znowu i będziesz strzelać, ale tym razem o wiele lepiej.

– Nie bujasz mnie?

– Nie. To najważniejszy aspekt perfekcyjnego opanowania każdej czynności. Metoda znana jeszcze w starożytności, wśród strzelców z łuku. Na tej metodzie od setek lat wyrastają mistrzowie.

– No tak. Komu mam wierzyć, jak nie tobie, ale tak bym jeszcze postrzelała. – Westchnęła i wstała z ziemi.

– W nagrodę możesz wyczyścić karabin.



Od wschodu jechał wóz cygański. Właściwie nie cygański, a przypominający cygański lub cyrkowy. Od typowych wozów mieszkalnych różnił się tym, że był mniejszy. Koła miał wielkie jak u wolanta i obciążone gumą. Nie stukał na kamieniach, a jego resory dawały komfort podróżnym. Koziół woźnicy obudowano wystającym daszkiem, a z boków – od wiatru i zacinającego deszczu – chroniły woźnicę prawdziwe szyby okienne oprawione w mosiężne ramki. Takim wozem można było wyjechać w dalekie podróże bez konieczności szukania po drodze zajazdów i gospód noclegowych.

Właściciel wozu zapewne wracał z takiej właśnie dalekiej wyprawy, bo ściany ozdobione były futrami upolowanych zwierząt, jakich na tych terenach nikt nie widział. Prawie cały boki zakrywała skóra niedźwiedzia o całkowicie białym futrze. Łapy tego monstrem wyglądały na tak duże jak tułów człowieka, a pazury większe niż palce w największej dłoni. Na lewym boku suszyła się skóra kota pręgowatej maści. Kot wielkością przypominał dużego cielaka, a jego ogon zawinięty był jeszcze na tył wozu i kończył się na drzwiach wejściowych.

Właściciel w lnianym kapeluszu i z wygasłą fajką w zębach powoził dwoma końmi, których uroda mocno się różniła. Po lewej stronie pracował dzielny ogier służący zapewne także pod siodłem, ponieważ jego kopyta były podkute podkownikami do górskich wspinaczek. Po prawej – mniejszy i bardziej „kudłaty” hucuł o grubych

i mocnych pęcinach. Kopyta miał bose, lecz zadbane i zapewne profilowane przez znancę, gdyż chód w zaprzęgu miał jak najbardziej poprawny.

Wóz zatrzymał się przed mytnikiem na moście, a woźnica zeskokczył z kozła.

– Niech będzie pochwalony... – zakrzyknął.

– Na wieki wieków. Opłatę pobierać będziem – zapowiedział wąsaty i brzuchaty kmieć. – Dwadzieścia groszy.

– Dwadzieścia groszy? Ceny macie poważne. Chyba taniej balonem nad tą rzeką podróżować? – próbował zażartować, ale żart nie trafił do poborca.

– Dziesięć za wóz i po pięć za konia. Jak by nie rachować, wychodzi dwadzieścia.

– Wielmożny pan raczył się pomylić. – Brzuchaty poborca myta wyciągnął dłoń z jednozłotową monetą.

– Nie. Nie pomyliłem się. Dwadzieścia groszy myta i osiemdziesiąt za informację.

– Szanowny pan szlachcic cóż chciałby wiedzieć?

– Szukam kwatery z dobrą kuchnią. Najlepiej gdzieś przy lesie, ponieważ chciałbym potrenować strzelanie.

– Moja baba dobrze gotuje. – Poklepał się po opasłym kałdunie. – Jeśli chodzi o strzelanie, to najlepiej będzie wam u majora Telesfora. Ma karabin i też często strzela. Pojedziecie panie na rynek. W rynku w prawo i potem znowu w kierunku rzeki. Jego chata ostatnia po prawej. Duży podwórzec i wiata, gdzie na pewno pozwolą wam konie nocować.

Podróżny podziękował i popędził w kłus swoje koniki. Zajechał pod wskazany dom i zaczął szukać gospodarza. Właściciela nigdzie nie było, więc z nudów nabił fajkę i usiadł na ganku, puszczając co rusz wonne kłęby dymu. Z ciekawością przyglądał się obejściu.

Pierwsze, co przyciągało wzrok na tym podwórku, to drewno. Wszędzie było go dużo. Pod płotem stały sosnowe żerdzie. Elegancko okorowane i ustawione jak indiańskie tipi. Między nimi leżały gałęzie i konary drzew liściastych. Niektóre fantastycznie powyginane. Niektóre wręcz poskręcane w taki sposób, jakby przyroda bawiła się w rzeźbiarza. Widać było, że gospodarz specjalnie wyselekcjonował te wybryki natury, aby wykorzystać je w przyszłości do jakichś prac.

Deski, brusy i bale leżały w eleganckich sztaplach. Skład drewna znajdujący się w przerwie pomiędzy budynkami gospodarczymi, która była zadaszona, przywoził na myśl wojsko na musztrze. Żadna deska nie wystawała ze sztapla ani na centymetr, a te z kolei były ustawione jeden obok drugiego z zegarmistrzowską precyzją. Do tego ładu nie przystawała kupa trocin i wiórów. Była wielka. Znajdowała się z boku niczym samotny dowódca na koniu, i jak dowódca spoglądała na swoje drewniane wojsko.

Przybysz uśmiechnął się do swoich myśli. Czyżby odgadnął intencje gospodarza? Reszta podwórka wyglądała już normalnie.

Gospodarstwo nie było duże, lecz dobrze rozplanowane i solidnie wykonane. Stajnia i obora znajdowały się pod jednym dachem, ale z oddzielnymi wejściami. Dach nie kończył się na budynku tylko łączył się nad niezabudowaną częścią ze stodołą

i spichlerzem. Ten także nie stał samotnie, tylko w literę L tworzył układ z kurnikiem. Pośrodku tego placu, jak pałac hrabiego, stała psia буда.

Właśnie ten pies przykuł uwagę podróżnego. Czarno-biały kundel nawet nie szczeknął na niego i konie. Leżał do połowy wysunięty z rzeźbionej jak góralska chata budy i patrzył leniwie na całe obejście. Po jakimś czasie podniósł się i przeciągnął, jednocześnie ziewając. Obwąchał wóz i konie, a następnie, unosząc tylną nogę, zaznaczył swoim zapachem po kolei wszystkie cztery koła.

– Chyba zostałem przyjęty w grono domowników. – Podróżny się zaśmiał, a kundel podbiegł do niego, merdając ogonem.

W tym samym momencie spod lasu zaczęła przybliżać się jakaś postać. Opalony na brąz szczupły mężczyzna prowadził konia ciągnącego sosnowy bal. Koń nie należał do zwierząt pociągowych. Miał smukłą szyję i przepięknej urody, długie nogi. Radził sobie jednak z ciężarem zachęcany do pracy nie batem, ale cichymi cmoknięciami. Mężczyzna wraz z koniem weszli na podwórkę.

– Witam serdecznie – zawołał opalony, półnagi mężczyzna, kłaniając się przesadnie głęboko.

– Witam, witam. A gdzie to gospodarzy podziałicie parobku?

– Jeden, jak widzę, już pana przywitał – stwierdził przybyły, wskazując na psa. – A drugi stoi przed panem.

– Chyba pomyliłem gospodarstwa. Szukam oficera Telesfora, ponieważ chciałbym u niego wynająć kwatere.

Opalony mężczyzna usiadł na ławie i gestem zaprosił podróżnego.

– Mnie na chrzcie dali na imię Telesfor. Oficerem jestem na emeryturze i nie dziwi mnie, że nie poznaliście, bo musiałbym z konia na głowę upaść, aby w taki upał w mundurze po podwórku chodzić. Mundur mam i owszem, ale w lnianym worku, przed molami zabezpieczony, od dawna leży niewyciągany. Jak widzę z daleka jedziecie, to i stawy zaraz naszykuję. Pozwólcie tylko konia wyprząc i w cień wprowadzić.

W tym czasie na podwórkę jak wiatr wbiegła dziewczyna. Na sobie miała ubrania typowo męskie, ale tylko ślepy nie dostrzegłby dziewczęcej urody. Jej czarne włosy rozwiały się na wietrze.

– Co to za goście, tato?! – krzyknęła podniecona, zapominając o obowiązku przywitania.

– Wybaczcie mojej córce. Chowam ją sam i nie zawsze wszystkiego jestem w stanie dopilnować. – Odwrócił się do wiatropęda z surowym wyrazem twarzy. – Zofio, najpierw należy się przywitać z przybyłym, a potem poczekać, czy się przedstawi. Jeśli nie, to znaczy, że chce zachować anonimowość.

– Ach! Dajmy spokój konwenansom. Jestem Andrzej Brachmański, ale proszę, abyście mówili mi Jędrrek. – Zdjął kapelusz i uklonił się dwornie jeszcze głębiej, niż przed chwilą zrobił to Telesfor.

– Miło nam – stwierdził gospodarz i ponownie zwrócił się do córki: – Zrób nam stawy, kochana, a ja zajmę się końmi naszego gościa.

– W żadnym wypadku nie pozwolę, aby usługiwał mi oficer naszego wojska! Proszę tylko wskazać miejsce, gdzie mam postawić wóz i uwiązać konie. Są przyzwyczajone do jedzenia obroku z worka, więc żłobu nie potrzebują. Wiadro do pojenia także mam własne.

Dopiero teraz Zośka i Telesfor przyjrzeni się dokładniej zaprzęgowi gościa. Zośka pierwsza dopadła skóry białego niedźwiedzia, a ojciec był drugi, ale tylko dlatego, że stał dalej.

– Nie gadaj Jędrus, żeś to sam ustrześli! – wypaliła Zośka.

Ojciec w milczeniu gładził białą sierść, która w słońcu lśniła, jakby była z kryształków lodu.

– A niech mnie... – Nie dokończył, gdyż słowa uwięzły mu w gardle. – Jesteś wielkim myśliwym – ocenił z uznaniem i szacunkiem. – Wróćmy jednak do obowiązków, a o przygodach łowieckich pogadamy przy obiedzie.

Obiad był prosty jak to w wiejskiej chacie. Zośka nasmażyła naleśników na kwaśnym mleku i podała je z białym serem i miodem. Naleśniki zniknęły jak za pomocą czarodziejskiej różdżki, a wygłodniali mężczyźni na razie nie dyskutowali zbyt dużo. Dopiero po chwili gość podniósł się z krzesła. Nadwornie podziękował i oddalił się na chwilę.

Wrócił z drewnianym, długim kufrem, okutym mosiężnymi narożnikami i zaopatrzonym w solidne zamknięcie na kłódkę. Otworzył go, a ze środka wyciągnął olbrzymi ekspres.

– Mogę... – wystękała Zośka, wyciągając do niego ręce.

Właściciel podał dziewczynie broń z przekonaniem, że ją upuści od nadmiernego ciężaru. Ona jednak chwyciła pewnie karabin, wygięła się lekko do tyłu i przyłożyła ekspres do ramienia.

– Niesamowicie składny – zauważyła. – Stabilny i ciężki. Postawę trzyma, jakbym się o płot oparła – zażartowała i oddała broń właścicielowi.

Przy fajce i filiżance czarnej kawy, gość opowiadał o swoich przygodach podróży i łowieckich. Mówił wiele o wyprawach przez morza i góry.

– Kiedy zdążyłeś to wszystko zwiedzić? – Z fascynacją dopytywał Telesfor.

– Dobrze pytanie. – Z łobuzerskim uśmiechem odpowiedział gość. – Mam własny samolot.

– Samolot? Latasz jak ptak ponad morzami i górami?! – krzyknęła oczarowana Zosia.

– Ponad morzami nie latam chętnie, ponieważ mój samolot nie ma dużego zasięgu. Przeleciałem nad kanałem La Manche do Anglii i nad Bałtykiem do Szwecji.

Opowiadał, a czar jego historii zabrał gospodarzy w ekscytującą podróż. Telesfor i Zośka siedzieli znieruchomiali, jak na seansie filmowym. Dolewali myśliwemu co rusz wody, aby nawilżał gardło i miał siłę dalej mówić...

Skupienie wzroku na przyrządach

- No teraz to już nie wiem, co o tobie myśleć? - Czarnowłosa odgarniała swoje niesforne włosy w zdenerwowaniu. - Strzelać do czystych desek? Po co?

Ojciec cierpliwie poczekał na koniec „kazania” córki i spokojnie wytłumaczył.

- Zawsze rysowaliśmy na deskach węglem kółko do dekielka po puszcze z kawą. Tak?

- Tak.

- To była dycha. Jak strzeliłaś o promień dalej to dziewiątka, jeszcze jeden promień to ósemka i tak dalej. Zgadza się?

- Tak. - Cierpliwość jednak była już na wyczerpaniu, o czym świadczył ton tego potwierdzenia.

- A gdybyśmy narysowali dychę od dekla puszek z mąką? Byłaby trzy razy większa!

- Chcesz powiedzieć, że wtedy strzelałabym same dychy? Po co?

- Nie po co, ale dlaczego tak zrobiliśmy? Potrzebowaliśmy strefy odniesienia - tłumaczył bardzo łagodnym tonem Telesfor. - Bez tej umownej strefy strzeliłabyś w niebo i też byś powiedziała, że trafiłaś!



– No tak, ale co to ma wspólnego z brakiem jakiegokolwiek strefy? – W oczekiwaniu na wytłumaczenie wzięła swój kosmyk włosów nerwowo do ust.

– To jest trening na grupę strzelców. Tak zwane skupienie. Często gdy strzelec celuje do tarczy, trafia raz dziesiątki, raz ósemki. Inny strzela same dziewiątki. Ma piękne skupienie, chociaż niezbyt często wpadają dychy. Wyniki na punktowanej tarczy są nieraz na korzyść gorszego strzelca. Czyli takiego, który ma większy rozrzut, ale także więcej dych. Strzelec powtarzalny przegrywa na punkty, ale... Jakby doszło do pojedynku, to...

– To strzelec powtarzalny zawsze trafi rejon! Teraz pojmy! Ale co to ma wspólnego z białą tarczą?

– Pokażę twój rejon skupienia.

- *No tak, jakie to proste. Tylko dlaczego to mi wcześniej nie przyszło do głowy?*
- *Bo elementarz strzelania poznaje się po literce. Najpierw A potem B, C i tak dalej. Jak będziesz uważną uczennicą, to dojdiesz do Z.*
- *Ja chciałabym w strzelaniu być alfą i omegą.*
- *To jeszcze musisz ćwiczyć. Duuużo ćwiczyć i częściej ćwiczyć.*
- *Aleee zrzęędzisz...*



Wieczorem wraz z gościem poszli na trening. Telesfor niósł tarcze i długą leszczynową tyczkę, na której przywiązana była poszewka od poduszki. Umówił się kiedyś z mieszkańcami wioski, że jeśli zauważą tę zaimprovizowaną flagę, to nie powinni przechodzić w pobliżu. Za nim siedł Andrzej ze swoim ekspresem na pasku, a na końcu człapała Zośka wpatrzona w przepiękną broń myśliwego.

Ich Mosin topornością przypominał brzydkie kaczątko, a dwururka gościa była pawiem z rozłożonym ogonem. Misternie rzeźbione zamki w motywy z polowań, ozdobione złotem i przebarwione punktowym przegrzaniem metalu czyniły tę broń dziełem sztuki. Jej kolba była wykonana z tygrysiego orzecha inkrustowanego srebrem i ukształtowana pod wymiary właściciela. Przy niej bukowa kolba Mosina wyglądała jak deska wyrzucona z tartaku.

Zośka miała nos na kwintę i nawet tak cudowny ciepły wieczór nie był w stanie poprawić jej humoru.

- Od jakiego dystansu zaczynamy? - dociekał myśliwy, widząc rozległe pole otoczone pagórkami moreny czołowej ostatniego lodowca.

- Ja zaczęłabym od trzystu, a na pięćsetce wiszą metalowe blachy. Nie trzeba będzie biegać, aby sprawdzić kto trafił. - Zośka próbowała opanować intonację głosu, aby brzmiała nonszalancko i swobodnie, jednak jej głos się zawieszał i brzmiał zbyt wysoko, jak na spokojne stwierdzenie.

- Nie jesteśmy tu po to, aby zaciskać pośladki, tylko po to, aby dobrze się bawić w doborowym towarzystwie. - Telesfor upomniał grzecznie córkę i zwrócił się do gościa. - Jędrus, jakie ty dystanse preferujesz?

- Mój ekspres jest zjustowany na pięćdziesiąt metrów. Na polowaniach nie strzelam dalej jak na sto, sto pięćdziesiąt metrów. Lewa lufa jest przewodnia, więc myślę, że większe dystanse też są w moim zasięgu. - Uśmiechnął się do Zośki i kontynuował: - Nie będzie wam dzisiaj lekko, bo macie przed sobą zwycięzcę zawodów ogólnoeuropejskich na sto metrów. Strzelałem tam co prawda z broni sportowej, ale nie uważam mojego ekspresu za gorszy.

- Zjustowany? To znaczy co? - Czarnowłosa zapytała zaczepnie lekko podenerwowana.

- Zjustowany to znaczy, że obie lufy schodzą się lekko z przodu, aby pociski z obu luf trafiły w jeden punkt. W jeden punkt, ale tylko na jednym dystansie. Bo jak już wiesz

z lekcji geometrii, dwie proste mogą mieć tylko jeden punkt przecięcia – wyjaśnił naukowym tonem ojciec.

Zośka jednak nie słuchała. W uszach cały czas brzmiały jej przechwałki gościa. Chciała szybko pokazać, kto tutaj rozdaje karty.



Ledwie ojciec wrócił od tarcz, Zośka rzuciła się na pałatkę i rozpoczęła strzelanie. Zapomniała o rozgrzewce i przetarciu wyciorem lufy. Mężczyźni spojrzeli po sobie, a Telesfor znacząco westchnął. Gość właśnie skończył czyszczenie broni z oliwy. Trzymał ją na plecach pod pachami i wykonywał skręty ciała. Następnie wykonał kilka skrętośkłonów i przysiadów z wyskokiem. Jego ciężka broń pomagała w intensyfikacji ćwiczeń. Gdy jego oddech przyspieszył, a na policzkach pokazały się kropelki potu, stanął w lekkim rozkroku. Rozmasował nadgarstki i dłonie. Potem zakręcił szyją tak, że aż chrupnęło głośno i przesunął pas z nabojami na brzuch.

– Teraz moja kolej! – zarządził i stanął w bocznej postawie strzeleckiej. – Do której tarczy strzelałaś?

– Do lewej. Nie kładziesz się na pałatkę?

– Nieee! Z tego kalibru strzelanie w pozycji leżącej powoduje zgruchotanie obojczyka albo inne ciekawe uszkodzenia ciała. Na większe dystanse postrzelam z pozycji klęczącej. Uszy zatkane? – dopytywał, zatykając sobie uszy korkowymi stożkami. – Uwaga!

– Bum! Bum! Bum! Bum!

Taki huk wydaje armatka albo działko przeciwlotnicze. Myśliwy strzelił raz w ziemię dla oczyszczenia lufy, a potem trzy razy do celu. Patrzącym z boku ciśnienie powietrza po strzale wgniatało żołądki do gardła. Po ostatnim „bum” myśliwy przetarł lufę suchą, bawełnianą szmatką i załadował naboje.

– Chodzisz z załadowaną bronią? – dziwił się Telesfor.

– To z przyzwyczajenia. Rozładowuję dopiero w budynku, gdy już żaden drapieżnik nie zaprosi mnie na kolację w postaci dania głównego. – Andrzej się zaśmiał. – Mam też pistolet w tym samym kalibrze i wyobraź sobie przydał się w najmniej oczekiwanym momencie. Kiedyś, na poprzedniej wyprawie, mój przewodnik, murzyn, napadł na mnie niespodziewanie z nożem. Zawartość mojego portfela była dla niego tak kusząca, że postanowił pozbawić mnie życia. Załadowana broń, będąca w ciągłej gotowości, uratowała mi życie.

Poszli do tarcz, a tam zgodnie z przewidywaniami Telesfora wyniki mocno się różniły. Pociski Andrzeja zrobiły przestrzeliny bardzo blisko siebie i bardzo blisko środka tarczy. Wynik z tarczy gorącołowej Zośki był gorszy, pomimo że strzeliła pięć razy.

Celny strzał oddaje strzelec, a nie karabin

– Mało kto jest niewrażliwy na emocje. W strzelaniu jednak liczy się to, aby po wzięciu broni do ręki odsunąć emocje na bok. – Andrzej wyręczył Telesfora w komentarzu.

Zośka z szacunku przed gościem nie przerywała. Sama zresztą zauważyła, jaki popełniła błąd. Jej emocje jednak nie opadły od razu. Powiesili nowe tarcze i wrócili na stanowiska.

– Strzelaj teraz z mojej broni, jeśli nie boisz się odrzutu o sile końskiego kopnięcia. – Andrzej wyciągnął w jej kierunku broń i podał pas z nabojami. Nie musisz już strzelać w ziemię, bo lufa jest bez smaru.

– Wiem, wujaszku – rzuciła zaczepnie i naciągnęła kurek.

Odrzut tego kalibru był taki, że szczupłą dziewczynę cofnęło o krok do tyłu i może nawet by się przewróciła, gdyby ojciec przezornie nie stał za nią.

– O kurczę w panierce. – Pokręciła głową i złamała ekspres do następnego załadowania.

Przeniosła trochę ciężar ciała na przednią nogę i oddała drugi strzał. Ojciec wraz z gościem patrzyli na nią z podziwem. Tymczasem ona ładowała już następny nabój.

– Bum! – Strzał był zdecydowany i pewny.

– Poproszę o wycior i fletuch. – Wyciągnęła rękę do Andrzeja.

Andrzej podał jej równo przyciętą szmatkę.

– Wycior masz pod lufą – oznajmił.

Teraz, gdy dziewczyną nie targaly emocje, jej strzały były perfekcyjne. Strzelanie z tak dobrej broni zobowiązywało także do szanowania każdego pociągnięcia za spust. Dzięki temu przestrzelenia utworzyły w tarczy miłą dla oka „koniczynkę”.

Wizyta gościa była niezłą i zaskakującą lekcją strzelania dla dziewczyny, która nie znała emocji konkurowania z osobą wyposażoną w „lepsy” karabin. Załamanie wiary we własny sprzęt najpierw potwierdziła niestarannym strzelaniem, a dopiero po ochłonięciu wróciła do przepięknej pracy przy broni. Nastroiła swoje myśli nie na sprzęt, lecz na wykazanie się umiejętnościami.

– Masz najlepszy karabin na świecie. Najcelniejszy i kochający twoje dłonie. Jeśli będziesz uważać go za swojego przyjaciela, to on jak przyjaciel wyciągnie cię z największej biedy. Jeśli tylko przez myśl przeleci ci świadomość, że przeciwnik ma lepszy sprzęt, przegrałaś. – Ojciec powtarzał tę sekwencję jak mantrę, a swój karabin dla oddania mu czci nazywał Nelsonem.



Ojciec zaprzęgał bułankę, a Zośka pakowała podróżną torbę. Tę kazali uszyć rymarzowi z najlepszej cielęcej skóry na wzór takiej, jaką widzieli u Andrzeja. Miała dwie komory przedzielone sztywną przedziałką, a na niej kieszenie na drobne przedmioty. Kieszenie znajdowały się także na zewnątrz torby i nadawały jej niecodziennego wyglądu.

– Zapakować twoją teczkę rysunkową? – krzyknęła przez otwarte okno.

– Nie! Tam nie będzie czasu na rysowanie, ale wezmę mały szkicownik.

– A fajkę?

– Nie! Przecież nie palę od ponad dziesięciu lat.

Duża torba podróżna, pomimo iż zawierała już ikonę z Bogurodzicą i dzieciątkiem, świecznik, oraz żelazko z duszą, nadal wydawała się pusta. Zośka nigdy wcześniej nie opuszczała rodzinnego domu, dlatego nie miała pojęcia, co należy zabrać.

– A mam wziąć miski i łyżki?

Na podwórku pojawił się Maciej, syn sąsiadów, który miał ich odwiedzić na stację kolejową i zaopiekować się zwierzętami pod ich nieobecność. Telesfor przekazał kilka istotnych informacji o składowaniu paszy dla zwierząt i poszedł do domu, aby pomóc córce w pakowaniu. Wywrócił torbę do góry nogami i wysypał jej zawartość na łóżko.

– Najważniejszy w podróży jest portfel. On musi być schowany w kieszeni kamizelki albo w specjalnej kieszeni pod pachą. Drugą ważną rzeczą są dokumenty. Trzeba je strzec jak oka w głowie, bo ich zgubienie niesie duże komplikacje w podróży. – Ojciec tłumaczył cierpliwie.

– Ale ja jeszcze nie mam ani dokumentów, ani portfela.

– Tak, ale jedziesz ze mną, więc nikt nie będzie cię legitymował.

– Jak już skończę siedemnaście lat i będę po chrzcie, to dostanę dokumenty?

– Oczywiście! – Telesfor westchnął wyrozumiale. – Teraz jednak musimy zająć się pakowaniem, ponieważ pociąg czekać nie będzie. Trzecią ważną rzeczą są onuce i bielizna. W podróży nie zawsze jest czas na pranie onuc, a chodzenie w brudnych nie przysparza przyjaciół.

– Są onuce i bielizna. Co jeszcze?

– Odzież na zmianę. Jeśli jedziesz w ciepłym stroju, warto zabrać odzież lekką, chyba że jest zima. Wtedy drugi komplet też niech będzie ciepły. Warto też wziąć słoninę i cebulę. Takiej, jak rośnie w naszym ogrodzie, to nie kupisz za żadne pieniądze. Oczywiście, ciekawa książka i manierka z wodą. Chyba że jest zima, to nie trzeba, bo i tak zamrznie.

– Zapomniałeś o nożu i zapalkach – dodała z uśmiechem.

– Widzę, że już łapiesz, o co chodzi. Oczywiście trzeba jeszcze wziąć igłę z nitką... i karabin.

– Karabin!?

– Wiedziałem, że dasz się nabrać. – Ojciec uśmiechnął się od ucha do ucha z udanego dowcipu. – Żelazko, świecznik i ikona zostają, bo są ciężkie. Pomodlić się zawsze można pod krzyżem na drodze. To wszystko.

– Ale torba jest wciąż pusta.

– To dobrze, bo wyjazd jest po łupy. Wrócimy z pełną. Do domu trzeba zawsze więcej przywieźć, niż się wywozi, gdyż inaczej po co wyjeżdżać?

Torba nie wyglądała na taką, ale okazała się bardzo ciężka. Ojciec na szybko wyciągnął z niej worek cebuli i połów słoniny.

– Tę torbę musimy donieść od stacji do hotelu. – Zaśmiał się pod nosem.

Zamknęli drzwi na klucz, a klucz, aby go nie zgubić, powiesili na gwoździu wbitym w futrynę. Biało-czarny kundelek czuł jakąś wyjątkowość tej sytuacji, dlatego opuścił swoją budę i przyglądał się zaciekawiony.

– Skunksie, zostajesz na straży domu i obejścia. Cyganów goń z podwórka i gryź, ile wlezie, a tego miłego chłopca, co przyjdzie karmić inwentarz, poproś zawsze, aby ci odlał trochę mleka po udoju.

Zośce teraz zrobiło się przykro z powodu wyjazdu, więc szybko wskoczyła na wóz. Pies zamerdał ogonem na znak, że zrozumiał i smętnym wzrokiem spoglądał za odjeżdżającymi.

Pogoda do nauki strzelania jest dobra albo bardzo dobra

Odległości na strzelnicy stawały się coraz większe. Cele – coraz mniejsze, a ojciec jeszcze specjalnie znajdował czas na naukę w trakcie najgorszej pogody. Prażące słońce. Dobrze, można znieść, ale deszcz?

– *Idziemy postrzelać?* – zapytał Telesfor, ledwie skrywając uśmiech.

– *Idziemy, idziemy tylko zmienię ubranie na robocze, bo dzisiaj z treningu wrócimy ubłóceni.*

Zośka błyskawicznie rozebrała się do koszuli i zaczęła wciągać gruby, drelichowy kombinezon. Przetarła lufę wyciorem do sucha i w pozycji wyjściowej czekała z udawaną powagą.

– *W prawo! Zwrot! Na strzelnicę, naprzód marsz!* – zakomenderował ojciec.

Nalożył pałatkę i także wyszedł w deszcz. Pies nie wystawił pyska z budy, jednak przyglądał się temu uważnie. Czarnowłosa szła rażno, rozchlapując kałuże. Za nią hardo podązał ojciec i międlili przekleństwa pod nosem. Chyba nie na pogodę, ponieważ zawsze uczył, że dla snajpera im pogoda gorsza tym lepiej.

Po chwili dotarli za wzniesienie, gdzie strzały z karabinu nie hałasowały już mocno mieszkańcom osady. Na pewno mniej niż dotychczas. Niedawno, kiedy jeszcze strzelali tuż za domem, przybiegł sołtys z awanturą.

– *Co się tu u was dzieje? Wojna? Moja baba garnek ze strachu upuściła. Całą kuchnię mam w kwaśnym mleku!*

– *No co? Uczę dziecko strzelać* – odparował zakłopotany Telesfor. *Nie chciał nikogo niepokoić, ale nie pomyślał o sąsiadach.*

– *Masz ci pomysły! Za domem? Toż kury się przestaną nieść. Psa z budy nawet na michę nie wyciągnę. Idźcie sobie strzelać gdzieś dalej.*

To poszli. Zorganizowali prawdziwą strzelnicę za dużym wzniesieniem. Oznaczyli odległości i umieścili różne cele. Niektóre nawet ruchome. Trenowali codziennie. Zośka była zachwycona bronią, a Telesfor postępami w nauce swojej córki. Jedyń jej zgrzyotą było suche strzelanie.

– *Strzelać bez naboju to jak jeść niesłodki miód!* – Złościła się.

– *Strzelanie na sucho pokazuje ci wszystkie błędy, które robisz podczas praktycznej nauki. To obok wizualizacji drugi największy filar opanowania sztuki strzeleckiej.*

– *Ale tego nie lubię. Nie lubię i już.*

– *A lubisz ukąszenia pszczoł?*

– *No po co pytasz? Wiesz, że nie lubię.*

– A jak inaczej zjesz pyszny miód? – Ojciec cicho się zaśmiał.

– Okurzę pszczoły dymem i nakryję się kapotą. Potem mogę jeść do woli! – Zosia również się zaśmiała.

– To teraz już wiem, kto wyjada miód z nadstawek! – wykrzyknął, udając zezłoszczonego. – Za karę pół godziny suchego strzelania.

– Twoje zawsze musi być na wierzchu! – burknęła prawdziwie zezłoszczona.

Trawa była mokra. Ziemia także i w dodatku zimna. Ojciec zrobił prymitywny namiotik z peleryny, ale nad karabinem.



– Dziecko niech moknie i marznie. Karabin ma być suchy! Dlaczego?

– A co trudniej zrobić?

Uśmiechnęła się.

– Pamiętaj. Każdy głupi trafi w dogodnych warunkach, gdy będzie najedzony, wyspany i spokojny, a na strzelnicy osłoniętej od słońca i wiatru będzie panowało przyjemne ciepło. Prawdziwa sztuka strzelania rodzi się tutaj, gdy jest zimno, mokro, wieje wiatr. Zmarznięty sztywny palec nie czuje cyngla. Ciało drży tak, że karabin cały czas podskakuje, a luneta zaparowała. Tutaj i teraz nauczysz się strzelać. Innym razem możesz mieć tylko niejasne pojęcie o tej sztuce.

Miał rację. Wiedziała o tym. Oszczędzała każdy strzał. Przyciskała nogę do nogi. Splatowała ręce, aby wywołać napięcie mięśniowe, czego efektem było podniesienie temperatury ciała. Każdy strzał oddawała ze spokojem, jakby wiatr i deszcz były miłe

i przyjemne. To duża sztuka, by tak kontrolować odruchy ciała i własną psychikę. Powoli jej się to udawało. Strzelała z dużymi odskokami przestrzelin, ale nadal trafiała. Ojciec z niedowierzaniem patrzył przez lornetkę.

Już chyba niczego nie jestem w stanie jej nauczyć – pomyślał. Strzela jak ja w młodości. Zrobiło mu się ciepło na sercu.

– Mam jeszcze trzy naboje. Co trafić? – Przerwała dumanie swoim dziecięcym głosem.

– Sto metrów hełm i dwieście sylwetka. To, czego nie trafisz, poprawisz trzecim po dwóch strzałach suchych.

– Paff! Paff! – Dwa strzały nastąpiły jeden po drugim. Hełm dostał. Słysząc było jego metaliczne dźwięczenie. Sylwetka jednak nie drgnęła.

– Teraz suche.

– Spójrz na sylwetkę na trzysetce. Strzał powinien być czysty – skontrolowała Zosia.

– Trzysta? Przez lornetkę nie zobaczę. Trzeba na piechotę.

Poszli razem. Zmarznięci, zmoknięci, zmęczeni i radośni.

– Nie wydaje ci się, że jesteśmy jedynymi takimi wariatami we wsi? – zapytała ojca.

Włosy przykleiły jej się do twarzy, co uniemożliwiało ich zdmuchnięcie.

– Tak. Jesteśmy trochę niestereotypowi, jak niestereotypowe jest nasze jedzenie. Dzisiaj na kolację będą surowe jajka zalewane świeżym mlekiem. Moja niestereotypowość nie pozwala mi dzisiaj gotować.

– Ale obrządek będę musiała zrobić? – zapytała z przekąsem.

– Tak, ale ty jesteś bardziej stereotypowa. – zakończył poważnie ojciec.

W tarczy nie było trafienia. Nikt się tym nie przejął. Rasowi snajperzy strzelają dla przyjemności.



Wyjazd z domu do wielkiego miasta był dla Zosi olbrzymim przeżyciem. Ścisła ją w dołku, mrowiły palce, a na plecach czuła dreszcz.

– Czuję się jak przesadzane drzewo! – krzyknęła z końca wozu do ojca.

Siedziała na torbie, a plecy oparła o tylną burtę. Telesfor i Maciej siedzieli na koźle, czyli desce na resorach. Bułanka szła kłusem, a wóz terkotał po drobnych dziurach i kamieniach tak, że nie sposób było normalnie rozmawiać.

– Kiedyś może odkryjesz w sobie duszę podróżnika tak jak Andrzej. Wtedy sama będziesz wrywać sobie korzenie. – Telesfor się zaśmiał i klepnął z uśmiechem w udo. On na tę wycieczkę jechał szczęśliwy i pełen radości.

Dialogi ograniczały się do krótkich zdań. Zazwyczaj to ojciec Zosi rozmawiał o czymś z Maciejem. Pewnie o gospodarstwie, a może Maciej poruszał sprawy wojskowe? Wiadomo, każdy chłopak rwał się do wojska. Telesfor we wsi miał duże poważanie, także z powodu swojej wysokiej szarży wojskowej. Teraz jechał w mundurze, na którym lśniły guziki i odznaczenia, a do pasa przytroczony miał paradny kordzik. Swoją postawą i mundurem wzbudzał szacunek i zaufanie, dlatego Maciej był dumny, że jedzie na koźle obok takiej osoby.

Mijając ścierniska i świeże podorywki, dojechali do stacji kolejowej. Zośka nie raz widziała stację i stojący na niej pociąg, lecz dzisiaj odczuwane ściskanie w dolku jeszcze się wzmogło, gdy postawiła trzewik na stopniu wagonu. Nagle jej świat wypełniły kolory. Czuła się tak szczęśliwa jak nigdy dotąd. W przedziale rzuciła się ojcu na szyję. Czuła ekscytację i bezmierną radość. Śmiała się, aż łzy radości popłynęły jej po policzkach.

– Ho! Ho! Ho! – Telesfor wyrwał się z objęć córki i wepchnął torbę pod ławkę, na której usiadł. – Odkryłaś w sobie gen podróżnika szybciej niż myślałem.

– Jestem ci niezmiernie wdzięczna za to, że wziąłeś mnie w tę podróż. – Usiadła naprzeciwko, ścisnęła dłonie między kolanami i oczekiwała, aż pociąg ruszy.

I ruszył. Perfidnie, brzydko! Tak mocno szarpnął wagony, że podróżni stojący na korytarzu polecili na siebie. Starszej pani, która dosiadła się do nich do przedziału, wypadł krucyfiks z dłoni. Ojciec szybko podniósł go z podłogi, pocałował i oddał damie, która jedną ręką zakryła sobie oczy, a w drugiej kurczowo ścisnęła podróżny krzyżyk.

– Proszę się nie bać. – Spokojny, tubalny głos ojca przywrócił chwilę normalności. – Szkołą pewnie jakiegoś ucznia na maszynistę. Każdy na początku popełnia błędy, ale proszę mi wierzyć, parowóz jest bezpieczniejszy niż koń i jak się pani przekona, dużo szybszy.

Telesfor próbował uspokoić panią, a zapewne i córkę, która nie okazywała lęku, lecz pewnie miała niepokojące myśli, gdy pociąg nabrawszy prędkości wjechał na rozjazdy. Wagonami ponownie szarpnęło, tym razem na boki. Starsza pani już nie odejmowała krucyfiks od ust. Modliła się, trzymając krzyż przytknięty do warg tak, że zamiast modlitwy z jej ust wydobywał się niezrozumiały bełkot. Męska dłoń ojca chwyciła nadgarstek starszej pani i odjęła rękę od jej oczu.

– Proszę spojrzeć, już jest wszystko dobrze. Pociąg spokojnie jedzie naprzód. Lokomotywa ciągnie nas jak po sznurku, a maszynista dba, abyśmy bezpiecznie dojechali do celu.

Pani spojrzała na umykający za oknem krajobraz. Na mijane w ogromnym pędzie słupy telegraficzne i ponownie szybko zasłoniła oczy.

Zośka natomiast patrzyła jak zauroczona. Pociąg nabrał pędu i tak jak w wierszu Tuwima stał się leciutką piłeczką toczącą się przez pola i lasy. Już zmienił się krajobraz. Skład zaczął wjeżdżać na mosty nad rwącymi potokami, przeciskał się przez tunele, gdzie łoskot kół nagle docierał do podróżnych, jak grzmot spadającej lawiny. Jęki starszej Pani słabły, ponieważ prawdopodobnie zaczęła przywykać do wrażeń, jakie niesie podróż koleją parową. Telesfor oczywiście skorzystał z okazji na edukację saperską.

– Widzisz? Ten most przed nami ma konstrukcję wiszącą. Torowisko pociągu jest oparte na belkach poprzecznych, które wiszą na stalowych podwiesiach umocowanych w prześle w kształcie łuku. Tamten to zwykła kratownica podparta na wymurowanych przyczółkach.

– A dlaczego nie robić wszystkich mostów takich samych?

– Tak byliby najprościej i najpewniej, ale nie zawsze warunki są takie same. Dużo zależy od przyczółków. Jeśli są piaszczyste lub mają inne niestabilne podłoże, to lepszy jest wiszący. Trzeba też patrzeć na pieniądze i materiały, jakie są dostępne w danym regionie. W górach można zobaczyć wiele mostów kamiennych, a u nas stoi drewniany. Wiesz dlaczego?

– Tak, kamieni na most nie nazbieralibyśmy przez sto lat, a drzewa rosną wszędzie dookoła.

– Właśnie tak. Poza tym kamienie lub bloki skalne udałoby się sprowadzić, ale cena takiego mostu okazałaby się stukrotnie wyższa niż naszego drewnianego, który służy nam zupełnie dobrze.

Pociąg zatrzymał się na stacji, gdzie jedni podróżni wsiadali, a inni opuszczali przedziały. Do wagonów wdarli się peronowi handlarze, oferujący pachnące bułeczki, grzańce, a także po prostu butelkę samogonu, zakorkowaną zwykłym zwitkiem gazety. Ojciec kupił po bułce przełożonej dla smaku boczkciem, cebulą i ogórkiem. Starsza pani kupiła flaszkę samogonu. Odkorkowała i pociągnęła potężny łyk, i zdawało się, że na chwilę straciła oddech. Rumieńce powróciły jej na policzki, a oczy spływające łzami nabrały blasku.

– No dzieciaczki! Teraz możemy jechać.

Starsza pani podała otwartą butelkę Telesforowi. Ten popatrzył na nią z niepewnością, ujął ją i także pociągnął duży łyk. Jego oczy także zabłyśły łzami, a policzki bardziej przypominały przekrojonego buraka niż skórę starszego mężczyzny.

– Sroga *sobaka!* – wypowiedział bez tchu i zagryzł szybko bułką z cebulą.

Resztę oddał starszej pani, która teraz już bez krępacji pociągnęła kolejny łyk, zagryzając resztką bułki. Zośka patrzyła z niedowierzaniem. Ojciec pije z butelki podanej od obcej kobiety, a ta je jego niedokończoną bułkę.

No nie mogę tego opowiadać w Grabowie, bo i tak mi nikt nie uwierzy – pomyślała, patrząc z przymusu w okno i gryząc dystyngowanie swoją bułkę.

Pociąg ruszył z nie mniejszym szarpnięciem, a starsza pani zachichotała tylko.

– Leokadia! – przedstawiła się ojcu i córce.

– Telesfor – odrzekł dostojnie ojciec, całując wyciągniętą dłoń starszej pani.

– Zofia – wtrąciła Zosia, także na stojąco.

Pani podała jej butelkę, aby dopełniła toastu. Telesfor zamknął na chwilę oczy na znak akceptacji, a potem Zośka poczuła jakby kopnięcie perszerona. Szybko usiadła na ławkę i oddała butelkę w próżnię. Starsza pani przechwyciła ją chciwie i dokończyła opróżnianie jej zawartości.

Pociąg turkotał po szynach. Wiorsty umykały niezwykle szybko. W przedziale było gwarno. Zośka szybko wskoczyła w rolę i wymieniała celne uwagi na tematy geograficzne z panią Leokadią. Ta okazała się emigrantką z okresu rewolucji. Uciekała z tych terenów podczas niechlubnych wojen na pograniczu. Teraz, jako dorosła kobieta, z papierami przygotowanymi przez prawnika wróciła odzyskać swoje dawne włości.

– A my jedziemy na zakupy – pochwaliła się Zośka. – Tata chce kupić pud trzyciałowych gwoździ, pilnik, półokrągłą raszplę i końską maść.

– A ty co sobie kupisz?

– No baterie są w zasadzie dla mnie, bo lubię słuchać radia. Gwoździe są też dla mnie, bo to ja nabijam najwięcej dylów. Często odzyskujemy gwoździe przy wymianie dyla lub brusa, ale jak który pęknie, to już jest strata. Trzeba wtedy albo kołkować, albo kupić nowy.

– To raszpla pewnie też jest dla ciebie? – Niby od niechcenia dopytała pani.

– Nie. Raszpla ojca, bo on wie, jaki musi być luz montażowy.

– Więc w mieście twój tatuś na pamiątkę kupi ci paczkę gwoździ? – Irytacja w jej głosie dźwięczała jak kryształ górski. – No nie spodziewałam się tego po szlachcicu...

Spojrzała w kierunku Telesfora tak, że wzrokiem mogłaby wypalić dziurę w kamieniu.

– Szanowny panie oficerze – zaczęła łagodnie – drogi Telesforze, córkę trzeba rozpieszczać, modnie ubierać w suknie, urządzać dla niej bale, aby na nich mogła poznać, jakąś znamienitą partię do zamążpójścia.

– W zasadzie nie mamy miejsca na bale, chyba żeby w karczmie? – zastanawiał się ojciec. – Ale w sukniach do codziennych prac przy moście? – Skrzywił się. – To może się nie udać.

– Prace przy moście!? Czy szanowni twoi rodzice kupowali ci kordonek i kazali wyszywać kwiatki na serwetkach? Kobieta to krucha istota, jej delikatne i słabe dłonie nie udźwigną siekiery i młota.

Zośka patrzyła w okno i chichotała bezgłośnie. Pierwszy raz była świadkiem jak jej ojciec, silny i odważny mężczyzna, kurczy się i czerwieni poddawany ostrej ocenie towarzyski podróży.

– W jedną rękę Zośka weźmie i udźwignie, ale naraz młotem i siekierą to nikt robić nie potrafi. Siekierą moja córuchna niejednego drwała prześcignąć potrafi. Chuda jest, ale żyłasta i charakterna. Jak się już za robotę weźmie, to jakby diabeł w nią wstępował...

– My się nie rozumiemy, drogi Telesforze. Córkę kiedyś będziesz musiał wydać za mąż. – Popatrzyła mu głęboko w oczy. – Jeśli twoja córka będzie w domu rąbać siekierą i walić młotem, to co będzie robił mąż? Jakiego chcesz męża dla swojej córki? Zniewieściałego gogusia?

– Ale ja nie szukam dla niej męża. To moje dziecko...

– Dzisiaj jeszcze tak. Ja też za młodu biegałam boso z inną dziatwą. Strzelałam z łuku i ze śniegu lepiłam bałwana, ale potem urodziłam sześcioro dzieci. To przychodzi tak szybko...

Łzy pokazały się na policzkach Leokadii.

Telesfor spojrzał na Zośkę. Na jej dziecięcą twarzyczkę, łobuzerski uśmiech i nie mógł się powstrzymać od refleksji.

– Zosia i dzieci. Niemożliwe...



Lwów był miastem, w którym ruch uliczny porównywalny był z Delhi czy Bombajem. Po wojnie miasto rozkwitło jako stolica kultury, handlu i przedsiębiorczości. Pierwszy niesamowity tłum zobaczyli na peronie. Z wagonów trzeciej klasy zaczęli wychodzić ludzie i mimowolnie utworzyli falę płynącą w kierunku wyjścia.

– To jak w dużym mrowisku – wyszeptała Zośka.

– Gorzej. Mrówki cię nie zdepczą. Tutaj jak się przewrócisz, to możesz nie mieć okazji, aby się podnieść. – Stanowczo stwierdził ojciec. – Proszę, trzymaj mnie cały czas za rękę, bo jak tutaj się zgubimy, to nie odnajdziemy się przez ruski miesiąc – zakończył jeszcze poważniej.

Weszli na peron i równym rytmem szli do wyjścia, a Zośka nie mogła nadziwić się widokom, jakie oglądały jej oczy. Olbrzymie sklepienie głównego budynku dworca zaparło jej dech w piersiach. Wszędzie przepiękne zdobienia i kamienne posadzki przywodziły na myśl pałac albo katedrę kościelną. Tak wielkiego budynku Zośka jeszcze w swoim życiu nie widziała. Ilość przelewających się przez niego ludzi przyprawiała o zawrót głowy. Wiedziała, że słowa ojca o możliwości zgubienia się w tym tłumie trzeba brać na poważnie. Ścisnęła więc silniej jego rękę.

Wyszli na ulicę i tam dopiero dziewczyna zobaczyła, co oznacza ruch w wielkim mieście. Po ulicach gnały automobile, trąbiące głośno na przechodniów, oraz dorożki. Na głównym skrzyżowaniu stał policjant z gwizdkiem i co chwila zatrzymywał cały ruch, aby ludzie mogli bezpiecznie przejść na drugą stronę ulicy. Pobliskie latarnie oblegali żebracy i kataryniarze. Do jednej z ulicznych lamp była przywiązana za nóżkę małpka, która z kubeczkim zachęcała przechodniów do wrzucenia datku. Po chodnikach w swoich przepięknych kreacjach płynęły damy. Towarzyszący im panowie krokryli dostojnie, krzywiąc twarze w potrzebie utrzymywania cygara albo fajki.

To właśnie zapach tytoniu był tym, co zaskoczyło Zosię najbardziej. Szła przez ulice i tak naprawdę nie wiedziała, co ją w tym całym mieście drażni. Miasto po prostu śmierdziało. Śmierdziały rynsztoki, końskie odchody roznoszone wzdłuż i wszerz na obuwiu... Śmierdziały spaliny automobili i kłęby dymu tytoniowego spowijające przechodniów.

– Wcześniej rano wyjadą wozy sprzątaczy i na mokro posprzątają ten cały bałagan. Dzisiaj jest bezwietrznie i dlatego kisi się ten cały odór między budynkami. – Telesfor pośpieszył z wyjaśnieniem.

– Żadne zwierzę nie śmierdzi tak jak uliczni żebracy. Tu nie ma rzeki, aby się wykąpać?

– Są nawet łaźnie publiczne, gdzie takiego pewnie wpuściliby za darmo. To taki wytwór miejskiego lenistwa. Nie robią nic, nawet się nie myją.

Stary cieśla zabrał córkę do miasta, gdyż chciał jej pokazać budynki, ulice pełne samochodów, sklepy i kościoły. Żał mu się zrobiło, że Zosia widzi tylko ciemną stronę miasta. Na szczęście za rogiem był fotoplastykon. Ojciec wyciągnął portfel i kupił dwa bilety.

– Czemu tu jest tak ciemno? – Głos Zosi był cichy i przyduszony.

– Przyłóż oczy do tych okularów, a zobaczysz.

Zośka widziała już fotografie, ale fotoplastykon to fotografia przestrzenna. Fotografowane przedmioty i ludzie wyglądali jak żywi na tle odległych krajobrazów lub architektury. Zdjęcia zmieniały się co chwilę, ukazując odległe kraje, dzikie zwierzęta i olbrzymie budowle, takie jak most Brookliński czy wieżę Eiffla. Czarnowłosa wyszła z fotoplastykonu z otwartymi ustami.

– Widziałeś? Tam byli ludzie w białych kapturach z pochodniami. Kto to był?

Zakłopotany Telesfor nie wiedział, jak zacząć rozwijać temat. Córka jak zwykle dostrzegła to, na co inni nie zwróciliby uwagi.

– To Ku Klux Klan. Rasiści walczący o przywileje dla białej rasy. Coś jak bojówki Hitlera wyciągające nocą Żydów z ich własnych domów.

– No, ale kaptury i te pochodnie?

– To dlatego, że pod tymi kapturami często skrywają się poważni obywatele państwa. Nauczyciele, prawnicy, policjanci i bankierzy. Wyjeżdżają w nocy na rajdy w dzielnice murzyńskie i strzelają do ludzi jak do kaczek. Potem podpalają domostwa i odjeżdżają. Niewolnictwo i segregacja rasowa trwają tam nadal. Równouprawnienie i wolność są tylko na papierze.

– Hm, czy na świecie naprawdę jest jeszcze tak dużo do zrobienia? Czy ci ludzie są w stanie wygrać swoją wolność? – Pokręciła głowę z dezaprobatą.

– My też niedawno byliśmy traktowani jak ta gorsza rasa. Nie mieliśmy państwa. Z naszych terenów jeszcze nie tak dawno wywożono ludzi koleją na Sewier. Byliśmy białymi murzynami w środku Europy. Nawet kości twojego pradziadka bieleją gdzieś za kręgiem polarnym. Opowiadałem ci o tym, tylko pewnie byłaś za mała, aby zrozumieć.

– Tak. Teraz sobie przypominam. Miałaś problemy w szkole oficerskiej przez to, że byłaś Polakiem.

– To było dawno temu, nie ma sensu do tego wracać. Idziemy teraz na pyszny obiad z jagnięciny, tylko najpierw zameldujmy się w hotelu.

Weszli do tramwaju, gdzie kupili bilety i podążyli wagonikiem ciągniętym przez dwa silne konie. Podziwiali architekturę miasta. Rzeźby na budynkach przedstawiały ptaki, anioły albo herby mieszkających tam szlachciców.

– Musisz też wyrzeźbić nasz herb na chacie.

Telesfor zaśmiał się pod wąsem.



Zamieszkali w hotelu na piątym piętrze. Ojciec specjalnie wybrał pokój tak wysoko, aby córka mogła patrzeć na panoramę miasta. Przed zmrokiem pospacerowali po uliczkach oświetlonych gazowymi latarniami, a przed snem Zosia wzięła kąpiel w prawdziwej, emaliowanej wannie.

– Nie wiem, jak powinnam się tutaj zachowywać. Wszystko jest takie obce i fascynujące zarazem. – Stała w oknie i patrzyła na ruch uliczny. – Ci ludzie cały czas gdzieś pędzą. Tramwajami, samochodami, dorożkami i wozami. Ile ważnych spraw ma świat, że tylu ludzi musi w ciągłym pędzie, do późnej nocy je załatwiać? Jest to

fascynujące, ale boję się tego. Nie potrafiłabym mieszkać w miejscu, gdzie nie można zasnąć pod naciskiem obowiązków.

– Dlatego mieszkamy na wsi – wyjaśnił ojciec. – Wychodzimy rano do kurnika, mamy świeże jajka na śniadanie. Wydoimy krowę, mamy mleko, ser, masło i śmietanę. Zasiane zboże rośnie sobie spokojnie, a my możemy budować most albo strzelać, albo robić inne ciekawe rzeczy. Ci tutaj muszą walczyć o każde śniadanie. Każdy nocleg muszą opłacić, jak nie w podatku, to w innej opłacie. Tu nie nazbierasz chrustu i nie napalisz w piecu. Tutaj musisz kupić węgiel. Tutaj codziennie trzeba chodzić w butach, a wiesz, jak się drą żelowy po kamiennych chodnikach? To niewolnicy w kieracie. Sami zaprzęgli się do niego, i co gorsza nie mogą się odpiąć. Na co dzień chodzą w pięknych ubraniach i kapeluszach, ale pod nimi jest tylko strach o jutrzejsze opłaty i wzrosty cen.



Przed pójściem na zakupy ojciec szperał i przekładał coś w portfelu.

– Słowa na twoje wymyślone pierdulitki wystarczy?

Zosię, która stała przed oknem i patrzyła na nieustający ruch uliczny, wyrwało to z zamyślenia.

– Słowa? Sto złotych? To majątek! Nie ma tylu rzeczy na świecie, które można byłoby kupić za sto złotych

– Jestem twoim ojcem i oprócz musztry będzie bal – oznajmił, wręczając jej banknot.

I był bal. Po wielu dniach zwiedzania miasta i robienia zakupów tak nieprzydatnych żołnierzowi rzeczy poszli na kolację, gdzie oprócz dobrej kuchni była też dobra muzyka. Zośka wystroiła się jak córka bogatego kupca. Ojciec w galówce i świecących butach. Dostali stolik pośrodku sali, a po wybraniu stawy przy stoliku pojawił się natychmiast skrzypek.

– Nie jęcz mi tutaj bratku. Masz tu papierową monetę, idź do swoich i mazura, do ucha!

– Nie wiedziałam, że jesteś taki rozrzutny – wyznała Zosia. – Dać orkiestrze tygodniową pensję? Ho, ho! Nie znałam cię z tej strony.

– W szkole oficerskiej mieliśmy taką hulaj partię, że głośno o nas było wszędzie. Nieraz i carska konna policja musiała interweniować.

– I co wsadzili cię do ciumry?

– Niee. Na to byliśmy za sprytni. Zawsze w odwodzie był jakiś kompan, co albo ogony koniom poplątał, albo oliwy przed wejściem rozlał. Były emocje, śmiech i ucieczka tak jak u muszkieterów. Zresztą nawet przewziska mieliśmy jak w tej powieści. Wszystko po to, aby policja nie poznała naszych prawdziwych imion.

– Ty D’artanianem? – Zaśmiała się córka. – A mnie bronisz wsiąść na konia.

– Nie, ja byłem Aramisem. – Lekko speszony potarł wąsa. Powiedział za dużo, a teraz się tego wstydził. – Idziemy w tany. Harmoszka tak gra, że nogi same idą. Zatańczmy.

Poszli w skoczno mazurka, aż drewniana podłoga skrzypiała. Ona w trzewiczkach na obcasie nie mogła z początku nadążyć, ale szybko przeszła w chód na palcach i tak

oszukiwała ten niewygody wynalazek. W Grabowie też tańczyli, ale tutaj w tej przepięknej sukni, haftowanym toczku i niewygodnych, acz eleganckich trzewiczkach poczuła się pierwszy raz jak dama. Płynęła w ramionach ojca przez rzewne tango i dostojnego poloneza, aż zakręciło się jej w głowie. Ojciec na co dzień kulejący w tańcu, nie wiedzieć czemu nie zdradzał tego kalectwa.

Usiedli na krzesłach i napili się herbaty. Gospodarz niósł na tacy wielkie zakryte naczynie, a kelner rozłożył talerze i sztucce. Zapachniało barszczem, który gospodarz nalewał z gracją, gdy drzwi restauracji otworzyły się z łoskotem.

– Wy tu się bawicie! Ucztujecie! Kapitalistyczne burżuje, a klasa pracująca przymiera głodem! – Zakrzyknął jeden z młodzików, jacy wpadli z hukiem do knajpy. – Ty, fircyku w kolorowym mundurku, guwernantkę na posiłek zaprosiłeś, a pomyślałeś o radzieckich komunistach, którzy nie jedzą po kilka dni. Dawaj panienko, co masz cennego na rewolucjonistów albo...

– Albo cooo?...

Telesfor stanął naprzeciw dwóch młodzieńców. Nie skończył jeszcze mówić, gdy pierwszego trzasnął lewą ręką na odlew, a drugiego w powrotnej drodze z liścia. Na co dzień pracował fizycznie, dlatego jego mięśnie były niezwykle silne, a dłonie sękaty jak stuletni dąb. Dwóch upadło niemal jednocześnie jak kregle uderzone pędzącą kulą. Za plecami usłyszał także upadek. Najgrubszy i największy chciał go zająć od tyłu. Małą i chudą dziewczynę zbagatelizował. Ojciec nie musiał patrzeć, co się stało. Gruby nawet nie zauważył jej ciosu.

Z pięciu chuliganów na nogach stało dwóch. Ten, który dostał od dziewczyny przychodził szybciej do siebie, ale jego nos szybko zaznajomił się z jej nowym trzewiczkiem. Gospodarz w tym czasie zamknął głośno drzwi, w rękę trzymał tasak do mięsa. W zamku klucz zgrzytnął złowrogo.

– Nie będziemy wzywać policji – oznajmił grobowo Telesfor. – Mają inne ważne sprawy. Orkiestra grać coś skocznego, bo zaczynamy bal.

Jeden z chłopaków, który był bardziej rozdygotany, wyciągnął nóż. Telesfor podszedł do niego powoli. Błyskawicznie chwycił za nadgarstek i bez problemu wyjął kosę z trzęsącej się ręki. Za jego plecami nos grubego zapoznawał się z drugim trzewiczkiem Zosieńki. Orkiestra grała niepewnie i nie do taktu. Telesforowi to nie przeszkadzało. Odrzucił nóż w kąt sali, a drugą ręką zadał cios w żołądek. Cios mu jednak nie wyszedł. Trafił za wysoko i chrupnęły, żebra. Piąty, stojący najdalej padł na kolana i zaczął prosić o łaskę.

– Nie jęcz. Nic ci nie zrobimy. Nie groziłeś nam i nie wyciągnąłeś noża, a zapewne go masz. Poza tym ktoś musi tu posprzątać. Zobacz, jak nabrudzili tutaj twoi koledzy. Wyprowadzisz komunistów na dwór, a sam wrócisz tu z wiaderkiem, szmatą i szarym mydłem. Kątem oka możesz podglądać, jak się burżuj bawi. – Ojciec nigdy nie obnosił się z tym, że należał do szlachty, ale chciał dopiec jeszcze bardziej podrostkowi.

– Panie oficerze! – wtrącił się gospodarz. – Oni przychodzą tutaj często. W końcu ich mamy. Chcieli obrabować pana narzeczoną, a ilu wcześniej obrabowali, to Bóg jeden wie. Wezwijmy policmajstrów i wsadźmy wszystkich do więzienia.

– Chętnie bym tak zrobił, ale oficerski honor nie pozwala skarżyć pobitych. Nadto tych czterech nieprędko wróci do popierania komunistów. Każdy musi wyleczyć połamane kości.

Gruby chciał coś powiedzieć, ale szybko sobie przypomniał, że trzewiczki dziewczyny mają podkute obcasy. Założył ręce na głowę i leżał spokojnie, chociaż krew z jego twarzy zrobiła już niezłą kałużę.

– Siądźmy do stołu, bo zupa stygnie – zarządził Telesfor.

Zośki nie trzeba było zachęcać. Taniec i bójka mocno zaostrzyły jej apetyt. Gospodarz dostawił sobie talerz i krzesło zachęcany przez Telesfora.

– Piotruś! Przynies tutaj nalewkę! Tę na spirytusie! – Krzyknął do kelnera. – I dwa *stakanki!*

– Trzy! – poprawił Telesfor. – Razem w boju, razem do stołu! Córka to mi się udała! Przyznacie, panie gospodarzu.

– To wasza córka?! Niepodobna wcale – wyznał gospodarz po drugim z rzędu toaście.

– Nooo... Jak by była podobna do mnie, a nie do matki, to miałbym duże zmartwienie! – Telesfor zaśmiał się rubasznie, bo nalewka mocno poprawiła jego humor.



Wyjazd do wielkiego miasta wywarł na Zosi niebywale wrażenie. Długo wspominała pełne przygód chwile i niesamowitą ekscytację podróży. Jej rodzinna wioska, która do niedawna była całym światem, po powrocie okazała się tak niewiarygodnie małą. Pokonywanie odległości oddzielającej sąsiednie miejscowości wydawało jej się wyprawą na koniec Ziemi, a teraz czuła, że to żabi skok. Coraz częściej sięgała do grubego atlasu, gdzie na mapach były kraje, o których opowiadał jej ulubiony pisarz Juliusz Verne. Horyzont jej marzeń rozciągnął się poza Europę i w głębi duszy widziała siebie jako majtkę na statku płynącym do Afryki albo pilota samolotu lecącego nad Atlantykiem.

W zapędzie swojej wyobraźni zbudowała model statku z cienkich łuszczyn. Była to makieta jakiegoś statku z obrazka widzianego kiedyś w książce. Model wyszedł bardzo zgrabnie, biorąc pod uwagę skromność narzędzi, jakimi dysponowała. Łuszczyny posklejała żywicą, a główne połączenia zrobiła tak, jak ją uczył ojciec. Na zaciosy albo kliny. Była bardzo dumna ze swojego dzieła i po uszyciu żagli ze starej pościeli, pobiegła szybko nad rzekę.

Weszła w jej nurt i puściła statek wraz z prądem wody. Niestety model natychmiast się wywrócił i kręcony przez niewidoczne wiry płynął jak rzucony patyk.

– Co jest do jasnej anielki! – zakrzyknęła Zośka, rzucając się w wodę za statkiem.

Bystry nurt pobawił się trochę z dziewczyną i okręcikiem. Dopiero po długiej walce oddał model i pozwolił Zosi wyjść na brzeg.

– Podróże morskie nie są łatwe. Mówią o tym wszyscy marynarze. – Czarnowłosa, parszając, wyszła na brzeg. – A miał płynąć do morza. – Westchnęła, patrząc na swoje mokre ubranie. W przybrzeżnych łopianach nałapała jeszcze rzepów.

– Mam ja z tobą utrapienie – skwitował ojciec, gdy ujrzał mokre straszdyło wchodzące do domu. – Co tam znowu przeskrobałaś?

– Wskoczyłam do wody za moim okrętem. Nie chce pływać. Wywraca się.

Ojciec wziął w ręce model. Obejrzał dokładnie. W jego oczach było widać dumę i radość.

– Zrobić taki piękny model statku to wielka sztuka. Jesteś perfekcyjnym konstruktorem. Dbasz o szczegóły i dopracowujesz detale.

– Ale nie pływa! – Zośka była zła i rozdrażniona. – Co mi wtedy po detalach.

– Po pierwsze są modele użytkowe i modele ozdobne. Te użytkowe nie zawsze wyglądają jak duże oryginały. Często spełniają tylko funkcję oryginału. Na przykład latają albo pływają. Modele redukcyjne muszą przypominać pierwowzór, ale nie koniecznie muszą działać tak, jak oryginał. Służą do ozdoby i do wizualizacji czegoś, co nie zmieściłoby się w pomieszczeniu. Na przykład globus w szkole. To model Ziemi, ale nie będziesz tam pasła krów czy zbierała grzybów w lesie. To model redukcyjny.

– Hm! Pfy!

– No dobrze. Twój statek nie tonie tylko się przewraca. Tak?

– Tak.

– To dodamy mu balast pod kadłubem i będzie płynął aż do morza, albo do szczęśliwego znalazcy, który go wyłowi z rzeki wcześniej.

Z puszki po konserwie Telesfor zrobił uchwyt na gruby, stalowy pręt. Gwoździkami umocował ten balast na dnie modelu.

– Idziemy nad rzekę!

Zośka kończyła właśnie obrządek. Umyła ręce w misce i wzięła swój okręt.

– Co to za dziwne coś?

– To balast. Mają go wszystkie statki, no może oprócz płaskodennych barek rzecznych. Nie zrobiłaś go, bo na rysunkach go nie widać. Jest pod wodą, ale to bardzo ważny element konstrukcyjny, jak się przekonałaś. Bez niego statek po prostu się przewraca.

Poszli nad rzekę i Zośka puściła statek z przyczółku mostu. Najpierw wpadł w zawirowania wody, potem fala mała go nie zalała, ale popłynął dzielnie dalej i wszedł w nurt.

– Jak to jest, że znasz się na wszystkim. Jak by ciebie zapytać o prąd elektryczny czy coś innego, to też wszystko wiesz?

– Wszystko wie nasz stwórca. Inżynier Świata i Kosmosu. Na szczęście prawa rządzące Światem i Kosmosem są takie same, gdybyś tylko trochę pomyślała i spróbowała rozwiązać ten problem statku, to pewnie byś go rozwiązała.

– Masz o mnie wysokie mniemanie – mruknęła pod nosem i z nerwów zaczęła tarmosić swój kosmyk włosów.

– Tak. Mam i wiem, że posiadasz wiedzę, aby taki problem rozwiązać. Pomyśl. To tak jak z ćwiczeniami na linie. Jeśli wisisz na rękach, wcale nie musisz dbać o równowagę, ale spróbuj iść po linie! Tylko wprawni ludzie, ćwiczący na co dzień, mogą chodzić po linie...

– Dobrze, ale bez twojej podpowiedzi nie skojarzyłabym tych faktów – przerwała zniecierpliwiona Zosia.

– Skojarzyłabyś, tylko musiałabyś postawić swój problem w pytaniach. To taka sztuczka umysłowa. Ty stwierdziłaś fakt. Statek się przewraca. Trzeba ten fakt zamienić na pytanie. Dlaczego statek się przewraca? Bo ma za ciężkie żagle. Bo ma za wysokie maszty. Bo ma za mały kadłub... aż w końcu twoje pytania same wytworzą problem główny. Bo ma za wysoko środek ciężkości.

– A inżynier jak już zna problem, to i znajdzie rozwiązanie!

– A mówiłaś, że mam o tobie zbyt wysokie mniemanie?

Składowe strzału i dwie tajemnice trafienia

– *Cały czas szarpiesz za spust. – Z ojcowską cierpliwością tłumaczył Telesfor. – Nie trafiasz celu, który widzisz, tylko cel, który będzie za chwilę.*

– *Mówisz dziwnie niezrozumiale. O co ci chodzi? Strzelam do celu, który widzę, nie może być inaczej. – Zosia jak zwykle parła na efekty, ale postępy w strzelaniu jakby zamarały.*

– *To powiedz, dlaczego widzisz?*

– *Bo mam oczy – prychnęła.*

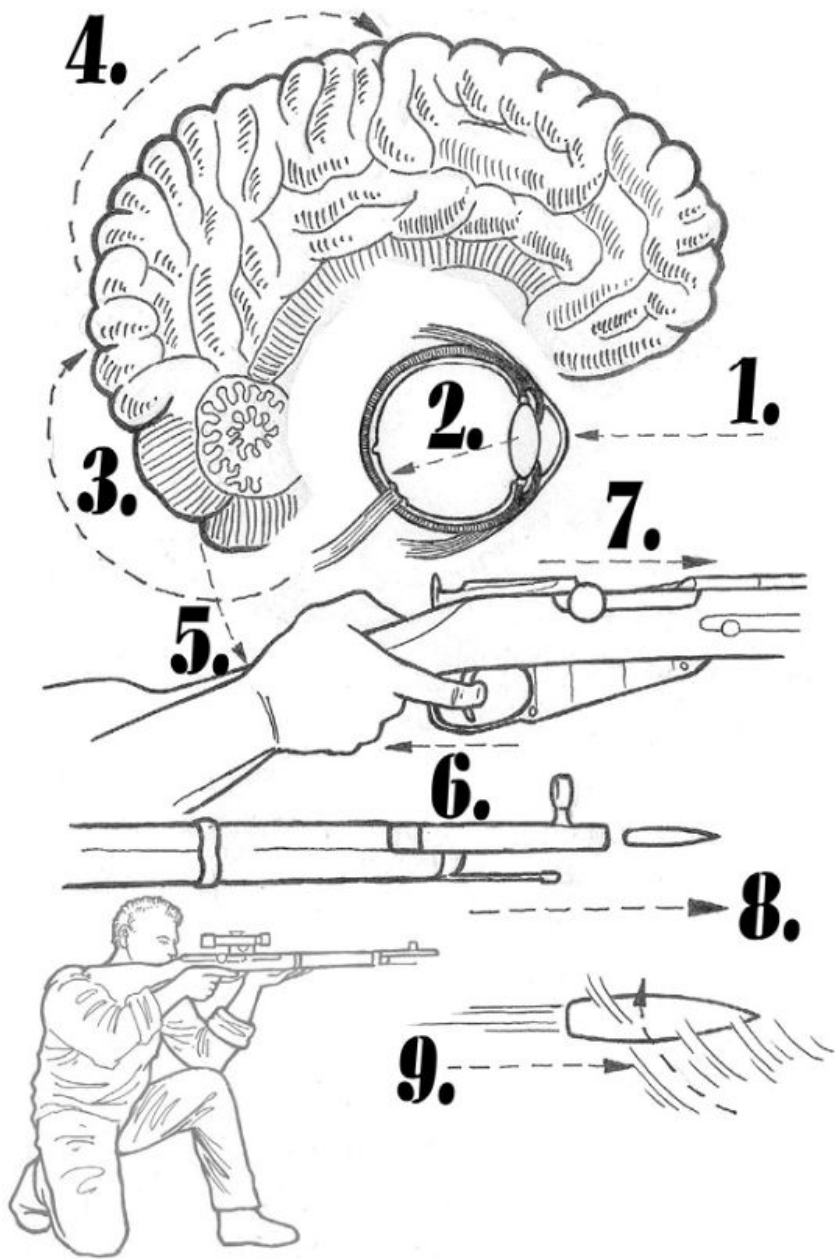
– *Ale dlaczego oczy widzą?*

Dmuchnęła w kosmyk włosów, bo wiedziała, że ojciec zaraz odpowie.

– *To światło odbija się od widzianego przedmiotu i leci do oka. Tam jest soczewka, taka jak w lupie. Światło przez tę soczewkę wpada do dna oka. To pierwszy czas, który ucieka od obserwowanego przedmiotu. Zapamiętasz?*

– *Tak. Pierwszy czas to ten, kiedy światło leci do oka, ale światło biegnie bardzo szybko!*

– *Masz rację, ale to tylko pierwszy czas. Następny to ten, kiedy komórki na dnie oka zamieniają światło na prąd elektryczny. To zapewne także trochę trwa. Do tego prąd leci do komórek mózgowych i tam zamienia się na obraz. Na ten obraz mózg musi wywołać reakcję. To następny czas. Reakcja w postaci prądu elektrycznego leci do mięśnia. W naszym przypadku do mięśnia palca, który ściąga cyngiel. – Ojciec wyliczał na palcach. – To już pięć czasów. Jeśli twoje oko celowało do celu, który bardzo szybko biegnie, ten czas dał celowi możliwość ucieczki z linii celowania, a to dopiero początek zabawy z czasem.*



- Cooo? - Mocno zdziwiła się dziewczyna. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak wiele różnych rzeczy składa się na widzenie i reakcję na zauważony obraz.

– Taaak. Teraz palec. Nie ruszał się. Teraz zaczął. Potrzebował na to czasu. Teraz ciągnie spust znowu w jakimś czasie. Spust zwalnia iglicę, ale ta jeszcze stoi. Rozpędzą się. Czas ucieka. Iglica pokonuje drogę do spłonki. Upłynęło znowu trochę czasu. Dodajesz?

– Chyba się pogubiłam. Sześć czasów naliczyliśmy, jak palec zaczął się ruszać.

– Tak. Teraz cztery jak iglica doszła do spłonki naboju, to już dziesięć małych odcinków czasu. Gdzie jest nasz biegnący cel, w który celowałaś na początku? Dodajemy dalej. Spłonka odkształca się, jedenaście. Wybucho, dwanaście. Zapala proch, trzynaście. Proch spręża gazy do ciśnienia wypychania pocisku to czternaście. Pocisk startuje do biegu, piętnaście.

– Niesamowite! – zakrzyknęła dziewczyna, widząc ogrom zdarzeń poprzedzających wystrzał. – Masz rację. Pocisk jeszcze nie opuścił lufy, a mój cel jest daleko od miejsca, w które celowałam.

– To były zdarzenia szybkie. Reakcji mózgu nie da się zmierzyć stoperem w sekundach. Trzeba specjalnej aparatury. Słyszałam o kilkudziesięciu aparatach fotograficznych podłączonych do sterowania elektrycznego. Tylko na kliszach można zobaczyć te szybkie składowe. Pocisk w lufie w porównaniu do reakcji nerwów wlecze się jak ślimak.

– Nigdy sobie tego nie uświadamiałam. – Zdumiona i zachwycona dziewczyna kręciła głową.

– To kończymy. Pocisk leci przez lufę, nabiera rozpędu jeszcze kilkadziesiąt metrów za lufą. Potem zaczyna zwalniać. Leci coraz wolniej, a siła ciężkości przyciąga go coraz bliżej Ziemi. Teraz poza lufą pociskiem kieruje też wiatr. Pocisk zwalnia, a wiatr go znosi. Podczas strzelania na duże odległości na różnicę toru lotu i linii celowania ma też wpływ kręcąca się Ziemia. Ona ucieka spod lecącego pocisku.

– To jak mam trafić w cel!? – krzyknęła przerażona. – To już wiem, dlaczego ciągle pułduję! Ziemia zabiera mój cel przed pociskiem? – Zadała sobie to pytanie i natychmiast zwałpiła. – Naprawdę?

– No i tak, i nie. Wszystkie te jednostki czasu są równe. Wszystkie oprócz czasu ściągania spustu przez palec. To ty decydujesz, jaki jest ten czas.

– No a ja szybko ciągnę – przerwała, prawie płacząc.

– Szybko, znaczy szarpiesz. Zaburzasz tym samym linię celowania i do tego całego chaosu dodajesz jeszcze następną zmienną, jaką jest drgająca broń. Powstaje prawdziwy superchaos! Co ty na to?

– Ja myślałam, że strzelam tam, gdzie widzę. Pociągam cyngiel i bang! Cel trafiony. Dobrze, że mi powiedziałaś, teraz to będę się bała pociągnąć spust.

– Nie bój się. To nie jest takie straszne, trzeba tylko mieć wiarę w swoje możliwości. Są strzelcy, którzy z przygotowanej broni i amunicji potrafią strzelać na większe odległości niż tysiąc metrów. Dbają tak naprawdę o dwie rzeczy. O ostre widzenie przyrządów i równe ściąganie cyngla. Był taki w naszej jednostce, który na tysiąc metrów trafił dwadzieścia sześć razy w sylwetkę.

– Nie mów, że to ty? – Zaczepnie zagadnęła córka.

– Nie. Mój nauczyciel. Marek. W tym czasie miał ponad sześćdziesiąt lat!

– No tak. Podparł karabin ze wszystkich stron workami z piaskiem i wtedy mógł strzelać.

– Nie. Właśnie, że nie! Wszystkich zadziwiał swoim strzelaniem. Robił to, stojąc, a karabin bez pasa leżał na jego ramieniu. Jego fenomen tkwił w spokojnym i równym ściąganiu spustu.



Karabin często się psuł. Strzelał dużo i to w różnych warunkach, a córka parła na wyniki. Telesfor niejednokrotnie sam musiał naprawiać niektóre elementy. Pewnego dnia nie wytrzymał. Zamówił fińskiego mosina. Jego znajomości w świecie strzelców umożliwiły wybranie idealnie spasowanego egzemplarza. Zamówił także wiele części zapasowych, które bez dorabiania i dodatkowego pasowania będą wymienne.

Długo oczekiwana paczka w końcu przyszła. W drewnianej, eleganckiej skrzyneczce wyłożonej filcem leżał pachnący smarem nowy „Fin”. Telesfor z szacunkiem i czcią wyciągnął karabin z pudła. Był lżejszy i krótszy od jego mosina. Zamek pracował z zegarmistrzowską precyzją. Płynnie, cicho i bez luzów.

– Pokaż bratku, jaki masz spuścik.

Włożył wystrzelony nabój, w którym wcześniej zamiast sponki umieścił krążek z wołowej skóry. Wstrzymał oddech i pociągnął za spust.

– Klik.

Nadal nie oddychał. Praca silnego, około kilogramowego spustu była idealna. Pierwszy opór trochę przydługi, ale to karabin fiński. Tam nieraz trzeba strzelać w rękawicy, może dlatego pierwszy opór zostawia większe pole do manewru. Drugi fragment był jak marzenie. Po pokonaniu oporu nie było żadnej dziury, żadnego skoku. Cały czas ten sam opór aż do krańca szczeliny, z której wystawał język cyngla.

Nagle przez otwarte drzwi jak wiatr wleciała córka.

– Co tam masz? Ooo... O kurczę! Czyje to? – Szeroko otwarte oczy skierowane tylko na ten przedmiot dały odpowiedź ojcu, że dokonał dobrego zakupu.

– Wójt kupił sobie taką zabawkę. Poprosił mnie, abym rozkonserwował i przestrzelał. Szykuje się na wojnę albo chce zacząć polować – odparł z poważną miną, bez cienia łgarstwa.

– Nooo. Ładny. Dasz postrzelać?

– Nie wiem. Wójt dał go mnie. Nie mówił, że ma strzelać z niego jeszcze inna osoba, a on jest właścicielem... – Nie dokończył. Zośka wybiegła z domu.

– Wróć! Wróć wariatko!

Czarnowłosa stanęła, po czym się odwróciła.

– Lecę pożyczyć rower i jadę do wójta, czy pozwoli postrzelać – wykrzyknęła jednym tchem.

– Stój spokojnie! Ten karabin jest twój. Ja tylko żartowałem, że to wójta.

Dziewczyna stała przez krótką chwilę. Poczzerwieniała na twarzy, a uszy stały się wręcz buraczkowe.

– Nooo! To mnie teraz popamiętasz.

Z groźną miną puściła się w jego kierunku. Dopadła go w kilku skokach i przewróciła na ziemię. Siadła na nim okrakiem i zaczęła okładać pięściami. Nie za mocno. Z dziecięcą miłością.

– Teraz za karę dokupisz do niego lunetę! – krzyczała przez łzy radości.

– Lunetę też zamówiłem, ale zamówienia z Niemiec strasznie się spóźniają. Chyba mają jakieś problemy techniczne – zażartował.

Dopasowanie broni

– Z tego karabinu już wiele nie wyciśniemy – martwił się cieśla i wzdychał.

– Co chcesz od niego? Nikt tak nie strzela jak my. – Dziwiła się jego córka.

– Karabin to nie tylko lufa i naboje. To także ergonomiczna kolba i stopka, która inaczej się układa do pozycji leżącej, a inaczej do stojącej. Teraz ten uniwersalny skład jest dla ciebie dobry, bo się przyzwyczaiłaś, ale ja widzę, jak niektóre mięśnie ciągną podczas złożenia. Poza tym jesteś trochę mniejsza niż przeciętny mężczyzna, dlatego ta kolba jest dla ciebie po prostu za duża.

– To co można na to poradzić? – Zaciekawiona dziewczyna ciągnęła swój niesforny kosmyk włosów.

– Już dawno suszę orzechowe drewno na kolbę, ale nie wiem, czy dam radę je tak precyzyjnie obrobić, aby stanowiło jakieś ulepszenie.

– Ty nie zrobisz? To tak jakbym słyszała, że ptak nie poleci albo ryba nie popłynie! Chyba żartujesz. Wiem, że zrobisz to idealnie, tylko musisz w siebie uwierzyć i zabrać się do roboty!

– Znowu zrzędzisz? – Zaśmiał się Telesfor. Pokręcił głową i z ochotą zabrał się do pracy.

Kolba jednak nie wyszła za pierwszym razem. Już prawie od początku zobaczył swoje błędy, ale zrobił ją do końca, aby przećwiczyć wszystkie inne ważne niuanse. Nie wyszła także druga, pomimo że była o niebo lepsza od pierwszej.

– Ale się zawzięłaś! – Z zawadiackim uśmiechem powiedziała Zośka do dębującego przy kaganku małym dławem ojca.

– Nie denerwuj mnie. Wyjdz i po cichu zamknij drzwi! – rozkazał stanowczo.

– I ty myślisz, że posłucham? Ja? Znasz mnie od wczoraj? Muszę zobaczyć, co znowu psujesz, bo potem będziesz chodził dwa dni nabzdyczony, jak ci nie wyjdzie. – Zośka już przebrana w koszulę do spania przysiadła się do ojca.

Jego żyłaste i silne ręce urabiały drewno jak plastelinę, jak watę. Nie wiadomo skąd nagle wyłaniał się kształt lub wgłębienie.

– Przymierz – zarządził w końcu po długim czasie, kiedy na ziemi leżała już spora kupka wiórów i trocin.

Przymierzyla. Ona także poczuła, o co chodziło ojcu z niedopasowaniem standardowej kolby. Ta była po prostu złączona z jej szkieletem. Była wpasowana we wszystkie jej dołki między stawami. Była przedłużeniem jej kości. Wcześniej spust ściągała czubkiem palca.

Teraz w nowej kolbie chwyt przybliżył się do spustu i mogła w końcu jak prawdziwy strzelec przyłożyć do niego całą opuszkę. Zamiast metalowej stopki kolba zyskała rozkładaną ostrogę, która w pozycji stojącej podnosiła kolbę do góry. Po złożeniu ostrogi kolbę można było opuścić do pozycji leżącej.

– To dzieło sztuki! – oceniła zauroczona. – Chociaż nie wygląda za ładnie. – Uśmiechnęła się do niego.

– Muszę jeszcze podstrugać wgłębienie na kciuk. – Zauważył skoncentrowany na problemach rzeźbiarz.

– Zostaw! Sam mówiłeś, że kolba jest wtedy dobra, gdy zawiera jeden błąd.

– Tak. Mówiłem. Ten błąd nie pozwala zapomnieć o prawidłowym składzie! A teraz do łóżka! Dobranoc. – Wstał i chciał zgasić kaganek.

– Chyba dobry dzień... – Uśmiechnęła się ponownie.

Za oknem leniwie wstawał świt.



– Bardzo, bardzo śmieszne. – Prychnęła, gdy ojciec uśmiechał się pod wąsem. Uderzony obuchem siekiereki palec bolał jak cholera, ale nie dała ojcu satysfakcji i nie pokazywała oznak cierpienia. – Wiem, co zaraz powiesz: „A nie mówiłem! Weź drewniany młotek, po to jest” – zakończyła zdanie, naśladując gruby głos ojca.

Telesfor się nie odezwał, ale uśmiechu nie mógł zamaskować. Wąs był za mały. Wymieniali właśnie podpory poręczy na moście, kiedy od strony wsi dobiegło głośne wołanie.

– Panie Telesfoze! Panie Telesfoze!

Ze wzniesienia pradoliny rzeki biegł brudny i bosy podrostek. Minę miał wystraszoną, a oddech mocno przyspieszony.

– Co się stało? – zapytał cieśla, odkładając narzędzia do torby. Miał przecucie, że już dzisiaj nie będą potrzebne.

– Wojna! – wykrzyczał chłopak, nadając swojemu głosowi na siłę powagi, ponieważ patrzył, jak Zośka ssie swój spuchnięty i krwawiący palec. – Sołtys prosi, żeby psysedł pan na spotkanie.

– Gdzie to spotkanie?

– Nie wiem, chyba na placu psed cerkwią. Tam jus są wszystkie ludzie.

– Dobrze. Zaraz przyjdziemy. Teraz biegnij i odz szukaj sołtysa. Zapytaj, gdzie ma być zebranie i przyleć do mojej chaty, aby mi powiedzieć. Nie będę chodził od domu do domu i go szukał.

– Dobse. Jus biegnę. – Odwrócił się i pobiegł aż spod jego bosych nówek wylatywał luźny piach.

– Zosiu! Zabierz konia i krowę z pastwiska. Konia wyczyść i osiodłaj. Ja biegnę do domu się umyć i przebrać.

– Co teraz będzie? To prawdziwa wojna?

– Wojna zawsze jest prawdziwa. Nawet lokalne zamieszki niosą śmierć i zniszczenia. Musimy włączyć radio. Tam pewnie podadzą szczegóły. Wtedy będziemy wiedzieć, co dalej robić.

W chacie słucał radia i ogolił się brzytwą. Nie zdążył jej naostrzyć, więc golenie wypadło po mistrzowsku. Włożył mundur i przypasał szablę. Przejechał oficerki szczoteczka do butów dla połytku i wskoczył na konia, którego właśnie podprowadziła córka.

– Spakuj produkty spożywcze do metalowych puszek. Załaduj na wóz do jakiejś drewnianej skrzynki. Wieczorem zakopimy to gdzieś w lesie na czarną godzinę. Wiem, że masz dużo pytań i obaw, ale naszego kraju nikt nie podbije w dwa dni. Zdążymy się przyszykować. Poza tym już nie raz pogoniliśmy wrogów z Ojczyzny.

– Ja martwię się o Ciebie.

– Na razie jadę na wiec. Bądź więc spokojna. – Uśmiechnął się serdecznie. – Bądź spokojna, bo jak ty nie będziesz, to kto?

Telesfor mógł pójść na zebranie pieszo. Jednak wiedział, że jego mundur, koń i szabla wzbudzą zaufanie i pewność siebie wśród mieszkańców, a to podczas wojny duży atut. Na placu przed cerkwią zgromadzili się chyba wszyscy mieszkańcy Grabowa. Hałas i ggieł był nie do przekrzyknięcia przez sołtysa, który stał na dużej beczce i bezskutecznie machał rękami dla uspokojenia oraz zwrócenia uwagi. Telesfor ze zgrzytem wyciągnął szablę z pochwy i płazem klepnął konia po zadzie. Bułanka ruszyła w tłum, stukocząc złowrogo podkowiemi o bruk. Tłum się rozstał zafalował i zamilkł.

– To nie jest czas na gadanie! – Zakrzyknął tubalnie. Tłum zamilkł do końca, aż ciszę można było dotknąć. – To jest czas na wspólne działanie! Wojna zawsze krzywdzi najbiedniejszych. Czyli nas! Sami musimy się zorganizować! Sami pomagać, a w razie czego bronić! Wielu z nas pamięta wojnę. Tych osób trzeba słuchać przede wszystkim. Przeżyli tamten tragiczny czas, więc są ekspertami, bo przetrwali. Wybrany przez nas samych sołtys jest od dzisiaj także głównodowodzącym. – Przerwał na chwilę dla lepszego wrażenia. – Jeśli więc mówi, to reszta słucha! – Majestatycznie schował szablę, a tłum rzeczywiście słuchał.

Sołtys przekazał wiadomości z radia, które jako urzędnik posiadał w domu dla użyteczności publicznej. Wyznaczył także dziesięciu pomocników do utrzymywania gotowości bojowej wsi. Telesfor razem z wybranymi przez sołtysa uzgadniał różne warianty ochrony mieszkańców i ich mienia. Tłumaczył zasady rozśrodkowania i priorytety ekwipunku. Wrócił do domu późno, ale wiedział, że córka nie będzie spała. Siedziała przy zapalonym łuczyciu i czytała książkę.

– Wóz zapakowany? – zapytał ojciec, zdejmując mundur. W zasadzie nie musiał pytać.

– Tak, zapakowany – oznajmiła, nie podnosząc głowy od książki.

– Bierzymy szpadle i jedziemy do lasu. Tam zakopimy nasze zapasy.

– Szpadle też są na wozie – odparła beznamytnie Zośka, nie odrywając wzroku od książki. – Długo cię nie było. Martwiłam się.

– Wiesz, że mam do ciebie zaufanie. Wiedziałem, że wszystko przygotujesz. Miałem długie spotkanie z sołtysiem i mieszkańcami. Wybacz, proszę.

Pojechali leśnymi duktami i na wzgórku obok polany zakopali produkty żywnościowe na czarną godzinę. Ziemianka dawała też możliwość ukrycia się i ewentualnego przeczekania jakiejś wojennej zawieruchy. Wrócili do domu nad ranem i bez przebierania padli na łóżko. Ojcu śnił się pociąg, który dudnił, buchał parą i jechał prosto na niego. Nadciągała wojenna zawierucha, która zabierała spokojne sny. Wstał po cichu i podszedł do łóżka swojego dziecka. Przytulił gorąco do serca Zosię i z jego oka jak nigdy pociekła łza.



Rankiem przyjechał kurier z rozkazami ze sztabu. Telesfor jako oficer rezerwy miał zorganizować obronę miejscową, w szczególności mostu, który miał znaczenie strategiczne. Do obrony tego jakże ważnego obiektu dowództwo przysłało cztery paczki naboju i dwa granaty z zapalnikami, a także list pochwalny w eleganckiej kopercie.

– Widzisz, jak o ciebie dbają! – prychnęła Zośka, odkładając list. – Pamiętają o twoich pięćdziesiątych urodzinach, które miałeś dwa lata temu.

– To gest rozpaczy. Przecież wiesz. Przez ostatni tydzień armia niemiecka przetoczyła się przez połowę naszego kraju. Dzielnie walczy Westerplatte, ale reszta jest rozjeżdżana gąsienicami czołgów. Mają dobrą pogodę, nie jest za gorąco ani za zimno. Może na linii Wisły się zatrzymają, ale to i tak będzie klęska.

– Jesteś pesymistą! Nasze wojsko to potęga.

– Potęgi nikt nie rozjeżdża w kilka dni. Niemcy to potęga. Nowoczesna, zmechanizowana armia, która jak stalowy golem gniecie przed sobą wszystko, co napotka. Boję się, że to nie to samo, co wojna z pijanymi komunistami. Bolszewików pogoniliśmy i na tym opiera propagandę nasz rząd. Zobacz, zresztą, jakie uzbrojenie mi przysłali. Dwa granaty? Chyba dla rozrywki.

– Moim i twoim karabinkiem nic nie wskóramy?

Telesfor przytulił mocno córkę do piersi. Była mała, krucha i bardzo dzielna. Ojcowska duma rozpierała jego pierś. Sam kiedyś taki był. Gotów do walki na bagnety za Polskę, za język ojczysty, za rodzinę.

– Nie, moja wojowniczo. Na tak otwartym terenie nasze karabinki to zapraszanie śmierci na bal. Jeśli Niemcy planują zdobycie tego mostu, to najpierw przyślą tu zwiadowców. Potem zależnie od potrzeby. Dwa oddziały, trzy? Już jeden karabin maszynowy wystarczy, aby nasza broń przestała strzelać. Potem rusza piechota i po sprawie. Nikt ich widłami nie powstrzyma.

Telesfor miał rację. Miał wojenną wiedzę, popartą doświadczeniami ostatniej nocy.

– A jeśli usypimy wał wokół wioski i wykopimy wilcze doły? – perswadowała jeszcze niewygasłymi emocjami.

– To przyjadą tankietkę, strzelą parę razy z działka w chałupy, stodoły. Ludzie nienawykli do huku armat będą uciekać, gubić po drodze łapcie. To nie czasy trzech

muszkietierów. Teraz wojna to machina śmierci.

– No, ale coś musimy zrobić! – Prawie ze łzami w oczach zakrzyknęła Zośka.

– Postaw się na miejscu Niemców. Chcesz mieć ten most. Masz do jego przejścia nieograniczone środki. Na drodze do mostu może leżeć gałąź, stać mrowisko albo jakieś drewniane chaty. Obojętnie. Przyjadą, zabezpieczą przyczółki, a wieś spacyfikują albo spalą. Zależnie od stawianego oporu. Pokonują oddziały zbrojne, baterie armat i umocnienia wojskowe. Grabów to dla nich kupa drewna do podpalenia. Tak ich uczyli w szkołach wojskowych. Wioska to punkt zaopatrzenia w żywność. Czerpie się z niego trzydzieści procent podczas okupacji i sto procent podczas odwrotu. Zostawią chałupy lub nie, w zależności od ilości czasu na wycofanie, a nie widzimi się dowódcy. – Przerwał dla przemyślenia zdania. – Co zrobimy? Chowamy twój karabin w ziemiance i jedną blaszankę naboju. Granaty dam sołtysowi. Konia i krowę na wypas wyprowadzasz w las na polany. Ja pracuję przy moście. W każde południe idziemy na obchód terenu.

Telesfor jednak nie mówił wszystkiego. Patrolował teren także w nocy. Na dwie, trzy godziny wychodził daleko poza wioskę i tam przez lornetkę wypatrywał zwiadowców. Nie czekał na nich długo.

Po ponad dwóch tygodniach, odkąd do Grabowa dotarła pierwsza informacja o wojnie z Niemcami, okazało się, że w granice Rzeczypospolitej wtargnęły oddziały sowieckie. Telesfor doskonale wiedział, czym skończy się to dla ojczyzny – wojny na dwa fronty bez pomocy sojuszników wygrać nie można. Przez kolejne dni z jeszcze większą uwagą wypatrywał obcych wojsk w okolicy.

Gdy patrolował brzeg rzeki, zobaczył dwa hełmy zamaskowane liśćmi paproci. Nie miał dogodnej pozycji, więc ich przepuścił. Obserwował, jak zwiadowcy obeszlili przyczółek mostu i drogę do wsi. Jeden z nich rysował coś albo pisał przy świetle elektrycznej latarki. Stary cieśla wycofał się daleko od wsi. Położył się we wgłębieniu pagórka nad rzeką. Przeladował kilka razy na sucho broń i poprawił wszystkie niedogodności swojej pozycji. Czekał spokojnie. Brzegiem rzeki gęsiego wracali zwiadowcy. Widział ich sylwetki na tle połyskującej w świetle księżyca wody. Każdy dostał czysty postrzał w korpus, a że szli do niego bokiem, każdy strzał był śmiertelny.

Przeszukał ich, ale nie zabierał nic z ich oporządzenia. Byli to zwiadowcy z Armii Czerwonej. Mieli ze sobą mapę, a na niej zaznaczony most i wioskę. Posiadali też szkic terenu wykonany prawdopodobnie przez jednego z nich i notatki drobnym starannym pismem. Przeczytał je w świetle ich latarki. Mówiły o stanie drogi, mostu i charakterze rzeki.

– O wiosce nawet nie wspomnieli, czyli w ich planach jest tylko most. To nasza karta atutowa.

Spojrzał jeszcze raz na plany. Na mapie zwiadowcy nie było żadnych lokacji wojsk tylko zaznaczone miejsca zwiadu. Telesfor wypatrywał jednak kropkę postawioną ołówkiem. Maleńką i delikatną, jednak mogła sugerować miejsce stacjonowania sztabu lub macierzystej jednostki tego żołnierza. Kropka znajdowała się niecałe sto kilometrów od Grabowa. Cieśla westchnął i schował mapę pod mundur zwiadowcy.

Westchnął drugi raz, spoglądając na wyposażenie czerwoarmistów. Zrobiło mu się po prostu ich żal.

Nasypał piasku do kieszeni ich mundurów. Rozebrał się i wciągnął ich ciała razem z całym oporządzeniem na środek rzeki. Ciepła woda natychmiast skryła ich ciała. Telesfor wrzucił w wodę jeszcze piasek przesiąknięty krwią. Ubrał się i z ciężkim kamieniem na sercu wrócił do domu. O swojej przygodzie nie mówił nikomu. Nie chciał nikogo straszyć, że Sowietci są tak blisko...

Zachwycający sport

– Strzelectwo to sport. To nie wojna ani morderstwa. Nie musimy dzisiaj polować. Dzisiaj każdy może naprodukować jedzenia, ile chce. Łatwo przedstawić karabin albo pistolet jako symbol zabijania. Gorzej w rzeczywistości użyć pistoletu w tym celu. Niewprawna ręka nic tutaj nie zdziała. Widziałem nieraz zdenerwowanego strzelca, który nie trafił w tarczę. Więc pistolet jako symbol może występować w kryminałach i straszyć ludzi niezających się na strzelaniu.

– Ale wojsko i policja nie posiadają innych narzędzi tylko karabiny i pistolety.

– Na pewno? W wojsku słyszałem anegdotę, że torpeda trafiła statek i zatonięło kilkuset ludzi. To dopiero narzędzie zbrodni. Bomba lotnicza może spaść na budynek i też zginie mnóstwo osób. Podczas wojny na jednego zabitego przypada około tysięcy wystrzelonych nabo!

– No tak, karabin maszynowy wypruje kilka setek, zanim kogoś ustrzeli.

– A co powiesz o automobilizmie? Podobno każde auto to potencjalna śmiertelna broń. W dużych miastach nie ma tygodnia, żeby nie zginął ktoś pod kołami automobilu.

– Tak jak nóż kuchenny.

– Dobrze myślisz. Wszystko może być zabójcze, jeśli zostanie wykorzystane z rozmysłem przeciwko drugiemu człowiekowi.

– To czemu strzelanie uważasz za odwrotność niesienia śmierci?

– Bo trzeba w rozmyślaniach wrócić do początków, kiedy wymyślono miotacz oszczepów i łuk. Były to ciężkie czasy, kiedy ludzie marli z głodu. O pożywienie musieli rywalizować z całym światem zwierzęcym. Kiedy zaczęli wygrywać walkę? Kiedy zaczęli używać perfekcyjnie łuku.

– No nic nowego. Ogień też dawał im znaczną przewagę.

– Ogień jako reakcja chemiczna nie ma nic wspólnego z kształtowaniem osobowości. Strzelający z łuku musiał wykształcić odpowiednio mięśnie, oko i synchronizację ruchów. Musiał nauczyć się zwalniać we właściwy sposób cięciwę. Musiał zacząć w szczególnie sposób posługiwać wzrokiem, aby po wyobrażonej trajektorii lotu strzały namierzyć cel. Ty to już poznałaś z karabinem, ale nie było łatwo.

– Oj, nie było. Przez pół roku nie wiedziałam, o czym do mnie mówisz. Dopiero wtedy dotarło, jak sama sobie to narysowałam.

– Właśnie, a taki prehistoryczny człowiek musiał to wszystko odkryć i potem nauczyć się przekazywać wiedzę. To prawdziwa sztuka, która nazywa się strzelectwo.

– Ale strzelectwo, nawet jako nauka, służyło potem do zabijania zwierząt i do prowadzenia wojen.

– Nie zaprzeczam, jednak wszystko, co człowiek stworzył, służy wojnie. Silniki w samolotach, okrętach wojennych, eszelonach, czołgach. – Przełknął ślinę. – Chemia. Tego nawet nie muszę ci tłumaczyć, jak chemicy przyczynili się do zabijania podczas wojny. Hitler prowadzi także próby z bakteriami, czyli wojnę biologiczną, a biologia to także przedmiot nauczany w szkole, niby „przyroda”. A jak może zaszkodzić na wojnie. Wszystkie substancje wybuchowe stworzyli chemicy z myślą o udogodnieniach dla ludzkości, a potem wojskowi przekształcają to na śmiertcioną broń. Guderian swoje ataki koordynuje przez radio, a te Marconi wymyślił do komunikacji, ale na pewno nie miał w zamyśle komunikacji wojennej. Nie ma dziedziny życia, której skrzywione umysły nie wykorzystają przeciwko ludzkości.

– No dobrze, to czym dla ciebie jest strzelectwo?

– Piękne pytanie. – Podrapał się po głowie. – Kształtowaniem charakteru. Przede wszystkim z karabinem w ręku się wyciszam, uspokajam, zapominam o troskach i problemach. Zaczynam patrzeć w głąb siebie. Zmysły mi się wyostrajają. Kilkumilimetrowa droga spustu w mojej głowie wydłuża się do paru metrów. Jest to szeroka ulica, którą idę sam, pchając przed sobą ciężar oporu spustu. Czasami wyobrażam sobie ją jako rzekę i płynący po niej palec, który równo zwalnia cyngiel. Jestem w innym świecie. Oddalony o miliony lat, zbudowany z innej materii i zawieszony w czasie, który jest jak chwila, kiedy nie mogę się skoncentrować i jest jak wieczność, kiedy pada przepiękny strzał.

– Ludzie mówią, że Cyganie sprzedają jakieś suszone grzyby po zjedzeniu, których ma się wizje. Nigdy nie słyszałam, że karabin też może je powodować.

– Ja nie potrzebuję grzybków, ponieważ wystarczy mi karabin nawet bez naboji.– Telesfor się uśmiechnął.

– Bez naboji?

– Tak. Jeśli wyraźnie widzę przyrzędy. Jestem spokojny. Równo ściągam spust, to nie potrzebuję wystrzału, żeby wiedzieć, że trafiłem.

– Jesteś jedynym takim wariatem, jakiego znam.

– Przyznam ci się, że też tak o tym myślę, ale dobrze mi z tym. Jestem radosnym, spełnionym człowiekiem.



Na Polskę napadło drugie państwo. Sowieci zadali polskiej obronie cios w plecy. Nieprzygotowana do wojny na dwa fronty polska armia uległa agresorom po miesiącu walk.

Radio podawało komunikat o kapitulacji. Przez most w Grabowie ludzie jeździli w jedną i drugą stronę bez opamiętania. Bez planu i w panice. Wiadomości podawane z ust do ust często przeczyły sobie, chociaż informatorzy jechali na jednym wozie z jednej wioski!

Telesfor wiedział, że tak będzie. Znał ludzką panikę i wyobraźnię bab, które nigdy nie widziały działań wojennych.

– Jedno jest pewne. Polska przegrała. Mamy z powrotem buty zaborców na grzbiecie, a twarz w błocie.

– Ale słyszysz, że walki trwają. Ci ludzie, co dzisiaj jechali ze wschodu, mówili o strzałach i o polskich żołnierzach na koniach.

– Zosiu – odpowiedział zmartwionym głosem Telesfor – to niedobitki. Podjazdy partyzanckie. Armii może przeciwstawić się tylko armia. Nawet cały oddział ułanów nic nie znaczy wobec jednego samolotu. A tych widzimy dziennie setkę albo i więcej. Jeśli wszędzie stacjonują już wojska nieprzyjaciela, to nie mamy już lotnisk, baz wojskowych, stacji paliwowych, gdzie mogłyby tankować czołgi. Nie mamy już przemysłu zbrojeniowego, który produkowałby dla nas naboje i broń. To wszystko jest teraz w rękach wroga, jemu służy na naszą zgubę.

– To co teraz będzie? – Zapytała z trwogą. – Co mamy robić?

– Trzeba sprytnie wkomponować się w sytuację geopolityczną. Polskę nosić w sercu i jak tylko można utrudniać okupantowi życie. Na twarzy nosić uśmiech. Mówić to, co chcą usłyszeć, a robić po cichu swoje.

Telesfor, jak mógł, pocieszał Zosię. Wypytywał jednak ludzi przemieszczających się przez most i z ich opowieści wywnioskował jedno: muszą uciekać. Sowieci nie darują mu jego dezercji przed dwudziestoma laty. Nie popuszczają tego, że od początku walczył z komunistami.

Wozacy opowiadali straszne historie o tym, co komuniści robili z Polakami. Ci ludzie niejedno widzieli, a jednak teraz byli naprawdę przerażeni. Do Grabowa zbliżała się nieubłagana pożoga, która ogarnęła już tereny Rzeczypospolitej znajdujące się dalej na wschód. Telesfor doskonale rozumiał, że w takiej sytuacji nie można było ufać nikomu. Wiedział, że aby ocalić siebie i córkę muszą uciekać.

Przygotował na to swoją Zosię. Najpierw opowiedział jej o tym, co przeżył na początku rewolucji. Nie ukrywał prawdy o okrucieństwach komunistów wobec własnego narodu, o krwawym Feliksie, który zadenuncjował nawet swoją siostrę. Zosia była jeszcze dzieckiem, ale uważał, że musiała być świadoma tego, jakie zdarzenia wypełnią niebawem ich rzeczywistość. Nie mógł tego przed nią zatajać. Po zakończeniu wojny z bolszewikami ludził się, że nigdy więcej nie zaistnieje wymóg edukowania dzieci na tematy wojenne, rzeczywistość brutalnie to zweryfikowała.

– Musimy uciekać – jęknęła ze zgrozą Zosia, kiedy przed oczami stanął jej obraz wojny i sowieckiej okupacji.

Jakby na potwierdzenie jej słów z podwórka dobiegł ich jakiś hałas. W pośpiechu wyszli na zewnątrz. Wóz wjeżdżał na ich posesję z zawrotną prędkością. Powożącym był Andrzej, który nie przypominał statecznego, pewnego siebie myśliwego. Włosy miał w nieładzie, a koszulę brudną i mokrą od potu. Nieodłączny kapelusz zgubił pewnie gdzieś po drodze.

– Musicie uciekać! – krzyknął zamiast powitania. – Nasi już się nie bronią. Oddali Polskę!

Ojciec jednak zachował resztki zimnej krwi.

– Wejdz, Andrzeju, do domu. Daj odetchnąć zwierzętom. Zosia zrobi stawy, a ja uporządkuję twoje konie. Nakarmię i napoję.

Bez dalszej dyskusji zahamował koła wozu. Wyprzągnął konie i wprowadził do wolnej w dzień obory. Zosia tymczasem wzięła gościa za rękę jak jakieś roztrzęsione dziecko i wprowadziła do domu. Telesfor nie zdejmował uprzęży. Wypiął tylko wędzidła i wytarł sierść koni wiechciem słomy. Następnie wyczesał szczotką i nasypał obroku w żłoby. Zamknął płotek grodzący wyjście i poszedł do domu. Tutaj przywitał go zapach jajecznicy.

– To niedobry czas na siedzenie przy stole. – Andrzej kręcił głową. – Cenna jest każda godzina.

– Wiem. Nie ujedziesz jednak daleko na ochwaconych koniach. – Telesfor położył rękę na jego ramieniu.

– Właśnie wracałem po objęździe moich ziem, kiedy zobaczyłem dym nad sąsiednią wioską. Popędziłem konia, aby pośpieszyć na ratunek. Patrzę, a to ludzie podpalają wszystko dookoła. Stogi, domostwa. Mieszkańcy krzyczą, próbują uciekać. Słyszę strzały z karabinu. To była polska wieś, Telesfor!

– Spokojnie. Spokojnie, Andrzeju. Posił się, odetchnij. Nic nie poradzisz już na ich cierpienie.

Andrzej pochłonął kilka łyżek jajecznicy, przegryzł chlebem i nie mógł przełknąć. Zosia podała mu kubek mleka. Popił chciwie i odsunął talerz.

– Nie mogę. Muszę wam opowiedzieć do końca. Moi własni Żydzi mnie wydali. Pozakładali czerwone opaski na rękawy. Dali wódki dla kacapów i dalej na mój dworek. Z pochodniami, rozumiesz. Tyle lat im pomagałem! Pozwalałem na wyszynk. Woziliem dzieci do lekarza. – Przerwał, pokręcił głową. – Ale nie doszli do domostwa. Już ja się ostrzeliwać umiem. Dystans był nieduży, a miałem załadowane dwa rewolwery!

Na moment w jego oczach ukazała się satysfakcja.

– Najpierw tych z bronią, potem tych z pochodniami. Stodołę zdążyli mi już podpalić, ale na szczęście stajnie i obory zostały. Dwóch żydków próbowało potem uciec. Jeden się obejrzał i krzyknął, że tu jeszcze wróci. To były jego ostatnie słowa. Ten drugi także już nic nigdy nie powie.

Zapadła cisza. Słychać było tylko muchy brzęczące nad jajecznicą. Zośka, najbardziej odważna, przerwała milczenie.

– Wujaszku! Dopóki żyjemy, żyje Polska.

Westchnienie ojca i Andrzeja zlało się w jedno.



Andrzej pomimo doskwierającego niepokoju dał się namówić na odpoczynek. Zosia pościeliła mu w swojej izbie i zaproponowała, że sama pójdzie spać na sianie. Miała nadzieję, że tak naprawdę pozwolą jej spać w wozie podróżnym Andrzeja, ale „rada starszych” ustaliła inaczej. Zarządziła warty! Każdy dysponował swoją bronią i miał

obejmować posterunek po czterech godzinach czuwania poprzednika. Telesfor zgłosił się na ostatnią wartę, a Andrzeja, jako gościa, wyznaczono na pierwszą.

Była to pierwsza akcja zbrojna Zośki. Drżała z podniecenia i wypytywała o szczegóły.

– Musisz przede wszystkim słuchać. Jak będzie iść bieda, zaczną szczekać psy. Potem usłyszysz zapewne parskanie koni. Tam, gdzie zrobi się gorąco, usłyszysz ryczenie krów. – Ojciec, jak mógł, podpowiadał o zachowaniu zwierząt. – Wartownik do końca musi być niewidoczny. Schowany w krzakach, za studnią albo Bóg wie gdzie. Byle skutecznie. Gdy zobaczy wrogi ruch, strzela i natychmiast zmienia pozycję. Na drzewo albo do rowu. Byle nie dostać się w światło latarki. To takie nowoczesne światło elektryczne. Wyłowi z ciemności każdego. Strzał wartownika budzi resztę, która natychmiast staje pod bronią i musi go wesprzeć.

– A ja przygotowałam świeżą pościel – jęknęła zawiedziona.

– Może się przydać do opatrywania ran. – Pesymistycznie westchnął Andrzej.

– Hej! Andrzeju! Jeszcze przed chwilą opowiadałeś, jak pokonałeś wielu napastników podpalających twoje domostwo! Teraz jest nas troje. Niezgorszych strzelców, a i Skunks na coś się przyda w walce.

– Na co? Jego smętne pięć kilo potrafi zamordować szczura, ale nie żołnierza.

– To go jeszcze nie znasz! Uczepił się kiedyś cygańskiej spódnicy. Cyganka miała pod nią wiele zrabowanych kosztowności. Rozerwał nasz Skunks jej odzienie, a z ukrytych kieszeni posypały się precjoza. Cały Grabów miał z tego pożytek, a Cyganie uciekli jeszcze przed wieczorem.

Andrzej pierwszy raz uśmiechnął się dzisiejszego dnia. Czarno-biały kundel, jakby wiedział, że o nim mowa, podszedł więc do gościa i polizał go po ręce.

– Jak taka kompania, to nie wywieszam białej flagi. Z wami w bój! Za Ojczyznę!

– Za Ojczyznę! – zakrzyknęli ojciec i córka.

Skunks popatrzył na wszystkich i zamerdał ogonem.



Noc minęła spokojnie. Rankiem zjedli śniadanie i postanowili, co dalej robić.

– Jedziemy do Rumunii – zakomenderował Andrzej. – Spać będziemy na zmianę na moim wozie. Na waszym pojedzie dobytek i jadło dla koni.

– Nie, Andrzeju. My uciekniemy w las. Tu niedaleko są jary, mokradła i chaszczce nie do przebycia. Nawet diabeł nas tam nie znajdzie. Las nas wykarmi.

– A Rosja? Myślisz, że się stąd wyprowadzi, gdy będziesz co rano klepał pacierze w tej intencji.

– Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale zostaję tutaj, aby walczyć. Dać świadectwo temu, że Polska jest tutaj i tutaj pozostanie.

– A Zosia? To jeszcze dziecko. Jak przetrwacie zimę? Jaką przyszłość zbudujesz dla niej w lesie.

– Nie rozdzielałam rodziny. Gdybyś jechał na wycieczkę, safari, Zośka mogłaby jechać z tobą. Teraz, w czasie wojny, najwięcej jest rozłąk rodzinnych i nieszczęść. Nie

naszykowałem Zosi na taki los.

Telesfor zamilkł i przycisnął dłonie z obu stron do głowy. Zosia dokończyła za niego:

– To wojna przyszła do nas. Ugościmy ją, jak na to zasługuje. Ty jedź do Rumunii. Może się tam jakoś urządzisz. Może będziemy potrzebowali jeszcze twojej pomocy. Zapakowałam ci na drogę dwa worki obroku dla koni. Wędzoną szynkę, pół chleba i ze dwadzieścia gotowanych jaj. Na tydzień może ci starczy?

– Będę oszczędzał jedzenie. – Uśmiechnął się krzywo.

Widział, że córka myśli tak samo jak ojciec i nie przekona ich do podróży. Zaczął żegnać się ze swoimi przyjaciółmi. Najpierw po męsku podał dłoń Telesforowi, ale ten przycisnął go do serca i dla pokrzepienia poklepał po plecach. Z Zosią żegnał się już dłużej. Ta nagle rozplakała się i nie było można jej uspokoić. Przepraszyła nagle i pobiegła do domu. Wróciła stamtąd, niosąc w ręku ojcowski kapelusz. Kapelusz był nowy, skórzany. Za otok wetknięte miał bażancie, długie pióro.

– Weź go, proszę, od nas na pamiątkę. Ojciec i tak go nie nosi. Ja chcę pamiętać ciebie roześmianego i w kapeluszu. Takiego, jakim zobaczyłam cię po raz pierwszy.

Andrzej jeszcze raz przytulił Zosię. Włożył zawadiacko kapelusz. Wskoczył na kozioł i cmoknął na konie. Koniki ruszyły kłusem, wyrzucając spod kopyt piasek. Odjeżdżający obejrzał się jeszcze i pomachał na odjezdne kapeluszem. Piórko powiewało dumnie jak sztandar.



Pakowanie na wóz w niczym nie przypominało pakowania na wyprowadzkę. Telesfor zabrał narzędzia, garnek z patelnią i po parze sztućców. Z ubrań tylko kozuchy, futra i ciepłe buty. Wszystkie inne rzeczy zostały. Dom wyglądał, jakby nadal miało tu kwitnąć życie. Na wóz wrzucili za to dużo grubych desek. Gwoździe i sznury były dopełnieniem ładunku. Wóz nie wyglądał na załadowany, jednak był ciężki i aby Gwiazdka mogła go ciągnąć, potrzebna była pomoc w pchaniu. Wyruszyli po zmierzchu. Bramą od lasu, gdzie tylko przypadkowy przechodzień mógł ich zobaczyć.

Zosia powoziła, szła z boku, a z tyłu, za burtę, wóz popychał Telesfor. Było około północy, kiedy dotarli do końca leśnego duktu. Do tej pory nie odezwali się do siebie ani słowem.

– Tutaj się zatrzymamy. – Niby westchnienie wydobyło się z gardła ojca.

Zosia nie odpowiedziała. Łzy i duszenie w gardle nie pozwalały na jakąkolwiek odpowiedź. Właśnie jej przytulny dom zmienił się w wilgotny i ciemny las. Izby i meble będą zastępować leśne pieńki, a ciepłą pościel kozuch pełen moli. Ojciec czuł podświadomie, co dzieje się z duszą Zosi. Nie znajdował jednak na razie słów otuchy.

– Zrzucamy tutaj połowę ładunku. Wrócimy po niego rano.

Pracowali w ciszy i przełękali łązy. Potem ruszyli na przełaj przez las. Teraz nadal musieli pchać wóz, ale poruszali się po nierównym terenie. Nieraz trzeba było odciągnąć z drogi jakieś zwalone drzewo albo ominąć jakiś leśny wykrot. W końcu dotarli w miejsce, gdzie nawet tak zgrabny transport nie mógł jechać dalej. Zrzucili

tutaj resztę ładunku. Na wozie naszykowali posłanie z kożuchów i przytuleni do siebie zasnęli.

Nad ranem obudziło ich ptactwo i przenikliwie zimno, wciskające się wraz z wilgocią pod kożuchy. Z zimna drżała nawet Gwiazdka, pogryzająca jakieś blade roślinki. Skunks, jako najcwańszy, zakopał się w stercie innych kożuchów i nie wystawiał nawet spod nich nosa.

Zjedli śniadanie, na które składała się resztką chleba i okruchy sera.

– Zosiu, wsiądź na Gwiazdkę i pojedź do wsi. Obserwuj chwilę chatę. Jak będzie wszystko w porządku, wyprowadź krowę na pastwisko i nakarm inne zwierzęta. Zbierz jajka i wracaj. Ja wyszukam miejsce na ziemiankę.



Gdy wróciła około południa, Telesfor kopał jak wariat dół wielkości ich największej izby w domu. Na miejsce pracy wybrał wzniesienie nad małym, leśnym strumieniem. Ziemię z wykopu wrzucał w nurt. W zasadzie nie znalazłaby tego miejsca, gdyby nie jego ciężkie stękanie przy kopaniu.

Miejsce na ziemiankę było perfekcyjne. Pagórek dawał pewność suchego lokum. Bliskość strumienia – wodę. Roślinność, głównie iglasta – niewidoczność ich kryjówek latem i zimą. Ich nowa ziemianka miała być większa i bardziej przypominać współczesny dom.

– Krzyż ci pęknie – powiedziała dziewczyna na przywitaniu.

– Jak tam we wsi?

– Wszystko w porządku. Na razie nic ciekawego się nie dzieje. Zresztą, nie miałam czasu, aby się rozglądać. Nakarmiłam kury i wyprowadziłam krowę. Wydojone mleko postawiłam na kwaśnienie, to zrobimy ser.

– Nikt cię nie widział, kiedy jechałaś do lasu?

– Na pewno nie. Wskoczyłam na Gwiazdkę i pocwałowałam w drugim kierunku. Dopiero gdy wioska zginęła mi z oczu, zrobiłam szerokie półkole i wjechałam w las. Dlatego mnie tak długo nie było.

Do końca dnia zwozili drewno pod wykop, a wieczorem wrócili wozem po drobiazgi, jakie jeszcze mogą się przydać na „wygnaniu”. Telesfor dźwignął żeliwny piec z warsztatu i włożył go na wóz razem z blaszanym kominem.

Wrócili do lasu i tak jak poprzedniej nocy zasnęli w mgnieniu oka.

Cały następny dzień stawiali ściany i dach ziemianki. Ciesielka była ich chlebem powszednim, więc do południa stała już zgrabna konstrukcja z deskowanym dachem i wyjściem na komin.

– A gdzie są drzwi? – Zapytała dziewczyna, gdy z tego pomieszczenia wychodziła po drabinie.

– Niestety. Tutaj drzwi nie będzie.

– A co będzie? Lisia nora?

– Tak właśnie, lisia nora. Zrobimy jeden otwór na wejście i drugi na wyjście. Tak jak to robią lisy. Wejściowa nora będzie posiadała zakręt pod kątem prostym. Ostatnia wchodząca osoba będzie zostawiała w tym miejscu odbezpieczony granat. Dlatego też za potrzebą zawsze będziesz wychodziła przez drugą norę. Mówię to śmiertelnie poważnie. – Uśmiechnął się do Zosi. – Aby przetrwać, będziemy musieli więcej zasięgnąć przykładów od lisów. Zmienimy tryb życia na nocny i sposób odżywiania na bardziej mięsny.

Wieczorem wrócili jeszcze raz wozem pod dom. Najpierw długo obserwowali otoczenie i nasłuchiwali. Potem na zwiady poszedł Skunks, który cały czas wyrывał się, aby obwąchać swoją miskę. Na wóz tym razem zapakowali kilka worków pszenicy. Zosia, pomimo sprzeciwów ojca, wzięła jeszcze miednicę, wiadro, kankę i parę garnków.

Z babami nie wygrasz – pomyślał Telesfor i dorzucił do tego jeszcze kosę i psią miskę.

Pojechali w las przy wtórze brzęczących metalowych garnków. Na szczęście nikt nie usłyszał ich tarabanienia. Była to ich ostatnia noc spędzona na wozie. Następnego dnia poświęcili bowiem na ukończenie podziemnego domostwa.



Zosia powtarzała rytuał z krową i kurami codziennie. Najpierw długo z ukrycia obserwowwała gospodarstwo i otoczenie. Potem przeskakiwała płot od strony ogrodu i tam podkładała się do wiaty, gdzie miała widok na całe podwórze. Skunks nauczył się szybko, że trzeba pomagać w zwiadach i chyłkiem podbiegał pod bramę oraz drzwi, aby wszystko dokładnie obwąchać. Kiedy Skunks zaczynał spokojnie machać ogonem, Zosia wiedziała, że wszystko jest w porządku.

Było tak aż do ostatniego dnia miesiąca. Gdy podchodziła ze Skunksem do skraj lasu, pies zjeżył sierść i zaczął cichutko warczeć. Zosia nie sprawdzała, co mogło być przyczyną. Wycofała się i w bezpiecznej odległości puściła się biegiem do ojca.

– Są już u nas – wysapała po długim biegu.

– Widziałas kto i ilu?

– Nie. Jak tylko nasz kudłacz zaczął warczeć z nosem skierowanym w nasze podwórko, postanowiłam się wycofać.

– Zuch dziewczyna – pochwalił swoją córkę Telesfor. – Nie ryzykowałas niepotrzebnie. Tak jak prawdziwy zwiadowca.

Naszykowałas kilka pułapek leśnych i wnyków. Do wieczora w jeden z nich wpadł zajęc. Telesfor jego krwią ochlapał kozioł na wozie oraz lejce. Przed zmierzchem podprowadził wóz wraz z koniem pod swoje gospodarstwo. Pożegnał się czule z Gwiazdką i klepnął w zad, po czym skierował ją w stronę bramy.

Mądre zwierzę poczłapało w kierunku domostwa, a przy bramie głośno zarżało.

Natychmiast od strony domu podbiegło dwóch mężczyzn. Telesfor nie widział, czy byli uzbrojeni natomiast w ciemnościach dobrze słyszał ich rosyjską mowę.

- Popatrz – krzyknął jeden. – Wszędzie pełno krwi!
- Chciał uciec cwany polaczek, ale nasi go dostali! Koń mądry wrócił do swojego domu.
- Ładny i silny. A zobacz jaki solidny wóz. Nieźle tutaj się obłowiliśmy!



Tego roku zima przyszła szybko. Najpierw ślota, deszcze i wichury aż pierwszego listopada spadł śnieg. Co prawda nie leżał długo, ale mróz nocami już trzymał na dobre.

W ziemiance jednak panowało ciepło. Mimo braku wszelkich wygod, wewnątrz wydawało się w miarę przytulnie urządzone. Zosi tylko mocno przeszkadzały ciemności. Na dwór wychodzili w nocy, a w dzień – spali. Ich obowiązki zredukowały się do zbierania chrustu i rozstawiania sideł. Zosia tęskniła też za książkami, które pozwoliłyby jej zabić nudę.

- Zaczynaj pisać pamiętnik – poradził ojciec, gdy wyznała mu powód swojej złości.

- Tak? A o czym mam pisać? Codziennie, a w zasadzie co noc, wychodzę po chrust i ubezpieczam ciebie w marszu po leśnych pułapkach. Potem sen. Potem znów to samo. Wystarczy jedną kartkę zapisać i tylko dopisywać daty. Zwariuję tutaj! – Głos miała na pograniczu hysterii.

- Masz rację. Dzisiejszej nocy pójdziemy na zwiady.

Zjedli zajęczego mięsa z kaszą jęczmienną i grzybami. Liście drobno siekanej pokrzywy zastąpiły kiszoną kapustę. Po posiłku zaczęli szykować oporządzenie.

- Ubranie musi przylegać do ciała, aby nie haczyło o roślinność. Żadnych brzęczących, wiszących rzeczy. Łódki z nabojami. Jedna do karabinu, druga do tylnej kieszeni, aby w pozycji leżącej było można po nią sięgnąć. Nóż także z tyłu, z tego samego powodu. – Ojciec tłumaczył i jednocześnie przeglądał broń.

Twarze poczernili sadzą z komina i wyszli na zewnątrz. Skunks został na posterunku w wykopanej przez siebie jamie pod pniem drzewa. Zosia dała mu trochę mięsa i wody do miski. Na kłapę zamykającą wejście do ziemianki nasypali świeżej ściółki. Ojciec przyglądał się wszystkiemu. Z dumą stwierdził, że nie pomija żadnego szczegółu. Objął córkę ramieniem i poszli w ciemność nocy. Po drodze zabrali karabin Zosi z drugiej ziemianki.

Szli długo. Jak najdalej od swojej kryjówki. Doszli do miasteczka, gdzie znajdowała się stacja kolejowa i budynki stacyjne do przeładunku towaru. Skradali się wzdłuż nasypu, aż doszli do rozjazdów.

- Popatrzmy chwilę – szepnął Telesfor do ucha Zosi.

Budynki były strzeżone przez wartowników. Ich obchód obejmował wszystkie ważne urządzenia stacji. Wartownicy nie wyglądali bojowo. Człapali ospale wzdłuż wytyczonej trasy, ale każdy miał karabin. Było ich dwóch, więc zapewne zmiana warty miała jeszcze czterech i dowódcę.

- Tutaj nic nie zwojujemy. – Pokręcił głową ojciec.

– Popatrz tam. – Zosia wskazała ręką na stojący na odległej bocznicie wagon brygady remontowej.

Wagon miał platformę do przewożenia podkładów i mały dźwig do podnoszenia szyn kolejowych. Miał też obudowane i zadaszone pomieszczenie narzędziowe.

Nagle przez głowę Telesfora przemknął pewien plan. Kiwnął głową z uśmiechem na znak, że zgadza się, aby tam zrobić zwiad. Gdy jeden z wartowników maszerował odwrócony do nich plecami, a drugi właśnie obchodził budynku z drugiej strony, para zwiadowców przeskoczyła nasyp i pobiegła do wagonu.

Stacja i urządzenia były oświetlone dzięki elektryczności. Wagon techniczny stał na bocznicie oddalonej o około pół wiorsty. Był więc poza zasięgiem promieni. Kontrast pomiędzy światłem elektrycznym a ciemnością nocy sprawiał, że wagon od strony stacji nie był prawie widoczny.

Cicho, niczym leśne duchy, podeszli do wagonu. Jak słusznie założył Telesfor, drzwi do pomieszczenia warsztatowego były zamknięte na solidny zamek... Po chwili dostrzegli, że podłużne okienko umieszczone na wysokości prawie trzech metrów od ziemi było uchylone.

Ojciec chwycił rękę Zosi i przyciągnął do zimnej szyny.

– Namacaj główkę śruby mocującej szynę do podkładu. Czujesz ją?

– Tak ma kwadratowy, calowy łeb.

– Dobrze. Teraz wdrapiemy się na dach wagonu, a stamtąd przez okienko wśliźniesz się do środka i odnajdziesz klucz o takim kształcie. Będzie on na stalowej żerdzi z przetyczką albo poprzeczką.

– Dobrze – wyszeptła i zwinnie jak kot wskoczyła na dach wagonu.

Ojciec z niemałym wysiłkiem powtórzył jej wyczyn, a teraz ubezpieczał jej zejście do wnętrza wagonu. Okienko stawiało jednak opór. Było zawieszona na stalowej prowadnicy, która skrzypiała niemiłosiernie przy każdej próbie poruszenia oknem.

– Tam jest taka szyna, co trzyma okno – wyjaśniła dziewczyna.

Teraz dla odmiany Telesfor zawisł głową w dół, a Zosia trzymała jego nogi, aby nie zsunął się na głowę z półokrągłego dachu. Ojciec wyciągnął z pochwy bagnet i wsadził w wąską szczelinę szyny. Przekręcił rączkę z całej siły, wspomagając to, jak mógł, ruchem poprzecznym. Szyna zeskoczyła, a okno z trzaskiem opadło na zawiasach.

Zamarli w bezruchu. Przestali nawet oddychać i nasłuchiwali, czy strażnicy nie podniosą alarmu. Na szczęście odległość i inne dźwięki nocy wchłonęły stuk okna na tyle, że wartownicy nie zwrócili na niego uwagi.

Cała akcja dalej przebiegała bezszelestnie. Zosia po ciemku namacała w końcu klucz, który jej zdaniem będzie pasował do śrub. Podała go ojcu i wysliznęła się na zewnątrz. Po czym zeskoczyła na ziemię. Odebrała od ojca karabiny i klucz. Teraz i on mógł zejść z dachu.

Tej nocy akcja już się skończyła. Byli zmęczeni i głodni. Wrócili do ziemianki okreańską drogą, aby zwyczajem lisów nie prowadzić prosto do swojej kryjówki.

Na następną akcję wybrali pochmurną noc. W odległej od domostw części drogi kolejowej rozkręcili dobrych kilkanaście metrów torowiska.

– Pociągami wywożą całe dobro naszego kraju. Demontują fabryki i zakłady. Okradają domostwa i sklepy. Trochę im w tym przeszkodzimy. – Z przekąsem powiedział Telesfor, kiedy rozmasowywał obolałe od klucza dłonie.

– Nie zginą przy tym ludzie? – zapytała z trwogą Zosia.

– Pociągi towarowe jadą wolniej od osobowych. Jeśli zginą to ruscy maszyniści i ruska straż kolei. Nie będą po nich płakał.

Nigdy już nie wrócili na miejsce akcji. Później z opowieści słyszeli, że droga kolejowa nie była czynna z powodu wypadku przez dwa tygodnie.

Po tygodniu wybrali się na akcję w przeciwnym kierunku. Na cel poszła linia telefoniczna. Biegła wzdłuż drogi i była na pewno ważnym elementem infrastruktury przejętej teraz przez Sowietów.

Tuż po północy dwie osoby o twarzach wysmarowanych sadzą piłowały słup telefoniczny. Gdy upadł, jedna z nich bagnetem odcięła przewody. Postaci podążały po ciemku, jedna z nich niosła narzędzia i broń, a druga zwiwała miedziane druty. Szli tak przez trzy kilometry i ścinali po drodze słupy. W ten sposób Telesfor i Zosia pozbawili najeźdźców sprawnej łączności na dobrych kilka tygodni.

Innym razem, kiedy prowadzili zwiad, wypatrzyli zagrodę z bydłem. Zwierzęta zabrano rolnikom na tak zwany kontyngent. Głodne, nienapojone stały na mrozie i ryczały niemilosiernie.

Telesfor z Zosią najpierw rozebrali część ogrodzenia. Następnie przekradli się na drugą stronę i z przeciwnego kierunku wystrzelili w powietrze kilka razy. Stado jak oszalałe ruszyło wyrwą w ogrodzeniu i rozbiegło się w ciemności po okolicy, z czego skorzystali okoliczni hodowcy.



Zośce na wygnaniu ciągle brakowało chleba. Jego smak chodził za nią, po prostu nie dawał jej spokoju. W końcu zrobiła desperacki krok i spotkała się potajemnie ze swoją koleżanką – Lonią.

Długo się ścisnęły i piszczęły z radości. W końcu po opadnięciu pierwszych emocji zaczęły opowiadać o swoich losach. Lonia była córką sołtysa. Jej matka była Polką, ale nie chwaliła się tym, więc ich rodzina na razie była bezpieczna.

– Mamy waszą krowę, wiesz? Rozdzielili wasz majątek między mieszkańców wsi. Robią tak z dobytkiem każdego, kogo wywożą na roboty. – Lonia mówiła cały czas jak nakręcona. – Wszystkich polskich urzędników gdzieś zabrali. Ich rodziny pozostały, jednak ich los jest niepewny. Ciągle dzieje się coś nowego. Zakładają jakieś kolektywy czy kowchozy. Sama nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, jednak mój tatko mocno się tym denerwuje. On już nie jest sołtysem. Teraz rządzi we wsi sekretarz. Po mojemu sekretarz to taki skryba, nie? Co taki może wiedzieć o rządzeniu, gospodarce i w ogóle. Teraz jest straszna bieda. Zabierają nam wszystko. Jaja, mąkę, sery i świnie.

– A chleb? Masz trochę chleba? – Potok słów przerwała Zosia, ponieważ nie mogła wytrzymać bez tej odpowiedzi.

– Tak. Zaraz ci przyniosę.

Pobiegła do domu. Wróciła za kilka minut. Przyniosła kromkę chleba posmarowaną miodem i śmietaną. Zosia dostała ślinotoku.



Lonia przyniosła jeszcze duży kolorowy płatek, czyli chustę. Owinęła nią Zosię i zaciągnęła za rękę do domu. Na drodze nie było nikogo, ale owiniętej w chustę nie poznałby nawet przechodzący tędy przypadkowo mieszkaniec Grabowa.

Dom, w którym mieszkała Lonia był duży. Sołtys miał siedmioro dzieci i mieszkał jeszcze razem z rodzicami. W budynku znajdowała się nawet specjalna izba do kąpieli. Tam Lonia zaprowadziła Zosię. Do balii nalały ciepłej wody znad pieca.

– Tutaj się rozbierz i wskakuj do wody. Tu masz mydło i szczotkę na kiju do mycia pleców. Ja w tym czasie zabiorę twoje ubrania do wieszobijki.

Wieszobijka była to jak gdyby szafa. Miała prostą, drewnianą konstrukcję, jednak wykonaną bardzo dokładnie. Wszystkie łączenia desek były zasmałowane, a drzwi miały uszczelnienia z warkoczy pakuł. Stała na dworze i miała swój własny daszek. Wieszalo się tam wszystkie ubrania, a na podłodze w blaszanej puszcze podpalało siarkę. Następnie zamykano szczelnie drzwi i pozostawiano tak na parę godzin.

W gospodarstwach prawie wszystkie zwierzęta miały insekty. Drewniane budynki kryte strzechą stanowiły schronienie dla wszelkiej maści pasożytów. Jedyną pewną metodą pozbycia się nieproszonych gości z ubrań była właśnie wieszobijka. Ubrania co prawda nie pachniały za ładnie, ale zimą, kiedy nie robiono często prania, wieszobijka była jedynym ratunkiem.

Późnym popołudniem nakarmiona, wykąpana, w czystym ubraniu Zosia podążyła do lasu. W rękę nosła koszyk z chlebem i masłem. W drugim rękę, w woreczku miała mydło i siarkę.

– Żeby żołnierz był takim niedojdą i nie zabrał mydła? – mruzczała do siebie pod nosem. – Ja mu dzisiaj zrobię kąpiel. – Młasnęła z uśmiechem. – Żołnierską. W śniegu!



Najpierw jednak dostała paternoster za długie przebywanie poza domem.

– Mogłaś chociaż powiedzieć, że znikniesz na pół dnia. Połowę włosów wyrwałem sobie z głowy ze zmartwienia.

– Wyglądasz, jakbyś miał wszystkie – powiedziała z mrugnięciem oka i po chwili dodała: – No, może trochę posiwiiałeś.

– Uważaj, bo kiedyś twoje żarty nie zadziałają i przetrzepię ci skórę.

– Na razie to przetrzepiemy twoje ubrania. Rozbieraj się!

– Co? Po co?

– Rozbieraj, mówię. Tu masz mydło i szczotkę. To takie wynalazki, tobie nieznane, ale ich prosta konstrukcja pozwoli domyślić się sposobu użycia. Rozbieraj się do goła

nie do kaleson. Wszystkie ubrania zaraz wyniosę do spróchniałego pnia nad rzeką. Podpalę w nim siarkę i wygonię twój żywy inwentarz, który hodujesz.

Telesfor miał przed oczami czystą i uczesaną Zosię, więc domyślił się, że miała kontakt z cywilizacją.

– Odwróć się. Nie będę świecił gołym tyłkiem przed babą.

Wieczorem kładli się spać w lepszych humorach. Ojciec nie mógł najeść się chlebem. Pochłonął połowę, aż Zosia zabroniła jeść dalej, bo pęknie. Ich ubrania, co prawda, „pachniały” spaloną siarką, ale to była naprawdę mała zapłata za komfort czystości.



Od pierwszego spotkania z Lonią minęło trochę czasu. Dziewczęta spotykały się teraz regularnie. Zosia przynosiła na spotkanie mięso upolowanej zwierzyny, a Lonia odwodziła się chlebem i przede wszystkim informacjami. To, o czym mówiła córka sołtysa, nie było jednak pocieszające.

Już nie było ratunku dla Polaków na tych terenach. Rodziny razem z małymi dziećmi wywożono na roboty w głąb Rosji. Najgorsze jednak okazywały się bandy nacjonalistów. Najeżdżały gospodarstwa polskie w środku nocy. Bandyci bez skrupułów i w wyszukany sposób mordowali całe rodziny. Okrucieństwo zadawane Polakom na tych ziemiach przechodziło wszelkie wyobrażenie.



Sposób ukrycia swojej sadyby wymyślony przez Telesfora gwarantował bezpieczeństwo. Jednak po każdej okrutnej wiadomości ojciec poprawiał coś w tej konstrukcji. Musiała być dobrze ukryta i gwarantować bezpieczeństwo snu.

Zimowe i wiosenne dni spędzali po prostu we własnej kryjówce i jej okolicach. Czasami w nocy wyszli dalej na zwiad lub jakąś akcję. Ich działania miały utrudniać życie okupantom, a przy tym nie powodować odwetu na rdzennych mieszkańcach. Musiały być zaplanowane z zegarmistrzowską precyzją.

Gdy wreszcie nastąpiło ciepłe lato, strumień, koło którego mieszkali, zarósł zielonym sitowiem. Sprytny cieśla obsadził kłęczami trzciny i tataraku drugie wyjście do ziemianki, a je samo tak osłonił grubymi palami i mchem, że wyglądało jak naturalny pagórek schodzący do wody.

Z trzciny zrobił też tratwę, coś w rodzaju kajaka. Nie była to jednostka mogąca pływać po morzach i oceanach, ale miała zagwarantować cichą i potajemną ucieczkę w razie odkrycia przez kogoś ziemianki. Poruszanie się po strumieniach miało też zagwarantować bezpieczeństwo przed psami tropiącymi.

– Są ludzie, którzy umieją tropić – tłumaczył Zosi – jednak tropiciel z psem to pewna śmierć.

– Wiem, jak inteligentne potrafią być psy. Nasz kudłacz zawsze zaskakuje mnie swoją spostrzegawczością i rozumem.

– Właśnie dlatego teraz, w lecie, korzystajmy tylko z tego wyjścia wodnego, czyli poruszamy się strumieniem kilkaset metrów w górę lub w dół rzeki i dopiero wtedy wychodzimy na ląd. Podobnie będziemy robić, gdy będziemy chcieli wrócić do ziemianki, więc najpierw, kilkaset metrów od naszego lokum wchodzimy do rzeki i nią docieramy do ukrytego w tatarakach wejścia.

– Nałapiemy pijawek.

– Wołę pijawki od kuli. – Zaśmiał się ojciec. – Pijawki stosuje się na chorobę, będziemy więc zdrowi.

Tekst z łapaniem podsunął mu jednak pewien pomysł. Z gałązek wierzby upłócił wężyczerze, które rozstawił w strumieniu. Były to prymitywne pułapki, ale już pierwszej nocy jedli pysznego okonia. Ryba stanowiła teraz urozmaicenie diety. Zosia co piątek gotowała pyszną zupę z rybich głów. Telesfor, nie wiedząc czemu, zbierał rybie pęcherze. Barwił je na czerwono sokiem z kory i na niebiesko sokiem z jagód. Nie chciał jednak zdradzić ich przeznaczenia.

Ostrożność Telesfora i jego poczynania w tym kierunku zaprocentowały. W lesie pojawiało się coraz więcej ludzi. Wyganiał ich tam głód. Kobiety z dziećmi zbierały jagody i borówki. Chłopi zastawiali sidła. Na razie tereny zamieszkiwane przez Zosię i Telesfora były zbyt odległe dla zwyczajnych kłusowników. Nie można było jednak wykluczyć, że gdy zabraknie zwierzyny, będą zapuszczać się dalej. Krótkie noce sprawiały też, że nie mieli dużo czasu na gotowanie czy smażenie na ogniu.

Zosia więc na spotkania z przyjaciółką zabierała dużo ryb i dziczyzny, a w zamian prosiła o inne produkty. Chleb z serem mogli spożywać bez ognia.

Nie zaprzestali za to akcji partyzanckich. Zosia opanowała już sztukę skradania i kamuflażu.

Pewnego razu, gdy prowadziła zwiad, natknęła się przypadkiem na magazyn mundurowy. W pobliskiej miejscowości rozlokowano niewielki oddział sowiecki, który zajmował się przechowywaniem i szyciem mundurów. Przerabiano także na mundury ubrania zrabowane wywożonym Polakom. Zwłaszcza wełniane spodnie nie wymagały wielkiej pracy, aby je dodać do kompletu. Każdy komplet dostawał metkę z rozmiarem i był składowany w dużej stodole opodal.

W dzień, gdy Zosia leżała zamaskowana w trawie, do magazynu dowieziono też buty. Były to skórzane trzewiki mające dużą wartość, a było ich tyle, że do rozpakowania ciężarówek przygnano wszystkich ze wsi.

Zosia leżała i obserwowała cierpliwie. Przez lunetę swojego sztucera patrzyła na strażnika. Był to zwykły żołdak z poboru. Gdy wszystko po rozładunku przycichło, odjechały ciężarówki. Znudzony długą wartą i zmęczony upałem, czerwonoarmista usiadł pod ścianą, i zasnął. Po paru godzinach przyszedł jego zmiennik. Nawet nie zrugął go za spanie na posterunku.

– To są ślepe kocięta! – zdawała relację ojcu, gdy już wróciła do ziemianki. – Bez problemu zrobimy drakę w tym magazynie.

– Nigdy nie lekceważ przeciwnika! – ostrzegł ją ojciec – Ale masz rację, okazji nie można przepuścić. Poproś Lonię o bańkę z naftą. Jak ma dwie, to niech da dwie.

– Nie będziemy zabierać butów?

– Nie. Jak kogoś w tych butach złapią, to rozstrzelają. Wiem, że szkoda, ale takie są akcje partyzanckie. Zwykle polegają na niszczeniu albo zabijaniu. Ja nie będę uczył cię, jak zabijać. Wolę pośmiać się z tobą, jak przypomnimy sobie kiedyś przeciwne wojsko na bosaka.

– Dobrze. Lecę do wsi po naftę.



Sołtys coś podejrzewał. Jego córka często robiła rzeczy, które przeczyły zdrowemu rozsądkowi. Był spostrzegawczy i nie posądzał swojego dziecka o chorobę umysłową, więc gdy zobaczył ją, kiedy uzupełniała lampy naftą, gdy ich zbiorniczki są prawie pełne, zaczął się w krzakach porzeczek za domem.

– Dokąd to moja panno? – zapytał, gdy córka chyłkiem przechodziła przez ogródek.

Wystraszona prawie upuściła kankę z cennym płynem. Przysiadła, aby zasłonić ją spódnicą.

– Sama tworzysz partyzantkę, a ojcu nie pozwalasz walczyć za naszą wolność?

Córka patrzyła na ojca z otwartymi ustami.

– Co? Co ty tutaj robisz?

– Chcę ci pomóc. Od tego są rodzice, prawda? – Ojciec uśmiechał się szeroko, ponieważ doskonale wiedział, że udało mu się zaskoczenie. – Co tutaj mamy? Naftę? Do podpalania? Każdy wie, że do podpalania najlepsza jest benzyna! Odnieś tę kankę do domu, córuś, i przyjdź do składziku.

Składzik był pomieszczeniem, w którym leżały rzeczy niepotrzebne: podarte uprząże, stare płaszcze, zardzewiałe łańcuchy, połamane piły, widły bez trzonka i wiele innych bardzo niezbędnych rzeczy. Między nimi znajdowały się dwa niepozorne kanistry.

– Dasz to Telesforowi i jego córce. Wiem, że masz z nimi kontakt, więc nie musisz robić głupiej miny. Dasz im jeszcze to...

– Co to jest? – zapytała Lonia, robiąc teraz naprawdę głupią minę.

– To kolejowe petardy ostrzegawcze. Wiesz, że pracowałem na kolei? Gdy sprawdzaliśmy tory, a te były na przykład uszkodzone po burzy, kładło się takie petardy pół wiorsty przed przeszkodą. Pierwszą mocowało się właśnie pół wiorsty przed jakimś utrudnieniem, drugą dziesięć kroków dalej, a trzecią za kolejnych dziesięć. Gdy koło pociągu najeżdżało na umocowaną na szynie petardę, ta wybuchała, powodując ogromny hałas, co pozwalało maszyniście zatrzymać skład przed przeszkodą.

– Po co to mówisz?

– No córchna! Te petardy dadzą czas na ucieczkę Telesforowi i Zosi z miejsca draki! Jeszcze nie dostałem całusa od córki?

Lonia dopiero teraz zrozumiała, że ojciec rozpracował ich siatkę dywersyjną i mocno im pomaga. Rzuciła się ojcu na szyję i przycisnęła mocno do serca.

– Skąd wiesz, komu pomagam? – zapytała, gdy emocje trochę opadły.

– No masz! A kto w naszej wsi byłby tak wspierany przez ciebie jak nie Zosia? Ja, zresztą, też bardzo lubię Telesfora i chętnie mu pomogę. Chcę walczyć także w naszej sprawie. Najważniejsza jest wolność. Za nią, córuchna, warto oddać życie.

Córka jednak nie podolała zadaniu. Dwa kanistry były za ciężkie do dźwignia przez kobietę.

– Musimy ojca włączyć do bandy! – powiedziała Lonia do Zosi, gdy na spotkanie przyszła z tragarzem.

– Dobrze, ale musi przysiąc na ślinę, że nie zdradzi! – Zosia powiedziała żartem, ponieważ ucieszyła się z niespodziewanej pomocy.

Telesfor, gdy zobaczył kanistry z benzyną i petardy kolejowe, cieszył się, jak małe dziecko. Uściskał Sołtysa i Lonię. Poczęstował świeżą sarniną z gotowanymi kłęczami tataraku.

– Smak dziwny i niespotykany – zaczął przyjaciel Telesfora po posiłku.

– Tak tutaj żyjemy od ponad pół roku. Jagody, grzyby, kłęcza i zdrowe, dzikie mięso. Od czasu do czasu jajka ptaków lub jakaś ryba. Wzięliśmy kilka worków pszenicy, ale w ziemiance zapleśniała pomimo naszych starań.

– Wiem o was od dawna. Łońka wynosi z domu co jakiś czas chleb. Nietrudno mi było się domyślić dla kogo. Pomogę wam, jak tylko mogę. Teraz jednak i u nas jest bieda. Ruskie wymiatają wszystko. Patrzą na ręce. Jak któreś z nas nie ma bąbli na rękach od ciężkiej pracy, to biją nahażem do krwi. Nieraz wolę dzieciom ręce węglem przypalić niż dać na chłostę. Najstarszemu synowi, Iwanowi, zęby kolbą wybili. Ich zdaniem za mało się uklonił. Walczysz za naszą sprawę, Telesfor. Będziemy ci pomagać.

Przeszli się razem jeszcze na skraj lasu, a podczas spaceru rozmawiali o bieżących sprawach. Lonia z Zosią nie mogły się rozstać. Wreszcie pożegnali się czule i wrócili do swoich siedzib.

Wieczorem Telesfor miał już gotowy plan ataku na sowiecki magazyn.



Chwilę po północy, zaraz po zmianie warty, Zosia rozpoczęła pracę nad odciąganiem wartownika spod magazynu. Na długim sznurku miała uwiązany suchy kołek. Z zasadzki zaczęła szybko ściągać sznur. Kołek w ciszy nocnej robił nieprzeciętne akustyczne wrażenie. Coś jakby gigantyczny wąż pełzał po trawie. Teraz ona odczołgała się dalej, nie troszcząc się o ciszę. Wartownik zaczął iść w jej kierunku z opuszczonym do strzału karabinem. Zosia rzuciła w ciemność trzy małe kamienie. Daleko od siebie. Wartownik aż przysiadł ze strachu. Spadające kamienie wydały odgłos szybkich kroków. Odwrócił się. Zosia zaczęła ściągać kołek.

– Kto tam?! – Zakrzyknął w ciemność, a jego głos drżał ze strachu.

Zosia rzuciła jeszcze jeden kamień. Duży, okrągły. Upadł z głuchym łoskotem i potoczył się w ciemność.

Mam nadzieję, że ojciec zdążył wszystko zrobić – pomyślała Zosia, gdy się wycofywała. Robiła to tym razem bezszelestnie.

Wartownik trzymał w lewym ręku karabin, a prawą nieustannie wykonywał znaki krzyża na piersi. W ciemności nocy nagle rozległ się wystrzał. Petarda kolejowa zrobiła większy huk niż kalichlorek na Wielkanoc, co spowodowało, że z wartowni zaczęli wybiegać żołnierze. Drugi wybuch nastąpił po trzydziestu sekundach przy drodze do miasta. Wartownicy puścili się pędem w tym kierunku, co dało czas Telesforowi i Zosi, aby magazyn nieprzyjaciół stanął w płomieniach. W ciemność oddalali się ze spokojem, a drogę oświetlała im luna płonącego budynku...

Do ziemianki wrócili nad ranem. Zmęczeni nocnym marszem i kluczeniem po lesie. Ostatnie kilkaset metrów pokonali, brodząc w strumieniu, który doprowadził ich do siedziby. Do wnętrza ziemianki dostali się zamaskowanym wejściem. Telesfor zapalił kuczywo. W jego świetle pokazał Zosi łup.

– Patrz, jakie buty zdążyłem jeszcze sprzątnąć.

Buty były rzeczywiście nowe i ładne.

– Zdążyłeś jeszcze wybrać rozmiar? – zainteresowała się córka.

Ojciec popatrzył jeszcze raz na buty. Jedna para była olbrzymia, a druga lilipucia.

– Mnie często karcisz, że jestem nieostrożna, a teraz ty robisz takie głupoty?

Telesfor się zaczerwienił, chociaż w świetle kuczywa nie było to widoczne.

– Snurowadła się przydadzą? – odbąknął niepewnie.



Latem na wsi gromadzi się plody rolne na zimę. Telesfor pomny tego, że zabrane w zeszłym roku zboże spleśniało, jesienią poszerzał ziemiankę, aby wygospodarować tam niewielki spichlerz na ziarno i mąkę. Zosia także nie próżnowała. Zaprowadzała w ziemiance coraz więcej ludzkich wygod. Heblowała meble i szlifowała do połysku, ale przede wszystkim dbała o czystość i porządek.

– Nie wchodź tutaj w butach – upominała ojca, gdy wchodził i zapominał, że to ich dom. – Widzisz, że na podłodze są wszędzie zwierzęce skóry. Możesz chodzić po nich na boso, a jak wejdiesz w butach, to naniesiesz brudu.

– Słucham? To ja ciebie uczyłem wojskowego porządku, a teraz wydajesz mi rozkazy? – Telesfor ze śmiechem posłusznie wykonywał polecenia córki dotyczące higieny i porządku.

Dni w nagnaniu umilały im lekcje strzeleckie, które z powodów ukrycia prowadziły „na sucho”. Czasami, gdy wiedzieli, że są z dala od posterunków i patroli, udało im się upolować z użyciem karabinu jakąś tłustą sztukę, aby później wymienić jej mięso na plody rolne.



Ojciec kroił mięso na kolację, gdy do jego uszu dobiegło ciche stukanie.

– Stuk. – Chwila przerwy. – Stuk.

Zastanowił się, co to może być. Z ciekawości wyszedł przed ziemiankę.

- Stuk. – Spojrzał w tym kierunku i zobaczył córkę rzucającą nożem w drzewo.
- Co robisz? – zapytał lekko poirytowany.
- Zabijam nudę.
- Nożem?
- Związuję tutaj z nudów – parsknęła na granicy płaczu.

Telesfor wiedział, o czym mówiła. On też czuł się w tym lesie jak w więzieniu. Zwłaszcza gdy pogoda nie sprzyjała wyjściu na jakąś akcję, a tych dni jesienią było coraz więcej. Siedzieli wtedy przy łuczywie w pomieszczeniu wielkością przypominającym więzienną celę i opowiadali sobie różne historie. Niestety teraz Telesfor zauważył początki załamania nerwowego u córki.

Wcześniej oprócz zwykłych obowiązków Zosia pracowała z nim przy moście. Czytała książki dostarczane przez obwoźną bibliotekę, strzelała z karabinu i spotykała się z rówieśnikami. Jej dzień wypełniony był czynnościami tak treściwymi, że nieraz zapominała o posiłku.

- Chodź, pomóż mi przy kolacji, a po jedzeniu znajdziemy lekarstwo na nudę.

Najgorsze w tych dniach okazywały się chwile przed zaśnięciem. Tęsknota za domem i wolnością rozrywała wręcz serce. Umierał wtedy wesoły duch tej rodziny, a jego miejsce zajmował marazm i zgorzknienie.

- Jest taki sposób trenowania strzelectwa, który najlepiej realizować przed snem, w łóżku – zaczął rozmowę ojciec, kiedy na patelni zaczęło skwierczeć mięso.

- Strzelanie w łóżku!? Czego ty nie wymyślisz? – Zosia wręcz wybuchła śmiechem. – Nie do wiary, że mam aż tak zakręconego ojca!

- Wyobrażenie idealnego strzału już znasz – kontynuował Telesfor także uśmiechnięty, ponieważ i jemu udzieliła się radość córki. – Teraz zaczniemy wyobrazać sobie taki perfekcyjny trening. Cały. Wyobrażać sobie będziesz, jak przyjmujesz postawę strzelecką, ładujesz nabój, składasz się do strzału, zgrywasz przyrządy, wyciskasz spust i wytrzymujesz po strzale, a pocisk łąduje w środku tarczy.

- Ciekawe, ale czemu to ma służyć? – zapytała, dosalając potrawę.

- Są sytuacje w życiu wojownika, kiedy nie może trenować. Przywołaj w pamięci Wikingów, którzy udawali się łodziami na wyprawy. Zamiast treningu ich jedyną aktywnością było wiosłowanie. Podczas tej czynności, wykonywanej przez wiele dni, żeglarze pochodzący z pewnych osad śpiewali. Ich pieśni opisywały walki, zwycięskie pojedynki z drobnymi szczegółami. Szybko zauważono, że takie osady były bardziej waleczne od tych milczących na morzu. Zaczęto więc układać specjalne pieśni o sekwencjach tworzących chronologiczne odwzorowanie pojedynku.

- Będziemy układać piosenki?

- Możemy. Każda forma jest dobra. Ja na początek proponuję zwykłe wyobrażanie przed snem.

Zaczęli jeść kolację i dyskusja na chwilę przygasła. Ojciec podjął temat pierwszy.

- Nawet podoba mi się twój pomysł z piosenką. Uaktywni twój ośrodek twórczy w mózgu.

– A ja na przykład miałam dość twojego śpiewania. Zawsze śpiewasz przy heblowaniu desek i na dodatek mocno fałszujesz. Dobrze, że teraz musimy się ukrywać i zachowywać ciszę. Przynajmniej uszy mi nie wędzną od twojego jodłowania.

– Rozumiem, jednak kalczenie drzewa nożem, właśnie wtedy, gdy kładzie się spać, nie jest lepszym pomysłem.

– Jak kładzie się spać? – prychnęła czarnowłosa w swój kosmyk włosów, który spadł jej na nos.

– Owszem. Drzewo na jesień traci liście, zasypia. Nie krążą w nim soki, które mogłyby zbliżnić ranę, jaką zadałaś nożem. Teraz aż do wiosny przez te rany do drzewa będą wchodzić zarodniki grzybów, bakterie i inne choróbska. Drzewo ci o tym nie powie, ale cierpi po ranie zadanej nożem jak człowiek.

Zosia nie odzywała się długo. Szanowała przyrodę i było jej przykro, że za cel nie obrała sobie spróchniałego pnia albo deski. Teraz zagryzała swój niesforny kosmyk włosów, myśląc intensywnie. Cieśla przerwał to dumanie i powiedział:

– Rozgrzejemy trochę żywicy nad ogniem i opatrzymy rany. Nie przejmuj się teraz, tylko zawsze pomyśl przed zrobieniem czegoś. Zaczniemy lepiej trening, dopóki nie uleciał twój duch bojowy.

– Dobrze. To co mam teraz robić?

– Kładziemy się spać jak każdego dnia, ale teraz zamiast liczyć barany, wyobrażamy sobie każdą czynność na strzelnicy. Jakbyśmy normalnie trenowali strzelanie. Oddajemy w myślach dziesięć strzałów.

– I wszystkie mają być dziesiątki? – Uśmiech córki był widoczny nawet przy zgaszonym łuczynie.

Zosia nie oddała jednak dziesięciu strzałów w umyśle. Zasnęła już po trzecim. Na drugi dzień obudziła się wyspana, ale zaniepokojona.

– Co się stało? – zapytała, gdy zobaczyła, że ojciec także nie śpi.

– Czary! Ja też nigdy nie oddałem w umyśle dziesięciu strzałów. Kiedyś w biały dzień, gdy byłem wypoczęty, udało mi się oddać dziewięć.

– Dziewięć! Tylko dziewięć!

– Tak. Pomyśl, jakie to obciążenie dla umysłu. Chyba jednak lepiej ułożyć zwrotkę piosenki i zaśpiewać ją dziesięć razy.

– Ale jesteś pewien, że takie strzelanie w umyśle daje jakieś efekty?

– Absolutnie pewien. Lepsze efekty niż samo strzelanie! – Ojciec zaśmiał się głośno. – Kiedyś do naszej jednostki przyprowadzono nowe konie. Były młode i dzikie. Mieliśmy je ujeździć. Markowi, memu wówczas koledze, dostał się najbardziej narowisty. Nie dość, że zwierzęciu udało się zrzucić Marka z siodła, to jeszcze kopnęło go nieszczęśliwie w nogę i połamało kości. Mój kolega spędził wtedy w szpitalu długie miesiące. Przechodził kilka poważnych zabiegów, a noga nie wyglądała wcale lepiej. Odwiedzałem go jednak codziennie i pomagałem trenować strzelanie w umyśle. Gdy wreszcie wyszedł ze szpitala, akurat trafił na nabór do zawodów strzeleckich. Marek wyglądał jak półtora nieszczęścia, ale poszedł do dowódcy i poprosił, aby jego także wciągnięto na listę zawodników. Dowódca na widok desperata nawet nie zaprzeczał. Zapisał go z litości.

– I co? I co? Wygrał? – niecierpliwiła się dziewczyna.

– W sobotę o siódmej rano po apelu poszliśmy na strzelnicę. Tam czekali na nas już zawodnicy z innych jednostek. Jeden skupiał wokół siebie niemalę grono. To był moskwiczanie, Maltsev. Wygrywał każde zawody, a jego karabin z kutą przez Merkla lufą obrósł już legendą. Spojrzałem na Marka i zrobiło mi się go żal. – Przerwał na chwilę, aby przełknąć ślinę i przemyśleć dalszy ciąg. – Stanęli więc obok siebie Marek i Maltsev, a z powodu różnicy wieku wyglądali przy tym jak dziadek z wnuczkiem.

Telesfor ponownie przerwał i rozpałił ogień w kominku. Postawił tam dzbanek z wodą i dokończył opowieść:

– Zawody rozpoczęły się od strzelania na stu metrach. Tam odpadła ponad połowa zawodników. Każdy z nich marudził, że miał złą amunicję, albo nie tak dobrane nastawy przyrządów. Po strzelaniu na trzysta metrów do pięćsetki zakwalifikowało się już tylko kilku. Ja trzymałem się dzielnie aż do tego dystansu. Po połówce, połówce kilometra, pozostali tylko dwaj: Marek i Maltsev. Każdy myślał, że to już koniec. Bo przecież na kilometr jeden trafi, a drugi nie, i finał. Jednak długo musieliśmy czekać na zakończenie zmagani.

– Opowiesz w końcu, jak to się skończyło?

– No właśnie opowiadam... A więc Maltsev strzelił pierwszy. Celem był jeździec na koniu, oczywiście całość wycięta z blachy. Trafienie zatem potwierdzał dźwięk pocisku uderzającego w sylwetkę. Po kilku sekundach od strzału usłyszeliśmy słabe „brzdęk”. Teraz pozycję zajął Marek. Sińce pod oczami, wychudzone ręce i rzadkie włosy nie przystawały do zawodnika biorącego udział w finale. Jednak i po jego strzale do uszu sędziów doleciało ciche „brzdęk”.

– I co?

– No i tak jeszcze wiele razy. Maltsev był zlany potem. Jego karabin z kutą lufą ważył pewnie z siedem kilogramów. Marek był w jeszcze gorszym stanie. Po dwudziestym szóstym strzale powiedział do mnie: „Telesfor. Już nie dam rady fizycznie. Ręce mi się trzęsą, a noga boli, jakby ją ktoś młotkiem uderzał”. Maltsev oddał dwudziesty siódmy strzał. Celny. Odstawił karabin na stojak i poszedł za namiot sędziowski. Dopiero później po zawodach się dowiedzieliśmy, że tam zwymiotował i padł na kolana. Marek w tym czasie podniósł karabin i bez celowania oddał szybki strzał w niebo. Poddał się... Moim zdaniem za szybko, ale nie byłem w ciele ani Marka, ani Maltseva. Oni przeżywali finał i fizycznie, i psychicznie.



– A co z treningiem? Bo o nim jest niby ta cała historia.

– No właśnie pytałaś o efekt treningu w umyśle. Marek nie trenował prawie pół roku, a stawiał czoło jednemu z najsłynniejszych wówczas w armii snajperów.

– To pomóż i mnie tak wspaniale trenować.

– A myślisz, że po co ci to wszystko opowiadam?



Następna zima na szczęście nie była już taka ciężka. I to z wielu powodów. Zosia z Telesforem przywykli do swojego nowego domostwa. Las rzeczywiście wykarmił ich bezproblemowo. Ważnym powodem do polubienia ziemianki była też świąteczna choinka.

– To po to zbierałaś i barwiłaś te wszystkie rybne pęcherze!

Choinka była czymś niezwykłym. W tych warunkach i w tym niebezpiecznym wojennym czasie można ją było porównać do tańca w deszczu lub innej abstrakcyjnej

rzeczy. Zosia, gdy ją zobaczyła, rzuciła się ojcu na szyję.

- Ale mi zrobiłeś niespodziankę! - Miała w oczach łzy.
- Musimy normalnie żyć, pomimo zwariowanego świata...

Telesfor miał jeszcze inne niespodzianki, ale z ich ujawnieniem czekał do dnia wigilii.

Zosia natychmiast rzuciła się w wir pracy. Zaczęła robić słomiane ozdoby. W trakcie ich przygotowywania układała w myślach, co podać na stół wigilijny. Dwa dni zbierała produkty. Szykowała się jak do akcji. Czyściła naczynia i garnki. Na ławie układała wszystkie produkty po kolei jak żołnierzy na musztrze. Do gotowania miała bowiem tylko mały piecyk, na którym naraz mógł stać tylko jeden garnek lub patelnia.

Ze skromnych zapasów żywności udało jej się wyczarować barszcz, pierogi z grzybami, kutię, zasmażaną kapustę z grzybami, galaretę na rybich głowach, smażoną rybę, zawijane roladki z rybą i serem oraz kompot z suszonych owoców. Kutia była bez maku, za to miała dużo orzechów i miodu.

Telesfor tymczasem szykował wieczorną iluminację. W niektórych domach co sprytniejsi wklejali w gałązki choinki małe kulki z gliny i w tę wciskali palące się łuczywka. Choinka wyglądała wtedy pięknie, ale Telesfor znał przypadki, kiedy z tego powodu w ciągu pół godziny po chałupie krytej strzechą zostawały tylko popioły i zgliszcza.

On na ten wieczór ulepił z gliny rynienki w które powtykał łuczywka w taki sposób, aby odpalały się jedne od drugich. Rynienki poprzyklejał dookoła ziemianki. Glina zapewniała bezpieczeństwo od ognia, a ilość łuczywek sprawiła, że ich skromna ziemianka była pełna blasku i ciepła. W łuczywka za pomocą mącznego kleju zamocował co kawałek ziarenko prochu. Palące się łuczywko ożywało na moment jaśniejszą gwiazdką i dawało fantastyczne błyski.

Skunks wdrapał się na jedną z pryzc i przykrywszy sobie nos łapami, ciężko westchnął.

- Ty też dostaniesz. Ty też. Jesteś przecież naszym domownikiem. - Zosia się zaśmiała, kiedy widziała, że zapachy jedzenia mocno drażnią psa.

Dała mu dużą część ogona ryby, podłożywszy wcześniej lnianą szmatkę na łóżko. Pies kłapnął parę razy szczęką i znowu patrzył na czarnowłosa.

- No zbóju! Na więcej nie licz.

- Daj mu jeszcze - poprosił Telesfor. - Dzisiaj wigilia. Zwierzęta będą mówily ludzkim głosem. Zobaczysz, jak ci nawtyka po północy.

Zosia się roześmiała i dała psu jeszcze kawałek.

Zasiedli do kolacji. Ich stolik nie mieścił wszystkich dań, które przygotowała dziewczyna. Ziemianka jednak była tak mała, że nie trzeba było daleko sięgać po resztę.

Po kolacji podzielili się chlebem i złożyli sobie życzenia. Nie musieli się wysilać nad ich treścią. Każde z nich życzyło drugiemu szybkiego zakończenia wojny. Usiedli jeszcze na kompot, gdy ojciec wyciągnął coś zza pazuchy.

- To dla ciebie - powiedział z wyciągniętą w jej stronę ręką.

W niej trzymał nóż fiński w przepięknej skórzanej pochwie. Nóż był duży. Ostrze wypolerowane jak lustro było niczym brzytwa.

– Kował to wykul z pilnika i resoru. Ja wypolerowałem i oprawiłem w drewno. Potem rymarz dorobił pochwę.

– Kiedy i jak to wszystko zrobiłeś? – zapytała z niedowierzaniem Zosia.

– Mam swoje sposoby... no i znajomości. Tylko się nie bój, nie wyszedłem z konspiracji. Wszystko to zlecał sołtys, tylko płacił moją sarniną.

Nóż był rzeczywiście piękny. Wypolerowany tak, że każdy promień światła odbijał się jak w kryształach. Miało się wrażenie, że przez tę wypolerowaną stal zagłębia się do innego świata. Jak przez tajemniczo uchylone drzwi. Że był ostry, to mało powiedziane – nawet nie wolno i nie warto było próbować. Zosia, jak to ona, oczywiście zrobiła próbę issała teraz krwawiący palec. Rączkę miał drewnianą, ale z jakiego drewna? Fantastycznie usłojona grusza o barwie czerwieni z brązem wyglądała niecodziennie. Jakby do soku malinowego ktoś wlewał cienkie strużki ciemnobrązowej kawy.

Pochwa była tak usztyta, że nóż nie dyndał z boku pasa tylko na skos, prawie leżąc, był schowany za paskiem.

– Noś go na plecach. Nie będzie ci przeszkadzał w codziennych pracach. Sięgniesz go bez problemu, nawet gdy będziesz leżała. Będzie też niewidoczny dla przeciwnika stojącego naprzeciw.

Telesfor wiedział, że broń spodobała się dziewczynie. Widział jej zachwyt i radość. Zachmurzył się na chwilę, bo pomyślał o tym, że córce powinien pod choinkę dać całkiem inny prezent. Jednak trwała wojna, a więc czas, kiedy broń należało nosić przy sobie bez ustanku. Teraz przez jego głowę przebiegła inna myśl. Uśmiechnął się do niej. Wyobrazził sobie bowiem, jak właśnie taką postawą rodzinną potrafią wywalczyć na powrót wolność.

– Ja też mam dla ciebie prezent! – Uśmiechnięta córka podała ojcu coś zawiniętego w kolorowy papier.

Pachniało nie po męsku.

– Co to tak pachnie? Mydełko! Różowe! Zawsze takie chciałem mieć...



Na przedwiośniu zawsze rolnikom było ciężko. Teraz podatki nałożone przez Rosjan nijak się miały do prawdziwej gospodarki. Żołnierze zabierali nawet ziarno siewne, nie dbając o to, co rolnik zasieje w polu. Biada była takiemu, co ukrył ziarno, a żołnierze znaleźli skrytkę. Żyzne gleby tych terenów mogły w tym roku stać się bezpłodnymi ugorami.

Oszczędzano więc na wszystkim. Wybijano kury, bo i tak nie było ziarna, aby je karmić. Po polach zaczęły biegać bezpańskie psy. Ludzie pozbywali się tych miłych stworzeń, gdyż nie starczało jada dla nikogo.

Pewnego ranka Zosia wyszła nabrać wody ze strumienia i wtedy to zobaczyła... ciemne, niespotykane wcześniej kształty w wodzie. Szybko wróciła do ziemianki.

– Chodź szybko, zobacz, co pływa w wodzie!

Ojciec wciągnął futrzaną kurtkę i czapkę, po czym wyszedł za córką na dwór.

– To szczupaki! – Westchnął. – Szukają miejsca na tarło, bezpiecznej płycizny. Biegnij szybko w las i wytnij leszczynową tyczkę. Taką, żeby sięgnęła do środka strumienia.

Zosia nie wiedziała, co kombinuje ojciec, ale pobiegła na mniej zarośnięte stoki, gdzie rosły leszczyny. Telesfor tymczasem umoczył dratwę w żywicy, a następnie w suchym żwirku. Zawiązał pętlę, którą dla odmiany natarł parafiną ze świecy, aby ślizgała się i łatwo zaciskała. Gdy dziewczyna przybiegła z tyczką, uwiązał pętlę na końcu i zapowiedział:

– Teraz będziemy rybakami.

Zarzucił pętlę w nurt strumienia i wprawnym ruchem zacisnął na pierwszej rybie. Szarpnął jeszcze delikatnie, aby zacisnąć pewniej pętlę, i rozpoczął holowanie ryby. Szczupak rzucił się niesamowicie i bryzgał wodą, jednak Telesfor już wyholował go na brzeg.

– Poluźnij pętlę! Tylko uważaj na paszczę, bo szczupak ma zęby jak igły! – Telesfor rzucił ponownie pętlę.

Za chwilę druga ryba pojawiła się na brzegu. Ryby podczas tarła nie płoszyły się, więc dzięki temu można było ich nałapać naprawdę dużo.

– Daj spróbować – poprosiła Zosia.

Telesfor wręczył czarnowłosej tyczkę, a sam poszedł sprawić ryby. Brzegi były strome i już jeden szczupak skorzystał z nieuwagi dziewczyny, dzięki czemu dostał się z powrotem do wody.

– Ich! Och! Aj! Aj! Aj! – piszczała Zosia, gdy złapała pierwszą rybę. – Uff! Uff! Uff! Kurczę, dawaj tu bratku! – Ciągnęła naprawdę dużą sztukę i bała się, że zerwie dratwę.

– Odrzucaj ryby trochę dalej. Ja idę do wsi po pomoc. Niech inni ludzie także się najedzą.

Poszedł do wsi. Skradał się do domu swojego przyjaciela. Sołtys jeszcze miał psa, więc Telesfor wziął dla niego spory kawałek sarniny. Pies poznał Telesfora i przestał ujadać po otrzymaniu mięsa. Cieśla szybko wskoczył do domu.

– Witaj! – powiedział na progu.

– Witaj, Telesfor. Co cię tu sprowadza?

– Coś, dla czego warto ryzykować. – Uśmiechnął się, bo sołtys na przywitanie objął go ramionami. – Mięso.

– Co?

– Mięso. Ryby. Szczupaki, rozumiesz. Szukają sobie miejsca na tarło. Zosia je tam łapie. Taaakie sztuki! – Telesfor wyciągnął ręce na boki, aby unaocznić gospodarzowi wielkość ryb.

– Nie przesadzaj, takich dużych ryb nie ma w okolicy.

– W okolicy nie ma, ale te ryby płyną z daleka. No, może niektóre są mniejsze. – Telesfor się skrzywił i zmniejszył odległość między dłońmi. – Bierz kosze od ziemniaków na wóz. Zaprzęgaj i jedziemy z Lonią do lasu. Przydałaby się też stalowa linka, bo na dratwę nie da się łapać dużych sztuk.

– Lonia! Biegiem tu! – zakrzyknął gospodarz. – Przywitaj się, nie widzisz, kto przyszedł?

Lonia wbiegła do przedsionka i ujrzawszy Telesfora, rzuciła się mu na szyję.

– Dzień dobry! Dzień dobry! Jak miło was widzieć! Co tam u Zosi? Co u niej?

– U nas wszystko dobrze. Przyszedłem tutaj, ponieważ ryby płyną na tarło. Są ich setki. Zośka łapie co chwilę olbrzymią sztukę. Pożycz kosze do ziemniaków od sąsiadów. Najmniej sześć. Nakarmimy całą wioskę – zarządził Telesfor, gdy zauważył, że sołtys wyciąga spod rupieci stalową linkę.

Pojechali w las. Sołtys z córką na wozie, a Telesfor biegł chyłkiem między krzakami, obserwował, czy ich ktoś nie śledzi. Gdy już byli głęboko w lesie, także wskoczył na wóz.

– Dzieją się straszne rzeczy Telesfor – zagadnął sołtys. – Oprócz ruskich najeżdżają nas jakieś bandy. Wjeżdżają w nocy na koniach, nie boją się niczego.

– To czas wojny. Wiedziałem, że tak będzie. Nie żołnierze są najgorsi tylko tacy maruderzy. Bez komendy i nadzoru.

– Najgorsze jest to, że mordują ludzi – wtrąciła Lonia. – Polaków, Cyganów, Tatarów, Żydów. „Ukraina dla Ukraińców” krzyczą.

– Moja Marysia jest Polką, zresztą, wiesz. – Sołtys westchnął ciężko. – Chyba nikt o tym nie wie, ale już nie śpimy spokojnie.

– Co mają do Tatarów i Cyganów? – dopytywał Telesfor.

– Nic! Ciężko ich odróżnić od Żydów, więc dla pewności zabijają i tych. Zresztą, wiesz, chodzi o złoto! Nie o kraj czy jakieś idee. Te bandy mordują i zabierają bezkarnie dobytek. Tego, czego nie mogą zabrać, nie potrzebują, więc palą.

Telesfor aż sapał z nerwów. Zaciskał dłonie aż strzelały stawy.

– Kiedy ludzie w końcu zrozumieją... – stwierdził tak cicho, że nawet Lonia siedząca obok nie usłyszała tego, co powiedział. – Dalej nie pojedziemy. Droga się skończyła. Spętaj konia i pójdziemy nosić ryby.



Po drodze cieśla wyciął naprawdę solidną tyczkę i dociągnął do niej stalową linkę. Szli, prawie nie rozmawiali, gdy nagle usłyszeli dyszenie i piszczenie podekscytowanej osoby.

– To Zosia – wyjaśnił Telesfor. – Jest pierwszy raz na rybach. – Uśmiechnął się do swoich myśli, że mimo trwającej sowieckiej okupacji, dzieci znajdują czas na radość i zabawę.

Czarnowłosa nałapała w tym czasie już wiele ryb. Leżały ogłuszone rzędem jak powitalny dywan.

– Uff! Ale połów – skonkludował sołtys..

– Dasz mi też połapać? – zapytała Lonia, kiedy dostrzegła w tym świetną zabawę.

– Masz! – Telesfor podał jej tyczkę ze stalową pętlą.

Lonia pobiegła nad wodę. Szybko załapała, o co w tym rybołówstwie chodzi i już po chwili holowała potężną sztukę. Teraz z radości i emocji piszczały już dwie dziewczyny.

Szczebiotały, gdy któraś ryba ochlapała je zimną wodą.

– Chodź, będziemy nosić połów – powiedział sołtys do przyjaciela, podając wielki wiklinowy kosz.

Zrobili dwa kursy między strumieniem a wozem, gdy zorientowali się, że ryb na brzegu zamiast ubywać to przybywa. Dziewczyny używały dwóch pętli, więc szybko dokładały kolejne sztuki.

– Dziewczyny, koniec zabawy – oznajmił łagodnie Telesfor. – Musicie pomóc nosić. Widzicie, że nie dajemy rady?

– Jeszcze po jednej! – poprosiła Zosia, a Lonia „zacięła” właśnie naprawdę wielką sztukę.

Rozochociona sukcesami dziewczyna polowała na coraz większe okazy. Teraz jej wędka wyginała się w parabolę, co groziło jej uszkodzeniem. Mężczyźni stali opodal i przyglądali się temu w milczeniu. Nie chcieli psuć dziewczynie zabawy. Jednak gdy szczupak był przy brzegu, a jego ciężar uniemożliwiał wyciągnięcie, sołtys wszedł do wody. Chciał odebrać giganta i wyrzucić na brzeg, gdy nagle ryba się targnęła. Jej otwarta paszcza przez przypadek chwyciła dłoń mężczyzny w wodzie. Ostre jak szwaskie szydła zęby zacisnęły się na miękkim ciele.

– Auuu!! – wrzasnął sołtys.

Lonia ze strachu puściła wędkę. To był wielki błąd. Ryba poczuła luz i targnęła się z całą siłą kilkunastokilogramowego cielska. Mężczyzna wpadł do wody.

– Ratunku!! – krzyczał, gdy w płytkim strumieniu podpierał się na kolanach i wolnej ręce.

Telesfor i Zosia nie czekali na jego krzyki i rzucili się do wody, lecz walka w wodzie z rybą nie jest łatwa.

– Ratujcie! – krzyczał zaatakowany mężczyzna.

Strumień nie był ani głęboki, ani szeroki, ale ryby nijak nie można było pewnie chwycić. Woda wokół zabarwiła się na czerwono. Sołtys krzyczał, sapał i wył z bólu. Szczupak chlapał wszystkich wodą i podniecony smakiem krwi walczył jak jakiś mityczny, morski stwór.

– Lonia! Wędka! Ciągnij za wędkę! – Zosia krzyknęła, wskazując ręką dyndający kij.

Dziewczyna otrząsnęła się z pierwszego szoku, chwyciła koniec kija i zaczęła ciągnąć. Jednak pętla zdążyła się już rozluźnić i zsunąć w kierunku ogona. Ryba targnęła się jeszcze kilka razy i uwolniła z pętli.

– Odgryzie mi rękę! – wrzeszczał sołtys, waląc pięścią w pancerny łeb ryby.

– W wodzie go nie pokonamy! – krzyknął Telesfor do córki.

Sołtys siedział teraz w wodzie i z bólu zakrywał dłonią oczy. Ryba ważyła tyle co średni pies, ale zębów miała tyle co dwadzieścia psów. Jej śliskie i obłe ciało pokryte pancerną łuską nie dawało zaczepienia dla palców. Telesfor słyszał kiedyś od rybaka, że szczupaka łapie się ręką za oczy. Jednak czaszka ryby była większa niż jego dłoń! Wyglądało na to, że rzeczywiście szczupak odpłynie z ręką.

Wtedy Zosia sięgnęła po finkę. Za radą ojca zawsze nosiła ją za paskiem na plecach. Objęła lewą ręką ciało ryby tuż za skrzelami, a pod skrzelą wbiła nóż. Teraz rączka

noża była jedynym pewnym chwytem, za który można było ciągnąć stwora. Zaatakowany drapieżnik zaczął rzucać się i szamotać jeszcze bardziej, ale Zosia go już nie puściła. Wiedziała, że drugiej szansy nie będzie. Sapnęła i z półprzysiadu dźwignęła rybę razem z sołtysem. Targnęła ciałem jak koń na zrywce i wyciągnęła walczącą parę na brzeg.

Teraz skoczył Telesfor. W jego ręku także błysnęła stal. Wsadził swój prawie półmetrowy bagnet w paszczę ryby, co spowodowało złamania zębów, które broniły dostępu do ręki towarzysza. Zosia tymczasem przyklękła całym ciałem na grzbiecie ryby i potężnym pchnięciem noża w kręgosłup tuż za głową pozbawiła ją życia. Rozwieranie paszczy trwało jeszcze chwilę, bo zęby bestii były niebezpieczne jeszcze po jej śmierci.

Sołtys mdłał. Jego opadające powieki i płytki oddech świadczyły, że jest na progu wytrzymałości. Dłoń mężczyzny nie przypominała bowiem niczego, co do tej pory widzieli. Krew kapiała jak z durszlaka.

– Szybko! Prześcieradła! – Telesfor spojrział na Zosię. Ta zrozumiała natychmiast. – Nie mdlej mi, bratku. Już jest po wszystkim. Ubiliśmy krakena!

Sołtys jednak zemdłał. Cieśla uniósł jego dłoń wysoko, aby mniej krwawiła i przyniesionymi przez córkę materiałami zaczął oczyszczać rany.

– W zasadzie dobrze, że zemdłał. Poobcinamy teraz te części ciała, które się już na pewno nie przyrosną, a będą gnić i powodować zakażenie.

Gdy to mówił, wziął od Zosi jej nieprzeciętnie ostrą finkę i zaczął obcinać niepotrzebne ochłapy skóry. Lonia także zemdłała.



Zoska przyglądała się pracy ojca. Na jego polecenie przygotowała wywar z kory dębu i po jego ochłodzeniu przemyła wszystkie rany na pokiereszowanej ręce. Dłoń wyglądała strasznie. Telesfor z dratwy zrobił parę szwów, które wyglądały tak, jakby ktoś na siłę próbował sklecić coś z niczego.

– Każdy kawałek skóry jest ważny. Jak ma ukrwienie, to szybko połączy się z innym kawałkiem blizną i po kłopotcie. Jak jest za mało skóry, to człowiek może umrzeć – pouczał córkę, która przyglądała się szyciu z zaciekawieniem. – Ocuć teraz Lonię. Podnieś jej nogi wyżej od ciała i pocieraj jej policzki i dłonie.

Wszyscy byli mokrzy od zimnej wody. Na dworze panowała rześka temperatura, ale każdemu było gorąco z emocji. Dopiero po założeniu kompletnego opatrunku ocucili poszkodowanego. Zosia napaliła w ziemiance, a Lonia zrobiła gorącego czaju. Sołtys błady z bólu i emocji pił, a kubek trzymał w trzęsącej się dłoni.

– Nie wiedziałem, że tu są tak groźne ryby – powiedział cicho niezwykle słabym głosem.

– Kto wie, skąd przyplęły te szczupaki. Ludzie powiadają, że są i takie, które można spotkać w morzu – dopowiedział Telesfor. – Tamte niby rosną do nawet dwustu pudów. Ten, z którym walczyliśmy, to w takim wypadku dopiero narybek.

– Na początku cieszyłam się z ryb i mięsa – odezwała się Lonia. – Teraz widzę, że nawet na ryby trzeba uważać.

– Hi, hi! Dopiero teraz o tym wiesz? Pamiętasz, jak nasz chowany w zagrodzie zajęć pogryzł psa osadników? Pies był dwa razy większy od naszego długoucha, a ten mało go nie zagryzł. To sprawa charakteru, a nie wielkości czy siły.

Telesfor dumnie słuchał wywodów córki, ponieważ właśnie takie przekonania jej wpajał.

– Do herbaty mamy jeszcze placki ziemniaczane – powiedziała Zosia, stawiając na mały stół talerz ze stertą podpłomyków.

Jedli z apetytem. Pomimo mdłości i uścisku w żołądku sołtys zjadł także.

– Przenieśmy te ryby na wóz, a nocą rozdram po ludziach. – Powiedział słabym głosem. – Muszę się jak najszybciej położyć, bo dłoń pulsuje mi bólem, jakby ją ktoś piłą rznął.

– Tak. Jedźcie do wsi i wypocznijcie. Ja jutro do was zajrzę i zmienię opatrunek.

Był to piątek po południu. Gdy w sobotę Telesfor podkraść się do wsi, usłyszał podniesione głosy i rumot rzadko we wsi spotykany. To gospodarze w podziękowaniu za ryby urządzali sobotnią kolację i zabawę. Do sołtysa wezwano lekarza, aby opatrzył ranę fachowo i wymienił koślawe szwy Telesfora na zgrabny ścieg gwarantujący szybkie wygojenie.

Ryb było rzeczywiście sporo. Każda rodzina dostała po kilka sztuk. Mięsa było pod dostatkiem. Inwentarz także dostał swoją działkę. Kury uwielbiają podroby, więc ich ziarno przypadło dla bydła, które zadowolone meło ozorami. Zapomniano na moment o troskach i zaczął się bał. W karczynie przy rynku rozstawiono stoły, miejscowi grajkowie zaczęli stroić instrumenty, a każda gospodyni przyniosła albo produkty albo przygotowaną strawę. Karczmarz przywiózł schowaną na czarną godzinę beczkę wódki, którą natychmiast odszypuntowano i rozlano pierwszą kolejkę.

Telesfor przyglądał się temu z uwagą.

– Nie uważasz, że to zbyt wielka nieostrożność w czasie wojny? – zapytał, oglądając pięknie poszytą dłoń przyjaciela.

– Co zrobisz? To przecież ludzie. Nie utrzymasz ich na łańcuchu. Dzisiaj się pobawią, jutro niedziela. Odpoczną, a w poniedziałek wrócą do kieratu. Do pracy i codziennych trosk.

– Rozumiem, batem ich nie rozgonisz. – Telesfor popatrzył na siną i opuchniętą dłoń. – Bez rześkiej krwi nie zagoją się rany. Niech ludzie tańczą i się śmieją. Może trauma wojny zostanie szybciej zapomniana.

Pożegnał się z rodziną przyjaciół i odszedł w las do swojej kryjówki. Cały czas dochodziły go dźwięki muzyki. Chichoty i krzyki. Las niósł echo zabawy dalej niż można było się spodziewać.



– Musimy wrócić na skraj lasu. Patrować drogi i czuwać nad bezpieczeństwem osady. Czuję przez gacie coś niedobrego. – powiedział Telesfor po wejściu do ziemianki.

– Przez gacie możesz czuć tylko coś śmierdzącego – odpowiedziała z uśmiechem czarnowłosa. – Co u sołtysa i Loni?

– Ręka jest w dobrych rękach, jeśli mogę tak powiedzieć. Wezwali na koszt wsi doktora, a teraz, po obdukcji, cała wieś świętuje obfity połów.

– Tego mogłam się domyślić. – Zosia przymknęła jedno oko i próbowała naśladować minę mocno pijanego człowieka.

– No właśnie. Wszyscy pijani, więc chociaż my trzymajmy wartę.

Wyszli w ciemną noc z karabinami w rękach. Znali tu już każdy krzak i każde drzewo. Szli więc szybko i bez problemów. Gdy wyszli na pole, gwiazdy rozświetliły im trochę dalszy horyzont. Zosia dobrze słyszała odgłosy zabawy i rozpoznawała nawet niektórych mieszkańców krzyczących bardzo ochotczo. Po raz setny bowiem wznoszono toast za zdrową rękę sołtysa.

– Nieźle się bawią – szepnęła czarnowłosa. – Ręka sołtysa wkrótce się zagoi.

Telesfor nie odpowiedział. Wskazał dłonią kierunek zwiadu i ruszył skrajem lasu pierwszy.

Noc oprócz zabawy była spokojna. Wrócili nad ranem zmęczeni patrolem i marszem. Nic nie wskazywało na to, aby ta wieś była interesująca dla band złoczyńców.



Gdy po raz kolejny znużona tym obowiązkiem Zosia szła na zwiad w kierunku ich dawnego gospodarstwa, usłyszała coś niepokojącego. Kiedy znajdowała się w niewielkiej odległości od granic pól przynależnych do mieszkańców wsi, zaczęła rozumieć, że zbity do niedawna w jedno dziwny hałas, to mieszanina krzyków i wrzasków. Podążała wciąż standardową trasą, lecz gdy mijała gospodarstwo mieszczące się na skraju wsi, zobaczyła, jak straszne rzeczy dzieją się na podwórzu.

Do kłonicy wozu przywiązano chłopca i bito go nahajem po gołych plecach. Chłopca darł się w niebogłose. Płakał i tłumaczył oprawcom, że nic nie wie. Wtedy znowu padały ciosy. Jego rodzina stała na boso, na śniegu. Zosia przez dłuższą chwilę przyglądała się temu zamurowana. Nie rozumiała, co spowodowało, że tak straszną karę, na oczach rodziny, otrzymuje dobrze znany jej gospodarz. Nie pojmowała, co oprawcy rozumieli przez oskarżanie go o nieposłuszeństwo. Przecież to nie żaden wróg tych bandytów, a człowiek chcący normalnie żyć i dbać o rodzinę w tak tragicznych czasach. Znała doskonale dzieci, które teraz zmuszone przyglądały się torturowaniu ich własnego ojca.

Nie wytrzymała... Zdjęła z ramienia sztucer i pomimo bezwzględności zakazu ojca oddała strzał. Emocje wzięły górę. Emocje tak silne, że nie zwracała uwagi na daną ojcu przysięgę, że nie strzeli do człowieka. Przed oczami miała jednak skatowanego prawie na śmierć, bezbronnego chłopca, więc bez zastanowienia oddała strzał.

Ten, który bił batem, znieruchomiał z podniesioną do góry ręką. Upuścił narzędzie tortur i uchwycił się wozu. Reszta bandy, kiedy się zorientowała, że ich przywódca został postrzelony, w panice powisała na konie i rozpięzła się jak spłoszone ptactwo.

Na podwórku został chłop, jego rodzina i trzymający się wozu oprawca.

Zosia dopiero teraz zdała sobie sprawę, że mocno nabroiła. Nie wiedziała jeszcze (i nie mogła wiedzieć), jakie będą konsekwencje strzału. Przypuszczała natomiast, że ta historia nie skończy się szczęśliwie. Gdy dotarło do niej, że uratowała od zakatowania człowieka, zrozumiała także, że za chwilę może znaleźć się w niebezpieczeństwie. Mocno wystraszona ukryła broń i pobiegła do sołtysa.

– Otwierać! Otwierać! – krzyczała, łomocąc do drzwi.

Na podwórku pies uwiązany do budy szczekał jak oszalały.

– Kto tam? – Zza drzwi dobiegł zaspany i jednocześnie zatrwożony głos.

– To ja, Zosia. Otwórzcie!

Stuknęła sztaba barykadująca drzwi i w szczelinie ukazała się twarz sołtysa oświetlona świecą.

– Sama jesteś?

– Sama – odpowiedziała i bez zaproszenia wcisnęła się do chałupy.

Sołtys stał na boso w przyciasnych kalesonach i z gołym torsem. Jego wydatny brzuch nie wyglądał już tak dostojnie jak w ubraniu. Zosia mało nie parsknęła śmiechem, ale szybko przywróciła się do porządku.

– Szłam na patrol wokół wsi i do naszego gospodarstwa. Ojciec mi kazał. Zobaczyłam nagle, że na podwórku u Macieja są bandyci. Przywiązali Maćka do wozu i lali batem na gołe plecy. Nie wytrzymałam i strzeliłam do tego zbrojaka, co bił naszego. Reszta zbirów uciekła.

– Tak... są silni tylko wobec bezbronnych chłopów. Uciekli, ale wróć... – Zamyślił się na chwilę. – A ten, co do niego strzeliłaś, to trup na miejscu – dodał raczej jako stwierdzenie.

– Nie. Dostał w nogę. W kolano. Będzie żył, tylko już sobie nie pobiega.

– To może jest jakaś szansa na uratowanie wsi przed czerwonym kurem. – Sołtys zaczął się ubierać.

Cała rodzina także była już na nogach i przysłuchiwała się wszystkiemu.

– Loniu! Micha! Zaprzęgnijcie konia do wozu. Na wóz włóżcie siana i ze dwa kozuchy. Zawiozę tego oprawcę do lekarza. Może tym gestem banda da się obłaskawić. Ty wracaj do ojca i powiedz o wszystkim. – Popatrzył na stojących i ich rozdziawione usta. – No, co jest? Do roboty! Trzeba posprzątać ten bałagan! A ty, snajperko, się nie martw, wszystko będzie dobrze. Właściwie to słusznie, że mu przyłożyłaś! Niech nie myślą, że jak ktoś bezbronny, to go mogą na jego własnym podwórku chłostać!

Rozeszli się, każdy w swoją stronę. We wsi zapanowała cisza. Jednak nie na długo. Zosia ani sołtys nie mogli tego słyszeć, ponieważ byli już daleko. We wsi ponownie rozszczękały się psy, a od drogi dochodził tętent kopyt.

Drogą w świetle pochodni galopował oddział. Prowadził go mężczyzna uzbrojony w rewolwer. Jechał na białym, silnym koniu. Papachę nacisnął prawie na oczy, bo pęd zimnego wiatru wyciskał mu łyzy. W prawej ręce trzymał pejcz, którym co rusz poganiał konia po zadzie. Przed wsią zwolnił trochę i odwrócił się do swojej bandy.

– Prowadzić do tej chałupy! – wydał rozkaz donośnym głosem.

Podjechali z tępa na podwórko. Brama była otwarta, a drzwi do chałupy, rozrąbane wcześniej siekierą, przyparte teraz były jak kołkiem. Jeden z oddziału otworzył je kopnięciem.

W kuchni na stole leżał chłop. Jego żona przy łuczywie obmywała jego plecy zimną wodą. Plecy spuchły i krwawiły pocięte uderzeniami bata.

– Gdzie mój brat? – zapytał dowódca bandy i odsunął papachę na tył głowy, aby lepiej widzieć.

– Odwieźli go do miasta, do lekarza – odpowiedziała zapłakana kobieta. Domyśliła się, że oprawca jej męża był bratem tego bandyty z rewolwerem.

– Kto strzelał?! – zapytał jeszcze ostrzej przywódca.

– Panie! My nie wiemy. Na pewno nikt od nas. U nas tylko jeden Niemiec miał strzelbę na kaczki, ale on już dawno do swoich wyjechał. Ruskie pewnie strzelali. Moskale!

Zapadło milczenie. Dowódca spojrzawszy pytającym wzrokiem na podwładnego, który ich tutaj przyprowadził.

– Może być, że Moskal. To był strzał z mosina.

– A wy zamiast sprawdzić, to na koń i drapaka? – Popatrzył na niego gniewnie.

– W noc? Przeciwno ukrytemu strzelcowi? Wystrzelałyby nas jak kaczki. – Tłumaczył się zbir, międląc w rękawice.

– Wy tu macie rządzić i strzelać! – krzyknął zdenerwowany dowódca. – Zaraz wam pokarzę, jak to się robi. Zaczniemy od najstarszego – zwrócił się z powrotem do zapłakanej kobiety. – Gdzie sołtys mieszka? Tylko bez kręcenia!

– Od rynku droga w prawo. W kierunku lasu. Trzeci dom od końca.

Dowódca zakręcił ręką z batem i cała kompania wykonała w tył zwrot, po czym opuściła chatę. Podkowy zadzwoniły złowieszczo na bruku. Oddział jechał już nieśpiesznie. Jak po swoje.



Do drzwi sołtysa także nie pukano. Dwie siekiery szybko przerąbały deski przy zawiasach i drzwi wyleciały z hukiem. Pochodnie rozświetliły wnętrze. Na środku izby stała skupiona w krąg cała rodzina.

– Pany, co wy tutaj po nocy? – odezwał się siwy ojciec sołtysa. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale uderzenie obucha siekiery powaliło go na ziemię.

– Milczeć! – krzyknął dowódca. – Niepytany nie odpowiada. Ty sołtys? – Wskazał ręką klęczącego na ziemi starca.

– Nie ma go tutaj – wystękał staruszek i wypluł na ziemię krew.

– Słoma! – krzyknął dowódca.

Na to banda szybko zaczęła wnosić do domu snopy słomy. W krwawym blasku pochodni izbę obstawiono nimi dookoła, a na wejściu położono ich całą stertę.

– Nawet jak go nie ma, to kara go nie minie! – Dowódca ściągnął papachę, gdyż od żaru pochodni zaczął się pocić.

Lonia nie wytrzymała. Wiedziała, co szykują bandyci i co zaraz nastąpi. Przełamała strach...

– Mój ojciec powiózł rannego bojownika o samostijną Ukrainę do lekarza, a wy mu w podzięce spalacie dom i rodzinę!? Jesteście bez honoru!

– Cooo?! Gadaj wszystko, co wiesz, a jak coś zataisz, to końmi rozerwiemy!

– Mój ojciec, jak usłyszał, że Moskał ukraińskiego bojownika postrzelił, od razu kazał konia do wozu zaprzęgać i mimo że sam ranny w rękę, po nocy z nim do doktora pojechał. – Lonia jednym tchem wywalila w twarz dowódcy całe zdanie, bryzgając drobinkami śliny.

Dowódca stał czerwony od żaru pochodni i się nie odzywał. W końcu, gdy przemyślał wszystko, donośnie oznajmił:

– To ja was, darmozjady, karmię i przy swoim boku trzymam, a wy uciekacie na odgłos jednego strzału? Chłop ze wsi ma więcej odwagi niż mój żołnierz! Zabrać mi stąd tę słomę, ale już! Drzwi naprawić, a tego, co starca uderzył bez rozkazu... Za nogi na trzy pacierze powiesić. Jak zemrze, to nie będzie dużej straty.

Spojrzał jeszcze raz po wystraszonych ludziach. Lonia zrozumiała, że nastąpił dobry zwrot akcji, więc postanowiła jeszcze coś dorzucić.

– Mojemu bratu Moskał zęby przednie wybił. Krowy i świnie nam bez opamiętania zabierają. Kto, jak nie żołnierze Ukrainy, może się temu przeciwstawić? Chłopów latwo nocą najechać gorzej z ruskimi wojować...

Drzwi prawie były naprawione. Babcia odprowadziła dziadka do łóżka, gdzie zaczął ciężko dyszeć przykryty pierzyną. Pochodnie dogasały. Lonia odpaliła lampę naftową.

– Napoję wasze konie – powiedziała i włożyła kozuch. Już miała wyjść, gdy dowódca odezwał się spokojnym głosem.

– Dadzą sobie radę moi semeni. Ty mi powiedz lepiej, gdzie Lachów znajdziemy?

– Dobry panie, u nas już ani Lachów, ani Tatarów, ani Niemców. Jak ruskie zaczęły wywozić, to jednej nocy nie spaliśmy. Niemcy sami zwiali, gdy zobaczyli, co się tutaj dzieje. Co druga chałupa pusta. Ojciec mój mówi, że na ziemi nie będzie komu robić, a ruskie na to, że sowchozy czy inne rzeczy pozakładają. Na razie to głód i nędza po ruskich zostanie. Ludzie psy nawet pozjadali.

– Lachy mogą po rodzinach siedzieć. Ożenił się taki z Laskką i kundli na naszej ziemi płodzi. Takich już teraz szukamy, bo resztę rzeczywiście Moskale za nas zrobili. Ty jesteś dobra dziewczyna. Ty nam powiesz...

Zapadło dłuższe milczenie. Lonia rachowała w głowie, co może wiedzieć przywódca bandy. W Grabowie co druga rodzina to albo mąż albo żona z Polski. Jej ojciec razem z wójtem, jak się tylko wojna zaczęła, wszystkie dokumenty z urzędu i cerkwi

pochowali. Lonia więc postanowiła jak najszybciej przerwać ciszę, by nie budzić podejrzeń.

– Panie, jak by tu jaki Lach mieszkał, to bez czekania na was byśmy go kijami wygonili. A co? My nie Ukraińcy? Też chcemy żyć w wolnym kraju.

Bandyta popatrzył po twarzach domowników. Pokiwał głową.

– W tej wsi, jak mówisz, chyba rzeczywiście nie mamy co robić. Jak tu kiedyś przyjedziemy, to tylko konie napić. – Uśmiechnął się.

Wyciągnął zza pazuchy kożucha jakieś zawiniątko. Rozłożył i w świetle lampy błysnęło złoto. Wybrał z tego przepiękną parę kolczyków i wręczył Loni.

– To dla ciebie. – Potem wyciągnął gruby pierścień. – To dla ojca za krzywdę, jaką tu zrobiliśmy i na przeprosiny dla dziadka.

Podniósł się od stołu i wyszedł z bandą na dwór. Po chwili tętent koni oznajmił, że niebezpieczeństwo minęło.

Nad ranem wrócił ojciec. Lonia z bratem pomogli wyprząc i obrządzić konia. Na zmianę zdawali ojcu relację z nocnego najazdu bandytów. Na koniec córka wyciągnęła dłoń, na której leżało podarowane złoto.

– To złoto pochodzi z rabunku. Ci bandyci zabili kogoś, aby je pozyskać. – Sołtys się nachmurzył, gdy dostrzegł radość córki z podarunku. – Trzymasz w ręku śmierć i cierpienie, a nie bogactwo!

Na sołtysa wybrali go, ponieważ była człowiekiem mądrym i sprawiedliwym. Z jego zdaniem zawsze się liczyli nawet urzędnicy z miasta. Lonia także szanowała zdanie ojca. Teraz stała z wyciągniętą dłonią, a leżące na niej złoto parzyło jak rozżarzone żelazo.

– To co mam z tym zrobić? – spytała niepewnie.

– Na pewno nie możesz nosić dumnie na uszach. Ja ten pierścień sprzedam w mieście i kupię za to jedzenie dla ubogich we wsi.



Wieczorem spotkali się z Telesforem i Zosią. Zaprosili ich do domu na kolację i rozmowę. Zosia była cicha jak nigdy. Jadła w milczeniu postawioną przez gospodynię zupę. Ojciec z pewnością przeprowadził z nią poważną rozmowę, ponieważ twarz miała czerwoną. Nie wiadomo, czy to z gniewu czy wstydu.

Gospodyni, Marysia, nie mogła patrzeć na tak smutne i zamknięte w sobie dziewczę.

– Czym się martwisz? Wszystko dobrze się skończyło. Gdyby nie ty, bandyci zaćwiczyliby batem Macieja na śmierć.

– Naraziła na śmierć całą waszą rodzinę. Tylko cud sprawił, że tu teraz razem siedzimy. Dziadek Leon ma złamane dwa żebra. Ledwie dycha! – Telesfor burknął basem tak srodze, że nawet sołtys przestał wiosłować zupę.

– Nie raz wpadaliśmy już w opałę. Rok temu, jak ruskie zaczęli plądrować nasze chaty, co noc byliśmy narażeni na najgorszą śmierć. Już się przestaliśmy bać, Telesforze. Już nie ma strachu. Przywykliśmy. Nie przywykliśmy jednak do tego, że ktoś

staje w naszej obronie. Najpierw nałapaliście ryb dla całej wsi, a teraz postrzeliliście bandytę, który katował naszego pocziwego Macieja. Nie wrócą już oni tutaj tak pewnie. A to wszystko dzięki Zosi.

– Kiedyś, jak spadłem z konia – wtrącił się dziadek Leon – złamałem dwa zebra. Krzywo się zrosły. Myślę, że teraz mi je połamali po to, aby zrosły się dobrze.

Przy stole dzieci buchnęły śmiechem. Telesfor także uśmiechnął się pod wąsem.

– Zobacz, Telesforze, mało nie straciłem ręki przy połowie ryb. Zaraz nie będzie śladu po wypadku, a ile brzuchów napełniliśmy? Jak coś robisz, to zawsze narażasz się na niebezpieczeństwo.

Zosia jadła z opuszczoną głową. Teraz podniosła wzrok i chrząknęła, co wszyscy odebrali jako prośbę o zabranie głosu. Sołtys spojrzął na nią i zamilkł.

– Nie pójde na rzeź jak cielę. Będę gryzła, drapała, kopała, waliła, czym się da, ale nikt mnie nie będzie niewolił i straszyl. Po to poszliśmy w las, aby nie pojechać na Sewier. Po to mamy broń, aby się bronić! Może zapytajmy Macieja, czy lepiej mu było, zanim strzeliłam, czy po tym, jak zbóje się rozjechali?

Telesfor czuł, że cała rozmowa przy stole omawia nie temat strzału czarnowłosej. Konsekwencje tego strzału wszyscy wzięli na swoje barki. Byli wręcz dumni z tego, że ma ich kto bronić przed uzbrojonymi bandytami. Rozmowa przebiegała pod kątem uświadomienia tego właśnie jemu. Ojcu! Ojcu, który tak naprawdę właśnie w ten sposób wychowywał swoje dziecko. Teraz on poczerwieniał i chrząknął.

– Nie będziemy cały czas chodzić wokół tego tematu. Też uważam, że zrobiłaś dobrze, a nawet jestem dumny, że podjęłaś taką decyzję!



Wraz z wiosną działalność wywrotowa ojca i córki trochę zmalała. Odczuwało się wyraźne zmęczenie okupacją sowiecką. Rolnicy rozpoczęli wiosenne prace polowe, a wojsko nie nawiedzało na razie pustych spichlerzy. Wydawało się, że wraz z wiosną wszystko wraca do względnej normalności, chociaż wszędzie panowała przerażająca bieda.

Sołtys zaprzągnął więc do wozu przeraźliwie chudego konia. Na wóz włożył siana i końską derkę. Złoto zostawione przez bandytów postanowił wymienić w mieście na jedzenie. Na przednówku bowiem do gospodarstw regularnie rabowanych przez Sowietów zaczął zaglądać nie tyle głód, co po prostu śmierć głodowa.

Zadanie, jakie miał wykonać, było misją samobójczą. Sołtys jednak był sprytnym człowiekiem. Konia specjalnie karmił na tyle, by nie zdechł, ale też nie na tyle, by przybierał na masie czy ją utrzymywał. Chabeta przecież nie przedstawiała żadnej wartości, a więc nie mogła stać się łupem oprawców. Teraz więc złoto ukrył w wyżłobionej piaście koła. Obawiał się jednak, że może zabraknąć mu forteli.

– Muszę wyruszyć do miasta – oznajmił rodzinie. – Zamierzam przywieźć trochę jedzenia i przypraw. Ziarna pewnie nikt mi nie da, ale jak dostanę chociaż chleb, to uznam, że odniosłem sukces.

W istocie szanse na to były, gdyż na wchłoniętych przez ZSRR ziemiach II RP Stalin postanowił zaprowadzić własne porządki. Na początek postanowił zubożyć społeczeństwo i skonfiskować za pomocą sprytnego zabiegu złoto gromadzone przez ludzi z Kresów. Sposobami na realizację tego planu były: po pierwsze, konfiskata ziarna od chłopów i po drugie, otwarcie sklepów z żywnością. Dla dręczonych głodem ludzi sklep stanowił jedyne wyjście, by móc przetrwać. Jedyne ratunek przed śmiercią głodową. W „złotym sklepie” pojawiał się dostatek wszelkiego podstawowego jedzenia. Chleb, smalec, mleko, jaja i wędzonki. Zasady zakupu okazywały się jednak okrutne. Za jedną sztukę złota można było dostać tylko jedną rzecz. Jajka sprzedawano co prawda na mendle, ale i tak złoty łańcuszek czy pierścień wymieniony na szesnaście jajek to niedorzeczność.

Pod takim sklepem mnóstwo było różnych cwaniaczków czekających na okazje. Ktoś nieostrożny albo mocno osłabiony z głodu stawał się łupem kieszonkowców. Zatem wokół takich sklepów patrolowano ulice. Jednak i sowieccy żołnierze często wykorzystywali ludzką słabość. Udawali bezinteresowną pomoc, aby pozbawić przyszłego klienta jego kosztowności.

Sołtys nie jedno w życiu widział i nie podjechał pod sklep od razu. Zatrzymał konia przy latarni i, udając, że poprawia coś w uprzęży, obserwował wszystko ukradkiem. Patroli wojskowych zauważył co najmniej kilka, jak nie kilkanaście. Tłum przed sklepem gęstniał do tego stopnia, że przed wejściem ludzie po prostu stali jeden na drugim. Część z nich liczyła, że wychodzący podzieli się jadłem. Dochodziło tam do bójek i przepychanek.

– W takim tłumie trudno będzie upilnować złoto, a tym bardziej bochenek chleba czy wędzonkę. Rozdrapią mnie żywcem – powiedział ni to do siebie, ni to do konia.

Schylił się do skrytki w kole i wyciągnął złoto. Teraz zza wozu rzucił w tłum duży odłamek brukowca. Spod wozu obserwował reakcje. Kamień uderzył kogoś w plecy. Zrobiło się zamieszanie. Gdy tłum na chwilę odwrócił uwagę od wejścia, brzuchaty sołtys wcisnął się do sklepu.

Zapach mała nie zwałił go z nóg. Świeży chleb, pachnące mięso, wędzone węgorze, stronki ziół, czosnku i cebuli przyprawiły go o zawrót głowy. Ślina naciekła pod policzki wodospadem. Dopiero teraz przypomniał sobie, że od kolacji nic nie jadł. Opanował ślinotok i zaczął się rozglądać. Chciał jak najlepiej wykorzystać złoto i przywieźć jak najwięcej jedzenia.

Sztuki były okazałe. Bochny chleba dwa razy większe od normalnego. Szyunki razem z kawałkami podbrzuszy, a pęta węgorzy tak duże, że zastanawiał się, czy je udźwignie. Pieczę nad tym wszystkim trzymało dwóch uzbrojonych policjantów i olbrzymia kobieta w białym fartuchu.

– Co można, towarzyszowi, podać? – zapytała grubym głosem, acz uprzejmie.

– Jeszcze trochę popatrzę i zastanowię się ociupinkę.

– Może chce, towarzyszu, skosztować na próbę, co tu mamy? – Odłamała od pęta kawałek kielbasy.

Wiedziała, że żywność nie może leżeć wiecznie, a dzisiaj nie miała jeszcze żadnego klienta. Zanim zaśliniony sołtys zdążył ugryźć drugi raz, posmarowała jeszcze kromkę chleba smalcem ze skwarkami. Policjantom na ten widok także pociekła ślina. Sołtys, niewiele myśląc, przełamał kromkę na pół i poczęstował przedstawicieli władzy. Wiedział, że nie wyjdzie z jedzeniem na ulicę bez straty. Wolał mieć milicję po swojej stronie.

Sklepowa odłamała dla siebie jeszcze kawałek kielbasy i dołączyła się do biesiady.

– Wiosna już w pełni, a jare zboża nie wschodzą. Co się dzieje? – zapytała, aby zagaić rozmowę.

– I nie wzejdą, droga towarzyszko. – Popatrzył na milicjantów. – Kułactwo całe zboże siewne zmarnowało. – Zgrzytnął zębami i zacisnął pięści, aż palce zrobiły się białe. Pod słowem kułactwo miała na myśli władzę sowiecką. – Ale tam, towarzyszko, robię zakupy. Co byście mi polecili?

– Mam dwie duże szynki. Już ostatnie, więc warto chociaż jedną wziąć. Węgorze, choć wędzone, to już trochę tutaj leżą. Chleb jest świeży. Mam też tuszonkę w puszkach. Leżeć może i dwa lata, ale za sztukę złota jedna puszka to trochę mało. Mam też wspaniałą suszoną kielbasę z konia. Tej za sztukę złota też będzie sporo.

Sołtys już jednak podjął decyzję. Liczyło się nie to, co dobre, tylko ile. Wyłożył zawiniątko ze złotem.

– Trzy sztuki złota. Wezmę więc dwie szynki i bochenek chleba.

– Nie, towarzyszu – odezwał się milicjant starszy stopniem. – Kolczyki to jedna sztuka. Takie są tutaj zasady. Chcesz, kupujesz. Nie chcesz, nie kupujesz. A, i chleb, jaki weźmiesz, to ten, z którego nas poczęstowałeś. Nas, rozumiesz, rozliczy z tego NKWD. Będzie czego brakować, to kula w łeb.

Sołtys znał ten system aż za dobrze. Zrobił zmartwioną minę.

– Do pierwszych plonów połowa naszych dzieci zemrze z głodu. Plony też nie wiadomo, jakie będą, ponieważ ziarno słabe, a wiosna sucha. To złoto to wszystko, co mam, aby ratować rodzinę.

Teraz sklepowa zrobiła chmurną minę.

– Dzieci ratować trzeba. Moje umarło w zeszłym roku na gruźlicę. Odwrócić się i nie podglądać! Wy też! – powiedziała stanowczo do milicjantów.

Na środku sklepu stał żeliwny piec z kominem idącym prosto w dach. Tliły się tam jakieś szczapy. Sklepowa zdjęła biały fartuch i nałożyła na siebie skórzaną kurtkę. Jej wydatne piersi nie pozwoliły zapiąć dwóch ostatnich guzików, ale kurtka miała chronić tylko od wysokiej temperatury.

Dołożyła bukowego drewna do pieca i zostawiła otwarte drzwi dla lepszego ciągu. W tym czasie zaczęła szykować podręczny warsztat. Na drewnianym, wysokim stołku postawiła stalową formę odlewniczą. Gdy polana w kominku zamieniły się w żarzący węgiel, włożyła w niego łyżkę odlewniczą. W łyżce było całe złoto, jakie przyniósł sołtys.

Kobieta stała nad piecem. Rękę, w której trzymała łyżkę, owinęła moką ścierką. Po kilku minutach złoto stało się płynne. Kobieta zgrabnie przeniosła łyżkę nad formę

i zaczęła odlew. Po chwili otworzyła formę, z której wypadło pięć złotych zębów i mały okruszek wielkości kropli rosy.

Za pomocą szczyptic włożyła zęby do szklanki z wodą. Woda zafurczała i już za chwilę na sklepowej ladzie leżały świecące odlewy. Sklepowa przebrała się w fartuch. Od momentu, gdy mężczyźni stanęli plecami, nie minęły nawet dwa kwadranse.

– To wasze złoto? Sporo tego!

Zniecierpliwieni mężczyźni odwrócili się jak na komendę. W zasadzie nic się nie zmieniło. Sprzedawczyni była tylko mocno czerwona od żaru i lekko spocona na twarzy.

Sołtys oczywiście w mgnieniu oka zorientował się w cudzie rozmnożenia sztuk złota.

– Tak to moje trzy zęby, a te dwa to chyba wasze? Bo moje na pewno nie.

Kobieta się uśmiechnęła. Przesunęła po zębie w kierunku policjantów.

– Kupicie sobie do spółki... chleb i kabanosy. Dzisiaj także wasze dzieci będą najedzone.

Zapanowało bardzo wymowne wesołe milczenie. Każdy wyobrażał sobie powrót do domu z taką ilością jadła. Przywitanie i szczęście dzieci. Każdemu zakręciła się radosna łza w oku.

– A wy? Co dla was za tak miłą obsługę? – powiedział sołtys, aby przerwać ciszę.

– A dla mnie to. – Pokazała odrobinę złota wielkości główki od szpilki. – Z całego tygodnia i ja sobie jeden ząbek odleję.

– Towarzysze, pomóżcie z tym jedzeniem do wozu się dostać. Jak tam wyjdę na zewnątrz, to mnie rozszarpią. – Sołtys zwrócił się o pomoc do milicjantów.

– Dobrze. Bierz, co twoje, i dawaj! – powiedział starszy.

Policjanci wyciągnęli pałki, a sołtys kozikiem odkroił jeszcze jedną kromkę chleba. Szynki przewiesił sobie przez szyję. Mało nie klęknął od ciężaru. Teraz te szynki przytroczył jeszcze pasem do tułowia, aby nikt nie pozbawił go zakupów. Potem w jedną rękę wziął bochenek chleba, a w drugą rękę kromkę. Młodszy milicjant uchylił drzwi sklepu i rozejrzał się po tłumie. Nad jego głową sołtys pokazał kromkę chleba. Pokazał ją tak, jak pokazuje się psu kij do aportowania. Pomachał nią i rzucił daleko od drzwi.

– Wybacz, najświętsza panienko, że jadłem rzucam – mruknął do siebie, a potem krzyknął: – Biegiem!

Pierwszy jak wystrzelona strzała z łuku wyskoczył z drzwi. Biegł i nie oglądał się za siebie w nadziei, że osłaniają go z tyłu milicjanci. Tak też było. Pałki poszły w ruch. Milicja skutecznie zniechęcała zebranych do interesowania się tym, co wychodzący ze sklepu wynosi. Nagle od przodu padł donośny rozkaz:

– Stój! – To czerwonoarmista, dowódca patrolu, widząc uciekającego ze „złotego sklepu” człowieka i goniących go policjantów wykrzyczał ten rozkaz. – Stój, bo będę strzelać!

Dwóch towarzyszących mu żołnierzy zdjęło karabiny z ramion. Sołtysowi wrosły nogi w ziemię.

– Co tam ukradliście?

– Nie ukradłem. Kuuupiłem – wystękał i chciał sięgnąć po kwit do kieszeni.

– Nie ruszaj się. Za przemykanie rąbanki karą jest rozstrzelanie!

Sołtys stał jak wryty, bał się nawet ruszyć powieką. Czuł już ostrze kosy na gardle, którą śmierć zaraz zakończy jego życie. Dowódca patrolu podchodził do niego stanowczo, gdy nagle sam stanął jak wryty. Zza pleców domniemanego złodzieja wyłoniło się dwóch milicjantów z naganami w dłoniach.

– Kto wy? – Zapytał starszy.

– A wy kto? – Dowódca patrolu już mniej pewnym głosem wydusił z siebie to pytanie.

– My milicja z zadaniem specjalnym, ochraniają „złotego” sklepu.

– To dlaczego nie pilnujecie sklepu?

– Bo według rozkazu Stalina każdy, kto kupi w sklepie żywność, ma prawo ją sam spożyć, a ten motłoch za nami próbował odebrać jedzenie klientowi.

Na dźwięk słów „rozkaz Stalina” dowódcy patrolu zmiękły nogi. Ochota na zatrzymanie chłopca „do wyjaśnienia”, przy którym ubyłaby spora ilość mięsa, zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

– Sprawdź tylko dla formalności kwit – powiedział już normalnym głosem. – Trzy sztuki złota. Ciekawe, skąd je miał? – zadał to pytanie cicho, niby do siebie.

– Teraz nie ma złota. Oddał je dla ojczyzny i dostał za to nagrodę – warknął milicjant i wykonał ruch rewolwerem tak jednoznaczny, że czerwonoarmiści odeszli.

– Teraz musisz już sobie radzić sam. My wracamy do sklepu. Przez to wszystko nawet nie zdążyłeś się nam przedstawić.

– Timofiej. Timofiej Władymirowicz.

– Bywaj Tima.

Podali sobie ręce na pożegnanie i odeszli w dwóch różnych kierunkach. Sołtys na trzęsących się z emocji nogach.

Doszedł do wozu, gdzie prawie przeźrocystemu koniowi ktoś z litości przyniósł trochę trawy. Zwierzę prawie kończyło jedzenie, gdy sołtys zapakował zdobycę na wóz. Wrócili do domu wieczorem.

– To jest chyba najciężej wypracowany bochenek chleba – powiedział, gdy kładł pieczywo na stół.



Jedzenia starczyło ledwie na zatkanie dziur w zębach. Sołtys starał się jak najbardziej sprawiedliwie dzielić zdobyte jedzenie wśród rodzin wielodzietnych. Nieraz płakał, kiedy wychodził z jakiegoś domu, bo widział, że dzieci na widok jedzenia nie mają siły po nie podejść. To była jego wieś, a on czuł olbrzymi obowiązek zapewnienia jej mieszkańcom dobrobytu.

Z rozrzwinięciem wspominał czasy, kiedy kupcy przejeżdżali przez most. W każdą niedzielę na śniadanie było mięso. Swoje dzieci ubierał dobrze i posyłał do szkoły. Bał

się, że to już nie wróci.

Po kilku dniach postanowił odwiedzić Telesfora. Wybrał się do niego w nocy, ale czas dobrał tak, aby przyjść do ukrytej ziemianki już o poranku. Nie doszedł. Zaczął nasłuchiwać. Wydawało mu się, że słyszy coś w górze strumienia, gdzie była piaszczysta plaża. Poszedł tam i zastał swoich przyjaciół w wodzie.

W strumień zaczęły wpływać na tarło płocie. Nie były to tak duże ryby jak szczupaki. Poza tym trudniejsze do połowu, ale woda miała znośną temperaturę, a nawet przyjemną. Zosia wchodziła do wody i spływające z nurtem ryby po prostu wyrzucała na brzeg. Ojciec w tym czasie szybko głuszył je i wrzucał do wiklinowych koszy.

– Szczęść Boże! – zakrzyknął na powitanie sołtys.

– Bóg zapłać – odpowiedzieli razem ojciec i córka.

– Co wy tu znowu łobuzujecie?

– Biegnij z powrotem po konia i wóz.

Sołtys z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Niech ich licho porwie – mruknął do siebie i zawrócił do wsi.

Znowu wieczorem do Grabowa pojechał cały wóz ryb.

We wsi już otwarcie wszyscy mówili o dobrych duchach, które wspomagają mieszkańców i bronią przed hultajstwem. Nikt jednak nie wymawiał ich imion. Nikt nie wydałby rodziny, która wcześniej dbała o most, a teraz, gdy trwa okupacja, dba o bezpieczeństwo. Sołtys nieraz jawnie mówił, że widział te duchy, ale pojawiają się tylko na chwilę, a potem rozplływają się w powietrzu jak mgła.

Właściwie w stwierdzeniu sołtysa mieściło się trochę prawdy, ponieważ Zosia i Telesfor wykorzystywali każdą wolną chwilę na doskonalenie kamuflażu. Do maskowania ubrań i broni używali naturalnych roślin, które przywiązywali dratwą i przeplatywali ją przez specjalnie do tego uszyte szlufki. W ten sposób kamuflaż stawał się kolorystycznie zgodny z otoczeniem. Ostrożność i doskonalenie swoistej mimikry czyniło tę parę niewidoczną i nieuchwytną.

W pewien czerwcowy dzień sołtys wystawił radio w otwartym oknie, aby mieszkańcy mogli posłuchać wiadomości i muzyki. Ludzie specjalnie przychodzili pod jego dom, aby usłyszeć wieści ze świata. Radio nie grało codziennie, bo drogie były do niego baterie. Niektórzy na tę okazję przynosili stołki, aby nie słuchać radia na stojąco.

Zoska podkraśniała się w pobliżu zasłuchanych ludzi i umościła się w krzakach. Dom sołtysa stał pod lasem, więc dziewczynie nietrudno było znaleźć naturalne osłony. Słuchała tak jak inni radia, wyczekiwała nowych wiadomości wojennych. Od kilku miesięcy skupiano się zawsze na sytuacji z walk Niemców w Europie Zachodniej. Tym razem było inaczej.



– Rozumiesz coś z tego? Hitler napadł na Sowieców! – Zosia z wypiekami na twarzy relacjonowała ojcu zasłyszane wiadomości.

– Otworzył drugi front? – Telesfor kręcił głową z niedowierzaniem. – To chyba niemożliwe. Nie byłby taki głupi!

– Nie osądzaj go tak pochopnie. Sam mówiłeś, że gwarancją zwycięstwa jest zaskoczenie.

– No tak, zaskoczył wszystkich. Jednak już dziesięć lat temu Stalin miał najpotężniejszą armię w Europie. Nie da się tak łatwo go pokonać.

– Jednak Stalin nie pokonał Finów, bo ci pogonili komunistów jak pies kota.

– Sowietci dysponują ogromną armią, ale słabo nią zarządzają. Być może Hitler na tym opiera swoje przemyślenia co do ataku.

Radio na oknie u sołtysa grało teraz codziennie. Nie na długo, ale nawet podczas gorszej pogody. Codziennie przed dwunastą w południe sołtys albo jego żona wystawiali radio i włączali na cały regulator. Przed chatą bowiem zbierały się teraz tłumy. Zosia, aby posłuchać, nie musiała już się maskować czy kryć. Wkładała tylko fartuch i chustę na głowę. Podchodziła od tyłu do tłumy, który słuchał z zaciekawieniem. Sołtys na koniec wiadomości objaśniał co ciemniejszym kmieciom, o co w wiadomościach chodziło. W tym czasie Zosia wycofywała się do lasu, aby przekazać ojcu to, co usłyszała.

– Posuwają się jak pociąg – mówiła zafascynowana. – Zaskoczyli Sowietów totalnie. Już po Ruskach i ich komunizmie.

– Tak mówisz? A ja myślę, że Stalin się jednak opamięta. To ogromny kraj. Zawsze się mówiło, że czapkami mogą zarzucić całą Europę.

– Ale czółgów czapkami nie powstrzymają. – Uśmiechnęła się dziewczyna. – Ja życzę Niemcom, aby wygrali.

– To nie są wyścigi konne, aby obstawiać faworyta. Przez nasze ziemie będzie przechodził następny front. Znowu wejdą żołnierze i będą ściągać kontyngent. Gwałcić i podpalać. Co jeszcze spotka tę umęczoną ziemię?

Telesfor miał rację. Niemcy, aby pokazać, kto tu teraz będzie „Panem”, palili i grabili to, co jeszcze zostało po sowieckim terrorze. Naziści zrobili jeszcze jedną rzecz, o której nie śniło się mieszkańcom tych terenów... Hitler i jego sztab byli w pełni świadomi, że nie dysponują odpowiednią liczbą wojsk, funkcjonariuszy i urzędników do utrzymania porządku na wszystkich podbitych terenach. Na ziemiach Ukrainy, choć wstępnie się od tego odżegnywano, rozpoczęto współpracę z bandami, które, bądź co bądź, przeszkadzały kiedyś władzy absolutnej Stalina. Były więc niejako sojusznikiem III Rzeszy.

Ukraińskie bandy, gdy tylko poczuły, że mogą więcej, niż za czasów panowania Sowietów, stawały się jeszcze okrutniejsze. W pierwszym rządzie napadały na Polaków i Żydów. Po wsiach Niemcy nie lokowali wobec tego licznych posterunków, bo tę rolę spełniali ich ukraińscy kolaboranci.

Grabowo miało jednak coś, co zapewniało, że bandy się tam nie panoszyły. Tym cudem okazał się most i schodzące się tutaj drogi ze wschodu na zachód. W tak ważnej strategicznie miejscowości Niemcy musieli osadzić swoich własnych zaufanych ludzi, dlatego założyli we wsi posterunek wojskowy oraz po opanowaniu okolicy sprowadzili

na te tereny niemieckich kolonistów, którzy mieli prowadzić tutaj gospodarkę wyciskową. Bandy otrzymały bezwzględny nakaz omijania Grabowa, aby przez przypadek nie napadli na kolonistów. Jeszcze gorszy wariant byłby taki, że starliby się z regularnym wojskiem. Wywołałoby to niepotrzebne niesnaski.

Sołtys na powrót zaczął pełnić swoją funkcję, bo ruski sekretarz zwiął, zanim ktoś się zorientował, że było można go bezkarnie powiesić. Urzędnicy III Rzeszy, w zgodzie ze swym zwyczajem, przejrzeni dostępne kartoteki, co pozwoliło im mieć przekonanie, że Timofiej to uczciwy człowiek dbający o swoją osadę, dlatego też przywrócili go na stanowisko.

Stacjonujący w Grabowie żołnierze Wehrmachtu za siedzibę obrali sobie dom po właścicielu karczmy. Był żydowskiego pochodzenia i na wieść o nadciągających faszystach uciekł w nikomu nie znanym kierunku.



– W zasadzie możecie wrócić do domu – powiedział sołtys do Telesfora zaraz po tym, jak Sowietci wycofali się z Grabowa. – Twoja babka była Niemką... Zależec im będzie na prawidłowym utrzymaniu mostu. Jak to uzasadnisz ekonomicznie, to i pewnie konia ci przyznają.

– A jak mam to zrobić? – Telesfor nie chciał w sobie wzbudzać nadziei.

– Normalnie. Wróc i mieszkać, jak gdyby nigdy nic. Twój dom znajduje się na końcu wsi, więc tylko Ślebiodów musisz uprzedzić, żeby się nie złąkli. Co prawda nie tęsknicie za sobą, ale i krzywdy sobie nie robiliście nigdy.

– No nie. Nigdy. Czasami tylko jak w biały dzień przy dzieciakach swoją Ewkę obracał, to chciałem mu dechą przez tę jego gołą żopę przeciągnąć... Aaale tak poza tym to nic do niego nie mam.

– A u mnie to nawet na dobre wyszło, bo dzieciaków nie musiałem edukować o różnicy płci. Ha, ha!

– Ale śmieszne. Ten buchaj demoralizuje ci dzieci, a ty się z tego cieszysz?

Tu nieśmiało, acz stanowczo wtrąciła się Zosia przysłuchująca się rozmowie, która niespodziewanie wbiegła na niebezpieczną drogę.

– A skąd wy tak dobrze wiecie, co Marcin wyczynia ze swoją żoną?

Panowie zamilki zawstydzeni.

– Bo ja to normalnie. Jeszcze jako dziecko ciekawe świata przez płot podglądałam. Potem szybko skojarzyłam to, co widziałam, z tymi dziwnymi ruchami, jakie Skunks robił z napotkaną samiczką i w zasadzie edukacja skończona. Musiałam ją jeszcze uzupełnić u pani nauczycielki. Nie wiem, czy to źle?

Ojciec chciał przerwać, ale Zosia pociągnęła dalej:

– Kiedy chciałeś mi o tym powiedzieć? Po ślubie czy na dzień przed?

– Nooo...

– No, to koniec dyskusji o sąsiadach. Takich mamy i takich trzeba kochać. Wracamy do domu! Już się tak za nim stęskniłam... i za Ślebiodami też.



Wprowadzenie do domu po prawie dwóch latach było niezwykłym przeżyciem. Dom był po prostu splądrowany. Wszystkie rzeczy przedstawiające jakąkolwiek wartość zniknęły. Wylamano nawet deski w progach w poszukiwaniu skrytek i kosztowności. Jednak to był ich dom. Cieszyli się jak małe dzieci. Zosia wzięła się natychmiast do sprzątanía, a Telesfor do naprawiania szkód.

Więść o powrocie „duchów” rozeszła się po wsi lotem jaskółki. Sąsiedzi zjawili się tak licznie, że miejsca zaczęło brakować nawet na podwórku. Każdy przyniósł coś ze sobą.

Pomimo ciężkiego głodu oddano zwierzęta zagrabione przez komunistów i rozdane po wsi. Sąsiedzi doskonale wiedzieli, że gospodarstwo Telesfora i Zosi świeci pustkami, dlatego przynosili także przedmioty użytku codziennego. Ktoś łyżkę z widelcem, inny sól. Gdy dary się dublowały sąsiedzi szybko ustalali, komu może się przydać coś takiego, a w zamian mieli przynieść to, czego jeszcze nie było w darach. Dom szybko zapełnił się niezbędnymi i niepotrzebnymi przedmiotami. Na ścianie w pokoju Zosi pojawiła się ikona, a nad łóżkiem Telesfora portret Stalina.

– Żarty sobie robicie! Co to znaczy? – Ciesła się wściekł. – Tu może wisieć tylko...

Nie dokończył, ponieważ sołtys podszedł do portretu.

– To bardzo drogi obraz. Ktoś podarował ci go z naprawdę dobrego serca. – Sołtys odwrócił portret na drugą stronę.

Teraz dla odmiany na zebranych w pokoju spoglądał dumny Hitler. Wszyscy buchnęli śmiechem.

– W każdym domu wisi taki obraz.



Telesfor i Zosia nie nacieszyli się zbyt długo spokojem po powrocie do własnego gospodarstwa. Już po kilku dniach zawitali do nich niemieccy żołnierze. Nie pukali oczywiście, a otworzyli drzwi z łaskotem. Dowódca rozsiadł się przy stole, a jego podwładni przeszukiwali mieszkanie.

– Ręce do góry – wrzasnął jeden z żołnierzy, polykając głoski „r” w wyrazach.

Telesfor i Zosia posłusznie wykonali rozkaz. Teraz do domu wszedł wystraszony sołtys. Ścisnął nerwowo w rękach czapkę i przepaszającym gestem dłoni dał do zrozumienia, że nie jest winny w tej sprawie.

– Panowie przyszli tutaj na rewizję. Pewnie wiedzą coś od mieszkających tutaj kolonistów...

Nie dokończył zdania, gdy na stole przed dowódcą jeden z żołnierzy położył karabin i torbę z nabojami.

– Sam bym odniósł na posterunek, gdybyście mi powiedzieli. Strzelałem z niego do komunistów już u schyłku poprzedniej wojny. – Telesfor powiedział to płynnie po niemiecku.

W domu przetrząsnęto wszystko. Zabrano także mundur i szablę. Dowódca oddziału podszedł do Telesfora i pozwolił mu opuścić ręce. Telesfor lekko się uśmiechał. Karabin Zosi leżał spokojnie w ziemiance. Nie wiedzieli o nim niemieccy koloniści, więc teraz był spokojny i nawet dumny z tego, że przechytrzył faszystów.

– Dzisiaj po południu stawisz się na posterunku – mówił po niemiecku. – Tam się rozstrzygnie, co z tobą zrobić. Do tego czasu masz nie opuszczać chałupy. Krowa, która jest w oborze, to własność Rzeszy Niemieckiej. Macie dbać o nią i inne zwierzęta, a jak któres zdechnie, zastrzelimy was. – Klepnął się po skórzanej kaburze parabelki.

Pod wieczór Telesfor wziął swoje dokumenty i poszedł na tymczasowy posterunek, który Niemcy urządzili w domu pośrodku wsi.

– Jesteś *zimmermann* w tej wsi – stwierdził żołnierz łamaną polszczyzną.

– Tak. Naprawiam most i robię różne rzeczy z drewna. Wozy, kieraty, wialnie.

– Tobsze. Takich majster nam tszeba. Ty być lojalny i tobsze pracować, to mieć swoja córka i chleb. Jak ty nie chcieć, to tak jak inna *polnische schweine* pojechać do obóz pracy. Ja?

– Praca dla Rzeszy jest dla mnie zaszczytem – odparł płynną niemiezczyzną, chociaż ze słowiańskim akcentem. – Zawsze współpracowałem z Niemcami mieszkającymi w naszej wiosce i zawsze szanowałem naród niemiecki. – Popatrzył w oczy urzędnika. – Moja prababka była Niemką. Chyba o tym czytaliście w moich papierach...

Wiedział, że argument pochodzenia krwi jest dla Niemców bardzo ważny. Dla niego oznaczał przepustkę do wolności.

Rozgrzewka i wyciszenie myśli

– *Strzał musi być wymyślony, postanowiony i wykonany.*

– *Jak wymyślony?*

– *Bardzo dobrze pytasz – pochwalił Telesfor. Nie wiedział, że pytanie ma bezpośrednie znaczenie.*

Wymyślony, ale wymyślił! – nie powiedziała tego na głos, ale ręce aż jej się trzęsły, aby chwycić karabin do następnego strzału, a tu każą coś wymyślać.

– *Żaden strzał nie jest doskonały. Dzięki treningom zbliżamy się do doskonałości. Aby wiedzieć, co poprawić, trzeba przypomnieć sobie ostatni strzał. Wykonać wszystko, co było dobre bez zmian, a to, co było niedopracowane, dopracować. Oczywiście w myślach. Wymyślić ten idealny strzał. Następnie wszystko to zobaczyć we własnym ciele. W miejscu tu i teraz, a potem złożyć się i wystrzelić według tego planu.*

Filozof – pomyślała, a głośno powiedziała:

– *Ale ja wszystko robię dobrze, no prawie dobrze.*

– *Prawie dobrze, a strzelać chcesz idealnie. Nie da się z byle jakich elementów zbudować dobrego mostu!*

Nie postrzelamy. Zagada się na śmierć – zaczęło ją to denerwować.

Ojciec szybko zobaczył, że jego lekcja zamiast zbudować nowe doświadczenie coś psuje. Był dobrym obserwatorem, a więc myśli córki odgadywał w lot.

– Dobrze. Jak już mnie zrozumiałaś, to postrzelamy. Najpierw dwa suche dla rozgrzewki.

– No ja nie mogę. Znowu strzelanie bez naboju... – stęknęła Zośka już z pełną irytacją w głosie.

– Dobrze! Zrobimy zatem po twojemu. Załaduj magazynek.

Chwycił sznurek, który podnosił stalowy środek tarczy. Pociągnął aż czarne kółko wróciło na miejsce.

– Ognia! – zakomenderował.

Dziewczyna wystrzelała wszystkie naboje w czasie równym albo krótszym od maxima. Tylko jeden z nich trącił metalowy krąg, lecz tak słabo, że o jego trafieniu oznajmił tylko delikatny dźwięk. Zośka prychnęła i odłożyła karabin na pokrowiec.

– Wiedziałaś, że tak będzie!

– Tak. Wiedziałem, ale mam na to lekarstwo. Włóż karabin do pokrowca, aby go wiatr nie zabrudził piachem, i pobiegamy.

Ojciec wstał, otrząpiał przód ubrania, po czym zdjął koszulę i sznurowane buty. Onuce regulaminowo przewiesił przez język. Zośka była na bosy, więc gotowa.

– Biegniemy! – Ruszyła z młodzieńczą rączością i zapalem.

Luźny piasek spod jej stóp obsypał stojącego jeszcze Telesfora, lecz i on ruszył niebawem, ale płynniej. Krokiem luźnym i swobodnym. Powoli nabierał tempa. Choć w jego lewej nodze brakowało dużej ilości mięśnia czworogłowego, to podczas biegu prawie nie było tego widać. Stawiał drobne kroki, które, jakby się zdawało, muskały tylko ziemię. Miał dość dobrą kondycję, bo nawet jak jeździł furmanką, to często zeskakiwał w czasie drogi i truchtał koło wozu. Był kaleką, ale właśnie z tego powodu codziennie ćwiczył zranioną nogę, która po latach wysiłków prawie zrównała się ze zdrową. Teraz oddalająca się córka była niejako dowodem na to, że kaleka nigdy nie dorówna zdrowemu, lecz on nie poddawał się tak łatwo. Jego nogi pracowały jak maszyna: równo i bez zmęczenia. Jego oddech lekko przyśpieszony udowodniał tylko dobre przygotowanie fizyczne.

Przebiegli kilka wiorst. Pewnie więcej niż pięć. Córka przestała się oddalać, a ojciec utrzymywał cały czas tempo konia, który idzie stępa. Nie było widać po nim zmęczenia ani narastającego przyśpieszenia oddechu. Tylko lekko spociał się na policzkach i na plecach. Następne dwie wiorsty okazały się szczególnie. Rączca i silna jak gazela Zośka zaczęła tracić lekkość kroku. Walczyła o tempo, a stąpający za nią ojciec zaczął ją doganiać metr po metrze z regularnością parowozu. Już słyszała jego ciche kroki za plecami.

Przyśpieszyła. Zrywem silnym i gwałtownym, lecz niestety krótkotrwałym. Pot przesiąknął jej koszulę. Zaczęła szybciej oddychać, ale znów usłyszała ciche regularne stąpanie. Ojciec zrównał się z nią na chwilę i równym tempem zaczął odchodzić. Po czym zawrócił i z uśmiechem zakomenderował:

– Wracamy.

Biegli jednym tempem obok siebie. Oddechy im się wyrównały i wtedy ojciec mógł poprowadzić drugą część lekcji.

– Jesteś ode mnie młodsza, silniejsza i bardziej wytrzymała...

– Phi! Nie denerwuj mnie! Jak możesz mówić o mojej wytrzymałości, skoro stary, kulejący kaleka przegonił mnie w biegu trwającym pół godziny! – przerwała ze złością.

– No właśnie! Pytanie powinno być takie: Jak stary kaleka, nie gniewam się na ciebie za to przytykające określenie, przegonił wytrzymałą dziewczynę?

– No właśnie!

– No właśnie dzięki technice kroku, technice tempa, technice zmiany obciążeń różnych partii mięśni i innym trikom.

– No jak zwykle mówisz tak, żeby nikt nie zrozumiał.

– Tak mówię, ale sama możesz teraz zobaczyć, że nasze sylwetki podczas biegu są trochę inne. Więc nie muszę mówić zrozumiale, aby uważny obserwator zobaczył w czym rzecz.

– Stawiasz więcej kroków. Na moje dwa ty stawiasz trzy.

– Ja bym powiedział, że na twoje pięć ja stawiam osiem.

– Szczegółant.

– To co za tym idzie? Na każde twoje pięć kroków, ja biorę minimum osiem oddechów...

– Ty spryciarzu.

Podbiegali na wzniesienie i rozmowa trochę się rwała.

– Teraz bieg pod górę. Zobacz, jak pracują moje ręce. Twoje nie zmieniły pozycji, a moje są nisko, jakbym odpychał się niewidzialnymi kijkami od nart... i w rzeczywistości tak jest. W biegu pod górę, kiedy stopa dłużej styka się z podłożem, moja ręka bierze na siebie część pędu, który ciągnie mnie pod górę. To mój własny patent.

– No nie! To aż niemożliwe, ale gdybym cię nie znała...

– Punkt najważniejszy – wtrącił Telesfor – to nasza postawa, czyli nachylenie w kierunku biegu. Ty jesteś niemal wyprostowana i w biegu przetaczasz swój środek ciężkości przez środek stopy. To zmarnowany czas i energia. Ja, jak już zauważyłaś, potrafię stawiać więcej kroków. Porównajmy to do podnoszenia worka z ziarnem. Jeśli jeden człowiek dźwiga worek długim ruchem nad głowę, a drugi dźwiga tylko do pasa, ale dwa razy więcej podniesień, to jak myślisz, który będzie bardziej zmęczony?

– Teraz masz rację! Ten, który dźwiga wysoko, angażuje więcej mięśni.

– Właśnie, ja podczas biegu angażuję jedno mięśnie, a jak się zmęczą drugie. Ty na każdy długi krok angażujesz więcej mięśni i jeszcze mniej oddychasz...

– Czyli przechytryłeś mnie, a nie pokonałeś.

– Przechytryć znaczy pokonać, tak twierdził Ulisses, gdy konstruował Konia Trojańskiego.

– Odkąd się urodziłam, nie pamiętam, abys ty przyznał mi rację...

– Odkąd się urodziłaś, potrafiłaś tylko cmokać cycka i płakać, jak zrobiłaś kupkę. Wszystkiego, co umiesz, nauczyli cię rodzice albo poznałaś to, będąc pod naszą opieką. Wiedz jednak, że taki schemat jest w całej przyrodzie. Nawet drzewa uczą swoje dzieci.

– Tak, tak. Słyszałam, jak jeden dąb uczył swoje dziecko ogłady i higieny, a także języków obcych.

– Możesz się śmiać, ale kiedy pójdziemy w dąbrowę, pokażę ci umiejętnych uczniów i rygusów. Poznasz je po wielkości i kolorze liści. Nie każde z drzew traktuje naukę poważnie. Efekt, jak się domyślasz, jest śmiertelny w skutkach. Na przestrzeni pięćdziesięciu lat umrą wszystkie nieuki, które mogłyby dożyć tysiąca lat.

– No u ludzi tego nie spotkasz!

– Jak to nie. Nie słyszałaś o ludziach, którzy umarli z głodu albo alkoholizowali się na śmierć. Nawet w naszej osadzie jest kilku takich, którzy ślizgają się przez życie tylko dzięki kupcom, których mogą jednorazowo oszwabić, gdyby nie nasz most i przejeżdżający kupcy, Mursiok i Giemza już dawno umarliby z głodu.

– Albo zabiłaby ich delirka. Dobrze mówisz i ja widzę przykład w nauce strzelania. Jeśli kiedyś życie zależało od polowania, to nieumiejętny uczeń strzelectwa rzeczywiście mógł umrzeć z głodu.

Bieg i wspólna rozmowa wyciszyły kaprysy Zosi i napełniły jej organizm endorfinami. Zawsze tak jest, kiedy w żyłach zacznie raźniej krążyć krew. Dobięgli do stanowiska, napili się wody z kanki, a gdy oddechy się uspokoiły, Telesfor wyciągnął na powrót karabin. Wiedział, że po biegu mięśnie córki będą zmęczone i pozbawione napięcia, a jej emocje wyciszone.

– Załaduj magazynek i spróbuj od początku. Zrób tylko dłuższe przerwy między strzałami na przemyślenie tego, co możesz poprawić przy następnym strzale.

Zdumiał się, gdy zobaczył, że córka wkłada w lufę nabój ze skórzaną splotką i oddaje spokojnie trzy suche strzały. Nie musiał już czekać na strzały prawdziwe. Wiedział, że będą idealne.



Most był utrzymywany w nienagannym stanie. Czas wojny niczego nie zmienił. Telesfor wraz z córką zawsze wykonywali prace naprawcze z wyprzedzeniem. Jeśli jakaś belka lub deska wyglądała niepewnie, wymieniali ją na nową. Elementy spróchniałe łądowały w piecu. Most miał bardzo solidną konstrukcję. Ojciec popisывał się przed córką i wymyślał coraz to nowsze podpory i zastrzały.

Przez ostatnie kilkanaście lat most znacznie się rozrósł i stał bardziej wytrzymały. Córka nauczyła się wszystkich możliwych konstrukcji nośnych i sama umiała je stworzyć.

– Środkowe przęsło i podpory zbudowałbym tak, że po moście można by przewozić głazy z kamieniołomu, nawet wieloma wozami. Nie wiem tylko, jak się do tego zabrać? Nie mam pomysłu na rozwiązanie projektowe – Telesfor w ten sposób motywował swoje dziecko do myślenia konstrukcyjnego.

Kolejnego dnia dziewczyna niepytana podała ojcu kartkę z wyrysowaną konstrukcją.

– Ładnie! – pochwalił ojciec. – Ale jak ma się to trzymać w nurcie rzeki?

– Myślisz, że mnie złapiesz na bylejakości? – Uśmiechnęła się Zośka. – Chcesz wozić kamienie? To kilka wozów kamieni trzeba wyspać do wody wokół stolców. Stolce się

usztynią i wzmocnią. Będą także odporne na prąd podczas wiosennych przyborów.

– A tak? To taaak! – Dumny ojciec skreślił kilka wyliczeń podsumowujących całe przedsięwzięcie. – To od jutra do roboty.

– No chyba nie chcesz tego robić? – Zaperzyła się Zośka i dmuchnęła w kosmyk włosów. – Ten most już i tak wygląda jak gigant. Chcesz wyciąć wszystkie drzewa z lasu? Od kiedy nauczyłeś mnie rąbać, a miałam chyba tylko siedem wiosen, całe dni spędzam przy moście. Nieraz nawet zimą! Co ja mówię? Zwłaszcza zimą! Inne dzieci nie mają takich obowiązków. Jedynie okres spędzony w ziemiance pozwolił mi odetchnąć od tej ciężkiej pracy. Żadna z dziewczyn nie umie rąbać drewna, a ja mam od tego bary jak mężczyzna. Śmieją się ze mnie, którą z dziewczyn poproszę o rękę! Wiesz?! Chłopcy w gospodzie siłowali się na rękę. Zgadnij, który wygrał?

Ojciec uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Ty! Nie odpuściłabyś takiej okazji! – Chwycił ją mocno obiema rękami i podniósł do góry. – Moja córuchna! Żartowałem z tymi kamieniami. Rozwiążemy problem inaczej. Po konstruktorsku!

– Po konstruktorsku? Znowu całe lato przy siekierze, że wójt i sołtys ci na to pozwalają? – Zrezygnowana Zośka machnęła ręką. – Idę ćwiczyć muskuły, bo innej siły roboczej na pewno nie najmiesz.

Wiedziała, że na most nie ma siły. Ojciec jak coś postanowi, to diabeł mu w tym nie przeszkodzi. Był wtedy w swoim żywiole. Kreślił, skakał, zaciosywał, dźwigał i przymierzał. Zawsze uśmiechnięty z błyskiem radości w oku. Takiego go lubiła najbardziej, a taki był przy moście. Lubiała prace z ojcem przy konstrukcji. No cóż, ona także pokochała ten most!



Niemieccy żołnierze, dwóch szeregowców i jeden sierżant, mieszkali w wygodnym domu w środku wsi. Byli to ludzie stateczni i dobrze wychowani. Jednak pomimo wielomiesięcznej znajomości nie wchodzili w zażyłe stosunki z nikim oprócz niemieckich kolonistów. Patrolowali wieś, pola i okolice. Duże znaczenie przykładali do miejscowego mostu. Jego konstrukcja wytrzymywała duże obciążenia, więc miała znaczenie strategiczne dla armii. Rozkazy wobec utrzymania nienagannego stanu technicznego były traktowane priorytetowo. Jedynym Polakiem w Grabowie, który cieszył się jakimkolwiek poważaniem u Niemców, był właśnie Telesfor. Mieli ze sobą zgrzyt zwłaszcza na początku, gdy Wehrmacht zabrał mu sztucer. Zabrali.

– Na władzę nie poradzę! – odparł sołtys. – Musisz przeboleć stratę.

– Po moim trupie. Prędkiej z pozostałych naboju zrobię minę i ich wysadzę.

– Nawet nie próbuj. Puszczą wieś z dymem. Wiesz o tym.

– Wiem. Bądź spokojny, ale mnie korci zrobić im psikusa.

– Pomyśl lepiej o dziecku. Trzeba wychować młodsze pokolenie.

Rozstali się z uśmiechem na ustach. Telesfor jednak nie przestawał myśleć o swoim karabinie. Niemcy przychodzili do niego regularnie po raporty o stanie mostu, gdy

przyszli dziś wieczorem, czekał na nich z kolacją.

– Proszę, proszę! – zaprosił do stołu.

Pachnący dzik, ziemniaki okraszone smalcem z suszoną pietruszką pachniały tak, że nie sposób było odmówić. Zwłaszcza, że do stołu podawała piękna młoda dziewczyna. Na dzisiejszy wieczór ubrana odświętnie i ze smakiem. Karafka z wódką szybko traciła zawartość i szynka z dzika też szybko się ulatniała. Talerze zaczynały świecić pustkami. Wtedy czarnowłosa podała sarninę tak przyrządzoną, że rozpląwała się w ustach. Druga karafka mocnego trunku rozwiązała języki. Niemcy zaczęli pokazywać fotografie z domu i opowiadać o swoich rodzinach. Zrobiło się przyjacielsko i rodzinnie. Ciepło i przyjaźnie.

– Szkoda, że ostatni raz mogę was gościć takim jadłem. – Z autentycznym żalem powiedział Telesfor.

– A co się stało, mój przyjacielu? – Sierżant z rozpiętym pod szyją mundurem objął gospodarza.

– Nie mam już mięsa, a następnego nie upoluję, bo mój sztucer jest u was w depozycie. Szkoda, naprawdę szkoda.

Atmosfera była tak miła i przyjacielska, że brakowało tylko nawtykanych kwiatków.

– Przyjdź jutro z raportem o moście. Coś pomyślimy. Jesteś w końcu w jednej czwartej Niemcem. – Sierżant wstał od stołu. Podciągnął pas i dopiął mundur. Podkomendni zrobili to samo.

– Nie mamy kłopotów z mostem, ty nie będziesz miał kłopotów z nami. Tak muszą żyć ze sobą sąsiedzi.

Pożegnali się czule z gospodarzem i jeszcze czulej z gospodynią. Wyszli, a już nazajutrz Telesfor wracał dumnie do domu ze sztucerką na ramieniu.

– Zośka! Na polowanie! – zakrzyknął uradowany.

– A kto będzie strzelał? – odkrzyknęła dziewczyna.

Chwila zastanowienia.

– No dobra. Ty! – Z żalem odparł ojciec, ponieważ również on nie mógł się doczekać strzelania.

Wieczorem wszedł księżyc. Nie oświetlał zbyt dobrze terenów łowieckich, ale dla młodych oczu i silnej lunety to wystarczyło, aby rozpoznać cel. Na pokryte szronem pole wyszły dziki. Powoli, spokojnie. Najpierw wyszedł stary, wielki odyniec. Obwąchał otoczenie. Postąpił chwilę i ruszył na pole obsiane oziminą. Za nim wyszły lochy i warchlaki. Były ich dziesiątki. Całe pole było pokryte czarnymi górkami.

Zew polowania zakorzeniony jest głęboko w ludzkich instynktach. Nieraz surrealistyczny obraz powalonego zwierzęcia prześladowany przez nocami. I mimo że człowiek może być najedzony i zajmować w hierarchii społecznej wysoką pozycję, to wyrusza z bronią do lasu na łowy, które mają zaspokoić wyłącznie jego ambicje.

Telesfor był jednak tego przeciwnikiem. Polował wyłącznie dla mięsa. Dzielił się nim z sąsiadami, którzy mieli po kilkanaścioro dzieci. Dla siebie i Zosi zostawiał tylko porcje na dwa, trzy dni. Reszta pewnie i tak by się popsowała.

Polowanie miało więc aspekt ekonomiczny. Nie to, że przymierali głodem. Wcześniej, jak mieli niewielki inwentarz: konia, krowę i kury, to na świnie po prostu nie starczało czasu. Telesfor oprócz prac przy moście wykonywał wiele zadań dla społeczności zamieszkującej Grabowo. Naprawiał wozy konne, strzechy oraz wykonywał wiele mebli drewnianych, w tym niebanalne kołyski dla niemowląt. Polowanie sprawiało mu niebywałą przyjemność, więc zrezygnował z chowu trzody na rzecz wypraw myśliwskich. Tą pasją zaraził także swoją córkę.

– Ten warchlak z prawej na końcu stada. Jest tłusty i wielki, zapewne może mieć jakieś dwa lata – szepnęła prawie bezgłośnie.

– To ponad sto metrów stąd. Widzisz wyraźnie grot w lunecie?

Telesfor szanował zwierzęta. Nie dopuszczał do ranienia. Wolał nie strzelać wcale. Tego uczył swoją podopieczną.

– Tak. Nie przeszkadzaj, bo spudłuję.

Grot w lunecie jej oczy widziały wyraźnie, lecz cel, jak na pewne trafienie, był zbyt odległy. Nie wiało, więc zaryzykowała. Wypuściła powietrze z płuc i zamarła w bezruchu. Ignorowała lekkie ruchy karabinu. Skupiła się tylko na ściąganiu języka spustu.

– Pang!

Sztucer podskoczył szarpnięty odrzutem. Stado ruszyło w las jak oszalałe. Dudniło pole i trzaskały gałęzie. Po kilku sekundach na polu pozostała jedna czarna górka.

Ojciec obserwował wszystko przez lornetkę. Jego szkła nie podskakiwały, więc widział wszystko bardzo wyraźnie. Dzik padł, ale nie trafiony w komorę. Nic nie mówił, ponieważ wiedział, jakie teraz emocje przeżywa córka. Chciał zaoszczędzić rodzicielskiego gładzenia i sprawić, aby sama zrozumiała swój błąd. Podeszli do dzika z naładowanym sztucerem. Zdarza się, że postrzelone zwierzę udaje martwe, aby w bezpośrednim kontakcie zaatakować i rozerwać myśliwego na kawałki, jednak teraz dzik był martwy.

– Postrzał w kręgosłup. Aj! Ajajaj! Zapomniałam o odskoku pierwszego strzału – przyznała się samowolnie.

– Dobrze, że pierwszy nie bije prawo dół, bo okaleczyłabyś zwierzę.

– Tak. Teraz będę już pamiętać na pewno!

Oskórowali i poćwiartowali zwierzę. Mięso było młode i pachnące. Gdyby upolowali większego dzika, pożywienia byłoby znacznie więcej. Tu jednak chodziło o walor smakowy, a im zwierzę starsze, tym mięso mniej apetyczne.

– Zaniesiesz jutro jedną szynkę na odwach dla Niemców. Jestem chyba jedynym Polakiem, który podczas wojny otrzymał od wroga broń. – Uśmiechnął się do siebie, ponieważ znów był w swoim żywiole.



To, że Niemcy przegrywają wojnę, można było wyczuć od razu. Nerwowe odzywki, rozbiegany wzrok. Już nie paradowali po wsi z minami władców wszechświata.

Człapali w dawno niepastowanych butach i martwili się o swój dalszy los.

Przez most często przejeżdżało zaopatrzenie. Z początku ciężarówki przewoziły łupy. Teraz te same ciężarówki transportowały rannych. Potargane pociskami plandeki świadczyły o tym, że szlaki zaopatrzeniowe także są celem ataków nieprzyjaciela. Zwłaszcza w styczniu rannych i wycofanych ze względów odmrożeń było wielu. Z kolei na front podążały pojazdy z młodymi chłopcami i ze starcami. Nie było już mężczyźn w sile wieku wojujących za III Rzeszę. Pewnej nocy przez most przejechały czołgi. Pantery. Smukłe i szybkie. A skoro jechały nocą i po niepewnej drodze, to Telesfor się domyślał, że linia frontu zbliża się do Grabowa.

– Sowietci są już blisko. W nocy, kiedy milkną wszystkie dźwięki, to słyszę odgłosy armat i haubic. – Z podnieceniem opowiadał córce Telesfor. – Czuję nadchodzącą wiosnę i naszą szansę na wyzwolenie spod niemieckiej okupacji.

– Nie mówiłam ci, ale ci powiem. Spotkałam ruskich dywersantów. W lesie. Dałam im jedzenie i opowiedziałam o posterunku w naszej wsi. Prośli, żebym nikomu nie mówiła, ale tobie mogę. – Zośka z wypiekami na twarzy opowiadała przejęta. – Wyszadzili węzeł kolejowy i wieżę ciśnień w parowozowni. Niemcy już nie transportują niczego koleją tylko samochodami. Przez nasz most. To tutaj jedyna droga zaopatrzenia.

– Niech tylko twoim dywersantom nie przyjdzie do głowy wysadzić nasz most. Zastrzelę wszystkich, jak mi Bóg miły!

Wszędzie po domach krążyły różne plotki. A to o froncie, a to o aliantach. W tych plotkach musiało znajdować się wiele słów prawdy, gdyż most był wykorzystywany niemal bez przerwy. W szoferkach kierowcy mieli przemęczone i wystraszone miny. Ci, którzy jechali na front, bali się tego, co ich tam może spotkać, a ci, którzy wracali, bali się tego za sobą.

Telesfor miał teraz dużo pracy. Części mostu, zwłaszcza dyle, ulegały zniszczeniu z powodu eksploatacji. Po przejeździe czołgów musiał wymieniać nawet kilkanaście.

Pewnego poranka wstał i od razu, z siekierą w ręku, poszedł na most. Jeszcze przed śniadaniem. Coś go trapiło, a gdy był już na miejscu, siekiera mało nie wypadła z jego dłoni. Na szczycie pradoliny rzeki ustawiono dwa szańce z worków z piaskiem. W środku obok czarnych karabinów MG były stanowiska moździerz. Pomiędzy szanćami ustawiono przenośne zasieki. Rozejrzał się dookoła i zobaczył jeszcze coś. W nabrzeżnych jodłach, dobrze zamaskowany stał czołg. Nie pantera, tylko potężny i groźny tygrys z działem 90 mm.

Na moście kilku żołnierzy w mundurach Wehrmachtu pracowało w skupieniu.

– Co? Co oni tam robią? – zapytał sam siebie i włosy zaczęły mu stawać na całym ciele. Widział rozciągnięte kable i paczki mocowane zaczepami do głównych elementów mostu. – Nie mogą tego zrobić! Przecież to nasz most!

Biegł do domu jak oszalały. Nie wiedział, co się z nim dzieje. Ręce mu drżały, wzroku nie mógł na niczym skoncentrować. Szybko oddychał, a na skórę wystąpił pot.

– Zosia! Zooosia! – wyjąkał. Przez chwilę łapał oddech. – Zaminowali nasz most.



Telesfor nie odzywał się do nikogo. Rano robił obrządek, po śniadaniu wychodził, nie mówiąc dokąd. Wracał późnym popołudniem albo wieczorem i znów oporządził gospodarstwo. Bez życia, blady na twarzy. Narząbał czasami drewna albo oprawił jakąś motykę i kładł się spać. Zośka nie znajdowała słów otuchy. W zasadzie się cieszyła, że ojciec nie umarł kilka dni temu. Miał jakiś ciężki atak nerwowy.

Czołgi i sprzęt po moście jechały na zachód dniem i nocą. Haubice o krótkich, ale grubych lufach, przypięte do ciężarówek, robiły największy rumot. Perfekcyjnie dopasowane bale mostu – ułożone starannie w jodełkę – czołgi metalowymi gąsienicami darły na drzazgi. Powierzchnia trakcyjna mostu była w strzępach. Nikt jej nie naprawiał i nie dbał o nic. Nie było na to czasu. Po moście ciągle jechały pojazdy.

Aż pewnego dnia wszystko zamilkło. W uszach zaczęła nieprzyjemnie dzwonić cisza. Nagle powietrzem wstrząsnął wybuch. Domy zdrząły, a ze strzech posypała się słoма. Drób na podwórku, gubiąc pióra, pognął z jazgotem do kurnika. Psy skuliły się w budach, a krowy zaczęły ryczeć.

Telesfor wybiegł z chaty w samej koszuli. Biegł tak szybko, że zwinna Zośka znacznie odstawiała. Nie dobiegł jednak do rzeki. Padł na twarz jak nieżywy.

Dziewczyna jakimś cudem zaniosiła go do domu. Ocuciła. Przewracał półprzymkniętymi oczami. Dwa dni nic nie jadł. Na kilka dni odjęło mu mowę, ale potem powoli wrócił do siebie. Nie odzyskał tylko dawnej radości i ochoty do życia.

Poszedł nad rzekę. Na most. Niemcy dawno zwinęli posterunki, zabrali nawet worki z piaskiem i odjechali. Pozostała tylko zawalona konstrukcja. Z nurtu wystawały postrzępione stolce. Przyczółki przeprawy na obu brzegach wyrwały ładunki wybuchowe. Zniszczeniu uległy też kamienne nasypy. Pozostało tylko rumowisko bali i kamieni.

Telesfor siadł na brzegu i rzucał małe kamienie do wody.

– Plum! Plum, plum.

Czasami jakiś płaski odbił się ze dwa, trzy razy od powierzchni, aby na zawsze zatonać.

– Co robisz? – zapytał jeden z Niemców, który patrolował okolicę.

Telesfor nie odpowiedział od razu. Musiał przełknąć gorzkie słowa, które cisnęły mu się na usta. Nienawidził Niemców. Nienawidził wszystkich. Ich matek i ojców, i dziadków.

Najlepiej, gdyby nigdy nie istnieli. Parszywe sukinsyny. Wydaje im się, że mogą panować nad światem. A gówno! Stoi taki jełop z karabinem i myśli, że ma jakąś władzę. Jakbym go teraz chwycił, to ani by nie jęknął. Uduśliłbym go bez żadnego żalu – myślał w gniewie, ale odpowiedział łagodnie.

– Siedzę i myślę. Myślę o moim życiu.

– Wiem, że myślisz o moście, ale na razie go nie naprawisz. Musisz poczekać na koniec wojny. – Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale cieśla przerwał mu z satysfakcją:

– Koniec wojny jest już blisko. Dobrze o tym wiesz, ale ja nie będę już budował mostów. One służą ludziom do ataków. Przejeżdża po nich wojsko. My tutaj nie potrzebujemy mostu. Mamy wszystko, czego nam trzeba. Chleb pieczemy w piecach,

a w kominach wędzimy mięso. Na polach rośnie wszystko to, czego nie znajdziemy w lesie. Gdyby nie ten przekłety most, nigdy byśmy się nie spotkali. Nigdy w naszej wsi nie byłoby karabinów i żołnierzy. Może nawet przeminęłaby wojna, a my byśmy o niej nie wiedzieli, gdyby nie most.

Rzucił ostatni kamień w rzekę. Wstał i poszedł w kierunku domu, nie oglądając się za siebie. Wrócił na podwórko odmieniony, ale i ono było jakieś inne.



– Gdzie Skunks? – zapytał córki.

Nazywali swojego psa w ten sposób nie ze względu na zapach, ale na umaszczenie. Był czarny, a przez plecy i kudłaty ogon ciągnęła się biała pręga. Był żywym i hałaśliwym zwierzęciem. Takim, jakiego potrzebuje gospodarstwo. Szczekaniem odganiał w nocy lisy, a szybkość i ruchliwość pomagała w polowaniu na szczury. Zawsze witał wszystkich, obskakując i merdając dwukolorowym ogonem. Dzisiaj go nie było.

– Poszedł na noc do sąsiadów. Tam jest suka, którą chcę pokryć naszym szczurołapem. – Zośka przywitała ojca uśmiechnięta. Postawiła na stole talerz z kartoflami i kubek kwaśnego mleka.

– Przydałoby się chociaż jajko – zagadnął.

– Kury się przestały nieść. Nie ma jajek – odparła szybko.

– Nie ma jajek? Od kilkunastu kur? Chyba ktoś urok rzucił... – Zdziwiony do granic ojciec pokręcił głową. – To daj chociaż sera.

– Spleśniał. Musiałam wyrzucić. – Chciała szybko wyjść, ale ojciec był szybszy.

Chwycił ją za rękę w łokciu i szybko przyciągnął do siebie.

– Gadaj, gdzie wyniosłaś strawę albo spuszcza ci lanie! – wykrzyknął, udając zdenerwowanie.

– Tak. Powiem ci. Oddałam dla biednych. Zanioślam do cerkwi. Teraz jest post, więc nie musimy się obżerać. – Spojrzała na niego uważnie. – Kiedy wróci ci apetyt? Jesteś już zdrowszy? Już ci przeszło?

– Tak. Już mi przeszło. – Okrasił ziemniaki kwaśnym mlekiem, wygniół łyżką w misce i jadł z apetytem. – Podaj sól.

– Też wyniosłam.



W chacie panował półmrok. Kaganek oświetlał jeden kąt, a w drugim zarzył się piec. W najciemniejszym kącie stali dywersanci. Twarze mieli poczernione kopciem, a ich ubrania przypominały małe krzaki.

– Wiemy, że to trudne zadanie, ale może jest wykonalne? – zapytał cicho jeden.

Telesfor się nie odezwał. Myślał.

– Co o tym sądzisz? Ja myślę, że to zrobimy – odezwała się córka z ochotą.

– Nie mogę teraz dać odpowiedzi – wyznał. – Muszę to przemyśleć.

– Całe życie pracowałeś przy moście, nawet jak nie było nic do roboty. Teraz, kiedy jest zadanie, wyzwanie, piękna karta historii do zapisania, to ty się zastanawiasz? Wiesz, że tylko ty i ja możemy taką rzecz zrobić? Nikt inny!

– Pracować to jedno, a ryzykować życie dziecka, to całkiem co innego. Jeśli zastaną nas przy robocie albo tylko zwąchają, że coś grzebiemy... zastrzelą. Może nawet spalą wieś. Wiesz, jacy są. To wojna. Nikt nie liczy się z takimi wieśniakami jak my.

– Boisz się o mnie. Wiem, ponieważ ja boję się o ciebie, ale musimy zaryzykować. Przemyślimy w najdrobniejszych szczegółach. Zrobimy plany awaryjne i opracujemy drogi ucieczki, ale musimy to zrobić!

Patrzyła teraz w jego oczy i wiedziała, że się zgodził. Miała głębokie przekonanie, że już od dawna miał taki pomysł w głowie, tylko nic nie mówił.

– Jest to wykonalne technicznie. Wiele elementów usztywniających i nośnych można umieścić pod lustrem wody. Tam będą niewidoczne, ale wzmocnią i pozwolą odbudować konstrukcję. Połamane przęsła można przesunąć tak, że będą stanowiły zastrzały i rozpory. Wtedy kilka jętek w zupełności wystarczy. Zrobimy je ze starego drewna, aby nie rzucały się w oczy. Dyle rzuci się w ostatni dzień. Nie będziemy układać w jodełkę, tylko zakleszczymy od góry prostopadłe.

Dywersanci nie wiedzieli, o czym mówi, ale widzieli oczy dziewczyny. One powiedziały wszystko. Most będzie gotowy.

– Nie domyślą się szwabry, że coś szykujesz? – Dywersant spytał, aby sprawdzić, czy Telesfor na pewno wszystko przemyślał.

– Mam tyle drewna na podwórku i wiór, że sam diabeł się w tym nie rozezna.

– Dla niepoznaki musisz być pochmurny, przybity i sflaczały – powiedział kolejny. – Niemcy nie mogą czegokolwiek podejrzewać.

– Czyli taki jak przez ostatnie siedemnaście lat. – Zachichotała Zośka. – Idźcie już, bo ja muszę odebrać psa od sąsiadów.

– Nie masz jeszcze jajek? – zapytał drugi dywersant. – Tamte już wszyscy zjedli.

– A ser wam smakował? – dociekał Telesfor.

– Tak, tak – potwierdzili.

– A mi nie. Nawet nie powąchałem...

Ćwiczenia równowagi

– *Trzy postawy strzeleckie zasadnicze.*

– *Wiem. Stojąca, klęcząca i leżąca.*

– *Jest dużo pochodnych tych postaw. Siedząca, siedząca okrakiem na gałęzi, leżąca na wypukłości terenu. Wszystkie je trzeba ćwiczyć, ale jedna jest przewodnia.*

– *Ta najtrudniejsza. Stojąca?*

– *Tak. Jest to postawa, której uczyć się trzeba codziennie, nawet nie mając karabinu w ręce.*

– *Ale dlaczego?!*

– Jest to postawa wysoka, w której trafienia są zależne od równowagi ciała.

– No, ale ja mam równowagę ciała.

– Tak. Masz, ale czy ją obserwujesz? Czy potrafisz wyciszyć nagle przechylenia? Linoskoczkowie cyrkowi ćwiczą równowagę codziennie, ponieważ jest to jeden z niewielu zmysłów, który ma właściwie każdy, ale aby był sprawny, musi być używany świadomie codziennie.

– Czy to ma coś wspólnego z tą belką, którą przyniosłeś?

– A jak myślisz? Czemu dzwigan coś takiego przez kilka wiorst?

Ojciec położył belkę na równej ziemi, a na niej położył jeszcze deskę przestrzeloną wcześniej jako tarczę.

– Stań na niej.

Dziewczyna wskoczyła rażno i popatrzyła ojcu w oczy.

– Phi! Nic trudnego!

– Dobrze. To weź teraz karabin do ręki. – Ojciec podał broń. – Złóż się do strzału w dowolnym kierunku.

Czarnowłosa wykonała ruch kolbą i już była na ziemi.

– Phi! Nie jest tak łatwo. – Tubalnym głosem skwitował Telesfor.

– To pokaż, jak ty to robisz, skoro jesteś taki mądry.

Ojciec poprawił deskę na drągu. Stanął na niej jedną nogą, a potem szybko dostawił drugą. Złapał równowagę i płynnym ruchem dostawił kolbę do ramienia. Zarepetował i oddał suchy strzał.

– Chyba w tajemnicy ćwiczysz to codziennie. – Zaśmiała się z podziwem czarnowłosa, jakby oglądała sztukę cyrkową. – Daj, jeszcze raz spróbuj.

Telesfor zeskoczył z deski i podał córce karabin.

– No tak, nie pokazywałem ci tego wcześniej. Nad rzeką jest taki kamień, na którym kładę deskę. Wtedy deska kiwa się we wszystkich kierunkach. Na takim sprzęcie jest jeszcze trudniej utrzymać równowagę.

– To czemu wcześniej mi tego nie pokazywałeś?

– To jest właśnie ten moment. Dobrze strzelasz, ale żeby poprawić wyniki trzeba w treningi włożyć wyobraźnię i trochę więcej potu. Pobaw się trochę językiem spustowym, a ja zawieszę tarcze.

Wrócił po chwili i wyciągnął naboje z ładownicy.

– Odpocznij trochę. Rozgrzej i rozciągnij mięśnie kręgosłupa. O tak.

Z podziwem patrzył, jak gibka Zośka kręci tułowiem, a głową dotyka prawie Ziemi. – Nie za mocno, bo się złamiesz w pół. – Roześmiał się i podał córce karabin. – Pamiętaj o odważnym spuście. To teraz niezmiernie ważne.

– Zrzęda.

Po oddaniu pięciu strzałów ojciec zaproponował, aby zesza i do drugiej tarczy strzeliła kolejną piątkę. Spacerem podeszli do tarcz.

– To moje tarcze?

Nie wierzyła.

– Te strzały z równoważni są efektem najlepszego skupienia, jakie wykonałam od miesięcy! – krzyknęła podekscytowana i zaskoczona. – Te trafiane z ziemi też są piękne. Zaczarowałeś mnie czy co?

– Nie! Uśpiony został tylko twój perfekcjonizm. – Uśmiechnął się, gdyż trening dzisiaj przebiegał zaskakująco dobrze. – Kiedy stałaś na równoważni, myślałaś tylko o tym, aby nie spaść. Potem, gdy zesłaś na ziemię, miałaś dużo lepszą statykę. Ot i cała tajemnica.

– No dobra, nie zrzęda, tylko spryciarz.





Ojciec pracował nieustannie. W dzień szykował pale i przęsała na podwórku, nocą montował konstrukcję na rzece, wtapiając ją w ruiny poprzedniego mostu. Dla niewprawnego oka był to nadal zburzony i nieprzydatny do niczego most. Brakowało bowiem powierzchni jezdnej. Dla budowniczego jednak most to konstrukcja. Drogę można ułożyć bardzo szybko, jeśli ma ona na czym się oprzeć.

Diabelski plan był bardzo dobry. Patrole Wehrmachtu przechodziły tutaj kilka razy dziennie i nikt na razie nie zwrócił na to uwagi. Telesfor wykorzystywał do swojej budowli elementy starego mostu, które zniszczone lub przechylone dawały jakieś oparcie. Umieszczał w przemyślanych miejscach podpory albo łączył ważne elementy ętakami. Być może była to pierwsza taka konstrukcja w historii. Pierwsza i pionierska, ponieważ w założeniach miała wytrzymać nacisk jednego czołgu, czyli trzydziestu pięciu ton!

Telesfor wiele czasu spędzał nad rysunkiem wymyślonej konstrukcji. Czasami po przyjsciu z nocnego montażu, nanosił potrzebne poprawki. Kreślił na nowo i dokonywał prostych obliczeń. Także nocą dostarczał wszelkie potrzebne drewno w okolicę mostu.

Najpierw Zośka wychodziła na zwiad. Na szczęście patrole żołnierzy były tak regularne, że zegar na wieży można było regulować od ich wyjścia z kwatery. Dziewczyna śledziła ich trasę i sprawdzała, czy powrócili na posterunek. Kiedy tylko powracali i zamykali za sobą drzwi, Zośka biegła do ojca.

Telesfor czekał na nią z załadowanym wozem. Wyjeżdżali bramą od lasu, niezauważeni nawet przez sąsiadów. Na miejscu rozładowali drewno, a wtedy dziewczyna odprowadzała wóz i konia. Wracała natychmiast na posterunek obserwacyjny przed kwaterą Niemców. Była gotowa do sprintu nad rzekę, gdyby tylko otworzyły się drzwi niemieckiego posterunku.

Tydzień takiej wytężonej pracy odbił się mocno na wyglądzie rodziny. Zośka miała podkrążone oczy i ciągle ziewała. Ojciec, pomimo że był chudy, schudł jeszcze bardziej. Oczy się zapadły, ale nie straciły swojego blasku. Pojawiła się nawet radość i duma.

Kiedys w wolnej Polsce był w wojsku saperem. Najlepszym, jakiego wykształciła jednostka. Precyzyjnie i intuicyjnie kreślił konstrukcje mostów i umocnień wojskowych. Potrafił rozbroić każdą minę i bombę. Jego dalszą karierę przerwała mina zrzucona z samolotu.

Jako niezdolny do służby wojskowej został przeniesiony do rezerwy. Wrócił do rodzinnej wsi i tam chciał dożyć starości. Niestety praca jego rąk była tak cenna, że zamówienia na różne konstrukcje przychodziły z nawet najdalszych okolic. I tak pewnego razu trafił do Grabowa, gdzie miał naprawić most.

Praca wydała się nieskomplikowana, a zapłata bardzo dobra. Przyjął tę robotę. Wynajął kwaterę i... się zakochał.

Pewna piękna czarnowłosa dziewczyna mieszkała z rodzicami w dużym domu, gdzie wynajął kwaterę. Dziewczyna była niezwykle spokojna. Swoim zachowaniem przyciągała uwagę każdego. Telesfor miał szczęście, że na kwaterę trafił właśnie tutaj. On kawaler z fachem w rękę i niekończącymi się zamówieniami był partią nie do pogardzenia. Ona gospodarna i dobrze wychowana wydawała się dla niego idealnym dopełnieniem. Każdy wieczór spędzali razem. On opowiadał o wielkim świecie. Moskwie, Warszawie i innych wielkich miastach. Ona słuchała opowieści i nie mogła potem zasnąć. Nagle prace przy remoncie mostu utknęły.

Nie wiadomo po co, ciągle zwożono drewno. Trudności piętrzyły się nieustannie. A to podpora okazywała się spróchniała, a to przeszło za słabe. Wreszcie w którąś niedzielę sołtys rozpoznał powód niekończących się usterek. Dziewczyna, która wyrastała pod ich okiem, niezauważona wracała ze mszy w towarzystwie. On w galowym mundurze z przystrzyżonym, czarnym wąsem. Strzelisty i barczysty wyglądał jak młody Piłsudski. Ona szła także odmieniona. Policzki poróżowione, rzęsy poczerwione, włosy rozpuszczone. Na głowie haftowany toczek. O bruk zahaczała jej długa, haftowana, lejąca się suknia.

– Anioł z nieba – stęknął sołtys. – Trzeba ich szybko pożenić albo mostu się nie doczekamy...

Wesele było huczne, most przepiękny i mocny. Radość zagościła w Grabowie i w okolicy. Nagle osada ożyła, ruch na moście przyniósł zyski. Pojawili się kupcy z towarami. Przy głównej drodze powstał targ. Pop na cerkiew zaczął dostawać znowu papierową walutę, a u młodych, jak to po ślubie bywa w domu nowożeńców, pojawiło się niemowlę.

Wieś zyskała cieślę i nową obywatelkę. Nowej obywatelce rodzice dali na imię Zofia. Słowo *sophia* w grece oznaczało mądra.



– Nie dokończę tego mostu! Rozumiesz? Nie mam zamiaru wspierać tych, co palą, mordują, rabują i gwałcą gorzej od Niemców!

– Nie proszę cię o to, abys wspierał którąś ze stron. Masz tylko ukończyć most!

– Zrozum! Widziałem na własne oczy, co zostało ze wsi za rzeką! To nie są ludzie! Albo właśnie tylko ludzie, bo kto inny robi takie rzeczy. Zabrali do jedzenia wszystkich prócz psów! Zgwałcili nawet dzieci! Tych, co się próbowali opierać, to spalili żywcem w chatach! Nie chcę takich oswobodzicieli, a już na pewno im nie pomogę!

– Niemcy wybudowali fabryki do zabijania. Przywożą ludzi wagonami bydlęcymi bez wody i jadła. Rozbierają do naga. Zabijają gazem, a potem palą zwłoki! Po Żydach ani śladu w całej okolicy!

– Mnie Niemcy nie skrzywdzili. Zbierają podatki jak wszyscy. We wsi jest posterunek. Nikt po nocy nie szwenda się pijany i nie dokucza sąsiadom. Pilnują porządku, jak nigdy dotąd.

– Zapomniałeś już o osadnikach? Po zdobyciu siłą naszych ziem przysłali nam dwóch osadników. Na najlepsze gospodarstwa. Pamiętasz może, co się stało z właścicielami? Znalezione ich zastrzelonych śrutem. Śledztwo Niemcy umorzyli z braku dowodów już po miesiącu. Co ciekawe, rodziny zabitych wywieźli do Rzeszy... do niewolniczej pracy.

– Dlatego po nocach budowałem ten most, ale jak zobaczyłem, kto nas będzie oswabadzał, to dzisiaj chciałbym postawić za rzeką jeszcze wysoki mur! Chyba wolę faszyzm niż komunizm.

– Nie przekonasz mnie. Tam idą polskie wojska. Tam śpiewają polski hymn. Tam są orzełki na czapkach.

– Orzełki? Jeszcze takich nie widziałem, a w wojsku spędziłem połowę życia! To banda pijanych morderców, którzy śpiewając polski hymn, palą polskie wioski. Nie przekonasz mnie i sama zobaczysz swój błąd!

– Obiecałam już, że dokończymy ten most dzisiaj w nocy. Jutro razem z żołnierzami rzucimy poprzeczne dyle i zaczniemy przeprować czołgi. Ty dostaniesz medal, a mnie wezmą do wojska!

– Cooo?! – Ojciec chwycił się za głowę. – W dupie mam twój medal, a do wojska pójdziesz, jak mi włosy na języku wyrosną.

– To zacznij już golić, bo mam fasowany mundur!

Ojciec nie wytrzymał i plasnął Zośkę otwartą dłonią w twarz. Stała hardo i odważnie patrzyła mu w oczy. Zapadło przerażające milczenie.

– Matkę też tak szkoliłeś? Tak zaprowadzałeś porządek w rodzinie? Przez ciebie umarła. – Ostatnie słowa wypowiedziała przez zaciśnięte zęby. W oczach zbierały się łzy. – Sama dokończę ten most. Nie jesteś mi już do niczego potrzebny.

Wyszła z chaty i trzasnęła za sobą drzwiami tak mocno, że wapienne bielone posypało się na podłogę. Ojciec stał jak zamurowany. Stał i patrzył przed siebie. W głowie miał bezdenną pustkę. Świadomość, że jego mała córeczka wstępuje do wrogiej armii, była nie do zniesienia. Wiedział, że walka z faszyzmem jest konieczna, ale nie za cenę życia jego dziecka! Stał i nie mógł się ruszyć. Stał i płakał. Łkał tak głośno, że echo odbijało się od okien i ścian. Nigdy nie płakał. Nigdy się nie poddawał, a teraz nie wiedział, co robić? Teraz po prostu stał i płakał.

Późnym wieczorem poszedł na most. Widział swoją Zosię przy pracy.

– Nikt jej nie dorówna. Jest gotowa! Tylko czemu to tak bardzo boli? – Do oczu znowu napłynęły łzy. Usiadł i zapłakał ponownie. Tym razem bezgłośnie.



Niemców na wiejskim posterunku obudziło dudnienie czołgów. To nie były pantery ani tygrysy. Łomot gąsienic i warkot diesli obudził w nich olbrzymi lęk. Ziemia drżała dookoła. Wyskoczyli z posterunku, jak stali. Zabrali tylko broń. Wywiązała się krótka walka o rower. Rowery były dwa, a posterunkowych trzech. Najsilniejszy pedałowal już na zachód. W końcu jeden z walczących przewrócił się wraz z rowerem, ale trzymał go

kurczowo. Nie oddał pomimo kopania i okładania przez pobratymca. Czas naglił. Stojący Niemiec odwrócił się i zaczął uciekać biegiem. Gnał przez łąki na przełaj w kierunku liściastego zagajnika. Dyszał ciężko, a po włosach i twarzy płynął mu pot. Był coraz bliżej schronienia przed wzrokiem najeźdźców, gdy z zagajnika wyszedł Telesfor.

– Witam! Panie Bolke! – W rękę trzymał luźno zwisającą siekiere.

Niemiec obejrzał się za siebie. Załzawione od wysiłku oczy nic nie zobaczyły. Ręka dźwigająca karabin podniosła go do góry. Chciał zmienić chwyt, aby przeładować nabój.

– Nie, nie. – Cmoknął Polak. – Ręce do góry, proszę – oznajmił pewnym, spokojnym głosem.

Niemiec wykonał ruch do zmiany chwytu na broni. Telesfor skoczył jak pantera. Jego wypracowane, silne mięśnie nadały jego ruchom płynności i szybkości. Siekiera świsnęła od dołu rozpędzona sękatą dłonią. Wbiła się w ciało, gruchocąc kości.

– To za most! Za wszystkie dni spędzone na nim i stracone przez jedną waszą decyzję!

Telesfor trzymał siekiere. Siekiera trzymała Niemca. Podtrzymywany wbitą pomiędzy nogi siekiere stanął jakby zafascynowany albo zdumiony? Telesfor sięgnął lewą ręką po lufę karabinu. Ten wysunął się z rąk mdlejącego mężczyzny. Upadł. Trzonek siekiery sterczał w górę. Telesfor nadepnął nogą brzuch Niemca i gwałtownym pociągnięciem wyrwał siekiere z miednicy. Leżący patrzył bezradnie. Bezsilnie wywrócił oczami. Zaczął szeptać. Modlitwę albo jakieś życzenie. Cieśla pochylił się nad nim.

– Dobij mnie... – Usłyszał prośbę.

Przyjrzał się pokonanemu. Zdjął z niego pas z ładownicami naboju. Wyciął siekiere o jego mundur. Odwrócił się i zniknął jak duch w zagajniku.

Ból do Niemca przychodził falami. Umierał ciężko, a ostatnie tchnienie nie było ciche.

**Zabrać wszystkim. Dobremu i złemu.
To, co jest mu drogie. Zabrać bez względu.
Bez względu nawet na to, czy kocha to nad życie.
Zabrać, zabrać. Tak będzie sprawiedliwie.**

CZĘŚĆ II

Nie spodziewała się takiego przywitania. Dowódca brygady wkraczającej do jej wioski obiecał dla wsi konserwy, mąkę i sól. Pomoc w wielu sprawach medycznych, o jakie podczas wojny było ciężko. Nagroda za wykonany potajemnie most była pewna, a tymczasem... Dowódca czekał na nią już ze ściągniętymi spodniami. Dwóch bojców chwyciło ją mocno za ręce.

– Teraz, dziewczynko, zaznasz niebywałych rozkoszy. Na pewno spodoba ci się bardziej niż lekarstwa, o które prosiłaś. – Podeszedł i wyciągnął ręce przed siebie.

Dziewczyna jak zahipnotyzowana patrzyła na wszystko ze strachem. Obejrzała się dookoła. Nagle podjęła decyzję. Kopnęła go butem w bardzo dobrze widoczny cel.

Żołnierz trzymający jej lewą rękę chciał uderzyć ją kantem dłoni w szyję. Jego cios trafił jednak w ramię, a jej głowa zbliżyła się do tego ramienia. To była jedyna szansa. Zośka ugryzła go w biceps przy stawie barkowym. Wbiła mu swoje zęby niczym buldog. Zajadle, mocno i skutecznie. W to ugryzienie włożyła całą siłę swoich młodych zębów. Kacap się szarpnął i zawył... głośno i płaczkliwie. Szarpnął się jeszcze raz, ale szarpnięcie tylko poprawiło zgryz i dziewczyna poczuła w ustach ciepłą krew. Chrzęściło ciało i ścięgnęła, a ona uświadomiła sobie, że ciało, które gryzie, trzyma się tylko na strzępkach tkaniny munduru. Drugi z żołdatów chwycił ją oburącz za gardło, chciał udusić i oderwać jej głowę od ramienia kolegi. Uwolnił tym samym jej rękę.

Jej myśli stały się nagle czyste i jasne. Czas zwolnił, a przed oczami zaczęły krążyć kolorowe kręgi. Wolną ręką sięgnęła po finkę przytroczoną do pasa i jakby bezwiednie zaczęła kłuć bok żołnierza. Uścisk na krtani zelżał, a w tętnicach popłynęła różnziej krew. Drugą rękę miała także wolną. Pogryziony mężczyzna puścił ją i próbował uściskiem zatamować obfite krwawienie. Przerzuciła nóż do drugiej ręki i zadała śmiertelny cios.

Człowiek z ranami kłutymi w tyłu miejscach umiera na miejscu. Teraz nie było już odwrotu. Pchnięciem w serce pozbawiła życia pogryzionego. Wijący się na ziemi dowódca otworzył szeroko oczy. Sam wcześniej ostrzegł wartę przed możliwymi krzykami i hałasem w ziemiance, a więc teraz z ich strony nie mógł spodziewać się pomocy. Cierpiał katusze fizyczne i psychiczne. Siłą woli podkurczył kolana i klęknął. Chciał wstać, ale dziewczyna stanęła nad nim okrakiem i prawie oddzieliła głowę od ciała, podrzynając gardło. Krew wsiąkała w zrytą butami ziemię, a ona, ciężko dysząc, usuwała palcem tkaninę i kawałki mięsa z ust.

W głowie miała pustkę. Powoli jednak docierało do niej, że ciąży na niej bezwarunkowy wyrok śmierci. Ciśnienie krwi przyprawiało o zawrót głowy. Wiedziała, że od jej zachowania i szybkiej reakcji zależy nie tylko życie jej, ale i ojca. Podjęła decyzję.

Muszę walczyć. Walczyć tak, aby wygrać i wrócić do wioski po ojca. On tam nawet nie wie, co się stało. – Strach o tatę napędzał jej myśli i wciągał na wyższy poziom świadomości. Nagle jasno i wyraźnie zobaczyła plan ucieczki.

Przypięła sobie pas dowódcy z tetetką. Wzięła do ręki pepeszę, a od drugiej odłączyła okrągły magazynek. Niepostrzeżenie chyba się nie wydostała. Czas był na wagę złota. Przez jej głowę przebiegało tysiące myśli, w których widziała jak ruscy się organizują, jadą do jej wioski i mordują ojca. Podpalają cały dobytek. Nie mogła do tego dopuścić!

Gdzie mogą być strażnicy? Gdzie są zwiadowcy? Czy zdołam ich przechytrzyć? – Bezgłośnie zadawała sobie pytania i próbowała odnaleźć na nie odpowiedź.

Była sama przeciwko dobrze zorganizowanej grupie żołnierzy obytych z wojną. Nie знаła hasła wartowników ani miejsca ich czuwania. Wiedziała, że są zamaskowani i czujni. Każdy ruch na otwartym polu sprowokuje ich do strzału. Aby wydostać się z tego kotła musiała użyć podstępów. Postanowiła porwać oficera politycznego, a na odjazdne zrobić jakąś drakę. Zebrała wszystkie ciała i przykryła je drewnianymi meblami i wszystkim, co było palne. Niechętnie wrzuciła tu także zapasowy magazynek do pepeszy. Naftą do lamp zlała wszystko obficie, a na zewnątrz wyciągnęła nasączony i podarty w pasy koc.

Stała w wejściu i zaczęła nasłuchiwać. Ciąg świeżego powietrza ostudził ją i przypomniał, że nadal jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Z załadowanym automatem wyskoczyła na zewnątrz. Tutaj jeszcze nie było nikogo. Wartownicy znający wojenne rzemiosło są gdzieś schowani i czujni. Szła jednak wyprostowana i pewna. Kobięcym pełnym seksapilu uwodzącym krokiem. Ziemianka enkawudzisty była opodal. Rozpięła jeszcze dwa guziki koszuli, a jej dekolt powiększył się wydatnie.

Jak błyskawica przemknęła jej myśl, że to nie jest dobry plan. Żaden wartownik nie wpuści z bronią do dowódcy, a ona jest wyposażona jak szturmowiec. Było jednak za późno.

– Stój! – Głos wartownika był jak kłaśnicie. – Kto ty?

– Ja do dowódcy – oznajmiła głosem głębokim i prowokującym.

Wartownik zapalił latarkę. W jej świetle najpierw zobaczył białą skórę pod rozpiętą bluzką. Młoda twarz otoczona kokieteryjnie potarganymi włosami dopełniała wizerunku, jaki ujrzał.

– Cicho. Chcę zrobić dowódcy niespodziankę. – Odważnie przecisnęła się w wąskim wykopie obok niego.

Zatrzymała się przed drzwiami. Wyciągnęła pistolet i odwiodła kurek. Weszła cicho do środka. Serce waliło jej tak mocno, że w uszach czuła jego uderzenia. Młody mężczyzna o okrągłej twarzy siedział za prymitywnym drewnianym stołem. Czytał książkę przy lampie naftowej zrobionej z łuski pocisku armatniego. Usłyszał jej wejście. Wstał i obejrzał się.

– Spokojnie. Celuję do ciebie z odbezpieczonej broni. Podnieś ręce do góry i się odwróć.

Oficer w stopniu majora miał duże doświadczenie wojskowe. Udało mu się przeżyć od początku wielkiej wojny ojczyźnianej, jak walkę z III Rzeszą określił Stalin, i dobrze wiedział, jakie zabójcze właściwości ma ołów. Powoli się odwrócił, nie chcąc drażnić

napastnika. Starał się dokładnie zobaczyć, ale świecąca lampa pozostawiała wejście w półcieniu.

Dziewczyna szybko podeszła do niego. Z bocznej kieszeni majora wyciągnęła opatrunek osobisty i bandażem przywiązała swoją rękę z pistoletem do jego szyi tak, że lufa opierała się na potylicy.

– Pójdziemy teraz do samochodu. Pomyśl, co musisz wziąć, aby bezproblemowo stąd odjechać – mówiła to głosem zdecydowanym i pewnym siebie, ale jej serce nadal tłukło jak opętane.

On spokojnie popatrzył jej w oczy.

– Wydaj rozkaz wartownikowi. Byle jaki, tylko po to, żeby poszedł sobie do diabła – szepnęła do ucha dziewczyna. – Zabieraj z sobą tylko to, co możesz wziąć w rękę. Najlepiej jedzenie – dodała po namyśle.

Major ku jej zdziwieniu wziął książkę i manierkę z wodą.

– Pójdźmy – oświadczył przez zęby.

Czarnowłosa popchnęła go do drzwi i zatrzymała.

– Spław wartownika – syknęła przez zęby i dźgnęła go lufą w kark.

– Hej! Ty na czujce! Sprawdźcie, co słychać na wartach pod okopami i bez szczegółowego raportu, najlepiej nad ranem nie wracajcie! – krzyknął srogim głosem i z trzaskiem zamknął drzwi.

– Jakie jest hasło wartownicze? – dociekała, przyciskając mocniej tetetkę do jego szyi.

– Zna je tylko dowódca warty i wartownicy. Hasło jest po to, aby taki głupol jak ty nie wydostał się stąd żywy – oświadczył bardzo poważnie.

Dziewczyna kopnęła go kolanem boleśnie w pośladek.

– Martw się o siebie. Ja za chwilę będę wolna, a ty możesz być żywy albo martwy. Na wojnie nie ma sentymentów.

Wyszli z ziemianki. Podeszła do nasączonego naftą knota. Wolną ręką zapaliła zapalniczkę i prowizoryczny lont. Szybko szli do zaparkowanej w krzakach ciężarówki.

– Znasz się na szoferce? – zapytała.

– Umie prowadzić maszynę – potwierdził.

– To pojedziemy. Bez zatrzymywania. Zgaśnie motor, zgaśnie twoje życie.

Zobaczyła ogień i dym wydostający się z ziemianki. Naboje z magazynka pepeszy zaczęły strzelać. W obozie powstał zamęt. Wszyscy biegali jak szaleni. Pozbawieni dowódców wydawali się zgają zbiegów z domu dla obłąkanych. Niewielu widziało odjeżdżającą ciężarówkę.



Telesfor nie odpuszczał dziś Niemcom. Spokojnym truchtem w spodniach przewiązanych sznurkiem i na boso zrównywał się z pedałującymi żołnierzami Wehrmachtu. Nie chciał ich dogonić. Przynajmniej na razie. Trzymał ich na odległość wzroku, a kiedy znikali za wzniesieniem lub zakrętem, śledził ich ślady.

Zbliżała się noc. Ile kilometrów pokonali? Niewiele. Niemcy na posterunku w Grabowie żyli jak pączki w masle, więc nie czuli potrzeby utrzymywania dobrej formy fizycznej. Z tego powodu dziś odczuwali, jak nadwaga nie pomaga w pokonywaniu kilometrów nawet na rowerach. Telesfor biegł za nimi jak wilk. Spokojnym równym tempem. Zapomniał nawet o bolącej nodze. Karabin przerzucał raz do lewej, raz do prawej dłoni. Nie przeszkadzał mu w biegu ani trochę. Biegł podekscytowany zwycięstwem i napędzany złością. To wybuchowa mieszanka. Niemcy na rowerach już byli martwi.

Nocą nie da się jechać na rowerze. Przynajmniej tak uważali.

Rozpalili ognisko! Co za głąby!

Telesfor podszedł do nich cicho jak wąż. Jednego siedzącego do niego tyłem powalił ciosem kolby w potylicę. Zabił albo na długo ogłuszył. Skoczył przez ognisko i drugiego kopnął piętą w nos. Przystawił mu do klatki łufę zarepetowanego mausera. Nie strzelił. Szkoda mu było naboju. Jednym ruchem odwrócił broń i podkutą żelazem kolbą zmiażdżył krtań. Wyrzeźbione ciężką pracą ciało zagrało wszystkimi mięśniami. Cios był jak piorun. Fryc zacharczał i nie mógł się podnieść do siadu. Przeturlał się na brzuch i tak umarł, dusząc się własną krwią.

Broń Niemców była w nienagannym stanie. Ponad osiemdziesiąt naboju dodawało poczucie siły. Wybrał dla siebie najlepszy karabin. Wziął najlepszy rower i postanowił wrócić do domu.

Odległa, ledwie widoczna luna na horyzoncie przykuła jego uwagę. Znał okolicę i czuł, że światło pochodzi z dogasających zgliszczy Grabowa.



Skunks podniósł głowę i węszył z wiatrem. Wyczuwał po odgłosach kroków strach i śmierć. Docierały do niego zapachy spalonego prochu i rozgrzanego oleju. Wiedział, co to oznacza. Gdy wystawił jakieś zwierzę Telesforowi albo Zosi, padał strzał, po którym powietrze wypełniał identyczny zapach.

Skunks był przebiegły i ostrożny. Teraz korzystał ze swojego wieloletniego doświadczenia i schował się pod krzakiem jałowca. Drżał z emocji w oczekiwaniu na zbliżające się zagrożenie.

Przyszli cicho. Ze wszystkich stron. Sierść psa zjeżyła się do maksimum.

Gdy jeden ze śmierdzących niepranymi onucami dotknął klamki drzwi jego opiekunów, skoczył. Chwycił rękę, która dotknęła klamki i uwiesił się jej niczym pirania w gryzająca się w kawałek mięsa. Nie puszczał ręki.

To, co zadziało się potem, nie mogło zarejestrować oko ludzkie. Wystraszony, a raczej spanikowany żołdat próbował odrzucić to dziwne coś, co miażdżyło jego nadgarstek. Kołowym wymachem ręki uderzył towarzysza, który stał za nim. Ten bezwiednie pociągnął za spust swojej pepeszy. Dowódca plutonu i stojący za nim kacap padli martwi od serii peemu.

Skunks oderwał się od nadgarstka i skoczył do gardła. Niestety w ciemności źle wybrał. Gryzł tego, który właśnie padał martwy z kilkoma dziurami w ciele.

Na odgłos strzałów przed dom wyszła cała rodzina sołtysa chcąc zapobiec rabunkowi sąsiedzkiego gospodarstwa. Ciemność uniemożliwiła rozpoznanie sylwetek, ale Lonia zobaczyła za płotem zgrupowanie.

Wiedziała, że to bandyci. Biorąc sobie za przykład odważną Zosię, cofnęła się na chwilę do domu. Zza drzwi wyciągnęła siekierę ojca. Całą siłą swoich splecionych na trzonku ramion cisnęła nią w środek ciżby. Siekiera nie trafiła ostrzem, ale energia kinetyczna jej obucha połamała mostek i żebra jednego z bojców.

Żołnierze z formacji NKWD poszli w rozsypkę. Jednak już po chwili na głos gwizdka zerwanego z szyi dowódcy plutonu zebrali się w grupę zdeterminowaną do walki. Gdyby Zosia z Telesforem byli w domu, ta grupka straceńców nie miałaby żadnych szans na zmówienie ostatniego pacierza. Jednak na straży domostwa pozostał tylko niewielki kundelek, którego skosiła pierwsza seria z peemu.

– Stać! Kto wy?! – krzyknął sołtys, trzymając w ręku żarzącą się żagiew, którą chciał oświetlić plac zdarzeń.

Skosiła go druga seria, która zraniła śmiertelnie jeszcze jego ojca.

– Spalić wszystko! – rozkazał ten, który odziedziczył gwizdek poległego dowódcy.

Zagrzmiały wszystkie karabiny i pistolety maszynowe. Ciemność nocy rozjaśniała smugami wystrzałów. W stodole sołtysa ktoś podpalał już słomę i jej czerwonożółty blask oświetlił pobojowisko.

Siostry Loni rzuciły się na napastników, dodając sobie odwagi okrzykami. Wołały polec w nierównej walce, niż być gwałcone i męczone przez „oswobodzicieli”. Walka trwała krótko. Gdy plac oświetlały już płomienie, kilka strzałów z karabinu nie pozostawiło nikogo z mieszkańców żywym.

Płonęły następne budynki. Drób i trzoda zaczęły hałasować tak, że nie sposób było się skutecznie porozumiewać. Nagle w ten rozgardiasz wdarł się dźwięk silnika samochodu pracującego na najwyższych obrotach.

Czarny pojazd wjechał w centrum pożogi, a z niego wysiadł mężczyzna w dystynkcjach oficerskich.

– Wszyscy do mnie! – rozkazał nie za głośno, ale tak, aby być słyszalnym.

Żar z płonących domostw wyciskał pot z każdego żołdaka, jednak ci ustawili się w szeregu i stali nieruchomo.

– Po kogo was przysłano? – zapytał przybyły samochodem dygnitarz.

– Po cieślę i jego córkę – wybełkotał jeden z enkawudzystów.

– A wy macie kundla i rodzinę jakiegoś chłopca. Poza tym łunę widoczną na kilkadziesiąt kilometrów, która odstraszy skutecznie tych, na których polujecie. – Westchnął ze zdumieniem. – Albo do jutra będę miał cieślę i jego córkę, albo wy wszyscy bez dystynkcji będziecie walczyć na pierwszej linii jako mięso armatnie. Zrozumiano!?

Trzasnęła drzwiami samochodu i odjechał. Na placu pustoszonego przez ogień leżały ciała sołtysa i jego rodziny. Przed zgliszczami chaty Telesfora leżał Skunks podrygujący

w przedśmiertnych drgawkach...



Czekali na niego w ukryciu. NKWD, najsprawniejsza maszyna do zabijania, ewoluowała przez lata do postaci ludożerczej instytucji. Nie miał najmniejszych szans na uniknięcie pułapki. Wszedł do wioski mocno zmęczony i zziębnięty. Po ciężkim dniu i wyczerpującej walce był nieostrożny, a jego zmysły osłabły. Zobaczył spalony dom i budynki gospodarcze. Spalone obejście sołtysa, sąsiadów i westchnął głęboko.

– Oswobodzicie! – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Dostał cios w kark pałką. Padł i stracił przytomność.

Ocknął się rankiem. Zziębnięty na kość. Nogi miał skrępowane i przywiązane do drzewa. Ręce miał wolne. Dźwignął się do pozycji siedzącej.

– Syyy! – zasyczał z bólu.

Przed oczami zatańczyły czarne koła, ale tym razem nie zemdłał. Oparł się plecami o pień drzewa, jak mu się zdawało, bo siły do rozglądania się nie miał. Jego ruch zainteresował strażnika. Podszedł do niego i kolbą karabinu trzasnął w kolano.

– Aaa! – Samowolny krzyk wyrwał się z gardła.

– Ty nasz. Dotarło? – Strażnik odwrócił się i poszedł zameldować o ocknięciu jeńca.

Telesfor nadludzką siłą próbował odczołgać się gdzieś dalej, ale strzaskane kolano swoim bólem uniemożliwiało nawet niewielkie ruchy. Zakręciło mu się w głowie. Gdzieś niedaleko usłyszał kroki i rozmowę. Nie da rady uciec. Wiedział o tym. Padł na twarz i odpoczywał.

– Uciekaj. Uciekaj. Daleko nie uciekniesz. – Usłyszał miękkie i łagodne słowa, które niosły w sobie przerażającą groźbę.

– Lisy cię tu zjedzą. Strażnik był po to, aby je odganiać. – Zaśmiał się drugi głos.

– Jesteś nasz i dobrze o tym wiesz, ale musisz się o tym przekonać fizycznie. – W głosie już nie było groźby tylko metodyczne tłumaczenie.

– Mamy dla ciebie tyle czasu, ile wytrzyma twój organizm. W tym czasie pożegnaj się ze światem. – Jeden z żołdatów kopnął zamasyżycie w plecy jeńca.

– Gdzie twoja córka? Gdzie pojechała? Masz jeszcze jakąś rodzinę? – Metodyczny i rzeczowy głos stał się jakby zniecierpliwiony.

Leżał i cicho jęczał. Nie z bólu, ale ze świadomości, że już nigdy nie zobaczy swojej Zosi. Tęsknota za nią rozrywała mu piersi, a niemoc pogłębiała fakt, że rozstał się z córką w gniewie. Nie potrafił sobie tego wybaczyć.

Żołnierze nie doczekali się odpowiedzi, więc zaczęli sadystycznie kopać ciało Telesfora.

Ból przychodził falami, falami przyplęnęły także mdłości. Podkuty but wybił mu zęby, które przecięły skórę na policzku. Kiedy rękoma starał się ochronić nerki, kopali jego twarz. Jak zarzucał ręce na głowę, kopniaki leciały na korpus i nogi.

Przez głowę przepływały chaotyczne, z niczym nie związane myśli. Nagle jedna myśl. Jedno pytanie przywróciło świat do ładu.

Dlaczego? Dlaczego to robią? – Uczeplił się tej myśli. Pytanie zaczęło go intrygować. Ciosy butów stawały się jakby lżejsze. – Dlaczego czekali właśnie na niego? Dlaczego takie poświęcenie czasu służb NKWD?

– Gdzie jest twoja rodzina? Gdzie udała się córka? Możesz odpowiedzieć i po ludzku zakończmy twoje cierpienia. W końcu wszyscy mówią. To tylko kwestia czasu! – Krzyczący te słowa butem odwrócił go na plecy.

Pytanie, które wyrosło w głowie zmieniło obraz sytuacji. Oni nie byli agresorami. Zwycięzcami. Oni panicznie się czegoś bali. Ktoś sprawił, że tu i teraz muszą stać w chłodzie poranka zamiast leżeć w ciepłych pieleszach. Ktoś wypędził ich w nocy na zasadzkę, gdzie leżeli godzinami i czekali właśnie na niego.

Kto sprawił, że na jednego wieśniaka poświęcili tyle czasu zamiast trzepnąć obuchem i zarznąć jak świniaka? Za czyją przyczyną na niego musiał polować cały pluton NKWD? Zośka! – Ta myśl rozbłysła w jego głowie jak światło. No tak! Tylko Zośka mogła tak zależeć za skórę!

Od teraz patrzył na nich bez strachu. Bez bólu. Wręcz z radością i ojcowską satysfakcją. Chciał się nawet uśmiechnąć, ale pogruhotana szczęka to uniemożliwiła. Padły znowu pytania. Oprawcy byli bardziej zniecierpliwieni. Wstawał już świt, gdy na jego twarzy zobaczyli radość. Pierwszy raz bity przez nich człowiek nie był wystraszony i psychicznie pokonany. Rozwścieczyło to ich bezmiernie. Rzucili się do kopania. Padły sadystyczne ciosy, a gdy jeniec zemdlał, zawlekli go na most. Oculari zimną wodą.

– Masz ostatnią szansę – zakomunikował najwyższy stopniem.

Telesfor uśmiechnął się zwycięsko. Bagnet pchnięty ręką dotarł do jego brzucha.

– Pach! Pach! Pach! – Szybko po sobie nastąpiły strzały z pistoletowej amunicji. Trzy ciała jak kukły opadły na most. Ciało Telesfora wpadło z pluskiem do wody.



Z porannej mgły wyłoniła się gibka postać. Przewiesiła pepeszę przez plecy i podbiegła szybkim krokiem na most.

– Gdzie jesteś?! – krzyczała z przerażeniem.

Zośka patrzyła w wodę, ale nic nie potrafiła dostrzec. Wiedziała, że jak coś wpadnie do wody i nie wypływa, to jest stracone na zawsze. Ciało ojca przepadło.

Zaczęła płakać. Nie cicho szlochać, lecz wyc z żalu i złości.

Potem poczuła wreszcie zmęczenie płaczem i zdarzeniami ostatniej nocy. Długo szła brzegiem rzeki, wypatrując ciała ojca na wodzie. W końcu się poddała. Ruszyła w niewiadomym kierunku ze spuszczoną głową. Chciała się zabić. Nie widziała sensu życia... może chciała wrócić do domu, ale nawet jakby stał, nie mogłaby w nim przebywać. Wiedziała, że musi wrócić do jeńca. Wypuścić go albo zastrzelić. Nie czuła do niego nienawiści. Nie czuła nienawiści do oprawców ojca. Wielką nienawiść i złość czuła do siebie.

Szła z pustką w głowie, aż dotarła do ukrytej w lesie ciężarówki. Weszła pod plandekę. Jeniec leżał i ciężko oddychał. Ręce miał spuchnięte, a spodnie przemoczone.

Rozwiązała go szybko. Nie pomyślała o jego zdrowiu i kłopotach. To młody mężczyzna, miły i inteligentny. Źle, że cierpiał. Szybko przecięła więzy na rękach i nogach.

– Nie było mnie trochę. Miałam kłopoty z twoimi pobratymcami. Zabili mi ojca i dlatego mnie nie było.

– Sss, aaach. – Krew zaczęła z powrotem dochodzić do rąk i nóg.

– Będziesz żyć? – zapytała.

Chciała zażartować, ale cierpienie na jego twarzy nie pozwoliło jej na krotoczwile.

– Będę – wycedził.

Masował nadgarstki i kręcił szyją. Był w złym stanie. Oczywiście miał przekrwione i zapuchnięte.

Zośka wyskoczyła spod plandeki i poszła do szoferki. Przeszukała ją. Znalazła stary, brudny kombinezon, ale nic do jedzenia. Wróciła na pakę ciężarówki. Jeniec siedział w kątce i płakał z bólu.

– Włóż ten kombinezon. Spodnie wypierzesz w strumieniu – rozkazała i zabrała się za rozpalanie ogniska.

Dopiero teraz poczuła, jak jest zmęczona i głodna. Patrzyła w ogień i nie potrafiła sobie wyobrazić przyszłości. Spalony dom, zamordowany ojciec, okrutna wojna i pewny wyrok śmierci, jaki sowiecka armia wyda za zabicie dowódcy i żołnierzy. Jednak to zmęczenie wzięło górę nad troskami. Wszystkie złe myśli odbiegły od niej daleko. Położyła się na boku, podłożyła dłoń pod głowę i zasnęła.

Fale mózgowe

– *Musisz coś jeszcze wiedzieć o polowaniu. – Telesfor czyszczący rozłożony na części sztucer zaczął swoją lekcję.*

– *Coś nowego? Coś, co tata skrywał aż do dzisiejszego dnia? Tak długo, aby w sprzyjających okolicznościach, przy blasku świec wyznać wreszcie całą prawdę. Prawdę mroczną i tajemną. – Dziewczyna z trzpiotowatym uśmiechem popatrzyła ojcu w oczy.*

Telesfor także się uśmiechnął.

Co to byłby za świat bez tej mojej Zośki? – pomyślał.

– *Trochę pokpiwasz, ale zaraz się przekonasz, że to, co powiem, jest interesujące i naprawdę z pogranicza magii i fantastyki... – Nie dokończył.*

– *Magia na polowaniu? Rzucasz zaklęcia przed strzałem? Ja nie rzucam, a ostatnio strzeliłam, jakby więcej saren i dzików. A może chcesz wiedzieć, jak to robię? – Znowu z uśmieżkiem w drgających kącikach ust zakończyła czarnowłosa.*

Ojciec milczał jeszcze chwilę. Na dworze padał śnieg, w piecu wesoło trzaskały polana drewna. Świece zapalone tu i ówdzie dopełniały nastroju zimowego wieczoru.

– *Tak. Strzelasz naprawdę świetnie. Niewiele osób mogłoby ci dorównać, ale właśnie strzelasz wszystko z dużych odległości. Dlaczego tak się dzieje?*

– *Bo takie są warunki. Wszystko, co akurat mi wychodzi pod łufę, jest dalej niż sto metrów.*

– Ja nie pamiętam, kiedy musiałem strzelać z większej odległości niż pięćdziesiąt metrów. Skąd taka różnica? Jakbyś musiała polować z łuku, to od pół roku chodziłabyś głodna. Latem jadłabyś szczaw, a zimą śnieg. – Teraz dla odmiany ojciec się uśmiechnął, widząc, że dziewczyna poważnieje.

– To chcesz powiedzieć, że istnieje jakaś metoda na skrócenie dystansu na polowaniu? Zaraz, zaraz. W coś mnie wkręcasz? – Jej ciekawość w końcu została pobudzona, a dziecięca niecierpliwość pociągnęła do dalszej nieprzymuszonej nauki.

– Przypomnij sobie, ile razy, kiedy błąkałaś się bez broni, wyskoczył ci nagle zając spod nogi, albo ile razy, kiedy szłaś po krowę na łąkę, w zasięgu rzutu kapeluszem widziałaś pasące się spokojnie sarny. Odkąd chodzisz strzelać, nigdy na polowaniu nie miałaś takiego komfortowego widoku.

Dziewczyna w zamyśleniu bawiła się swoim kosmykiem włosów. Gryzła go i zakręcała na palec.

– Tak. Coś w tym jest. Masz rację. Jak idę bez broni, to zwierzęta nie uciekają, nawet jak mnie zobaczą. Jak mierzę do nich z karabinu, to nawet z dużej odległości czują niepokój, mimo że mnie nie widzą. Zachowują się nerwowo i trudniej jest wycelować.

– I co sądzisz po takich spostrzeżeniach? – Telesfor znowu się uśmiechnął.

– No nie powiesz, że zwierzęta wyczuwają mój sztucer, zanim wyjdę z domu?

Ojciec spokojnie patrzył na nią i jej reakcję. Nie odzywał się.

– Powiesz w końcu, co jest na rzeczy?

– A jak to jest, że w Warszawie komentator sportowy mówi coś do mikrofonu, a ty tutaj włączasz radio i słyszysz? Co on ma do powiedzenia na temat meczu?

– Ale to radio! Naukowcy wymyślili taki przyrząd do wysyłania fal radiowych. Jest tam kupa kabli i innych szpejów, które razem połączone wysyłają fale radiowe.

– A czym napędzane jest to ustrojstwo?

– No chyba wiesz? Prądem elektrycznym! Co za pytanie?

– A twój mózg co napędza? Jak są przekazywane bodźce w całym organizmie?

– No też prąd, ale radio stworzyli mądrzy naukowcy, nie możesz porównywać radia do mózgu!

– No nie. Nie będę porównywał, ponieważ radio to taka prosta konstrukcja, że już jeden neuron w twoim mózgu by to wyśmiał. Jedna komórka mózgowa charakteryzuje się bardziej skomplikowaną budową niż wszystkie urządzenia na ziemi. Mózg ludzki ma wiele tajemnic i długo jeszcze będzie swoje tajemnice skrywał, ale wiemy na pewno, że wysyła fale elektromagnetyczne!

– To te fale można też odebrać – zakończyła zdanie za ojca.

– Można je odebrać, jak się umie nastrojać odbiornik. Bardzo dobrymi odbiornikami twoich myśli o polowaniu są właśnie zwierzęta. Czują niepokój, kiedy wychodzisz do lasu z bronią i są spokojne, kiedy idziesz po krowę na pastwisko. Słyszałem opowieści o wielkich łowcach, którzy dzień przed polowaniem „zapraszali” swoje ofiary w rejon polowania. – Ojciec wyciągnął przed siebie obie ręce i w geście powitania przyciągnął je do siebie. – Wyobrażali sobie przepiękną, zieloną trawę, umiarkowaną pogodę i sytość w żołądku. Zwierzęta odbierały te spokojne myśli i podążyły w ich kierunku. Na drugi

dzień wielcy łowcy nadal myśleli o spokojnej pogodzie, bezchmurnym niebie aż do momentu pojawienia się zwierzyny. Nieraz byli zaskoczeni ilością zwabionych tym sposobem zwierząt.

– To nie może być prawda. Mocno mnie nabierasz, a potem będziesz się śmiał tygodniami, że dałam się nabrać! No bo skąd ci myśliwi mieliby takie rzeczy wiedzieć? O radiu i takich falach mózgowych.

– Ludzkość wyrwała się ze świata zwierzęcego z trzech powodów. Po pierwsze nauczyli się komunikacji, po drugie opanowali ogień, a po trzecie nauczyli się wytwarzać narzędzia. Ostrzyć kamienie i przywiązywać je do drzewcy. Od tego momentu zwierzęta zaczęły się bać tych, co miotają w ich kierunku ostre przedmioty. Im dalej byś rzuciła, tym dalej odeszłaby od ciebie zwierzyna. Na bezpieczny dystans. Skąd go zna? Od człowieka, ponieważ to on wyznacza strefę strachu i niebezpieczeństwa. On nadaje swoim mózgiem niewidoczny sygnał: „Jestem na polowaniu z łukiem. Upoluję wszystko w okręgu pięćdziesięciu kroków”. Zrobił kuszę i zwierzęta trzymają się od niego już na sto kroków.

– Niesamowite. – Zośka słuchała jak zauroczona.

– To myśli wyznaczają strefę śmierci, ale ludzkość przetrwała dzięki najważniejszej umiejętności. Potrafimy się uczyć. Myśliwy, który nic nie upolował, przyglądał się temu, co miał pełny brzuch. Co odkrył? Odkrył jego spokojne myśli, pełne miłości dla świata zwierzęcego. Ludy pierwotne, żyjące z myślistwa, nazywają zwierzęta z pełnym szacunkiem: Ojcem albo Matką. Plemiona indiańskie, których przetrwanie zimy zależy od jesiennego plemiennego polowania na bizona, wykonują taniec zwany Przybądź bizonie. Po polowaniu odbywają taniec dziękczynny przepraszający za rany i cierpienia.

– Nigdy mi tego nie opowiadałeś.

– Bo wcześniej pewnie nie chciałyś słuchać. Dzisiaj jesteś już rasowym myśliwym, pewnie chcesz wejść w następny krąg wtajemniczenia?

– Oj, tak! Mówisz w końcu zrozumiale i dość ciekawie. To co dalej z tym podziękowaniem za polowanie?

– Otóż myśliwy, który rozmawia ze swoim upolowanym zwierzęciem, staje się jak gdyby częścią stada. W myślach zwierząt tegoż stada człowiek ten staje się jego członkiem, czyli niegroźnym. Wtedy też zwierzęta dopuszczają go do siebie bliżej. Taki myśliwy potrafi podejść do stada tak blisko, że z łuku potrafi ustrzelić wybraną sztukę. Zwierzęta nawet po strzale nie atakują myśliwego, tylko patrzą z niedowierzaniem na ofiarę swojego stada. Jakby śmierć przyszła naturalnie.

– Jak stać się takim fenomenem myśliwskim?

– Nie jest to łatwe. Najważniejszy jest szacunek dla zwierzęcia. Polować tylko dla zaspokojenia głodu i tylko na sztuki, które w stadzie i tak by nie przetrwały. Tę umiejętność komunikacji z przyrodą trzeba w sobie doskonalić i rozwijać jak każdą inną cechę. Możesz uczyć się komunikacji myślowej z innym człowiekiem. Na przykład ze mną.

– Tego się po tobie nie spodziewałam. Muszę dzielić z tobą mieszkanie, posiłki, pracę, a teraz jeszcze myśli? Twoje niedoczekanie! Jakbyś się dowiedział, co o tobie myślę, posiwiałbyś do końca.

Ojciec poskładał wypolerowany wręcz sztucer i z westchnieniem powiesił go na ścianie. Zdmuchnął niepotrzebne świece. Przebrał się w bieliznę do spania i chciał pokustykać do łóżka. Zośka objęła go w pół i mocno przytuliła.

– Chyba czujesz moje myśli?

– Czuję mocno. Też cię kocham.



Obudził ją chłód poranka. Zimna rosa wdarła się pod ubranie. Otworzyła oczy. Ognisko zgasło. Po drugiej stronie spał jej jeniec.

Podniosła się na rękę. Jeniec trzymał pepeszę. Co się stało? – zapytała samą siebie w myślach. Zasnęłam, a on zabrał mi broń. Chciała się na niego rzucić, ale zawahała się. Dlaczego mnie nie związał albo nie zastrzelił? – Uświadomiła sobie, że z tyłu za paskiem nadal ma włożoną tetetkę. Broń wziął na wszelki wypadek. Nie chce być bezbronny. Dlaczego, do diabła, nie uciekł?

Rosjanin także się obudził, popatrzył jej w oczy, uśmiechnął się. Usiadł i objął kolana rękoma. Miał okrągłą, lekko spłaszczoną twarz. Jej puciołowatość nadawała łagodnego wyrazu, nawet gdy się nie śmiał.

– Miałś ciężki dzień, ale coś musimy postanowić. Co robimy dalej? – zagadnął, naśladowując polski akcent.

Miała rzeczywiście ciężkie dni. Pustka w głowie po śmierci ojca nie dawała się niczym wypełnić. Nawet tak palącymi problemami, jakie ją spotkały.

– Przedwczoraj straciłam ojca i dom. Musiałam bronić się przed gwałtem i z tego powodu zabiłam dowódcę twojej brygady. Nie mam dokąd pójść, a nawet jak bym miała, to NKWD będzie mnie tropiło do końca życia. Wczoraj zasnęłam, bo było mi już wszystko jedno. Może nawet chciałam, abys mnie zastrzelił. Uwolnił od trosk i od całego tego świata – mówiła beznamiętnie, jakby czytała tekst z gazety. Zapadło długie milczenie.

– Mieszkałem w wiosce kilkadziesiąt kilometrów od Moskwy – zaczął cicho i łagodnie. – Moskwa to duże miasto, cały czas czegoś potrzebuje, a to jedzenia, a to robotników. Ojciec na pracę nie narzekał, więc żyło nam się dostatnio. Gdy skończyłem osiemnaście lat, wybuchła wojna. Ojca natychmiast wcielili do armii. Ja jako najstarszy przejąłem obowiązki żywiciela rodziny. Nie było jednak łatwo. Front zbliżył się na tyle, że gołym okiem dało się rozpoznać sylwetki żołnierzy. Jedzenia zabrakło. Bomby i pociski spadały tak niedaleko, że od ich huku przestaliśmy słyszeć. Wykopałem ziemiankę, umocniłem ją w środku, jak umiałem. Jedzenie też zdobywałem. Dobrze strzelałem z procy, to na posiłek zawsze coś miałem, a to wróble, a to wrony. Gdy jednak nadeszła ta zima, życie tam stało się właściwie niemożliwe. Wyszedłem z rogatką¹ na polowanie, a gdy wróciłem, zastałem zawałoną ziemiankę. Zginęli wszyscy. Matka i dwie młodsze siostry. Nie wytrzymałem tego emocjonalnie. Chwyciłem nóż i pobiegłem w stronę linii frontu. Wiedziałem, że zginę, ale chciałem pomścić matkę, ojca i ukochane siostrzyczki. Jak to się stało, że przepuściły mnie nasze straże,

tego nie wiem, ale jeszcze bardziej się zdziwiłem, jak dotarłem do wrogich transzei. Szkopów po prostu zamurowało. Podnieśli ręce i poddali się wszyscy. Chyba już mieli dość wojny, mrozu i głodu. Wyprowadziłem ich z okopów pod lufą szmajsera, którego nawet nie umiałem przeładować. Tego, co się potem wydarzyło, nie zapomnę do końca życia.

Długo milczał i przełykał łzy. Po chwili wznowił swoją opowieść.

– Jeńców skłuto bagnietami. Konali ciężko. Niektórzy, niewiele starsi ode mnie, wzywali po niemiecku matkę. Coś we mnie pękło. Byłem pierwszy dzień na wojnie, a już z mojego powodu zginęło dwudziestu ludzi. Co jeszcze? – Łkanie na chwilę przerwało jego monolog. – Dowiedziałem się, że moją rodzinę zabił roztargniony Rosjanin! Myślał, że to ziemianka Niemców i wrzucił tam granaty. Nie chciałem o niczym myśleć. Upiłem się samogonem, a kiedy wytrzeźwiałem, na sobie miałem mundur NKWD. Uważano mnie za bohatera. Byłem absolwentem szkoły średniej, więc awanse przychodziły szybko, ale nie chciałem do sztabu. Zawsze szukałem zaciągu na pierwszą linię. Wiesz dlaczego? – Przełknął ślinę i potrzebował chwili, aby uspokoić zaciśniętą krtani. – Nienawidzę wojny! Nienawidzę zabijania! Proponowali mi, abym przyłączył się do gwałcenia ciebie. Czuję teraz odrazę do siebie, że ci nie pomogłem. Uwolniłaś mnie od tej odpowiedzialności, ale nadal jestem twoim dłużnikiem. Mam plan, jak ci pomóc, ale najpierw musimy coś zjeść i przemieścić maksymalnie daleko od twojej wsi.

– Mamy dużo broni. Za dużo jak na nas dwoje. Mój ojciec zakonserwowałby ją i dobrze ukrył. Myślę, że należy zacząć od tego.

– Weź całą broń. Ja tak naprawdę nie umiem strzelać. – Spuścił wzrok mocno zawstydzony.

Strzela nie tylko karabin

– Co znowu ukradłeś? – zapytała, widząc psa niosącego w pysku jakiś przedmiot.

Pies nawet się obejrzał i pobiegł za stodołę ogryzać to, co zdobył w walce.

– Zośka! Zośka! Psia jucha! Czemu nie trzymasz Skunksa na otoku, kiedy ja sprawiam zwierzynek? – krzyknął ojciec, a w jego głosie zabrzmiały wszystkie groźne nuty, na jakie go było stać wobec swojej rozpieszczanej córuchy.

– Znowu ja? Smagaj psa batem, a nie mnie ciągle pouczasz. Co ja ci zrobiłam, że mnie się ciągle czepiasz? – Tupnęła nogą w podłogę na ganku. – Wczoraj też marudziłeś, że źle umyłam krowę przed dojeniem. Kiedy w końcu będę dorosła i będę robić wszystko dobrze?

Ojciec słyszał w głosie histerię, dlatego zareagował natychmiast. Umył ręce w misce i wytarł do sucha ręcznikiem.

– Zosiu. Podejdź do mnie – poprosił.

– Tak? Podejdź, a jak podejdziesz, to mnie przytulisz i dasz podskórne pater noster! Znam cię nie od dziś. Podejdź ty do mnie, a zobaczysz, jakie pater noster potrafi dać córka. – Powtórnie tupnęła nogą.

Podszedł do niej, kuśtykając. Często w zespole pojawiają się sprzeczki i kłótnie. Telesfor pamiętał lata szkolne i wojsko, gdzie nawet z najlepszymi kolegami potrafił się sprzeczać. Aby utrzymać zespół w kupie, nauczył się przedstawiania celu nadrzędnego. Nieraz wystarczyło przypomnieć, o jaki cel chodzi.

– Wiesz, dlaczego się śpieszę?

Milczenie.

– Chciałbym dzisiaj pokazać ci elaborację.

– Cooo?

– No tak! Zaplanowałem to na dzisiejsze popołudnie. Jeśli wszystko zrobię wcześniej i zaoszczędzę trochę czasu, tooo... – Przerwał dla lepszego efektu. – Usiądziemy do produkcji naboju.

Zosi już nie trzeba było prosić o pomoc w codziennych obowiązkach. Pilnowała psa i zajęła się całym inwentarzem. Zrobiła to tak sprawnie, że jeszcze zdążyła pozamiatać podwórko. Widać bardzo jej na czymś zależało.

Po pożywnym posiłku posprząтали ze stołu, a ojciec zaczął wyciągać różne przybory.

– Najważniejsza jest waga – oznajmił, kładąc na stole coś, co żadnej wagi nie przypominało. – Następnie kalibrator.

Na stole zagościło już kilka przyrządów, a Zośka zaczęła tracić cierpliwość.

– I co jeszcze? Przecinak do dzielenia zapalek na czworo? Aby zrobić jeden nabój tyle tego trzeba?

– Córeczko, aby zrobić jedną łuskę, fabryka potrzebuje dziewięciu maszyn. Tłoczona i formowana jest w dziewięciu etapach, a my będziemy jeszcze to udoskonalać! To są łuski z naszych strzelań. Teraz zobaczysz, dlaczego je tak skrupulatnie zbieramy. Już są wszystkie umyte i wysuszone. Teraz wyczarujemy z nich naboje.

Jednak zanim czary zadziałały, minęło wiele czasu. Postawił pierwszą łuskę na okrągłym kowadełku i wybijakiem pozbył się splotki. Splotka została w specjalnym otworze w kowadełku. Ojciec sprytnym ruchem wrzucił ją do tekturowego pudełka. Powtórzył tę czynność kilka razy, a potem oddał narzędzia zniecierpliwionej do granic córce. Ta sprytem i zręcznością wyprzedzała ojca, więc stos łusek szybko przeszedł przez obróbkę na kowadełku.

– Teraz posegregujemy łuski. Tu jest przymiar. Jak łuska będzie wchodzić ciasno, odłóżysz ją na lewą stronę. Jak będzie wchodzić normalnie, położysz pośrodku, a jak będzie luźna...

– To po prawej stronie.

– Tak jest.

Trzy kupki łusek zaległy na stole. Ojciec zgarnął każdą do oddzielnego pudełka.

– Teraz będziemy zajmować się tymi najdłuższymi.

– Przecież wszystkie one są takie same.

– Poczekaj do końca produkcji naboju. Nie ocenia się książki po okładce. Teraz zasplotkujemy. Tu jest przyrząd do wciskania splotek, a tu przyrząd do kontroli jakości.

Gdy zaczęli splotkowanie, ojciec ponownie utworzył trzy kupki. Te ze splotką głęboką, normalną i płytką. Ponownie powkładał je do trzech różnych pudełek.

Na stole leżały następne przyrządy, których przeznaczenie próbowała odgadnąć czarnowłosa.

– Teraz pociski...

– Długość, masa, kaliber – przerwała szybko Zosia.

– Taaak! Bardzo dobrze. Przyrząd do długości już znasz. Jest trochę mniejszy od tego do łusek. Zaczniemy jednak od kalibracji. To ta praska z długą rączką. Pocisk do praski wkładamy tą stroną, którą wchodzi do lufy.

– Jak bym nie mogła się domyślić? – Parsknęła córka i kopnęła ojca pod stołem.

– Tutaj właśnie może cię spotkać niespodzianka. – Oddał kopniaka i uśmiechnął się tajemniczo. – Teraz jednak wkładamy czubkiem do przodu.

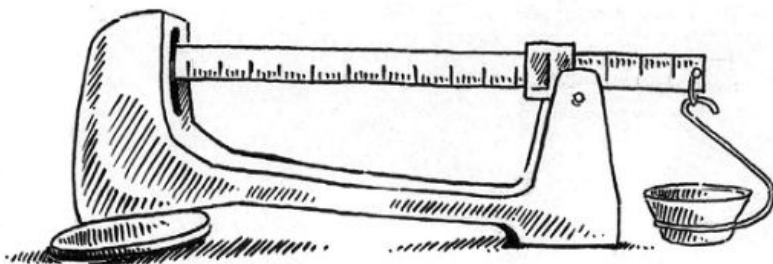
Po kalibracji przyszedł czas na ważenie.

– Tu jest wzorzec. Na tej prymitywnej wadze szalkowej. Zbyt lekkie pociski na lewo...

– Równoważne w środku, a cięższe na prawo.

– Tak właśnie.

– W ciesielce jesteś zbyt dokładny. Wszyscy to mówią, ale teraz jestem wręcz zniesmaczona. Człowiek dzielący włos na czworo jest przy tobie grubiańskim partaczem!



Pociski zostały także pogrupowane ze względu na długość. Na stole niczym żołnierze w szyku parady stąło dziewięć pudełek z łuskami i dziewięć z nabojami. Teraz ojciec przyszykował wagę do prochu. Zośka aż przebierała nogami z niecierpliwości. Na przemian mruczała i gryzła swój kosmyk włosów.

– Ile teraz pudełek postawisz? Osiemdziesiąt?

– Wcale nie. – Uśmiechnął się podstępnie. – Wszystkie napelnimy jedną dawką prochu.

– A jednak partacz. Nie dwoma, nie pięcioma, tylko jedną.

Ojciec kopnął ją teraz pierwszy i zaczął odmierzać proch. Najpierw na szalkę wysypywał dawkę z podajnika szufladkowego. Waga zachowywała się różnie i Telesfor dosypywał albo odbierał z szalki ziarenka prochu za pomocą niewielkiej łyżeczki, zrobionej ze słomki. Kiedy jedno ziarno należało odebrać, aby waga wskazywała równowagę, ojciec brał łupę i nóż. Przecinał ziarno prochu na pół i kładł na wagę.

– Jak to ktoś kiedyś opisze w książce, będzie to powieść bardziej fantastyczna niż powieść Verne'a. – Westchnęła Zosia znudzona już do nieprzytomności. – Czy to już wszystko?

– Teraz osadzimy pociski...

– Najdłuższe do najkrótszych łusek, średnie do średnich, a najkrótsze do najdłuższych.

– No, w końcu zaczynasz myśleć. Do tej operacji będziemy wkładać naboje do prasy. Prasa jest tak skonstruowana, że naboje będą jednej długości. Czyli, gdy zamek wprowadzi nabój do komory, odległość pocisku od stożka przejściowego w lufie będzie za każdym razem równa. Łuski w nabojach myśliwskich i bojowych mają zaciskaną szyjkę na pocisku. My do strzelai sportowych nie będziemy zaciskać szyjek.

– Srutu drutu! To naprawdę książkę można napisać. Po co to? Przecież nikt w nabojach nie bawi się w takie rzeczy jak ty.

Telesfor spojrział na córkę, przekrzywiając głowę. Kontynuował myśl z uporem kataryniarza na odpuszcie.

– Otrzymaliśmy trzy główne grupy różniące się ciężarem pocisków. W każdej grupie mamy kilka na niskich łuskach. Kilka na wysokich i dużą ilość na średnich. Te odstające od większości rozmiarami będziemy używać do strzałów brudzących albo do strzelania na małym dystansie. Główną grupę na średnich łuskach ze średnimi pociskami będziemy używać do trenowania...

– Zmarnowaliśmy pół dnia na to, co można kupić w sklepie. – Przerwała zniecierpliwiona do granic. – Zmarnowaliśmy czas na trening.

– Będziemy używać do trenowania na tysiąc metrów!



– Na twoje szczęście na wojnie ginie dużo ludzi. Nie sposób wszystkich zewidencjonować, ale ja zawsze robię, co mogę. Zbieram książeczki wojskowe i życiorysy oraz adresy rodzin. Tydzień temu zginęła od zabłąkanego odłamka sanitariuszka. – Pokręcił głową z żalu po towarzyszcze broni. – Normalna żołnierska śmierć.

Nie mógł mówić dalej. Coś go zatykało. Wydawało się, że był mocno, emocjonalnie związany z dziewczyną.

– Też miała na imię Zofia. Tu jest jej książeczka wojskowa i legitymacja partyjna. Będziesz od dzisiaj starsza o siedem lat i musisz pamiętać, że wychowywałaś się w domu dziecka. Twój rodzice według notatki porzucili cię, lecz gdy weźmiemy poprawkę na nasz system, pewnie zginęli w gułagu.

- A co z życiorysem? Szkołą? Zawodem? - Zaniepokojona pytała szybko i nieskładnie.

- Na wojnie nikt nie pyta o zawód. Ważne, czy umiesz strzelać i czy masz szczęście. Jak przeżyjesz pół roku, to wtedy będziesz martwić się dalej.

- Ale ja nie jestem sanitariuszką! Umieję nakładać opatrunki, najlepiej to umieję strzelać z karabinu i budować mosty.

- To dobrze. Na razie dam ci list do mojego kolegi z sąsiedniej jednostki. Napiszę, że nie możesz opatrywać rannych, bo szkoda twojego talentu strzeleckiego. Niedawno prosił mnie o wsparcie snajperem. To mu go wyśle! Wskrzyszę przyjaciółkę i nikt się nie doliczy, że przybył jeden żołnierz.

- A ty? - Zapytała z niepokojem.

- Ja? A kto martwi się na wojnie o oficera politycznego? To kula u nogi dla wszystkich! Mogę już nie wracać i nikt nie będzie po mnie płakał.

- Nie żartuj. Ja będę po tobie płakać...

- Tak. Żartuję. Muszę wrócić. Wymyślę jakąś historyjkę o samotnej walce z dywersantami i ucieczce. Wrócę jak gdyby nigdy nic. Postrzel mnie tylko albo dźgnij nożem, żeby moja walka i ucieczka były wiarygodne.

- Na pewno tego chcesz? Postrzał nie należy do przyjemnych, a dźgnięcie nożem to też nie pieszczota. No chyba, że takie lubisz? - Parsknęła śmiechem.

- Wyglądam na masochistę, ale taki nie jestem. Myślę, że rana bardziej uwiarygodni moją walkę z porywaczami. Ktoś może zapytać: „Jak to się stało, że dowódca zginął wraz z obstawą, a ty wyszedłeś bez draśnięcia?”.

- Dobrze, jutro cię postrzelę, ale dzisiaj jeszcze chciałabym się przytulić. - Wcisnęła się pod jego silne ramię.

Leżeli tak i patrzyli w dogasające ognisko. Dzień mieli bardzo pracowity. Zośka dobrała się do ziemianki. Tej pierwszej, jaką kopała tuż po wybuchu wojny. Wyciągnęła z niej swojego pupilka i przytuliła do serca tak, jak dziecko tuli pluszowego misia. Z lubością sprawdziła jego stan techniczny i powycierała niewidoczny gołym okiem nalot. Potem z Władimirem cały czas konserwowali zdobyczną broń. Całe popołudnie konserwowali broń. Słoninę, która znajdowała się w ziemiance na czarną godzinę, pocięli na paski i wyciorem wpychali szczelnie do luf. Nie owijali jednak w szmaty, tylko głęboko w ziemi poukładali na płaskich kamieniach. Potem płaskimi odłamkami skał przykryli tak, aby broń znajdowała się pomiędzy nimi i nie podsiąkała wodą.

Dopiero wtedy nakryli wszystko gumowaną paletką i zasypali ziemią. Był tam prawdziwy skład broni. Mauser i dwa mosiny, dwie pepesze i dwie tetetki. Do każdej broni po minimum trzydzieści sztuk amunicji. Jeden z mosinów był wersją fińską. Wyborową, ale bez optyki.

- To prawdziwy arsenał! - Westchnęła i uśmiechnęła się na myśl, jak cieszyłby się ojciec, gdyby mógł postrzelać z tych karabinów.

Tę ciężką i żmudną pracę urozmaicali sobie opowieściami o latach dziecięcych i domach rodzinnych. Wspominali wesołe historie i zdarzenia, jakie ich spotkały. Mieli ich mnóstwo. Niektóre straszne i karkołomne, ale zawsze kończyły się dobrze. Zośka

opowiadała, jak porwał ją nurt rzeki, chwytają wiry i wciągały pod wodę, co utrudniało walkę z prądem.

– Dałam sobie radę! Choć miałam niecałe siedem wiosen. Dobrze pływałam i nurkowałam. Przynajmniej tak mi się zdawało. Wtedy poczułam pierwszy raz prawdziwy strach, ale nie o siebie. O ojca! Bałam się, co on teraz sam zrobi, że będzie za mną tęsknił. Wtedy postanowiłam, że wygram z prądem i wirami. Przestałam się szamotać tylko sukcesywnie zbliżać się do brzegu. Wymyśliłam taką taktykę, że jak wpływałam na wir to przewracałam się na plecy i rozkładałam szeroko ręce. Jak głowa skierowała się do brzegu, gwałtownie machnęłam rękoma i nogami. Wpływałam z wiru, z jego prędkością i zawsze byłam bliżej brzegu. W końcu chwyciłam się jakiegoś korzenia drzewa na brzegu. Wyszłam i tak, jak stałam, pobiegłam do domu, a do domu było już ponad dziesięć kilometrów. Tak mnie zniósł ten prąd. Przebiegłam cały dystans i od tamtej pory nie boję się daleko biegać. Po prostu wiem, że potrafię.

– Ja też miałem podobną przygodę. Bawiliśmy się w chowanego. Ja wskoczyłem do otwartego wagonu. Nagle ktoś zatrzaskał drzwi, a pociąg ruszył. Wtedy dopiero miałem stracha. Po kilku godzinach oblużowałem jakąś deskę i na najbliższym semaforze wyskoczyłem. Niestety do domu wróciłem po trzech dniach, ale dostałem lanie. Siostry się ze mnie śmiały, bo tata lał wtedy na goły tyłek. Zawsze gdy wsiałam do pociągu, przypomina mi się ta zabawa w chowanego i to lanie.

Dziś wieczorem zasnęli razem. Jak dwoje bliskich ludzi. Nikt nie pomyślałby nawet, że trzy dni temu tych dwoje było przedzielonych lufą wycelowanego pistoletu.

1000 metrów

Leżeli w pachnącej latem trawie. Słońce weszło niedawno, ale nie wychyliło się jeszcze zza pagórka.

– To najlepszy czas na strzelanie. Nie jest za ciepło i nie za zimno. Umysł jeszcze śpi i miraże tak drażniące strzelców także się nie obudziły. W taki dzień padają rekordy strzeleckie. – Telesfor rozgadał się podekscytowany piękną pogodą.

– Jesteś pewny, że można trafić na taką odległość?

Tarcze wraz z białym podkładem z prześcieradła były ustawione na kilometrowej odległości. Ich widoczność pozostawiała wiele do życzenia nawet w tak przejrzystym i spokojnym powietrzu.

– Tak, to jest prawdziwa magia strzelania. Wszystko musi być w najlepszym porządku. Przeważone pociski, przeważony proch, splotki posadzone na jednej głębokości, mechanizm spustowy wyczyszczony i przesmarowany, lufa czysta, ale przestrelona dwa, trzy razy. Te wszystkie zabiegi techniczne to tylko jedna dziesiąta sukcesu. Dziewięć dziesiątych to ty.

– Ja... – westchnęła dziewczyna.

– Tak. Wszystko tak naprawdę zależy od ciebie, nie od sprzętu. Rytm strzelania i czas ściągania spustu mają tutaj duże znaczenie. Od ich regularności zależy powtarzalność strzałów, a te już można „wkręcić” przyrządami w środek tarczy.

– Ale ja prawie nie widzę tarczy – pisnęła.

– Do tarczy ustawionej na takiej odległości magicy strzelania trafiają nawet bez lunety. Cel jest dużo mniejszy od muszki, a mimo to ich pociski trafiają. To prawdziwy test wiary w siebie. Nie widzisz dokładnie celu, ale wiesz, że jeśli utrzymasz idealnie przyrządy w rejonie celowania i w tym czasie płynnie ściągniesz spust, pocisk poleci idealnie do celu. To w pewnym wymiarze akt wiary, a nie techniczne przygotowanie. Złóż się teraz, zanim słońce obudzi miraże. Oddaj kilka strzałów na sucho, a potem załaduj nabój.

O dziwo córka nie protestowała przed suchym strzelaniem. Oddała ich kilka. Najpierw z zamkniętymi oczami, aby wyobrazić sobie drogę spustu. Przypomnieć neuronom reakcję na świetlne bodźce. Następnie wykonała ćwiczenia oddechowe i oddała pierwszy brudzący strzał. Ojciec obserwował jej przygotowania i był zadowolony. Już nie raz widział jej dobre strzały, a dziś miało nastąpić wejście na wyższy stopień wtajemniczenia, zachęcający do dalszej wytężonej pracy.

– Załaduj teraz i strzel do celu. Trzy razy. Potem zobaczymy, gdzie jest skupienie.

Zośka załadowała, ale nie oddawała strzału.

– Co jest? Czemu nie strzelasz?

– Serce mi bije! Denerwuję się. To normalne?

– Jak najbardziej. – Ojciec się uśmiechnął. – Jeszcze spokojnie pooddychaj. Wyobraź sobie pocisk, który wylatuje z lufy i podąża prosto do celu. Przebija tarczę w samym środku, a drobnutkie strzępki papieru rozpryskują się dookoła. Potem wyceluj i spokojnie pociągnij za spust.

– Pang! – Lufa lekko podskoczyła do góry. – Pang! – Spokojny oddech, przeładowanie, jeszcze jeden oddech. – Pang!

Trzeci strzał był niepewny. Widział to Telesfor, ale się nie odezwał. Wiedział, że efekt będzie na tarczy. Wstali i przeszli się spacerem, to w końcu magiczny dystans, tysiąc metrów.

W tarczy nie było przestrzelin, ale były prześcieradła obok tarczy. Dwa pociski przeszły na wysokości czarnego pola, oddalone od siebie o około trzydzieści centymetrów. Trzeciego, jak przypuszczał Telesfor, nie było.

– To twoje skupienie. Teraz nastawami lunety wkręcimy je w środek tarczy. Na tym dystansie nawet jeden „klik” może przeważać o celności. Może będziesz musiała strzelać z poprawką.

– Z poprawką? Jak? Jak ja prawie nie widzę celu, to jak mam jeszcze odłożyć poprawkę?

– Karabiny ze stałymi przyrządami nie mają żadnej regulacji w poziomie. Strzelanie z takiego gnata na tysiąc metrów jest z góry skazane na porażkę, a mimo to są ludzie, którzy trafiają. Albo odkryjesz ich tajemnicę i wejdiesz do grona tysięczmetrowców, albo ci się to nie uda. To żaden wstyd strzelać celnie na trzysta metrów. Strzelać celnie na tysiąc metrów potrafi tylko kilku ludzi na świecie.

– Musiałeś to powiedzieć. Musiałeś! Mówisz, że to nic strasznego, jak nie będę trafiać, ale w głębi duszy czujesz, jak mnie wkręcasz. Jesteś łotrem i podstępny lisem.

Przywalileś mi do ambicji. Nie ma co, ale teraz módl się, aby starczyło ci pieniędzy na naboje, bo trenować będą codziennie... – Odwróciła się i poszła hardo na stanowisko.

Ojciec pocierał wąsa i kuśtykał za nią. Pod wąsem drgał radosny uśmiezek.



– Mam naprawdę strzelić? – Zośka niedowierzała.

– Tak. Co się może stać? To tylko jeden nabój – przekonywał major.

– To ty nic nie wiesz o pociskach. W ciele mogą zakoziołkować i zmienić tor lotu. Zamiast małej ranki możesz mieć urwaną rękę, jeśli pocisk na płask uderzy w kość. Poza tym postrzał pozostawia dużą ranę z małym wejściem, co grozi zakażeniem. Już lepiej pchnę cię nożem, skoro tak bardzo się upierasz. Ostrze odkażę nad ogniem i uderzę od góry, w mięsień na łopatce. Tak jakbyś dostał niecelny cios w serce.

W ten piękny słoneczny poranek dwoje młodych zmieniło temat na bardziej przyziemny i konkretny. Nigdy nie byli bliżej przeciwnej płci i nigdy nie byli tak zafascynowani sobą i podnieceni. Niestety czas wojny zabija nie tylko ludzi. Zabija uczucia, nawet te najpiękniejsze... Gdyby nie ten czas wojny, na pewno nie rozstawaliby się tak szybko i na pewno planowaliby następne spotkanie. Niestety. To czas wojny. Czas pożogi. Krwawych ran i śmierci.

Dziewczyna uderzyła z góry, zniecka. W pierwszej sekundzie nie poczuł bólu. Ten przyszedł wraz z wyciągnięciem noża. Poczuł mdłości i ogień w plecach. Uklęknął i chciał się złapać za ranę. Nie sięgnął.

– Spokojnie zaraz cię opatrzę.

– Jak boli! – zajęczał rozedrganym głosem.

– A chciałeś dostać postrzał! Bolałoby tysiąc razy bardziej. Teraz kora z młodego dębu i wierzby, i za dwa tygodnie zapomnisz, że miałeś ranę. Postrzałowa po takim czasie dopiero kończyłaby się jątrzyć.

– Wobec tego dziękuję ci za tak dobry uczynek. – Jęknął ponownie, gdy na ociekającą krwią ranę czarnowłosa położyła opatrunek z kory. – Zatrzyma krwawienie to dziwne coś?

– Tak. Krew trochę leci, ale to dobrze. Oczyści do końca ranę. Garbniki z kory odkażą i niedługo będziesz zdrow. W południe zdejmę ci ten opatrunek i pomogę założyć twój własny. Rana będzie miała strupa, więc się już nie zakazi.

Zjedli pieczone ziemniaki z solą i słoniną. Popili pyszną wodą ze strumienia. Długo nie odzywali się do siebie. On nie mógł zebrać myśli. Ona niepokoiła się odejściem i wstąpieniem do wojska.

– Co będę tam robić? – Zapytała niepewnie.

– Zapytaj, czego nie będziesz robić. W wojsku nie ma czasu na nudę. Jest kopanie okopów, ścinanie drzew i budowanie z nich umocnień. Jest musztra, walka na bagnety i taktyka. Codziennie! Poza tym warty, dyżury w kuchni i prace porządkowe. Tobie, jako dziewczynie, będą jeszcze przynosić pewnie mundury do cerowania i szycia.

– Co?

– No tak! Będziesz tam pewnie jedną z niewielu dziewczyn.

– Zgwałcą mnie?

– Nieee! – zaprzeczył gwałtownie. – Wtedy, no wiesz... byłaś wieśniaczką. Polką. Teraz będziesz żołnierzem w stopniu chorążego. Poza tym snajperką! Każdy czuje respekt przed karabinem z lunetą. Pewnie będą się do ciebie zalecać i jak się któryś spodoba, to możesz z nim poromansować...

– No co ty?! Ty mi się podobasz... Romansować mogłabym z tobą, ale się nie zalecasz!...

– Bo jest wojna. Bo jutro ty będziesz gdzie indziej i ja będę gdzie indziej. Jutro mogę zginąć i po co ci taka miłość?

Wstała i pocałowała go w usta. Pocałowała gorąco tak, jak nigdy nikogo na świecie.



Ubrana w stary kombinezon z przewieszonym sztucerem szła rażno leśnymi duktami. Wiedziała, że za kilka kilometrów będzie w innej jednostce, innej społeczności, innej rzeczywistości. Los jest ślepy i niesie różne niespodzianki. Nie bała się. Była tylko pełna niepewności. Pierwszy raz sama opuściła rodzinne strony i nic nie wskazywało na to, że do nich wróci. Umiała sobie poradzić z technicznymi problemami, ale nowe kontakty międzyludzkie zawsze ją onieśmiały. Była, jak to określił Władimir, wieśniaczką. Znała tylko społeczność swojej wsi. Przyjeżdżali co prawda do Grabowa kupcy z dalekiego świata, ale ona nie miała czasu na plotki. Uczyla się konstrukcji albo trenowała strzelanie, albo szła na polowanie do lasu. Dziwiły ją koleżanki, które godzinami przymierały sukienki, bluzki i toczki przywiezione ze wschodu, albo przebierały w biżuterii z jantaru. Ona w tym czasie doprowadzała swoje umiejętności do perfekcji. Teraz umiejętności interpersonalne wydały jej się na wagę złota.

– Stój! Kto ty? – Z krzaków opodal drogi padło stanowcze pytanie.

Widziała tę czujkę już wcześniej. Poznała ją po wydeptanej i wytartej ścieżce z piaszczystej drogi w las.

– Ja do was! Do komandira z rozkazem! Wyciągnęła papiery od Władimira i podniosła je w wyciągniętej ręce.

Wartownik podszedł, mierząc cały czas z pepeszy. Jej Mosin z lunetą budził respekt i zainteresowanie. Rosjanin wziął papier do ręki. Wiedziała, że niewiele wyczyta, bo był to list pisany szyfrem politruków. Jednak nazwisko adresata budziło strach i szacunek.

– Proszę przejść! Na drugich rozstajach skróćcie w prawo i dalej trzysta metrów prosto. Tam stacjonuje nasza jednostka. Wartownik doprowadzi do dowódcy politycznego. Miłej służby, towarzyszek. – Zasalutował i wycofał się w krzaki, zostawiając jeszcze bardziej wyraźny ślad swojego schronienia.

Poszła i od tego momentu stała się rodowitą Rosjanką. Język znała bardzo dobrze, gorzej z akcentem. Tego musiała pilnować w dzień i w nocy.

Notatnik o broni

- Tu włącza się do gry wiatr. Pocisk lecący na tysiąc metrów traci swoją prędkość obrotową i przelotową. Jego czubek zaczyna wpadać w coraz większe wibracje, co spowalnia go jeszcze bardziej. W ostatniej fazie lotu na tysiąc metrów nawet najłżejszy zefirek znosi pociski.

Dziewczyna jak natchniona słuchała nauki o strzelaniu na długim dystansie. Już poznała wiele tajników, ale poznawanie sekretów strzelectwa stało się dla niej tak fascynujące, jak tylko może być fascynująca nauka.

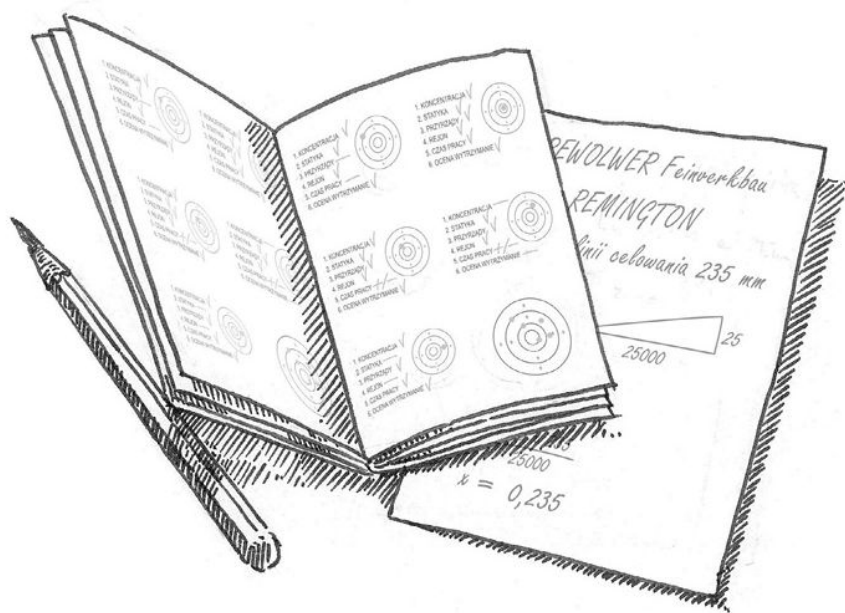
- W książkach poprawka na powiewy z tyłu i z przodu pod danym kątem jest taka sama, lecz w rzeczywistości wiatr z tyłu pod kątem i wiatr z przodu będą znosiły pociski inaczej. Dla twojej lufy i twoich pocisków musisz taką różę wiatrów, i tabelkę poprawek, opracować sama.

- Sama w zeszycie?

- Tak. W zasadzie to nie będzie zeszyt, tylko książka. Książka o twoim karabinie.

- Mówisz na swój karabin Nelson, a więc czy twój Nelson też ma taką książkę?

- Tak. Zapisalem kiedyś pół zeszytu notatkami i wskazówkami. Były tam poprawki dotyczące wiatrów nawet z deszczem. Niestety zanim zacząłem dobrze strzelać na superdługich dystansach, pogorszył mi się wzrok.



- No przecież lunetą można wyostrzyć obraz.

- Jest wiele wad wzroku. Ja po prostu coraz gorzej widzę. Lekarze nazywają tę chorobę zaćmą.

– I nic się z tym nie da zrobić?

– Można. Można wychować młodsze pokolenie. – Zaśmiał się jak zwykle, gdy mówił do swojej córki z miłością. – Nauczyć je strzelać na swoich doświadczeniach, eliminując błędy w nauce, które się samemu popełniało.

Zośka poczuła, że lekcje strzelectwa wgryzają się w jej duszę. Myślała teraz o nich jak o skarbie przekazywanym z pokolenia na pokolenie. Poczowała także odpowiedzialność za to, aby kontynuować tak piękną historię po swoim ojcu. Jednak najważniejsze uczucie, jakie wręcz ją uderzyło po słowach ojca, stanowiła duma. Była dumna z tego, że ojciec właśnie jej przekazuje swoją naukę i doświadczenia.

Od tego dnia treningi strzelectwa nabrały dla niej mistycznego wręcz znaczenia.

**„lecz kiedy los stanie mi na drodze
i powie, że oszukać go nie mogę.
Odpowiem mu wtedy, odpowiem mu.
– Do tylu razy sztuka, dopóki się nie uda!”**

– Kobieta strzelcem wyborowym? Hm. Pismo to pismo, a ja chcę efektów. Jesteś snajperem? To udowodnij to. Nie wysyłam za linię wroga ludzi, których nie znam. Masz broń od wroga! Fiński sztucer albo przerobiony karabin. Nie znam się na tym, ale to nie broń etatowa.

– Tak! Władimir prosił, aby towarzyszy złożył książeczkę broni z jej numerami, ponieważ jemu skończyły się druki. Ten sztucer jest dla mnie bardzo ważny. Z niego trafiam hełm na trzysta metrów.

– Hełm na trzysta metrów to i ja trafiam z mosina! – Chciał się przechwalać dalej, ale Zośka przerwała gwałtownie.

– W ruchu?

– Tego nikt nie potrafi. – Zaperzył się major.

– Więc od teraz możecie mnie nazywać Nemo...

Major polityczny batalionu piechoty musiał przesłuchać nowego żołnierza. Taki jego zawód. Władimir uprzedził ją o tym, że przesłuchanie nie będzie łatwe. Nie było, ale dla majora politycznego. Pyskata i zadziorna Zośka to nie zwykły oderwany od pługa chłopiek. Punktowała po każdym zdaniu, a major, gdyby nie była kobietą i gdyby naprawdę nie potrzebował snajpera, już dawno zamknąłby ją w ciurmie.

– Nie pozostawiasz mi wyboru. Mamy w jednostce strzelca, który pragnie być snajperem, ale zaopatrzenie ciągle nie dowozi karabinu z lunetą. Jak przegrasz z nim pojedynkę, oddasz broń mojemu strzelcowi, a sama pójdziesz do obierania ziemniaków. Tam, gdzie jest baby miejsce.

Ostatnie zdanie wypowiedział tubalnym i odważnym głosem, co przydało raczej śmieszności całej rozmowie, ale wjechanie na ambicję kobiecie pokroju Zosi nie wróżyło niczego dobrego.



Stiopa był małomównym człowiekiem. Wysoki, szczupły i sprężysty. Po przedstawieniu go młodszemu towarzyszy stał wyprostowany i mierzył ją wzrokiem. Ją i jej sztucer.

W zasadzie był to fiński karabin mosin z przepiękną koroną lufy i dorabianą, orzechową kolbą. Jego ergonomia i dopasowanie były perfekcyjne, a wygląd, jak na broń do lasu, też był nieprzeciętny. Pas nośny skrywał pochewki na łódki z nabojami. Przymocowana na solidnym montażu sześciokrotna luneta z dużym, jasnym obiektywem była małym dziełem sztuki.

– Co się tak patrzycie? Karabinu nie widzieliście? – zapytała hardo.

– Widziałem niejednego, ale żaden nie był taki piękny – odpowiedział szczerze, ale i z nieukrywaną zazdrością.

Chciała wyjawić, że to dzieło jej ojca, ale w porę ugryzła się w język. Oficjalnie była z domu dziecka.

– Upolowałam właściciela pół roku temu. Nie pomogła mu ta duża luneta.

– Miałś po prostu szczęście. Ja bym sobie nie dał odebrać tak pięknej broni.

– Towarzysze, dość tych przechwałek. Jesteście tu po to, aby rozstrzygnąć, kto w naszej jednostce będzie tej broni używał. Potrzebny jest nam najlepszy strzelec wyborowy, ponieważ mamy kłopot na głowie. Poluje na nas para snajperów i jesteśmy mocno zdezorganizowani. Nawet teraz nie wiem, czy nie patrzy który na nas przez swoje szkiełka, więc do roboty. Ustawiać cele i strzelać, a zwycięzca tego konkursu weźmie karabin z lunetą.

– Konkurs będzie nieuczciwy. – zaprotestował Stiepan. – Ona ma lunetę, a ja nie.

Dowódca podrapał się w głowę. Zamyślił. Ciszę przerwała Czarnowłosa.

– Niech on strzela z mojego sztucera z lunetą, jak jemu tak zależy, a ja będę strzelać z jego etatowej broni. Może być? – Odwaga, z jaką to powiedziała, wywołała strach jej przeciwnika.

– Dobrze – zgodził się dowódca – niech tak będzie.

Znała ten karabin aż za dobrze. To z niego oddała pierwszy strzał. To on skopał jej ramię tak, że spuchło, zsiniało i było nie do użytku. Karabin Stiepana był dobrze utrzymany. Miała wręcz pewność, że jak właściciel starał się o stanowisko snajpera, to broń miał w nienagannym stanie, a amunicję dobraną i przestrzelaną.

Podali sobie wzajemnie broń. On sięgnął po snajperkę z czcią i podziwem. Ona po karabin sięgnęła pewnie, patrząc w oczy przeciwnikowi.

– Nie ma chyba sensu strzelać na sto czy dwieście metrów. Zacznijmy od razu od trzystu. Nie będziemy marnować amunicji – zaproponował zuchwale Stiepan.

– Tak, zacznijmy od trzystu.

Tarcze typu okrąg z iksem rozmieścili na trzysta i pięćset metrów. Na kilometrze stała spalona mała tankietka. Ona miała być celem finałowym.

Położyli się w płytkich okopach i... strach zagościł na twarzy Stiepana. Spojrzał na lunetę. Niemieckie litery nie przypominały rosyjskich. Przystawianie wysokości było więc tylko intuicyjne, ale na tym nie kończyły się jego zmartwienia. Jego długie ręce nijak nie pasowały do dorabianej na miarę kolby dziewczyny. Nie poddał się jednak bez walki. Zarepetował płynnie działający zamek. Zosia była szybsza. Wypaliła brudzący strzał i już namierzała trzystkę.

Wystrzelili prawie jednocześnie. Ona spokojnie dociągnęła spust do końca, a on... zawył z bólu i przewrócił się na plecy. Luneta była za blisko oka podczas strzału. Krawędź obiektywu siłą odrzutu trafiła go w łuk brwiowy i odcięła powiekę jak skalpelem.

– Co jest?! Psia jego mać! – zakrzyknął dowódca polityczny. – To sabotaż!

Wstał z okopu. Założył czapkę i chciał jeszcze coś powiedzieć, gdy świst pocisku odciał jakiegokolwiek dźwięki. Drgnął. Przez jego ciało przeszedł ołowiany piorun. Podrzucił go lekko do góry i rzucił na ziemię.

– Nie ruszaj się! – Krzyknęła snajperka. – Jesteśmy pod obstrzałem eksperta!

Stiepan nie ruszał się wcale. Uciskiem dłoni hamował krwawienie. Zośka przeczesywała wzrokiem okolice. Lekkie wzgórze od zachodniej strony skryte we

własnym cieniu było pełne potencjalnych kryjówek. Jej mosin miał w komorze nabój, ale musiała zmienić pozycję. Wtedy ją olśniło. Dopóki dowódca leżał z lornetką w płytkim rowie, był bezpieczny. Strzał dostał dopiero, kiedy wstał. To zawężyło pole obserwacji do dolnych partii wzniesienia. Przeczłoła się, aby zmienić pozycję i spod gęstego krzaku żarnowca lustrowała przedpole.

Oj, nie ujdiesz mi dzisiaj, jeśli jeszcze tam siedzisz – pomyślała, ale zadanie wcale nie było łatwe.

Leżała bez ruchu. Im dłużej leżała, tym większe wrażliwości ją ogarniały. Pozycja, jaką przyjęła, była niezbyt wygodna i już cierpły jej kończyny. Bała się ruszyć, aby w ten sposób nie zdradzić miejsca, w którym się znajduje. Słońce świeciło jej zza pleców, więc byłaby dobrze widoczna dla przeciwnika, gdyby się poruszała. Musiała przyznać, że jej przeciwnik był nie lada strzelcem, ponieważ jego strzał padł sekundę po powstaniu majora. Był piekielnie celny! Musiał ich wcześniej zobaczyć, tylko nie wiedział, do kogo najpierw strzelić. Wiedział, że nikt nie przyjdzie im z pomocą. Byli na strzelnicy. Daleko za własnymi liniami okopów.

Nie boi się pojedynku ze strzelcami. Wręcz ich prowokuje! – Gdy dotarły do Zosi te myśli, poczuła strach.

Na przedpolu nie było żadnego ruchu. Przez kilka godzin leżała i wpatrywała się w okolice. Oczy zaczęły łzawić. Suche gardło dopominało się o łyk wody. Skurcze łapały już nawet korpus i szyję. Dwie myśli walczyły ze sobą. Jedna to taka, że strzelec dawno opuścił to miejsce i teraz odpoczywa w swoim obozie, a druga, która przyprawiała o dreszcze, to taka, że on tam leży i tylko czeka, aby pociągnąć za cyngiel.

Stiepan, gdy zatamował krwawienie, zasnął chyba, bo nie ruszał się i nie stękał. Tylko ona musiała tkwić na posterunku, pełna strachu i niepewności. Dźwigała psychiczne brzemienie obrony jednostki wojskowej przed dalekim strzałem, gdy całe nawały myśli zaczęły ją mocno przytłaczać, zdarzył się cud. Słońce, które nieustannie podążało przez nieboskłon, zmieniło swe położenie, przez co promienie słoneczne zaczęły padać na stanowisko wrogiego snajpera tak, że zobaczyła refleksy od lunety.

Tu jesteś, dziadu! – pomyślała i w tym czasie uderzyły nerwy. Adrenalina spowodowała straszne drżenie rąk i straciła ostrość wzroku. Nabój mam już w komorze! Muszę trafić! – Myśli jak lokomotywa parowa pędziły po jej głowie z hukiem, rumotem i zawrotną prędkością. Zamknęła na chwilę oczy. Uspokajała oddech. Przypomniała sobie natychmiast rady ojca:

– Oddychaj powoli i licz oddechy. Myśl o zielonej łące i o kwiatach. Jesteś w wielkiej bańce mydlanej, w której jesteś wesoła, spokojna i bezpieczna. Twój karabin to twoje ciało. Zrobi wszystko to, o co go poprosisz. Pocisk polecą tam, gdzie umieścisz go swoją wizją. Trafi cel tak dokładnie, jak dokładnie jesteś w stanie sobie to wyobrazić.

Doliczyła już do dziesięciu. Widziała swój pocisk trafiający dokładnie pod hełm. Wchodzący w ciało, mijający lunetę i broń wycelowaną właśnie w nią.

Otworzyła oczy. Refleksy znikły, ale miała w pamięci dokładne miejsce ich występowania. W wyobraźni narysowała sobie sylwetkę strzelca schowanego za krzakiem. Na liściach krzaczka narysowała sobie w wyobraźni rejon celowania. Bardzo

powoli przestawiła celownik na trójkę. Teraz spokojna i przygotowana rozpoczęła pracę na spuście. Widziała wyraźnie muszkę, a prawa dłoń dokładnie wykonywała swoje zadanie.

– Pang! – Mosin lubieżnie klepnął ją w ramię. Wrócił na miejsce, lecz za krzakiem nie było ruchu. Nie było efektu trafienia!

– Nic? Nie trafiłam? Czyżby ten karabin miał źle ustawione przyrządy?

Obróciła się na plecy zmęczona, jakby wyrąbała połowę lasu. Odpoczywała na plecach, skurcze powoli przechodziły. Niestety na nowo wróciły wątpliwości.

– A jeśli tam była tylko szklana butelka?

Ojciec opowiadał o sztuczkach snajperskich, kiedy to snajper wiesza szklaną butelkę, która swoimi błyskami ma spowodować strzał. Sam wtedy wie, gdzie leży wrogi strzelec, gdyż ogień z lufy zdradza jego stanowisko! Dzień miał się ku końcowi. Nie wytrzymała.

– Stiepan, weź swój karabin i ubezpieczaj mnie. Wiem, że nie będzie łatwo, ale musisz to zrobić.

Zostawiła karabin Stiepanowi i, uzbrojona tylko w swoją finkę, zaczęła się czołgać, przy czym do osłony wykorzystywała każdą nierówność terenu. Za krzak olszyny, do którego strzelała, dotarła, gdy już było ciemno. W ostatnich przeblyskach dnia zobaczyła ciało. Leżało nienaturalnie wykręcone. Pocisk wszedł częścią twarzową czaszki i dalej penetrował korpus. Śmierć musiała być szybka, ale efekt skurczów mięśni powykręcał kończyny i tułów. Brzydziła się i bała dotykać jego munduru. Mdłości przyszły nie wiadomo skąd. Miała pewność, że zabiła wroga, że było to konieczne i niezbędne działanie. Niestety... szalejących myśli nie da się tak szybko odegnąć albo zmienić. Ponownie przyszła fala mdłości. To nie to samo, co strzelać do zwierzęcia na polowaniu. Tutaj leży ktoś, kto miał matkę i ojca, może sam był ojcem? Miał dom i rodzinę, a tylko wojna zmieniła go w polującego na ludzi strzelca. Zakręciło jej się w głowie.

– Zośka! Jak się nie pozbierasz, to wojna cię zje. Pogryzie i przetrawi. – Mówiła tak do siebie, aby się otrzeźwić. Wyrwać z przekłętego kręgu myśli. – Co ty tu jeszcze robisz? Zabieraj jego dokumenty, broń i spierdaczaj.

Z niepohamowanym obrzydzeniem obszukała jego mundur. Znalazła książeczkę wojskową i inne dokumenty. Zabrała całą amunicję i broń. Zebrała się do powrotu, gdy nagle usłyszała ciche dźwięki skradania.

Nie było to zwierzę. Zwierzę nie robi takiego „hałasu”.

Drugi snajper! No przecież mówili wszyscy, że jest ich dwóch! – Myśli krzyczały, lecz ona nie wpadała łatwo w panikę. Wężowym ruchem wycofywała się po własnych śladach, aby pod jej ciałem nie trzasnęła żadna gałązka. Wszystkie czynności dotąd wykonywała na leżąco. Teraz też czołgała się, nie podnosząc zbyt wysoko głowy, gdy od kierunku odgłosów skradania dzieliła ją wielka kępa wybujałej trawy, powoli ściągnęła karabin z pleców. Człowiek, który się skradał, był o kilka metrów od niej.



Strzelać z mausera z lunetą na trzysta metrów jest chyba łatwiej niż na dziesięć! Broń trzeba przyłożyć do ramienia, a wtedy cały obraz przysłania luneta i jej montaż. Przez lunetę nic nie widać, bo cel jest za blisko! Jedyne sposoby to zgrubne celowanie po lufie z boku. Przypomina to bardziej celowanie strzałą z mocno napiętego do ucha łuku. Można trafić, jak się ma doświadczenie w takim strzelaniu i dobrą widoczność.

Czarnowłosa takiego doświadczenia nie miała. Jej mosin miał lunetę na bocznym montażu i na bliskie odległości strzelała z otwartych przyrządów. Nie miała też widoczności i szczęścia, które już dzisiaj zapewne wykorzystwała. Strzeliła raz i zapewne chybiła, bo zanim przeładowała karabin, w jej kierunku padły strzały z pistoletu.

– Koozi bobek! – zakłęła i przeturlała się szybko za inną kępę trawy.

Przeładowała mausera. Strzeliła na ślepo. Przeturlała się z powrotem bardzo szybko. Przeładowała karabin ponownie. Napastnik rzucił się na nią, strzelając raz po raz z parabelki. Zrobiła jeszcze jeden obrót i wystrzeliła. Tym razem jej strzał padł prawie z przyłożenia. Napastnik nadział się na niego jak na bagnet. Na moment impet biegnącego zrównoważył się z impetem pocisku. Wrogi żołnierz zachwiał się i przewrócił na nią. Obryzgał ciepłą krwią, zacharczał i oklapł jak przebita dętka. Krew, pewnie z aorty, zrobiła dookoła małą kałużę.

Dziewczyna prychała, klęła i ślizgała się na krwi, lecz mimo to powstała.

– W dupie mam, czy ktoś to widzi czy nie? – Była w szoku i nie zależało jej, czy ktoś będzie do niej strzelał. Jednym zdecydowanym ruchem zdjęła z następnych zwłok kolejny karabin i hardym krokiem poszła w kierunku swoich okopów. Młodości ją opuściły. Ilość wrażeń w tym dniu przekroczyła próg wytrzymałości jej układu nerwowego.

Grupowanie amunicji

Zbliżał się wieczór. Na wzgórzu zatknięta była leszczynowa tyczka z białą flagą. Flaga oznaczała dla mieszkańców jej wsi, że w tej starej kotlinie rzeki będą padać strzały. Był to teren niczyj, pełen wykrotów i kamieni. Paść krów się tu nie dało, za to świetnie można było postrzelać. Mieszkańcy Grabowa z ulgą przyjęli do wiadomości, że dwoje ich mieszkańców przeniosło swoje treningi strzeleckie właśnie tutaj.

Dotarcie na tę naturalną strzelnicę zajmowało trochę czasu, ale podczas marszu ojciec zawsze podawał komendy do różnych ćwiczeń rozciągających albo rozgrzewających.

– Strzelanie bez rozgrzewki to jak gotowanie bez soli. Nic dobrego z tego nie wyjdzie.

Idąc tutaj, wykonywała wszystkie ćwiczenia, które znała. Leżała teraz ze swoim pupiłkiem i zrobioną niedawno amunicją. Jej ciało lekko zmęczone marszem i ćwiczeniami, właśnie wpadało w fazę odpoczynku. Otworzyła pierwsze pudełko i oddała trzy przepiękne strzały. Aby zobaczyć wynik, musiała pójść na piechotę, gdyż na tysiąc metrów nawet przez najlepszą lornetkę nie zobaczyłaby strzałów.

Trzy strzały były lekko w dole i lekko z lewej. Padły na powierzchni nie większej niż ludzka dłoń. Zaznaczyła je ołówkiem i opisała literą A. Oddała trzy następne strzały

nabojami z drugiego pudełka. Skupienie także było niewielkie, lecz jego środek był wyraźnie wyżej i bliżej środka. Oznaczyła je literą B.

Na stanowisku otworzyła trzecie pudełko. Chwilę pooddychała spokojnie z zamkniętymi oczami. Teraz wyraźnie widziała strzały, które będą padały za chwilę. Jej wyobraźnia nie umieściła ich w środku tarczy, tylko na białym ekranie w pięknym skupieniu.

Takie skupienie zobaczyła później, kiedy doszła do tarczy. Wizualizacja, której uczył ją ojciec, od samego początku strzelania była czymś niezwykłym.

Dzisiaj, bez czujnego oka trenera, sama postanowiła zrobić trening i oznaczyć amunicję. Zdziwiło ją trochę, że najcięższe pociski wylądowały najwyżej, ale widocznie taką miały charakterystykę lotu. Na tarczy i na pudełku zapisała literę C.

Wcześniej długo ustawiali lunetę, aby strzelała bez poprawek na tysiąc metrów. Ojciec jednak twierdził, że poprawki i tak będą. Będą je powodowały zmiany kierunku strzału do osi kręcącej się Ziemi. Będą poprawki na światło i wilgotność. Tutaj te niewielkie odchyłki wyrównać będzie można amunicją z odpowiedniego pudełka.

– Tych najważniejszych poprawek na wiatr będziesz się uczyć całe życie.

Uśmiechnęła się do siebie, bo dzisiaj już wiedziała, że to prawda.



Dowódca marszczył czoło, jak przystało na najstarszego stopniem w jednostce. Chodził nerwowo w różnych kierunkach z założonymi do tyłu rękoma. Stiepan z zabandażowanym okiem stał obok Zośki wyprostowany jak struna, a ona w radzieckim, lekko przydługawym mundurze stała luźno i swobodnie.

– Straciłem politruka, zyskałem snajperkę. Zyskałem dwa karabiny wyborowe, ale mój strzelec jest kontuzjowany. Jedyne pożyte z tego, że mamy na etacie prawdziwego myśliwego. – Pomasaował sobie kark lewą dłonią, a prawą wyciągnął do dziewczyny. – Stiepan będzie twoim partnerem jak wyzdrowieje. Powiedz, gdzie nauczyłaś się tak walczyć?

Dziewczyna pomilczała chwilę. Sama była zaskoczona swoimi umiejętnościami.

– Wydaje mi się, że mam po prostu szczęście. Intuicyjnie wyczuwam wroga, a strzelanie jest samorodnym talentem. Kiedy dostałam pierwszy raz karabin, wiedziałam, że to jest to, co kocham. Dużo strzelam, więc mam wprawę.

– Stiepan, wybierz dla siebie lepszą niemiecką wintówkę i zdej swój karabin do zbrojmistrza. Dostajecie ten etat snajpera, towarzyszu.

– Tak jest, towarzyszu dowódco! Bardzo dziękuję.

– Odmaszerować. – Nowo mianowany strzelec zsalutował i zrobił regulaminowy w tył zwrot.

Dowódca powrócił do swojego nerwowego stepowania.

– Pokonać parę snajperów prawie z marszu to musi być szczęście, ale to dobrze. Urodziłaś się pod szczęśliwą gwiazdą. Takich nam tutaj trzeba. Witaj w naszych szeregach. – Wyciągnął do niej swoją dłoń. – Zastanawiam się jeszcze nad tym, aby

zarekomendować ciebie na oficera politycznego naszej jednostki. List, jaki Władimir przysłał tutaj, jest pełen pochwał i pozytywnych treści. Twoje wczorajsze zadanie dowodzi, że miał rację. Co ty na to?

– Nie znam się na politycznych sprawach. Dobrze wychodzi mi strzelanie.

– Nie przejmuj się! Wszystkiego cię nauczę.

– Tego się właśnie obawiam. – Krzywy uśmiech zagościł na jej twarzy, a dowódca zrozumiał, że agitacja nie przyniosła skutku.



Po wyjściu z ziemianki dowódca chciała udać się do kwatermistrza po resztę oporządzenia. Nagle wyrósł przed nią szpaler żołnierzy. Utworzyli korytarz i każdy, koło którego przechodziła, podawał rękę. Gratulował i dziękował. Reszta w tym czasie nuciła cicho wojskową piosenkę. Mijała uśmiechnięte twarze. Wesole oczy mówiły o jej potrzebnej pracy. Było jej ciepło na sercu. Podczas drogi do ziemianki wszędzie widziała ruch. Na sznurkach schło pranie. Ciężarówka wyjechała po zaopatrzenie pełna roześmianych żołdatów. Żołnierze odetchnęli od snajperskiego terroru.

Szła dumna do swojej kwatery. Pogwizdywała cicho melodię, która przed chwilą wpadła jej w ucho. Ktoś przygotował jej pryczę. Taką, jak dla dowódcy, z siennikiem i jaśkiem pod głowę. Czowała się naprawdę dobrze. W dalszym ciągu pogwizdując, rozłożyła broń do czyszczenia. Wyczyściła ją zgrubnie wcześniej, ale teraz postanowiła ją dopieścić. Zabrała się też za mundur. Był na nią o wiele za duży. Umiała dobrze posługiwać się igłą i nicią, więc po kilku godzinach mundur dopasowała do swojej sylwetki.

Nagle w lesie rozległo się dzwonienie. Ktoś szybko uderzał bagnetem w mosiężną łuskę od armaty.

– Obiad! Obiad!

Wszyscy wokół nagle się poruszyli. Wzięli menażki i ruszyli w kierunku dzwonienia. Teraz i u niej drgnął żołądek. Poderwała się na nogi i wzięła swoją menażkę. Przy kuchni kamraty przepuścili ją bez kolejki do kucharza. Kuchta w białym fartuchu nalewał zupę, która w zamyśle miała być krupnikiem. Widząc Zośkę, zamieszał w kotle i od dna wyciągnął dużą kość, która ledwie zmieściła się do menażki.

– Dziękuję – wymamrotała czarnowłosa.

Wiedziała, że kucharz chciał dobrze, ale w jej domu kości gryzał pies. Tu, w warunkach frontowych, nawet psie jadlo było rarytasem, więc usiadła ze swoją miską i zadrzała.

Kurczę! Nie mam łyżki! – Popatrzyła po pozostałych. Każdy miał łyżkę! Niektóre były *trofiejne*, gdzieś z zamku albo pałacu, ponieważ były wykonane z grubego srebra i rączki swoim wyglądem przypominały kwiaty albo postacie ludzkie. Niektóre łyżki były zwykłe, stalowe, a niektóre po prostu drewniane. Wyciągali je albo zza cholewy buta, albo z kieszeni w spodniach. Jednak każdy miał swoją łyżkę! To była wpadka, na

jakiej wykładają się szpiedzy albo dywersanci. To nie karabin wyróżnia rosyjskiego żołnierza, ale łyżka!

Musiała działać szybko. Zaczęła obmacywać kieszenie po kilka razy wreszcie, po którejś nieudanej próbie zagadnęła sąsiada.

– Zgubiłam w walce łyżkę. Pożyczysz mi swoją, jak zjesz?

Soldat popatrzył na nią dziwnie i wyciągnął rękę z łyżką. Sam swoją zupę wypił z menażki.

– Weź tę łyżkę na szczęście. Będzie z tobą, jak będziesz chronić nasze tyłki od kul snajperów. – Zaśmiał się serdecznie i próbował wylizać menażkę.



Drugie zadanie przyszło szybko i zniecka. Ledwie wieczorem zwiad przywiózł jakieś wieści na rowerze, a tuż potem wołali Zośkę do dowódcy. Nie minęła doba od morderczej walki ze snajperami, a już postawiono jej nowe wyzwanie.

Było z założenia łatwiejsze od poprzedniego, ponieważ to ona miała zaskoczyć Niemców, a poza tym nie wiedziała, czy w ogóle dojdzie do walki. Tak czy owak poczuła ciężar odpowiedzialności i przysłuchiwała się odprawie uważnie. Sama od siebie dodawała pewne szczegóły i omawiała je z dowódcą.

Miała dostać anioła stróża w postaci ubezpieczającego ją zwiadowcy, ale stanowczo zaprzeczyła.

– Widzieliście, towarzyszu dowódco, co się stało ostatnim razem, kiedy było nas troje? Jeden nie żyje, a drugi jest ranny. Proszę o obserwatora, aby doniósł w razie czego o niepowodzeniu, ale on musi być poza zasięgiem jakiegokolwiek ognia, abym miał swobodę działania – tłumaczyła swoje postanowienia.

– Dobrze! Ostatnią akcją pokazałaś, że wiesz, co robisz i że masz szczęście. Choć niechętnie, to zgodzę się na twoją propozycję. Nie będę ci się wtrącać, ale musisz wiedzieć, że wtedy liczysz sama na siebie. Ryzykujesz śmiercią, a nawet torturami, jak wpadniesz żywa z wintówką w łapy wroga. Tylko raz widziałem ciało snajpera po torturach Niemców. Nie mogłem spać po nocach... Uważaj na siebie...



– Korpus pancerny SS ma alternatywną drogę na linię frontu obok lasu, w którym stacjonujemy. – Dowódca przy rozłożonej mapie tłumaczył Zośce szczegóły przed akcją. – Gdyby zmienili trasę, wystarczy tylko na chwilę wstrzymać ich przemarsz. Aby nasze oddziały zdążyły zareagować. Każda dodatkowa minuta pozwoli naszym na zajęcie dogodnych pozycji i zamaskowanie dział przeciwpancernych.

W ziemiance dowódcy było ciemno, a w powietrzu unosił się smród kopczącej nafty, która z bawełnianego knota dawała tyle światła, że ledwo można było dostrzec oznaczenia na mapie. Zośka pochyliła się nad płachtą papieru i próbowała w tym nikłym świetle wyobrazić sobie krajobraz i strukturę terenu. Wiedziała, że

najważniejsza jest droga odwrotu i szeroki ostrzał, jednak mapa nie pokazywała żadnych naturalnych kryjówek, takich jak rowy, lasy czy pagórki. Przygryzła swoje czarne włosy, które w świetle lampy wydawały się granatowe. Podjęła decyzję. Podniosła głowę i spojrzała na postać skrytą w ciemności i naftowym dymie.

Dowódca w stopniu majora patrzył w oczy drobnej Zośki. Sam nie wierzył, że to zadanie powierza tak młodej i delikatnej osobie. Miał do dyspozycji potężnych mężczyzn, odważnych i obytych z bojem. Patrzyła na niego, jakby chciała zajrzeć głęboko w jego duszę. On z kolei widział w jej oczach pewność i determinację, której nie rozpoznawał w oczach nawet najbardziej doświadczonych szturmowców.

– Zrobię, co w mojej mocy, towarzyszu. – Zasalutowała i odeszła.

Na akcję wypuściła się sama. Zabrała tylko broń, saperkę, manierkę z wodą oraz kilka sucharów. Przygotowała sobie lisią jamę w miejscu, z którego świetnie widziała otwarty teren, jednak ten nie dawał możliwości do odwrotu.

– Psia jucha! Muszę zrobić kurewsko dobre maskowanie. – Zośka już po kilku dniach nauczyła się kłąć jak żołnierz.

Zrobiła wszystko tak perfekcyjnie, jakby ojciec stał obok i dodawał swoje uwagi. Złapała się na tym, że chciała mu odpowiedzieć, aby nie zrzędził. Otarła łzę, która wypłynęła z kącika oka i wpełzła szybko do kryjówki. Zasnęła w okamgnieniu.



Wschodzące słońce zdążyło osuszyć poranną rosę. Pomimo wczesnego poranka było naprawdę ciepło. Obłoki na niebie płynęły tak leniwe, że nawet uważny obserwator nie mógł dostrzec ich ruchu. Jedynie od ciągłego patrzenia oczy zachodziły łzami. Łąka pachniała wiosną. Skowronek ćwierkał niczym szklany dzwoneczek, a wtórowały mu koniki polne. Po żdźbłe trawy pełzła kolorowa, włochata gąsienica. Dziewiętnastolatka leżała na brzuchu i obserwowała ją uważnie. Odgarnęła z twarzy niesforny kosmyk czarnych włosów. Słońce mile ogrzewało ją przez lnianą koszulę.

Nagle ziemia zaczęła drżeć. Najpierw ledwie wyczuwalnie, potem nasilające drżenie wzmocnił grzmot potężnych silników. Zza wzniesienia na polną drogę wtoczyły się czołgi. Metaliczny zgrzyt ich gąsienic zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Wdzierał się w głowę aż do mózgu. Tumany kurzu wzniesione z polnej drogi przysłoniły zieleń trawy, błękit nieba zakrył dym, a letni zapach łąki zastąpił smród spalin.

Kolumna niszczycielskich tygrysów formacji SS defilowała dumnie. W wieży drugiego czołgu siedział dowódca. Spoglądał na mapnik i omiatał okolicę przez lornetkę. Jego pojazd podązał lekko z boku, unikając wstęgi kurzu za pierwszą maszyną.

Dziewczyna ponownie odgarnęła niesforny kosmyk włosów, a palcem wskazującym delikatnie wcisnęła spust.

Odgłosy przemieszczającej się kolumny pancernej, stalowych gigantów, zagłuszyły całkowicie wystrzał. Dowódca jak jesienny liść opadł na pancierz. Dopiero po chwili

reszta zorientowała się w dramatycznej sytuacji. Załogi pozamykały wieże. Rozjechały się w tyralierę. Z wozów jadących za czołgami wysypała się piechota.

Snajperka wężowym ruchem wczołgała się tyłem do swojej mikroskopijnej kryjówki. Jedyne, co ją mogło teraz zdradzić, to zbyt szybki ruch. Oczy wszystkich Niemców wyszukiwały miejsca skąd mógł wylecieć pocisk. Strzały oddawane na ślepo miały ją sprowokować albo wystraszyć. Nie wywołały jednak żadnego pożądanego efektu. Czarnowłosa zasłoniła swoją ziemiankę kolczastym wiechciem tarniny. Serce biło jej jak oszalałe, piechota była coraz bliżej.

Wprawne oko mogłoby ją dostrzec, lecz żołnierze biegli pod presją. Każdy krzaczek czy kępka trawy zdawała się celować do nich z broni ze szklanym obiektywem. Strach chwycił ich za gardło nie mniej niż snajperkę, zwłaszcza że ich dowódca w stopniu kapitana schował się za ich plecami i biegł przesadnie przygięty do ziemi, sprawiając wrażenie kalekiego.

Jeden z piechurów przeszedł tak blisko, że wyciągniętą ręką Zosia mogłaby chwycić go za nogę. Dziewczyna przestała oddychać. Zamknęła oczy i zaczęła sobie przypominać swoje szczęśliwe chwile z dzieciństwa. Wspominała obrazy, kiedy przy świątecznym stole składała życzenia rodzicom. Ojciec w świątecznej koszuli, z równo przyciętym wąsem, uśmiechał się ciepło i radośnie. Atmosfera świąt biła blaskiem i radością. Strach i mętlik w jej głowie zastąpiły niezapomniane wrażenia z rodzinnego domu. Uczucie ciepła i spokoju zastąpiło panikę jej serca. Złość i nienawiść do wrogiego wojska wróciła ze zdwojoną siłą.

Oddział wracał z rekonesansu. Żołnierze odetchnęli. Z opuszczoną bronią lub przewieszoną przez ramię szli powolnym krokiem do pojazdów. Czołgi na powrót pootwierały włazy. Dowódca piechoty wracał rozluźniony. Już nie przypominał garbatego kaleki sprzed paru kwadransów. Żartował z podkomendnymi. Wymachiwał parabelką, jakby przed chwilą sam pokonał oddział fizylierów. Po panicznym strachu nie zostało nic. Jego donośny głos przebiegał się nawet przez bas czołgowych silników.

Czarnowłosa pobudzona jego ignorancją złożyła się do strzału. Nie wycelowała jednak w dowódcę, lecz w panczer czołgu, który mijał.

– Bang!

Pocisk jak bila uderzająca w krawędź stołu odbił się od gładkiej stali i uderzył w tułów roześmianego kapitana. Pocisk karabinowy często przechodzi przez ciało, wyładowując swoją energię gdzieś daleko w terenie. Opływowy kształt pocisku pozostawia nieraz estetyczną wręcz ranę, która po odkażeniu goi się błyskawicznie. Trafienie rykoszetem jest tragiczne w skutkach dla postrzelonego. Odbity od twardej powierzchni pocisk nabiera nieregularnych kształtów, pozostawia drobne odłamki oraz okropną ranę. Całą energię oddaje uderzonemu ciału, więc człowiek ugodzony rykoszetem dużego kalibru nie ma szansy na przeżycie. Umiera najczęściej w męczarniach.

Nieziemskie wycie rannego dowódcy zmroziło krew wszystkim w kolumnie. Wojsko w popłochu wskakiwało na wozy, czołgiści pozamykali włazy. Drugi celny strzał snajpera rozgonił regularne wojsko jak stado płochliwych gęsi, które teraz niesione

wiatrem odjeżdżało z nieosłoniętego terenu, gęgając ze strachu. Kawalkada otworzyła na ślepo ogień ze wszystkich możliwych luf. Pozbawieni dowódców Niemcy opuszczali plac boju w panice i bezsilnej złości.

Pociski rwały ziemię wszędzie dookoła. W swej ziemiance dziewczyna niczym lis mogła śmiać się z myśliwych. Jej nastrój jednak był daleki od śmiechu. Ta zemsta nie dawała satysfakcji, ani nie poprawiała nastroju. Miała nerwowe dreszcze i skurcze żołądka. Obraz z celownika optycznego przed strzałem przedstawia żywy, często uśmiechnięty cel. Tylko pociągnięcie spustu dzieli go od innej perspektywy. Strzał! Obraz w lunecie niknie. Broń poderwana podrzutem wraca na miejsce, ale w lunecie widoczne jest zupełnie coś innego. Cel drze obcasami trawę w pośmiertnych konwulsjach albo skręca się w bezradności, gdy strzał nie był czysty. Zawsze jednak świat w obiektywie po jej strzale jest odmienny od tego przed. Zawsze ma świadomość, że to ona zmieniła ten świat...



– Już po naszej Zośce! – zakrzyknął zwiadowca wchodzący do ziemianki dowódcy.

Był tak zdenerwowany, że nawet nie zasalutował.

– Co to znaczy? Opowiadaj. – Dowódca odłożył pióro i wstał, aby podejść do zwiadowcy.

– Czołgi jechały tą drugą drogą, tak jak pan przewidział. Pomimo że była dłuższa, znaleźli się w miejscu zasadzki już przed południem. Dobrze, że dziewczyna była tam wcześniej. Patrzyłem na wszystko z daleka, więc widziałem niewiele, chociaż moja lornetka ma mocne szkła. – Zwiadowcą nagle targnęły emocje. Wykrzywiła mu się twarz, a z oczu pociekła łza.

– Uspokój się i opowiadaj.

Podszedł do kufra, z którego wyciągnął kubki i wielką szklaną butelkę. Nalał zwiadowcy pół kubka wody rozmownej i poczekał aż wypije. Sobie nalał również, lecz tylko odrobinę.

– Gdy wyjechali na przedpole, Zośka zajebała dowódcę. Znacząca zastrzeliła – poprawił się szybko. – Klapnęła na pancierz regulaminowo. Znacząca musiał dostać śmiertelnie. Z wozów transportowych wysypała się piechota. Mieli na nią naostrzone zęby. Biegali jak psy spuszczone z łańcucha. Musiała zająć... zastrzelić kogoś naprawdę poważnego. Dziewczyna musiała mieć piekielnie dobre maskowanie, bo piechota przeszła obok jej kryjówek wzdłuż i w szersz ze dwa razy i nic nie znaleźli. Już sam myślałem, że jej tam nie ma.

Zwiadowca przerwał i wymownie spojrzął na pusty kubek. Dowódca nalał jeszcze po jednym i teraz sam wymownie spojrzął na żołnierza, aby kontynuował opowieść.

– Wtedy Zośka popełniła błąd. Strzeliła drugi raz. Musiała zająć... znacząca zastrzelić znowu kogoś z pagonami, ponieważ wtedy rzucili na nią wszystko! Ziemia po prostu zniknęła w jednym nieustannym wybuchu. Walili do niej ze wszystkiego, co mieli. To nie był atak! Oni odjeżdżali w panice, a padły tylko dwa strzały!

– Dwa, ale jak znaczące i skuteczne.

Żołnierz smętnie popatrzył na pusty kubek, ale dowódca wymownie schował butelkę za siebie.

– Już po naszej Zośce. Mówię wam! Nie została ani jedna kępa trawy. Łąka wyglądała jak kartoflisko po wykopkach. Już po Zosi... – Płakał głośno jak dziecko.

Dowódca zmiękł i nalał jeszcze odrobinę do kubków.

– Też słyszeliśmy kanonadę – rzekł dowódca. – Myślałem jednak, że to nasze armaty tłuką fryców, a to jedna baba tak im za skórę zalazła. Musimy tam pójść o świcie. Może znajdziemy jej snajperski karabin.

Nagle przed ziemianką dowódcy rozległy się głośne rozmowy. Hałas narastał i dowódca postanowił wyjrzeć na zewnątrz.

Pod drzewem nieopodal siedziała jakaś wysmarowana ziemią postać. Otoczyła ją grupka żołnierzy dyskutująca podniesionymi głosami. Postać trzymała w rękach swój owinięty w maskujące elementy karabin. Tylko po tym karabinie mógł poznać postać przypominającą raczej podziemnego trolla niż żołnierza.

– Zośka?! A już mieliśmy iść szukać twojego karabinu! – zakrzyknął uradowany dowódca.

– Nic nie rozumiem, w głowie mi huczy, a w uszach piszczy... Mojego karabinu? Przecież go nie zgubiłam!



Zośka dostała książeczkę snajperską, do której oficjalnie wpisano cztery potwierdzone trafienia. To był niemały wyczyn. Żadna szkoła snajperska nie przygotowałaby jej do walki w taki sposób, jak zrobił to ojciec. Mawiał zawsze, że lepiej być strzelcem na roli niż rolnikiem na wojnie. Miał rację, bo wojna przyszła tak niespodziewanie i nagle musiała zastosować wszystkie swoje wojenne umiejętności. Te umiejętności dawały jeszcze coś. Była rasowym żołnierzem. Docenił to natychmiast dowódca, a wśród towarzyszy cieszyła się szacunkiem i poważaniem. Miała swoją ziemiankę i swoją przycę, a także od kucharza dostawała inną porcję. Nie obnosiła się jednak ze swoimi przywilejami. Chodziła ze wszystkimi na musztrę i ćwiczenia fizyczne. Razem ze wszystkimi czyściła broń. Taka postawa sprawiła, że wszyscy chętnie wybierali Zośkę jako wsparcie akcji albo zwiadu. Była wzorowym kompanem.

Teraz miała pomóc w budowie przeprawy przez rzekę. Drużyna, do której ją przydzielili, składała się z samych suchów. Młodzi, dobrze zbudowani chłopcy byli obcy z frontem i wojną. Pełni animuszu szli dziarsko wytyczoną drogą.

– Już nie mogę się doczekać fryców, kiedy znowu zobaczą te ich przekłete hełmy, zrobię moją pepeszą taką jatkę... – przechwalał się blondyn o największej muskulaturze.

– Ja to ich wszystkich bagnietem będę riezat! Szkoda na nich kuli – wymamrotał drugi, przypalając skręta.

Zośka szła jak zwykle z tyłu. Trzymała się nieraz w odległości kilkudziesięciu metrów. Nawet stąd słyszała ich przechwałki, a dym papierosowy czuła aż nadto wyraźnie. Nagle z odległych o kilkaset metrów krzaków została posłana w ich kierunku seria z karabinu.

Wojsko padło na płask w bezruchu. Zośka zdążyła tylko zauważyć błysk, kiedy rykoszetujące pociski ją także przyłożyły do ziemi. Upadając, ochroniła karabin i jego cenną lunetę. Karabin MG był teraz cichy, ale ta cisza nie wróżyła nic dobrego. Jej kompani byli uziemieni. Tylko nerwowość niemieckiego strzelca uratowała im życie, gdyby podpuścił ich jeszcze pięćdziesiąt metrów, byłoby po nich.

Zaczęła się wycofywać, aby móc obejść stanowisko karabinu maszynowego od tyłu albo innej dogodnej pozycji. MG odzywał się krótkimi, zaczepnymi seriami, gdyż strzelec mierzył w jej towarzyszy na otwartym terenie. Była już dobre kilkanaście metrów w przódzie, gdy z oddali usłyszała ryk silników.

To oddział zmotoryzowany SS, zaalarmowany przez radio albo strzałami czujki, ruszył do ataku. Pierwsze jechały motocykle z koszami wyposażonymi w karabiny maszynowe. Za nimi podążał kołowy wóz pancerny z lekkim działkiem na wieży.

Nie było czasu na zastanawianie. Czarnowłosa z niewygodnej pozycji oddała pierwszy strzał.

Trafiła!

Kierujący motocyklem skręcił gwałtownie, a jego motocykl koziółkował. Co spowodowało, że kierowca drugiego motocyklu stracił panowanie nad pojazdem. Tankietka, która miała słabą zwrotność, wpadła na przewrócone motory. Zrobił się zator niemożliwy do przejechania dla innych pojazdów.

Dziewczyna otworzyła na ślepo ogień w kierunku gniazda MG.

– Uciekać! – krzyknęła do swoich, gdy usłyszała darcie metalu przez swoje pociski.

Oddział wycofał się bez strat, ale na plecach ciągle czuli pogoń. Dopiero teraz uzmysłowili sobie, że są w kotlinie bez wyjścia. Drogę przed nimi odcinała rzeka, przez którą mieli przetrzucić most.

Dziewczyna znajdowała się znacznie bliżej ostrzeliwującego się zmotoryzowanego oddziału, przez co była w kiepskiej sytuacji. Pociski z karabinowej amunicji odbijały się od kamieni bardzo blisko jej pozycji.

– K... kwiatek! – Zakłęła pod nosem, bo coraz więcej luf szukało dziury w jej osłonie. – Gdyby mieli moździerz, już byłoby po mnie. Zaraz któryś się podczołga i obrzuci mnie granatami.

Postanowiła działać natychmiast. Wyczołgała się ze swojej bezpiecznej jak na razie kryjówki i pomiędzy kamieniami skalnego rumowiska oddalała się od atakujących. Nie czołgała się jednak do swoich. Obrwała całkiem inny kierunek.

Zośka przemieszczała się jak wąż, szybko i bezszelestnie. Wreszcie dotarła do zamaskowanej i umocnionej pozycji CKM-u, który ostrzelała kilkanaście minut temu.

Ostrzelała skutecznie, bo karabin umilkł, a teraz zobaczyła tego przyczynę. Ładowniczy szarpał się z zamkiem karabinu, próbując go odblokować. Celowniczy zaś leżał z boku i rękoma tamował krew płynącą z całej twarzy. To pocisk Zośki trafił

w karabin, rykoszetował i porozrywał twarz strzelca. Dziewczyna skoczyła do środka i z wymachu uderzyła kolbą karabinu w potylicę ładowniczego. Ten zeszytniał. Wyprostowały mu się palce trzymające karabin. Potem sflaczał, a jego głowa z hełmem uderzyła dźwięcznie o obudowę zamka.

Czarnowłosa nieczęsto poprawiała uderzenie. Teraz dla pewności zrobiła wyjątek, po czym odrzuciła zwłoki i niesprawny karabin w bok, a na jego miejsce położyła swojego pupilka z lunetą.

Teraz mogła przyjrzeć się drugiemu Niemcowi. Jego lewe oko wraz z kością policzkową wisiało na strzępku skóry, a nos nienaturalnie wykrzywiony spuchł i mocno krwawił. Żołnierz w wielkim szoku próbował włożyć sobie oko na miejsce, ale wyrwane kości policzkowe nie dawały dla niego oparcia.

– Połóż się na plecach – powiedziała po niemiecku. – Połóż się, to zrobię ci opatrunek. – Brzmiało to niezbyt gramatycznie dla Niemca, jednak zrozumiał i potulnie położył się na wznak. Wskazał ręką na kieszeń, gdzie nosił opatrunek osobisty.

– Zakryj sobie prawe oko, będzie mniej bolało – rzuciła do Niemca, a gdy ten wykonał polecenie, jednym cięciem finki odcięła wiszący ochłap z jego twarzy.

– Aj! Ssyy! – Zakrzyknął i odkrył rękę... – Zauważył, jak jego drugie oko leciało w krzaki.

– Nie będzie już z niego pożytku – oznajmiła stanowczo.

Zośka bandażowała głowę i mówiła do rannego ciepło, uspokajająco. Najpierw zapytała o inne rany i uszkodzenia, potem o rodzinę. Następnie płynnie zapytała o jego oddział. Siłę i miejsce kwaterunku. Niemiec odpowiedział szczerze i ze szczegółami.

Czarnowłosa skończyła opatrunek i wyjrzała na przedpole. Jej zwiad oszczędnie odgryzał się niemieckim karabinom. Kilku Niemców z drągami uschłych świerków mocowało się z przewróconą tankietką. Zośka wpełzła do okopu i spojrzała na strzelca.

– Idź do swoich. Nie możesz tu ze mną zostać. Podnieś ręce do góry i idź! Wypuszczam jeńca. Jest ranny. Nie strzelajcie do niego! – krzyknęła do swoich i pomogła Niemcowi dźwignąć się na nogi.

Ranny obejrzał się z niedowierzaniem i poszedł. Bał się strzału w plecy, lecz w połowie drogi dostał strzał od swoich. SS nie uznawało poddawania się i uległości. Dowódca, widząc swojego żołnierza z podniesionymi rękoma, wyrwał podkomendnemu karabin i wystrzelił w jego pierś. Zośka widziała to wszystko w lunecie i nie mogła oprzeć się pokusie, aby także strzelić.

Trafiła w wyprostowaną sylwetkę kata. Cel był za prosty, aby spudłować. Niemieckie lufy zamilkły. Strach i konsternacja na moment zagościły w szeregach SS. Zośka to widziała.

– Znajdźcie sobie dogodne pozycje. Szybko, póki jeszcze się nie otrząsnęli! – krzyknęła do swoich.

Patrzyła uważnie po pozycjach wroga i była pełna podziwu, jak szybko wojsko znalazło nowego dowódcę i wróciło do organizacji ataku. Tankietka, którą jakimś cudem Niemcy postawili na koła, otworzyła ogień z działka.

– Przydałby się chociaż moździerz! – krzyknął muskularny blondyn, szamocząc się z zamkiem swojej pepeszy, w którym utkwił przekoszony nabój.

– Albo odrobina oleju w głowie – burknęła pod nosem dziewczyna. – Jego ego zajmuje całą przestrzeń mózgowca.

– To nie może być prawda! – krzyczał rozwścieczony i zrezygnowany dowódca grupy szturmowej SS.

Rwąca rzeką odpływał właśnie pień potężnego świerka, który przed chwilą posłużył wrogom za most. Jeszcze przed dwoma kwadransami Rosjanie byli wzięci w pułapkę. Strome zbocza skał uniemożliwiały ucieczkę na boki. Za sobą mieli rwąca rzekę płynącą kaskadami wyglądającą jak jakaś mityczna kipiel. Od przodu dociskało ich wielokrotnie liczniejsze i lepiej wyposażone wojsko niemieckie.

To znowu Zośka wypatrzyła jedyny ratunek. Za załosem skalnym rósł świerk, który zapragnął dotrzeć do światła słonecznego i wyrósł niezwykle wysoki. Zośka przyciągnęła do siebie dwóch najbliższych żołnierzy.

– Widzicie to drzewo? – Wskazała palcem na ciemny wierzchołek wystający z nad wapiennych skał.

Kiwnęli głowami.

– Piłujcie go nisko, aby starczył na następny brzeg. Zróbcie to szybko, bo nie wiem, jak długo uda nam się powstrzymać atak.

Ostatnie zdanie powiedziała do siebie. Leżała, celując do niewiele wystającego hełmu. Strzeliła. Wiedziała, że od tej powierzchni pocisk odbije się jak piłka. Jednak dźwięk uderzonego metalu i celne trafienie mogą wywołać panikę. Strzeliła jeszcze tylko raz w jakiś fragment wystającego buta, gdy usłyszała łoskot walącego się pnia.

Dowódca zwiadu szybko wysyłał ludzi na prowizoryczny most. Sam został z Zośką i ostrzeliwali co odważniejsze głowy wyglądające zza skał. Nagle ruszyła tankietka. Strzelała na ślepo, ale dawała schronienie dla biegnących za nią żołnierzy.

– Wycofujemy się! – krzyknął dowódca i klepnął dziewczynę w ramię.

Czołgali się jak węże. Szybko i płasko przy ziemi. Pociski z pistoletów maszynowych padały coraz bliżej nich. Zośka nie wytrzymała napięcia i poderwała się do biegu. Za nią ruszył dowódca. To była dobra decyzja, ponieważ Niemcy znajdowali się już o sto metrów od osłaniającej ich przeprawę skały. Zwiadowcy w tym czasie zdążyli wyciąć w świerku najbardziej przeszkadzające gałęzie. Teraz Zośka i dowódca przez pień praktycznie przebiegli.

Wszyscy razem chwycili czubek drzewa i wspólnymi siłami wrzucili do wody. Prąd rwącej rzeki zrobił resztę. Zabrał drzewo daleko od miejsca akcji. Byli wolni!

Dowódca zarządził natychmiastową ucieczkę w góry. Zośka osłaniała ich odwrót i zostawiła po sobie niezapomniane wrażenie.

Soldaci szli w deszczu, smagani zimnym wiatrem, ale ich twarze były uśmiechnięte i radosne. Co chwila zmieniała się dwójka niosących szczupłą, czarnowłosą dziewczynę. Nieśli ją jako swoją wybawczynię. Ścigani przez doborowy, zmotoryzowany oddział SS nie mieli żadnych szans na potyczkę z kilkakrotnie silniejszym przeciwnikiem. Wyrwali się z kotła dzięki pomysłowej i bystrej dziewczynie.

Gdy szli pod górę, znaleźli skalistą pieczarę, w której rozpalili ognisko i upiekli nad nim grzanki z chleba. Suszyli ubrania i żartowali, dopóki nie odezwała się Zofia.

– Nad ranem wracamy. Zabijemy faszystów, a potem wybudujemy most dla przeprawy naszych wojsk. – Zapadło milczenie, które przerwał najwyższy stopniem Misza. Był wzburzony i zaskoczony.

– Wrócimy, zabijemy i wybudujemy. Ty chyba nie wiesz, co mówisz? Przed chwilą o mało wszyscy nie polegliśmy i tylko cudem udało ci się nas uratować. Teraz pomieszało ci rozum! Chcesz wracać! Jak? Jak chcesz budować, skoro zostaliśmy wykryci, a plan zakładał potajemne wybudowanie przeprawy?! Nie zezwalam na taką akcję. Idziemy przez góry do naszej jednostki i tam podejmujemy dalszą walkę.

– Jak możesz tak mówić? Nie chcesz wykonać rozkazu? Żołnierz jest od tego, aby walczyć i zginąć, a nie ze strachu przed śmiercią wymyślać powody przyszłej porażki. Ja nie dopuszczam nawet myśli o porażce. Germańcy dzisiaj widzą w nas uciekającego zająca. To bardzo dobrze, ponieważ wykorzystamy to i zaatakujemy. Zaatakujemy w najmniej spodziewanym momencie. Właśnie w deszczu i na wietrze, gdzie wszystkie odgłosy będzie tłumić nawałnica. – Wstała i przeładowała swój karabin z lunetą.

Zapadła cisza, która świadczyła o tym, że odwaga młodej snajperki zaskoczyła wszystkich. Niedawny oponent wręcz się zawstydził, że to nie on dał rozkaz do ataku. Teraz to dziewczyna będzie przewodzić oddziałowi mężczyzn i służyć im przykładem odwagi.

– Ale jesteś odważna, dziewczyno. Myśleliśmy podobnie jak ty, lecz chcieliśmy cię ochronić. – Potarł czoło onieśmielony i z lekka zdenerwowany.

Atak powiódł się niespodziewanie łatwo. SS po wieczornej pogoni spało pewne, że od uciekinierów nic im nie grozi. W deszczu i nawałnicy oddział zwiadowców bezszelestnie likwidował wrogów bagnietami. Zaskoczenie było tak duże, że ubezpieczający karabin snajperski oddał tylko jeden strzał. Na wojnie liczy się spryt, zaskoczenie i szczęście.

Szczęście wyraźnie sprzyjało Zosi. Widzieli to wszyscy w oddziale. Znowu nieśli ją na rękach.



Zoska wraz z drużyną sowieckich zwiadowców ścięła kilka świerków oraz sosen z najbliższej okolicy. Ociosane z kory i gałęzi leżały równo wzdłuż brzegu rzeki. Dziewczyna siekierką zaczęła strugać kołki do klinowania czopów. Takie kołki uczniowie cieśli strugali godzinami, posługując się zakrzywionymi ostrymi nożami. Jej ojciec jednak był przeciwny marnotrawieniu czasu ucznia. Dał swojej uczennicy do ręki siekierkę. Była mała, ale i tak za duża jak na jej wiek.

Dzisiaj jej pracę podziwiali zebrani w półkole zwiadowcy. Patrzyli i nie odrywali wzroku. Siekierka pracowała tak szybko, że wzrok nie nadążał za jej ruchem. Zlewała się w jedną smugę. Druga ręka obracała klin, a spod ostrza wyskakiwały strużyny jak

łuski z karabinu maszynowego. Nagle klin upadał na ziemię. Ręka sięgała po drugi kolec, a siekierka natychmiast rozpoczęła swój szaleńczy taniec.

– Klik! – Na ziemię upadł następny klin. – Trrr! – Siekierka zastukała jak dzięcioł. – Klik! – Klin...

– Jak ona to robi? – Pokręcił głową dowódca zwiadu.

– Klik! Trrr! Klik!

– Koniec. Bierzemy się za montaż. – Dmuchnęła w kosmyk włosów i się wyprostowała.

– Nie skończyłem jeszcze papierosa! – poskarżył się kapral leżący na nagrzanym słońcem kamieniu.

– O nie! Ja nie palę, więc mam pracować za wszystkich? – Czarnowłosa udała zdenerwowanie.

– Tak! Taka niepisana zasada. Kto nie pali, nie odpoczywa. – Kapral uradowany, że wychodzi mu dowcip, odwrócił się do towarzyszy po akceptację.

– Tak! Tak! – mruknął ten i ów.

Dmuchnęła ponownie w kosmyk, który i tak powrócił do oka i nosa. Wsadziła kliny do kieszeni na udzie i schyliła się po bal. Pień drzewa był gruby, długi i świeży, więc diabelnie ciężki. Uniosła jeden jego koniec.

– Uff! – Sapnął jeden z żołnierzy.

Zośka podrzuciła go wyżej i podeszła bliżej środka ciężkości.

– Ooo! – westchnął drugi, gdy czarnowłosa dźwignęła na ramieniu bal.

Drobnymi krokami po kanciastych kamieniach rozpoczęła marsz w nurt rzeki. Stanęła w rozkroku i wraz z wydechem niczym sztangista unoszący ciężar z półprzysiadu założyła kłodę na podpory.

– Łuuup!

Dwa kliny nie wiadomo kiedy wskoczyły na miejsce. Białe siekierką wyciągniętą zza pasa. Wyszła na brzeg. Mężczyźni stali oniemiały. Schyliła się po drugi drąg.

– Nie! Nie! – krzyčeli i puścili się biegiem, aby pomóc, ale następny bal był już w powietrzu. Szczupła i gibka kobietka dźwigała go wręcz z gracją. Mięśnie grały pod jej koszulą, a żyły wypełniły się krwią. Wyglądała jak postać z mitycznej powieści o herosach. Szła w zimny nurt wody jakby po trotuarze z torebką na zakupy.

Chłopcy chcieli chwycić następne bale, ale nie umieli tego zrobić. Ciężar okazał się zbyt duży i nieporęczny. Nie umieli ich dźwignąć. Snajperka w tym czasie zaklinowała drugie przęsło. Wyszła z wody i klepnęła w plecy czerwonego z wysiłku młodzieńca.

– Zapal papieroska i odpocznij. Chyba dam sobie radę bez ciebie.

Chłopakom podskoczyło ciśnienie. Ambicja dodała sił. Następne elementy mostku wskakiwały na miejsce.

– Sasza – zawołał blondyna dowódca zwiadu – pójdiesz po naszych. Przeprawa na drugą stronę będzie zaraz ukończona. Niech się zbierają i przyjeżdżają.

Do wieczora Zośka wraz z pomocnikami ukończyła prosty, prymitywny most. Zadbała o estetykę elementów, poucinała niepotrzebne końcówki drągów. Przed świtem

przybyło sowieckie wojsko. Ciężarówki stanęły w szeregu, czekając na rozkaz przeprawy.

– Wytrzyma to dziwne coś? – zapytał dowódca zaopatrzenia, który przybył wraz ze swoim transportem.

Most był prymitywnej konstrukcji o krzyżakowych podporach. Szybki do postawienia, oszczędny w materiałach. Ta oszczędność nie budziła zaufania u dowódcy. Krzyżakowe podpory mają jednak taką zaletę, że im większy ciężar na nie wjeżdża tym mocniej się klinują, a dzięki temu gwarantują lepsze rozłożenie obciążeń.

– Ja go stawiałam i ja za niego ręczę głową! – krzyknęła czarnowłosa, wskazując do wody pod most, jak to robi prawdziwy konstruktor. Odgarnęła z twarzy całe stado niesfornych włosów. – Wjeżdżać! Na co czekacie?! – Major dał ręką znak, aby ruszać.

Na most od razu wjechały wozy z zaopatrzeniem. Podpory zazgrzytały groźnie pod kołami. Pojazdy toczyły się na drugi brzeg. Konstrukcja wytrzymała obciążenie załadowanych samochodów. Zośka patrzyła z dumą do góry i założyła swoje niesforne włosy za ucho.

– Jak zdążyliście zbudować taki most w trzy dni? – dopytywał major zaopatrzenia, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Nie w trzy. W jeden. Przedwczoraj walczyliśmy z oddziałem SS. Gonili nas na motocyklach. Ostrzeliwali z tankietki, jednak udało nam się uciec. Potem w nocy podkradliśmy się do ich obozu. Zabiliśmy ponad dwudziestu wrogów. Oto ich książeczki i naszywki.

– W ośmiu? – Wybałuszył oczy major. – Z jakimi stratami?

– Jednego naboju. – Z uśmiechem odparł zwiadowca.

– Będzie dla was medal! – Major poklepał po ramieniu dowódcę zwiadu.

– Nie dla mnie, towarzyszu majorze. Dziewczyna, ta snajperka, ona uratowała nas przed frycami. Potem zaplanowała akcję odwetową. Zastrzeliła najgroźniejszego szwaba, wartownika, który wypadł na nas nie wiadomo skąd z pistoletem maszynowym, a potem wybudowała ten most!

– Dziewczyna? Ta chuda?

– Strzela po ciemku, rąbie siekierą i jest silna jak koń.

– A ma jakieś wady? – dopytywał dowódca.

– Jest małowówna i zarazem pyskata. Nie wiem, jak to możliwe?

– Baby... – podsumował major. – Też dostanie medal, ale to ona straciła ten nabój? – Zaśmiał się rubasznie.



– Przedstawiłem ciebie i dziewczynę do odznaczenia. Napisałem raport o waszych wyczynach i dokonaniach. Myślę, że długo nie będę czekał na odpowiedź. – Major był dumny ze swojego oddziału zwiadowców. Nie każdy może pochwalić się na froncie oddziałem przejawiającym inicjatywę. – Sierzancie, myślę, że dostaniecie awans. Dostałem raport ze sztabu. Zdobyliśmy następne umocnione pozycje wroga!

Kolejnego już dnia ze specjalnym oddziałem ochronnym dotarł na miejsce przeprawy pułkownik ze sztabu.

– Towarzyszu majorze, mam dla waszych żołnierzy medale oraz nagrody specjalne. – Był jowialny i tryskał dobrym humorem.

– Ilu żołnierzy odznaczyło dowództwo? Kogo mam zawołać? – Major był ciekawy awansów.

– Sierżant i kapral zwiadu dostają medale za odwagę i awans o stopień wyżej. Tak między nami dostaną też po litrze spirytusu, ale wieczorem. Po oficjalnym odznaczeniu. Wy, majorze, dostaliście odznaczenie pułkowe, które po wojnie będzie uprawniać do zwiększenia żołdu. Drużyna zwiadu dostanie po cztery dni urlopu i listy pochwalne od rodziny. Nie pamiętam takich odznaczeń od początku wojny.

– A dziewczyna?

Zapadło milczenie. Pułkownik nabrał powietrza.

– To prawdopodobnie Polka – zaczął wreszcie. – Wiecie, kim są Polacy? Ona pochodzi gdzieś ze wsi. Trudno to teraz jednoznacznie ustalić, a zyciorys ma niepełny. Gdzie na przykład nauczyła się tak strzelać? Zawsze przy sobie nosi wielki fiński nóż. Podczas wojny to nie dziwi, ale gdzie nauczyła się tak nim posługiwać? Podejrzewamy, że może być nawet szpiegiem lub dywersantem. – Ostatnie zdania wypowiedział niepewnie i z pewnym oporem, ale te słowa padły.

– Jak wszystkich żołnierzy tak walczących będziemy uważać za wrogów i dywersantów, to walczyć będą same niedojdy! – Major aż poczerwieniał. Przez ostatnie kilka tygodni poznał bliżej tę dziewczynę i bardzo ją polubił.

– Wiem, że macie rację, ale wszystko musimy mieć na względzie. Dopóki nie ma jasnego zyciorysu, dopóty nie dostanie medału. Damy jej list pochwalny. Przygotowałem też dla niej podarunek. To w końcu gość w naszych szeregach. Niech nie myśli, że jej nie doceniamy. Mam dla niej przepiękny karabin Tokariewa z sześciokrotną, wielką lunetą i co ważne z dwiema blaszankami „celewych” nabo².

– Towarzyszu pułkowniku, jak żołnierze dowiedzą się, że tylko oni zostali odznaczeni, a ona nie, to nie wiem, co się stanie. Mam przeczucie, że są silnie, emocjonalnie związani z tą dziewczyną. Uratowała ich od pewnej śmierci! Myślę, że coś powinniśmy zrobić, aby uratować honor naszej armii wobec tej dziewczyny.

– Jak tak się sprawy mają i ręczycie za nią wszyscy, to mam jeszcze coś. Na południu jest jeszcze trudniej wojować. Tam są jeszcze większe góry i jeszcze większe rzeki. Potrzebują tam fachowców od mostów. Dostanie od nas przeniesienie do oddziałów górskich jako wyróżnienie i awans. Wyczytamy ją jako pierwszą do nagrody, a teraz majorze wypijmy stakana na zgodę. – Wyciągnął ze skórzanej torby wielki termos z wódką.



– Też mi nagroda... – prychała Zośka. – Tokariew? Teraz zamiast jednego karabinu mam dźwigać dwa? – rozmawiała ze zbrojmistrzem, który też patrzył na karabin jak na

padlinę.

– Co mam zrobić? To szybkostrzelna zabawka. Na froncie może się takie coś przydać nie raz.

Popatrzyła na niego spode łba.

– Mnie to mówisz? Wiesz, jakie to celne. Wolę z procy strzelać. Daj to jakiemuś nowemu, co się nie zna. Na wsparcie drużyny, kiedy nie będzie RKM-u. Ma mały odrzut. To jedyna jego zaleta. Może trafi ci się jakaś chudzina? – Dziewczyna zdecydowanie wręczyła karabin zbrojmistrzowi.

– Dobrze. Dam ci za niego tetetkę. Też z wytwórni Tokariewa. – Zaśmiał się stary zbrojmistrz. – I naboje do niej lepsze.

– Co to to nie, „celewych” nie oddam. – Cofnęła się lekko, jakby się bała, że złapie ją za mundur. – Zapomnij. Pasują do mojego mosina jak ulał! Teraz dopiero strzelam.

– Wyobrażam sobie. Na tysiąc metrów pewnie trafiasz. – Chciał zażartować zbrojmistrz.

– Bez wiatru tak. – Cicho odparła czarnowłosa.

Po plecach zbrojmistrza przeszły ciarki. Na taką odległość pocisk dolatuje do celu trzy sekundy przed dźwiękiem. To jak palec Boży. Padniesz zabity nie wiadomo kiedy, a dopiero po paru chwilach towarzysze dowiedzą się, że ktoś strzelał i z jakiego kierunku. Snajpera wtedy dawno nie będzie na miejscu. Zdaży się wycofać i zniknąć. Zbrojmistrz znał się na strzelaniu i wiedział, że strzał na kilometr to sztuka wyobraźni. Pocisk dolatuje do celu, który przez ten długi czas na pewno wykona jakiś ruch, a jeśli nawet nie, to obracająca się Ziemia, pod wpływem siły Coriolisa, zabierze cel sprzed linii celowania strzelca. Oddający strzały na kilometr snajperzy są fanatykami dokładności i precyzji. Poszukujący w sobie i w siłach natury zgodnych fal energetycznych dających nadnaturalną moc.

– Hm... może i ten Tokariew jest dla ciebie za słaby... Udowodniłaś przecież, że jesteś prawdziwym myśliwym.



Wzięła od zbrojmistrza swoją tetetkę, dwie paczki naboji i skórzaną pochwę na pasku. Mundur miała wyprany i wyprasowany, a chłopcy z jednostki uszyli jej zgrabny plecak na „babskie” drobiazgi. Wszyscy, łącznie z dowódcą i politrukiem, zęgnali Zosię, świadomi, że tracą parasol od kul niemieckich snajperów.

– Będę pamiętać o waszych radach i o was. Dobrze się z wami wszystkimi żyło, ale „służba nie drużba”, muszę jechać.

– Hura! – Zakrzyknął jej porucznik.

– Hura! Hura! Hura! – Zakrzyknęli wszyscy.

Zośka, jak to kobieta, rozplakała się na dobre i nie mogła powiedzieć już niczego. Wskoczyła szybko do szoferki. Do najbliższej stacji kolejowej dojechała pułkową ciężarówką. Podwiózł ją znajomy szofer. Pożegnał się z nią czule i na odjezdne dał w zawiniątku kilka kryształów cukru.

– To na osłode gorzkich chwil rozstania. – Pojechał dalej, zostawiając ją pod stacją.

Stała i patrzyła. Po raz kolejny traciła przyjaciół i ludzi, z którymi się żyła. Przez dziewiętnaście lat mieszkała w jednej wsi. Inne społeczności знаła tylko z opowiadań. Teraz kilometry nabijane na licznik liczyła tysiącami. Od ucieczki z rodzinnych stron praktycznie cały czas była w ruchu. Poznawała nowych ludzi, nowe miasta, a teraz miała zmienić nawet klimat. Włóczęga wywoływała w niej nieznaną strach albo raczej głęboki wewnętrzny niepokój. Do rodzinnych stron już na pewno nie wróci. Zresztą po co? Zostały tam tylko zgliszcza chaty i wspomnienia wywołujące spazmy płaczu. Nawet nie chciała tam wracać. Tęskniła do czasów pokoju. Na łyż już nie miała siły.

Przywykła? Z początku płakała codziennie. Potem okrzepla. Wszędzie dookoła widziała tylko śmierć i wyjątych z bólu rannych. Wstyd przyznać nawet przed samą sobą, że cierpienia innych łagodziły jej udręki. Wiedziała, że inni też są wyrwani z własnych domów. Od dzieci, rodziców, rodzeństwa. Widziała starszych ludzi płaczących jak ona za domem rodzinnym i nie czuła się taka samotna.

Teraz stała osamotniona nawet przez tych samotnych ludzi. Jej żal i tęsknota sięgnęły jeszcze niższego poziomu. Nie płakała, jednak w sercu czuła ogromną pustkę.



Podróże pociągami są piękne. Odpowiedzialność za trasę mają przecież szyny, które zawsze doprowadzą do celu. Tłoki lokomotywy miarowo sapią, a rytm muzyki podróży podtrzymują koła na łączeniach szyn. Orkiestrę uzupełniają perkusyjne odgłosy różnych dotykających się elementów wagonów. Jest dużo czasu na podziwianie krajobrazów i w zmieniającej się scenerii przeżywanie coraz nowszych wrażeń. Pewnego razu jakiś sztukas próbował seriami swoich kaemów dodać staccato do tej niecodziennej muzyki, ale w krainie gór i tuneli ochrona przeciwlotnicza nawet nie przeładowywała swoich działek.

Muzykę podróży uzupełniały prawdziwe instrumenty. Wśród podróżujących żołnierzy zebrali się tacy, co na ustnej harmonijce, akordeonie i kilku perkusyjnych eksperymentach potrafili w podróży stworzyć prawdziwą orkiestrę.

W wagonie Zofii zebrała się chyba elita frontowych muzyków. Odgarnięto ze środka wszystkie niepotrzebne rzeczy i teraz powstał tam parkiet taneczny. Jedyna tam dziewczyna cieszyła się nieustannym powodzeniem. W końcu zdjęła ciężkie buty i tańczyła na bosy. Jej ekscytacja tańcem zmieniła obraz świata. Zapomniała o wszystkich troskach. Czuła się jak w krainie luster. Krew inaczej krążyła w jej żyłach. Nie chciała przestawać i nie chciała, aby przestali grać. Nie wiedziała, z kim tańczyła i ile czasu. Właśnie ten czas zaczął płać figle. Była w innym wymiarze. Gdzieś, gdzie nie ma materii, jest tylko lekki z niczym niezwiązany duch radości. Przestrzeń wybuchła kolorami tęczy, a do uszu docierała tylko przepiękna melodia. W ustach zebrała się ślina. Chłopak, który z nią tańczył, także stracił kontakt z rzeczywistością i drewnianą podłogą.

Upadli w najdalszy kąt wagonu. Nie przeszkadzali nikomu, ani nikt nie przeszkadzał im. Jej prężne ciało przeżywało rozkosze i doznania zaćmiewające rozsądek. Popłynęła na fali doznań i uczuć, aż zasnęła w objęciach tancerza, który pewnie zaskoczony bystrym nurtem jej podniecenia także nie miał czasu na przemyślenia.

Podróż przeminęła jak jedno mrugnięcie powieki. Zośka przesiadła się do innego wagonu. Nie żałowała tego, co się stało i nawet tęskniła do tego uczucia. Miała jednak pewną blokadę przed kolejnym zbliżeniem. Jej mózg zwariował. Hormony wzniecały pożar, a obiekt uczuć znajdował się kilometry od niej. Teraz zapragnęła uczucia rozkoszy w objęciach Władimira, a krew mało nie rozsadziła jej żył.



W nowej jednostce przyjęli ją chłodno. W zasadzie miała udowodnić, że miejscowi saperzy są gównem warci. Była to niewdzięczna rola i nie ma co się dziwić, że wszyscy patrzyli na nią spode łba.

Właśnie wyznaczono zwiad, w którym miała obejrzeć swoje przyszłe zadanie. Dostała cywilne ubrania, więc wzięła ze sobą tylko fiński nóż.

Czołgali się pomiędzy skałami od kilkunastu minut. Major z plutonu dowodzenia i dwóch szeregowców dla ubezpieczenia. Wszyscy w polowych, piaskowych mundurach. Major mimo muskularnej sylwetki najbardziej opóźniał marsz. Jego strój przesiąkł potem, a przyśpieszony oddech słychać było na końcu szeregu. Skradanie pośród skał stanowiło nie lada wyzwanie. Podczas takiego czołgania biorą udział mięśnie na co dzień niepracujące i nierozwinięte dostatecznie. Jedynie dziewczyna nie zdradzała oznak zmęczenia. Przed zwiadem zapoznała się z mapą topograficzną terenu i teraz wysforowała się na czoło i nadawała mordercze tempo. Wybierała najlepszą drogę i usuwała przeszkody w postaci suchych gałęzi i luźnych kamieni, które mogły zdradzić zwiad przed wartownikami rozstawionymi w górach. Tak ostrożnie i cicho dotarli do punktu, z którego mogli obejrzeć kluczowy dla działań wojennych most.

Wysokie pylony kamiennego mostu sięgały do nieba. Ogromne, ociosane bloki skalne ustawione jeden na drugim przywodziły na myśl legendy o olbrzymach. Konstrukcja zdawała się wykonana nadludzka siłą i z nadludzka precyzją. Piękno, a zarazem monumentalizm zapierały dech w piersiach. Widać było także zęby czasu nadgryzające owo monstrum architektury. Krzewy i gdzieś tam małe drzewka wyrastały ze szczelin pomiędzy blokami skalnymi. Most nie był wykonany w czasach współczesnych! Łączył dwie góry oddzielone spienionym, górskim potokiem. Dzieło tak nienaturalne i kruche, a zarazem tak potrzebne. W skalistych górach wręcz nieodzowne.

Kontrola mostu dawała władzę. Władzę tak silną, jak silna była sama budowla. Po moście można przewieźć żywność, wszystko do codziennej egzystencji i broń. Kto miał most w górach, ten górami rządził.

– I co? Co o tym myślisz? – zapytał dowódca zwiadu, kiedy dziewczyna przyłożyła lornetkę do oczu.

– Nie do ruszenia. Mieli rację ci, co mówili o jego nadzwyczajnej konstrukcji. To lita skała połączona ze sobą nie zaprawą murarską, a prawami fizyki. Obrobione z niezwykłą precyzją bloki skalne wciśnięto i zaklinowano wzajemnie. – Zosia z lornetką przy oczach mówiła beznamiętnym głosem. – To tak, jakbyś chciał wysadzić tę górę.

– Góry też wysadzają. – Zaperzył się dowódca.

– Tak, ale potrzebują do tego górników z wiertłami, tunelami i ogromnymi ilościami trotylu. Do wysadzenia tego mostu bez wiertel i kucia musiałybyś zużyć kilkanaście ton trotylu. Czym je tam dostarczysz?

– Ale musimy go zburzyć! – Przez zaciśnięte zęby wycedził dowódca.

– Taaak. – Dziewczyna odłożyła lornetkę i obróciła twarz w jego kierunku. Jej duże oczy wpatrzyły się w oczy dowódcy. Jej kształtne, wilgotne usta lekko się uchyliły. – Taaak. Wszystko musicie zburzyć. Odkąd weszłam w dorosłe życie, tylko strzelam, podpalam i wysadzam. Pierwszy raz widzę na oczy taką piękną i niespotykaną konstrukcję i ją też muszę zniszczyć. Powiedz mi majorze, kiedy będziecie mieć dość? Gdzie jest kres waszych działań? Kiedy ci duzi chłopcy przestaną mordować i burzyć? Jaką cenę musi zapłacić ludzkość, aby ci, co o tym decydują, przyjęli na siebie odpowiedzialność?

– Tutaj w górach cena zwycięstwa może być mała. Tutaj tą ceną nie będzie życie ludzkie, a kamienny most. – Ze spokojem odparł major.

– Przy budowie tego mostu zginęło więcej ludzi, niż myślisz. – Także ze spokojem odparła dziewczyna. – Niemcy go specjalnie nie pilnują, znaczy się... Wiedzą, że jest nie do ruszenia.

– Tak myślałem, że dziewczyna nie da rady. – Powiedział dowódca i teraz on podniósł lornetkę do oczu.

Dziewczyna się uśmiechnęła. Był to piękny uśmiech młodej, ładnej dziewczyny, lśniący białymi zębami i wilgotnymi wargami. W tym uśmiechu zakochałby się każdy. Popatrzyła na niego jak na wyjątkowo obrzydliwego robala.

– Tak, takie jesteśmy. Słabe i nieporadne, a ten most to lita skała, gdyby był do wysadzenia, to Niemcy zrobiliby to dawno. Przeprowadzili wszystkie czołgi i wysadzili, a potem gwizdali na nasze ataki. Kamieniami strąciliby każdego wspinającego się po tym stoku. Wracajmy do obozu. Trzeba przemyśleć nowy plan.

– Tak, wracamy. To rozkaz!



Na stole rozłożono kolorową mapę wysokościową. Zaznaczone czerwienią szczyty gór prawie przylegały do niebieskich nitek potoków. Dwóch pułkowników i major ustawili na mapie papierosy symbolizujące wojska. Układ sił był niekorzystny ze względu na jeden element. Most. Od początku zakładano, że na tym moście opierać się będzie plan ataku Sowieców i wycofania wojsk niemieckich. Wąwozy górskie dawały ponadto inne

okazje do skrytych ataków i pułapek. Nie miałyby one większego wpływu na przebieg działań, gdyby osiągnęły most.

– Most! Most! Most! Jebał go pies! – Krzyknął łysy jak kolano pułkownik.

Jego palce zaciskały się na krawędzi stołu i przygryzał dolną wargę. Na co dzień spokojny i niepoddający się emocjom dzisiaj wręcz kipiał. Zawsze chodził w wyprasowanym i dobrze dopasowanym do postury mundurze. Jeśli można powiedzieć, że na niedźwiedzia można coś dopasować. Teraz jego brzuch rozchyłał poły marynarki tak, że widać było jego szelki trzymające spodnie.

– Może napakować myśliwca po uszy trotylem i rozbić o któreś przesło – zaproponował drugi pułkownik mający podobne tiki nerwowe. Dla odmiany przygryzał górną wargę.

– Próbowaliśmy konwencjonalnych metod. Tak naprawdę tylko osmoliliśmy skały, a gdybyśmy mieli samoloty, po prostu zbombardowalibyśmy niemieckie czołgi i nie byłoby kłopotu. W górach wojować jest ciężko, a łatwo się bronić. – Zastanowił się chwilę. – Co jeszcze mówiła ta dziewczyna? To wychowanka sapera, który podobno nauczył ją fachu, a ona jest w nim bezbłędna.

– To taka specyficzna dziewczyna. – Ze złością oznajmił major, który wrócił ze zwiadu, a jego złości dodawały jeszcze bólace od czołgania ręce.

– Przyprawdźcie ją do mnie. Już ja z nią pogadam. – Łysawy pułkownik o posturze niedźwiedzia zatarł ze złości olbrzymie dłonie.

Kwaterę główną urządzono tutaj w zamczku jakiegoś hrabiego. Budynek był mały, jednak urokliwy i wkomponowany w przepiękny górski krajobraz. Gdyby nie wojna, zapewne zadbane by o ogrody i całe obejście. W środku jednak panował wojskowy porządek i oprócz lokaja w liberii niczego nie brakowało. W głównej sali, gdzie odbywały się narady i na stole zawsze leżała aktualna mapa, ściany jak na ironię ozdabiała malowidła bitew i kampanii zbrojnych. Jeden z obrazów przedstawiał krwawy bój, a jego główna scena pokazywała śmiertelnie ранnego dowódcę, który odpala ostatnie załadowane działo. Siła wystrzału armaty urywa dłoń, która trzymała zbyt krótki sznur zapalowy.

– To dopiero poświęcenie – powiedział do siebie major. Popatrzył chwilę na malowidło, po czym zaszalutował i wyszedł.

Na stół z mapą wjechała butelka bursztynowego płynu.

– *Trafiejny* koniak. – Powiedział gospodarz, wznosząc brudną szklanekę. – Tutaj przy niemieckich górskich strzelcach o niego nie trudno.

– Trudniej upolować właściciela. – Zaśmiał się drugi, przyglądając się nalotowi na szklance.

W drzwiach stanęła dziewczyna. Stuknęła obcasami saperek i zaszalutowała do furazerki.

– Pan pułkownik mnie wzywał – oznajmiła.

Łysy wojskowy przyjrzał się jej uważnie. Pod mundurem rysowało się szczupłe, ale prężne ciało. Dłonie miała wysmukłe, wypracowane i żyłaste. Nie pochodziła z miasta. Rumiana cera i brak jakichkolwiek upiększeń, tak chętnie stosowanych przez kobiety,

sprawił, że wyglądała na półdziką istotę. W oczach miała właśnie dzikość, która zmroziła na chwilę tego niedźwiedzia w ludzkiej skórze. Miał plan wymuszenia na dziewczynie wysadzenia przeprawy. Teraz ten plan wydał się niepoważny. Te dzikie oczy. Odwaga i pewność siebie bijąca z całej postury dziewczęcia sprawiły, że poczuł się nieswojo. Zazdrościł jej tej siły, a jednocześnie ją podziwiał.

– Usiądź proszę. – Wskazał krzesło i postawił przed dziewczyną brudną szklankę. – Napijesz się z nami?

– Tak, ale piję tylko wodę. Mam w manierce ze sobą. – Odpiegła od paska naczynko w skórzanym pokrowcu.

Drugi pułkownik przyglądał się całemu zajściu i sączył wysokoprocentowy płyn. Też był pod wrażeniem tej dzikości... Patrzył, podziwiał i słuchał.

– To dlaczego ten most jest nie do wysadzenia? – Pułkownik zaczął z przytupem.

Dziewczyna spojrzała mu w oczy z politowaniem.

– Pułkowniku! W morzu żyją stworzenia podobne rybom. Duże jak człowiek, karmią swoje dzieci mlekiem jak człowiek, są mądre jak człowiek. Od człowieka różnią się tym, że ze sobą nie walczą. Współdziałają do zdobycia pokarmu i dzięki temu żyją w spokoju i dostatku. Niby w raj. Wie pan, do czego wykorzystuje je człowiek? Jak taki młody stwór wpadnie w sieci rybackie, to odkupują go wojskowi i tresują do podkładania magnetycznych bomb podwodnych, na kadłubach statków. Piękne stworzenia, które stwórca przeznaczył nam na przykład do naśladowania, szkolimy na morderców naszego gatunku. Już nie wystarcza, że sami się zabijamy. Uczymy tego inteligentne gatunki! Ha! A teraz jeszcze pan chce zniszczyć to, co może po naszym gatunku pozostać przez tysiące lat. Nikt już nie buduje z kamienia. To jedno z ostatnich monumentalnych dzieł ludzkich rąk. Pamiątka po tych, co dwa albo i trzy pokolenia spędzili przy budowie jednego dzieła. To właśnie takie dzieła będą o nas świadczyć, jak nas już nie będzie.

– Sierzancie! Jest wojna! Jeśli umiecie wysadzić ten most, rozkazuję to zrobić! To nie jarmark i nie będziemy się teraz targować. Giną ludzie, a Hitler buduje superbombę. Zaręczam, że jak ją zbuduje, to nie będzie miał sentymentów, aby jej użyć w pobliżu mostu, katedry czy pomnika!

– Już dawno się zgodziłam, tylko sprawdzam, czy na pewno nie ma pan planu B. – Zośka nie zwróciła uwagi na to, że pułkownik złośliwie podał jej niższą szarżę. – W tym miejscu będzie już tylko dolina. Nikt nie wybuduje tutaj podobnej konstrukcji, ale dobrze, to wasza decyzja. Potrzebuję wszystkich ludzi znających się na drewnie, jakich pan ma. Prowiant dla nich na dziesięć dni. Piły i siekiery oraz pięćdziesiąt kilo trotylu. Zapalniki saperskie i skrzynkę indukcyjną.



Wysoko w górach, przy wąskim przesmyku doliny rzeki pracowali drwale. Pracę wykonywali już od kilku dni i zmęczone ręce często odmawiały posłuszeństwa. Sami jednak byli zdziwieni efektem tego, co zrobili. Z pni olbrzymich świerków powstała

swoista tama. Jej konstrukcja była o tyle nietypowa, że wyglądem przypominała raczej ogromną tratwę o zwartej i silnej konstrukcji.

– Najważniejsza jest ilość wody – tłumaczyła nadzorującemu prace majorowi. – Gdy wody okaże się za mało, jej prędkość i siła przemieszczania ciężarów nie wystarczy. Nie mamy do dyspozycji nieprzebranych zapasów wody. Musimy utrzymać przepływ, bo Niemcy mogą coś podejrzewać, kiedy rzeka wyschnie do zera. Niestety główne wody już zeszyły z gór i bez deszczu możemy nie mieć wystarczającego czasu na jej zebranie.

– To jaki meldunek mam przesłać do dowództwa?

– Jeszcze wszystko wyliczam, ale objętości nieregularnych ścian doliny to wszystko obrachunki opierające się na uproszczeniach matematycznych. Wolę obliczenia przeschacować niż nie doszacować. Niech pan poprosi dowództwo o prognozę pogody na pięć dni.

– Na pięć?! Przecież obiecałaś dziesięć dni akcji, a dzisiaj mija dziewiąty! – Majorowi na twarz wystąpiły rumieńce i poczerwieniały mu uszy. Na dziewczynynie jego krzyki nie zrobiły większego wrażenia.

– Tutaj głośno można mówić tylko po niemiecku. Na nocę zamykam wodę do zera. Robię, co mogę. Takiej akcji nie przeprowadził nikt w historii. Przynajmniej nie na taką skalę, a pan się irytuje. Jak się powiedzie, to zostanie pan odznaczony najwyższym odznaczeniem wojennym, czyli dostanie pan błazkę na sznureczku. Jeśli się nie powiedzie, to pójdzie pan w bój na pierwszej linii, gdzie także będzie pan mógł zasłużyć na taką błazkę. Mnie niech pan da zrobić to, co mam zlecone.

Major sam wybrał się z meldunkiem, a dziewczyna została w obozie i nadzorowała prace. Góry były sprzymierzeńcem dla budowniczych. Ścięte drzewa same spadały na dno doliny, w pobliże koryta rzeki. Materiału skalnego do wzmacniania konstrukcji także nie brakowało. Dziewczyna nadzorująca prace szybko zjednała sobie żołnierzy.

Fachowość jej porad i znajomość rzemiosła wzbudziła we wszystkich uznanie. Zwłaszcza znajomość ciesielki wprawiała w osłupienie nawet zawodowego cieśla. Właśnie z nim doszło kiedyś do przepychanki słownej. On dla pokazania pogardy zapalił papierosa i odwrócił się plecami. Wtem prace w obozie zamarły. Wszyscy czekali na finał. Cieśla był towarzyszem żołnierskiej niedoli całej jednostki, a dziewczynę po prostu lubili.

Nikt się nie wtrącał, a atmosfera zgęstniała jak kisiel. Dziewczyna wolno podniosła zapalną, którą przed chwilą upuścił cieśla. Wyciągnęła zza paska siekierkę, z którą nie rozstawiała się od pierwszego dnia przybycia. Zrobiła nią wcięcie w pniu ściętego świerka i w to wcięcie wcisnęła nadpalony koniec zapalnika.

– Panie cieślo! Nie będziemy z siebie robić widowiska! Rozwiążemy to pojedynkiem. Chyba nie boi się pan kobiety?!

Obóz zamilkł na tyle, że szemranie wody w strumieniu i trel ptaków były doskonale słyszalne. Robotnicy kręgiem otoczyli spierającą się parę. Każdy czekał na reakcję szanowanego cieśla.

– Nie biję się z kobietami. – Sucho odrzekł sękaty mężczyzna.

– Nie będziemy się bić. Chodzi o umiejętności. Ta zatknięta w pień zapalka rozstrzygnie spór. Trzeba ją rozrząbać jednym uderzeniem na dwie połówki.

Tłum zaszemrał. Takiego wyzwania nie można było odrzucić. Cieśla, mężczyzna opanowany i przekonany o swojej racji, wyciągnął siekierkę, która wyglądała jak małe dzieło sztuki. Trzonek ergonomicznie wygięty i wypolerowany od nieustannego używania. Ostrze błyszczące i wyprofilowane tak, żeby perfekcyjnie ciąć. Mężczyzna obejrzał ostrze. Podniósł płaski kamień i poprawił niewidzialne zadziory. Bez słowa stanął w lekkim rozkroku. Najpierw przyłożył ostrze do zapalki, a potem uniół siekierkę nad głowę. Tłum zebrany wokół zafalował. Ci, którzy nie mieli wcześniej większego zainteresowania, teraz przeciskali się do lepszego widoku.

Głuchy stuk i z zapalki odskoczyła strużyna nie grubsza od ludzkiego włosa. Cieśla z uśmiechem na ustach wyciągnął siekierkę z pnia.

– To chyba wszystko wyjaśnia. – Odezwał się chropowatym basem.

– Nie! Dopóki ja nie uderzyłam. – Sięgnęła do zapalki, która po uderzeniu cieśli była lekko przekrzywiona.

– Nie ruszaj! – Krzyknął cieśla. – Ja uderzałem w twoje ustawienie, a ty uderzaj w moje. – Z drwiną i uśmiechem spoglądał w oczy dziewczynie. Nawet do głowy mu nie przyszło, że po tak perfekcyjnym uderzeniu jest w stanie przegrać.

Zosia spojrzała na ostrze swojej siekierki. Także poprawiła je zgrabnymi ruchami kamienia. Tłum z niecierpliwością wyczekiwał finału. Robiono zakłady o papierosy i porcje herbaty. Lekki wiaterek, który dotarł na dno doliny rozwiął włosy Zośki, kiedy podniosła swoją siekierę do uderzenia. Serca patrzących zamarły. Czas ciągnął się jak guma. Napięcie nerwowe przerwał dopiero stuk uderzenia.

– Trach!

Wszyscy rzucili się do pniaka, aby zobaczyć, kto wygrał. W pień była wbita siekierka, a po obu stronach ostrza lekko zawinięte sterzczały dwie strużyny zapalki. Nawet pomiar mikrometrem nie wykazałby różnic w tych dwóch częściach. Ochy, cmokania i westchnienia uznania długo dobiegały spod pnia. Dziewczyna stała i patrzyła w oczy cieśli, który najpierw z niedowierzaniem, a potem z podziwem patrzył na pień. Twardy i sękaty mężczyzna trochę niezgrabnie podszedł do Zofii i podał jej rękę z uznaniem.

– Ale drugi raz tego nie powtórzysz?

– Powtórzę, ale wieczorem po pracy. Przegrany nosi zwycięzcę na plecach dziesięć razy wokół ogniska. – Zośka spojrzała spod oka na cieślę. – Teraz wracamy do pracy. Uwzględnię twoje uwagi w moich planach. Nie są bezpodstawne. Muszę mieć tylko czas na ich wprowadzenie.



Załamanie pogody przyszło w nocy. Silny wiatr i deszcz intensywny jak wodospad zerwał kilka namiotów i pogasił ogniska. Cały obóz trzeba było ewakuować. Zagrożenie przełamania tamy wzrosło kilkakrotnie, a deszcz i tak nie dał dalej spać w dolinie.

Zośka wbiegła na szczyt tamy i dokonała pomiaru. Cieki zamieniły się w strumienie, a strumienie w rzeki. Woda spływała ze stoków gór i wytryskiwała z jaskiń. Bale tamy trzeszczały, a ze szczelin tryskały prysznice wody.

– Dajcie tutaj swoje namioty! – krzyknęła i długą tyczką wepchnęła swoją kurtkę w największy przeciek. Cieśla Marko zrobił to samo ze swoją pałatką. – Marko! Dobrze, że jesteś! Weź pomocnika i biegnij czym prędzej do dowództwa. Powiedz, że zniszczę most jutro w samo południe. Niech atakami sprowokują wyjście czołgów z bazy.

– Wytrzyma ta kupa zapalek? – Zapytał, kładąc jej swoją ciężką rękę na ramieniu.

– To twoja robota, więc pewnie tak – odpowiedziała ze śmiechem. – Teraz trochę puszczelniamy, ale za chwilę będziemy wszystko wzmacniać i dociążać kamieniami. Wody przybywa tak szybko, że przyda się ten awaryjny przekop, który wykonaliśmy na początku naszej pracy. Proszę, uważaj na siebie. Musisz dotrzeć z meldunkiem o poranku, a góry w takim deszczu są śliskie i niebezpieczne.

– Będę uważał, ale i ty uważaj na siebie. Ładunki są umieszczone precyzyjnie, ale nie wiesz, jak daleko polecą odłamki. Włóż hełm, a oczy przykryj rękami – poradził, kiedy uściskał jej dłoń na pożegnanie. Odszedł w ulewę i noc.



– To niemożliwe. Znam ją. Widzę, z jakim zaangażowaniem pracuje. Używa pojęć inżynierskich. Jest pewna w swoich działaniach jak inżynier. – Marko bronił swego zdania przed grupą oficerów.

– Sprawdzaliśmy wielokrotnie. Ta dziewczyna nie ma żadnej szkoły. Trochę praktycznych rzeczy nauczył ją wychowawca w domu dziecka. Inne liźnęła w praktyce. Jedno jest pewne. Nasz plan podzielenia dywizji czołgów zależny jest od wieśniaczki z wątpliwym przyuczeniem – przedstawił major, który był z dziewczyną na pierwszym zwiadzie.

– Mamy twardey orzech do zgryzienia. – Zasepił się łysy pułkownik, a jego głos dudnił basem niczym ryk dzikiego zwierza. – Jakie ma plany ta dziewczyna, nie wiemy. Ataku czołgów i tak nie unikniemy, może trzeba zaatakować?

– Niemcy nie znają naszej siły. Nasza przewaga to ukrycie i zaskoczenie podczas marszu wojsk pancernych, gdy zaatakujemy, odkryjemy nasze karty i staniemy się takim łatwym celem, jakim chcemy my uczynić niemieckie czołgi. Poza tym nasze czołgi nie mają szans w bezpośrednim starciu. Tylko ostrzał z boku jest w stanie zagrozić tygrysom i panterom.

– Panowie! Mamy dwa wyjścia, aby nie odkryć kart i zaskoczyć fryców. Zaufać dziewczynie albo wycofać się i poszukać nowego miejsca na zasadzkę. Dzisiaj jest ten dzień. Naczelné dowództwo żąda ode mnie odpowiedzi. Wojska frontu zachodniego mogą nie dać sobie tak łatwo rady z tak wprawioną dywizją czołgów. Nawet jeśli ich pokonają, straty w ludziach i sprzęcie okażą się gigantyczne.

– Nie ma jeszcze frontu zachodniego.

– Wiem, ale lada dzień będzie. Wtedy Hitler przerzuci tam wszystkie wycofujące się siły. Tu, od wschodu, wie, że jest stracony. Od zachodu będzie bronił wszystkich zakładów produkujących Wunderwaffe.

Gwałtownie do pokoju narad wkroczył radiotelegrafista z meldunkiem. Zasalutował i bez słowa podał meldunek pułkownikowi. Zapadła cisza. Każdy wyczekiwał w napięciu nowych wiadomości.

– Niemcy ruszyli. Wszystkie czołgi i działa przeciwpancerne na stanowiska. Pełny kamuflaż. Żadnego przemieszczania się. Zakaz palenia papierosów czy innych głupot. Wojsko ma zalegnąć w bezruchu. Majorze, wraz z plutonem zwiadowców wyruszyście natychmiast do tamy. Aresztujecie tę czarnowłosą kokietkę i przypilnujecie prawidłowego przebiegu akcji. Wyszadaniem tamy zajmie się technik Marko. – Widząc konsternację podwładnego, dodał twardym, niedźwiedzim głosem: – WYKONAĆ!



– Ładunki gotowe! – Sierżant, szcękając zębami, zameldował podłączenie wszystkich przewodów elektrycznych do induktora.

Wszyscy byli przemoczeni i zziębnięci, jakby pływali w zimnym oceanie. Deszcz nie ustawał, a wiatr tylko wzmagał uczucie zimna i wilgoci. Żołnierze skuleni w kłęb jak pszczoły na zimę, grzali się własnym ciepłem. Wszystkie namioty, pałatki i inne rzeczy poszły do uszczelnienia tamy. Jedyna przeciwdeszczowa kurtka okrywała Zośkę. Okrywała ją tylko z tego powodu, że mężczyźni zagrozili buntem, jeśli nie przyjmie tego odzienia. Nie wiadomo jednak, czy ta kurtka dawała jakąś ochronę, ponieważ ręce dziewczyny drżały z zimna, a paznokcie przybrały trupio biały kolor. Woda była wszędzie. Wiatr wpychał ją do ust, uszu i oczu. Jedyne suchy przedmiot to induktor. Okryty brezentem, chroniony przed wiatrem i hołubiony jak noworodek przez rodziców.

Był dzień, ale chmury zabrały prawie całe światło słoneczne. Półmrok dodatkowo przeszkadzał w egzystencji.

– Na co czekamy? – zapytał sierżant.

– Na potwierdzenie rozkazu. Zniszczenie mostu nic nie da, dopóki Niemcy nie przejadą z połową wojsk. Rozbita dywizja to łatwy kąsek dla naszych żołnierzy, a przede wszystkim utkną cysterny z paliwem. Czołg bez paliwa to kawałek żelaza i nic więcej. W zasadzie chodzi tylko o opóźnienie przemarszu tej dywizji, gdy nasze wojska umocnią się w górach, to atakowani zewsząd Niemcy zostaną zduszeni w kotle.

– Czołgi – wyszeptał jeden z żołnierzy.

– Co?

– Czołgi. Czuję je. Ziemia drży i wibruje.

Zośka wbiła finkę w ziemię. Położyła się koło niej, a rękojeść wzięła w zęby. Stary sposób zwiadowców na usłyszenie tego, czego nie słyszą uszy.

– Ma rację – potwierdziła po chwili. – Żora! Biegnij w dół rzeki. Kiedy przejedzie pierwszy czołg, a inne będą jechać za nim, gnaj co sił do nas, a najlepiej wystrzel jeszcze

z pistoletu. Nasza tama musi mieć czas, aby dopłynąć do mostu i go przewalić.

Nastąpiło oczekiwanie. Nagle wiatr i deszcz przestały być istotne. Myśli każdego krążyły wokół powodzenia akcji. Było tak wiele niewiadomych. Pierwsza to poziom wezbranej wody. Czy będzie na tyle wysoki, aby tamo–tratwa uderzyła w szczyt mostu? Jego najczulszy punkt do wytrącenia z równowagi. Druga to prędkość tratwy. Czy przypłylnie na czas? Czy przedzieli dywizję pancerną na pół? Te myśli i pogoda sprawiały, że minuty stawały się wiecznością.

– Strzały z pistoletu! Żora daje sygnał do odpalania!

Pchnięcie rączki induktora było tak błyskawiczne, że nikt nie zdążył zareagować. Zobaczyli falę wody i skał wylatujących w powietrze. Dźwięk dotarł do nich za moment. Uderzył w uszy i żołądki tak, że każdego na moment zamroczyło. Wszyscy jak na komendę skulili się i okryli twarze rękami. Ziemia zadrżała niczym w trakcie lawiny. Odłamki skał i drewna latały wszędzie. Jeden odłamek wielkości gęsiego jaja odbił się od pnia i boleśnie uderzył Zośkę w plecy. Z kolei kawałek drewnianej belki, wirując, wbił się w ziemię kilkanaście centymetrów od głowy sierżanta. Byli za blisko, ale na szczęście nikomu nic się nie stało.

Spojrzeli na tratwę. Płynęła wolno. Rozpędzała się, a poziom wody w dolinie podnosił się z każdą sekundą. Dało się dostrzec, że tratwa nabierze dużej prędkości. Jej sześcienna, zbита konstrukcja stanowiła wodny taran, który ma uderzyć i wytrącić z równowagi kamienny most.

W tym momencie z zarośli wyszli żołnierze uzbrojeni w peemy. Wredny major ze zwiadu rzucił się do Zośki z wycelowanym pistoletem.

– Co zrobiliście?! Nie było rozkazu wysadzać! Pójdzies za to pod sąd polowy! – Odwiódł kurek swojego pistoletu.

– Opuśćcie broń, majorze. Nie było rozkazu, bo i skąd? Spóźnił się pan! To pan zawałił bardzo poważną sprawę. Musiałam ratować sytuację, a sąd polowy czeka raczej pana za opieszałość i brak odpowiedzialności w obliczu wroga. – Odwróciła się do niego plecami, mając w czterech literach jego przeładowany pistolet.

– Ręce do góry! – Krzyknął jeden z saperów, celując swoją pepesę w majora. Nie wiedział, czy robi dobrze, ale dziewczyny postanowił bronić własnym życiem.

Nagle powietrzem wstrząsnął rumot, jaki może wydawać lawina albo... Wałący się kamienny most.



Generał Waffen–SS w nienagannie wyprasowanym mundurze z licznymi baretkami na piersi i Krzyżem Żelaznym na szarfie obserwował przejazd swoich pupilków przez most. Na kamienną konstrukcję wjeżdżał czołg dopiero wtedy, gdy wcześniej przejeżdżający zjechał z jego przyczółku. Ta zasada obowiązywała przy przeprawach od siedemnastego wieku, kiedy pod defilującym wojskiem zawałił się most wprawiony w nakładające się wibracje nazwane później przez naukowców „rezonansem”. Tutaj

zasadę postanowiono zachować raczej ze względu na obciążenie mostu, a nie o rezonans.

– Czemu to się tak wlecze? – pytał siebie, czując w podświadomości, że czas ma tutaj decydujące znaczenie.

Przez most przejeżdżał kolejny tygrys, kiedy do jego uszu dobiegło niepokojące dudnienie. Skierował lornetkę w kierunku doliny. Szofer generała trzymający nad nim parasol, spojrzął na swojego pasażera. Jego blada twarz wywołała wielki niepokój w jego sercu. Doliną płynęła masa wody zmieszana z błotem, kamieniami i szczątkami roślin wyrwanych po drodze.

– Co to za gówno jest?! – zakrzyknął bezwiednie generał.

Szofer bez lornetki i wiedzy strategicznej wiedział, że to właśnie atak na ich czołgi! Na fali przyboru płynął wielotonowy taran zbudowany z pni ogromnych świerków.



– Łowczyni tygrysów! – Zakrzyknął marszałek Żukow, dowódca radzieckich wojsk, czytający raport o działaniach swoich podopiecznych na Bałkanach. – Na psa urok! Ta dziewczyna to myśliwy, którego można posłać na każdego stalowego zwierza! Ha! Ma dziewczyna niebywałe szczęście i jakiś siódmy zmysł! – Cieszył się jak dziecko i zacierał ręce.

– W nagrodę za ostatnią misję dostała karabin, którego nie wzięła. Może teraz jej coś damy? Coś, co jej przypadnie do gustu! – Zwrócił uwagę adiutant, który już wcześniej przeczytał cały raport.

– Tygodniowy urlop! – Marszałek potarł podbródek. – Ciekawe, gdzie pojedzie? A tego majora... Co ją chciał pod sąd... Na pierwszą linię. Niech odpracuje swoje błędy. – Zastanowił się głęboko i pomyślał. – Gdzie pojedziesz na ten urlop łowczyni tygrysów?



Po akcji ze skalistym mostem dowódca wydał rozkaz wielkiej fety. Upieczono na ogniu dwie kozy górskie, które oczywiście upolowała Zośka. Już nikt nie miał najmniejszej wątpliwości co do tego, że dziewczyna to największy skarb bałkańskiego frontu. Z pobliskiej miejscowości sprowadzono nawet muzykantów. Kapela grała skoczną muzykę ludową i choć nikt nie rozumiał lokalnego języka, wszyscy bawili się doskonale. Jedzono i pito do późnej nocy, a po którymś toaście za zdrowie snajperki dowódca rozochocony rozkazał wydać cały zapas alkoholu.

Wszyscy chodzili przez dwa dni pijani. Pijani byłiby pewnie dłużej, gdyby nie tragiczny fakt, że zbiornik z wódką pokazał w końcu dno. Dowódca trzeźwiał najdłużej. Gdy do jednostki dotarły rozkazy z naczelnego dowództwa, po prostu musiał wytrzeźwieć. Przeczytał je na apelu na mocno miękkich nogach, a jego drżące ręce nie mogły utrzymać kartki papieru. Wszyscy w jednostce zostali wyróżnieni. Konstruktorzy

tarana dostali urlopy i listy pochwalne. Dowódca dostał odznaczenie wojenne, a major zwiadu przeniesienie na 3. Front Ukraiński.

Zośka dostała urlop. Siedem dni. Wszyscy na jej miejscu skakaliby pod niebo z radości...Co ja zrobię z tym urlopem? – pytała siebie w myślach. Gdzie mam jechać? Udawała olbrzymią radość do południa. Po obiedzie poszła z karabinem na zwiad. Zameldowała dowódcy o patrolu i powiadomiła wartę o wyjściu na wrogie pozycje. Ustaliła hasło powrotu, aby nikt przez pomyłkę jej nie zastrzelił.

Czołgała się całą drogę, choć wcale nie musiała. Chciała wypocić z siebie wszystkie żale do życia, świata i ludzi. Wszyscy dookoła mieli ją za łowczynię tygrysów. Stałą dziewczynę o stalowych mięśniach i stalowym charakterze. Ona jednak była wciąż delikatną kobietą. To los tak pokierował jej życiem, że musiała włożyć stalowy pancerz, który skrywał jej słabości, ponieważ wojna zgniotłaby ją od razu. Ten pancerz teraz uwierał. Zrzuciła go. Za granicą wrogich pozycji rozpląkała się jak małe dziecko. Była bezsilna wobec losu, jaki ją spotkał. Była małym, bezbronnym dzieckiem, które płacze i nie ma nawet pluszaka, do którego mogłoby się przytulić. Najgorsze jednak były wyrzuty sumienia. Ciągłe wracały myśli o ojcu. Co by było, gdyby nie odeszła? Czy nadal by żył? Czy nadal stanowiliby szczęśliwą rodzinę? Czy wojna oszczędziłaby ich wieś i mieszkańców?

To wojna jest winna utraty domu i rodziny – stwierdziła wreszcie. Chciała ją zakończyć natychmiast. Chciała ją zakończyć jednym strzałem. Chciała wysadzić trocylem wszystkich Niemców. Zaciśnęła szczęki ze złości tak, że nieomal połamała sobie zęby. Dawniej tęskniła za domem, za rodziną. Teraz musiała pogodzić się ze stratą. Z tym, że nie ma już nic własnego, do czego może wrócić albo chociażby za tym tęsknić.

Znow włożyła pancerz. Była na pozycji z przeładowanym karabinem. Tego wieczoru śmierć nabrała dla niej innego wymiaru. Z satysfakcją patrzyła w lunetę po swoim strzale. Wojna nazaczyła ją swoim najgorszym piętnem. Piętnem krwawej zemsty.



Pojechała na urlop. Napisała w książce wyjazdów nazwę miejscowości, gdzie według dokumentów się wychowywała, ale nie miała najmniejszej ochoty tam jechać. Już sam fakt, że pisze Ichań zamiast Grabów był dla niej traumą.

Postanowiła odszukać Władimira. Choć nie mogło być to łatwe zadanie, domyślała się, w której części frontu może znajdować się jego jednostka. Oczywiście o ustaleniu dokładnej lokalizacji tego zgrupowania nie było mowy, jednak tu niezwykle pomocne okazały się plotki, które skrupulatnie kolekcjonowała. Liczyła, że jeśli jest w nich ziarno prawdy, to uda jej się dotrzeć do mężczyzny, którego obdarzyła prawdziwym uczuciem.

Olbrzymią dogodnością w tej eskapadzie był nieodłączny sztucer z lunetą. Dawał jej przepustkę do wszystkich dowódców posterunków. Widząc tę groźną broń i wysoki

stopień wojskowy, często sami udzielali rad, którzy najlepiej dostać się na front. Nikt snajpera nie pytał w jakim celu.

Wyszła właśnie z budynku posterunku. Zatrzymała się przy małej kapliczce. Oparła o nią sztucer i zrzuciła obok plecak. Chciała napić się wody, gdy obok zatrzymała się ciężarówka.

– Hej! Dziewczyno! Podwieźć cię? – Krzyknął opalony na ciemny brąz kierowca.

– Tak! Chętnie skorzystam. – Schyliła się po plecak i broń.

Uśmiech kierowcy na widok karabinu wyborowego trochę stracił ze swojej szerokości.

– Panienska na front. Ładny karabin, nowe buty. Pewnie po szkole? – Kierowca szybko zagaił rozmowę.

– Tak. Świeżo po szkole. Nie mogę się doczekać, kiedy będę na froncie. – Odpowiedziała z uśmiechem.

– Ej, wy dziewczyno! Co wy wiecie o wojnie? Przyjeżdżają takie po szkole i setkami giną, bo myślą, że karabin z lunetą daje jakąś przewagę. Fryce mają u siebie takich snajperów, co tylko polują na nasze uczone. Znają wszystkie szkolnego maskowania i zabijają was jak muchy. Tylko karabiny muszą z powrotem odwozić, a po was zostaje brzozywy krzyż albo gnijące w leju po bombie truchło.

– Nie marudź i nie skrzecz. Jutro upoluję sierżanta albo kapitana. Zobaczysz. – Swoim pewnym tonem chciała utwierdzić kierowcę, że jeszcze na froncie nie była. – Szukam drugiego armijnego pułku. Wiesz, gdzie teraz wojują?

– Wiem? Właśnie tam jadę, mam dla nich parę skrzynek ogórków do mózdzierzy i jakieś listy.

– To się klawo składa, a jak tam dowództwo? Pewnie kosy jak piorun co? – Udawała strach.

– Pułkownik to jak ojciec. Jak trzeba, to nagrodi, a jak przeskrobiesz, to ukarze. Chciałbym być pod jego rozkazami do końca wojny, ale ma takich dwóch politruków, zee... psia mać. No może tylko jeden z nich. Taki chudy z wybałuszonymi oczami. Poznasz go od razu, bo będzie cię przesłuchiwał. Ten drugi. Ten jest niby w porządku, ale jakiś taki cichy, prawie go nie widać. Ma twarz trochę puciołowatą i w ogóle jest krępy i powolny.

– Jak ma na im...? – Nie dokończyła, gdy przez szum ich silnika przedarł się odgłos silnika nurkującego samolotu.

Kierowca instynktownie targnął kierownicą, a tuż obok rozerwała się bomba.

– Zatrzymaj! – krzyknęła czarnowłosa, sięgając do kieszeni po kódkę z nabojami rdzeniowymi. Wyskoczyła z samochodu, zanim ten zdążył się zatrzymać. – Nie odjeżdżaj!

Ryk silnika samolotu wchodzącego na wysoki pułap przerażał kierowcę.

– Mam na pace pół tony trotylu! Jak nas trafi, to nie zostanie z nas nawet mokrej plamy!

Dodał gazu i chciał odjechać. Spokój snajperki zadziałał jednak paraliżująco. Spokojnie rozładowała karabin i załadowała przeciwpancerną amunicję. Płynność jej

ruchów oraz kamienny spokój twarzy sprawił, że rozgorączkowany kierowca z głębokim podziwem obserwował jej poczynania. Samolot w tym czasie przewalił się przez skrzydło i jakby z drwiącą nonszalancją zaczął pikować do następnego ataku.

Ojciec zawsze ostrzegał ją, że strzelanie do samolotu to jak wsadzanie kija do dwóch gniazd szerszeni naraz. Znała jednak historię o tym, że jej ukochany tata ustrzelił samolot... i to nie przypadkiem. Uratował wtedy budowę przeprawy. Teraz ona włożyła całą swoją wiedzę i umiejętności w ten jeden atak, bo wiedziała, że drugiej szansy już nie będzie.

Celem ataku samolotu była ciężarówka. Pilot prowadził krzyż celownika kaemów wprost na nią, gdy dostał w skrzydło. Złowrogi błysk na ziemi zwrócił jego uwagę. Był na wysokości, która była zaporową dla broni ręcznej, a tu trafienie po pierwszym strzale.

Przypadek – przemknęło mu przez myśl, gdy wtem drugi pocisk rozerwał poszycie nad silnikami i brzdęknął metalicznie.

Pilot instynktownie dodał gazu i sterówkami naprowadził samolot na nowy cel. Po drugim celnym strzale powinien zawrócić! Skorzystać z prędkości nurkującej i zwiąć przed niebezpieczeństwem. On otworzył ogień z kaemów w nadziei, że przestraszy lub uśmierci strzelca. Jego dotychczasowe doświadczenia w walkach z piechotą wykształciły właśnie taki odruch.

Dziewczyna złożyła się z klęczącej pozycji. Strzelała z dużym wyprzedzeniem do nurkującego na ciężarówkę sztukas. Pierwszy strzał prawdopodobnie trafił, ale nie uszkodził niczego konkretnego. Samolot rósł w oczach tak szybko, że drugi strzał oddała trochę za nerwowo, ale i tym razem trafiła. Trzeci oddała do samolotu, który już do niej strzelał ze swoich kaemów. Wyraźnie widziała twarz pilota i detale samolotu. Nie zauważyła, czy trafiła, bo kierowca odwrócił na chwilę jej uwagę. Nie wytrzymał psychicznie i gwałtownie odjechał. Ona także zerwała się na nogi i pognąła w przeciwnym kierunku do atakującego samolotu, kiedy ten przelatywał nad nią, upadła na ziemię i, przykładając karabin do ramienia, wystrzeliła jeszcze raz.

Samolot wyszedł z nurkowania z oporem. Widać było, że coś szwankuje w środku albo pilot jest poważnie ranny. Przechylony na lewe skrzydło powoli, ale skutecznie tracił wysokość. Zośka wytarła wyciorem lufę i przetarła olejem. Otrzeпаła mundur, poprawiła fryzurę, wyciągnęła resztę przeciwpancernych z magazynka. Samolot roztrzaskał się kilka kilometrów dalej, a potem wybuchł, kiedy ona wkładała już normalną amunicję do magazynka. Kierowca ciężarówki stał kilkaset metrów dalej i z niedowierzaniem spoglądał na czarny dym.

– No dawaj tu! – zakrzyknęła. – Nie będę cię przecież gonić!

Ciężarówka zatrzymała się koło niej, a gdy wsiadła, kierowca ruszył z nerwowym szarpnięciem. Całą drogę nie odzywał się do niej, tylko palił papierosa, trzymając go w trzęsącej się dłoni. Gdy dojechali na miejsce, tą samą trzęsącą ręką pokazał ziemiankę dowódcy politycznego. Nie powiedział do widzenia, a gdy zatrasnęła drzwi szoferki, wyraźnie usłyszała:

– Wariatka!



– Czy zastałam Władimira Iwanowa? – zwróciła się do wartownika stojącego przed ziemianką.

– Z bronią i bez hasła do dowódcy nie wpuścę! – odpowiedział wyprężony jak struna młodzieniec. Widział, jak dziewczynę podwozi pułkowy samochód, widział jej wysoką szarżę na pagonach oraz to, co świadczyło najbardziej o żołnierzu, czyli jej broń.

– To zawołaj dowódcę tutaj – wyszeptwała. – Przekaż tajne hasło „Zośka”. – Z uśmiechem usiadła na brzegu wykopu. Wartownik oniemiały wykonał polecenie, a już za chwilę z ziemianki wyskoczył w rozchełstanej koszuli Władek. Ujrzał Zośkę i pobladł. Zaniemówił na chwilę i przyglądał się z niedowierzaniem.

– Żyjesz! – wystękał ni to pytająco, ni to z ulgą. – Chodź! Chodź tu szybko! Opowiadaj. – Chwycił ją w ramiona i mocno przytulił do serca.

– Dobrze cię widzieć – odpowiedziała i nabrała w piersi powietrze. – Puść, bo zaraz zrobisz to, czego nie zrobiły szwabskie kule.

On uśmiechnął się jeszcze szerzej i zaprosił do ziemianki.

– Wejdz, zjedz coś. Wypijemy czaj i porozmawiamy. Wartownik! Biegnij do kuchni po chleb i cebulę i zdobądź trochę boczku. Tu masz dziesięć papierosów za tę przysługę.

Wartownik skoczył jak oparzony w kierunku kuchni i po chwili wrócił z dość okazałym pakunkiem. Zośka pokroiła chleb, a Władek obrał cebulę. Dostali także mielonkę, która rozkosznie pachniała. Jedną kromkę czarnowłosa wyniosła wartownikowi, aby nie musiał tylko przelić śliny.

Rozmawiali długo i na różne tematy, omijając sprytnie temat wojny i związanych z nią niedogodności. Byli tak szczęśliwi spotkaniem, że żal im było wplatać w to uczucie wojenną prozę. Wpatrywali się sobie w oczy jak w ostatni wieczór, kiedy się rozstali. Wieczorem wyszli z ziemianki zobaczyć zachód słońca. Szli, trzymając się za ręce. Milczeli nieraz długo, aby rozkoszować się tą chwilą.

– Jak udało ci się przeżyć w roli snajpera?

– Wierz mi, śmierć jest zawsze blisko mnie. Wydaje mi się, że mam szczęście albo jestem częstką jakiegoś większego Boskiego planu, bo już niejednokrotnie powinnam była zginąć, a jakaś opatrność zawsze ratuje mnie z opresji.

Szli powoli wśród wiekowych drzew. W dużym zagłębieniu tliło się ognisko, a wokół niego zgromadzili się żołnierze. Palili papierosy, co któryś tylko przypiekał nad żarem chleb albo ziemniaka.

– Mówię wam! Widziałem na własne oczy! – opowiadał jeden z żołnierzy. – Dziewczyna ledwo po szkółce strzeleckiej. Składa się do sztukasa i pod ogniem z jego kaemów wali w łepetynę pilota, a potem, jak gdyby nigdy nic, poprawia sobie fryzurę! Taką mamy szkołę strzelecką! Mówię wam, jak będą takich żołnierzy przysyłać na front, to za tydzień wygramy wojnę i powiesimy Hitlera! Za dwa tygodnie wszyscy będziemy w domu! – Tłum zaszemrał.

– To pewnie o tobie ta opowieść strzelecka? – Z głęboką nudą w głosie westchnął Władimir.

– Dużo przesadzona. Najpierw wyczyściłam broń, a potem dopiero poprawiłam fryzurkę... A co miałam zrobić, jak sam mi się pchał na lufę? Pomachać mu chusteczką? Miałam przeciwpancerne, to mu dołożyłam.

– No tak. Zapomniałem, że jeszcze ciebie nie widziałem, a znałem, bo partyzanci opowiadali o tobie legendy. Jak zapewne twierdzisz mocno przesadzone. – Zaśmiał się pod nosem. – Czytałem w jakimś okólniku o odważnej dziewczynie, która przedzieliła kolumnę marszową tygrysów, wysadzając most. Nie chciałem tego kojarzyć z tobą, ale tak jakoś mi się nasunęło. Most, czołgi, a wcześniej jeszcze chodziły opowieści o jakiejś snajperce, chyba czarnowłosej, która kilkoma strzałami powstrzymała przejazd czołgów formacji SS. Dziwnie też kojarzę tę dziewczynę z moją znajomą. Chociaż ty zapewnisz, że bezpodstawnie. Na pewno jednak nie zaprzeczysz, że sukces operacji „Skok” był możliwy tylko dzięki czarnowłosej snajperce, która sama wcześniej tylko nożem zlikwidowała patrol górski, składający się z uzbrojonych po zęby Tyrolczyków.

– No tu naprawdę przesadzasz, bo było nas tam ośmioro!

– Czyli to jednak wszystko Ty! Dbaj o siebie! O swoje życie!

– Nie mam dla kogo żyć. – Cicho westchnęła.

– Żyj dla mnie. – Gorąco pocałował ją w usta.



Władek poprosił o kilka dni wolnego od służby, aby pobyć z Zośką i wspólnie odetchnąć od frontowych obowiązków. Dzień spędzali na spacerach w lesie i opowieściach o ich życiu przed wojną oraz o tym, jak pięknie urządzią wszystko po wojnie. Wieczorem przyłączali się do wspólnego ogniska. Piekli ziemniaki i śpiewali piosenki. Czasami ktoś przyniósł coś mocniejszego, wtedy było trochę tańców przy akompaniamencie klaskania i śmiechy do późnej nocy. Pięć dni minęło jak jeden.

– Muszę wracać.

– Taaak. – Mocno przyciągnął ją do siebie. – Nie pytałem wcześniej, ale jak mnie w ogóle znalazłaś?

– Uwierz mi, nie było trudno. Trzeba tylko umiejętnie zadawać pytania. – Uśmiechnęła się, patrząc głęboko w oczy Władka.

– Patrząc w twoje oczy, rzeczywiście zapomina się o całym świecie. Co będziemy dzisiaj robić?

– Wezmę podpis na przepustce od waszego dowódcy, wyprasuję mundur, a potem pojedę do swojej jednostki.

– To może poprosimy o przeniesienie ciebie tutaj? – Władek nagle wpadł na pomysł.

– Nie będzie to dobre dla naszej przeszłości i przyszłości. Wojujemy na dwóch różnych frontach. Na razie nikt mnie nie kojarzy z tą dziewczyną z Grabowa, ale ciągle żyję w strachu, że ktoś sobie o tej historii przypomni. Nie ruszajmy tego tematu.

– Dobrze, po wojnie spotkamy się w Moskwie. Kiedy by się wojna nie skończyła, spotkamy się trzydziestego marca na placu Czerwonym równo w południe.

– Myślisz, że wojna skończy się do tego czasu?

– Skończyłaby się już dawno, tylko nie wiem, dlaczego rozkazy z dowództwa przychodzą nieraz mylnie albo całkiem niedorzeczne, tak jakby wydający je nigdy nie byli na wojnie lub po prostu bali się podejmować śmiałych decyzji. Kiedy zwyciężamy, to dzieje się w sposób niekontrolowany i spontaniczny. Bez kontroli sztabu głównego.

– Centralne dowodzenie Stalina. Zanim obraz sytuacji dotrze do Moskwy, a tam wydadzą decyzję i przyślą rozkazy, sytuacja na froncie zmieni się już trzykrotnie. Niemcy wiedzą o tym, dlatego w błyskawiczny sposób zmieniają taktykę i rozlokowanie. Tylko szybkie ataki są skuteczne.

– A ty znowu o atakach. Poczytaj kiedyś wiersze Puszkina albo inną poezję.

– Myślisz, że nie czytałam? Myślisz, że na wsi nie ma książek? Specjalna biblioteka jeździła po wsiach i rozwoziła książki do wypożyczania. Znam światową literaturę, a mity greckie niektóre znam na pamięć. Naszym poetą równym waszemu Puszkiniowi był Adam Mickiewicz. Czytałam wszystkie jego dzieła. Pisał wiersze dla pokrzepienia Polaków będących pod zaborami, ponieważ w czasach, w których tworzył, Polski nie było na mapie Europy. Musieliśmy o nią walczyć.

– Ja o poezji a ona znów o walce. Czy wszystkie Polki tak robią na randkach?

– Nie. Nie wszystkie. Chciałbyś spotykać się z taką, co tylko wiersze, sukienusie, koronki, podwiązki i szminki? Tak? To proszę, droga wolna. Ja, jak zauważyłeś, nie mam butów na koreczku ani szminki na ustach. Może nie zdążyłam się wystroić, a może to nie mój styl. Wszystko, co dla młodej dziewczyny piękne i miłe, odebrała mi wojna. W zamian dostałam kamasze, naboje i pałatkę maskującą. Twarz maluję błotem i sadzą...

– Kocham Cię. Taką, jaką jesteś, a nie taką, jaką chciałby świat. – Przerwał jej szybko, widząc jej zdenerwowanie i to, że przed wyjazdem zrobiła się kąśliwa i zaczepna. – Wyjdźmy na spacer. Przejdziemy się na łąkę.

Wyszli na skąpaną w słońcu polanę. Pachniała ziołami i miodem. Grała świerszczami, pszczołami i skowronkami. Trzymali się za ręce i szli zauroczeni pięknem otaczającego krajobrazu. Słońce raziło w oczy i dlatego nie zauważyła złowrogiego błysku. Zobaczyła natomiast uderzenie pocisku w jego pierś.

Władimir został trafiony prosto w mostek. Siła uderzenia odrzuciła go w tył. Upadł na wznak z rozłożonymi rękami.

– Władimir!!!

– Bum! – Teraz gruchnął drugi strzał.

Trawy zafalowały, gdy pocisk dużego kalibru leciał tuż nad nimi. Trafił w miejsce, gdzie leżał wrogi strzelec.

– Władimir!!! – Zośka krzyknęła ponownie do leżącego, ale za dużo widziała postrzałów, aby mieć najmniejsze wątpliwości. Patrzył w niebo nierozumiejącymi oczami, a usta wykrzywione w wyrazie zaskoczenia tężały, zachowując przedśmiertny wyraz twarzy.

– Władimir... – wyszeptała.

Teraz dotarło do niej, że przecież wyszli z ziemianki w mundurach. On w oficerskiej czapce i pagonach. Był wręcz celem treningowym dla snajpera. Oświecony słońcem na pustej przestrzeni po prostu prowokował.

Sześć dni bez walki, skradania i bombardowania uspiło ich czujność. Tak tęsknili do normalności i codzienności. Zaniechali nieświadomie wojennej ostrożności, którą należało zachować nawet podczas najbardziej romantycznej randki. Leżeli teraz przytuleni do siebie. Myśli dziewczyny pędziły niczym stado spłoszonego bydła, dudniąc w głowie jak oszalałe.

– Władimir, co ja ci zrobiłam? – szeptała do niego z niedowierzaniem i żalem.

Chciała wstać i krzyżeć, ale nie miała sił, aby głębiej odetchnąć, a co dopiero wstać. W głowie jej zawiroowało, a przed oczami pojawiły się wirujące kręgi i rozbłyśki światła przeplatane ciemnością. Była na pograniczu omdlenia. Długo odyskiwała świadomość i równość oddechu. Koła sprzed oczu stawały się coraz bledsze, a oddech coraz głębszy.

Wstała. Poszła przed siebie. Wrogi snajper leżał rozerwany, jakimś ciężkim, chyba myśliwskim, pociskiem. Jego maskowanie było dobre, ale nie perfekcyjne. Zośce włączyło się krytyczne spojrzenie.

– Ty też byłeś szkolnym celem – wyszeptała z zastanowieniem przez zaciśnięte zęby.

Szła z powrotem do lasu. Szła do ziemianki dowódcy Władimira. Wartownik zameldował jej przybycie, a ona weszła zaraz za nim bez czekania na pozwolenie.

– Władimir ubity! – wypowiedziała beznamiętnie. – Snajper! Ja jego tam wystawiłam! – krzyknęła i rzuciła się plackiem na pryczę. – Jaaa! – Płakała jak małe, skrzywdzone dziecko.

Dowódca chciał ją przytulić i pocieszyć. Odepchnęła go stanowczo.

– Kto nas używał za przynętę? – zapytała twardym i pewnym głosem.

– Nie rozumiem?

– Kto tu jest snajperem? Kto czekał na śmierć dowódcy politycznego, aby wpisać sobie do książeczki potwierdzone trafienie?

– Nie mamy w batalionie snajpera. Prosiłszy o parę snajperów już miesiąc temu, ale nie doczekaliśmy się do tej pory nikogo. – Zdziwił się pułkownik i zamyślił.

– Ktoś zabił niemieckiego strzelca zaraz po jego strzale do Władimira. Uratował mi życie, ale nie wiem, czy nie czekał właśnie na taką okazję. Strzelał z potężnego, myśliwskiego sztucera albo ekspresu.

– Nie mamy u siebie takiego strzelca i takiej broni. To ktoś obcy.

– Idę w takim razie go poszukać. Pułkownik, zarządzcie, aby wyciągnięto pocisk z ciała fryca. Chcę się mu przyjrzeć. – Odmeldowała się, zanim dowódca zdążył jakkolwiek zareagować i poszła na zwiad.

Poszła na zwiad, ponieważ nie mogła utrzymać łez. Poszła, ponieważ nie mogłaby usiedzieć na miejscu. Poszła, ponieważ chciała poznać prawdę. Wiedzieć, czy razem z Władimirem stanowili przynętę czy całe to zdarzenie było dziełem przypadku.



Snajper nie zostawił żadnego śladu, gdyby miała psa, może podjęłaby pościg. Teraz chciała wrócić do jednostki i przyjrzeć się pociskowi tajemniczego strzelca. Po wejściu do ziemianki dowódcy także się zawiodła.

– Pocisk trafił najpierw w broń. Przekoziółkował i na płask uderzył w kość. To, co później się z nim stało, jest ciężkie do określenia. Pociągnął w głąb ciała obojczyk i inne przyległe kości, tam rozpadł się na kawałki i po prostu rozerwał ciało strzelca jak granat. Nie pocieszy cię to zapewne, ale z odpowiedzialnego za śmierć Władimira zostały tylko nogi i głowa. – Pułkownik relacjonował, masując sobie kark dłonią. – Ktoś ma niezłą armatę i potrafi z niej strzelać.

– Poznałam kiedyś strzelca, który strzelał z broni na słońce. – Zastanowiła się. – Nie wiem, co on by tutaj robił?

Nie chciała pokazywać więcej swoich łez. Wzięła od dowódcy podpisaną kartę urlopową. Spakowała plecak i pożegnała się ze wszystkimi. Na pociąg odwiózł ją ten sam opalony kierowca. Nie odzywał się przez dłuższą część drogi, kiedy jednak zbliżyli się do zabudowań, zwrócił twarz w jej kierunku.

– Przepraszam, że na przywitanie nazwałem cię wariatką. Nie wiedziałem, kim jesteś. – Odchrząknął, gdyż słowa ciężko wychodziły mu z gardła. – Chcę ci na pożegnanie powiedzieć, że Władimir był najlepszym dowódcą, jakiego znałem. Wyprawimy mu wspaniały pogrzeb.

Wiedziała, że mężczyzna chce ją pocieszyć. Chce podtrzymać na duchu. Ona nie miała już łez, aby płakać, a głowa bolała ją tak, że nie mogła myśleć.

– Na moich oczach zabito ojca. Zabito teraz mojego narzeczonego. Nie mam już nikogo. Nie pocieszysz mnie ani nie ukoisz mojego bólu. Ja już nic nie czuję.

Rozstali się w milczeniu.

**„Nie od razu zabija wódka,
więc pijmy ją do dna.
Tańczmy niewyspani
dopóki muzyka gra.
Jutro skończy się Świat...”.**

Wracła do swoich żołnierzy. Jechała eszelonem, który włócił się wolniej niż kulawa szkap. Twarz miała szerniałą, wychudłą i surową. Nie jadła i piła tylko wodę. Nie miała ochoty na jedzenie, rozmowę, życie. Jadący z nią żołnierze widzieli jej stan i nie narzucali się. Każdy z nich, jeśli nie przeżył niczego podobnego, to na pewno zetknął się z takim stanem nie jeden raz. Częstoowali ją strawą, ale nie nachalnie. Wieczorem dosiadł się następny jadący na front. Wyciągnął flaszkę samogonu, upił łyk i puścił ją w obieg, gdy dotarła do dziewczyny, ta opróżniła ją duszkiem. Odłożyła pustą butelkę resztką sił i zasnęła pierwszy raz od wielu dni.

Żołnierze spojrzeli po sobie. Jeden sięgnął po harmoszkę i zagrał smętną melodię.



Jej jednostka przeniosła się dalej na północ, goniąc fryców oddających swoje pozycje. Wojsko opuściło malowniczą dolinę i przytulny zameczek. W zamian dostali bunkry i okopy po Niemcach. Ich stanowiska miały wszystkie wygody łącznie z latrynami przy stanowiskach ogniowych. Otoczony drutem kolczastym teren dawał poczucie bezpieczeństwa.

Dowódca, widząc takie wygody i zabezpieczenia, postanowił dać wojsku parę dni wytchnienia. Technikom i strategom dało to czas na przygotowanie następnego ataku. W tym właśnie miejscu zastała ich powracająca z urlopu Zośka.

– Udał się urlop?! – zagadnął wartownik, przeglądając papiery przepustkowe.

– Udał się jak jasna cholera! – odpowiedziała śmierzdząca samogonem Zośka. Trzymała się na nogach, ale tylko siłą woli. – Co u was?

– Wszystko w porządku. Masz jeszcze wódkę?

Spojrzała z politowaniem i poszła do swoich. Żołnierze naprawiali oporządzenie, pisali listy i... zbijali baki. Czarnowłosa przechadzała się to tu, to tam. Nigdzie nie mogła sobie znaleźć miejsca, aż w końcu usiadła pod uschlą sosną i wzięła do ręki duży płat kory. Dłubała nerwowo finką w korze drzewa. Próbowwała wyrzeźbić jakąś twarz, ale wychodził jej jakiś paskudny maskaron. Dziabnęła w końcu w sam środek kilkugodzinnej pracy, aż kora pękła na pół.

– Wiktor!? – zakrzyknęła do chłopaka, który siedział kilka metrów dalej. – Nie masz może spirytu?

– Mam jedną manierkę, a ile dajesz? – Wstał i podszedł do niej z wyciągniętą ręką.

– Miesięczny przydział machorki. – Też wstała.

– Za mało. Wziąłbym jeszcze coś. – Zbliżył się i położył dłoń na jej biodrze.

To, co się stało, umknęłoby nawet uważnemu obserwatorowi. Nadepnęła na jego stopę i z wdziękiem odepchnęła od siebie. Chłopak poleciał na plecy, a ona skoczyła i przygniotła jego klatkę kolanem. Finka zatoczyła półokrąg i naznaczyła swoją drogę od ucha do ucha krwistym śladem.

– Aaa! – krzyknął, ale natychmiast znieruchomiał, bo ostrze finki przywarło do jego grdyki.

– Najpierw zapytaj, czy można.

– Masz tę manierkę, furiatko! – Wstał i rzucił w nią pojemnikiem.

Odrzuciła w jego kierunku zawiniątko z papierosami.

Tego samego wieczoru pobila się z jeszcze innym kolegą frontowym. Ten rzucił tylko żart o kobietach w jego wsi, kiedy dostał kopnięcie w podbrzusze, a chwilę po tym jego nos spotkał się z kolanem pijanej Zośki.

Bójki w jednostkach wojskowych są surowo zakazane, lecz pojedyncze porachunki uchodziły często na sucho. Teraz dowódca sam nie wiedział, co robić. Codziennie zaczął widywać kogoś z podbitym okiem albo wybitym zębem. Formacja szykowała się do następnego starcia na śmierć i życie, a morale jakby spadało. W końcu trafiła na okazję, aby się czegoś dowiedzieć. Przed jego bunkrem stał wartownik, który miał solidnie podbite oko i spuchniętą wargę.

– Towarzyszu, zapalicie? – Zapytał dowódca, wyciągając srebrną papierosnicę.

Wartownik nie odmówił. Zaciągnął się dymem i westchnął.

– W domu wszystko w porządku? – zapytał pułkownik i też zapalił papierosa.

– Tak. Matka zdrowa, a siostry dobrze się sprawują i pomagają w gospodarstwie. Rok był pomyślny.

– A dziewczyna? Nie pisze?

– Pisze. Tylko tęskni za mną. Po wojnie natychmiast bierzemy ślub.

– No to pięknie, a co będziesz robił po wojnie?

– Zostanę mechanikiem. Nauczyłem się naprawiać silniki i inne mechanizmy. To i będzie z tego chleb w cywilu.

– A oko kto ci podbił? – Zapytał mimochodem dowódca.

– Zocha! – Chłopak odpowiedział z rozpędu.

– Frankowi też zęba wybiła?

Wartownikowi papieros zastygł w dłoni przy ustach. Zorientował się, że został wciągnięty w rozmowę i nieopatrznie coś wypaplał... a kablować na współtowarzyszy nie wolno. Nie odpowiedział na to pytanie.

– To rozumiem, że też, bo nie zaprzeczyłeś.

Chłopak wpadł w panikę. Mówiły to jego oczy i drżąca dłoń z papierosem, którego żar doszedł już do palców.

– Nie wydam cię przed żołnierzami, ale sam wiesz, że dowódca musi wiedzieć, co się dzieje u jego podkomendnych. To ważne dla utrzymania gotowości bojowej. Ja jestem waszym przyjacielem a nie wrogiem. Prędzej pomogę, niż zaszkodzę.

Wódz rzeczywiście cieszył się szacunkiem i poważaniem. Nikt nie mówił o nim złego słowa. Prędzej o politycznym i tu wartownik uświadomił sobie, że mógłby go przesłuchiwać polityczny. Byłaby to na pewno inna rozmowa.

– To dziwna sprawa. Snajperka po powrocie z urlopu zmieniła się nie do poznania. Jest nerwowa. Szuka zaczepki i co najgorsze pije, a nigdy nie wzięła nawet łyka!

– To co jest, do cholery?

– Nie wiem i nikt nie wie, ale teraz każdego, kogo spotka, prowokuje do bójki. Nikt jej nie chce dać nauczkę, bo to baba, ale za to nosimy ślady potyczek.

– Dziękuję za rozmowę. Wszystko, co mi powiedziałeś, zostanie między nami. – Wrócił do swojej kwatery ze zmartwioną miną.

Pod wieczór w gęstym lesie nagle rozbrzmiały głośne dźwięki. Krzyki i trzaski gałęzi. Dowódca usłyszał je przez szczelinę strzelniczą i wypadł z bunkra. Pędem, na jaki było go stać, pobiegł w kierunku wrzawy. Jego wydatny brzuch i olbrzymie ciało wyciągnęło koszulę spod paska, dlatego gdy był już w pobliżu epicentrum hałasu, zwolnił i poprawił mundur. Szedł z założonymi za plecy rękami i udawał bezinteresowną przechadzkę.

– Co tu się dzieje? – krzyknął tubalnym głosem.

Żołnierze tworzący krąg rozstąpili się i stanęli na baczność.

– Baczność! – rozkazał najstarszy stopniem, plutonowy Wasyl.

Na ziemi tarzali się żołnierze, zadając sobie ciosy pięściami. Ten, który był na górze i okładał leżącego, przerwał wystraszony i wstał. Ubrudzona ziemią osoba leżąca pod nim kopnęła go w krocze. Po fryzurze każdy identyfikował ją bezbłędnie. Czarnowłosa zwinnie skoczyła na nogi i pięścią powaliła tego, który bezwiednie posłuchał rozkazu.

– Baczność! – Powtórzył za plutonowym dowódcą. – Bo karzę aresztować.

Dziewczyńce z wargi i nosa leciała krew. Sączyła się także z łuku brwiowego, ale wcześniej zastęglą tamowana błotem i ziemią.

– Chorąży Zofia! Doprowadzić się do porządku i za piętnaście minut zameldować się u mnie na kwaterze. Plutonowy! Przyglądacie się bójce zamiast zareagować? Na razie udzielam ustnej nagany, ale jak się jeszcze raz jakaś bójka zacznie, pójdziecie pod sąd polowy! Za godzinę zarządzam wytrzymałościówkę. Nie zaśniecicie przez trzy doby. Ja wam to obiecuję. Odechcie się wam bójek i krotochwil.



– Nie macie u nas przyjaciół? – Łagodnie zaczął pułkownik. Zośka milczała. – Co? Nie macie mi nic do powiedzenia, towarzyszek? – Dziewczyna stała hardo i patrzyła w odległy punkt czasoprzestrzeni. – Przyjąłem was jako doborowego żołnierza i widziałem w was najlepszego z moich zuchów, chociaż dziewczynę, a teraz widzę, że jesteś zwykłym chuliganem bez ambicji.

Zośka nerwowo poprawiła niesforne kosmyki włosów. Twarz miała opuchniętą jak bokser po zawodowym starciu. Milczała.

– Nie będę dopytywał w nieskończoność. Nie chcesz mówić, co ci leży na sercu, to nie mów. Masz tydzień pomocy w kuchni, a jak jeszcze raz zobaczę żołdaka z podbitym okiem albo spuchniętą wargą, to uwierz mi, pójdiesz pod sąd... – Zawiesił głos dla lepszego efektu, ale czarnowłosej tym nie wystraszył.

Zosia kipiała wręcz w środku za tę pracę w kuchni. Zawsze, gdy przychodziła jej kolej, sprytnie wymówiła się patrolem albo koniecznością przestrzelania nowej amunicji. Teraz kara obierania ziemniaków była nieunikniona. Jak jeszcze będzie sama,

to kartoszki będzie obierała od świtu do pory obiadowej i to ta wizja bardziej przerażała od wizji śmierci. Będzie pośmiewiskiem dla swojej kompanii i całej jednostki.

Wódz nie wiedział, co z jego przemowy wywarło taki wpływ, ale widział na twarzy strach schwytanego w sidła zwierzęcia. Nie o taki efekt rozmowy chodziło, ale jeśli nie można było po dobroci...

– Odmaszerować!

– Kara! – odpowiedziała już twardo. Wykonała w tył zwrot i wyszła z bunkra.



– To nie jest rozwiązanie. – Drapał się w brodę dowódca polityczny. – To nie jest zwykły żołnierz... Wiesz, dlaczego tak się zachowuje?

– Domyślam się. Rzucił ją chłopak albo zginął.

– Właśnie! Niestety, raczej zginął. Gdyby ją zdradził, to nie chciałbym być w jego skórze.

Zaśmiali się obydwaj.

– Ale karę musi odbyć! – Wódz wypowiedział to jakby niepewnie.

– Tak. Co do tego nie ma wątpliwości. Tylko... co będzie dalej?

– A może dajmy jej jakieś zadanie, przy którym będzie się mogła zrehabilitować. Wkręcić się z powrotem w trybiki naszej jednostki.

– To dobry pomysł i nawet mam pewną propozycję. – Odpowiedział politruk i podszedł do mapy. – A to są zdjęcia lotnicze.

– To samobójcza akcja. – Wódz tarł brodę w zamyśleniu.

– Na nieszczęśliwą miłość nie znajdziesz lepszego lekarstwa. Na pewno nie pomoże obieranie ziemniaków. – Mrugnął obydwoma oczami. – Dziewczyna otrząśnie się w ciężkim boju. Zobaczysz.



Podczas wieczornego apelu dowódca przedstawił sytuację na froncie i omówił dalsze plany natarcia. Następnie dowódca polityczny czytał odezwę Stalina, lecz gdy zobaczył wielu znudzonych i niezainteresowanych żołnierzy, przerwał i głośno chrząknął.

– Mam dla was zagadkę! – zaczął z innej mańki. Poczekał chwilę, aby zmiana tekstu dotarła do wolniej myślących. – Dlaczego Niemcy mają tak brzydkie kobiety?

Ponownie poczekał chwilę dla lepszego efektu.

– Tak ich pan Bóg pokarał za dwie wojny światowe.

Po szeregach przebiegła fala cichego śmiechu.

– My też musimy jakoś fryców ukarać. Jest pilne zadanie! Tylko dla odważnych. Musimy przeprowadzić akcję sabotażową za linią wroga. Nie mogę wyznaczyć nikogo z was. Potrzebujemy ochotników. Odważni otrzymają ode mnie trzy dni urlopu i zostaną im anulowane wszystkie kary.

Wystąpiło trzech i po chwili wahania wyszła skruszona Zośka.

– Po apelu ochotnicy u mnie na kwaterze zbiórka! – oznajmił politruk i dał znać prowadzącemu apel, aby zakończył zbiórkę.

Połowa planu dowódcy politycznego się powiodła i był z tego bardzo zadowolony. Ochotnicy byli rzeczywiście zuchami i powodzenie akcji wraz z ich kandydaturami wzrosło.

W bunkrze dowódcy politycznego było jasno, a wokół stołu znajdowały się wygodne krzesła. Stół nie miał wyglądu dzieła sztuki, ale wykonano go ze spasowanych do siebie na pióro oheblowanych desek. Na nim rozłożono mapę, a nad nim paliły się dwie elektryczne lampy. Na mapie stały łuski od naboju uwidaczniające pozycje wojsk.

– To akcja samobójcza! – powiedziała cicho Zośka. – Tam może przetrwać tylko ktoś, kto ucieknie psom i potrafi maskować się jak młoda kuropatwa. Mogę zaryzykować, ale tylko sama.

– Im więcej dywersantów, tym większa szansa na zatrzymanie przejazdu tych czołgów. – Dowódca polityczny wskazał na dużą przeciwlotniczą łuskę. – To jest klin, który może rozbić nasze wojska.

– Suną szybko. Jeśli posiadają odpowiednie zapasy paliwa, dotrą na linię frontu za cztery dni. Ja za trzy dni będę na pozycji z rusznicą i zapalającymi nabojami. Spalę ich cysterny i ukryję się w górach.

– Co się stanie, jak wpadniesz albo ci się nie uda? – Politruk popatrzył Zośce w oczy.

– Poprosicie lotników o pomoc. Ja zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby pozbawić ich paliwa. Uwiercie mi, sama mam dużo większe szanse na cichą i potajemną akcję. Jutro rano przestrelam broń i wyruszę za linię frontu.

O obieraniu kartofli już zapomniała. – Politruk powiedział do siebie w myślach i uśmiechnął się do Zośki.



Zośka już drugi dzień, a w zasadzie drugą noc, maszerowała w północno-zachodnim kierunku. Chciała dotrzeć na krawędź pasma górskiego, skąd miałyby dogodną pozycję obserwacyjną i doskonale możliwości prowadzenia ostrzału. Szła głównie korytami strumieni. Po pierwsze w nocy nie mogła pobiłdzić, bo strumienie były wyraźnie zaznaczone na mapie. Po drugie chroniło ją to przed psami. Widziała już nie raz sprytnych zwiadowców wykrytych przez psi nos. W dzikim górskim terenie pies odnajdywał ludzki trop dziecinnie łatwo.

Teraz przystanęła. Wyszła z wody i położyła na ziemi swój sprzęt. Odetchnęła z ulgą. Dźwigała swój karabin, rusznicę przeciwpancerną, plecak z nabojami i prowiantem oraz sprzęt maskujący i linę do wspinaczek górskich. Najbardziej przeszkadzała rusznica. Diabelnie ciężka, cholernie długa i parszywie nieporęczna. Podczas marszu zawsze jakiś jej element albo ją ugniatał, albo obijał. Jej długa lufa z odrzutnikiem haczyła o gałęzie. Najwygodniej niosło się ją przed sobą, trzymając w rękach, ale tak po prostu nie da się maszerować.

Wstawał błady świt, a ona patrzyła na rusznicę. Patrzyła na nią z nienawiścią. Od tej broni zależało powodzenie akcji. Była zbyt ciężka i zbyt duża, aby Zosia mogła z nią dojść na wyznaczone miejsce o czasie. Musiała coś wymyślić. Rozłożyła mapę i jeszcze raz prześledziła sytuację.

Most! No tak! Dlaczego ja zawsze najpierw widzę mosty? – Uśmiechnęła się do siebie w myślach. Ciekawe, jakiej jesteś konstrukcji bratku?

Podjęła szybko decyzję. Czas się kurczył i musiała działać. Jej sprzęt był zbyt ciężki, aby się z nim poruszać. Jednocześnie wiedziała, że zrezygnować z niego nie może. Wypatrzyła znak orientacyjny w postaci dużego, samotnego drzewa. Tam wśród odłamków skał i kamieni utworzyła schowek. Była tu pusta wilcza jama. Zosia poszerzyła ją do swoich wymiarów i dobrze zamaskowała. Ukryła w niej rusznicę i naboje oraz linę wspinaczkową i pałatkę. Zostawiła tu też buty i część prowiantu.

To według mapy najdogodniejsze miejsce do zastawienia pułapki – pomyślała. Góra, pod którą stała, mieściła się blisko drogi, wśród skalistych wzniesień.

W wilczej jamie zostawiła też buty i część prowiantu. Po odłożeniu wszystkiego poczuła, że jest wyjątkowo lekka.

– Karabin, który zawsze wydawał mi się ciężki, teraz po odłożeniu rusznicy jest lekki jak piórko! – Zaśmiała się sama do siebie.

Gdy pokonała kilka kilometrów, wypatrzyła podobne, choć karłowate, drzewo i ukryła w jego pobliżu swój karabin z nabojami i resztę jedzenia.

Pokonywała kilka kilometrów na godzinę. Biegła kilkaset metrów, potem dla uspokojenia oddechu przechodziła w marsz. Mogła w ten sposób biec cały dzień i pokonać kilkadziesiąt kilometrów, więc już po południu była w pobliżu mostu na rzece, który dawał alternatywną drogę dla czołgów nieprzyjaciela. To właśnie je miała zatrzymać. Wiedziała, że jeśli uda jej się zniszczyć ten most, niemieccy pancerniacy stracą alternatywę i będą zmuszeni jechać górską drogą w pobliżu miejsca, gdzie zostawiła rusznicę.

Sama proszę się o kłopoty. Miało być prosto i znienacka. Potem szybki odwrót. Chyba się przeliczyłam – myślała o swoim planie negatywnie, bo zobaczyła silnie strzeżony, potężny most.

**„Ołowiane zaspy, odbity fiolet na chmurach.
Coś się czai w lesie, wśród czarnych drzew.
Noc zjadła kolory wszystkie już.
Gdzieś z dala słychać szczekanie psów.”**

Postanowiła przespać się do wieczora. W jakiejś rozpadlinie umościła sobie legowisko ze ściółki. Drugą taką samą kupę ściółki nasunęła na siebie i w okamgnieniu zasnęła ze zmęczenia. Obudziła się, gdy było już całkiem ciemno. W jej głowie powstał plan wysadzenia podpory. Most był konstrukcji żelaznej, nitowany na łączeniach i osadzony na podporach poprzez stalowe walce, które wraz ze zmianą temperatury zmieniały swoją pozycję. To właśnie ten walec należało usunąć albo zniszczyć podporę. Jedno i drugie zadanie mógłby wykonać potężny wybuch. Materiałów wybuchowych na froncie nigdy nie brakowało, więc wypatrzenie potencjalnego składu nie sprawiło Zośce trudności. Snajperka musiała działać szybko i w tym celu postanowiła podkraść skrzynkę „ogórków” do mózdzierza. System odpalenia też miał się oprzeć na zapalniku mózdzierzowym, a konkretnie na spuszczeniu ogórka pionowo w dół na resztkę ładunków.

Podkrađa się do jednego z szańców obsadzonych armatą i innymi zabawkami. Zaczęła wymacywać ziemię wokół i znalazła to, co spodziewała się tu znaleźć.

Tu jesteś, bratku! – Pomyślała uradowana i finką przecięła wymacany kabel telefoniczny.

Zaczęła go nawijać na przedramię i gdy już jej się tam nie mieścił, obcięła jego drugi koniec. Zniosła go na brzeg rzeki i położyła w pobliżu wysokiej kępy sitowia, aby go łatwo znaleźć.

Było już pewnie po północy i Zosia nie traciła czasu na odpoczynek. Musiała z powrotem podkraď się do szańca, lecz teraz postanowiła zrobić to od strony rzeki. Zakładała, że tamtędy przebiega szlak zaopatrzeniowy i to właśnie z tamtej strony nikt nie spodziewa się nieprzyjaciela.

Weszła w rzeczny muł. Jej stopy najpierw lekko grzęzły, aby za chwilę znaleźć oparcie.

Znowu nałapię pijawek – przemknęła jej przez myśl ostatnia przygoda w rzeczonym mule. I pomyśleć, że gdybym urodziła się w domu muzykanta, to teraz pewnie grałabym w domu na pianinie. – Uśmiechnęła się do swoich myśli i weszła do lodowatej, czarnej wody.

Wyszła na brzeg. Pod sam szaniec się czołgała, by nikt jej nie zauważył. Twarz wysmarowała wcześniej mułem, a na głowę położyła kępę wodorostów. Wyglądała jak utopiec albo rzeczny potwór z bajek, a na pewno wystraszyłaby każdego, kto zobaczyłby ją w świetle księżyca.

Obsada szańca zapewne spała, lecz ktoś także pełnił wartę. To właśnie wartownik stanowił element mogący napsuć Zośce najwięcej krwi. Winnetou z powieści, jakie czytała w szkole, likwidował bezgłośnie wartowników. Pisał jednak o tym człowiek, który nigdy tego nie doświadczył.

Zosia wyczuwała niebezpieczeństwo. Wyostrzyły się jej zmysły, a adrenalina dodała sił. Doskonale rozumiała, że bezgłośnie pokonanie wartownika jest praktycznie

niemożliwe. Wybrała inną metodę. Chciała odciągnąć wartownika od szańca na jakiś czas i wtedy ukraść pociski.

Wymacała kamień wielkości kurzego jajka i rzuciła daleko od szańca. Kamień upadł w trawę z lekkim łoskotem. W ślad za nim rzuciła drugi, mniejszy, który upadł trochę bliżej.

Nagle tuż obok niej z ciemności wyłonił się hełm. Człowiek, który go nosił, najpierw powoli wystawił karabin za szaniec, a potem równie powoli wyjrzał w noc. Zośka skoczyła jak żbik. Jednym susem. Finka wykonała cios, w który włożyła siłę obydwu rąk. Ciałem przygniotła wartownika do worków z piaskiem.

Zrobiła to bezwiednie i instynktownie! Bez zastanowienia jak polujący na mysz kot, lecz w tym przypadku mysz była trochę większa od kota. Wartownik odepchnął się od worków, czym prawie pozbawił ją równowagi. Ugięła się błyskawicznie na nogach, aby nie upaść. Trzymała pewnie mokrą od krwi finkę, więc szybko pchnęła jeszcze raz. W drugie płuco, a potem jeszcze szybciej w serce. Wartownik skończył cicho.

Nie bawiła się w rozpinanie guzików. Obcięła finką. Zdjęła pas, kurtę i hełm z wartownika. Założyła to wszystko na siebie i wyglądała jeszcze pokraccniej niż z wodorostami na głowie. Miała tylko nadzieję, że gdy w nocy ktoś ją zobaczy, to znajomy kształt hełmu choć na moment uśpi jego uwagę.

Rozejrzała się za skrzynkami z amunicją moździerzową. Stały równo poukładane obok dłuższych skrzynek z amunicją artyleryjską. Niecałe sto metrów dzieliło ją od przęsła, które chciała wysadzić. Z wrodzonego łakomstwa wzięła dwie skrzynki z ogórkami. Tak naprawdę nie wiedziała, ile materiału wybuchowego wystarczy do wybicia walca podtrzymującego konstrukcję. Na wszelki wypadek wzięła tyle, ile mogła udźwignąć. Pierwsze dziesięć kroków zrobiła jeszcze raźnie, ale każdy następny wydawał się wyzwaniem ponad siły. Serce waliło jej mocno, a mięśnie ud i łydek po prostu wpadały w drgawki z przemęczenia.

Przystanąła na chwilę w połowie drogi, ponieważ nie mogła zmusić swoich mięśni do dalszej pracy. Gdyby ktoś przez przypadek chodził po moście, byłyby martwa.

Wyciągnęła z bocznej kieszeni suchara i ugryzła kawałek. Gryzła go i czuła, jak miesza się ze śliną i nabiera słodkiego smaku. Po chwili poczuła przypływ energii.

W tym czasie od strony pobliskich zabudowań nadeszła zmiana warty. Żołnierze nie usłyszeli hasła. Skradali się do szańca, ale wartownika nigdzie nie było. Rozprowadzający zapalił na chwilę latarkę elektryczną, w której świetle zobaczył rozebranego do połowy i zlanego krwią żołnierza.

Ten błysk latarki ocalił Zośce życie. Zobaczyła go kątem oka i zrozumiała, że szczęście trwa tylko chwilę. Chwyła skrzynki i z półprzysiadu powstała. Biegła. Biegła pokraccniej od gęsi, ale biegła. Gdyby wiedziała, że jedną skrzynkę dźwiga zawsze dwóch mężczyzn, zapewne wzięłaby jedną. Tylko z niewiedzy i wiary we własne siły udał jej się ten wyczyn. Dobięła na miejsce, prawie upuszczając ciężar. Skryła się za metalowym elementem, kiedy na moście rozbłysły wszystkie światła, a wartownicy ogłosili alarm.

Zośka zmęczona do granic wytrzymałości teraz usiadła i dokończyła jeść suchara.

Gdzie jest źródło niewyczerpalnej energii?

W deszczowy i wietrzny poranek lekcja strzelania przebiegała bardzo ciekawie. Zośka trafiała cele do dwustu metrów, natomiast dalej jak gdyby pociski rozplywały się w powietrzu.

Ojciec z zaciekawieniem obserwował granicę „niemożliwości”, jaką postawiła sobie córka. Przed następnym przeładowaniem karabinu powstrzymał ją, kładąc rękę na zamku.

– Coś jest nie tak z twoją psychiką. Jesteś roztargniona, zdenerwowana czy za mało skupiona?

– Coś mnie zdenerwowało, a teraz powstała jakaś blokada. Nie mam siły z tym walczyć. Chcę przerwać strzelanie, bo dzisiaj już nic z tego nie wyjdzie.

– Dobrze. Zakończmy trening i zrobmy dzisiaj coś, co nam wyjdzie.

Poszli do domu, gdzie Zośka wyczyściła karabin, a Telesfor rozwiesił mokre ubrania. Warzywna zupa dochodziła na piecu i ojciec rozłożył talerze i łyżki do obiadu.

Zjedli ciepły posiłek, po którym ojciec zaczął czytać czasopismo wydawane na uniwersytecie. Były tam ciekawostki i ostatnie odkrycia ze świata nauki. Przypomniało mu to coś, ponieważ odłożył gazetę i zagadnął do córki.

– Zmęczył cię dzisiejszy trening. W zasadzie pokonał. Co mogłabyś na to zaradzić?

– Poczułam się w pewnym czasie zmęczona. Zmęczona tą pogodą, tym, że mi nie wychodzi, ale to chyba tak jest? Sam mawiasz, że w przyrodzie po produktywnym lecie przychodzi zima. Wtedy przyroda wypoczywa i nabiera sił na kolejny sezon.

– Tak.

Uśmiechnął się delikatnie pod wąsem. Jego córka nie zareagowała gwałtownie na jego opinię o tym, że się poddała. Znaczy to, że nie daje się podpuścić. Teraz odpowiada mądrością z innych lekcji. Dobrze, zobaczymy, czy da się pociągnąć to dalej.

– Ale jak by trzeba było? – kontynuował swoją myśl. – Jakby zaszła potrzeba chwili? Wyższa konieczność, na przykład pożar czy wojna. Nie wymawiałabyś się, że jest zima i musisz odpocząć.

Zośka oparła głowę na położonych na płask rękach. Patrzyła jadownicę i przenikliwie na ojca. Wiedziała, że już uderzył, czuła, jak cios leci w jej kierunku, ale nie wiedziała, gdzie trafi.

– Taaak. Wyższa konieczność powoduje najczęściej wyrzut adrenaliny i nagle zaczynasz biec szybciej od konia albo dźwigasz kłodę, którą wcześniej dźwigało czterech mężczyzn.

– Tak, czyli jesteśmy w stanie sięgnąć do pokładów ukrytej gdzieś energii.

– Jakoś jesteśmy w stanie sięgnąć gdzieś. Powinieneś zostać filozofem, a nie cieslą – powiedziała z uśmiechem córka, która zauważyła, że myśl wypowiedziana przez ojca jest tak górnolotna, że wręcz niezrozumiała.

– Ha! Ha! Filozofię też mieliśmy na akademii. To właśnie filozofia określa kierunki rozwoju. Naukowcy poszczególnych specjalności najpierw wysnuwają teorie, a potem próbują to udowodnić matematycznie i doświadczalnie. Tak właśnie powstała teoria

Wielkiego Wybuchu. Do niedawna ludzie myśleli, że Wszechświat jest stały, niezmienny. Pojawiają się jednak wyniki wielu badań fizyków, że być może jest zupełnie inaczej. Pomyśl, skąd wzięła się tak potężna energia, która wypchnęła potężne galaktyki w kosmiczną podróż?

– No skąd? Po prostu tam jest. Powiedz po prostu, do czego zmierzasz. – Uśmiechnęła się do niego, ponieważ wiedziała, że trzyma coś w zanadrzu. Gniecie i miętosi, i nie potrafi wypuścić tego w zrozumiałej dla prostego słuchacza formie.

– Otóż są energie jeszcze większe niż te uwalniane przez adrenalinę. Te energie już są opisane. Na przykład Mojżesz cofnął wody Morza Czerwonego, które załazy potem ścigające go wojsko. Jezus potrafił chodzić po wodzie.

– Nie, nie i jeszcze raz nie. Nie myl religii z fizyką. To dwie różne dziedziny.

– No przecież twórca maszyny parowej musiał najpierw w nią uwierzyć. Twórca samolotu również. Przecież gdy Lilienthal zginął, próbując oblatać szybowiec, wszyscy twierdzili, że jest to dowód potwierdzający, że maszyna nigdy nie będzie latać. Teraz czytam, że w atomie jest tak potężna energia, że gdyby umieć ją pozyskać, mogłaby napędzać olbrzymie statki bez potrzeby wykorzystania paliwa, węgla czy ropy. To kwestia wiary. Potem się ją realizuje. Ktoś uwierzył w to, że wejdzie na wysoki i stromy szczyt, a ktoś inny nie. Ten kto uwierzył, wszedł, a kto nie uwierzył, nie wszedł.

– Czyli chcesz chodzić po wodzie i utrzymywać fale w ryzach. – Uśmiechnęła się z politowaniem.

– Fale już trzymamy. Budujemy przecież tamy, które w sobie mają elektrownie i stamtąd energia wody płynie falami jako prąd. – Teraz on się uśmiechnął. – Jak sięgniemy sto lat wstecz, to wszystko, co nas dzisiaj otacza, prąd, samochody, samoloty, radio, kina, zdjęcia rentgenowskie, uznano by za czary. Dzisiaj w naukowej gazecie piszą o matematycznych dowodach na olbrzymią energię ukrytą w atomie, a ty zachowujesz się właśnie jak taki człowiek z zamierzchłej epoki, uważasz, że to nie prawda. Otwórz więc swój umysł. Pomyśl o rzeczach, które tylko ci się zamarzają, a zobaczysz, że je osiągniesz.

Telesfor spokojnym i rzeczowym głosem dotarł do wyobraźni córki, która czytała powieści fantastyczne i znała ich wpływ na późniejsze osiągnięcia naukowe. Wiedziała, że wyobraźnia kroczy przed postępem, a ojciec nigdy nie karmił jej błahymi plotkami.

– To co z tą energią? – zapytała z zainteresowaniem i skruczą jednocześnie.

– To czasopismo uniwersyteckie przysłał mi kolega ze studiów. Był wspaniałym przyjacielem i jeszcze lepszym matematykiem. Dzisiaj pracuje na uniwersytecie jako astrofizyk. Pisze mi w liście, że ludzkość jest na progu epokowego odkrycia niewyczerpalnego źródła energii. Nie wiedzą, jak się do niej dostać, ponieważ jej źródłem ma być atom. A to diabelnie mały element. – Przerwał na chwilę i popatrzył na córkę z uśmiechem. – Ja, choć nie jestem astrofizykiem czy matematykiem, zauważam inną energię w przyrodzie. Tak potężną, że ta z atomu może jedynie poświecać jak kaganek na słońcu. Tą energią jest ludzka wyobraźnia i ludzka wola.

– Czyli dzisiejszy trening nie wszedł, ponieważ taka była moja wola?

– Właśnie tak. Tylko twoje nastawienie wywołuje efekt. Chcesz strzelić, strzelasz. Chcesz trafić, trafiasz.

- *Mypsiłsi, że dzisiaj tak sobie od niechceni nie chciałam trafić?*
- *Nie. Mówię tylko, że w ciężkich warunkach trzeba sięgnąć po głębsze pokłady energii, a gdy wykonanie przekracza granicę możliwości, trzeba sięgnąć po wiarę.*
- *Po wiarę. Mhm...*
- *Tak. Z wiarą zrobisz wszystko.*



Niemcy umieli wojować. Mieli za sobą doświadczenia Wielkiej Wojny i posiadali świetne szkoły wojskowe, które w mistrzowski sposób kształciły odruchy i zachowania żołnierzy. Ci, którzy przyszli zmienić kolegę na warcie, już po chwili zauważyli, że brakuje skrzynek amunicji i że osoba atakująca wartownika wyszła z wody. Po brzegu rzeki rozeszły się patrole, a most co chwila omiatał snop światła z reflektora przeciwlotniczego.

Zosia tymczasem rozpoczęła przenoszenie ładunków. Wszystko wykonywała metodycznie. Wiedziała, że w nocy rządzi światło i cień. Jeśli wpadnie w snop światła, nic jej nie uratuje. Natomiast w cieniu jej brudna od mułu postać stanowi część ciemnej nocy.

Za niemiecki, żołnierski pas zawieszała po dwa moździerzowe ogórki i tak schodziła po elementach mostu aż do wymurowanej podpory.

Tę drogę pokonywała wielokrotnie, aż wszystkie pociski i obydwie skrzynki zniosła na podporę. Na niej osadzone były dwa olbrzymie stalowe walce, wspierające most. To, że były dwa, ułatwiało sprawę ich wysadzenia. Nie widziała tego z brzegu, gdyż była za daleko, ale teraz jej misja naprawdę miała szanse powodzenia. Gdy pociski leżały zakleszczone pomiędzy walcami, zaczęła odbezpieczać ich ładunki. Ostatni pocisk pozostawiła zabezpieczony obok. Ten miał posłużyć jako zapalnik detonujący cały ładunek.

Teraz szybko zeszła do wody po metalowej drabince. Poranna mgła, która teraz zaczęła zsuwać się z pagórków wysokich brzegów rzeki, sprzyjała powodzeniu akcji. Brodziła w przybrzeżnym mule, aż dotarła do kabla telefonicznego, który schowała tutaj wcześniej. Ledwie go znalazła, ponieważ mgła zaczęła gęstnieć i ograniczyła widoczność prawie do zera...



Dowódca niemieckiego batalionu ubierał się powoli. Wiedział, że jego wojsko zrobi wszystko, aby zapobiec kryzysowi. On musiał przemyśleć sprawę. Czuł, że chodzi o most. Zresztą jego dwie kompanie były tu tylko po to, aby mostu bronić. Nagle drzwi do pokoju się otworzyły i bez pukania wszedł adiutant. Wdzięcznie strzelił obcasami.

- Nie wydziwiał mi tutaj. Mów o sytuacji. - Burknął do swojego brzucha dowódca, bo właśnie zapinał ostatni guzik marynarki.

– Ktoś zlikwidował wartownika i z posterunku na lewym brzegu rzeki przy moście ukradł dwie skrzynki pocisków moździerzowych.

– Dwie skrzynki? – Mruknął do siebie, zapinając pas. – Dwie skrzynki. To duży ciężar. To jest grupa dywersyjna. Przyszli wysadzić most! – Jego gniew i strach narastały wraz ze świadomością tego, co się dzieje. – Wiedzą o naszych ładunkach, którymi go zaminowaliśmy! – Nagle rozbudził się i oprzytomniał. Wpadł w popłoch i paniczny strach. – Wołaj wszystkich do patrolu na moście!!! Wszystkich!! Kucharzy, sanitariuszy!! – Po chwili zawahania ryknął: – I księdza!



Czarnowłosa brnęła przez muł i wodorosty. Jej namoknięte stopy doznawały uszkodzeń od zwykłych muszli rzecznych małży. Próbowwała płynąć, lecz kabel telefoniczny był jak worek cementu.

Słyszała na moście tupanie i wydawane rozkazy. Wehrmacht szykował się do boju. Ona tymczasem niezauważona dotarła do drabinki. Nie wiedziała, że jej niebywałe szczęście jest spowodowane tym, że Niemcy pilnują ładunków, które sami podłożyli. Teraz myśleli, że atak ma być skierowany właśnie na ładunki, dlatego nie pilnowali przybrzeżnych podpór.

– Koozi bobek – zaklęła pod nosem, ponieważ drabinka była zamocowana pół metra za wysoko, by mogła jej swobodnie dosięgnąć. – Przypływają tutaj łodzie, więc ja mam teraz głowę, gdzie oni zazwyczaj nogi.

Musiała działać. Zauważyła, że uderzające w podporę przez lata fale dokonały na niej zniszczeń w postaci wyłobień i innych niewielkich wklęsłości. To była jej szansa. Wgłębienia posłużyły jej za uchwyty i tylko dzięki jej nieprawdopodobnej sprawności złapała najniższy szczebel drabinki. Poranek był coraz bliżej, więc nie marnowała czasu: zaczęła rozwijać kabel i sukcesywnie się wspinać. Przełożyła końcówkę kabla przez element mostu, a do niej uwiązała pocisk.

Teraz piorun! – pomyślała, zdejmując zabezpieczenie z zapalnika. – Już ja wam mostek zrychtuję tak, jak wy nam w Grabowie.

Zrównnoważyla ciężar pocisku, silnie utrzymując drugi koniec kabla. Ostrożnie zaczęła zsuwać się po drabince.



Poranna, zimna mgła zaczęła wciskać się pod jego mundur. Daszek czapki nasunięty na oczy maskował jego złość i niemoc. Dowódca batalionu strzegącego mostu uderzał nerwowo rękawiczkami w poręcz. Żołnierze świecili latarkami, schodzili po elementach konstrukcji, aby sprawdzić ładunki i nic.

– Spuściliśmy łódź na wodę, ale w tej mgle nic nie widać. – Adjuant przypominał o dodatkowych działaniach. – Może to fałszywy alarm? Może to tylko jakiś przypadek, że ktoś ukradł nam pociski?

– Na froncie nie ma przypadków. Pomyśl! Ładowałbyś się na pewną śmierć dla dwóch skrzynek pocisków? – Pokręcił ze złością głową. – To nie przypadek, a ta mgła niweczy całą naszą ochronę.

Ochrona szwankowała jeszcze z innego powodu. Wojsko, pomimo że zaprawione w boju, nie bardzo pragnęło chodzić po zaminowanym moście, który za chwilę może eksplodować. Biegali, krzyczeli, celowali z karabinów do urojonych postaci, ale tak naprawdę patrzyli za porządną kryjówką. Ten czynnik najbardziej sprzyjał snajperce, która teraz opływała podporę z napiętym w rękę kablem, na którym wisiał ładunek z odsłoniętym zapalnikiem.



– Musimy jechać górami. Miejscowi partyzanci wysadzili most, po którym mieliśmy dotrzeć na front. – Dowódca kolumny marszowej czołgów przedstawiał sytuację swoim podkomendnym.

– Te patafiany z piechoty nawet własnego tyłka nie upilnują! – Kapitan z blizną na twarzy i niemalym doświadczeniem wojennym kipiał ze złości.

– Nie ma co się denerwować. Będziemy jechać także nocą i stracimy przez to najwyżej jeden dzień. – Dowódca, także doświadczony frontowiec, nigdy nie był pesymistą. – Droga górską jest bezpieczniejsza od mostu. Pomyślcie, co by się wydarzyło, gdyby wysadzili go podczas naszej przeprawy.

– Nie martwi mnie most. Martwi mnie to, że grasuje tu skuteczna banda sabotażystów. Teraz są jeszcze podbudowani sukcesem. To niebezpieczny teren. Robi się tutaj gorąco.

– Dlatego trzeba ruszać zaraz. Zostawić w górskim pyle całą tę bandę i przełamać linię frontu. Tam staniemy z przeciwnikiem oko w oko. Tam pokażemy, co umiejemy nasze działa. – Dowódca z licznymi baretkami na piersi i Krzyżem Żelaznym na wstędze podniósł głowę znad mapy i spojrzał w oczy swoich podkomendnych. – Do wozów! Ruszamy!



Nie wytrzymała wewnętrznego napięcia. Wypaliła za wcześnie! Kolumna jeszcze nie ruszyła! Straciła sekundę, a może dwie. Przeładowała i wypaliła powtórnie teraz do ostatniej cysterny. Już wszystkie oczy wroga szukały jej lufy. Czas zaczął igraszki z losem. Przeładowanie rusznicy to tylko chwila, lecz dla niej wszystko szło za wolno.

Teraz zapalające!

Pierwsze pociski miały tylko rozerwać płaszcze cystern i porozlewać paliwo. To lotna benzyna! Tutaj nie trzeba dużej temperatury zapłonu. Już wieże czołgów zaczęły obrót w jej stronę. Nerwy zaczęły rządzić jej ciałem. Strzał zapalający nie trafił.

No jasne, te pociski mają inną trajektorię, a na tak olbrzymim dystansie nie ma mowy o błędach! Poprawka!

Nerwowo przeładowała. Wprowadziła kolejny długi nabój. Strzał! Na moment wszystko zniknęło z pola widzenia. Broń podskoczyła. Po kilku sekundach pocisk doleciał do celu.

– Jest!

Pierwsza cysterna płonęła. Nie traciła czasu na obserwacje. Zmieniła trochę pozycję i strzeliła do ostatniej cysterny. Efekt był identyczny. Czy zdołają swoim ogniem odpalić resztę? – zastanawiała się chwilę. Załadowała podkalibrowy. Strzał padł natychmiast. Nie zdążyła załadować zapalającego. Wokół niej rozpętało się piekło.

Pierwszy namierzył ją zabezpieczający tyły żołnierz, po szybkości określenia pozycji strzelca Zofia założyła, że nie był to jego pierwszy bój. Ogniem wskazał innym czołgom cel. Świat zniknął w kakofonii wybuchów i wyrzuconej w górę ziemi.

Dziewczyna rzuciła rusznicę ze skały, aby się uszkodziła i nie posłużyła wrogowi. Wiedziała, że po wykryciu jej stanowiska broń nie będzie jej już do niczego potrzebna. Pędem pobiegła do liny. Jak szalona, ognista burza pociski rwały wierzchołek góry. Odłamki skał i płaszczy pocisków gwizdały wokół jej głowy. Huk trotylu ogłuszył ją na dobre. Fale uderzeniowe przyprawiały o wymioty. Upadła. Gorący podmuch wbił w jej twarz tysiące ziaren piasku i odłamków. Podczołgała się do krawędzi. Chwyciła linę. Jeszcze zdążyła zobaczyć płonącą środkową cysternę. Widocznie dziurawa pociekała tak mocno, że odpaliła się sama.

Zsuwała się po linie. Nie pamiętała o bólu rąk. Nie wiedziała, że ramię od strzałów z rusznicy przypomina raczej bity kotlet schabowy niż zdrowe, dziewczęce ciało. Zsuwała się tak, jakby gnały ją wszystkie diabły. Pociski nie zagrażały już jej bezpośrednio, ale nadal któryś mógł trafić w linę lub tylko zniszczyć drzewko, do którego była przywiązana? Uratowała ją odległość. Ostrzał prowadzony z ponad kilometrowej odległości nie był z początku celny.



Kilka godzin wcześniej nic nie zapowiadało tak szybkiego finału. Wspięła się na wierzchołek góry. Leżała wtedy na ziemi po ciężkiej wspinaczkę. Jej mięśnie drgały, a tętno, mimo że spokojne, było wyraźne i odczuwalne. Coś ją uwierało, ale nie miała siły się obrócić ani poprawić. Czowała, jak krew dopływa do każdego czubka palców, jak wdychane powietrze wypełnia każdy centymetr sześcienny płuc. W głowie kłębiły się myśli i wizje, ale wtedy jeszcze nie wiedziała, że to tylko rozgrzewka.

Właśnie weszła na skalisty szczyt po pionowej niemalże ścianie. Bez żadnego zabezpieczenia, bez odrobiny gwarancji na przeżycie. Pewnie ta ściana mogłaby posłużyć za treningową dla alpinistów, ale ona nie miała żadnego doświadczenia. Miała za to nieporęczną i ciężką rusznicę, kopę nabołów, manierkę z wodą i nieodłączny nóż: balast, który w górach bardzo ułatwia wspinaczkę.

Przewróciła się na plecy. Zaraz umrę! – pomyślała z przekąsem. Teraz dla odmiany uwierał ją nóż. Ostrożnie usiadła. Ból mięśni nie pozwolił na szybkie ruchy. Z niemałym trudem przejrzała broń. Skała nie zemściła się na broni tak jak na niej. Z bocznej

kieszoni spodni wyciągnęła suchara. Odgryzła kawałek i pozwoliła, aby powoli się rozpuszczał w ustach. Był twardy jak kora drzewa, ale po takim wysiłku smakował jak wyborny placek. Popatrzyła na dłonie. Zdarłe i pocięte skałami opuszki palców tętniły bólem, ale ten jeden najważniejszy palec wydawał się mniej poszarpany. Zawsze, nawet w najgorszej sytuacji, widziała jakieś pozytywy. Uśmiechnęła się.

Wstała i zaczęła wciągać ekwipunek. Jeszcze stojąc na ziemi, przywiązała sobie koniec liny do paska, a na drugim końcu przymocowała ekwipunek. Gdy weszła na szczyt, wciągnęła wraz z liną resztę ciężkich rzeczy. Linę spuściła z powrotem. Była to jej asekuracja i droga powrotna. Umocowała koniec liny do rachitycznego drzewka. Starła się zapamiętać to miejsce, aby podczas odwrotu bezbłędnie tutaj trafić. Do swojego ubrania oraz do siatki maskującej dodała kawałki tutejszej roślinności. Starannie zamaskowała lufę wyposażoną w potężny odrzutnik. Teraz przypominała małą, położoną wiatrem kosodrzewinę. Ostrożnie przemaszerowała do drugiego stoku. Końcówkę drogi pokonała czołganiem. Podłożyła na swoje stanowisko kilka garści mchu a pod broń torbę z amunicją.

Umocowała siatkę maskującą tak, aby nie przeszkadzała i wtapiała się w otoczenie, symulując roślinność. Przygotowała broń do strzału. Rozłożyła zeszyt i ołówkiem naszkicowała widoczny krajobraz. Określiła odległości od charakterystycznych punktów. Gdy słońce zaczęło przygrzewać przez oczka siatki, zasnęła. Był to sen krótki, pełen niespokojnych wizji. Jej ciało podrygiwało, a usta bezgłośnie wypowiadały słowa. Obudziła się pełna niepokoju.

Ile spałam? Około godziny? Co mnie ominęło? Czy coś mnie obudziło? Leżała bez ruchu i zmysłami sprawdzała otoczenie.

Jest! Na przeciwnym zboczach błysnęło. To nieostrożny żołnierz zapomniał, że słońce świeci w twarz. Błysnęły szkła lornetki albo menażka podnoszona do ust. Zaczęła przeszukiwać ten rejon przez celownik optyczny broni. Nie widziała nic podejrzanego.

Zaraz, zaraz. Co to może być? Kilkanaście kamieni ułożonych było tak, jak gdyby zrobiła to ręka ludzka. Przyglądała się temu fragmentowi zbocza. To czujka? Transzeja czy stanowisko ogniowe? Próbowwała sobie wyobrazić niewidoczne fragmenty kamiennej konstrukcji. Na wąskiej, górskiej drodze, którą widziała, musiały być przecież jakieś punkty ogniowe. Naniosiła to na swój plan terenu i oznaczyła odległość. Powoli wzięła łyk wody z manierki.

Czekanie. W zajęciu snajpera to ono najbardziej przeraża i wyczerpuje. Myśli, które wtedy przychodzą do głowy, wspomnienia. Czasem, gdy czekanie jest długie i wyczerpujące, przychodzą majaki i omamy. Snajper leży. Nie może nawet drgnąć z obawy przed wykrzykiem. Jego mięśnie najpierw bolą, a potem przychodzi stan jeszcze gorszy. Braku czucia kończyn i wewnętrznego bólu. Wtedy przychodzą wizje. Przeciążony system nerwowy oszukuje. Zapada w chwilowe drzemki, które przenoszą sny do świata rzeczywistego. Trzeba być naprawdę umysłowym siłaczem, aby pokonać te zjawiska.

Ona chciała się poddać. Była przecież romantyczną marzycielką wychowaną w spokoju na wsi. Dla niej wojna znaczyła śmierć psychiczną. To ten tragiczny konflikt mocarstw zniszczył cały jej świat, który kochała i w którym umieściła swoje jestestwo. Teraz czuła się jak zbląkana dusza. Tu i teraz stanowiło dla niej więzienie umysłu. Miłość, zaufanie, radość, spokój zostały w świecie bez wojny. Na froncie żyła strachem, niepewnością, nienawiścią i zemstą. Każdy dzień przynosił cierpienia fizyczne i psychiczne.

Chyba wyjdę na mały spacer – opanowała ją chęć poruszenia zboląłego ciała. Znajdowała się na szczycie góry, więc jej ruchy można było dostrzec tylko z samolotu.

Bardzo ostrożnie wysunęła się spod pałatki i siatki maskującej, odczołgała się dalej. Wstała, rozciągała mięśnie i masowała odleżane części ciała. Nazbierała miękkiego mchu, aby uzupełnić swoje legowisko.

Z góry roztaczał się niesamowity widok. Obłoki goniły po niebie, przyjmując fantastyczne kształty. Górzysty krajobraz rozświetlony promieniami słońca przenikającymi tu i ówdzie przez chmury porażał niezliczoną ilością barw i światłocieni. Żywy obraz malowany na bieżąco ręką Boga zapierał dech i zachwycał!

Nagle jej bystre oczy ujrzały ruch. Nie falujących drzew, ale czegoś, co nie pasowało do krajobrazu!

Czołgi! – przemknęło jej przez myśli. Nie spodziewała się ich tak szybko. Musieli jechać nocą. Śpieszy się wam! Zobaczymy, co można na to zaradzić? Wzięła do ust ostatnią część suchara i jak wąż wśliznęła się pod siatkę.

Nie słyszała dobrze silników, ale jej wyobraźnia wyświetlała obraz czołgów jadących wąską górską ścieżką. Czołgów, wozów pancernych, a za nimi cystern z paliwem! Celu jej wielkokalibrowej rusznicy. Atak tej jednostki miał być zaskoczeniem na linii frontu, lecz jej obecność trochę zmieniała te plany. Nikt nie spodziewał się na tyłach snajpera z rusznicą. Dla czołgistów walka dopiero miała nadejść, więc nie przygotowywali się do boju w czasie przejazdu przez teren kontrolowany przez własne państwo. Czuła, że takie akcje z zaskoczenia to jej żywioł, chociaż były bardzo niebezpieczne... a może właśnie dlatego?

Kolumna na górskim szlaku poruszała się bardzo wolno. Najdrobniejsza pomyłka kierowcy mogłaby spowodować kraksę lub upadek z dużej wysokości. Kierowcy byli obcy ze swoimi maszynami i umieli nad nimi zapanować nawet w tak trudnych warunkach. Właśnie wyłaniali się zza wzgórze. Z tej odległości nawet przez lunetę widziała niewiele, ale jej wyobraźnia dodawała szczegóły. Twarze kierowców i dowódców wozów pokrywała gruba warstwa skalnego pyłu. Dowódca kolumny z licznymi odznaczeniami stanowił dobry cel dla każdego snajpera z innym zadaniem. Jednak dzisiaj jechał dalej nieświadomy swojego zagrożenia. Wreszcie wyjechały cysterny. Od tyłu ubezpieczała je lżejsza i zwinniejsza pantera. Kolumna na chwilę zatrzymała się przy punkcie kontrolnym, chyba tylko dla formalności. Dowódca czołgów wysłuchał meldunku i miał ruszyć dalej, gdy po górskich stokach poniosło echo wystrzału.

Oddała go młoda dziewczyna, samotna na tyłach wroga. Zmęczona, głodna i wystraszona, ale jej strzały okazały się gwoździem do trumny dla całego pancernego batalionu.



Roztrzaskam się o skały! – przemknęło jej przez myśl. Zsuwała się po linie dużo wolniej, niż chciała. Teraz występy skalne, tak pomocne przy wspinaczce, raniły jej ciało. Odłamki leciały gęsto. Góra drżała od ostrzału, lecz ona była już na ziemi. Żlebem wśród skał zbiegała dalej. Zasięg dział czołgowych był ogromny, jednak teraz mogła poczuć się bezpieczniej. Jedyne realne dla niej zagrożenie mógł stanowić w tej chwili snajper albo pies tropiący. Zacięty łowca głów, który ruszyłby jej śladem, aby wyeliminować tak groźnego żołnierza. Czy mają snajpera w batalionie czołgów?

Gubimy ślad. Gubimy ślad... – powtarzała sobie w myślach, stąpając tylko po skałach i kamieniach. Po przebiegnięciu niemal kilometra weszła w zimny, górski strumień i zaczęła drogę powrotną. To na wypadek psów tropiących.

Prawie u podnóża góry, z której strzelała, miała przygotowaną kryjówkę.

Taaak. Tutaj się mnie nie spodziewacie. Za jej kryjówkę miała posłużyć wilcza nora, którą tylko niewiele powiększyła. Rozsypała dookoła mielony pieprz, który sprawdzał się jako odstraszacz zwierząt, choć tylko w warunkach suchych. Wśliznęła się potem do środka, a wylot nory zasłoniła kamieniami. Sąsiedztwo strumienia zapewniało świeżą wodę.

Podłożyła dłoń pod głowę i natychmiast zasnęła.

Spała pewnie dłużej niż dobę. Obudził ją ból ramienia, głowy i przeraźliwy pisk w uszach. Odczuwała też ogromny głód, ale to akurat nie konkurowało z dolegliwościami. Wydawało jej się, że obojczyk uległ złamaniu albo wypadł ze stawu. Torturował ją uciążliwy pisk w uszach, przez co nic nie słyszała. Jesliby nawet teraz pociski spadały tuż przed jej kryjówką, poczułaby tylko drganie ziemi.

Kuuurka wodna! Co z moim ramieniem? Boli, jakby ktoś próbował je wyrwać! Kuuurczę, nie wytrzymam! Zagryzała wargi do krwi. Wypalałam się, to pewnie nie zasnę teraz kilka godzin. Co ja w takim bólu zrobię do następnego zaśnięcia?

Między korzeniami na powale kryjówki miała schowane rurki z ostu górskiego. Rurki zgrabnie włożyła jedną w drugą, a tę w trzecią i powoli wysunęła ze szczeliny pomiędzy kamieniami. Teleskopowa rurka natrafiła na kaskadę strumienia. Ożywcza, chłodna woda popłynęła cienką strużką. Zmoczyła obolałe ramię. Piła ją powoli drobnymi łykami. Nie za dużo, bo będą sikać. W tej jamie nie będzie to przyjemne.

Ugryzła chleb i wędzoną słoninę. Schowane tutaj przed akcją. Plaster słoniny miała zwinięty w rulonik, a w nim młode liście pokrzyw. Na wojnie jadło się wszystko, co przynosiło korzyść dla organizmu. Przeżyła wolno i poszukała wygodnej pozycji. Znowu na chwilę zasnęła. Obudziła się, kiedy przez szczeliny w kamieniach nie przeswitywało mocno światło. Znów coś przekąsiła. Popiła wodę. Ból i piszczenie nie ustępowały.

Aby zabić czas, wyobrażała sobie swoje przyszłe życie. Była w nim żoną pięknego, przystojnego oficera. Mieszkała w dużym domu w centrum miasta. Chodziła na zakupy do wystawnych sklepów i krawieckich domów mody. Wszędzie jej się klaniano i darzono ją szacunkiem. Po południu dzieci wróciły ze szkoły. Miała ich dwoje, chłopca i dziewczynkę. Do wieczora uczyła dzieci jazdy konnej i obchodzenia się ze zwierzętami. Wieczorem po wspólnej kolacji udała się do sypialni... Zasnęła. Spała długo i niespokojnie. Obudziła się w środku nocy.

Kontrola stanu zdrowia. Co ustępuje? Ramię chyba troszkę mniej boli, piski jakby mocniejsze – rozmawiała bezgłośnie sama z sobą. Czemu boli mnie teraz wszystko?

Rzeczywiście jej ciało było całe posiniaczone przez odłamki i ziemię oraz z powodu upadku i forsownego zmagania z wysokością góry. W jedną, a potem w drugą stronę. Dłonie piekły od sznura, a stawy bolały od wysiłku.

W jamie było duszno i niewygodnie. Stawonożni sublokatorzy wchodzili pod ubranie, we włosy i wszędzie tam, gdzie nie powinni. Nie miała siły ich rozgniatąć. Postanowiła wyjść. Zrobiła to bardzo ostrożnie, ale obolałe ciało ledwo poradziło sobie z kamieniami i czołganiem.

Wyciągnęła się jak kot po drzemce na zapiecku i zwinęła się z bólu. Mało nie upadła. Ramię bolące do granic wytrzymałości pozbawiło ją sił. Usiadła. Powoli wsunęła dłoń pod koszulę. Ręka i bark były gorące i napuchnięte.

To od rusznicy – pomyślała. Strzały z kalibru 12,7 mm nawet na wytrzymałych i silnych mężczyznach pozostawiają bolesne pamiątki. Pamiętała treningi z tą bronią. Już po trzecim strzale łyzy samoistnie leciały jej z oczu, a następne wyciśnięcie spustu wymagało wielkiej determinacji. Nie pomagały grubo owinięte kawałki koca wokół kolby. Nie pomagała skórzana podkładka na obojczyku. Rusznica musiała skopać strzelca i już.

Patrzyła w gwiazdy. Noc była wyjątkowo chłodna. Chłód ją otępił.

Nie trafiłam w cysternę! Co to miało być? Najpierw strzelasz za wcześnie, zanim czołgi ruszyły, a potem na dodatek nie trafiłaś w cysternę! To jest powód twojej głuchoty. Cała akcja i twoje życie były zagrożone tym przyśpieszonym strzałem. Nie mogła się z tym pogodzić. Wściekała się na siebie i na sytuację, jaka powstała. Z nerwów wstała i postanowiła rozpoznać okolicę. Przemykała się pomiędzy gęstymi zaroślami, aż dotarła do miejsca, z którego mogła zobaczyć niedawne pole walki. Miejsce na zasadzkę wybrane idealnie. Zawiodły nerwy. Wyjrzała zza wzniesienia.

Co jest do jasnej anielki? – szepnęła w myślach. Na wąskiej, górskiej drodze nadal stały czołgi! W świetle gwiazd i zachodzącego księżyca widać je było dość wyraźnie.

Nie macie paliwa do walki? – Uśmiechnęła się do siebie. Tu jesteście bezpieczni przed ostrzałem. Wszędzie góry. Oj! Przydałby się nalot! Oj przydał! Pomimo bólu zrobiło jej się przyjemnie. Wstała z ziemi. Ruszyła z powrotem do schronienia, gdy przyszło przerażające olśnienie.

Snajper! – zadzwoniło jej w głowie. Jeśli wybrał moje miejsce na obserwację terenu, to teraz jestem widoczna jak na dłoni.

Stanęła w bezruchu. Nieśmiało podniosła głowę ku wzniesieniu. Nie zobaczyła nic, ale snajpera ciężko jest wypatrzeć, chyba że popełni jakiś błąd. Ona czuła jego obecność jakimś innym zmysłem. Nie widziała go, ale wiedziała, że tam jest.



– Wysłaliście jedną dziewczynę na tyły wroga z dwudziestopięciokilogramowym ekwipunkiem, jak sama waży pewnie pięćdziesiąt? – Niedowierzał major NKWD ze sztabu dowodzenia. Albo miał przed sobą przejaw bezgranicznej głupoty, albo jakiś sabotaż. – Powiedzcie, skąd ten pomysł?

– To tylko ubezpieczenie. Widzieliśmy czołgi na zdjęciach lotniczych, gdyby przedostały się do broniącej brodu dywizji, mielibyśmy ciężką przeprawę. Nasze czołgi prawdopodobnie zostałyby w tej rzece. Teraz gonimy fryców już pełnym gazem. Dzisiaj stoimy, ponieważ czekamy na zaopatrzenie, ale od jutra znowu atakujemy!

Pułkownik starał się nadrobić pewnością głosu, choć przekonania co do słuszności akcji nie miał. Była to przecież akcja wymyślona ad hoc, aby potrząsnąć emocjonalnie Zośką. Nie mógł zdradzić tak banalnego powodu dla dowódcy politycznego sztabu armii.

– No nie powiecie chyba, że jedna dziewczynka z karabinem powstrzymała atak formacji pancernej? – Zaśmiał się ironicznie major. Patrzył w oczy pułkownikowi, aby wywołać w nim jeszcze większe zmieszanie.

– Nie! Oczywiście, że nie, ale mogła ten marsz opóźnić jakąś akcją dywersyjną. To sprytna dziewczyna. Pozbawiła już raz pułk czołgów dowódcy i przedzieliła najgroźniejszy korpus pancerny poprzez wysadzenie mostu. To łowczyni tygrysów. Tak ją nazywa samo naczelne dowództwo – wyjaśniał pułkownik. – Poza tym, towarzyszu majorze, to tylko jeden żołnierz. W dodatku kobieta! Niczym nie ryzykowaliśmy, nawet gdyby wpadła w ręce wroga lub zginęła.

Pukanie do drzwi pomieszczenia bunkru przerwało tę wymianę zdań.

– Wejść! – zagrmiał pułkownik, który w tym rozkazie zawarł informację, że to on tutaj jednak rządzi.

– Towarzyszu pułkowniku, najnowsze meldunki ze zwiadu. – Adiutant wyprostowany jak struna trzymał w ręku kartkę z meldunkiem i kopertę ze zdjęciami.

– Pokażcie! – Major pierwszy wyciągnął rękę.

– Kiedy to dostaliście? – zapytał pułkownik.

– Przed chwilą. Zwiad przywiózł na rowerze.

– Możecie odejść.

Żołnierz zasalutował regulaminowo i wyszedł. Major w tym czasie rozkładał zdjęcia lotnicze.

– To wczoraj wieczorem – oznajmił. – Czołgi stoją w głębokiej dolinie poza ostrzałem. Widać spalone cysterny! – Zapadło wymowne milczenie. – Jeśli to ta dziewczyna, to dostanie za to medal za odwagę.

Pułkownik wyprostował plecy i odetchnął.

- Zamaskowali je, jak umieli, ale na tej górskiej drodze są jak tarcze na strzelnicy.
- Dla naszego lotnictwa to będzie lot szkoleniowy. Stoją w rzędzie. Jakby nie spuszczać bomb, to któraś trafi! - Major z NKWD zdjął czapkę na znak, że od tej chwili rozmowa jest prywatna i przyjacielska.
- Tak! To niebywała okazja, ale czy do jutra paliwo do nich nie dojedzie?
- Nie! Jakimś cudem miejscowi partyzanci wysadzili potężny most, który służył Niemcom do komunikacji. Teraz są odcięci od świata z jednej strony naszym frontem, a z drugiej rzeką i jej stromymi brzegami.
- Może to ta snajperka wysadziła most? Ma do tego predyspozycje. - Pułkownik pogładził się po łysej głowie.
- Nie denerwujcie mnie, towarzyszu, waszym wybujałym mniemaniem o tej dziewczynie. To nie ptak, żeby jednego dnia wysadzać most, a już na drugi dzień podpalać cysterny oddalone o trzydzieści kilometrów. - Major z NKWD uśmiechnął się z politowaniem.
- Miała na to półtorej doby, a stalowego mostu, będącego pod ochroną Wehrmachtu nie wysadzi byle chłystek - pomyślał łysy pułkownik, który już wiedział, co Zośka potrafi.
- Trzeba wysłać kilku dywersantów w ślady naszej dziewczyny. Nie wiemy, co się z nią dzieje. Może dywersanci jakoś pomogą w jej odwrocie?
- Pomóżcie jej. To dobry żołnierz, a o takich trzeba dbać. - Major także tryskał dobrym humorem. Wyciągnął metalową piersiówkę i podał pułkownikowi.
- To wasz sukces, towarzyszu. Wy także otrzymacie odznaczenie. Macie wspaniałych ludzi, a ludzie u nas najważniejsi.



Lotnictwo nie miało jednak szczęścia do uwięzionych w górach tygrysów. Walczyli w nich weterani. Nie chcieli odpuścić, a tygrys potrafi pokazać pazury.

Gdy czujki podały alarm lotniczy, wszystkie działa i karabiny otworzyły ogień. Powstała chmura pocisków, w którą wleciały dwa pierwsze samoloty nurkujące. Niewiele z nich zostało, zwłaszcza że pierwszy oberwał odłamkiem z dziewięćdziesięciomilimetrowego działa czołgu. Trzeciego poszarpało znacznie, ale leciał. Miał trudności z utrzymaniem równowagi. Zrzucił bomby byle gdzie i pełnym gazem odleciał.

Drugi nalot odbył się na styku dnia z nocą. Samoloty schodziły z dużego pułapu i od razu zrzucały bomby. Kilka z nich poważnie uszkodziło pancerniaków, ale ci także zmienili taktykę. Załogi wymontowały karabiny automatyczne i ukryły się z nimi w górach. W wozach pozostali tylko działonowi i celowniczy. Karabiny otworzyły ogień krzyżowy do wychodzących samolotów i tym razem ogień był bardzo skuteczny. MG były bardzo celne, a siła ich ognia była postrachem na wszystkich frontach. Dwa samoloty spadły od razu. Jeden z nich stracił kontrolę nad lotem i zderzył się z drugim. Trzeci oberwał w silnik tak skutecznie, że ten się zakrzuszył i zgasł. Pilot wykorzystał

jeszcze prędkość i wysokość, ale i tak po locie ślizgowym rozbił się gdzieś za horyzontem...



Niemiecki żołnierz z karabinem kalibru 7,92 mm wyposażonym w myśliwską optykę leżał na wzniesieniu. Aby być niewidocznym, nie musiał się maskować. Roślinność dookoła zrobiła to za niego. Przesiadywał tutaj już drugi dzień. Nie znalazł śladów odwrotu wrogiego snajpera, więc założył posterunek obserwacyjny. Był myśliwym już w cywilu, a na wojnie kontynuował polowanie. Polowanie na człowieka. Nie dbał o wpisy do książeczki snajpera. Czuł się rasowym myśliwym, który zbierał trofea! Zegarek, obrączkę, krzyżyk z łańcuszkiem. Na koniec obcinał guzik z munduru. Miał ich już ponad setkę.

Zastrzelić wroga z bezpiecznego schronienia i chyłkiem się wycofać to jedno. Wyprawić się po trofeum za linię wroga to druga nieporównywalna sprawa. Do tego trzeba mieć niebywałe umiejętności zwiadowcze i charakter! On to wszystko miał w nadmiarze. Wojna sprawiała mu radość, a zabijanie satysfakcję.

Jego wszystkie wygrane pojedynki uspiły jego czujność. Z jakiejś przyczyny nie dostrzegł sylwetki młodej dziewczyny. Czuł się zbyt pewnie czy znużony obserwacją prowadzoną już drugi dzień?

Zośka, nawet jeśli była nieostrożna, poruszała się jak kot. Ubrudzona, szara, wtapiała się w krajobraz, w dodatku w mundurze miała jeszcze części roślin, które nawtykała na akcję. Jej wypracowana mimika dzisiaj uratowała jej życie. Stała bez ruchu. Wiedziała, że on tam jest! Czuła go szóstym zmysłem. Spocily się jej dłonie. Spocilo całe ciało.

Uspokoiła oddech i centymetr po centymetrze z prędkością ospałego ślimaka weszła w gęsty zagajnik. Zdjęła buty, aby bosymi stopami wymacywać suche gałązki. Była głucha, ale myśliwy, który na nią polował, z pewnością nie!

Powolna wędrownica przez zagajnik zmęczyła ją bardzo. Obolałe ciało domagało się odpoczynku, lecz ona musiała iść. Co prawda teraz mogła przyśpieszyć już kroku, ale nadal musiała być czujna i kluczyc. Wiedziała, jakie warunki obserwacyjne sprawa wysokość i dobre szkła lornetki. Nie ryzykowała, dopóki nie skrył jej wierzchołek góry, którą obeszła.

Ruszyła w kierunku swojej jednostki. Ze schowka oddalonego o kilka kilometrów od miejsca akcji wydobyła swojego mosina. Bez niego czuła się jakby naga. Teraz przejrzała jego stan techniczny i przetała oliwą do broni, chociaż od tych trzech dni, kiedy go schowała nie było deszczu. Zrobiła to z pieczołowatością.

Analizowała swoją sytuację. Była praktycznie głucha, niesprawna fizycznie, na tyłach wroga. Prowiantu skromnie starczy na trzy do pięciu dni. Front się przesuwa w jej kierunku, ale może to potrwać. Rano raczej poczuła niż usłyszała samoloty i bombardowanie. To rosyjski zwiad wysłuchał jej niemych życzeń i wysłał samoloty do wykończenia rozpoczętego przez nią zadania.

– Dajcie im łupnia, chłopaki. – Zaśmiała się do siebie i mało nie zemdląła, gdy ból z ramienia zaczął promieniować do szyi pod impulsem uśmiechu. – Takie życie! Już nawet uśmiechnąć się nie można...



Powoli maszerowała do swoich. Odnalazła następną kryjówkę, w której schowała prowiant. W oddali usłyszała odgłosy kolejnego nalotu i walki. Słuch jej wracał!

Szła dalej, gdy nagle nad jej głową ze świstem przeleciał lotem ślizgowym samolot. To nasz! – pomyślała, gdy zobaczyła na skrzydłach czerwone gwiazdy. Samolot zapikował gdzieś za drzewami. Nie wybuchł. Trzeba zobaczyć co z pilotem? – Myśl niczym błyskawica przeleciała jej przez głowę.

Biegiem, na jaki pozwalało jej obolałe ciało, udała się w tym kierunku. Omiotła okolicę przez lunetę snajperki, a dopiero potem wyszła na odsłonięty teren.

Samolot lądował bez podwozia. Pilot w środku miał zakrwawioną całą twarz, ale oddychał.

– Ty żyw? – zapytała po rosyjsku.

– Tak, żyję! – odpowiedział z trudem po polsku.

– Co ci dolega? – kontynuowała dociekania w ojczystym języku.

– Boli mnie wszystko, ale chyba będzie dobrze. – Lekko się uśmiechnął, nadal nie otwierając oczu.

– To dobrze, ponieważ musimy stąd zniknąć. Na otwartym terenie wytropi nas nawet ślepy i kulawy.

Wyciąganie pilota nie poszło jednak łatwo. Miał złamane obie nogi, a szok powypadkowy, który maskował na razie ból, dawał też wielką bezwładność mięśni. Korzystając z tej reakcji organizmu, czarnowłosa wręcz wyszarpała ciało pilota na zewnątrz. Zemdlął co prawda na chwilę z bólu, ale już po chwili świadomy swojej sytuacji pomagał usztywnić paskiem i parcianą taśmą swoje nogi. Snajperka wycięła dwie proste gałęzie i dociągnęła je do zespolonych już ze sobą nóg.

– Będzie bolało jak cholera, ale musisz mi pomóc. Pociągnę cię w te zarośla i tam spędzimy noc. Pomagaj mi, jak możesz, ponieważ sama doznałam poważnych uszkodzeń ciała.

Razem zjedli zimną acz pożywną kolację z zapasów Zośki, a żelazną porcję pilota postanowili zostawić na później. Snajperka w maskowaniu przypominającym krzak paproci co chwilę omiatała okolicę przez obiektyw broni.

– Skąd się tu wziąłeś? – zapytała, gdy ocknął się z chwilowej drzemki.

– Uciekłem z okupowanej Warszawy. Jak usłyszałem o tym, że formowane jest polskie wojsko, to natychmiast zacząłem przedzierać się za linię frontu. Nie było łatwo, zwłaszcza że kulkę najpewniej dostałbym od ruskich, ale szczęście dopisało i trafiłem do fajnych chłopaków z lotnictwa.

– A jak tam jest w stolicy? Jak tam wojują? – Wciąż spoglądała przez lunetę.

– Cienko. Nie mamy broni i odpowiedniego wykszolenia. W Warszawie działa pręźnie Armia Krajowa, ale uzbrojenie ma takie jak chłopi podczas powstania kościuszkowskiego, a o wykszoleniu lepiej nie mówić. Przydałby się taki ktoś jak ty, obyty z frontem i bronią. W Puszczy Kampinoskiej organizowane są kursy przygotowania wojennego mające zasilić powstanie na tyłach wroga, aby godnie jako włodarze państwa przywitać armię sowiecką. Takie są ambitne plany dowództwa, ale jak to zobaczyłem, to na usta cisnęło mi się tylko słowo „harcerstwo”.

– Co masz do harcerzy? – Dmuchnęła w kosmyk swoich, lecących na oczy, czarnych włosów.

– Nic. Taktyka wobec armii niemieckiej musi być tylko i wyłącznie podstępna. Tam można wygrać tylko podstępem i przemyślanymi pułapkami.

– To nic nowego – skwitowała Zosia. – Podbój Europy przez faszystowskie armie był pasmem zaskoczeń i przemyślanych taktyk.

– Właśnie o tym mówię... W puszczy brakuje ludzi z wyobraźnią chuligana i wiedzą generała. Tam ćwiczą tylko musztrę i walkę wręcz. Żal mi ich, ponieważ tak naprawdę wszystkie nasze powstania opierały się na wielkim duchu bojowym i patriotyzmie, a wygrywali ci, którzy mieli zaplecze.

– Jak cała Warszawa przyłączy się do powstania, to Niemców zarzucą czapkami! – podnieciła się czarnowłosa.

– Tu właśnie jest cwanyk. Warszawa jest podzielona na komunistów i akowców. Nie potrafią ze sobą współdziałać. Dlatego poszedłem w otwarty bój. Wolę umrzeć za sprawę niż marnować czas na sprzeczki.

– Jesteś dzielnym żołnierzem – pochwaliła Zośka.

– Tak. Ratowanie mnie to inna sprawa. Prowiant skończy się nam jutro, a do naszych kilkanaście kilometrów.

Zośka uśmiechnęła się do niego.

– Wszystkie zwierzęta, które tutaj widzisz, korzystają z pokarmu, który nas otacza. O jedzenie nie musisz się więc martwić. Żyją one, przeżyjemy i my. Maskowaniem jestem w stanie ukryć cię przed bezpośrednim obserwatorem, więc i tym się nie przejmuj. Smakują ci mrówki? – Zapytała mimochodem, ale nie doczekała się odpowiedzi.

Jej towarzysz zasnął zmęczony, ranny i wykrwawiony. Śpij – pomyślała dziewczyna.

Nagle poczuła w sercu ogromną tęsknotę. Chciało jej się płakać. Wyc z tęsknoty za straconym krajem. Ręce zaczęły jej drżeć z emocji, a łyzy zaćmiły ostrość wzroku. W jednej chwili przypomniała sobie szczęśliwe dzieciństwo. Dom, szkołę i otaczające pola. Widziała ciężko pracującego ojca i jego radosny uśmiech. Zatęskniła boleśnie za Gwiazdką, Skunksem, Łaciatą. Emocje po prostu rozsadały jej czaszkę. Czują w rękach zimną stal swojego karabinu. Czują, że musi coś zrobić.

Jedno zdanie o powstaniu w Warszawie odmieniło całe jej życie. Oddychała szybko, jeszcz szybciej układała swój następny plan. Drogę do Ojczyzny.

– Dałeś mi nową nadzieję. Nadzieję na wolną Polskę, o którą zawsze walczył mój tatko. Ja będę taka jak on. Niezlomna w postępowaniu – wypowiedziała te słowa jak

modlitwę i przyrzekła sobie, że przedostanie się do Puszczy Kampinoskiej i włączy się do powstania.



Zobaczyła ich przed świtem. Małą grupkę zwiadowców zamaskowanych jak ona. W zasadzie nie zobaczyła sylwetek ludzi, a tylko ruch. Mają chłopaki talent do maskowania – pochwaliła w myślach. Kim jesteście? Wrogiem czy sojusznikiem? Zwiad poruszał się bardzo powoli, ubezpieczając się wzajemnie. Dopiero bardzo wnikliwa obserwacja oporzędzenia przekonała dziewczynę, że to jej sojusznicy. Pepeszę może nosić każdy, ale łyżkę za cholewką buta tylko Rusek! – pomyślała i uśmiechnęła się do siebie. To nasi! Gwizdnęła cicho.

Zwiad zaległ natychmiast. Jeden z nich uniośł rękę z bronią trzymaną za lufę na znak, że chce rozmawiać. Dziewczyna także uniosła rękę, ale bez swojego ciężkiego karabinu. Zwiadowca ubezpieczony przez kolegów podbiegł do niej zgarbiony.

– Z–z–zośka?! – Aż się zająknął z zaskoczenia.

– Misza! Co tutaj robicie? – zapytała radośnie.

– Szukamy ciebie!

– Nie wołaj na razie reszty chłopaków. Muszę się zrywać. Nie wracam do jednostki.

– Co ty mówisz? Dezerterujesz? – wykrztusił Michaił z niedowierzaniem.

– Niech to będzie tajemnica. Idę walczyć gdzie indziej.

– Wszędzie można bić fryca. Dostaniesz za to czapę. Zostań.

– To sprawa osobista. Muszę odejść.

– A ja muszę zameldować, bo inaczej i mnie grozi czapa.

– Wiem. To chociaż nie mów chłopakom tylko politycznemu w jednostce. Niech mnie pamiętają z dobrej strony. Tego tutaj bohatera dostarczcie do medyka. Ma połamane obie nogi. Będzie wam ciężko, ale jak was znam, to dacie sobie radę. – Uśmiechnęła się szczerze.

– Damy radę. To zrywaj się i powodzenia!

– Poczekaj jeszcze chwilę – odezwał się pilot, który od jakiegoś czasu przysłuchiwał się rozmowie. – Chcę ci coś dać na drogę.

Odwrócili się do niego.

– W naszym świątku pilotów mamy taki kodeks honorowy, że każdy pomaga każdemu, obojętnie w jakiej potrzebie by nie był. Weź, proszę, ode mnie baretkę pilota, którą mam na mundurze. W razie potrzeby, no wiesz, gdybyś potrzebowała coś od pilota, to pokaż ją i powiedz, że drugi pilot prosi go o przysługę.

– Nigdy nie latałam samolotem i nigdy w życiu nie spotkałam pilota, ale twoją baretkę wezmę na pamiątkę. – Uśmiechnęła się i schowała baretkę do kieszeni na piersi.

– Nigdy nie mów nigdy – odparł pilot. Także się uśmiechnął i z uśmiechem zasnął.

Pożegnała się czule z Miszą i zniknęła cicho jak duch w pobliskiej wysokiej trawie. Misza długo patrzył w miejsce, gdzie zniknęła, po czym gwizdnął cicho na swoich. Po

kilku chwilach reszta dołączyła do niego.

– To on nas zawołał? – zdziwił się jeden z kompanów.

– Tak. Zamienił ze mną dwa zdania i zasnął wycieńczony. Ma złamane obie nogi. Trzeba będzie go nieść.

– Tak. Tak. – Pokiwali głowami pozostali. – Nie zostawimy go tutaj.



Zabójca ze wzgórze zdał sobie sprawę, że dywersant strzelający do jego cystern się ulotnił, lecz on potrafił śledzić swoją „zwierzynę”. Czytać ślady i wyobrażać sobie drogi odwrotu swojej ofiary. Zwłaszcza, że linia frontu była niedaleko. Odległe o kilkadziesiąt kilometrów salwy haubic słyssał doskonale. Kierunek ucieczki dywersanta był więc zgrubnie znajomy. Postanowił go gonić.

Zszedł nad ranem ze skały i skradał się bezszelestnie. Był bardzo dobrze zamaskowany, jak przystało na wytrawnego łowcę. Unikał otwartych przestrzeni, a gdy nie miał innego wyjścia, otwartą drogę pokonywał czołganiem. Właśnie wdrapał się na niewielki pagórek, gdy zobaczył dziwny korowód. Zamaskowani dywersanci nieśli na prowizorycznych noszach ranego.

To ta banda! – pomyślał sobie i z radości potarł węża. – No to mam was jak na dłoni. Rusznicę z lunetą żeście zniszczyli, a pepszami to możecie się tylko od much odganiać. Jesteście moi.

Poczołgał się za pagórek, aby nie być widocznym. Po czym szybkim marszem wyforował się do przodu, aby zajmując dogodnie stanowisko strzeleckie.



Zośka tymczasem obrała kierunek na północ. Wzdłuż linii frontu. Była po stronie niemieckiej i tak chciała dotrzeć do partyzantów Polski Walczącej. Szła tylko lasem, a jej kroki przypominały raczej kocie skradanie niż marsz. Wyostrzyła wszystkie zmysły, zwłaszcza wzrok, gdyż słuch jej jeszcze do końca nie wrócił.

Jej myśli, jakby na przekór kierunkowi wędrówki, podążyły do oddziału zwiadowców. Chłopaki mają co nosić. Jest ich tylko pięciu, a ten lotnik to kawał chłopca. Już nie mogą się skradać. Muszą iść wyprostowani. Sapiąc i dysząc na tyłach wroga. Nie będzie im łatwo przedostać się do swoich.

Nagle przystanąła. Co ja tu jeszcze robię. Oni ratują Polaka, a ja sobie idę w innym kierunku, zamiast ich chociaż ochraniać z daleka

Zawróciła. Przyspieszyła kroku, na ile pozwalały jej obolałe mięśnie, aby dogonić towarzyszy broni. Po drodze zajadała nasiona tasznika, przegryzając od czasu do czasu jakimś soczystym źdźbłem. Na zbieranie innego pokarmu nie było czasu.

Wieczorem doszła do krańca lasu, w którym ich opuściła. Usiadła na jego skraju, aby odpocząć. Postanowiła ruszyć dopiero po zmroku, a teraz raczyła się wieczorną

drzemką. Następne pół nocy zajęło jej doganianie zwiadowców, gdy księżyc skrył swój jasny talerz za odległymi drzewami, poczuła dym z dogasającego ogniska.

To pędraki! – pomyślała ze złością. Ile razy by im nie powtarzać, że za linią frontu nawet papierosów palić nie wolno, oni i tak zrobią po swojemu. Człowiek nawet taki głuchy jak ja zwierzy dym z daleka. Trzeba się teraz mieć na baczności, ponieważ nie wiadomo, kto jeszcze zwąchał ognisko naszych zuchów.

Zachowała maksymalną ostrożność i od tego momentu przemieszczała się naprawdę ostrożnie. Nawet wprawne oko snajpera polującego na jej drużynę nie zauważyło, jak zajmowała pozycję na jego tyłach.

Zośka zasnęła snem krótkim i delikatnym. Obudziła się, jakby miała nastawiony budzik. Kwadrans przed świtem. Otworzyła powoli oczy i zobaczyła, jak wzniecone o poranku ognisko puszcza w niebo białe kłęby dymu.

To ciężki przypadek! – pomyślała, gdy kilkaset metrów przed nią nagle huknął strzał. Niestety nie spostrzegła na czas zamaskowanej postaci zaabsorbowana widocznie łuną ogniska.

Natychmiast odezwały się peemy. Pruły na oślep, ponieważ snajper pewnie już dawno zmienił pozycję albo w ogóle się wycofał.

– Jest! – Szepnęła podekscytowana, gdy zobaczyła, jak mała kępka trawy sunie wolno niczym żółw.

Przeładowała swojego pupilka. Odczekała na serię z pepeszy i oddała morderczy strzał. Nawet nie sprawdzała czy skuteczny. Odskoczyła jeszcze na trzysta metrów, aby z bezpiecznej odległości obserwować przedpole i ubezpieczać odwrót swoich wojaków z rannym pilotem.



– To jakiś sen – szepnął donośnie ten, co teraz zastępował zabitego dowódcę zwiadu.

– Jaki sen? Zośka zawsze wspominała, że ognisko śmierdzi na kilometry! – Po cichu krzyknął równy stopniem zwiadowca. – Ognisko było nam niepotrzebne. Trzeba było wędrować do swoich, a nie gawędzić nocą przy płonących polanach.

– Właśnie! Ognisko zabiło naszego towarzysza. Powiadomiło z daleka mordercę, gdzie jesteście. – Do cichego chóru dołączyła Zośka, wpelzając do kryjówki zwiadowców. – Teraz, klóćąc się ze sobą, zapraszacie następnych.

– Zośka?

– Zośka.

– Zośka! – Wszyscy na przemian wypowiadali jej imię z radością i nadzieją na bezpieczny powrót.

– Jak to możliwe, pędraki, że weszłam do waszej kryjówki i nikt mnie nie zatrzymał ani nie zauważył? – pouczała nie naganą, ale pytaniami, tak jak kiedyś jej tatko. – Wędruje się nocą, a w dzień trzyma wartę.

– Gubimy kierunek w nocy i robimy dużo hałasu. W dzień jakoś dobrze nam szło. – próbował tłumaczyć najmłodszy z czwórki o śniadej cerze i czarnych jak węgiel

włosach.

– Właśnie wczoraj w dzień wyszedł was myśliwy. W nocy spokojnie wyprzedził, a raniem był na pozycji.

– To jak mamy teraz działać? – Dowódca wolał zapytać, niż znowu dostać się pod krytyczne pytania.

– W dzień wartownik obserwuje teren wokoło. Maszerujecie w nocy. Para, która nie niesie rannego, idzie gęsiego z przodu. Co pięćdziesiąt metrów. Czyli macie sto metrów czujki z przodu. Jak był jeszcze piąty, to powinien ubezpieczać pięćdziesiąt metrów z tyłu.

– Powiedz, jak nas znalazłaś? – dopytywał się blondyn, który zastępował zabitego Miszę. To my mieliśmy szukać ciebie...

– Nie szukałam was, tylko tego z tym karabinem. – Pokazała im mausera z myśliwską optyką. Dała go blondynowi. – Jak nie będziesz nic majstrował przy lunecie, to strzelać będzie celnie na trzysta metrów. To jest książeczka wojskowa tego żołnierza. – Wręczyła poplamiony krwią dokument.

– Dzisiaj idźcie jeszcze tym zagajnikiem, powoli i bez hałasu. Potem zalegnijcie w gęstych krzakach do nocy. Już tej nocy powinniście dojść do naszych pozycji.

– A ty nie idziesz z nami? – Blondyn trzymający w ręku karabin i dokumenty wydawał się bezradny i zagubiony.

– Będę was ubezpieczać z dużej odległości. Będę was chronić, aż do naszych pozycji, ale potem mam inne zadanie. Czy umiesz dochować tajemnicy?

– Będę milczał jak grób. – Położył rękę na sercu.

– Mam teraz inne ważne zadanie. Jest tak tajne, że nawet ja nie znam szczegółów. Szczegółowe rozkazy otrzymam dopiero na miejscu, gdzie zmierzam. Nikomu nie mówicie, że mnie spotkaliście lub widzieliście. Pamiętaj! Grób!

– A dowódca?

– Dowódcy też nie mówcie, że mnie widzieliście.



Gdy przez lunetę zobaczyła swoich zwiadowców witających się z innymi żołnierzami z jednostki, odetchnęła. Jej rodak znajdzie opiekę medyczną, a ona może teraz ruszać do Polski. Słowo Polska dodawało jej skrzydeł, napełniało radością i dodawało sił jej zmęczonemu do granic ciała.

Maszerowała nocami, żywiąc się tym, co znalazła w przyrodzie. Wchodziła czasami do napotkanej wioski, aby zasięgnąć języka. W końcu znajdowała się na terenie II Rzeczypospolitej, więc mogła poczuć się swobodniej. Wypytywała najczęściej o pozycje wojsk i o bezpieczne drogi. Na odchodne dostawała trochę prowiantu i jakiegoś odzienia. W końcu wyglądała jak miejscowa dziewczyna i nie wzbudzała już sensacji przy spotkaniach.

Droga na północ o dziwo przebiegała sprawnie, jednak pewnego dnia wpadła na coś wyjątkowego. Znalazła to w niewielkim zagłębieniu terenu. Prawie na to nadepnęła.

Tym czymś była duża suka wielkości wilka... Zosia od razu zauważyła, że zwierzę jest wycieńczone, ponieważ nie mogło podnieść głowy. Powodem cierpień psa okazała się rana w boku, w której zapewne utkwiał odłamek. Wyjątkowe było umaszczenie cierpiącego stworzenia, gdyż Zosia nie potrafiła znaleźć właściwego określenia... Brudno podpalany – wpadło jej do głowy. Z pewnością suczka była mieszańcem wielu ras, ale jej kości świadczyły, że jednym z przodków był duży owczarek lub właśnie wilk.

Początkowo Zosia pomyślała, by ulżyć zwierzęciu w cierpieniach, jednak coś niewytłumaczalnego powstrzymywało ją od uśmiercenia suczki. Ta wojna nie może zaważać na mnie do końca – pomyślała.

Wciągnęła ją na pałatkę. Przykryła, a na wierzch nasypała ściółki. Gasnący wzrok psa wodził za nią z wdzięcznością. Otworzyła puszkę ze skondensowanym mlekiem. Tę na czarną godzinę. Usiadła i wzięła głowę zwierzęcia na kolana. Maczała palec w mleku i wkładała do pyska. Raz za razem aż w puszcze ubyla połowa. Chciała odpocząć. Bolały ją plecy od niezmiennych pozycji, ale pies zaskomlał.

– No dobrze, dobrze! Karmimy dalej.

Mleko odstawiła i wzięła się za słoninę. Pokroiła ją na drobną kostkę i po małym kawałeczku wkładała do pyska. Język psa zaczął w końcu wykazywać nerwowe szybkie ruchy.

– Będziesz żyć! – Poglaskała ją po wielkim łbie.

Wcisnęła się obok psa pod pałatkę. Narzuciła na wierzch kołdrę ze ściółki i w ciepłe posłania mrucała rannej kołysankę. Pies zamknął oczy, a i jej zrobiło się sennie.

Obudziło ją... Lizanie? Pies nabrał sił i dochodził do zdrowia w ekspresowym tempie. Podniosła się na przednie łapy i z wdzięcznością patrzyła na zmrużone oczy dziewczyny.

Zoska także dźwignęła się na ręce i obejrzała okolicę. Niedaleko dostrzegła stado saren. Dobry znak, że w okolicy nie ma człowieka. Odkryła pałatkę i doprowadziła ubiór do ładu. Ukroiła niewielki plaster słoniny i dała przekąsić psu.

– Czeka cię operacja! – Popatrzyła w jej wdzięczne oczy. – Nie polubisz mnie za to.

Zaczęła ostrzyć nóż. Zwłaszcza czubek musiał być ostry.

– Musi ciąć jak skalpel. – Zamruczała. Pies obserwował z zaciekawieniem, nieświadomy konsekwencji ostrzenia noża. – Sprawdźmy.

Dotknęła ostrzem skóry i pociągnęła po powierzchni, lekko dotykając. Drobne włoski spadały ścięte jak kosą. Niektóre, naelektryzowane przylgły do ostrza noża.

– Może być.

Najpierw spokojnie poglaskała psa. Dała drobny ułamek słoniny i sięgnęła po nóż. Delikatnie starała się ogolić okolicę rany. Goliła od zewnątrz do środka, dochodząc do krwawego strupa. Tu jednak cierpliwość psa się wyczerpała. Próbowwała zerwać się do ucieczki. Zosia poglaskała psa i ułożyła z powrotem.

– Wiem, że cię boli. Boli cię jak cholera, ale musisz wytrzymać. Musisz mi pomóc. – Zaczęła namaczać ranę zwilżonym gałgankiem.

Rana była spuchnięta i sina dookoła. Strup utrzymywał olbrzymie napięcie wewnątrz kankowe.

– Masz tam dużo ropy! Ta rana babra się już dość długo.

Widziała nieraz takie zapalenia. Goiły się ciężko, a zaniedbane prowadziły do posocznicy i zgonu. Tutaj dodatkowym problemem był odłamek tkwiący w powłokach brzusznych. Czy przebił jelita? Nie wiadomo, ale w odchodach psa nie było krwi, więc zdawało się, że jelita były całe. Zaciągnęła psa na pałatce do zwałonego pnia. Trokami od plecaka związała jej kończyny, a szyję przywiązała do pnia. Pies wykazywał mocne zaniepokojenie. Spokojnym głosem i głaskaniem próbowała ją uspokoić. Nadszedł jednak ten moment, w którym musiała obie ręce użyć do operacji. Pies targnął się zaniepokojony.

– Nie będzie łatwo, ale musisz mi zaufać.

Jedną ręką przytrzymała skórę wokół rany, a drugą podważała zaschnięty strup. Cząstki ciała z sierścią trzymały go mocno, więc tutaj w ruch szedł nóż. Ostry jak lancet obcinał wszystko, co trzymało zaschniętą krew.

Nagle z rany buchnęła ropa. Zośka zdarła do końca strup i nacisnęła ciało dookoła rany. Pies zaskomlał przerażająco. Całe ręce miała unurzane we krwi i ropie. Było jej tak dużo, że nie było widać rany. Pies ciężko sapał. Wywalił ózór i przymknął oczy. Pewnie mdlał z bólu.

Przetarła gałgankiem ranę. Gałganek o coś zahaczył.

– Jest! Mam cię, dziadu! – zakrzyknęła Zośka zmęczona psychicznie cierpieniem rannej.

Odłamek jednak nie dał się łatwo wyciągnąć. Był śliski, a jego postrzępione w różnych kierunkach części blokowały wyjście z rany. Zahaczył też pewnie o zębrowanie. Nacięła szybko ranę za odłamkiem, poszerzając jej wielkość. Czubek noża włożyła w ranę, a kciukiem docisnęła odłamek do noża. Szarpnęła silnie i zdecydowanie, drugą dłonią przytrzymując bok psa. Ręka z nożem podskoczyła do góry, a ciężki odłamek upadł opodal na ziemię. Pies się nie ruszał. Zdechł albo zemdłał. Nacisnęła jeszcze ranę, aby wypływająca krew oczyściła wnętrze. Popatrzyła na psa. Oddychał! Obmyła miejsce operacji wodą. Odcięła część opatrunku osobistego i opatrzyła suczkę.

Pies leżał nieruchomo aż do nocy. Zośka w międzyczasie wykopała małą ziemiankę na stoku pagórka. Będzie tam sucho i ciepło. Jeśli pies przeżyje do jutra, powinno być już coraz lepiej.

Suka przeżyła. Oddychała niezauważalnie, prawie się nie ruszała, ale żyła i od czasu do czasu piła wodę.

Zośka rączką finki miażdżyła korę wierzby na papkę i taki chłodny, odkażający opatrunek kładła na ranę. Rana na drugi dzień straciła opuchliznę i zamknęła się skrzepniętą krwią.

– Będziesz żyć! – Położyła rękę na głowie nowej towarzyszkii. – Nazwę cię „Silna”. Tatko mówił, że zwierzętom nie należy dawać ludzkich imion tylko takie, które będą świadczyć o ich cechach.

W ich domu kłaczki miały imiona: Śmigła i Gwiazdka. W odróżnieniu od psów sąsiadów: Franków, Tolków i innych imion. Pewien mieszkaniec Grabowa nazwał swego psa imieniem, jakie nosił sołtys i chyba to najbardziej wkurzało ojca.

Silna wytrzymała ostrzał, chorobę i operację, więc zasługiwała na swoje imię. Dziewczyna nagle poczuła, że jest za kogoś odpowiedzialna. Nagle obudził się w niej instynkt rodzicielski i rodzicielska miłość.

O zmierzchu ustrzeliła sarnę. Surową wątrobę pocięła nożem w paski i nakarmiła nią Silną. Suczka przełknęwszy kawałek, polizała rękę, która ją karmiła. Robiła tak za każdym razem, czym okazywała swoją wdzięczność. Gdy suczka piła wodę po posiłku, Zośka zjadła także trochę mięsa, także na surowo.

Rankiem Zośkę obudziło jakieś poruszenie. To Silna odeszła kawałek od legowiska i załatwiała swoją potrzebę fizjologiczną.

– Będziesz żyć, dziewczynko! Będziesz żyć! – Śmiała się i z radości rozplakała.



Szły już drugi tydzień. Były na dawnych terenach kongresówki. Od Warszawy oddzielało je jakieś 320 kilometrów, a przynajmniej na tyle ten dystans określała Zosia. Tak szybki i bezproblemowy przemarsz był możliwy tylko dzięki węchowi i słuchowi nowej towarzyszki. Suczka była nieocenionym przewodnikiem. Ludzi wyczuwała z bardzo dużej odległości. Szybko nauczyła się, w jaki sposób bezgłośnie alarmować swoją przyjaciółkę o niebezpieczeństwie. Świetnie też wystawiała zwierzynę. Nie brakowało teraz im jedzenia. Zośka często upolowane mięso zamieniała na inne składniki odżywcze w mijanych wioskach. Szły uważnie, a więc nieśpiesznie. Zośka zauważyła z trwogą, że zaczęły tyć.

– Masz babo placek! – zaklęła, gdy spostrzegła przy kąpieli w strumieniu fałdkę na brzuchu. – Od dzisiaj dieta. Koniec z mącznymi przekąskami i wymianianiem mięsa na ciastka z miodem. Wiem, wiem, jak ci smakują. – Odparła szybko, widząc wzrok Silnej pełen wyrzutów. – Musimy jednak trzymać fason. Nie możemy wejść do Puszczy Kampinoskiej jak dwa pączusie. Musimy wyglądać jak żołnierze.

Tej nocy przyśpieszyły marsz. Dziewczyna podzieliła rację żywnościową na pół. Silna przełknęła ją jednym kęsem.



Weszły na jedno z niewielkich i mało stromych wzniesień, aby rozejrzeć się po okolicy. Czarnowłosa nigdy nie uczyła się geografii i mapę terenu rysowała sobie w głowie na podstawie informacji zasłyszanych w miejscowościach, które mijała. Nie raz pobłądziła i musiała szukać właściwej drogi. Kierunek wyznaczała dzięki gwiazdom i słońcu. Teraz z wierzchołka wzniesienia zobaczyła równinę, która zapowiadała łatwiejszą wędrówkę i lepszą widoczność terenu.

– Teraz dopiero będziemy maszerować! – Poklepała swoją przyjaciółkę po głowie, która była prawie na wysokości jej biodra.

Silna odpowiedziała niemo merdaniem ogona i wywieszonym z radości językiem. Na szczycie zjadły posiłek i odpoczęły przed kolejnym etapem wędrówki. Zośka nie

chciała iść po równinie w dzień, kiedy to każdy patrol wypatrzyłby je z wielu kilometrów. Nie wiedziała, że patrole są rozstawione przed nią w regularnych odstępach, a duża grupa szturmowa podąża jej śladem.



We wsi, gdzie znajdował się posterunek Wehrmachtu z pociągniętą linią telefoniczną, zrobiło się głośno jak na jarmarku. Żołnierze wyciągnęli przed chatę rolnika z jego żoną. Doniósł na niego wiejski kapuś. Przeszukanie ich domostwa zaskutkowało znalezieniem dziczyzny. Już samo to było przestępstwem, ale komendant posterunku szukał czegoś jeszcze.

Informacji. Informacji o dziewczynie, która to mięso rolnikom dała. Poprzez tłumacza zadawał pytania.

– Skąd macie mięso? Kłusujecie?

– Nie, panie oficerze.

– To skąd wzięło się mięso w waszej chacie?! – Oficer zadawał pytania spokojnie, a tłumacz niepotrzebnie dodawał krzyku i gestykulacji. Spokój i jadowitość głosu komendanta były wystarczająco przerażające.

– Przyszła taka jedna wieczorem. Sama. Prosiła o chleb i warzywa. Gościnności nie możemy odmówić. Mąż jej dał. – Załkała kobieta na widok pistoletu wyciąganego z kabury.

– Jak wyglądała?

– Normalnie. Trochę chuda była. Włosy czarne jak u kruka pióra, a ubrana po naszemu. W podziękowaniu zostawiła mięso.

– Pytała o coś?

– Nie, panie. Tylko jeść chciała.

Jej wypowiedź przerwał strzał z parabelki. Kobieta jakby w zwolnionym tempie widziała podrzut broni i rozrzucone ramiona męża po strzale. Mężczyzna upadł do tyłu uderzony siłą pocisku, a z jego ust wraz z ostatnim oddechem wydobyła się krwawa piana.

Oficer poczekał chwilę, aż baba przestanie łkać i pomstować. Tłum zebrany wokół zastygł w ciszy i bezruchu. Niemiec kazał tłumaczowi postawić kobietę na baczność. Zrobił krok w jej kierunku. Przystawił lekko dymiącą lufę do jej głowy.

– O co wypytywała was dziewczyna w czarnych włosach? – pytał spokojnie, ale tłumacz nadal był w swojej roli.

– Pytała o niemieckie posterunki. Pytała o ilość żołnierzy. Pytała o drogę do Lublina. Panie oficerze! Oszczędźcie! Mam czwórkę dzieci!

Padł strzał. Oficer spojrział na pistolet: błękitnobiała smużka dymu.

– Zatrzasnąć drzwi i spalić chatę ze wszystkim, co jest w środku! – rozkazał swoim żołnierzom i schował parabelkę do kabury.

Wskoczył do wojskowego volkswagena i odjechał na posterunek. Ponaglał kierowcę.

– Musimy złapać tę bandytkę. To szpieg albo sabotażysta. – Wyskakując z samochodu, krzyknął do kierowcy w podnieceniu: – Nie ucieknie nam dzisiaj!

Na posterunku wydawał rozkazy przez telefon i składał meldunek do naczelnego dowództwa. Niemcy sprawę szpiegostwa i dywersji traktowali poważnie i w ten rejon skierowali dodatkowe siły.



– Co ci jest? – dopytywała Zośka, ponieważ widziała, że Silna drobi krok i niespokojnie rozgląda się dookoła.

Dziewczyna nigdy wcześniej jej takiej nie widziała. Na karku miała lekko zjeżoną sierść, a uszy nienaturalnie podniesione do góry. Czarnowłosa nie mogła słyszeć i czuć tego, co czuł psi węch, i co słyszał psi słuch. Była tego świadoma i była świadoma tego, że człowiek udomowił psa właśnie z tych powodów.

– No dobrze, zawracamy na szczyt. – Poklepała Silną po głowie. – Tam założymy stanowisko obserwacyjne i popatrzymy w dzień, co się tam w dole wyrabia.

W gęstych krzakach wymościły sobie legowisko. Przykryły się pałatką z siatką maskującą i zasnęły, ogrzewając się nawzajem.

Silna nie była psem, który hałasuje i szczeka z byle powodu. W nocy knieje nieopodal ich kryjówek przemierzał patrol. Żołnierze przechodzili niecałe sto metrów od nich. Silna zjeżyła się i warczała cicho. Zośka przebudziła się także i również słyszała maszerujących i co rusz potykających się w ciemności żołdaków. Robili tyle hałasu, że słyszeć ich było daleko. W końcu odeszli w ciemną noc. Dziewczyna odkroiła kawałek mięsa i dała łakomej jak zawsze suce. Pogłaskała ją po mądrej głowie i zasnęła spokojna.

Na drugi dzień Zośka założyła punkt obserwacyjny. Swoją wytarty plecak położyła pod broń, aby nie musiała jej dźwigać. Sama leżała pod siatką maskującą i obserwowała dolinę o poranku.

Najpierw swoim zwyczajem zrobiła szkic terenu. Następnie oznaczyła wszystkie odległości od widocznych punktów terenowych. Nie musiała tego robić, ale zrobiła to dla treningu. Potem wszystkie podejrzane punkty obserwowała przez lunetę, starając się zapamiętać ich główne cechy. Jeśli za pół godziny powtórzy obserwację i coś się zmieni, będzie wiedziała, że tam są ludzie. Nie musiała czekać pół godziny. Podejrzane ruchy wykryła prawie natychmiast.

– Czy to są żołnierze? – zapytała od niechcienia Silną, widząc różne zgrupowania i ruch.

Żołnierze byli wszędzie. Patrole spotykały się na drogach i wymieniały meldunki. Około południa Niemcy zmienili taktykę. Dojechało kilka ciężarówek mundurowych, których natychmiast ustawiono w tyralierę. Wojsko poruszało się niespiesznie i zaglądało pod każdy krzaczek. Do każdej lisiej nory i do każdego nawadniającego rowu.

– Uratowałaś mi życie – odezwała się do Silnej. – Jak ty to wyczuliś? Czy ta tyraliera pójdzie w góry? Jesteś taka mądra.

Silna popatrzyła na nią z politowaniem.

– Wiem, wiem. Tylko tak się przekomarzam. Wiadomo, że tyralierą w góry nie pójda, ale będą szukać. – Uśmiechnęła się do zwierzęcia. W końcu miała do kogo się odezwać i uśmiechnąć. – Ale nas nie znajdą. Będziesz cicho? Prawda, że będziesz cicha i cierpliwa?

W gąszczu gałęzi, liści i chwastów Zośka wymościła mchem i wrzosem podłoże. Robiła to wszystko na leżąco, aby nie naruszać struktury splątanych gałęzi krzewów, które miały chronić przed wtargnięciem intruza. Przykryła posłanie pałatką z przyszytą siatką maskującą i posypała wszystko suchymi liśćmi. Teraz wycofała się na czworakach i z małej odległości popatrzyła na to maskowanie.

– Nic. Nic a nic nie widać. Te dąbki wyglądają, jakby ktoś co roku jeździł po nich ciężkim wozem. Są stłamszone, pokręcone i popłątane. – W tym momencie uświadomiła sobie, że rolę walca zgniatającego dęby może odgrywać uboga w składniki odżywcze gleba. – Rosną tutaj tylko dlatego, że szalony los zagnał tam nasiona. Na nasze szczęście drzewka dały radę tu przetrwać.

Silna z nerwowością obiegała okolicę. Co rusz wracała do Zośki, aby sprawdzić, co robi i czy wie o niebezpieczeństwie. Zośka tymczasem kroїła mięso na drobne kawałki, szykowała ich małe porcje. Garść orzechów włoskich, które dostała w wiosce, podzieliła tak, aby do każdej porcji mięsa przypadła choć jeden orzech. Wśród roślinności poszukiwała zielonych kłaczy i jadalnych liści, które uzupełnią przysze posiłki o witaminy. Z tak przygotowanym prowiantem zaczęła wpełzać do kryjówki.

Największy problem miała z Silną. Jej żywy charakter i usposobienie nie gwarantowały długich godzin ukrywania. Silna jednak z ochotą wpełzła razem z nią pod pałatkę i z wywieszonym ozorem patrzyła uradowana w oczy dziewczyny. Szykowała się nowa zabawa?

Wieczorem ponownie przeszedł patrol. Żołnierze rozmawiali i hałasowali, a ich kryjówkę ominęli w niewielkiej odległości. Silna i tym razem nie szczełała, tylko cichym warczeniem dała znać opiekunce o niebezpieczeństwie.

– Mądra jesteś, mądra – szepnęła Zośka do ucha swojej towarzyszki.

W zamian otrzymała liźnięcie po policzku.

– Zrobimy jakąś drakę. Nie będziemy tu siedzieć i czekać na zmiłowanie Boskie.

U podnóża wzniesienia rosły wysokie trawy. Po zimie ich soczyste źdźbła zamieniły się w suche, do niczego niezdatne kłacza.

– Będzie z nich piękny lont! – Powiedziała czarnowłosa do swojej niemej towarzyszki.

Usiadły w cieniu pod skałą, aby mieć widok na całe przedpole i Zośka zaczęła wyplatać cienki warkoczek z zeschniętej trawy. Jej palce szybko wprawiły się w tej czynności i warkocz stawał się długą liną.

– Tatko mówił, że nie wolno wypalać traw na wiosnę. Dzisiaj się temu sprzeciwiemy. Nie będziemy słuchać tatusia. Będziemy niegrzeczne.

Nie cierpiała już na samotność, a wręcz od jakiegoś czasu czuła się szczęśliwa. Silna dawała jej uczucie wspólnoty, czyli rodziny, którą w tak tragiczny sposób utraciła. Bez rodziny czuła się jak naga i wystawiona na zimny wiatr. Było to uczucie, z którym walczyła dzięki nadziei, że sama kiedyś założy rodzinę...

**„Nie w moim zwyczaju się poddawać.
Nie w takiej pięknej chwili!”**

Frank Bula był ósmym i ostatnim synem w rodzinie Bulów. Jego ojciec, także Frank, nie miał z niego pociechy. Nadał synowi własne imię, ponieważ niezwykle wierzył w to, że to wszystkie jego najlepsze cechy ujawnią się właśnie we Franku juniorze. Los tak to jednak poukładał, że najmłodszy z synów Bulów okazał się dzieckiem z niepełnosprawnością umysłową, którego wszyscy wokół wytykali palcami.

Frank junior nie rozwijał się normalnie i było to widoczne zawsze. Nauczył się co prawda mówić, lecz nie oduczył sikania w pościel i bezwiednego dłubania w nosie. Powierzone prace w domu czy w obejściu wykonywał skrupulatnie, lecz szybko się nimi nudził i bez wyobraźni o konsekwencjach po prostu je porzucał. Potrafił prowadzić krowę na pastwisko, lecz gdy po drodze zauważył motyla, porzucał rogatę zwierzę tam, gdzie stało, a sam uganiał się za owadem.

W wieku piętnastu lat nie ukończył żadnej szkoły ani kursu. Po pierwsze bardzo szybko się nudził, a po drugie był nieustannym pośmiewiskiem rówieśników. Rodzice szybko zabrali go ze szkół i trzymali w domu pod opieką. Jego jedynym zajęciem, w które zatapiał się bez reszty, było strzelanie z łuku.

Łuk dostał od starszego brata, a strzały wedle potrzeby dorabiał mu jego ojciec. Wolał zrobić synowi dziesięć strzał i stracić go z oczu na cały dzień, niż opiekować się nim od świtu do zmierzchu.

III Rzesza w tym czasie prowadziła politykę prowojenną. Do wioski w górach, gdzie mieszkał Frank, co tydzień przyjeżdżał oficer Wehrmachtu. Uczył strzelać z popularnego karabinku Kar98 na naboje bocznego zapłonu. We wsi była też atrapa tego karabinu, która po naciągnięciu zamka pozwalała na oddawanie tak zwanych suchych strzałów. Kształcący się strzelec mógł ćwiczyć ściąganie cyngla przy obserwacji zgranych przyrządów celowniczych.

Chłopcy woleli grać w piłkę albo uczestniczyć w innych uciechach, niż na sucho ćwiczyć strzelanie. Dla Franka jednak takie zajęcia było nieprzerwanie ciekawe. Na strzelnicy panował spokój i nic go nie rozpraszało. Otaczały go tylko tarcze, siennik i atrapa karabinu. Frank, w którego specyficznym umyśle powstał obraz balistyki pocisku na podstawie widocznej strzały wypuszczonej z łuku, wyrobił sobie do perfekcji umiejętność płynnego ściągania spustu.

Gdy nastał dzień przyjazdu oficera do wsi, Frank stał nieruchomo pod strzelnicą. Wielokrotnie obserwował strzelanie kolegów, ale jego ze względu na ułomność nikt nie dopuszczał do prawdziwego karabinu.

– Uwaga, ognia! – zakrzyknął oficer Wehrmachtu weryfikujący postępy w strzelaniu następnego młodziana.

Efekty nadal nie zadowalały żołnierza, który wręcz wychodził ze skóry, aby nauczyć młodzież tej trudnej sztuki.

– Ta fajtłapa strzela zapewne lepiej od was. – Wskazał wtką na Franka zawzięcie dłubiącego w nosie.

Rozbawił tym co prawda młodzież i wprowadził humorystyczny przerywnik, ale za moment się zreflektował.

– Halo! Ty! A dlaczego ty nie strzelasz z innymi?

Młodzian uważnie obserwował wydobyte z nosa artefakty i nie zwracał uwagi na słowa skierowane do niego. Oficer nienawykły do lekceważenia podszedł nieśpiesznie i wymierzył cios witką trzymaną w dłoni jako wskaźnik.

Witka świsnęła złowrogo, ale nie trafiła w cel. Frank schował rękę za siebie, gdy witka wykonała powtórny cios, tym razem wymierzony w twarz, młodzian przykucnął nagle, jakby przewidział następne posunięcie żołnierza. Gdy witka trafiła w próżnię, oficerem aż zakręciło.

Podrostki ze wsi przyglądali się z zaciekawieniem całemu zajściu. Z Franka śmiali się wszyscy we wsi, ale nikt się z nim nie bił. Chłopak był szybki jak mucha w unikaniu ciosów. Teraz radość zagościła na twarzach chłopców zgromadzonych na strzelnicy. Ich mieszkańiec wygrywał na punkty pojedynek z przyjezdnym oficerem rzeszy.

– *Scheiße!* – Przyjezdny zaklął przez zaciśnięte zęby, ale szybko się opanował. Był po dobrej szkole, w której nauczano, że nerwy nie rozwiązują problemu. – Chodź ze mną. Pokażesz innym, jak strzelasz.

Frank położył się na sienniku i przeladował karabin. Gracja i płynność ruchów zaskoczyły wszystkich, jak zaskoczyła celność. Na pięćdziesięciometrowej strzelnicy pociski w tarczy zrobili tylko jedną dziurę.

Oficer i tym razem wyglądał na zaskoczonego, ale jeszcze szybciej się opanował. Rozwiesił pięć tarcz obok siebie. Delikatnie musnął przyrządy celownicze, widząc zbyt niski rejon trafienia.

– Teraz strzelaj do każdej tarczy osobno. Po jednym strzale. Zrozumiano?

Chłopak kiwnął głową, że zrozumiał i ponownie położył się na materac. Za każdym strzałem zmieniał pozycję i za każdym razem długo przygotowywał się do strzału. Efekt wart był tych przygotowań. Pięć tarcz miało dziurki w tych samych miejscach. Przyłożone do siebie nie wykazywały większej różnicy.

Oficer długo patrzył na tarcze. Schował je potem do skórzanej teczki, a chłopaka odwiózł do domu swoim samochodem. Frank nie był rozmowny. Na pytania odpowiadał „tak”, „nie” albo „nie wiem”. Wytworzenie pełnego zdania wymagało od niego wielkiej pracy umysłowej i dość dużo czasu. Żołnierz Wehrmachtu nie zrażał się jednak, ponieważ w wojsku tak naprawdę nie jest wymagane myślenie, tylko wykonywanie rozkazów, a ten chłopak miał zadatki na żołnierza idealnego.

Weszli razem do domu, gdzie oficer rozmawiał długo z ojcem o przekazaniu chłopca do szkoły wojskowej. Ojciec nie rozumiał do końca planu oficera, ale zgodził się pod presją munduru i tego, że tak naprawdę nie miał pomysłu na dalsze życie Franka. Kariera wojskowa była na wyciągnięcie ręki.

Frank trafił do szkoły oficerskiej nie jako uczeń, ale jako pozorant. Kształcący się w tej szkole oficerowie musieli mieć wojsko, na którym mieli się uczyć realnych ataków i akcji zbrojnych. Chłopak nie miał tam łatwego życia, ale i nie łatwo mieli wydający mu rozkazy. Dopóki przyszli oficerowie nie nauczyli się specyficznej logiki Franka, dopóty

mogli krzyczeć, wrzeszczeć i wypluwać płuca. Frank zazwyczaj szybko znajdował coś w swoim uchu albo nosie i to bardziej go pociągało niż musztra czy ćwiczenia. Wszyscy szybko zrozumieli, gdzie jest miejsce Franka. Miejscem idealnym była dla niego strzelnica. Gdy szkołę wizytowali generałowie z ministerstwa obrony, Frank nie stał w szeregu, ani nie przebywał na musztrze. Czekał na wizytację na strzelnicy i tam zaskakiwał wszystkich swoim intuicyjnym strzelaniem.

Był sawantem skupionym na balistyce i karabinie. Nie potrafił sam zapiąć guzików w mundurze, ale przyrządy celownicze nastawiał bez najmniejszego zastanowienia. Gdy już brakowało regulacji przyrządów, a strzelał na większe dystanse, celował po lufie i co najciekawsze trafiał.

– Ten żołnierz idealnie nadaje się do przestrzeliwania broni eksperymentalnej! – zakrzyknął kiedyś generał wizytujący ośrodek i podziwiający talent Franka Buły.

Rzeczywiście taki karabin powstawał. Przygotowany był jeden egzemplarz z gwintem progresywnym w lufie i wzmocnioną komorą naboju. Jego luneta celownicza z dwudziestokrotnym powiększeniem i wielkim obiektywem była osadzona skośnie do lufy, aby balistyka pocisku mogła zgrać się z linią celowania na dystansach większych niż kilometr. Naboje napędzała większa dawka bardziej energetycznego prochu.

Frank do kompletu z karabinem dostał też pomocnika. Opiekuna, do którego obowiązków oprócz wystawiania celów zaliczało się także dbanie o Franka – w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Starszy kapral musiał dbać, aby Frank miał zapięte równo guziki od munduru i musiał pilnować, aby wysikał się przed snem, ponieważ w przeciwnym wypadku geniusz strzelecki spał na mokrym materacu.

Czas, gdy Frank dostał ten karabin jako swoją broń etatową, zbiegł się z rozpoczęciem działań zbrojnych III Rzeszy. Pełna mobilizacja pchnęła go i jego opiekuna na front.

Ta para snajperska była dość bezpieczna na froncie. Prowadzili akcje z ponadprzeciętnej odległości. Pomocnikiem Franka został eksnajer, który podczas Wielkiej Wojny miał udokumentowane dwadzieścia dwa trafienia, więc teraz jako pomocnik i opiekun tak wybitnego strzelca skupiał się tylko na wyborze celów. Resztę załatwiał Frank i jego nadzwyczajny karabin.

W gorących czasach, które nadeszły, gdy na wszystkich frontach armie niemieckie były w odwrocie, karabin Franka musiał grzmieć częściej i celować nieraz do mniej znacznych celów. Takie proste zadanie czekało ich dzisiaj.

Jeszcze przed świtem na wysoką, kamienistą górę zaspany Frank człapał na wybraną przez pomocnika pozycję.

– Dzisiaj będziemy polować na dziewczynę. Czarne długie włosy. Szczupła figura. – zagadnął z przyzwyczajenia, chociaż nigdy nie otrzymywał od Franka odpowiedzi.



Warkocz z suchej trawy miał już ponad pięćdziesiąt metrów długości. Zwój był ogromny, lecz na akcję, którą wymyśliła Zośka, taka długość była konieczna. Nie miała sznurka, a wyprawa po niego do wsi byłaby samobójstwem.

Dziewczyna jeszcze raz sprawdziła kierunek wiatru i podpaliła duży wiecheć siana, który był przywiązany na jego końcu. Teraz maksymalnie przygięta do ziemi szybko pobiegła, rozciągając na całej długości warkocz. Następnie padła na ziemię i czołgała się, aby rozprzestrzenić ogień. Silna także czołgała się, merdając z uciechy ogonem.

Po kilkunastu minutach całym stepem targała płomienna pożoga. Chmury czarnego dymu zasłoniły słońce, a ogień skutecznie odciął Zośkę od prześladowców. Miała teraz godzinę albo półtorej, aż Niemcy pozbierają się i wskoczą na pojazdy, którymi będą mogli pokonać płomienie. Zresztą, za godzinę czy dwie dla ognia nie będzie już paliwa. W kierunku, w którym przemieszczały się płomienie, znajdował się potok.

Teraz, gdy była daleko od prześladowców, mogłaby odetchnąć i odpocząć psychicznie, ale ona nadal kroczyła ostrożnie i wykorzystywała każdą naturalną odmienność terenu jako ochronę przed wzrokiem obserwatora.



– Wiesz, Frank, dlaczego tu jesteśmy?

Cisza.

– Bo właśnie to jest to miejsce, w które udałby się człowiek podpalający te łąki. – Wskazał ręką unoszącą się kłęby dymu.

Para snajperska przebywała na posterunku już od świtu. Stary żołnierz był zahartowanym w boju weteranem, a strzelec mało wymagającym i nieskarżącym się na trudy młodzieńcem. Stanowili parę wręcz idealną. Potrafili bez ruchu przeleżeć cały dzień, wspierając siebie swoją odmiennością osobowości i skupieniem na działaniu.

Frank bawił się trzymanym w ręku nabojem. Jego potężna i muskularna łuska była odmienna od tych, które widuje się na co dzień. Skrywała w sobie taką ilość prochu, że, gdyby nabój teraz wybuchł, na pewno urwałby młodzianowi rękę jak granat. Jego skondensowaną energię chemiczną mogła okiełznać tylko specjalnie kuta lufa, która miała pogrubioną komorę naboju. Chłopak był tak zajęty oglądaniem pocisku zaciśniętego w łusce, że nie docierały do niego dźwięki ze świata zewnętrznego.

– Jeszcze nie widać, kto podpalił ten step, ale żaden ogień nie rozprzestrzenia się prostopadle do wiatru. Musiał więc ktoś go podpalić – mruzczał do siebie stary żołnierz, ponieważ na odpowiedź chłopaka nie liczył.

Strzelec na pozór bezsensownie bawił się nabojem, lecz jego mózg w tym czasie analizował ogrom informacji wynikających z głębokości zamontowania spłonki, centralności stożka pocisku, siły zaciśnięcia łuski i głębokości posadzenia w łusce. Niuansów dalekiego strzału jest znacznie więcej, a zależności z nich płynące układały się jak muzyka w filharmonii. Gdyby istniał zapis takich zależności, Frank mógłby stworzyć partyturę z tysiącem nut na dziesiątkach kartek. Utworem rozbrzmiewającym

z takiej pięciolinii byłby tylko jeden strzał. Jeden utwór idealny w swej prostocie i zakończony śmiertelną pointą.

– Jest. Jeeest. – szepnęła doświadczony żołnierz i trącił chłopaka dla zwrócenia jego uwagi.

Podał do ręki ciężką lornetę i wskazał palcem kierunek. Frank szybko zauważył cel. W wysokiej do pasa, suchej trawie skradała się dziewczyna o czarnych włosach. Wystawiała głowę tylko na moment dla sprawdzenia kierunku i zaraz się kurczyła, ginąc z oczu. Jednak jej pozycję wskazywały kładące się trawy. Frank patrzył na wszystko z góry, mógł więc ocenić kierunek przemieszczania się postaci i odległość. Oddał lornetę starszemu koledze i wprowadził nabój do lufy.



Silna szła przodem i co rusz rozgarniała łbem trawy, gdy pięćsetgramowy rozpędzony do prędkości ponaddźwiękowej posłaniec śmierci uderzył ją w bok. Z rany wylotowej wystrzelił gejzer krwi i poszarpanych mięśni. Zośka idąca za nią w przykurczonej pozycji instynktownie padła na kolana.

Szok spowodowany centralnym uderzeniem tak dużego pocisku sprawił, że Silna nawet nie zaskomlała. Dziewczyna objęła ramionami ciało zwierzęcia, ale nieruchome oczy psa mówiły, że na wszystko jest już za późno. Szok Zośki trwał kilkanaście minut.

– Nie odchodź, proszę! Nie rób mi tego! Dlaczego?! – Łkała przytulona do stygnącego ciała swojej towarzyszki.

W czasach wojennej pożogi, gdy samotność gwarantowała jej przeżycie, Silna była jak siostra albo córka. Zosia mogła opowiedzieć jej o wszystkich swoich problemach i troskach. Przytulić się do jej ciepłego ciała przed zaśnięciem i czuć, że ma jeszcze dla kogo żyć.

Jej umysł odtworzył jeszcze dźwięk, który dotarł do jej uszu kilka sekund po trafieniu. Był on praktycznie niezauważalny, odległy i przytłumiony. Brzmiał jak uderzenie grubym kółkiem w pień drzewa, jak odgłos strzału z ponad kilometrowej odległości.

– To niemożliwe – powtarzała bezgłośnie Zośka.

Wycofywała się na czworakach, niczym kot polujący na wróble, tą samą drogą w trawach, którą przyszły. Wolno i cicho...



Para strzelców była przeświadczona o skuteczności trafienia. Opiekun Franka wytężał wzrok, obserwując każdy szczegół roślinności przez potężne szkła lornety morskiej, i nie widział żadnych przemieszczeń czy innych ruchów. Postaci psa nie widzieli wcześniej przez wysokie badyle traw i byli przeświadczeni, że przez step przedziera się jedna postać.

Stary żołnierz wykrzywił w jednostronnym uśmiechu twarz. Ten uśmiech półgębkiem odzwierciedlał dumę. Mężczyzna, któremu wzrok i zdrowie nie pozwalały na intensywne treningi strzeleckie, teraz czuł satysfakcję, jakby to on sam wykonał ten strzał.

Trafienie z tej odległości zdawało się nieosiągalne dla innego snajpera. Sawant, który go oddał, potrafił potęgą swojego umysłu zobaczyć trajektorię lotu pocisku, na który działał wiatr, siła przyciągania i obrót Ziemi. Potrafił wyobrazić sobie ruch celu, dzięki czemu przewidywał punkt przecięcia się trajektorii pocisku z podążającym celem.

Szczególne dla umysłu Franka Buly było to, że nie musiał widzieć celu cały czas. Jego wyliczenia prędkości spotkania zdawały się jasnowidztwem. Różniły się tylko tym, że jasnowidz nigdy nie był tak precyzyjny. Precyzyjny do ułamka sekundy.

Frank także długo nie odrywał wzroku od szkła obiektywu. Jego obserwacja była jednak beznamiętna. Beznamiętna przynajmniej w zwykłym rozumieniu. Jego chłodny umysł analizował wszystkie zauważalne i niezauważalne aspekty strzału i wprowadzał poprawki w swoje nadludzkie rachunki balistyczne. Bardzo pomocne przy tej pracy umysłowej było zajęcie czymś rąk.

– Przystań dłużej w nosie! – warknął jego opiekun. – Nie wiem, czy jestem w stanie ciebie tego oduczyć. Wstawaj! Wracamy. Nie mamy tu już nic do zrobienia. Należy nam się sznaps i dobry obiad za tę pracę.

Wracali lekkim krokiem. Opiekun Franka myślami był już z kompanami w kantynie, gdzie przy lampce wina będzie opowiadał swoje wojenne historie. Frank szedł także swobodnie. Jego umysł skupił się na obserwacji żółtej wydzieliny, którą wyciągnął palcem z ucha.



Zobaczyła ich przez obiektyw swojego karabinu. Weterana i puciołowatego podrostka człapiącego butami tak, że aż leciał kurz.

– To niemożliwe – powtórzyła to już setny raz. – Ten z karabinem wygląda na upośledzonego chłopca. Ten z lornetką na uschłego od alkoholu dziada. To niemożliwe!

Jednak fakty mówiły za siebie. Karabin niesiony przez młodziana wyglądał jak nowoczesne dzieło sztuki. Był smukły i wyprofilowany, a zarazem muskularny i wzmocniony. Na końcu jego lufy zauważyła coś, co przypominało odrzutniki w armatach, a luneta wyglądała jak jednooka kopia tej lornety, którą niósł dziad w mundurze.

– Jest tylko jeden sposób, aby sprawdzić, czy to oni.

Wpełzła ponownie w głębokie krzaki i szybkim biegiem, na jaki tylko było ją stać, wyprzedziła człapiącą parę. W jej głowie powstał plan, którego realizacja wymagała szybkości, sprytu i szczęścia.

Para w tym czasie zatrzymała się przy polowym posterunku koordynacyjnym. Porucznik dowodzący tym skrzydłem obławy odebrał meldunek od opiekuna

o wykonaniu zadania.

– Pójdę po obiedzie z dwoma żołnierzami po jej ciało – oznajmił starzec, sugerując tym samym, że należy mu się odpoczynek.

– Wycofać oddziały poszukiwawcze – zakomenderował przez radio porucznik. – Zadanie wykonane. Zbiórka na obiad przy kwaterze.

W głębi doliny dla dwóch kompanii wojska postawiono duży namiot, stołówkę. Dwie kuchnie polowe gotowały pożywną zupę, a na poprawę morale szef zaopatrzenia zorganizował kilka skrzynek wina. Był ciepły wiosenny dzień, więc wojsko w rozpiętych mundurach zaległo wokół kantyny. Karabiny rozstawione w polowe kozły urozmaicały krajobraz sjesty.

Przy stole pod namiotem bohater dzisiejszego dnia opowiadał o swoich przygodach i celnych strzałach Franka, gdy nagle brzdęknął pocisk. Strzał trafił w kocioł kuchni i pyszna zupa ciurkiem zaczęła wyciekać na piasek.

– Brzdęk! – Drugi pocisk trafił w drugi kocioł.

– Snajper! Snajper! Snajper! – Okrzyki ostrzeżenia podawano z ust do ust.

Wojsko zaległo. Żołnierze, czołgając się, rozebrali kozły z bronią, lecz tylko jeden z wojskowych wiedział, z którego kierunku i z jakiej odległości padają strzały.

Stary weteran dopił swój kubek wina. Pomyślał chwilę i przeanalizował sytuację. Fińskiego mosina rozpoznał bezbłędnie, podobnie jak kierunek strzału. Precyzyjnie określił też odległość, z jakiej padły strzały i pokręcił z niedowierzaniem głową. Zapiął wszystkie guziki munduru i wpełzł jak wąż pod stół. Czołgając się, poszukiwał swojego strzelca. Tylko on mógł zmierzyć się z tym snajperem, który z odległego wzniesienia oddał tak celne strzały.

Znalazł go za ciężarówką zaopatrzenia. Bawił się turkusowym żukiem gnojarem.



Nie mogę ich tak zastrzelić na drodze. Starca i tego upośledzonego chłopca? To tak, jakbym pastwiła się nad raczkującym dzieckiem. Gdy leżą na pozycjach z lornetą i karabinem, są śmiertelną machiną, ale teraz... To ślepe kocięta, które mogłabym zabić jednym wystrzelonym nabojem.

Postanowiła pokonać tę parę w uczciwym pojedynku. Tak jak w powieściach z Dzikiego Zachodu, którymi zaczytywała się w okresie szkolnym. Dała im czas na zorganizowanie się i uzbrojenie. Sama tymczasem przygotowała dwa stanowiska zapasowe. Aby móc rywalizować z tak doskonałym strzelcem, musiała wypracować sobie strategię na zwycięstwo.

Postanowiła, że przygotuje pewien wabik na zmysły przeciwnika. Najpierw wyszukała odpowiedniej wielkości kamień i przeniosła go na swoje pierwsze stanowisko. Tam, za krzakiem, za którym się chowała, podparła głaz w punkcie jego równowagi. Dzięki temu miała możliwość szybkiego wytrącenia go z tego punktu, co miało spowodować jego stoczenie się na niższą półkę skalną. Drugie stanowisko oczywiście nie znajdowało się na tam, gdzie spaść miał kamień. Mieściło się pomiędzy

skalami i również zamaskowane było krzakami. Trzecie – kryło się w gąszczu młodnika, a droga do niego była niewidoczna z obozu Niemców.

Teraz przez swój obiektyw obserwowała obóz. Nie widziała z tej odległości za dobrze, ale na tym dystansie nie marzyła o trafianiu w punkt.

– Teraz chwila prawdy – mruknęła do siebie i oddała strzał w kuchnię polową dla przestrelania na tę odległość karabinu.

– Pang! – Zabrzmiał drugi strzał i po paru sekundach dobiegł do niej głos ponownego trafienia w blaszankę kuchni.

– Może być!

Patrzyła uważnie na ruchy wojska. W oka mgnieniu pozbierali broń i praktycznie żadnego nie mogła dostrzec. Przeciwnik siedział do niej tyłem. Wiedziała, że dokładnie ocenił technikę strzału. Zrozumiał, że to wyzwanie. Spokojnie dokończył pić, zapiał mundur. Jeszcze spokojnie obejrzał się przez ramię i jak reszta zniknął jej z oczu. Rękawica została podniesiona.

– Może i polegnę w tym pojedynku, ale zupki to sobie dzisiaj nie pochlipiecie...



– Frank. Za-zabieraj ka-ka-karabin, dokładnie wy-wy-wyczyść lufę. Ja biegnę po-po lornetkę. – Adrenalina zablokowała jego krtań. Zaczął się jękać.

Jeszcze minutę temu był spokojny. Jednak gdy dotarł do niego fakt, że snajper, mający w nosie dwie kompanie zmotoryzowanej piechoty, wyzywa ich na pojedynek, zaczął się bać. Zaczął się panicznie bać. To były strzały z tysiąca stu metrów. Szybkie i celne. Ten snajper mógł dostać każdego. Ich porucznika albo dowódców. Mógł dostać jego! Strzelał jednak w blaszankę kuchni. Dla efektu? Dla uciechy? To nie zwykły skrytobójca. To sportowiec lubiący rywalizację. Neeee! To gladiator! On walczy na śmierć i życie tylko po to, aby udowodnić, że jest lepszy.

Do starego żołnierza, który dotychczas rozdawał karty śmierci, dotarło, że teraz on jest w zasięgu czyjegoś strzału... że oko obiektywu od tej pory patrzy na niego.

Frank siedział po turecku z karabinem na kolanach. Bawił się żukiem gnojarem, obrywając mu po kolei nóżki. Szarpnięcie za kołnierz spowodowało, że upadł, uderzając twarzą w ziemię.

– Wstawaj!!! – W głosie starca nie było już strachu. Była panika.

Nigdy nie stracił cierpliwości do Franka i nigdy nie zrobił mu krzywdy. Teraz ciągnął go za kołnierz z nadludzką siłą. Franek upuścił broń i zaczął płakać.

Gdy byli już na pozycji, do starca dotarło, że to już koniec. Wojenna przygoda skończy się właśnie tak. Płaczem, paniką i śmiertelnym ciosem. Wojował od lat i miał charakter. Opanował więc lęk, dzięki przywołaniu w pamięci swoich najgroźniejszych przygód, z których jednak wyszedł z życiem. Nie umrze, srając w gacie ze strachu!

Wyciągnął cukierka, którego nosił dla Franka właśnie na takie okazje. Rozwinął z papierka i polizał. Jemu też przyda się osłoda chwili. Włożył go potem w usta chłopca i uśmiechnął się.

– Jest gdzieś tam. – Wskazał ręką wzgórze. – Weź moją lornetkę i szukaj. Masz lepszy wzrok i szybciej go znajdziesz.

Powiedział to, aby się usprawiedliwić. Leżeli pod słońce. Jeśli wrogi snajper dostrzeże błysk lornetki, strzeli.

Nie chcę ginąć pierwszy – pomyślał właśnie wtedy, gdy lecący z prędkością ponaddzwiękową pocisk uderzył w pień drzewa. Uderzył tak blisko, że poczuł jego podmuch na twarzy, był jak wyjście skoczka przed szereg figur w szachach.

– Widziałeś, skąd padł strzał? – Starzec zapytał łamiącym się z bezsilności głosem.

– Ehe – wydukał Frank, oddając weteranowi lornetkę. – Złazł niżej. Strzelał.

Doświadczony wieloma bojami opiekun rozbieganym wzrokiem próbował odnaleźć stanowisko poniżej, gdy jego podopieczny oddał strzał. Huk ogłuszył ich obu. W emocjach zapomnieli o zatkaniu uszu mchem. A właściwie, to zapomniał opiekun, ponieważ Frank nigdy by sobie takiej rzeczy nie wyobraził. Spalona dawka prochu wycisnęła powietrze z ich płuc, a uszy przytknęło nieprzyjemnym uciskiem. Opiekun Franka nerwowo przebiegał lornetką po wzgórzach, lecz nie mógł się zorientować, gdzie celował Frank.

Już po nas! – przemknęło mu przez myśl, kiedy zdał sobie sprawę, że całkowicie stracił kontrolę nad sytuacją.



Zośka oddała trzeci strzał. Był on jak pierwszy cios boksera rozpoczynającego walkę. Miała dwa wytypowane miejsca, w których zaobserwowała nieznaczny ruch. Ten strzał miał wywołać odwet, czyli ujawnić wrogi stanowisko.

Telesfor często mawiał, że na wojnie poza umiejętnościami liczy się szczęście. Dzisiaj Zośce sprzyjał los. Co prawda pocisk najprawdopodobniej nie trafił w rejon, ale był diabelnie blisko. Prawie w tym samym momencie popchnęła kamień, który tocząc się poprzez gęstą trawę, dotarł do półki skalnej poniżej jej stanowiska. Sprytnie jak wąż zmieniła miejsce strzelania i z nowej pozycji przez kilka sekund podziwiała lornetkowe płąsy opiekuna tego niecodziennego snajpera. Usłyszała też uderzenie pocisku w skalną półkę, na którą potoczył się kamień. Uśmiechnęła się.

– Teraz cię mam. – Dmuchnęła w swój niesforny kosmyk włosów i do komory załadowała nabój, który wyselekcjonowała spośród pięciuset sztuk amunicji podczas beczynnych dni spędzonych w okopach.

– Tuk! – Mosin pieszczotliwie kopnął ją w ramię, a luneta podskoczyła.

Zośka wiedziała jednak, że zanim pocisk doleci do celu, ona ponownie odzyska wyraźny obraz w lunecie. Obraz był wyraźny, lecz nie na tyle mocny, aby dostrzec szczegóły. Oczywiście wyobraźni widziała wyraźnie, jak rozlatuje się lornetka, jak starszy z Niemców z rozrzuconymi rękoma przechyla się do tyłu i potem bezwiednie łapie się za twarz, której już nie było. Pocisk roztrzaskał szkła, zmienił swój lot i rykoszetował na obudowie lornety. Masa potłuczonego szkła wraz z chmurą ołowianych odłamków po prostu zdarły skórę z twarzy starca. Ciężka lorneta połamała nos i kości policzkowe.

Niebywale szybko po swoim strzale dostrzegła błysk tuż obok trafionego celu. Wcisnęła głowę za kamienie, a potężny pocisk przeleciał ze świstem szczeliną, w której przed chwilą była jej głowa.

Jest piekielnie szybki. – Czołgała się na trzecią pozycję. – Szybki i celny. Jak on to robi? Ja potrzebowałam dwóch strzałów, aby się wstrzelić, a i tak trzeci spudłowałam. On strzelił raz i trafił bezbłędnie. Jest niesamowity. Tylko refleks mnie uratował.



Żołnierze Wehrmachtu leżeli jak sparaliżowani. Zalegli poukrywani za wszystkimi możliwymi przysłonami i nawet im do głowy nie przyszło wesprzeć swoich snajperów armatką, którą mieli zamontowaną na ciężarówce. Może nie przyszło im to do głowy, a może nie chcieli prowokować snajpera własnym ruchem.

Najpierw głośny stuk pocisku w pień drzewa, a potem stłumione puk trafienia oznajmiało, że strzelec zajmuje odległą pozycję.

– Kto to jest?! – zapytywał porucznik swojego chorążego. – Skąd się tutaj wziął?

– Nie wiem, ale wiem, że jest bezczelny. – Przerwał, ponieważ trzask lornetki i stłumiony jęk starego snajpera przerwał tok jego myśli.

– No i jest piekielnie skuteczny.

– Buuum! – odezwała się armata Franka i ogłuszyła wszystkich skutecznie.

Niemcy w niemym skupieniu obserwowali pojedynkę gigantów. Wehrmacht oczywiście kibicował swojemu Frankowi. Chociaż nie każdy go lubił, dzisiaj bez wyjątku wszyscy stali się jego zagorzałymi fanami.

Dzisiejszego popołudnia słońce jakby się uwzięło. Z wiosennego dnia zrobiło się lato. Gorąc przypalał żołnierzy leżących na odkrytej przestrzeni. Kłęli pod nosem na wrogiego snajpera i życzyli mu wielu niemiłych rzeczy. Ich oczy spoglądały ukradkiem ku górze. Emocje sięgnęły zenitu, gdy znad szczytu błysnęła ogień z lufy. Pocisk leciał w ich kierunku.

– Buuum! – Prawie natychmiast odpowiedziała armata Franka.

– Plask! – Po huk z broni Franka ten dźwięk wydawał się o wiele cichszy.

Przez kilka sekund panowała absolutna cisza.



Ranny weteran jęczał przeraźliwie. Odarta z połowy skóry twarz zawierała pełno drobnych odłamków szkła i ołowiu. Jego organizm był w takim szoku, że całe ciało wpadało w niekontrolowane drgawki. Jednak zmobilizował się do ostatniej porady dla Franka.

– Uciekaj, uciekaj – seplenił niezrozumiale przez podarte wargi i policzki. – Uciekaj! Już!

Frank niestety nie miał na tyle wyobraźni, aby posładać bełkot rannego w artykułowany rozkaz. Zlekceważył swojego opiekuna, ponieważ jego sawancki umysł

zajmowało tylko jedno: doskonały strzał.

Na złowrogi błysk ze szczytu zareagował błyskawicznie. Strzelił, pomimo że miał niewygodny kierunek i nie miał dobrej widoczności. Mógł zdążyć schować się po ujrzeniu błysku. Pocisk leciał do niego długie sekundy i mógł przed nim uciec, ale on wybrał strzał.

– Plask! – Pocisk uderzył chłopaka w ramię.

Wszedł lewym ramieniem nad obojczykiem. Po tak długim locie nie miał już wysokiej energii penetracji. Przekoziółkował raz i uwiązł na sercu pomiędzy rozerwanymi tętnicami. Był jak podarek od drugiego strzelca. Jak medal uznania przesłany z daleka tylko dla niego.

Frank nie poczuł bólu. Poczuł satysfakcję. Jego mózg przed śmiercią zarejestrował strzał idealny. Strzał precyzyjny, a jednocześnie z trafieniem przesuniętym w czasie tak, że cel musiał zostać trafiony.



Akcja pojedynku przebiegała w błyskawicznym tempie. Zośka zmieniała pozycje szybko i zwinnie jak jaszczurka. Jej wyselekcjonowana amunicja dokonywała cudów. Każdy jej strzał był tak precyzyjny, jakby strzelała na dystansie o połowę mniejszym. Ten dzień musiał być szczególny. Była wyspana, najedzona i do granic możliwości wkurzona.

Teraz zajęła ostatnie stanowisko. Wysunęła lufę powoli spod krzaka i przygotowała się do oddania ostatniego strzału. Widziała wijącego się z bólu weterana i leżącego obok chłopaka. Każdy cios boksera odsłania jego obronę. Każdy strzał snajpera zdradza jego pozycję.

Zośka wiedziała, że to ostatni ruch. Ostatnie stanowisko do wykorzystania. Mrowiły ją palce, a wzrok tracił ostrość. Zamknęła oczy i wzięła bardzo głęboki oddech. Otworzyła oczy i zdecydowanie oddała strzał.

Kopnięcie karabinu było jak sygnał startowy dla sprintera. Razem z karabinem wykonała obrót przez prawe ramię, aby uciec z linii strzału. Jednak szczęście, jakie miała do tej pory, ją opuściło. Mech zakrywał wgłębienie w ziemi, w jakie wpadł jej łokieć, a ostra skała zaraz za nim skutecznie zatrzymała jej ruch. Zaskoczona tą przeszkodą już zrywała się na nogi, gdy pocisk o nadprzeciętnej mocy świsnął obok niej. Musnął delikatnie skałę, która przeszkodziła jej w obrocie i poleciał dalej z przeraźliwym gwizdem daleko za wzgórze. Zośka mimo wszystko zmieniła pozycję i spojrzała przez lunetę.

– To niesamowite – szepnęła, gdy zobaczyła postać sawanta, który leżał na plecach z przyciśniętym do piersi karabinem. – Pokonałam go!

Pomyślała chwilę. Strzelił do mnie ze świadomością, że zmienię pozycję. Strzelił tak, że trafiłby bezbłędnie, gdyby nie ta dziura. Przewidział, gdzie znajdę się po strzale! Leżałabym teraz jak on, a fryce świętowaliby do wieczora. – Przerwała swój wewnętrzny dialog, bo fryce poderwani rozkazem wskakiwali na wozy.

Ogniomistrz i dwóch bombardierów schowani za osłoną balistyczną armaty właśnie celowali w jej kierunku. Nie było czasu na sentymeny. Już zbiegała ze wzniesienia, ponieważ wiedziała, że ciężarówka jada, aby ją okrążyć. Już nie było trawy do podpalenia. Już nie było Silnej z jej węchem i słuchem. Została tylko ona ze swoim karabinem.



Dowódca krzykiem i nerwową gestykulacją zapędzał wojsko na ciężarówkę. Jego stanowczość i pewność siebie ulotniły się jak dymek z zapalniczki. Był teraz spanikowanym frustratem, od którego aż śmierdziało strachem. Ten udzielił się dowódcy pododdziałów, a to nie jest recepta na sukces.

– *Raus! Raus! Raus!* – Pokrzykiwał, wymachując parabelką.

Wyjęcie tak śmiesznej broni w obliczu snajpera rozbawiłoby wojsko, gdyby nie paniczny strach, jaki pojawił się w ich sercach. Żołnierze bez wiary w zwycięstwo nie odniosą żadnego sukcesu. Wiedział to dowódca i dla przykładu sam wskoczył do swojego odkrytego volkswagena. Trzymał się jedną ręką szyby, drugą dał znak kierowcy, aby ruszał pierwszy. Był jak rzymski dowódca legionów prowadzący na koniu do ataku. Nie dotarł jednak na pole bitwy.

Zoska czekała na niego podniecona wygranym pojedynkiem, wkurzona śmiercią psa i zmęczona ciągłym bieganiem i skradaniem. Nie miała sentymentów.

Wzgórze, które objechało auto dowódcy, tutaj przechodziło w dolinę. Kapitan kierujący całą akcją siedział na fotelu i rozejrzał się dookoła. Spojrzał na roślinność, jaka porastała dolinę. Dawała dobre schronienie dla zamaskowanego strzelca. Nie zdążył zareagować. Już nadjeżdżały ciężarówka. Już miał wyskoczyć z samochodu i rozprościć wojsko, gdy szyba przed nim rozprysła się i tysiącem kawałków przyzdobiła w krwawe cętki jego twarz. Dostał postrzał w korpus. Został w fotelu, a ostatnią jego myślą było to, że mógł spalić całą wieś i nie bawić się w ściganie jakiejś podejrzanej wieśniaczki.

Kierowca jak konik polny jednym susem wyskoczył z samochodu bez broni i czapki, po czym skrył się za swoją maszyną. Reszta kierowców, widząc to, chciała zawrócić, ale stworzyli zator, gdyż każdy próbował wykonać ten sam manewr. Piechota wysypywała się spod plandek i w panice rozbiegła w poszukiwaniu kryjówki. Prysła gdzieś germańska duma i poczucie wyższości rasowej. Teraz ich taktyką było wygrzebywanie jam w ziemi.

Zoska także zmieniła sposób postępowania. Widząc strach i niemoc po stracie dowódcy, postrzeliła w miednicę najbardziej opieszałego piechura. Teraz ona rozdawała karty w tej dolinie. Przewiesiła swoją broń przez ramię i szybkim marszem zaczęła obchodzić zalegające oddziały od tyłu. Jęczący piechur darł się wniebogłosy o pomoc, lecz żaden z kamratów nie wychylił nawet nosa ze swojej nory. Swoim krzykiem i jękami trwożył jeszcze bardziej żołnierzy niemieckich.

Wieczorem dziewczyna oddała jeszcze jeden strzał. Do dowódcy pododdziału, który przez lornetkę chciał zorientować się w terenie. Strzał padł z całkiem przeciwnego kierunku niż oddawane do tej pory. Niemoc wobec tak przebiegłego snajpera wzrosła jeszcze bardziej. Eskalacja strachu uwidoczniła się w głośnej modlitwie jednego z okopanych żołnierzy. Do jego lamentów i próśb o zmiłowanie Boskie dołączyli inni.

Zośka nie miała tutaj nic do roboty. Pod osłoną zmierzchu oddaliła się jak duch. Okrążyła jeszcze raz dzisiejszej doby wzgórze i zmęczona zasnęła.

Wojsko, które ją ścigało, zalegało w wykopanych jamach jeszcze dwa dni, aż wygoniły ich głód i pragnienie.



Rano poszła szukać ciała swojej zastrzelonej przyjaciółki. Znalazła ją. Silna leżała na boku. Podniosła głowę, a jej ogon zaczął miarowo tłuc o ziemię.

– Ty żyjesz? – zająknęła się. – Ty żyjesz? Ty żyjesz!

Śmiała się i płakała ze szczęścia. Dopadła ją w jednym skoku. Rana wlotowa zasklepiona była skrzepem krwi, a wylotową zatkał piasek zmieszany z krwią. Silna była naprawdę silna. Była mocarna. Patrzyła z wdzięcznością i radością na powracającą Zosię.

Dziewczyna w okamgnieniu odnalazła strumień i napełniła wodą manierkę. Napoiła i nakarmiła psa, po czym delikatnie zaczęła obmacywać jej ciało.

Pocisk, pomimo swej siły i rozmiaru, nie uszkodził nic więcej niż powierzchniowe mięśnie. Silna przetrwała szok po trafieniu i wydawało się, że najgorsze już za nią. Zośka tryskała szczęściem i radością. Do wieczora znalazła kilka gniazd szpaków i z naręczem małych jajek wróciła do swojej przyjaciółki.

– To cud i szczęście, że żyjesz. Nie ma drugiej takiej jak ty. – Zośka nie mogła się nacieszyć swoją przyjaciółką.

Wieczorem dziewczyna zabrała się za kucharzenie. Do skromnych zapasów, które im zostały, Zośka dodała kilka jaj szpaków. Obie zjadły pożywną kolację i przytulone do siebie zasnęły...



Jakieś plotki i pogłoski wyprzedzały Zośkę. Szeregowcy opowiadali między sobą o strasznej i bezwzględnej czarownicy. Nikt nie wiedział, jaką ostatecznie wersję miała opowieść o strzelającej z powietrza latającej wiedźmie. Każdy żołnierz wierzył oczywiście w swój karabin i bagnet, lecz każdy z nich ma też króliczą łapkę lub inny artefakt na szczęście. W tę lukę racjonalności wcisnęła się plotka o czarownicy. Nikt oczywiście nie dawał wiary w takie bajdy, dopóki sam nie stanął w wietrzną noc na warcie. Dopóki w samotności nie zaczął wspominać strachów z dzieciństwa i opowieści zasłyszanych przez całe życie. Wtedy bajdy wracają w najprawdziwszej wersji. Wciskają się pod mundur i chłodzą bardziej niż najzimniejszy wiatr.

Na każdym posterunku widniała podobizna czarnowłosej dziewczyny. Każdy dowódca zachęcał do jej szukania i złapania. Generalne dowództwo wyznaczyło pokazną nagrodę za głowę wiedźmy, lecz na uzbrojonych w nowoczesną broń żołnierzach wywarło to efekt odwrotny. Każdy cenił swoje życie bardziej niż najcenniejszą nagrodę.

– Dwie kompanie piechoty leżały sparaliżowane przez dwa dni. Rzuciła na nich czar, że nie mogli się ruszyć. Wrócili w osranych mundurach na granicy śmierci z odwodnienia – opowiadał jeden z Niemców, komentując nagrodę wyznaczoną za schwytanie snajperki.

– Widocznie czar przestał działać, bo zmarliby tam wszyscy w wykopanych przez samych siebie grobach – dodał drugi, który także słyszał tę historię. – Strzelała do snajperów pod ogniem z armat, a pociski i odłamki odbijały się od niej jak od kamienia.

– Sprowadzili ją pewnie z głębokiej Syberii. Słyszałem, że tam są takie szeptuchy! Mają taką moc, że wyciągną z człowieka każdą chorobę.

– Ale jak taką czarną magię obrócić przeciw człowiekowi, to już nie ma ratunku.

– Taaak! A jak jeszcze dali takiej wiedźmie karabin snajperski, to nic tylko spierdalać i nie oglądać się za siebie, bo jak nie kulą, to urokiem dostaniesz.

Zośka szła na północ nienękana i nieścigana przez nikogo. Już zastanawiała się czy nie podąży w jakąś pułapkę, gdy na słupie drogowskazu zobaczyła zadrukowaną kartkę. Obejrzała okolicę przez lunetę karabinu i uspokojona podeszła, aby przeczytać obwieszczenie. Po pierwsze zorientowała się, że jest w pobliżu Tomaszowa Lubelskiego, gdyż pod obwieszczeniem znajdowała się informacja, że to tamtejsze gestapo je przygotowało.

– Co to jest, do jasnej aniłki? – Silna machała tylko ogonem. – To jestem ja?

Wielkie litery wręcz krzyczały z ogłoszenia: „Achtung! Banditen!”. Poniżej umieszczono jej niezbyt udaną podobiznę.

– Zrobili mnie starszą co najmniej o dwadzieścia lat! – fuknęła z prawdziwą złością.

Przeczytała umieszczony pod podobizną opis. Pod podobizną ktoś ołówkiem dopisał „Hexe”.

– Zachowam sobie na pamiątkę. – Zerwała kartkę, złożyła ją i schowała do kieszeni na piersi. Nagle przez jej głowę przebiegła psotna myśl: A co by było, gdybym zgłosiła się po nagrodę? Uśmiechnęła się do siebie. Poprawiła wiszący na plecach karabin i zniknęła w przydrożnych zaroślach.



Drugi dzień obserwowała posterunek. Sześciu uzbrojonych w peemy gestapowców patrolowało parami teren w dzień i w nocy. Był pewnie i dowódca, ale nie widziała go podczas obserwacji.

Niemcy byli dobrze uzbrojeni, lecz ich postawa zdradzała ubytki na zdrowiu. Zośka jeszcze w Grabowie widziała ciężarówkę z rannymi powracającymi ze wschodniego frontu. Odmrożeń było więcej niż ran postrzałowych.

Ci tutaj kuleją i są w rękawiczkach, więc możliwe, że nie mają wszystkich palców. To jednak frontowcy. Może nie są za sprawni, ale strzelać na pewno potrafią. Umieją też na pewno chronić własne życie. Hmm. Może nie wtykać tutaj swego nosa? Może ominąć ich tereny i iść prosto do Puszczy Kampinoskiej? W jej głowie jednak już zakiełkował pomysł. Przewiesiła karabin na skos przez plecy lufą do dołu.

– Idziesz ze mną. Oslaniasz moje tyły. – Silna tak jak zawsze pomerdała ogonem na znak, że zrozumiała rozkaz.

Zośka sprawdziła oporządzenie. Sprawdziła, czy finka gładko wychodzi z pochwy i przeładowała tetetkę. Spuściła delikatnie kurek i włożyła ją sobie z tyłu za pasek. Szła hardym krokiem. Po drodze zdjęła komuś z ogródka sznurek do suszenia prania i finką podzieliła go na kilka metrowych kawałków. Chciała nim związać przyszłych jeńców.

Drzwi na posterunek były uchylone. Wśliznęła się do środka. Rozejrzała się dookoła. Przy drewnianym biurku z wielkim kałamarzem siedział żołnierz. Dystynkcje sierżanta na pagonach oznajmiły czarnowłosej, że to on jest tutaj dowódcą.

Jak dobrze, że ojciec organizował te dni rosyjskie i niemieckie – pomyślała. Telesfor władał trzema językami, a w domu urządzał dni rosyjskie, niemieckie i polskie. Dzięki temu nie zapomniał nauczonych języków, a przy okazji kształcił lingwistycznie córkę.

Gestapowiec przeglądał jakieś papiery, gdy Zośka podetknęła mu pod nos list gończy.

– Przyszłam po nagrodę – oznajmiła w języku okupanta.

Podniósł na nią wzrok i wtedy poznała swój błąd. Nie rozpoznała wszystkich obsadzających posterunek. Wyrobiła sobie pogląd, że jeśli żołnierze są kalekami, to ich dowódca również. Do teraz nie wiedziała, że wchodzi do klatki z tygrysem. Ten tutaj na pewno nie był kaleką.

Sierżant, lekko po trzydziestce, miał masywną posturę. Spokojnym wzrokiem omiół kartkę potem osobę, która mu ją podała. Zareagował natychmiast. Bez uprzedzających słów czy gestów. Pomimo masywnej sylwetki był szybki jak kot. Poderwał się na nogi, przewracając mimochodem ponad stukilowe biurko i trzasnął Zośkę w szczękę. Na szczęście nie trafił.

Zośka dostała w policzek. Jej głowa odskoczyła jak piłka futbolowa po kopnięciu przez piłkarza, a w jej ustach zachrzęściły zęby. Zamroczyło ją na chwilę, lecz opatrność w odruchu zachowawczym pozwoliła uchwycić lecący z biurka wielki, szklany kałamarz.

Miała z tyłu za paskiem przeładowaną i odbezpieczoną tetetkę, lecz nie miała czasu, aby po nią sięgnąć. Uderzyła ręką z kałamarzem. Cios dla wielkiego Niemca był jak plaśnięcie klapką na muchy. Poczul to jak uderzenie rączką niemowlaka, lecz atrament zalał jego oczy.

Zośka w zamroczeniu odskoczyła do drzwi. Otworzyła je i do pomieszczenia wpadła Silna. Nie szcęknęła. Nie zawarczała. Skoczyła do gardła oślepionego przeciwnika pchnięta pradawnym, wilczym instynktem.

Dziewczyna dopiero teraz miała okazję sięgnąć po pistolet. Zrobiła to w ostatniej chwili, bo z izb żołnierskich na wąski korytarz wysypali się żołnierze.

Wojsko frontowe, karne i gotowe na bój, pomimo swoich kalectw miało w rękach przeładowane karabiny. Tylko refleks i błyskawiczne ruchy pozwoliły dziewczynie i psu zareagować bezbłędnie. Zośka strzelała w górne części ciała, a Silna atakowała od spodu.

To nie była potyczka. To była walka na śmierć i życie. Zakotłowało się. Od huku wystrzałów w tak małym pomieszczeniu wszyscy na chwilę ogłuchli. W zamieszaniu, które powstało, żołnierz celujący do niej upadł na podłogę, pchnięty przez upadające ciało swojego pobratymca. Bezwiednie oddał strzał! Z tej odległości nie mógł chybić, ale wytracony z równowagi nie trafił centralnie. Trafił pod pachę, a pocisk wyszedł łopatką. Z ust czarnowłosej wydobył się przerażający jęk. Zemdlała.

Ducha do walki straciła też Silna, której otworzyły się świeżo zagojone blizny. Dowódca posterunku przetaił oczy z inkaustu, a drugą ręką tamował krew z rozszarpanego gardła. Chciał wydać jakiś rozkaz. Przegryzione gardło wydało tylko bełkot.

Wtem drzwi na posterunek otworzyły się powtórnie. To partyzanci z Batalionów Chłopskich wpadli ze stenami. Obserwowali posterunek cały czas i słysząc strzały, zdecydowali się wkroczyć. Nieświadomi tego, że to słynna Wiedźma zawitała do ich miasta, przejęli broń i wybawili od niechybnej śmierci dwie wojowniczkę.

– Mleko się rozlało – stwierdził jeden z partyzantów, widząc przewróconą na progu kankę z mlekiem.

– Nie będziemy po nim płakać. – Stwierdził przywódca grupy, bandażując ramię dziewczyny. – Dzisiaj świętujemy zwycięstwo.



Partyzanci szybko się zorganizowali. W międzyczasie jeden z nich miał za zadanie przygotować transport dla rannych. Zniknął w uliczkach Tomaszowa. Z szybkością błyskawicy pozostali wypadli za rogatki miasta. Gdy cała grupa była jakieś dwa kilometry od Tomaszowa, dogonił ich wóz powożony przez bechowca.

Zośka nie odzyskiwała przytomności. Rana była dobrze opatrzona, lecz partyzantów niepokoił uraz głowy. Z lubością natomiast przyglądali się uzbrojeniu Zośki. Wydawało się proste, lecz tak rozmieszczone na ciele, aby w każdym momencie było dostępne. Z czią i lubością oglądali jej karabin.

– Kto to jest? – zastanawiał się przywódca grupy.

– To ta Wiedźma. Listy gończe z jej podobizną wiszą na wszystkich słupach z ogłoszeniami. Jest za nią nagroda – stwierdził jeden z jego podkomendnych.

– Musiała nieźle wkurzyć szkopów – mówił z podziwem „Sztylet”, głaskając broń wyborową Zośki.

Był dobrym strzelcem. Trenował jak Zośka, nie miał jednak tak cierpliwego trenera. Jego mosin, mimo że wzór dziewiętnastowieczny, był niezwykle celny i dzięki temu Stefan ps. „Sztylet” mógł robić nadzwyczajne postępy strzeleckie. Dzisiaj przyglądał się sztucerowi dziewczyny i poczuł z nią strzelecką więź.

– Odważna dziewczyna – dodał po chwili, jakby tylko do siebie.

– To musi być prawdziwa wiedźma, majorze. Weszła na posterunek z pięcioma chłopami uzbrojonymi po zęby.

– Wcześniej też ciężko bojowały, dowódco. Pies ma takie rany, że tylko cudem przeżył, a dzisiaj... Dzisiaj walczył za naszą sprawę.

– Ano tak. – „Sztylet” westchnął i odłożył karabin z lunetą należący do Zosi. – Musimy się nimi – wskazał na dziewczynę i psa – zaopiekować do wyzdrowienia, a sami wziąć się do roboty. Nie będą nas baby uczyły walczyć.

Rozejrzał się wokół, gdy wyjechali z leśnego traktu na drogę pomiędzy polami. Na dworze było już całkiem ciemno.

– To, co się tutaj stało, nie pozostanie bez odwetu. Szkopy się zemszczą – mówił sam do siebie „Sztylet”.

– Szpicle szkopom wszystko doniosą. – Odezwał się najmłodszy i najbardziej zapalony do boju chłopak.

– Niemcy to jedno, a szpicle to jest całkiem inna sprawa. – Dowódca zamyślił się na chwilę. – Szpiclować na rzecz okupanta to zdrada własnego narodu. Szpicli, o których wiemy, jeszcze dziś musimy zlikwidować. Tych, których nie znamy, ogarnie strach.

– Dowódco! Z posterunku wzięliśmy dokumentację. W leśniczówce ją uważnie przejrzymy i pewnie znajdziemy coś ciekawego.

– Niemcy wszystko zapisują i katalogują. Mają porządek w papierach jak moja babcia w ogródku. W ich księgach znajdziemy resztę zdrajców.

Dowódca wraz z dwoma zuchami postanowił zawrócić do miasta, gdy tylko dotarli do leśniczówki. W drodze zdążyli przejrzeć część ksiąg, a i znanych im sprzedawczyków było co najmniej kilku. Musieli wypełnić swój obowiązek i rozprawić się ze zdrajcami kolaborującymi z Niemcami...



Leśniczówka służyła bechowcom jednocześnie za kwaterę główną, lazaret i ośrodek szkoleniowy. Zarówno Zośkę, jak i Silną jako bohaterki otoczono wspaniałą opieką medyczną – wspaniałą na tyle, na ile pozwalały warunki polowe. Mimo starań dziewczyna nie odzyskiwała przytomności. Silna już kolejnego dnia potrafiła pić i jeść samodzielnie. Trafiły jej się frykasy, gdyż żołnierze byli pod wrażeniem opowieści druhów, którym przyszło na własne oczy widzieć heroiczny bój stoczony przez wiedźmi duet, i chcieli umilić zwierzęciu, jak i dziewczynie dojsie do zdrowia.

– Co cię podkusiło iść samej z jednym pistoletem na pięciu chłopów? – dziwił się dowódca partyzantów.

Mówił do nieprzytomnej Zośki z nadzieją, że się ocknie. Zacierał nerwowo swoje olbrzymie łapska, gdy nagle do leśniczówki wpadł jeden z wartowników rozstawionych przy leśnych duktach.

– Samolot!

– Cooo?!

– Samolot! Samolot lądował na łące pod lasem. „Dźwignia” już tam jest. Pilot jest ranny.

– A samolot czy?! – zagrzemiał dowódca, gdyż dla niego istotą było, czy to nie wróg.

– A samolot ruski.

– Pilota tutaj na opatrunki. Samolot wepchnąć do lasu i dobrze zamaskować. Weźcie konia, to pomoże ciągnąć samolot.

– Tam nie ma co ciągnąć. Cały ze szmat i sznurków. Zawsze myślałem, że samoloty z żelaza są.

– Z żelaza to jest lokomotywa, a samoloty, jak już, to są z aluminium. Taki lekki metal. Nie filozofuj mi tutaj, tylko do roboty!

– Rozkaz! – zakrzyknął wartownik i skinął na kamratów.

Cicho jak duchy wyszli w las. Nie minęła godzina, kiedy powrócili, niosąc rannego pilota.

– Co mu jest? – Dowódca wstał z krzesła, aby pomóc położyć rannego.

– Ciężki postrzał. W zasadzie draśnięcie, ale od pośladka aż do łopatki. Trzeba będzie szyć, bo takiej rany nikt nie opatrzy.

Dowódca spojrzał na bladego pilota. Musiał stracić dużo krwi, ponieważ ciężko oddychał.

– Bojowników nam nie przybywa, za to przybywa nam rannych. Dajcie spirytus, dratwę z igłą i więcej światła. Niech ktoś przyświeca mi z bliska, abym siebie od rannego nie przyszył. – Zaklął jeszcze z cicha, gdyż nie lubił szyć ani cerować.



Zoska oprzytomniała na trzeci dzień. Leżała na sienniku przykryta grubym kocem obleczonego w świeżą poszwę. Rozejrzała się dookoła. Izba o drewnianych ścianach, na których wisiały skóry upolowanych zwierząt. Świecznik z jelenich rogów przypominał ten w jej rodzinnym domu. Na łóżku obok leżał ktoś jeszcze.

– Co mogłam przespać? – zapytała siebie z sarkazmem, ponieważ ból głowy nie dopuszczał do wesołych myśli.

Obok leżał półnagi pilot. Pojękiwał trochę w gorączce. Miał odsłoniętą ranę postrzałową, która zaczerwieniła się i ropiała.

Ma zakażenie – przemknęło jej przez myśl. Kto to jest? Gdzie ja jestem?

Dziewczyna czuła, że musi pilnie wstać za potrzebą. Chciała przewrócić się na zdrowy bok, ale przy pierwszym ruchu ból niczym prąd elektryczny poraził jej ciało.

– Sss! – zasyczała, gdy ból już trochę zelżał.

Silna polizała jej rękę. Musiała usłyszeć, że Zosia cierpi.

– Jesteś i ty! – Zosia położyła rękę na głowie nieodłącznej przyjaciółki.

Małymi ruchami, nienapinającymi mięśni, wstała z łóżka. Pociemniało jej w oczach. Zaczęło mdlić. Oparła się o framugę drzwi zdrową ręką, uspokoiła oddech, aby odzyskać świadomość. Nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi. W sąsiedniej izbie siedziało dwóch mężczyzn. Na jej widok poderwali się na nogi.

– Ahoj, jak się czujesz? – zagadnął starszy, widząc jej bladą twarz.

– Witajcie. Ja czuję się dobrze. Ten, co leży ze mną w tej izbie, ma zakażenie. Chce mi się siku. – Przesiadła na krzesło dla odpoczynku.

– „Dźwignia”! Odprowadź panią na stronę. Tylko nie podglądaj! – Z uśmiechem pogroził palcem starszy.

Dźwignia wziął ją pod rękę i gdy zauważył grymas bólu na twarzy dziewczyny, bardzo powoli i ostrożnie wyszedł z nią na podwórko.

Wrócili po kwadransie. „Sztylet” w tym czasie przemywał ranę pilota chłodną wodą z mydłem.

– Wodą z mydłem trzeba było przemyć dratwę przed szyciem. – Lekko sarkastycznie odezwała się Zofia. – Teraz zaropiałe miejsca trzeba szybko otworzyć i przemyć spirytusem. Potem korę z młodych pędów dębu zagotować w wodzie i takim wywarem przemywać ranę kilka razy dziennie. Świeżą korę można też położyć na zaropiałe miejsca. Przed każdą z tych czynności myjcie dokładnie ręce. – Pooddychała chwilę ciężko. – Jeśli chcecie, oczywiście, aby przeżył.

– Jesteś pielęgniarzką? – zapytał dowódca.

– Nie, ale mój ojciec miał wojskowe przeszkolenie medyczne. Razem pracowaliśmy w lesie. Tam o rany i inne uszkodzenia ciała nietrudno. Nauczyłam się więc tego i owego.

Odkażanie rany pilota podług wskazówek Zośki trwało do południa. Potem zjedli skromny, acz pożywny posiłek, a pilot spał, choć zdawało się, że gorączka mu ustępuje. Zośkę też położyli na siłę do łóżka, ponieważ chciała iść zmywać naczynia i sprzęt.

– Leż. Odpoczywaj. My wszystko zrobimy. – „Dźwignia” łagodnie przepychał ją w stronę łóżka.

Aby dotrzymać jej towarzystwa, kiedy pilot spał, przynieśli krzesła w pobliże jej łóżka i rozmawiali.

Dowódca partyzantów, pseudonim „Sztylet”, jak się potem okazało Stefan, o bardzo muskularnej posturze, chciał poznać nową towarzyszkę broni, a ona chętnie przekazywała informacje o walkach na froncie, które posiadała.

Zośka bardzo obawiała się pytań o pochodzenie i przynależność wojskową. Nie chciała ich okłamywać. W rozmowie raczej starała się kierować na tematy współczesne. Na szczęście dowódca nie zadawał niewygodnych pytań. Bardziej interesował się powodem ataku na posterunek.

– Co cię skłoniło do tak szaleńczego ataku? – dowódca przybrał poważną minę.

– List gończy, jaki powiesili na słupie drogowskazu. – Zaśmiała się speszona. – Obserwowałam ich przez dwa dni, zanim podjęłam się ataku. Nie bałam się, bo to były kaleki.

– Kaleki? A ten ich sierżant? To były bokser. Krążyły legendy o tym, że ani jednej walki nie przegrał. Reszta to też niezłe gągatki. Popatrz, z czego do ciebie strzelali. – Podał Zośce nabój.

Od razu zauważyła, że nie był to zwykły nabój do mausera. Wyglądał na dzieło wprawnego rusznikarza. Pocisk miał obcięty mosiężny czubek, a w ołowianym rdzeniu

zrobiona była dziurka.

– O cholera! – zakłęła dziewczyna. – I tym dostałam?

– Tak. Pocisk na szczęście wyszedł, ale wyrwał kawał mięsa. – Z troską w głosie powiedział „Sztylet”.

– Nie jest to celna amunicja. Na małym dystansie jednak bardzo skuteczna.

– Masz z tyłu naprawdę dużą dziurę. Goić się będzie tygodniami. Chcieliśmy ją pozyszywać, ale nie ma jak naciągnąć skóry na taką wielką jamę.

– Nabroiłam. Wiem. – Puknęła się zdrową ręką w czoło i zmarszczyła je z bólu. – Naraziłam Silną, ale jestem głupia.

– Nie masz co siebie obwiniać! Zrobiłaś więcej niż my przez kilka ostatnich miesięcy. Dałaś przykład męstwa. Nie ma co! Teraz my też musimy wziąć się do roboty.

– Zemszczą się. Podpalą chałupy i będą rozstrzeliwać.

– Wiem, ale nie możemy też wiecznie czekać, w obawie o odwet, zastraszeni... Niemcy coraz głośniejszą mówią o tym, że Hitler buduje cudowną broń i jest blisko celu. – Chwycił ją za rękę. – Bardzo Ci dziękujemy, dałaś nam kopniaka do działania. Mamy nazbierane trochę min, to zaraz im coś zmajstrujemy na tyłach.

– Przydzielcie mi też jakieś zadanie. – Zośka już się podnosiła.

– Leż, leż! – Uśmiechnął się do niej. – Mamy kim wojować, a ty musisz się wyleczyć.



Ranny pilot zdrowiał błyskawicznie. Rady Zośki odnośnie do opatrunków zadziały i chłopak na drugi dzień już wstał o własnych siłach i mógł się ubrać samodzielnie.

Z Zośką był większy problem. Ciągle bolała ją głowa i nadwyrężone po ciosie boksera mięśnie szyi. Rana pod ramieniem, pomimo że goiła się szybko i bez zakażeń, sprawiała nieprzeciętny ból i odbierała możliwość sprawnego poruszania. Silna najszybciej doszła do siebie i pomagała partyzantom w patrolowaniu okolicy.

Rosjanin miał na imię Misza i zaprzyjaźnił się z Zośką. Prawdopodobnie dlatego, że znała dobrze jego język, a może dlatego, że tylko oni jako ranni nie dostali obowiązków. Czy mogła być inna przyczyna zawierania zażyłej znajomości?

– Chcesz herbaty czy ciepłego mleka? – zapytał z kuchni Misza, kiedy zalewał sobie esencję wrzątkiem z czajnika.

– Jak jesteś w kuchni, to posmaruj mi, proszę, kromkę chleba konfiturą – zawołała Zośka znad książki, którą właśnie czytała.

Książka była po niemiecku i zrozumienie treści mocno wyczerpywało dziewczynę. Odłożyła lekturę na krzesło stojące obok łóżka i wzięła kromkę chleba. Lotnik z kubkiem napoju usiadł naprzeciwko.

– Lubisz czytać, prawda?

– Uwielbiam. Przyjeżdżała do naszej wsi obwoźna biblioteka. Można było wypożyczyć naraz trzy książki. Ja prosiłam, aby wypożyczano mi dziewięć, ponieważ trzy łykałam w trzy, cztery dni. Bibliotekarz przyjeżdżał co dwa tygodnie. Nie mógł się

nadziwić, jak znajduję czas na czytanie. Raz mnie nawet przeegzaminował i kiedy się przekonał, że znam każdą wypożyczoną książkę, to już nie robił mi limitów.

– A jaką książkę najbardziej lubisz?

– To trudne pytanie. Każdy autor coś chce przekazać. Każdy stara się to zrobić dobrze. Najlepiej czytało mi się książki przygodowe Sienkiewicza. Jednak *Pan Tadeusz* Mickiewicza wywarł na mnie głębokie wrażenie, ponieważ cała książka jest napisana wierszem.

– A o czym jest ta książka?

– Hmm, nie zdradzę ci tego. Przeczytaj, kiedyś. – Popatrzyła trochę spode łba. – Chociaż wątpię, czy ktoś ją przetłumaczył na rosyjski.

Rozmowa została na chwilę urwana. Pilot siorbnął herbaty, a Zośka zżuła chleb.

– Powiedziałem coś nie tak? – Chłopak zafrasowany popatrzył jej w oczy.

– Nie. Tylko wróciły mi do głowy jakieś głupie myśli. Przepraszam. Powiedz lepiej, co ty lubisz najbardziej czytać.

– Nie czytam dużo. Uwielbiam grać w szachy. Jeśli coś czytam, to o szachach. I jeszcze samoloty. Uwielbiam latać. Nie ma jednak wielu książek o samolotach i pilotach. Sam chyba muszę jakąś napisać.

– Piloci zasługują na książkę?

– Taaak, jak najbardziej. To najlepiej zgrana grupa. Wejście do grona pilotów to nie tylko umiejętność latania. To sposób zachowania i specjalne cechy charakteru. Szanujemy siebie nawzajem, nawet jak walczymy przeciw sobie.

– Jeśli pilot z wrogiej formacji poprosi drugiego pilota o przysługę, to ten ją wykona?

– Musi, taki jest nasz kodeks honorowy.

– To wyobraź sobie, że jestem pilotem i proszę ciebie o jeszcze jedną kromkę chleba.



Kiedy Walthera Modela awansowano na feldmarszałka, ten nie był zadowolony. Wiedział, że Hitler zawsze przydziela mu najtrudniejsze misje i rozumiał, że stoi przed nim kolejne niewykonalne zadanie. Miał objąć dowództwo Grupy Armii „Północna Ukraina” i tak poprowadzić dalsze walki z Sowietami, aby dać czas na opracowanie cudownej broni, w co po prawdzie nie wierzył. Jak przystało jednak na osobę, którą określano mianem „strażaka Hitlera”, podjął wyzwanie i swoją pracę rozpoczął od analizowania raportów. Jego uwagi nie przykuło sprawozdanie dotyczące strat, ilości sprzętu, jaki będzie w stanie powrócić na front w przeciągu kilku tygodni, ani to, że napór Sowietów ustał na chwilę i wszystko wskazuje na to, że szykuje się pauza operacyjna. Ślęczał nad jednym raportem, krótkim co prawda, ale nad wyraz wyjątkowym.

– Co to ma być! Jedna wiedźma powstrzymała dwie kompanie zmotoryzowanej piechoty? – Marszałek odłożył raport i pokręcił głową. – Muszę się temu przyjrzeć przy najbliższej inspekcji.

Generalne Gubernatorstwo stało się jego drugim domem, to tu, w Krakowie u przekłętogo Hansa Franka, którego nienawidził, musiał opracować plan działania. Ale najpierw należało zacząć od morale swoich podkomendnych. Kiedy wizytował jednostki w kolejnych miejscowościach, zauważył list gończy z twarzą rozczochranej dziewczyny.

– Wiedźma! To ta z raportu.

Wieczorem poprosił adiutanta o przygotowanie pełnych informacji na temat zdarzeń z udziałem Wiedźmy. Kolejnego dnia czytał je uważnie. Adiutant dodawał komentarze do opisanych zdarzeń. Sucha i rzeczowa analiza wyprowadziła z równowagi doświadczonego marszałka.

– Co to ma znaczyć?! – Krzyknął. – Jedno dziewczę terroryzuje całe armie?! Zorganizuj spotkanie z dowódcami wszystkich armii i dywizji. Muszę porozmawiać z nimi o tej sprawie, chociaż bardzo tego nie chcę – zwrócił się do adiutanta czerwony na twarzy.

Gdy wzywa feldmarszałek i przy tym jest to „strażak Hitlera”, wszyscy muszą się pojawić. Tak też się stało dwa dni po kontakcie adiutanta ze wszystkimi zainteresowanymi.

– Nie wiecie, co należy zrobić?! – Model czerwony na twarzy patrzył w oczy dowódcom pozostałych armii. – Nie wierzę! Kto dał wam te awanse? Ja mam za was myśleć? – Trzepnął otwartą dłoń w stół i oparł się o oparcie krzesła.

Patrzył jeszcze chwilę na ich twarze. Westchnął i pochylił się do stołu, jakby chciał wyjawiać jakąś ściśłą tajemnicę. Podwładni zrobili to samo.

– Trzeba ją namierzyć i załatwić ją w inny sposób niż to całe pozostałe chamstwo ze Wschodu. Wysłać trzeba agenta, który ją omami i albo zabije, albo nam dostarczy.

– Agent? – zdziwili się ogromnie podwładni.

– Agent! Skoro dwa oddziały zmotoryzowane piechoty zapędziła w kozi róg, a oni posrali się ze strachu, to trzeba użyć podstęp!

– Nie mamy nikogo, kto by się nadawał. – Jeden z dowódców Modela miał zrozpaczoną minę. – Co prawda miałbym kogoś, kto zna rosyjski, ale... został poważnie ranny.

Feldmarszałek „Strażak” patrzył teraz mu prosto w oczy.

– Śmiertelnie ranny? – dopytał.

– Dostał ciężki postrzał w plecy. Musimy go dostarczyć do szpitala.

– O nie! Czy ja mam za was myśleć, do cholery?! Przecież przed chwilą nasz zwiad informował, że gdzieś w jakiejś mieścinie w dystrykcie lubelskim jakaś kobieta zaatakowała posterunek gestapo! Jak myślicie, generale, kto mógł się odważyć na taką akcję w pojedynkę?

Model zrobił wymowną pauzę, popatrzył po wszystkich podkomendnych i miał naprawdę chęć ich stąd wygnać, aby wszystko zaplanować samodzielnie.

– Jaka samotna kobieta mogłaby tego dokonać?! Chryste, choć nie wiem, czy on teraz na nas patrzy, uwolnij mnie od tych nieudaczników!

– Feldmarszałku – zaczął szef zwiadu – jeśli istotnie to ona, to jest wielce prawdopodobne, że wiemy, gdzie może być. A właściwie, to wiemy chyba, kto ją ewakuował z miejsca akcji i w jakim kierunku.

– To wiecie, czy nie wiecie?

– Feldmarszałku, partyzanci polscy mają tam w pobliżu niewielką bazę w lesie, nie znamy dokładnej lokalizacji, ale z pobliskich pól czasem odbierają rzuty.

– Genialnie, zatem wiesz, co masz zrobić. Wrzucić mi tego agenta w jakichś ruskich łachmanach do samolotu i zróbcie tak, żeby wylądował w na tych polanach. Jak się uda, wystawi ją dla nas po kilku, kilkunastu dniach, bo pewnie tyle będzie musiał się kurować.

Walther Model czuł dumę, że tak skrętnie to wszystko obmyślił, i to w kilkanaście sekund. Przechadzał się właśnie od ściany do ściany i perorował dalej o tym, jak trzeba być sprytnym, aby pokonać wszystkie przeciwności losu w drodze do sukcesu.

Spotkanie zakończyło się w atmosferze zgniłej kapusty. Feldmarszałek udał się na spóźnioną kolację, a sztabowcy zajęli się planowaniem kolejnych działań reorganizacyjnych i przygotowaniem do spodziewanego ponowienie ofensywy przez Sowietów.

W zupełnie innym miejscu, bo w Lublinie, jęczący z bólu sprzedajny Rusek nie mógł uwierzyć, że po prawie śmiertelnym postrzale wysyłają go na akcję gdzieś nieopodal stąd, w las, do polskich partyzantów. Pod władaniem Stalina kulka groziła każdemu, kto krzywo spojrzal na politruka. Myślał, że w służbie u Niemca los będzie dla niego łaskawszy. Teraz ledwo trzymał się na nogach, ale miał ruszać na akcję.

– Będę potrzebował lekkiego samolotu zwiadowczego, najlepiej ruskiego. Zatankować go i zrobić kompletny przegląd. Proszę też o parę niegroźnych dziur w podwoziu od kul karabinowych. Wiecie, o czym myślę... – zakończył przyjacielsko i łagodnie, aby przygotowano mu rzeczywiście sprawny sprzęt.

– Gdzie to było? – zapytał swojego niemieckiego dowódcę.

– Masz tu współrzędne i nazwę miejscowości...

Niemiecki wywiad jak zwykle okazał się tą instytucją, na której można było polegać.



Po dwóch tygodniach rekonwalescencji Zośka oraz Misza wyglądali na zupełnie sprawnych. Właściwie dobrze się poznali, choć do Miszy bechowcy podchodzili z dystansem. Gdy podczas jednej z rozmów Zośka przyznała „Sztyletowi”, „Dźwigni” i Miszy, że planuje przedostać się do Kampinosu, gdzie według jej wiedzy AK szykuje się do powstania, mężczyźni omiotło zaskoczenie. Miszę zaskoczyło, że tak łatwo przyjdzie mu wykonać misję dla niemieckich wojsk, a bechowcom, że Zośki tu nie zatrzymają, choćby nie wiadomo co, bo dziewczyna ma cel, a więzić jej nie zamierzali.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? – pytał „Sztylet”.

– Nie wiem, ale muszę spróbować. Inaczej będę tego żałowała. Żałowała, że nie stanęłam do otwartej walki z okupantem.

Spojrzeni po sobie. Żaden z nich nie potrafił odparować tego argumentu, więc Stefan nalął do kieliszków kolejną dobrą bimbrową i kolejny raz wznosił toast za wolną Polskę i zdrową Zośkę.

Kolejnego dnia Misza, wdzięczny za fachową opiekę medyczną, zaferował Zośce podwózkę samolotem w rejon Warszawy. Jego leciutki samolocik mógł przelecieć niezauważony na wysokości czubków drzew i dotrzeć w każdy rejon Polski.

Partyzanci nie chcieli puścić tak łatwo Zośki. Argumentowali, że fryca można bić wszędzie. Tłumaczyli, że jeszcze nie jest do końca zdrowa. Ona jednak wiedziała, że im dłużej zwleka, tym ciężiej będzie opuścić wygodne i bezpieczne miejsce.

Zżyła się z bechowcami przez te dwa tygodnie. Byli nad wyraz mili i uczynni. Obiecali zająć się i zaopiekować Silną. To właśnie z tego powodu Zośka chodziła zła, rozdrażniona i pochmurna. Decydując się na podróż samolotem, musiała opuścić Silną. Przyjaciółkę i wierną towarzyszkę boju.

Pies patrzył na nią swoimi mądrymi oczami i nie odstępował jej na krok. Nieraz, gdy szły w ciemności, Silna delikatnie dotykała nosem jej uda. Dzisiaj dotknięcia nosem wykonywała w świetle dnia. Zwierzę jakby rozumiało, że jej towarzyszka ją opuści. Zośka tylko łudziła się, że podejmuje decyzję. Decyzja już zapadła, tylko ona nie potrafiła jej uzasadnić. Co ciekawe, Silna widząc pilota, jeżyła sierść i unosiła kąciki warg, ukazując swoje imponująco białe zęby. Miszy nigdy nie lubiła.

– Widzę, że polecisz. – Powiedział Stefan przy śniadaniu. – Wiem, co to tęsknota za walką o coś, za celem, za przekonaniem, że walczysz w słusznej sprawie, czymś większym niż zwykła partyzantka.

– Jestem podróżniczką i lubię zmiany, lecz do Warszawy lecę z obowiązku. Tam czekają powstańców ciężkie walki. Tam szykują się do powstania. Nie ma dla mnie istotniejszej sprawy w życiu niż Ojczyzna.

Ostatnie słowa wypowiedziała ze łzami w oczach. Wyobraziła sobie wolną Polskę, taką, w jakiej się wychowała. Chciała ją odzyskać za wszelką cenę.

– Nie będziemy cię zatrzymywać na siłę. Po wojnie znajdź mnie, to odbierzesz Silną. – „Dźwignia” także otarł łzę, która pojawiła się w kąciku jego oka.

– Dostyc tego. To nie pogrzeb tylko święto! Nasza przyjaciółka leci wspomóc walczących towarzyszy, a my zyskujemy obrońcę z wyśmienitym słuchem i węchem. – Stefan przerwał na chwilę, lecz szybko zaczął rzeczowym głosem: – Misza, jakiej pomocy potrzebujesz? Paliwa? Mapy?

– Tak. Paliwo trzeba zatankować. Przydałoby się zabezpieczenie startu. Zwiad w okolicy. Nie chciałbym startować pod ostrzałem z cekaemów. Pogoda się ustabilizowała, więc dzisiaj po południu możemy lecieć – odrzekł pilot i wrócił do wiosłowania kaszy na mleku.

Po śniadaniu partyzanci przywieźli benzynę. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Pilot, który smarował ciąгла sterów, przypomniał sobie o czymś.

– Zośka! Zapomniałbym, kiedy będziemy w powietrzu, nie będzie czasu na załatwienie potrzeb, więc korzystaj, póki możesz!

Wszyscy zaśmiali się głośno.

– Ha, ha! – Odpowiedziała cierpko dziewczyna. – Ciekawe, co ty zrobisz, jak ci się zachce coś gorszego?

Odwróciła się jednak na pięcie i poszła w gęste krzaki.

W końcu siedli w brezentowych fotelikach, a mechanik zakręcił śmigłem.

Cały samolot wyglądał jak statek Kolumba. Prosta konstrukcja i oszczędność materiałów. Jedyne co wiązało tą konstrukcję z dwudziestym wiekiem to silnik, ale na jego ośce i tak dyndało drewniane śmigło. Kiedy Zośka przyglądała się sznurkom, brezentowi i listewkom, nie mogła uwierzyć, że takie coś może się trzymać w całości, a co dopiero latać.

Samolot, warcząc i klekocząc, toczył się po łące, czyli pasie startowym. W połowie łąki i na jej końcu partyzanci zatknęli tyczki z przywiązanymi poszewkami od poduszek. Wskazywały one pilotowi kierunek i siłę wiatru. Koła podskakiwały na nierównościach niwy i kretowiskach, a końce skrzydeł drgały tak mocno, że Zośka obawiała się, że odpadną. Gdy wibracje i huk silnika zagłuszyły nawet myśli, samolot nagle oderwał się od ziemi. Wibracje i trzaski ustały. Pozostał co prawda warkot silnika, ale całe ciało Zośki doznało wrażenia lewitacji. Była w powietrzu. Leciała!



Lot z początku fascynował dziewczynę. Samolot co prawda nie wzniósł się wysoko z obawy przed karabinami przeciwlotniczymi, ale dla nowicjuszki było to zapierające dech w piersiach wrażenie. Podziwiała wsie, rzeki, pola i lasy z góry. Na wysokości swojego wzroku miała lecące ptaki i niskie chmury. Po kilku godzinach lotu widoki te już tak nie fascynowały, a do jej ciała zaczęło docierać głębokie zimno.

Była ciepła wiosna. Świeciło słońce, lecz w powietrzu było zimniej niż na dole, a do tego dochodziła prędkość opływającego ją zimnego powietrza.

Partyzanci, mając na względzie uwagi pilota, dali Zośce futrzaną czapkę i rękawiczki oraz wełniany szalik. Jednak nawet te zabezpieczenia dla nieruchomej pozycji nie dawały ochrony przed przenikającym zimnem. Zośka wykorzystywała ćwiczenia izometryczne do pobudzenia krążenia i ogrzania ciała, lecz jej zęby wybijały coraz głośniejszy rytm stacatto.

– Kooози bobek! Nie wytrzymam dłużej! – Krzyczała do pilota, przekrzykując terkotanie silnika. – Możemy wylądować?

Pilot odwrócił się i zobaczył załzawioną i siną twarz dziewczyny.

– Poszukam miejsca do lądowania!

Nadchodził wieczór. Światło słoneczne kładło długie cienie drzew na drogi i pola. Za dużym kompleksem leśnym, daleko od najbliższych zabudowań pilot wypatrzył łąkę. Mieściła się co prawda na stoku, ale jej nachylenie nie było duże. Oblecieli jeszcze raz dookoła i po wnikliwej obserwacji pilot podjął decyzję o lądowaniu. Wylądowali pod górkę, aby wystartować z górki. Po wyjściu z samolotu razem ustawili maszynę w kierunku startu i zabezpieczyli koła grubymi polanami gałęzi znalezionymi w lesie. Zośka przy tych czynnościach rozgrzała się trochę. Pilot wyciągnął z kufierka grubo

owiniętą w koc butelkę, w której była jeszcze ciepła herbata. Herbata była z wkładką, więc na policzki Zosi szybko powrócił rumieniec.

– Ja cały czas odczuwam lęk przed lataniem, Misza.

– Ha! Ty masz lęk? Kiedyś moim pasażerem był wysokiej rangi oficer. Ha, ha, ha! Całą drogę miał zamknięte oczy i modlił się tak głośno, że nie słyszałem silnika. Taki lęk jak ty, odczuwam także ja. Każdy pilot ma lekkie mrowienie przed lotem i przyspieszone tętno. To normalne. Bez tego lot nie byłby tak fascynujący.



Wejście do samolotu nie było już tak ekscytujące i pożądane jak za pierwszym razem. Dziewczyna ledwie się rozgrzała, robiąc przysiady a już trzeba było wsiadać i powtórnie nastawiać się na podmuchy zimnego powietrza.

– Nie bój się. Nie będzie już tak zimno. – Odkrzyknął pilot, gdy Zośka wsiadała do swojego fotela po tym, jak zakręciła śmigłem i uruchomiła silnik.

– Teraz lot będzie dużo przyjemniejszy?

– Tak. Zwłaszcza na początku. Ciepłe powietrze z ziemi będzie się unosić i w powietrzu będzie z początku cieplej niż na dole.

Samolot ze stoku wystartował dużo szybciej niż z równiny. Pomogło też wznoszące się ciepłe powietrze, które dało kilka metrów na sekundę lekkiego podmuchu pod skrzydło. Słońce zaszło dosłownie przed chwilą i na zachodzie można było podziwiać przepiękną, czerwoną łunę. Jakie zdumienie i zachwyt wywołał u czarnowłosej pojawiający się ponownie skrawek słońca nie sposób opisać. Krzyknęła z radości.

– Ojoj! Słońce wschodzi!

Jasny promyk oślepił na chwilę ją i pilota. Fascynacja lotem powróciła w jednej chwili. Gra światłocieni tak zafascynowała dziewczynę, że zapomniała o wszystkim. Zapomniała o wojnie, o niebezpieczeństwie. Zapomniała o tym wszystkim, czego nauczył ją ojciec. Zapomniała przede wszystkim o tym, że nie wolno ufać nikomu. Zapomniała o kontrolowaniu poczynań pilota.

Lecieli teraz prosto na zachód wprost w zastawioną wcześniej pułapkę. Na lądowisku pod Krakowem czekał już komitet powitalny informowany telefonicznie ze wszystkich punktów kontrolnych, nad którymi przelatywał pilot. Zafascynowanej lotem Zośce nie przyszło do głowy podanie w wątpliwość kierunku lotu. Nie wzbudził zastanowienia fakt, że nikt do nich nie strzelał. Ani na moment nie pomyślała, że pilot to zdrajca.



Na ćwiczeniach wojskowych jednostki desantowej każdy wylewał siódme poty. Nawet chorąży wydzierający gębę na żołnierzy był zmęczony od ciągłego krzyku i ponagłania. Jedynym, który te krzyki brał poważnie i wykonywał rozkazy z ponadprzeciętną gorliwością, był kadet O'Donnell. Szybki, zręczny i zawzięty. Pokonywanie trasy

z utrudnieniami poligonowymi kończył przed regulaminowym czasem. Żołnierzy ze swojego batalionu pokonywał na treningach walki wręcz. Tych silnych pokonywał szybkością, a tych szybkich wyuczonymi fortelami. Był nieprzeciętny.

– Będziemy formować następną grupę dywersyjną. Kogo proponujecie na początek? – Major odpowiedzialny za wyszkolenie cichociemnych skoczków wypytywał swoich podwładnych.

Ci niejednoznacznie spojrzeli po sobie. Wiadomo było, kto jest numerem jeden w całej jednostce.

Chorąży o nazwisku Cichy nie wytrzymał. Jego nazwisko było sprzeczne z tym, co robił na co dzień. I tym razem prawie wrzasnął.

– Po jaką cholere patrzycie na mnie! Przecież wiecie, że najlepszy jest O'Donell. Drugi to Witkowski, a trzeci Nowak.

– Taak – westchnął major. – Chyba nie mamy wyjścia. Musimy włączyć w to O'Donnella. Po to tutaj się szkoli i po to tutaj przyszedł.

Matthew O'Donnell zgłosił się jako ochotnik do wojska polskiego organizowanego w Wielkiej Brytanii. Początkowo polskie dowództwo zastanawiało się, co robi tu Irlandczyk, jak wskazywałoby nazwisko. Szybko jednak się okazało, że młody mężczyzna ma matkę Polkę, pięknie włada polskim językiem, zna polską historię, a w dodatku ma muskularną posturę i zapał do walki.

Niewiele czasu upłynęło, by dowódcy zauważyli w nim potencjał na żołnierza doborowego i tak trafił do polskiej jednostki powietrzno-desantowej, cichociemnych. Tam, dzięki swojej sprawności fizycznej i zawziętości, zyskiwał uznanie dowódców i kolegów.

Jego ojciec, kiedy poznał jego matkę, był pracownikiem w jednej z londyńskich fabryk. Gdy planowali ślub, dowiedział się, o śmierci swego brata w Irlandii, który nie doczekał się ani dzieci, ani innych spadkobierców. W obliczu poczucia obowiązku zajęcia się odziedziczonym gospodarstwem, Connor O'Donnell przeniósł się na zieloną wyspę. Matthew urodził się jako najmłodszy z czwórki braci i wychowywał w dość trudnych warunkach, jak to na wsi. Starsi bracia nie dość, że spychali na niego większość obowiązków, to jeszcze częstowali kuksańcami. Matt, gdy dorósł, z tych powodów często wychodził z domu na parę dni. Głównie pod pretekstem polowania. Miał do tego samorodny talent, a częste wizyty w terenie szybko nauczyły go podchodów i sztuki maskowania.

Gdy miał kilkanaście lat, a rodzice odłożyli odpowiednio dużo pieniędzy, by przenieść się w okolice londyńskiego City, obraził się, że muszą opuścić wieś... i las, ponieważ tylko one dawały mu upust tłamszonym emocjom.

Teraz był po prostu najlepszy pośród całej zbieraniny chętnych do posłania w bój z niemieckim okupantem w Polsce. Co więc martwiło dowództwo, które widząc tak przygotowanego żołnierza, nie mogło podjąć decyzji?

Matt był rudy. Był rudzielcem takim, że z tysiąca osób tylko jego wyławiało się wzrokiem z tłumu. Jego rude włosy lśniły i wręcz świeciły nadnaturalnym blaskiem. Ta jedna cecha nie pasowała do cichociemnego żołnierza.

– Jest sprawny. Umie się maskować i tygodniami przebywać w terenie. Zrobimy z niego jednoosobowy oddział. Będzie zwiadowcą szperającym daleko na tyłach wroga.

– Majorze. Czy to jest ostateczna decyzja? – Zapytał chorąży, ponieważ bardzo lubił tego chłopaka.

– Nie mamy chyba innego wyjścia. Chłopak aż rwie się do boju. Nie możemy go tutaj dłużej trzymać. Kiedy będzie sam, nikogo nie narazi tą swoją płonąłą czupryną...

Chorąży chciał jeszcze coś powiedzieć, ale wiedział, że major ma rację. Nie podał faktu, jaki popychał tego młodzieńca do walki. Tylko on wiedział, dlaczego Matthew tak rwie się na Niemców. Tylko on wiedział, że cała rodzina Matta zginęła, gdy bomba uderzyła w sam środek ich domu. Kiedyś przy piwie kadet wyznał mu tę smutną prawdę. Chorąży Cichy aż się zakrzuszył, gdy pomyślał, że zemsta popycha tego sympatycznego chłopaka do działania. Na szczęście rudzielec wyprowadził go z błędu.

– Musisz wiedzieć, Cichusiu, że nie idę się mścić. Jestem katolikiem. Idę walczyć o to, aby nikogo więcej w żadnym kraju, czy to w Polsce, Irlandii czy Anglii, nie spotkało takie nieszczęście.



Chorąży zatroszczył się, aby nowo awansowany na sierżanta skoczek miał najlepsze wyposażenie. Dostał lekką, amerykańską radiostację. Wspaniały karabinek zmontowany na bazie Mautera C-96. Dostał też strój maskujący, jaki dopiero co wchodził do jednostek specjalnych. Chorąży jak ojciec odprowadził Matta do samolotu. Sprawdził jeszcze raz oporządzenie. Na pożegnanie podarował też prezent. Wyostrzony na brzytwę nóż sprężynowy.



Już trzeci dzień Matt zapoznawał się z terenem. Na mapach miał oznaczone jednostki wojskowe i punkty kontroli. On jednak miał szukać tego, czego nie było na mapach. Podawać przez radio wszystkie większe ruchy wojsk lub zauważone, zakamuflowane urządzenia wojskowe.

Teraz wszedł w okolicę, która na mapie była prawie białą plamą. Nie było zaznaczonych żadnych posterunków ani innych utrudnień. Coś tutaj jednak musi być – powiedział do siebie w myślach. Poligon albo zamaskowany magazyn broni.

Jako syn rolnika doskonale rozumiał, że taka ogromna przestrzeń powinna być zagospodarowana, a tutaj nic. Coś było na rzeczy, zwłaszcza że trzy kilometry dalej znajdowała się wioska.

– Chociaż krowy powinni tutaj paść – mruknął do siebie.

Zbliżał się wieczór i po zachodzie słońca postanowił przyjrzeć się z bliska wiosce. Nagle usłyszał odgłosy ciężarówek. Przystanął w pół kroku. Jechały prosto na niego. Szybko uskoczył w gęsty las przy drodze. Samochody przejechały i zatrzymały się kilkaset metrów dalej. Z ciężarówek zaczęła wysypywać się piechota.

– Szybciej! Szybciej! Prędejj! Prędejj! – rozbrzmiewały rozkazy dowódców plutonów rozstawiających wojsko.

Matt był przekonany, że przyjechali po niego. Już chciał wiać, ile sił w nogach, gdy zobaczył, że wojsko zbiera chrust.

– No, no... coś się szykuje. Warto przyjrzeć się temu z bliska. – Zaskoczony postępowaniem żołnierzy zaczął skradać się w ich pobliże.

Chrust ułożono w kupki wzdłuż wolnego od drzew trawiastego pasa. Kupki polano benzyną i czekano. Rudowłosy komandos widział rozlokowywane wojsko wokół. Stanowiło kordon, pułapkę na kogoś, kto ma zaraz wylądować. Postanowił działać.

– Przecież przybyłem tu walczyć! – powiedział do siebie, zrzucając cały ekwipunek.

Na sobie miał teraz tylko spodnie i bluzę. W rękę trzymał ostry jak brzytwa nóż.



Lot nocą jest jeszcze bardziej fascynujący niż w dzień. Ograniczona widoczność sprawia wrażenie kosmicznej próżni. Nad głową świecą gwiazdy, ale i na ziemi pomimo nakazów zaciemnienia widać co rusz gwiazdki w postaci niedokładnie zasłoniętego okna lub jakiegoś pasterskiego ogniska. Tylko duże jeziora albo rzeki swoim połyskiem przypominają, że ziemia jest kilkaset metrów poniżej.

Przelecieli właśnie nad kolejną rzeką, kiedy zmarznięta na kość Zośka poprosiła o następne lądowanie.

– Wytrzymaj jeszcze chwilę już jesteśmy prawie na miejscu! – odrzyknął pilot i wzbił maszynę trochę wyżej.

Nagle przez zamarzający mózg Zośki przemknęła pierwsza wątpliwość. Nie знаła się na pilotażu, ale poprzednie lądowanie w dzień poprzedzone było wnikliwą obserwacją terenu. Teraz jest noc, a Misza zgodził się lecieć pod Warszawę kilka dni wcześniej. Był Rosjaninem, więc nie mógł znać terenów podwarszawskich.

Jak u diabła zamierza wylądować? – zastanawiała się czarnowłosa. Na nieznanym terenie i w ciemności... Przed startem musiał więc wiedzieć, gdzie będzie lądował! Jeśli wiedział, to na pewno nie jesteśmy pod Warszawą! Teraz do głowy Zofii dotarł też fakt, że cały czas lecieli na zachód, a nie na północ. Zaćmiona czujność przez fascynację lotem nie zwróciła uwagi na ten ważny szczegół.

Cholerny brak czujności! Romantyczka jedna! To już idzie za daleko. Najpierw atak na nierozpoznany posterunek, a teraz lot z nieznanym pilotem. Ostrzegął mnie tatko przed nieznanymi facetami. Taaak, ostrzegął! W złości powoli i bez zbędnych ruchów wyciągnęła z kabury tetetkę.

Pilot odwrócił się do niej i krzyknął:

– Jest już po północy! Wiesz, jaki dzisiaj dzień mamy? Dzień zaskakujących niespodzianek! – Ręką pokazał w dali płonące ogniska układające się w podwójną linię punkcików.

– Wiem, wiem! Uwielbiam niespodzianki! – Przypomniała sobie dowcipy, jakie robiła ze swoim ojcem i uśmiechnęła się naprawdę szczerze. – Ja też mam dla ciebie

niespodziankę! – odkrzyknęła i odciągnęła kurek pistoletu.



Irlandzki wojownik przeszedł pomiędzy szeregami zaczajonych żołnierzy niczym dzuma. Zostawiał same trupy. Precyzja, z jaką dokonywał krwawego dzieła, była wynikiem jego doświadczenia zdobywanego przez lata doświadczeń i szkolenie w Anglii. Łatwość, z jaką osiągał ten cel, była zaprzeczeniem szkolenia w SS. Uczono ich walki na bagnety, taktyki ataku i odwrotu. Nikt w obliczu nadciągającej klęski nie uczył służby wartowniczej i podchodów. Na taką naukę było już za mało czasu.

Przez radio do kapitana zastawiającego pułapkę dotarła wiadomość, że nadlatuje oczekiwany samolot. Zapłonęły ogniska i w ich blasku Matthew zdjął ostatniego żołnierza z tej strony lasu. Właśnie wrócił po swoje oporządzenie, gdy usłyszał jeszcze jakiś dźwięk. To nadlatujący samolot schodził do lądowania. Młodzieniec wycofał się w gąszcz krzewów i z bezpiecznej kryjówki obserwował całe zdarzenie.

Samolot pomimo ciemności wylądował miękko i precyzyjnie. Całkowity brak wiatru wydatnie pomógł pilotowi, lecz na tym jego szczęście się skończyło. Siedząca za nim pasażerka oddała do niego śmiertelny strzał. Samolot toczył się swoim pędem i bez braku reakcji pilota wjechał w ścianę lasu.

Było to tak niespodziewane, że dowódcę SS-manów na chwilę zamurowało. Stał i dopiero gdy z samolotu wyskoczyła jakaś postać, zaczął nerwowo wykrzykiwać rozkazy. Jeszcze większe zdumienie ogarnęło go, kiedy na jego rozkazy nie było żadnej reakcji. Tylko z prawej flanki ruszyło w pogoń kilkunastu wojaków, ale w ciemności mieli nikłe szanse na złapanie sprytnej i zwinnej dziewczyny. Krąg oblawy nie zamknął się i to było powodem niepowodzenia. Zresztą, co tu mówić o kręgu, skoro tylko jedna strona, i to ta najdalsza, stanowiła jakiś łańcuch tyralieri.

– To jakiś dowcip! – wykrzykiwał, a dowódcy plutonów próbowali zebrać wojsko do kupy.

Piękno porażki nazistów oświetlały ogniska rzucające krwawe światło na stojących twarzą w twarz oficerów. Nagle w ciemności pojawił się błysk. Gdzieś z kierunku, w którym umknęła postać. Pół sekundy później w ciało kapitana uderzył pocisk. Uderzył pod pachę uniesionej do groźby ręki i przeszył ciało na wylot. Dopiero teraz dobiegł do wszystkich huk wystrzału.

Wojsko stało jak zamurowane. Już porucznik chciał krzyknąć rozkaz ukrycia się, gdy młody Irlandczyk także postanowił sobie postrzelać. Wojsko skupione na niewielkim obszarze, dobrze oświetlone przez ogniska, stanowiło cel niczym tarcze na strzelnicy. Jeśli nie wszystkie strzały oddane przez Matta dosięgnęły celu, to popłoch, jaki wywołały, odcisnęły się głęboko w świadomości żołnierzy. Przybyli zastawić pułapkę na Wiedźmę, a tu sami dostali się w ogień krzyżowy.

Mówili mi, jak się zapisywałem do wojska, że będzie ciekawie – pomyślał rudzielec. Nie wierzyłem im wtedy, bo przy poborze zawsze dużo obiecują. Teraz widzę, że nie żartowali.

Wojsko niemieckie poszło w rozsypkę. W nocy, w panice rozbiegło się tak, że zbierali się do późnego popołudnia. Byliby łatwym celem dla Matta lub Zośki, lecz każde z nich odczuwało już zmęczenie. Odczuwali także niemałą satysfakcję. Zośka, kiedy widziała w lunecie, jaki efekt wywołał jej strzał i strzały nieznajomego pomocnika, zaszyła się w ściółce lasu jak borsuk i przespała cały poranek.



Ten sam poranek inaczej przeżywał feldmarszałek Walther Model. Pod Krakowem, pomimo że był już maj, na polach skrzył się szron. Model wyglądał przez okno, pijąc z porcelanowej filiżanki poranną kawę. Drżał wręcz z podniecenia i niecierpliwości na myśl o momencie, kiedy ujrzy złapaną w nocy Wiedźmę.

Ale mam przewrotne myśli – zgał sam siebie za nazywanie zbrodniarki wojennej Wiedźmą. Zabraniał tego podwładnym, a teraz sam tak ją nazywał w myślach.

– Dzisiaj zakończymy ten problem! – powiedział już na głos, odstawiając filiżankę na dębowe biurko.

Mroźny poranek przywitał radosnymi promieniami słońca także innego niemieckiego żołnierza. Szeregowy Hans, szczęśliwy, że wyszedł z nocnej strzelaniny bez szwanku, próbował odnaleźć swój oddział. Szedł w promieniach poranka, chuchając w dłonie, gdy omal nie potknął się o przyprószone szronem ciało swojego kolegi. Widok ziejącej jamy podciętego gardła wywołał u Hansa panikę. Ruszył pędem, gdy teraz już naprawdę potknął się o następne ciało. Rozwarte usta martwego, próbujące chwycić ostatni dech i następna rana na gardle wywołały szok u młodego chłopaka. Poderwał się do biegu... już bez karabinu. Z obłędem w oczach wypadł z lasu na resztki swojej formacji. Dowódcy pododdziałów, którzy dopiero co pozbiali kilku swoich podwładnych, nie powstrzymali fali paniki. Hans wybiegający z lasu z krzykiem i wymachujący rękami wyglądał tak, jakby uciekał przed groźbą natychmiastowej śmierci.

– Wiedźma! Wiedźma! – krzyczał na całe gardło.

Wojsko ponownie poszło w rozsypkę.

Każdy krył się jak potrafił. W paprociach, krzakach i na drzewach. Hans pobiegł dalej, ponieważ nie znalazł wsparcia u współtowarzyszy. Tak biegnącego przez polanę żołnierza tysiącletniej III Rzeszy zauważył kierowca samochodu feldmarszałka.

– Co to jest? Zawracamy? – zapytał, wskazując Modelowi i jego adiutantowi wystraszonego żołnierza.

– Nie, głupcze! Zatrzymaj wóz! – Feldmarszałek prawie wyskoczył z samochodu. Chciał zatrzymać biegnącego, ale ten zmienił tylko kierunek. – Zatrzymać go! – wrzeszczał już bez opamiętania.

Adiutant wyciągnął parabelkę i wystrzelił w powietrze. Hans, pomimo że biegł szybko, jeszcze bardziej przyspieszył.

Większym opanowaniem wykazał się żołnierz eskorty feldmarszałka jadący na motorze. Dogonił biegnącego i kopniakiem w udo przewrócił na ziemię. Dopadli go

wtedy wszyscy. Jednak po długim i wyczerpującym biegu Hans po prostu zemdlął z niedotlenienia albo przerażenia.

Po bezowocnych próbach doprowadzenia żołnierza do przytomności Walther Model westchnął i odszedł w kierunku auta. Zwalił się na fotel w samochodzie i ponownie westchnął.

– No tak to my tej wojny nie wygramy! – Oddychał już spokojnie zapatrzony w odległy punkt, gdzie na drzewie siedział jego następny przerażony żołnierz.



Sierzant Matthew O'Donnell leżał na szczycie łagodnego wzniesienia i obserwował teren przed sobą porośnięty licznymi krzakami.

Spostrzegł, że nie wszystkie krzaki wyglądały tak samo. Niektóre z nich były lekko przywiednięte i rosły nienaturalnie. Na nich sierżant skupił swoją uwagę. Nagle spod jednego z nich wypłynęła leniwie chmurka dymu.

Papieros! – Matt pomyślał z uśmiechem. Nigdy nie lubił papierosów, ale teraz, gdy pełnił obowiązki zwiadowcy, wręcz modlił się o ich obecność w ustach każdego niemieckiego żołnierza. Dym papierosowy wyczuwał w nocy nawet z kilkuset metrów, a żar papierosa, o ile nie był ukrywany, można było wypatrzeć nawet z kilometra. Uśmiechnął się ponownie na wspomnienie trzech głupców z patrolu, którzy trzy papierosy odpalili kolejno jedną zapałką. Nawet nie zdążyli zastanowić się nad własnym błędem. Śmierć zebrała żniwo w ciągu kilku sekund. Matthew był bardzo dobrym strzelcem.

Na mapie, którą miał przed sobą, zaznaczał teraz podejrzane krzaki. Utworzyły połamaną linię w kształcie półkola. Przez radio przekazał te pozycje. Nadawał krótko i natychmiast się wycofał... To znaczy chciał się wycofać, lecz wydarzenia zmieniły nieco jego plany.



Zośka spotkała tajemniczego zwiadowcę następny raz przez przypadek. Chociaż wielu fizyków jądrowych twierdzi, że przypadków nie ma. Wszystkie zderzenia mikroskopijnie małych cząstek podlegają prawu przyczynowości i skutku. Podlegają też prawu przyciągania. Prawo przyciągania bardzo działało na Zośkę. Przyciągała głównie kłopoty. Chciała jak najprędzej ruszyć w stronę Puszczy Kampinoskiej.

Przed forsownym marszem postanowiła wypocząć jeden dzień nad brzegiem rzeczki i rozejrzeć się po okolicy. Nie chciała ryzykować przeprawy nocnej przez nurt, który mógł ją znieść prosto w ręce wroga. Przespała się więc do rana.

Rankiem, a właściwie bladym świtem, zagrzmiały wybuchy.

Co jest do kurki przepiórki! – pomyślała rozbudzona i wyjrzała ze swojej kryjówki. Za rzeką dostrzegła rozlokowane i zamaskowane wojsko.

Zdążyła na szczęście przytknąć uszy, gdy na drugim brzegu narastał armagedon. Czarnowłosa nawtykała w uszy miękkich liści i zaczęła się wycofywać. Bombardowana była formacja na pojazdach, jakich jeszcze nie widziała. Pewnie przeprowadzali manewry, gdy sprytny zwiadowca wypatrzył ich i skierował tutaj partyzantów, którzy zaatakowali z zaskoczenia.

– Ktoś musiał przeprowadzić dobre rozpoznanie. Jak mogłam go przeoczyć? – Zadała sobie to pytanie. Wiedziała, że on tu był. Na którymś ze wzgórz brzegu rzeki. – Mogą tutaj być też inni zwiadowcy.

Gdy tylko to pomyślała, zauważyła ruch na sąsiednim pagórku. W połowie jego wysokości trzech zwiadowców z Wehrmachtu skradało się na szczyt. Wycofała się jeszcze głębiej w dolinę i z bezpiecznej kryjówki za krzakiem zaczęła wszystko obserwować przez lunetę.

Nagle na szczycie pagórka kępa trawy podniosła się i postać niewidoczna dotąd ze względu na świetne maskowanie zarzuciła sobie na plecy radiostację. Postać nie dokończyła tej czynności.

Zwiadowcy rzucili się razem. Pierwszy chciał zadać cios saperką, ale uniesiona radiostacja odparowała ten cios.

– Chcą go wziąć żywcem – pomyślała dziewczyna i płynnie wprowadziła nabój do lufy.

Żywa kupa trawy była niezwykle zwinna. Jej cios nożem powalił już jednego przeciwnika, a drugi, ten z saperką, został przerzucony przez plecy i potoczył się w dół ze wznesienia. Żywa kupa trawy nie uniknęłaby jednak ciosu tego trzeciego. Od początku próbował zająć dziwną postać od tyłu. Teraz, mając dogodną pozycję, rzucił się do ataku. Powstrzymał go mosinowy nabój. Drugi strzał Zośka oddała do szarżującego zwiadowcy, który z podniesioną saperką postanowił szybko zakończyć akcję.

Wybuchy nadal tłumili skutecznie odgłosy walki. Kupa trawy rozpląszczyła się na ziemi i zniknęła z oczu tak samo nagle, jak się wcześniej pojawiła. Zośka pchnięta ciekawością także ruszyła z miejsca w kierunku małego lasu, gdzie prawdopodobnie wycofywał się trawiasty wojownik. Dotarła tam pierwsza i kucnęła pod drzewem, którego zwisające gałęzie skutecznie ukryły ją przed ludzkim wzrokiem.



Matt złożył radiostację i chciał ją zarzucić sobie na plecy, gdy znienacka rzuciło się na niego trzech rosyńskich Niemców. Pierwszy cios odparował trzymaną w ręku radiostacją, potem instynktownie wyciągnął nóż. Wzrok nie nadążał za rozwojem akcji. Pchnął na oślep. Na szczęście cios był celny i wyeliminował jednego z atakujących. Ten z saperką rzucił się ponownie, ale rzutem przez plecy przeleciał w powietrzu ze dwa metry i gruchnął jak kłoc na ziemię.

W tym momencie usłyszał świst pocisku. Obejrzał się za siebie i zobaczył tego trzeciego, który z uniesionym do ciosu bagnetem stoi nieruchomo. Na jego twarzy

malował się grymas zaskoczenia i zdziwienia. Sierżant ponownie usłyszał świst pocisku za plecami. To nieznanzy strzelec unieszkodliwił ostatniego zwiadowcę.

Matthew nie zastanawiał się dłużej. Pozostawił rozbitą radiostację i, czołgając się, wycofał do lasku, który służył mu za schronienie.

W gęstych krzakach poczuł się bezpieczniej. Jednak nie do końca. Czuł czyjąś obecność. Do jego nozdrzy dotarł ten specyficzny zapach.

– To spalony proch. Tak śmierdzi spalony proch – pomyślał i w tym momencie spostrzegł wymierzoną w siebie lufę.



Spotkania na froncie zawsze bywają niebezpieczne. Nie wiadomo, komu najpierw mogą puścić nerwy. Matt pokazał, że nerwy to ostatnia rzecz, która może u niego zawieść.

Usiadł na ziemi ze skrzyżowanymi nogami i uśmiechnął się, szczerząc swoje białe zęby.

Zośka wyszła zza zwisających gałęzi i także usiadła, krzyżując nogi. Na twarzy miała równie czarujący uśmiech. Obcy zwiadowca ją fascynował. Miał na sobie strój, który wyglądał jak kępa trawy. Widać było zręczne wykonanie i perfekcyjne dobranie kolorów do panującej pory roku. Nic dziwnego, że go nie widziałam. Gdy padnie plackiem na ziemię, jest po prostu częścią krajobrazu – pomyślała zła, ponieważ nie lubiła, jak ktoś jest od niej w czymś lepszy.

Matt zarażał uśmiechem. Spod fałd dziwnego stroju wyciągnął coś, co Zośka widywała dość rzadko.

– Czekolada! – wyrwało jej się na wspomnienie wspaniałego smaku.

– Owszem, czekolada – przełamał tabliczkę na pół i jedną część podał Zośce. Coś jednak w jego akcencie zwróciło jej uwagę.

Konsumowali w milczeniu, a lufa karabinu Zośki zmieniła kierunek na bardziej bezpieczny.

Teraz ona wyciągnęła swój zasobnik, w którym były suszone jagody i jabłka. Jedli nadal w milczeniu, spoglądając na siebie ukradkiem. Wybuchy ucichły, a w uszach zaczęła dzwonić nieprzyjemna cisza. Wtedy on sięgnął jeszcze raz w głąb swojego włochatego stroju.

– Whisky? – zagadnął, podając stalową menażkę, która była płaska, jakby ją przejechała gaśienica czołgu.

Butelka ponadto miała nienaturalnie mały, zakręcany korek. Zwiadowca odkręcił go i ruchem ręki zachęcił do wypicia. Zośka wzięła ją i wciągnęła znaczny łyk.

– Yyyp! – odezwała się na wdechu nienaturalnym głosem. – Ku... wa! Co to jest?

– Whisky. Nie bimber, ale prawie. – Zwiadowca się uśmiechnął i odebrał dziewczynie piersiówkę.

Pociągnął także spory łyk. Butelka przechodziła jeszcze parę razy z rąk do rąk. Teraz te dwie osoby zapomniały o potrzebie zachowywania daleko idącej ostrożności.

Rozgadały się i szczebiotały. Matt dziękował Zośce za strzały, które uratowały jego życie. Ona pokazała mu swój karabin. Wtedy on zza pleców wyciągnął coś, co naprawdę odebrało Zośce dech.

Był to Mauser C-96 z nienaturalnie długą lufą i celownikiem optycznym. Jego dorabiana kolba była taka, jakby ją dorabiał jej ojciec. Zośka z czcią wzięła tę broń do ręki.

– Tatko żartował, że jakby miał kiedyś zamienić karabin, to tylko na takiego Mausera.

Broń była lekka i niezwykle składna. Amunicja do niej ważyła jedną trzecią tego, co ona potrzebowała nosić do mosina.

– Piękny! – wypowiedziała z zachwytem. – Ale nóż mam i tak lepszy.

Błyskawicznie wyciągnęła finkę, która świsnęła w prawie niezauważalnym geście. On w odpowiedzi wyciągnął przed siebie ręce, gdy nagle z jednej z nich wyskoczyło ostrze. Zadźwięczało złowieszczo popychane sprężyną, uruchamiając jednocześnie zatrask. Był uzbrojony w ułamku sekundy.

Dziewczyna spojrzała z niesmakiem.

– Nóż, który nie potrzebuje pochwy. No, no, zaimponowałeś mi, bratku. Zaimponowałeś mi strojem, sprzętem i przygotowaniem ataku z zaskoczenia. Ja tego wojska jeszcze nie widziałam, a ty zdążyłeś zorganizować Niemcom niespodziankę na tyłach frontu.

Chłopak, jakby w odpowiedzi wyszedł na chwilę z ukrycia. Wrócił po kwadransie, niosąc ze sobą peemy i magazynki od pokonanych zwiadowców.

Dopili do końca zawartość stalowej piersiówki, a wtedy irlandzki zwiadowca zaczął rozbierać naboje od peemów. Ich proch zaczął wsypywać do pustej butelki. Dziewczyna przyłączyła się do działania i już po chwili butelka była pełna prochu. Irlandczyk wyciągnął ze skózanego futerału coś, co mogło być tylko zapalnikiem. Włożył go w idealnie pasujący otwór.

Uśmiechnął się.

– Niespodzianka.

Wręczył jej bombę jak bukiet kwiatów, po czym z kwaśną miną pokazał gestem, że odchodzi. Zniknął Zośce z oczu.

Została sama ze swoimi myślami i bombą samoróbką.



Zośka nie lubiła jak ktoś był lepszy od niej w jakiegokolwiek dziedzinie. Maskowanie, podchodzenie i ekwipunek opanowała na najwyższym poziomie. Jednak spotkała kogoś, kto bezszelestnie prześlizgiwał się przez trawy. Umiał się świetnie ukrywać, a ekwipunek miał po prostu zabójczy.

To szczywany lis! – pomyślała o rudym nieznanym. Co mogę zrobić lepiej od niego? Co mogę ograniczyć? Buty, zawsze były za ciężkie i niewygodne. Całe lata chodziłam boso, to od jutra zaczynam na nowo. Zostawiam tetetkę i granaty, i wykombinuję coś na

wodę. Manierka jest ciężka i nieporęczna. Gwint za głośno chodzi, a w dodatku widać ruch rąk odkręcających nakrętkę. Na naboje do karabinu zrobię zgrabną opaskę na rękę, gdzie będzie poręczniej sięgać. No i maskachałat chyba zastąpię jakąś zwierzęcą skórą. Może pozszywam skórki zajęcy albo sarny. Będzie lepsza izolacja cieplna, a barwa jak najbardziej maskująca.

Spędziła nad rzeką kilka dni. Doskonaliła swoje oporządzenie, próbując chociaż zbliżyć się do poznanego niedawno ideału.

W międzyczasie wojska niemieckie pozabierały zniszczony sprzęt. Niewiele go ocalało po zaskakującym ataku partyzantów. Były to nowoczesne czołgi, jakich Zośka jeszcze nie widziała. Smuklejsze od tygrysów. Miały zaokrąglone wieże i potężne działa. Jak widać, polscy partyzancki potrafili rozprawić się nawet z takimi nowoczesnymi konstrukcjami...

Nad rzekę zaczęli przychodzić zwiadowcy. Pierwsza grupa odnalazła zabitych Niemców ze zwiadu.

– Tutaj nie przedostanę się na drugą stronę – Mruknęła do siebie czarnowłosa, obserwując sytuację przez lunetę karabinu. – Gęsto tu od zwiadowców jak w zupie od warzyw. Niedługo będą na siebie wpadać i stukać się hełmami.

Wycofała się kilka kilometrów dalej, gdzie w młodym lesie postanowiła spędzić noc, a nad ranem upolować coś na posiłek. Właśnie dochodziła do pierwszej linii drzew, gdy w świetle zachodzącego słońca dostrzegła grupkę cywilów. Szli polną drogą i także kierowali się do lasu. Zdjęła karabin z ramienia, aby przyjrzeć się dokładniej grupie. Wyostrzyła widoczność i w tym momencie padł strzał.

Ktoś oddalony o czterysta, pięćset metrów oddał celny strzał do mężczyzny na czele grupy. Pocisk przebił ciało na wylot i, furkocząc wściekle, przeleciał kilka metrów nad głową Zośki.

Reszta natychmiast zaległa i wczłogała się w przydrożną miedzę. Zbliżali się coraz bardziej do stanowiska dziewczyny.

Snajperka tymczasem próbowała wypatrzeć strzelca, który oddał tak precyzyjny strzał. Strzelec musiał być dobry. Strzelał pod światło do ruchomego celu z odległości prawie pół kilometra. Wielu ludzi myśli, że jak karabin strzela na sto i dwieście metrów, to tak samo celnie strzela i dalej. Niestety, prawda jest bolesna. Przekroczenie dystansu trzystu metrów wiąże się z wielką walką o precyzję. Precyzję amunicji, dobranej dawki prochu, odpowiednio posadzonego pocisku w łusce. Znaczenie ma wtedy wszystko... Nawet temperatura i wilgotność otoczenia.

Ten, który strzelał przed chwilą, wyszedł na trening. Trening podchodów i trening jednego strzału. Nie strzelał więcej. Zośka nie mogła wypatrzeć jego pozycji. Prawdopodobnie po celnym strzale realizował następny punkt treningu. Ważne dla życia snajpera jest szybkie i skryte wycofanie. Strzelec prawdopodobnie teraz trenował ten element. Był świetny. Był świetny w każdym punkcie.



Grupa mężczyzn, czołgając się miedzami i uskokami gruntu, dotarła do lasu. Przeczłógali się tylko o dwa metry obok stanowiska czarnowłosej. Ona nie chciała zdradzać swojej obecności. Chciała tylko poznać tożsamość tych ludzi.

Gdy zalegli w lesie, wystawili czujkę, a reszta nazbierała chrustu na ognisko. Po chwili buchnął ciepły ogień i mężczyźni stali się bardziej rozmowni. Z ich mowy wynikało, że trzej to Polacy, a dwaj to Czesi.

W krąg ich ogniska wpadła dziwna postać. Straszdyło przypominające leśne lichy rozgarnęło polana ogniska i zakląło.

– Do pioruna! Zadepczcie ten ogień! Rozum wam odjęło? Palić ogień pod bokiem Wehrmachtu?!

Reszta szybko pojęła swój błąd. Zadeptali tłące się ognisko. Po chwili usiedli, dysząc ciężko z emocji. Zośka przejęła inicjatywę.

– Ty na czujce! Odejdź na skraj lasu i jak tylko coś zobaczysz daj znać jakimś zwierzęcym głosem. Krowy, psa, czego tam umiesz naśladować. Reszta przedstawi się.

Zapadło milczenie. Patrzyli na leśne lichy w strachu i niepewności. Zośka miała na sobie skórę sarny. Łeb sarny, podpatrzonym w książkach o myśliwych zwyczajem, miała naciągnięty na czoło. Inne elementy ubioru takie jak kępy traw i świeże gałązki z liśćmi odstawały od niej, tworząc z niej bezkształtną i straszną istotę z bajek o leszym.

– Co? Mowę wam odjęło. Przed godziną straciliście kompana. Myślicie, że tam był tylko jeden żołnierz? Tam za wzniesieniem jest cała armia. – Ostatnie zdanie wypowiedziała cicho i groźnie. Nie wiedziała, że całą grozę budziła jej postać przypominająca leśnego ducha.

– Jestem Igor Macur z Pomorza. – Odezwał się najstarszy.

– Ja sem Franek Kralicek z Pilzna.

– Ja nazywam się Krzysztof Mania i pochodzę z Kalisza.

– Ja sem Wiktor Chromada z Pardubic.

Po przedstawieniu Zośka poznała historię wojenną tych chłopców. Żaden z nich nie miał nawet dwudziestu lat. Na początku wojny Niemcy zabrali ich gospodarstwa. Rodziny rozdzielili i wywieźli na przymusowe roboty. Do gospodarstwbauerów. Mieli ciężkie życie, ale jak to w gospodarstwie przynajmniej nie cierpieli na brak jedzenia. Cała piątka poznała się na targowisku, gdzie razem ze swoimi niemieckimi gospodarzami przyjechali pomagać w przekładaniu towaru. Gospodarze po targu się upili, a chłopcy poznali się i wymienili adresami. Ułożyli nawet plan ucieczki. Igor znalazł upuszczone przez pijanego Niemca zapalniczki. Schował je sprytnie, a gdy przyszedł czas ucieczki, podpalali niemieckie stodoły i dzięki panice udało im się wyrwać z niewoli.

Chłopcy nie mieli nic. Nie mieli nic oprócz wojowniczości, twardego charakteru i woli walki z frycami. Zośka podziwiała ich hart ducha i młodzieńczą zapalczywość. Wojna nie pozwalała na rozwój innych talentów i pragnień. Dziewczyna poczuła się odpowiedzialna za tę grupę uciekinierów. Chciała im pomóc przeżyć i wrócić do kraju.

– Ten snajper, który zastrzelił jednego z was, będzie polował dalej. Na odkrytym terenie jesteście dla niego jak tarcze strzeleckie na strzelnicy. Jutro upoluje następnego

albo będzie trenował inną taktykę i zastrzeli wszystkich.

– To co mamy robić? – zapytał Igor nazywany przez innych Zapałką.

– Dzisiaj nic. Wyśpijcie się. Ja wyjdę poszukać waszego dręczyciela. Jeśli nie wrócę przez dwa dni, idźcie dalej na wschód. Wędrujcie nocami w dużej odległości od siebie. – Westchnęła. – Jest wojna i przeżyją tylko najsprytniejsi.

Posłała w noc cicho jak polująca, drapieżna bestia. Na boso, odziana w skóry leśnych zwierząt. Tylko z pistoletem i nożem. W jeden skórzany woreczek zapakowała pokruszone suchary, a w drugi suszone jagody. Do picia wzięła wodę, na którą spreparowała pęcherz sarny.

Ustaliła z chłopcami hasło powrotu i zniknęła jak duch w leśnym mroku.

Całą noc przechodziła wrogie pozycje. Obchodziła je szerokim, kilkukilometrowym łukiem, lecz mimo to dwukrotnie napotykała patrole. Jej bose stopy i brak metalowego ekwipunku pozostawiał ją niewykrytą jak polującego lisa.

Była już na terenie wroga. W samym centrum ich obozowiska. Znalazła sobie świetną kryjówkę. Sterta starych gałęzi sosnowych, które pozostały po wyrębie lasu na konstrukcje umocnionych ziemianek. Na tę kupę rzucano inne śmieci, więc na pewno nikt w pobliżu nie przebywa na stałe. Wybrała kilka krótkich gałęzi, którymi podparła stos od środka. Stworzyła sobie małą przestrzeń pod stertą. Wejście do niej zakryła starą, połamaną, drewnianą skrzynką. Wokół niej porozkładała puszki po konserwach i butelki, aby było widać, że to jest miejsce nieuczęszczane.

Była niedaleko kuchni polowej, ponieważ zapachy potraw intensywnie drażniły nozdrza. Czuła wyraźnie wędzone żeberka i zapach kiszonej kapusty.

Chyba na obiad będzie kapusta z mięsem – pomyślała i przysła jej do głowy mała dywersja. Podkraśla się do zaplecza kuchni i do beczki z kiszoną kapustą wysypała kilka garści piasku. Zamieszała wszystko rękami i wysypała następne garście. Zadowolona z psikusa wpełzła do swojego schronienia pod gałęziami. Zmęczona natychmiast zasnęła. Rano obudziły ją odgłosy obozowego życia, a to ktoś puknął menażką, inny znowu wytrzępywał koc. Szykowano się na poranną zbiórkę. Niemcy nawet podczas wojny prowadzili regularne wojskowe obowiązki typu poranne ćwiczenia, musztra i poranny apel. Obserwowała obozowe życie i chciała wypatrzeć snajpera.

Nie ma tu wrogiego snajpera – pomyślała i zagryzała swój kosmyk włosów. Na waszą obozową nudę mam lekarstwo z optyką.

Nagle coś ją jednak tknęło. Zachowanie starszego, a jednak sprężystego mężczyzny. Miał prawie całkiem siwe włosy, ale ruchy bardzo zrównoważone i pewne. Sposób zachowania miał bardzo nietypowy, godny do naśladowania. Jak siadał sam, to albo za drzewem albo za jakimś wykopem. Zawsze wstawał wtedy, gdy ktoś przechodził w kierunku, gdzie miał się udać. Szedł z kimś, oddzielając się jego osobą od potencjalnej strony wroga.

To jest bardzo mądry i przeznany żołnierz. Warto takiego naśladować i przyjąć jego zwyczaje. Notowała w pamięci przy okazji rozkład ziemianek i łączących je transzei. Rozkład gniazd z karabinami maszynowymi i moździerzami. Miała plan obozu i jego drogi dojazdowe. Wszystko, co potrzebne do ataku haubic albo lotnictwa. Jednak ona

przyszła tu po jednego człowieka. Chciała poznać tego, który zajmuje się polowaniem. Tego, który strzela raz, bo więcej nie musi. Tego, dla którego karabin jest pasją, a nie kawałkiem żelaza.

Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, gdy rozległo się niezbyt głośne pukanie w menażkę. Karne fryce ustawiły się w kolejkę do kotła z kapustą. Zośka nie musiała wyteżać wzroku, aby zobaczyć kwaśne miny żołnierzy.

– Psiakrew! – zakrzyknął jakiś sierżant i ruszył w kierunku kucharza. Reszta pododdziału zerwała się za nim. Wydawało się, że zębów kucharza nic już nie zdoła ocalić.

– Stać! – Teraz z siedziska za drzewem wstał siwy Niemiec bez dystynkcji na pagonach.

Pododdział stanął jak zamurowany. Widać, że żołnierz cieszył się dużym poważaniem, skoro jego rozkazu posłuchał nawet starszy stopniem.

– To nie wina kucharza. To kapusta. Przychodzi w beczkach. Beczki pakują Polacy albo Rosjanie. To sabotaż. Kucharz nic tu nie zawinił.

Wojacy siedli z powrotem na swoje miejsca, a żołnierz bez dystynkcji zaczął powoli przechodzić się po terenie, uważnie czytając ślady. Czy zobaczył odciski palców nabierających piasek? Czy skojarzył kolor piasku z menażki z tym na ziemi? Zośce po plecach przebiegł zimny dreszcz. Nie przemyślała tego psikusa albo po prostu przeciwnik jest bardzo inteligentny i spostrzegawczy. Wzięła do ust kilka kawałków suchara i suszone jagody. Zamyśliła się i w tym momencie jej wzrok spotkał się z jego wzrokiem. Patrzył na kupę suchych gałęzi tak samo zadumany jak ona.

Teraz powinien paść strzał, a ona powinna gnać na złamanie karku byle dalej od tych pozycji. Niestety całkiem zeszytniała, czując na sobie spojrzenie snajpera. Obydwoje czuli bezpośrednią komunikację i już wiedzieli o sobie wszystko. O swoim sprycie i ponadludzkich umiejętnościach.

On, pomimo że jej nie widział, poczuł, że został rozpoznany. Odszedł, jak gdyby nigdy nic, ale teraz zapewne zaszył się ze swoim karabinem na dogodnej pozycji i każda próba opuszczenia przez nią kryjówek będzie próbą samobójczą.

Miała swoją tetetkę przeciwko jego mauserowi albo merkelowi. To pewna porażka. Nadchodził zmierzch. Bała się ruszyć i głębiej odetchnąć. Przemyślała jednak plan ucieczki. Najpierw wytypowała możliwe punkty ostrzału. Nie było ich tak wiele. Niemiec mógł do niej strzelać tylko z trzech pozycji, które mógł zająć niepostrzeżenie. Wszystkie były poza logicznym zasięgiem jej pistoletu, a celowanie z przyrządów otwartych po zmierzchu w ogóle nie wchodzi w grę!

Muszę działać teraz! – Zaczęła rozgrzewać mięśnie ćwiczeniami przeciwnymi. Powoli jak ślimak zaczęła wycofywać się spod sterty gałęzi, gdy nagle obok jednej z typowanych przez nią kryjówek zobaczyła ruch.

Ruch tak nieznaczny i subtelny, że tylko oko snajpera mogło go zobaczyć. Zdradził go rudy pukiel włosów. Kosmyk wystawał spod stroju maskującego, który idealnie wtopił się w otoczenie.

Wystawia mi go! Ten cholerny rudy lis mi go wystawia! – Ta myśl jak błyskawica przemknęła przez głowę. Czy wie, że nie mam karabinu?!

Policzyła w myślach do dziesięciu. Wolno. Na każde wyliczenie przypadał jeden głęboki oddech. Z pistoletu może tylko strzelić. Nie знаła przewyższenia celowania, a bez lunety nie mogła rozpoznać celu. Jednak teraz było ich dwoje. Bardzo powoli odsunęła dłoń z pistoletem od ciała. Wycelowała zgrubnie w stanowisko fryca, ale uważając, aby nie celować w „lisa”.

– Pang! – Tetetka wypaliła i zarepetowała się automatycznie.

– Puff! – Usłyszała strzał, a kilka centymetrów od jej ręki gałązki przełamał grot pocisku.

Na ten sygnał skoczył „lis”. Wiedział, że Niemiec musi przeładować karabin. Jednym pchnięciem swojego noża pozbawił życia snajpera, który wzięty w dwa ognie nie miał najmniejszych szans.

Jednak strzelanina w środku obozu nie wróżyła nic dobrego. Niemieccy żołnierze z załadowaną bronią wyskoczyli na plac.

Ona miała prawie czystą drogę odwrotu. Kontrolowała wszystko z daleka. Jednak musiała wesprzeć swojego wybawcę.

Jej pierwszy strzał był niecelny, ale następne wszystkie okazały się skuteczne. Musiała przeładować magazynek, ale wtedy zaczął strzelać Mauser rudzielca. Jego krótkie serie były jak atakujące osy. Były przerażająco celne. Wojsko zaległo. Lis także miał swój plan odwrotu. Jego niekonwencjonalne sposoby skradania i maskowania gubiły każdą pogoń.

Zośka straciła go z oczu. Teraz musiała zadbać o siebie. Pędem przebiegła stary las i dopadła młodnika, który ochraniał ją przed wzrokiem strzelców aż do rzeki. W wodzie odetchnęła. Płynęła, wystawiając twarz pod kupką gałęzi i sitowia, którą uwiła na poczekaniu jak gniazdo. Pokonywała kilka kilometrów na godzinę bez żadnego wysiłku. Utrzymywała się w środku nurtu aż do czasu kompletnej ciemności.

Pod osłoną nocy wyszła na brzeg. Kolejna akcja zakończona sukcesem. Co prawda bez pomocy czerwonowłosego byłaby teraz trupem, ale liczy się zwycięstwo. Zziębnięta, ale żywa marzyła o ognisku i ciepłej strawie. Tymczasem do poranka musiała wytrzymać w mokrym ubraniu, bez jakiegokolwiek ciepła. Skóry zwierzęce zgubiła gdzieś w młodniku.

Nie usłyszała tego, ani nie poczuła. Nagle drgnęła, gdy ktoś zarzucił na nią ciepłą odzież. Był to dobrze jej znany strój maskujący. Młodzieniec, który ją nakrył bezszelestnie ukucnął obok niej. W ciemności widziała dobrze jego białe zęby. Widocznie się uśmiechał.

– Naśmiewasz się ze mnie! Tak? To ja uratowałam ci życie, a ty się ze mnie naśmiewasz... – udawała obrażoną i odwróciła się bokiem.

– Może whisky? – powiedział chłopak i na przeprosiny podał jej niemiecką manierkę, która cuchnęła alkoholem.

– Jesteś oryginałem jedynym na świecie. – Prychnęła z obrzydzenia. – Chłopcy zazwyczaj dają dziewczętom kwiaty, a ty dajesz wódkę? Kiedy w ogóle zdążyłeś to

ukraść? To ja martwię się o twój odwrót, a ty sobie spokojnie wracasz na balangę!

Chłopak delikatnie, acz stanowczo przyłożył dłoń do jej ust. Zrozumiała aż nadto ten gest. Irlandczyk zniknął bezszelestnie w ciemności nocy. Zośka siedziała sama. Znajdowała się na pograniczu zniesmaczenia i podziwu. W zasadzie uczucia, jakie przeżywała, były jej dotychczas niezbrane. Ekscytował ją ten młodzieniec.

– Co za czort! – Uśmiechnęła się do siebie. – Jest niesamowity... i piękny – dopowiedziała po chwili.

Obiekt jej rozmyślań wrócił po jakimś czasie. Przyniósł jedzenie i jeszcze jedną manierkę. Oczywiście z alkoholem...



W sztabie generalnym sowieckich sił zbrojnych oficerowie łącznikowi przedstawiali wieści z frontu i zza granicy. Oprócz wielu ciekawych i mniej ciekawych wiadomości szef sztabu marszałek Aleksandr Wasilewski wychwycił doniesienia o ruchach partyzantów za linią frontu.

– Co to za działania, których nie planował żaden dowódca ruchu oporu? – zapytał z zaciekawieniem.

– Nie wiemy. Jednak w szeregach Niemców panuje przeświadczenie, że do walki puściliśmy czarownice. Konkretnie jedna szeptucha załaziła im za skórę. Nazywają ją Wiedźmą, *die Hexe*. Według nich strzela na niebotyczne odległości zaczarowaną amunicją. Każdy jej pocisk osiąga celu. Nawet jak żołnierz jest schowany w okopie albo za drzewem. Niemieckie dowództwo tępi jak może te plotki, ale z kolei sami wywieszają listy gończe po całej Rzeszy.

– To ciekawe. Co jeszcze wiemy o tej Wiedźmie? – dopytywał Wasilewski.

– Ja wcisnąłbym to między bajki. Jednego dnia jest w okolicach Lublina i tam robi dużo zamieszania, a już za chwilę gdzieś pod Krakowem i w środku obozującej kompanii zabija arcyministra strzelectwa. Zebrano nawet jej czarne włosy z krzaczastej kryjówki i żołnierze sami odprawiali niby gusła, aby straciła moc.

– Czarne włosy mówicie... – marszałek zastanawiał się przez chwilę i nikt mu nie przeszkadzał. – Mieliśmy, kiedyś taką czarnowłosą snajperkę... Łowczynię tygrysów, jak nazywał ją Żukow, prawda? Co się z nią dzisiaj dzieje?

– Nie wiem, ale przygotuję raport na jutro. – Odezwał się oficer, który raportował poczynania ruchu oporu na terenie wroga.

Wrócono do rozmów o froncie i o dalszych planach rozwoju kampanii. Tematu szeptuchy nikt już nie poruszał, jakby o tym zapomniano. Po poobiedniej przerwie na koniak i papierosy rozmawiano już tylko o prywatnych sprawach. Wieczorem samochody zaczęły rozwozić dowódców do ich jednostek. Gdy generał pułkownik Sacharowski, odpowiedzialny za dywersję, już miał opuszczać siedzibę sztabu generalnego, Wasilewski zwrócił się do niego:

– Towarzyszu pułkowniku – zaczął marszałek – zostawcie u mnie tę teczkę z raportami o działaniach partyzanckich. Poczytam sobie jeszcze przed snem.

– Zaintrygowała towarzysza ta Wiedźma? – Uśmiechnął się pułkownik, podając raportówkę.

Wrócili na chwilę do środka, aby dokończyć niespodziewanie rozpoczętą rozmowę. Marszałek Wasilewski poprosił o jeszcze dwie lampki koniaku i wraz z pułkownikiem Sacharowskim zasiedli z powrotem w fotelach.

– Tak, lubię takie smaczki. To one w zasadzie kierują rozwojem frontu, a nie zalegające w okopach tygodniami wojsko – stwierdził stanowczo, zapewne dlatego, że dokumenty jasno mówiły o potężnych stratach osobowych jego armii.

– Tak. Zgadzam się, że potrzebujemy bohaterów dla przykładu, dla innych żołnierzy i śmiałych akcji, dla niszczenia morale wroga. Jednak nie wiem, jak wykorzystać fakt, że na front wysyłamy szeptuchy z karabinami?

– W zasadzie nie musicie się o to martwić. – Marszałek uśmiechnął się od ucha do ucha. – Jeśli wasze raporty przedstawiają faktyczną sytuację, to już się zadziało! Niemiecki feldmarszałek Model rozsyła listy gończe, a wojsko trzęsie portkami.

– Tak. Znowu ma pan rację, towarzyszu marszałku. – Bez cienia pochlebstwa dodał pułkownik. – Możemy jej dodać jakiejś czarodziejskiej mocy?

– No właśnie. Niech przepowiada przyszłość! Niech przewidzi rychłą i straszną śmierć Hitlera. – Podniecił się generał.

– I niech lata na miotle. Przecież jakoś musiała się dostać z dnia na dzień spod Lublina do Krakowa.

– Na miotle nie. To nasza gwiazda! Niech lata na perskim dywanie jak Alladyn. Zaraz, zaraz. Czy to nie do Lublina uciekł ten podwójny agent?

– Tak, towarzyszu marszałku. Na dzień przed planowanym aresztowaniem ukradł samolot zwiadowczy i wylądował na terenie wroga.

– To chyba mamy komplet układanki? Teraz tajemnicza podróż na perskim dywanie nabiera realności.

Marszałek czytał raport, przewracał kartki i mruczał co chwilę jakieś własne przemyślenia. Pułkownik Sacharowski sączył koniak i nie przeszkadzał.

– Pod Lublinem snajperka miała psa. Do samolotu go chyba nie zabrała? Coś wiadomo o tej sprawie? Pytam, aby połączyć wszystkie nitki. – Marszałek Wasilewski zamknął teczkę.

– Słuszna uwaga. Zajmę się tym jutro. Dowiem się wszystkiego i uzupełnię raport ze szczególnym uwzględnieniem poczyznań tajemniczej dziewczyny.

Pułkownik, widząc pustą czarkę w ręku marszałka, domyślił się, że czas na pożegnanie gospodarza. Odmeldował się więc regulaminowo i wyszedł na zewnątrz. Noc była jasna i ciepła. Wyciągnął z papierošnicy papierosa. Zapalił i zaciągnął się aromatycznym dymem.

Ciekawe, co tak interesuje Wasilweskiego w tej dziewczynie? Czy już się kiedyś spotkali? Tak. Dam mu ten temat i jeszcze go upiększę dla lepszego efektu – przemyślał i rozdeptał rzuconego papierosa.

Nawet nie przeczuwał, jak upięszony będzie materiał podstawowy.



Matt upolował borsuka, którego mięso ciął na cieniutkie kawałki. Zośka widząc, że szykuje jej spóźnioną kolację, zerwała trochę ziół, aby zmienić choć trochę smak i zapach surowego mięsa. Nacierала zmiażdżoną papką z roślin pokrojone mięso i w tej postaci nadawało się bardziej do konsumpcji. Pożywili się do syta.

Oboje pólnadzy, przykryci włochatym strojem maskującym, przytulili się, aby ogrzać siebie nawzajem. Noc była zimna, a przykrycie nie starczało w pełni na okrycie ich obojga. Przez ciało Zośki co rusz przebiegał dreszcz. Dopiero ciepłe dłonie chłopaka i ich rozgrzewające ruchy sprawiły, że ogrzała się i przestała szczękać zębami.

Noc była gwiazdzista, a sierp księżycza oświetlał wszystko nikiym światłem. Niesamowitości tej nocy dodawały koncerty żab i nocnego ptactwa. Sowy, słowiki i pokrzewki praktycznie nie milkły. Gwiazdzista noc tętniła życiem, energią i radością.

Matt swoim nożem naścił sitowia i ułożył z niego wielkie posłanie. Przekładał sitowia tak sprytnie, że tworzyło zwarty materac oddzielający ich od wilgotnej i zimnej ziemi. Teraz wtulili się w siebie i pozaplatali swoje ciała. Nakrycie odwrócone włosem do spodu delikatnie pieściło ich skórę. Po wcale niedługiej chwili okazało się, że okrycie nie było już im potrzebne przez sporą część nocy...



Spotkanie w sztabie generalnym III Rzeszy było pełne nerwów. Tutaj poza kolejnymi ruchami defensywnymi omawiano słabnące morale wojska po przebiegnięciu strasznej plotki o czarownicach, gusłach i rytualnych obrzędach. Spotkanie zakończyło się w wisielczych nastrojach i nie przyniosło żadnego pomysłu na rozwiązanie sytuacji.

Sam feldmarszałek Model był świadkiem, jak rozpięchło się wojsko na widok zwłok swoich pobratymców. Od początku wojny nie miał takiego problemu. Królicze łapki sprzedawano po horrendalnych cenach. Rusznikarze zamiast naprawiać broń, potajemnie robili ryngrafy z łusek po pociskach, na których ryli podobizny świętych. Co prawda ich podobizny nie były podobne do nikogo, ale podpisywali je, aby było wiadomo, jaki święty ochrania właściciela ryngrafu przed zaczarowanymi pociskami.

Choć wojska niemieckie były w odwrocie, to Królewski Tygrys był czołgiem, który na współczesnym froncie nie miał żadnego zagrażającego przeciwnika. Uruchomienie jego seryjnej produkcji koniec końców powstrzyma napór armii sowieckiej. Odrzutowy Messerschmitt Me 262 przywróci panowanie w powietrzu, a raketowe pociski międzykontynentalne dotrą do wschodnich wybrzeży USA... Tak myślało dowództwo, lecz nie Model. Rozumiał, że element paniki w szeregach skutecznie blokuje obronę. Wojsko straciło morale po wielu porażkach i stało się bandą wystraszonej tłuszczy, a w dodatku plotkowano o jakiejś Wiedźmie. Na froncie nie ma nic gorszego jak żołnierz, który nie wierzy w zwycięstwo. Mogło zabraknąć czasu na wprowadzenie Wunderwaffe do walki.

Zasypywał niekonwencjonalnymi przekleństwami wrogów swoich i III Rzeszy. Niestety, jego plan pochwylenia wiedźmy, zamiast ukrócić panikę i plotki, spowodował powstanie następnego ogniska paniki. Rysunkowe historyjki, które Rosjanie rozsykali nad okopami niemieckimi z samolotów, przedstawiały czarownicę w kapeluszu z rusznicą o długiej lufie. Leciła na perskim dywanie i strzelała do karykaturalnej podobizny Hitlera.

– To nie może być prawda! – krzyczał do ścian, sufitu i podłogi. – Wojsko, które dysponuje odrzutowym myśliwcem, boi się wiedźmy na latającym dywanie!



Zośka się przebudziła. Chłód poranka i osiadająca, zimna rosa nie pozwalały dalej spać. Przeciągnęła się leniwie i spojrzała na wschód słońca. Jego rąbek wychodził właśnie znad pokrytej mgiełką nadrzecznej łąki. Śpiew ptaków niczym symfonia napisana na tę okazję rozbrzmiewał w uszach i głowie dziewczyny.

Spojrzała na Irlandczyka. Jego nagie i pięknie umięśnione plecy w promieniach wschodzącego słońca wyglądały jak odlane z mosiądzu. Jego silna ręka wyciągnęła się w kierunku Zośki, objęła ją w tali i wciągnęła pod ciepłe, naprężone ciało.

Nie było już wojny. Był trel ptaków, plusk ryb i blask wschodzącego słońca. Byli tylko oni skąpani w promieniach życiodajnego światła.



Teczka z kryptonimem „Szeptucha” leżała na biurku generała Wasilewskiego. Raport był szczegółowy i nie zapomniano w nim o psie, o którego dopytywał się dowódca.

– Nadal jest u partyzantów. – Mruknął do siebie. – Poświęciła taką maskotkę. – Zadużał się jeszcze przez dłuższą chwilę. – Polacy tak walczą o ojczyznę. Może podejrzenie, że jest Polką nie jest bezpodstawne.

Po zapoznaniu się z jej treścią miało się chęć wypisania rozkazów ze wsteczną datą i przypisania jej sukcesów swojemu planowaniu. Jednak nie w stalinowskim systemie. Tutaj za każdym sukcesem mogła stać prowokacja. Nie pod czujnym okiem „przyjaciół”, którzy tylko czekali na drobne potknięcie, aby je wyolbrzymić i rozdmuchać. W sprawę mógł być zamieszany generał Żukow. To on dowodził 1. Frontem Ukraińskim wtedy, kiedy zrobiło się głośno o dziewczynie, czyli wtedy, kiedy zniknęła...

– Jeśli ta Szeptucha jest na rozkazach Żukowa, to by tłumaczyło jej odważną decyzję o opuszczeniu jednostki macierzystej. – Podrapał się w głowę. – Żukow. Ten spryciarz i mądrała ma na pewno na rozkazach podpis Stalina. Niedobrze. Niedobrze.

Wasilewski chciał własnego sukcesu, on był sztabowcem, genialnym sztabowcem, ale to Żukow spijał śmietankę sukcesu... Działania Żukowa na froncie, co prawda skuteczne, były jednak oceniane wśród wojskowych jako pyrrusowe zwycięstwa. Tracił dużo ludzi i wszyscy to widzieli. Miał nawet przydomek „Generał Śmierć”. Gdyby

przypisać sobie sukces Wiedźmy, Żukow straciłby w oczach Stalina, a to mogłoby uratować trochę istnień...

– Nie wiem, co ona tam dla Żukowa robi, ale jej czas już się skończył. – Marszałek głośno myślał i rozwijał swoje wywody. – Co mam teraz zrobić?!

Podrapał się po łysiejacej czaszce.

– Musi zginąć na froncie...

Ponownie podrapał się po łysinie. Tym razem z uśmiechem.



Wiosenne słońce przygrzewało tak mocno, że z chęcią wchodzili do zimnego o tej porze strumienia. Jego ciało nie bardzo przyjmowało promienie słoneczne, lecz Zośka nabierała wspaniałej, brązowej opalenizny.

Kąpali się w zatoczce strumienia osłoniętej prawie ze wszystkich stron szuwarami. Opalali się i figlowali. Dojadali mięso borsuka i uzupełniali dietę młodymi pędami trzciny, której niezwiązane węzły łądygi o tej porze roku dostarczały dużo cukru.

Matt zniknął na parę godzin. Wrócił z pozszywanymi zwierzęcymi skórami. Jak je odnalazł, było dla dziewczyny tajemnicą. Jeszcze bardziej tajemnicze wydawały się jego zabiegi przy jej prymitywnym ubraniu. Jednak, gdy skończył, była pełna podziwu. Teraz jej maskujący strój wszędzie przylegał do ciała. Był jak jej druga skóra. Nie sposób go było zgubić, a przy tym nie krępował ruchów.

Wiecznie uśmiechnięty chłopak ściągnął jednak z niej to ubranie, udając, że musi coś poprawić.

Zamiast zająć się poprawkami dotknął pieśczośliwie jej szyi. Znowu padli na posłanie z sitowia.



Feldmarszałek Model nie mógł myśleć o niczym innym. Za punkt honoru postawił sobie likwidację sowieckiej wiedźmy.

– Nie będzie mi tutaj jakaś Wiedźma rządziła na moim podwórku. Jest inteligentna i sprytna. To fakt. Jednak w SS też mamy doborowych żołnierzy. – Próbował sobie przypomnieć ostatnią brawurową akcję. – Pamiętam dobrze ostatnie odznaczenia dla grupy, która wojowała w Afryce. To za akcję na pustyni wręczałem im Krzyże Żelazne.

Przed oczami stanął mu pluton prężnych i wysportowanych spadochroniarzy. Nawet do honorowego odznaczenia występowali w maskujących mundurach polowych, a ich twarze pomalowane były czarną szminką. Podobał mu się ten oddział właśnie za charyzmę i pogardę dla śmierci.

– Muszę ich tu ściągnąć. Dni tej Wiedźmy są policzone.

Odstawił filiżankę i przyciągnął kartkę, na której zaczął pisać plan schwywania dywersantki. Nie szło mu jednak łatwo. Skupił się więc na ogólnikach.

– Szczegóły niech dopracują fachowcy. Nie będę ich uczył, jak się to robi.

Wychodząc z gabinetu, dał kartkę adiutantowi.

– Przepisz to na maszynie i przekaz do natychmiastowego wykonania. Poza tym chcę do jutra mieć plan tej akcji do zatwierdzenia. Wykonać!

Trzasnęła rękawiczkami w otwartą dłoń i skinęła na szofera.

– Na obiad.



Zośka i Matt spędzili nad rzeką dwa dni, kiedy zapomnieli o całym świecie. Każde z nich potrafiło coś przyrzadzić na posiłek, a wiosenna pogoda sprzyjała ich wypoczynkowi. Jednak po tym czasie Zośka przypomniła sobie o chłopcach pozostawionych w lesie. Wiedziała, że nie może dłużej czekać. Wmawiała sobie, że nie ma wojny i świat dookoła to raj. Miała świadomość, że kilka kilometrów dalej ćwiczy armia na nowym sprzęcie. Rozumiała doskonale, że tylko jej nowo poznany chłopak może przekazać tę wiadomości do właściwych dowódców.

Pocałowała go gorąco w usta i zniknęła w szuwarach tak cicho, że Matthew został oniemiały. Z kryjówki wyciągnęła swojego pupilka i oporządzenie. Tłumiła łkanie i przełykała łzy, aby w niecałą godzinę odnaleźć chłopców, którym była naprawdę potrzebna.



Chłopcy czekali na nią w nerwach i z niecierpliwością. Na szczęście jeden z nich złapał we wnyki zająca, więc nie konali z głodu.

– Gdzieś była tak długo? – zapytał Igor będący na granicy rozpaczy.

– Nie będę wam opowiadać ze szczegółami – ukróciła ten temat czarnowłosa, uśmiechając się do własnych myśli. – Macie tutaj trzy peemy z pełnymi magazynkami i ładunek z piętnastosekundowym zapalnikiem.

– A ty nie idziesz z nami? – Krzysiek jęknął z rozpaczą, ponieważ widok Zośki mocno wzmocnił jego morale. Teraz znów zaczął się bać.

– Idę, tylko będę szła kilka kilometrów przed wami. Grupa im większa, tym gorzej się przedrzeć. Będę wypatrywać pułapek i ukrytych posterunków. Odejdę dopiero, jak dotrzemy do Krakowa. Ja muszę do partyzantów. – Przerwała na chwilę. – To moja obsesja.

– A co dalej?

– Ja pójdę dalej pod Warszawę, tam planują powstanie, a wy urządźcie się gdzieś w Krakowie.

– Ale z tobą byłoby raźniej i bezpieczniej. – Igor próbował argumentować.

– Nie. Wy musicie zadbać przede wszystkim o własne bezpieczeństwo. Waszym celem jest bezpieczne dotarcie do własnych rodzin. Wy i tak niebawem się rozdzielicie, przecież dwóch z was to Czesi, a dwóch to Polacy. Moim zadaniem jest dostanie się do AK. Do partyzantki, do Puszczy Kampinoskiej. Wy chcecie przeżyć, ja chcę walczyć.

– Chodź z name – powiedział Czech. – W górach je bezpieczne.

– W górach? Bezpiecznie? Dziękuję. Ostatnie tygodnie byłam w górach. A to dolina bez przejścia, a to rwąca rzeka. Każdy normalny szlak obsadzony szkopami uzbrojonymi po zęby. Nie. Pochodzę sobie po płaskim. – Uśmiechnęła się do nich. – Po co wam baba w towarzystwie?

– Tak. Baba, a sprytu i siły masz za trzech chłopa. – Krzysiek westchnął. – Ja nawet jak wrócę na swoje tereny, to będę walczył. Będę podpalał frycom stogi. Tłukł butelki na drogach i w ogóle umiłał życie. Nie mam już domu i rodziców, może któraś z sióstr mnie przyjmie?

Zoska wiedziała, o czym mówi. Wojna jej także zabrała wszystko. Objęła go ramieniem i przytuliła jak siostra brata. Po chwili otarła łzę i sięgnęła po peem.

– Nauczę cię, jak z niego korzystać.



Transportowy dwupłatowiec bez oznaczeń leciał na maksymalnej wysokości. W jego luku przebywało ośmiu skoczków spadochronowych. Jednak nie mieli na sobie mundurów. Nosili cywilne ubrania wyposażone w mnóstwo kieszonek i schowków. Ich główne uzbrojenie stanowiła broń maszynowa, ale armii przeciwnej, czyli popularne szmajstery. Każdy z tych peemów był dopracowany przez rusznikarza.

Nie znali celu ani miejsca akcji. Rozkazy mieli poznać dopiero po wylądowaniu, teraz posiadali je w zalakowanych kopertach. Z kolei papier, na którym je spisano, był nasączony utleniaczem, dlatego w razie potrzeby można było je łatwo spalić, nawet na wietrze.

Samolot u schyłku dnia wleciał nad rejon rzutu. Komandosi jeszcze raz wysłuchali wytycznych dowódcy, gdy nad ławeczkami zabłysła czerwona lampka. Dowódca otworzył drzwi samolotu. Do wewnątrz wtargnęło zimno, jakie panowało na tej wysokości. Pilot zapalił zielone światło i spadochroniarze zaczęli wyskakiwać z samolotu. Do tej pory nic nie zapowiadało komplikacji. Niespodziewanie jednak zaczęło mocniej wiać i skoczkowie musieli lądować w sporych odległościach od siebie. Ukryli swoje spadochrony i przeczytali rozkazy napisane przez generała Wasilewskiego.

Z podobnymi rozkazami zapoznawali się komandosi niemieccy, z tym że ich przywieziono w ten rejon ciężarówkami. Mieli też podobne cywilne ubrania do spadochroniarzy sowieckich. Pomiędzy piszącymi rozkazy musiała istnieć jakaś więź, ponieważ nawet błędy interpunkcyjne popełniali w podobnych miejscach, mimo tak różnych języków.

Zosia szła przez gęsty młodnik zupełnie nieświadoma tego, że dwa plutony wyszkolonych i uzbrojonych po zęby morderców z dwóch wrogich sobie armii rozpozwały na nią łowy.



Był jeszcze ktoś, kto usilnie szukał Zosi – pewien myśliwy w kapeluszu z bażancim piórkiem i potężnym ekspresem...

O Wiedźmie trudno było nie słyszeć w tej okolicy, zresztą, i w całym Generalnym Gubernatorstwie. O jej krwawych poczynaniach meldowano nieustannie, aby zwiększyć czujność w jednostkach Wehrmachtu. Jeszcze szybciej niż meldunki rozchodziły się plotki czy wręcz legendy o jej zabójczej skuteczności i drapieżnym instynkcie. Nawet w rozmowach oficjeli okupanta i policyjnych raportach używano przydomka *Hexe*, więc myśliwy nie tracił podjętego tropu.

Kiedy Stalin z Hitlerem wzięli się za łby, Andrzej postanowił wrócić do Polski. Majątek w złocie, jaki posiadał, pozwalał mu na dość względną egzystencję. Jednak on nie wrócił, aby egzystować. Wrócił, gdyż miał w pamięci postawę Telesfora i Zosi. Sam jako zagorzały myśliwy i człowiek żądny przygód nie obawiał się niewygody czy trudności. Te cechy postanowił wykorzystać w walce o Ojczyznę. Był codziennie na posterunku. Codziennie na polowaniu. Zmieniała się tylko zwierzyna.

Pewnego dnia, gdy piękna pogoda zachęcała do dłuższego odpoczynku, myśliwy usnął pod drzewem opodal rozległego pola. Obudził go warkot silnika ciężarówki i gwizd nurkującego samolotu. Zaciekawiony przyłożył szklą lornetki do oczu. Nagle serce w jego piersi zastygło, a potem zaczęło walić jak młot.

W szklach lornetki zobaczył bowiem znajomą postać. Potem wszystko zaczęło dziać się tak szybko, że jego myśli nie nadążały za zdarzeniami. Ryk nurkującego sztukasa nawet jego przyprawiał o ciarki. Jednak czarnowłosa postać z przykłęku strzelała do atakującej maszyny pewnie i spokojnie. Dopiero jak nadlatujący żelazny smok był tak blisko, że omal brzuchem nie dotykał ziemi, postać poderwała się na moment. Przebiegła przerażającą linię ognia maszynowego. Potem we wdzięcznym ślizgu ułożyła się na plecach i oddała decydujący strzał. Jej rozwiane włosy kojarzyły się tylko z jedną postacią, a waleczność, z jaką strzelała, nie pozostawiała wątpliwości. To była Zosia!

Zdezorientowany nie zdążył wysnuć choćby hipotezy, jak znalazła się w Małopolsce. Trudno było o logiczne wyjaśnienie, ale skonkludował, że to przecież wojna i wszystko się może zdarzyć. Gdy akcja z samolotem dobiegła końca, a ciężarówka odjechała, on nadal pozostawał oniemiały z opuszczoną lornetką i otwartymi ustami.

– A to ci dopiero Zosieńka! – wycedził przez zęby z chytrym uśmieszkiem. – Nie myślałem, że ją jeszcze spotkam.

Postanowił ją odnaleźć. Formację, w której kierunku zmierzała ciężarówka, odnalazł jeszcze przed wieczorem. Jednak za nic nie mógł się do niej zbliżyć. Wokół dużych zgrupowań są rozstawieni wartownicy. Zawsze krążą zwiadowcy – ci macierzyści i ci wroga. Jednak te grupy nie stanowiły dla niego takiego zagrożenia jak snajperzy.

Andrzej wypatrzył Niemca z karabinem wyborowym. Fakt, że Andrzej uszedł z życiem, zawdzięczał poniekąd zrządzeniu losu, a poniekąd swojemu wyjątkowemu obyciu ze sztuką strzelecką i sztuką kamuflażu. Nie jest przecież rzeczą naturalną, że to snajpera się wypatruje, to raczej on lustruje okolicę i posyła śmiertelne pociski – pomyślał, gdy oddalił się na bezpieczną odległość.

Przez pięć dni Andrzej szukał dogodnej pozycji, aby podejść i zapolować na snajpera. Wreszcie, na piąty dzień, podszedł go na odległość celnego strzału. Przy grubej sośnie wypatrzył gęsty krzak kruszyny. Przytulił ekspres do pnia drzewa, a końcówki luf wystawił poza gałęzie. Wziął Niemca na muszkę.

– Pang!

Andrzej mało nie zerwał strzału. To snajper niespodziewanie wystrzelił w jego kierunku. Nie było już sensu się ukrywać, gdyż snajper musiał przeładować. Andrzej bez zastanowienia wycelował i szybko pociągnął za spust.

– Buuum! – Ekspres wypalił, potężnie kopiąc w ramię.

Ciało Niemca znieruchomiałoby natychmiast. Na polanie słychać było dziewczęcy krzyk. Andrzej chciał podejść do krzyczącej Zosi, ale krzyk i wystrzały mogły sprowadzić tutaj żołnierzy z jednostki. Wycofał się czym prędzej.

To, co działo się później, trudno mu było opisać. Na zwiady ruszyło chyba pół jednostki. Myśliwy zdołał się wyślizgnąć z obławy tylko dzięki nadprzeciętnemu sprytowi. Wydawało mu się wtedy, że stracił Zosię z oczu na zawsze. Do tego dnia, kiedy pod Krakowem zobaczył list gończy z jej wizerunkiem.



Komandosi Modela wyskoczyli z wojskowej ciężarówki. Każdy posiadał na wyposażeniu szturmowy nóż i krótki sztucer z lunetą. Rozkazy dla nich były jasne. Przeniknąć do ruchu oporu. Wyśledzić kontakty z Wiedźmą. Bez ceregieli zlikwidować ją lub doprowadzić do jednostki. Partyzancki ubiór przynajmniej na początku miał uchronić Niemców przed rozpoznaniem.

Ośmioosobowa grupa sprawnych i zuchwałych komandosów miała zapewnić powodzenie akcji. Nic już nie mogło uratować Wiedźmy.

Jeden z komandosów przyglądał się ruchowi w lesie. Zobaczył człowieka w cywilnym ubraniu uzbrojonego w peem. Cicho gwizdnął.

Partyzant zaległ w wysokiej trawie.

– Ja swój! Nie bój się. Mam papierosy, ale potrzebuję zapalek – mówił łamaną polszczyzną Niemiec.

Po chwili ciszy z traw odezwał się głos.

– Dobra, tylko broń trzymamy za lufy – również łamaną polszczyzną, ale z rosyjskim akcentem, odpowiedział leżący w trawie.

Każdy z nich pragnął kontaktu z partyzantami. Pragnęli tego tak mocno, że nie widzieli w swoim zachowaniu podstęp. Prawdziwy partyzant widzący uzbrojonego mężczyznę raczej schowałby się i próbował skrycie oddalić.

Spotkali się w pół drogi i zapalili papierosy. Jeden taksował wzrokiem drugiego. Nadal niepewni, z kim mają do czynienia. Nagle Rosjanin przypomniał sobie, że nie spał rozkazu jak mu kazano. Nie było na to czasu, no i to nerwowe spotkanie w lesie. Ogarnęła go panika.

Rzucił się znieczeka na Niemca. Uderzył głową w nos i przerzucił przeciwnika przez siebie na plecy. Obrócił się błyskawicznie, przeładowując broń. Oddał strzał w tej chwili, gdy w jego pierś uderzył rzucony ciężki kordelas. Upadając na Niemca, wbił go sobie aż po rękkojeść.



Andrzej szedł delikatnie jak kot. Nie śpieszył się, ponieważ wiedział, że ostrożność jest tym atutem, który do tej pory ratował mu życie. Nagle usłyszał w oddali odgłos strzału. Gdzieś w koronach drzew z głośnym szczebiotaniem zerwał się spłoszony ptak.

Myśliwy przykucnął za gęstym krzakiem i nasłuchiwał. Nie było niepokojących odgłosów pogoni czy walki. Postanowił sprawdzić, co się stało. Szedł w kierunku, skąd dotarł odgłos strzału i rozglądał się uważnie. Po przejściu niecałego kilometra ujrzał dwa ciała, jedno na drugim. Gdy podszedł do martwych komandosów, zdziwił się i cicho gwizdnął.

– Fiu! Fiu! Ale jatka. Co wy tu robiliście, panowie? – mruknął do nieżywych jak patomorfolog z kilkudziesięcioletnim stażem. – Nie chcecie mówić? Przyjrzymy się więc wam i dowiemy się, co was tutaj przyniosło.

Ułożył ciała obok siebie i dokładnie przeszukał. O tym, że nie byli to zwykli partyzanci, przekonał się natychmiast po zlustrowaniu ich oporządzenia i broni. Jej rodowód był nadzwyczaj jasny – przygotowana na zamówienie. Ubrań także nie szły cywilny krawiec. Miały krój maskujący uzbrojenie i liczne ukryte kieszenie.

Właśnie w jednej z nich Andrzej znalazł list, którego nie zdążył spalić komandos.

– Zosia jest w niebezpieczeństwie – zatrwożył się.

Odłożył list z powrotem do kieszeni, a ciała ułożył na powrót w poprzedniej pozycji.

– Kim jesteś ty? – Popatrzył na drugiego martwego.

Przyjrzał się jeszcze raz uważnie.

– Nie jesteś partyzantem. Nic mi już nie powiesz, ale twoje ciało mówi wiele. Jesteś za dobrze odżywiony. – Uśmiechnął się krzywo. – Żaden partyzant nie ma takich jędrnych policzków i tak zadbanych rąk. – Popatrzył jeszcze chwilę i porównał go z przeszukanym wcześniej. – Jesteś Niemcem!

Oddalił się od miejsca walki i schował w gęstwinie krzaków. Musiał to wszystko sobie ułożyć w głowie, dlatego wyciągnął z torby na naboje kanapkę ze słoniną i w zamyśleniu żuł powoli.

– Ruscy przylecieli tu samolotem. Słyszałem, jak niedawno leciał jakiś transportowiec. Niemcy musieli o tym wiedzieć z wywiadu i przygotowali się na ich przyłot. Ważne jest, ilu czerwonych tu przyleciało i ilu do ich likwidacji wysłano Niemców? Hm. Tak czy siak, nie przyleciał tu jeden. Odnaleźć skrycie działającą dziewczynę na tyłach wroga to zadanie nie dla jednego amatora... Zrobiło się tu naprawdę niebezpiecznie.



Wrogie sobie jednostki komandosów miały zupełnie inny plan ujęcia Wiedźmy. Rosjanie – rozproszeni po terenie jak psy spuszczone ze smyczy – szukali tropu i jakiegokolwiek śladu działalności partyzanckiej. Niemcy – czuli się jak u siebie – mieli doniesienia z posterunków i od samego początku mieli zgrubne pojęcie o terenie działań celu, który mieli zlikwidować. Trzymali się zatem bliżej siebie, niejednokrotnie utrzymywali kontakt wzrokowy.

Jednak dla każdego z komandosów jasne było, że polowanie na Wiedźmę nie będzie łatwe. Odnalezienie dywersanta, który potrafi zgubić każdy trop i maskować się jak młoda kuropatwa, wydawało się wręcz niemożliwe. Zwłaszcza, że ścigana nie była bezbronnym zającem, lecz uzbrojonym wilkiem.

Na trop wpadł jeden z Rosjan już następnego dnia. Na skraju lasu zobaczył ślady po wygasłym ognisku. Był najlepszym tropicielem w oddziale. To, czego nie potrafił wyczytać ze śladów, podpowiadała mu doskonała wyobraźnia przestrzenna. Przykucnął i zaczął się zastanawiać.

– Kilka osób. Płytkie ślady. Pewnie młodzież. Palili ognisko. Osoba na boso przyszła i je zagasiła. Mała stopa, więc najpewniej kobieta – mówił do siebie. – Co jeszcze? Przenieśli się, jednak w pobliżu biwakowali kilka dni, potem odeszli.

Szukał teraz tropu bosej dziewczyny. Tak świeży trop powinien być widoczny.

– Bosa kobieta zniknęła. Umie się urwać. Stąpa po kamieniach albo chodzi zwierzęcymi ścieżkami. Trzeba złapać i przesłuchać tych, których potrafimy wyśledzić.

Tropiciel zdecydował, że pozostawi raport dla dowódcy w ustalonym wcześniej miejscu. Podjął przy tym decyzję, że sam ruszy w pościg za młodzieżą zostawiając wyraźny ślad.

– Z młodzieżą nie będzie kłopotu. Od nich uzyskam informację, gdzie szukać naszej zguby.



Zapałka poczuł się jak przywódca bandy i próbował naśladować zachowania Zośki. Wymaszerowali więc nocą, a w dzień roztawili warty. Gdy nuda była nie do zniesienia, uczyli się obsługi broni i strzelania na sucho.

Kiedy dzień zbliżał się już do końca, Krzysztof – który akurat pełnił ostatnią wartę i miał budzić resztę na wymarsz – zobaczył ruch przy krawędzi lasu.

– Wstawać, wstawać – szeptał każdemu do ucha, a przy tym potrzasał za ramiona. – Ktoś się do nas skrada.

– Kto? – dopytywał Igor.

– A bo ja wiem? Podeszedł do krawędzi lasu i obserwował wszystko przez lornetkę. Mnie chyba nie zauważył, bo wyszedł z lasu i przeszedł w poprzek tego pola. Potem zniknął gdzieś za tym pagórkiem. Tam, gdzie jest to duże drzewo.

Leżeli właśnie na skraju swojej kryjówki i wtem dostrzegli inny ruch. Otwartą przestrzeń przemierzał jakiś człowiek.

– Myślisz, że idzie do nas? – Wiktor dopytywał Igora.

– Do nas, nie do nas... Co za różnica? – Pokręcił głową Zapalka. – Wali prosto na nas, więc musimy się przygotować. To tego widziałeś przed chwilą? – Zapalka dopytywał Krzyśka.

– Nie. Tamten był w kapeluszu, a ten ma czapkę. Tamten miał strzelbę, a ten ma pistolet maszynowy taki jak nasze.

– Może to nasz partyzant? – zapytał po czesku Franek.

– Tak może być, dlatego spróbuję kontaktu. Może nas wezmą do swojego oddziału. Na wszelki wypadek niech każdy z was pozostanie w ukryciu z bronią gotową do strzału. Ubezpieczacie mnie, ale macie oczy dookoła głowy! Jest ich tu przynajmniej dwóch, więc mogą nas wziąć w dwa ognie.

Na modę Zośki powtykał sobie w ubiór gałązek, a twarz ubrudził ziemią. Podkraśli się jak najbliżej otwartego terenu i czekał na podchodzącego.



Niemcy nie mieli dobrego tropiciela, ale myśliwy, który był wśród nich, także dużo wyczytał ze śladów.

– To są partyzanci albo jacyś sabotażyści. W każdym razie bosa dziewczyna jest z nimi.

– Pełno tu jakichś band, partyzantów i cholera wie, kogo jeszcze! Musimy szybko ruszyć za nimi. Po spotkaniu coś się pewnie wyjaśni. Na pewno będziemy bliżej Wiedźmy, kiedy dotrzemy do partyzantów.

Ruszyli szybkim marszem, aby przed wieczorem dogonić tę grupę.

Po komandosach Modela na teren biwakowania młodych chłopców dotarł Andrzej. Niewiele mógł wyczytać już ze śladów, chociaż z nich wszystkich był najlepszym tropicielem. Poprzednia grupa skutecznie wszystko zdeptała i zatarła. Andrzej jako wytrawny myśliwy umiał jednak przewidzieć i wyobrazić sobie plan marszu tych grup.

– Muszę się śpieszyć, jeśli jeszcze chcę zobaczyć tę dziewczynę całą – mrucał do siebie, ponieważ śladów było tak wiele, że nie potrafił ich policzyć. – Muszę obrać tak trasę, aby ich wyprzedzić i nie zostać zauważonym, a to nie będzie proste.

Przewiesił ciężki ekspres przez plecy, a na drugą stronę przewiesił torbę. Jej pasek ułożył tak, aby blokował przesuwanie i podskakiwanie broni. Obrał jak najbardziej osłoniętą trasę i puścił się biegiem.

Biegł do wieczora. Zwalniał do marszu tylko na ugryzienie kanapki i picie wody. Nocą szedł dalej bez odpoczynku. Zmienił kierunek dopiero, gdy słońce było wysoko i mógł bezproblemowo odczytywać ślady. Dostrzegł wreszcie przed sobą niewielką grupę złożoną z trzech lub czterech. W dodatku natrafił jeszcze na jeden trop – bosa stópki prawie nie zostawiały śladów. Zauważał je tylko na zejściu z kamienistej ścieżki albo na przechodzeniu przez miedzę.

– Idą razem? – zastanawiał się Andrzej i sam sobie odpowiedział: – Ona ich prowadzi przez trudny teren. Nie wie tylko, że podążają za nimi, a właściwie za Wiedźmą, łowcy.

Andrzej nie potrzebował więcej śladów, ponieważ te jasno świadczyły o tym, że grupa weszła do wykrotu porośniętego krzaczkami i małymi drzewami. Za nim znajdowało się wzniesienie i olbrzymie drzewo. Tam właśnie postanowił przygotować sobie stanowisko będące dogodnym punktem obserwacyjnym.

Chciał odpocząć po morderczej wędrówce, ale gdy tylko zajął miejsce na gałęzi, zobaczył śmiertelne zagrożenie...



Zapałka wyszedł z krzaków, trzymając ręce w kieszeniach. Te mogły sugerować ukrytą broń. W rzeczywistości Igor dysponował tylko bombą samoróbką, do której odpalenia potrzebował kilkunastu sekund. Broń strzelecką mieli jego koledzy schowani w krzakach i obserwujący teren dookoła. Chłopak ryzykował więc dużo, jednak czuł, że to właśnie on powinien wziąć na barki odpowiedzialność za swoich przyjaciół.

Na spotkanie z Igorem szedł zwiadowca z radzieckiego plutonu komandosów. Gdy ujrzał młodą twarz partyzanta i niepełny zarost, tylko się uśmiechnął.

– To ci laleczka – parsknął zjadliwie.

Nie mamy się czego obawiać – pomyślał i od razu chwycił chłopaka ręką za kołnierz.

– Mam cię! Nie wrywaj się, to może nie stracisz życia! – zakrzyknął do chłopaka, aby go wystraszyć, co z reguły działało na nastoletnich partyzantów.

Igor jednak nie dał się zastraszyć. Chudy i zwinny jak glista wysliznął się z kurtki, dzięki czemu kucnął na ziemi. Zdezorientowanego napastnika zdążył boleśnie uderzyć poniżej pasa. Komandos klęknął na jedno kolano i podparł się bronią, aby nie upaść. Zapałka drugim płynnym ruchem zarzucił mu swoją kurtkę na grzbiet.

W jej kieszeni znajdował się uruchomiony już zapalnik czasowy bomby samoróbki.

Zapałka rwał biegiem w krzaki. Jego ucieczce towarzyszyły serie z peemów. To do Rosjanina dołączyła reszta jego oddziału i teraz strzelała do nastoletniego partyzanta ze wszystkich luf. Pociski bzycały wokół niego jak osy. Jeden pocisk śliznął się na jego szyi, zostawiając krwawy ślad. Chłopak przewalił się przez ramię i wylądował w kłujących jeżynach.

– Na co, kurwa, czekacie?! Walić do nich, dopóki żyjemy!

Obejrzał się za siebie i w tym momencie wybuchła bomba w kieszeni kurtki, którą nakryty był czerwonoarmista. Rozerwała go... Nogi wraz z peemem zostały na ziemi, natomiast cała reszta zniknęła w fontannie ognia, szczątków odzieży i krwawej miazgi. Fala uderzeniowa położyła trawy na płasko i szarpnęła drzewami.

Peemy zamilkły na chwilę, aby potem odezwać się ze zdwojoną zaciętością.



Andrzej, pomimo że wojna trwała już cztery lata, nigdy nie brał udziału w żadnej bitwie. Był samotnym myśliwym, który gdy nadarzyła się okazja, strzelał do samotnego

kuriera albo wartownika. Znikał potem na kilka dni, aby swoje polowanie zacząć w całkiem innym miejscu.

Teraz na jego oczach rozgrywała się prawdziwa batalia. Zaciekli Sowieci rozpoczęli regularne oblężenie. Rozpoznawali wroga i starali się poznać jego uzbrojenie. Od tyłu natomiast nadchodził silny oddział wyposażony w broń precyzyjną.

Zaczyna się robić ciekawie – stwierdził w myślach. Chłopcy są dobrze przeszkoleni. Strzelają pojedynczymi strzałami i za każdym razem zmieniają pozycje. Jednak gdy zajdzie słońce, będą bez szans... Gdy tylko sobie to uzmysłowił, wymierzył do najbardziej widocznego celu i wypalił.

– Buuum! – Wystrzał jego broni poniósł się echem nie gorszym niż wybuch bomby przed kilkoma minutami. – Buuum!

Druga lufa zagrzmiała, gdy tylko przyrządy namierzyły kolejny cel. Czerwonoarmiści rozpoczęli odwrót. Byłoby z ich strony samobójstwem pozostawanie na wykrytych pozycjach, gdyż mierzyli się z nieprzeciętnie celną i dalekosiężną bronią. Nadchodząca noc miała zakończyć cały konflikt, gdy na siłowe rozwiązanie zdecydowali się komandosi Wehrmachtu...



Zośka tymczasem niezbyt zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Dotarła do polany, gdzie lądował wcześniej jej samolot.

– Ha! Najciemniej jest pod latarnią – mruknęła do siebie. – Tutaj odpocznę.

Już miała nabierać wrzosu i mchu na posłanie, jednak jej wzrok skupił się na samolocie. Ciekawe, co tak naprawdę uległo uszkodzeniu? – pomyślała i podeszła do maszyny.

Teraz mogła przyjrzeć się dokładnie statkowi powietrznemu, który ją tak fascynował.

– Skrzydła odpadły, ponieważ odłamały się słupki górnego płatu, a dolny płat urwał się z okuc w kadłubie – konkludowała oględziny samolotu. – Reszta chyba nieuszkodzona.

Jej rozważania na temat samolotu przerwały dźwięki strzelaniny. Najpierw jakiś wybuch, a potem strzały z peemów.

Pistolety? – zaświtało jej w głowie. Moi chłopcy znowu są w jakimś niebezpieczeństwie!

Strzały z pistoletów z tej odległości brzmiały jak ciche pstryknięcia. Jednak od czasu do czasu między nie wciskał się odgłos porównywalny z grzmotem. Bas tego wystrzału wydawał się Zośce znajomy.

Tam trwa regularna bitwa! Muszę szybko wracać, bo za chwilę nie będzie kogo ratować. Wzięła karabin i puściła się biegiem. Wytrzymajcie jeszcze dziesięć minut. Zaraz tam będę.

Biegła ile sił w nogach, a przy tym przestała zważać na własne bezpieczeństwo. W pojedynkę teraz robiła więcej hałasu niż pluton komandosów. Musiała na pole bitwy

dotrzeć przed zmrokiem, a dzień szybko zamieniał się w szarawy wieczór.

Przyspieszyła jeszcze bardziej, pobudzona nowymi odgłosami. Do pistoletowych strzałów dołączył się bowiem huk moździerzowych pocisków.



Dowódca niemieckich komandosów był odważnym i stanowczym człowiekiem. Wiedział, że na polu bitwy liczy się zaskoczenie i zdecydowanie w ataku. Ze swoim wojskiem ćwiczyli setki razy najróżniejsze warianty ataku. Zawsze zdumiewał swoich żołnierzy niekonwencjonalnymi metodami szkoleniowymi. On jednak doskonale wiedział, że tylko takie podejście zagwarantuje, że jego wojsko będzie przygotowane na każdy wariant rozgrywki i szybko nie pójdzie w rozsypkę.

Nigdy jednak nie ćwiczył odwrotu. W jego pojęciu – i pojęciu jego podwładnych – nie było takiego słowa.

Dzisiaj, gdy na przedpolu zobaczył małą grupkę partyzantów ostrzeliwującą się prawdopodobnie ostatkami amunicji oraz nieznaną formację, która także nie przedstawiała silnej wartości bojowej, zaatakował z marszu, ponieważ zwęszył łatwe i szybkie zwycięstwo.

Co prawda całą sprawę trochę komplikował snajper z jakąś supermocną bronią, ale to właśnie takie smaczki dodawały pikanterii całej akcji. Poleciał więc rozwinięcie dwóch skrzydeł ataku, a przeciw snajperowi rozkazał skierować ogień lekkiego moździerza, który mieli na wyposażeniu właśnie na takie specjalne okazje.



Zoska bała się, że nie zdąży. Słyszała raz po raz wybuchające pociski moździerzowe. Taka kanonada powstrzyma każdy pododdział, a co dopiero kilku młodocianych podrostków.

Gdy zbliżała się do epicentrum walk, postanowiła je okrążyć. Teraz z boku obserwowała nacierającą właśnie flankę niemieckich komandosów. Przedzierała się przez gęsty sosnowy młodnik. Przed ostatnie gęste gałęzie wyszła z bronią gotową do strzału.

Jej oczom ukazała się regularna bitwa. Obserwowała, jak resztki jakiegoś oddziału ponoszą ogromne straty z powodu ostrzału z dwóch stron. Były spychane przez żołnierzy Wehrmachtu, których Zosia błędnie uważała za partyzantów. Swoją uwagę zwróciła więc na tych, którzy bezpośrednio zagrażali jej chłopakom. Ci z kolei posuwali się skokami w kierunku wykrotu porośniętego krzaczastą roślinnością. Z tej właśnie strony strzały padały oszczędnie, co sugerowało kończącą się amunicję.

Zoska wzięła na cel najbardziej widoczną postać i pociągnęła za spust. Szybko oddała drugi strzał do drugiej ledwo widocznej osoby.

Wtedy do walki ruszyły dwa skrzydła komandosów z Niemiec, które atakowały na zmianę i szybko dopadły broniących się chłopców. Ci walczyli do końca, mocno

szczerbiąc niemiecki pluton, ale z powodu braku amunicji musieli jednak ulec przeważającej liczbie atakujących. Walka była właściwie zakończona. Zośka wiedziała, co musi zrobić, żeby ratować chłopców.

Dowódca komandosów uśmiechnął się do siebie, kiedy w postaci wyłaniającej się z krzaków rozpoznał Wiedźmę. Właśnie tak ją sobie wyobrażał, gdy zapoznał się z opisami dostarczonymi mu przed rozpoczęciem całej misji. Szczupła, czarnowłosa dziewczyna, odziana w skóry zwierząt... W rękę trzymała broń snajperską zamaskowaną tak, że wyglądała jak mały krzak.

Mam cię, Wiedźmo! – pomyślał radośnie.

Z wykrotu wyszli też chłopcy, ponieważ widok Zośki z rękoma wyciągniętymi w geście poddania jasno stwierdzał, że nie mają już szans wygrać tej potyczki.

– Kim jesteście? – zapytała dziewczyna, po odłożeniu broni na ziemi.

W odpowiedzi nic nie usłyszała. Przez chwilę panowała cisza, a Zośce zdawało się, że oglądają jej przedziwny strój i zaniemówili z wrażenia, gdy nagle dwóch z nich chwyciło ją mocno za ręce, które wykręcili do tyłu.

– Hans! Walter! Bierzcie tych podrostków!

– Uciekajcie! – krzyknęła Zośka. – To pułapka!

Nie zdążyła dodać nic więcej. Ostatnie co poczuła, to cios zadany jej kolbą w ucho. Zemdlała.



Całemu zajściu przyglądał się człowiek, którego błędnie uznano za martwego.

Andrzej spadł z drzewa po trzecim wystrzale z moździerza. Właśnie schodził, a właściwie ześlizgiwał się po grubych konarach, gdy prawie pod jego stopami wybuchł pocisk. Siła eksplozji ogłuszyła go, choć i tak miał szczęście, ponieważ przed odłamkami ochroniła go gałąź grubsza od jego tułowia. Upadając, boleśnie skręcił sobie nogę.

Teraz, po walce, gdy było już prawie ciemno, podczołgał się na szczyt pagórka i przez lornetkę obserwował pojmanie Zośki. Widział także, jak Niemcy bezlitośnie obeszlą się z chłopcami, którzy wcześniej pomogli im wygrać walkę z radziecką grupą.

– Nie lubię faszystów – mruknął, dodając paskudne przekleństwo.

Jego noga nie pozwalała jednak na chodzenie. Spuchła w kostce, a przy stąpieniu powodowała silny ból.

Niemcy pomimo narastających ciemności postanowili odejść z miejsca potyczki. Oucili Zośkę i związaną jak baleron prowadzili na postronku. Nagle pośród traw błysnęła seria peemu. Dwóch Niemców zważyło się na ziemię. Dwóch natychmiast odskoczyło od grupy i korzystając z ciemności, obeszło z dwóch stron strzelającego.

To Zapałka, dwukrotnie postrzelony w podbrzusze, doczołgał się w pobliże Niemców i wystrzelił ostatnią serię.

– Za moich kumpli, za Polskę... – wystękał.

Wtem kordelas pchnięty ręką wyszkolonego mordercy zakończył jego żywot.

– Co to było?! – Podniósł głos dowódca, gdy jego podkomendni wrócili do grupy. – Co to za partactwo?!

– To Walter. On strzelał do tych kundli. Myślał, że jak wsadzi im po dwie kulki, to będą martwi.

– Myślał zamiast sprawdzić! Ten błąd kosztował go życie! Zostało nas trzech. Nigdy nie straciłem nawet połowy ludzi w walce, a teraz banda dzieciaków i partyzanci uzbrojeni w peemy wybili nas prawie do nogi. Gdyby nie Wiedźma, to pewnie byłoby jeszcze gorzej. Ona zastrzeliła ze dwóch wrogów. – Westchnął. – Nigdzie już dalej nie pójdziemy. Każdy ma po cztery godziny warty i osiem godzin odpoczynku. Jutro dostarczymy Wiedźmę do naszej jednostki.

Rozpalili małe ognisko i zaparzyli sobie kawę. Dowódca rozdysponował ostatki koniaku. W świetle ogniska wznosił toast.

– Za wykonanie zadania. Prost!

Wzniósł manierkę i wtedy gruchnął strzał. Gejzer ognia i głośne „buuum” poprzedziło tylko na ułamek sekundy wyrzucenie z kręgu światła mężczyzny z podniesioną ręką. Drugi strzał padł natychmiast po tym. Kolejny Niemiec wyleciał poza krąg z rozrzuconymi rękoma. Przewracając się, kopnął w ognisko. W powietrze buchnęły iskry. Trzeci mężczyzna miał koci refleks. Rzucił się na bok i spróbował odczołgać się z kręgu światła. Nie dane mu było jednak uciec. Cicha i spokojna Zosia obserwowała wszystko spod półotwartych powiek. Podczas kolacji Niemcy prawie o niej zapomnieli. Teraz dała o sobie znać. Gdy fryc czołgał się koło niej, dziewczyna kopnęła go piętą w ucho. Poprawiła błyskawicznie drugim kopnięciem w szyję.

Wtedy padł trzeci strzał, którego echo poniosło się daleko po okolicy.



– Wujaszku! Aleś mi radochę sprawił! – Zośka klękła na kolana, a potem wstała.

– Nie masz pojęcia, jak ja się cieszę ze spotkania. – Andrzej mówił, próbując rozsypać węzeł linki, którą związana była dziewczyna.

Węzeł zaciśnięto niezwykle mocno, a ciemność bardzo utrudniała rozsypywanie całości. W końcu myśliwy poddał się i wyciągnął nóż.

– Dobrze, że jesteś. Do rana chyba odpadłyby mi ręce z niedokrwienia – skonkludowała z wdzięcznością, masując dłoń i nadgarstki. Potem zrezygnowana machnęła rękoma i rzuciła się Andrzejowi na szyję.

Szczębiotała i opowiadała swoją historię od ich rozstania aż w końcu, gdy zabrakło jej na chwilę tchu i weny, myśliwy przerwał.

– Opowiemy sobie wszystko przy kolacji. – Dorzucił trochę patyków do żarzącego się ogniska i rozdmuchał ogień, po czym wypił resztę życiodajnego płynu, jaki został w manierce Niemca.

– Była tu taka strzelanina, że Niemcy do rana na pewno przyślą zwiad. Musimy gasić to ognisko i wiać stąd jak najszybciej. – Zosia usiadła. Mówiła to słabo, jakby do siebie, bo nagle zakręciło jej się w głowie.

– Rozpaliłem, bo chcę przygotować jakąś szybką kolację. Niemiaszki na pewno mają jakiś prowiant. – Uśmiechnął się, wyciągając z chlebaków puszki i zapakowany w papier chleb. – Ja zgłodniałem po walce, ale wiać szybko z moją nogą to się chyba nie uda. Ty też nie wyglądasz za ciekawie. Twoja twarz spuchła, jakby cię pożądlili szerszenie. Nieee... jeszcze gorzej. Jest sina i przekrwiona.

– Dostałam w ucho kolbą, i to porządnie – rzuciła, nakładając sobie mielonkę na chleb. – Ale mi ślinka cieknie. Zastanawia mnie tylko ta druga grupa, co nas napadła. Co to za zabijaki?

– To ruscy. Mieli rozkazy od samego Wasilewskiego, aby ciebie zlikwidować.

– Cooo?! To ruscy też już na mnie polują? Zawsze chciałam być sławna i bogata. Jedno już się spełnia: moich plakatów jest więcej niż przed wojną Hanki Ordonówny.

– A to widziałaś? – Andrzej wyciągnął z kieszeni ulotkę przedstawiającą czarownicę z rozwianymi czarnymi włosami, która leci na perskim dywanie i strzela z długolufowej rusznicy do karykatury Hitlera.

W blasku ognia jej opuchnięta i zmęczona twarz nabrała wyrazu smutnego dziecka.

– Nie mam już siły walczyć – mówiła na granicy płaczu. – Ci chłopcy tak we mnie wierzyli, a teraz nie mam siły nawet ich pochować. Tak mi przykro, że nie siedzimy teraz na werandzie przed naszym domem i nie opowiadamy sobie przygód myśliwskich.

– Tak, z pewnością byłoby pięknie. Nie wiem jednak, czy doczekamy takich czasów... Nigdy nie byłam pesymistą, ale... teraz, po wygranej bitwie, nadal nie mamy większych szans na ucieczkę. Ty masz najprawdopodobniej wstrząs mózgu, a ja zwichniętą kostkę. Przydałby się taki perski dywan jak na rysunku. Nie masz takiego?

Zosia w milczeniu żuła chleb. Po chwili, znowu jakby do siebie, powiedziała.

– Mam samolot, ale kto umie tym latać?

– Cooo?! Zosiu, skąd masz samolot?

– Przyleciałam tu na nim kilka dni temu...

– Następną twoją historią nie do uwierzenia?

– Nie. Do uwierzenia. Porwał mnie nim niemiecki agent. Teraz nie żyje, więc nie ma mowy o lataniu.

– Dlaczego? Ja jestem pilotem. Przecież miałem swój własny samolot. RWD, taki, na jakim latał Żwirko i Wigura, zapomniałaś? Może nie jestem tak dobrym pilotem jak nasz rekordzista, ale obleciałem nim połowę Europy! Nie pamiętasz, jak opowiadałem o tym podczas naszego pierwszego spotkania?



Szli już kilka godzin. Teren nie był trudny. Odległość nieduża. Jednak najwolniejszy żółw biega szybciej, niż poruszała się para myśliwych. Zosia wycięła rozwidloną gałąź i zrobiła z niej kulę dla Andrzeja. Kuśtykał na niej całkiem sprawnie, ale... właśnie: kuśtykał. Nie były to kroki piechura. Zosia natomiast obładowała się sprzętem, przez co wyglądała jak wóz jadący na targ.

– Nie wiem, po jaką cholere taszczysz ten moździerz? – zapytał się jej, gdy stanęli na chwilę aby odpocząć. – Uparłaś się także dźwigać moją broń, jakby twoja nie była ciężka...

– Ale zrzedzisz... jak mój tatko. Czy wszyscy faceci są tacy marudni? To już niedaleko. Ta polana posłużyła nam za lotnisko. Na jej końcu w krzakach stoi samolot. To jeszcze tylko pół kilometra.

Było już dobrze po północy, gdy dotarli na miejsce. Andrzej pomimo zmęczenia i ciemności zaczął oględziny samolotu.

– Ale ten samolot nie ma skrzydeł! – zakrzyknął w rozpaczy.



Spali długo. Słońce było już wysoko, gdy wygrzebali się z posłania, które umościli z liści i igliwia. Zjedli śniadanie zafundowane przez Niemców i wrócili do wczorajszej niezbyt optymistycznej rozmowy.

– Jak chcesz latać samolotem bez skrzydeł? Nie mogę tego zrozumieć. – Andrzej siedział, patrzył na Zosię, kręcił głową i wykonywał nerwowe ruchy.

– Samolot to konstrukcja. Taka sama jak wozu, mostu, automobilu. Składa się z elementów i ma swoją wytrzymałość – tłumaczyła cierpliwie jak dziecku. – Górny płat był zamocowany na słupkach które się połamały. Bez problemowo odtworzę takie słupki z sosenek, które tutaj rosną. Będą trochę toporne i cięższe o kilogram, ale mam nadzieję, że ten kilogram nie uniemożliwi lotu.

– No tak, ale dolny płat to chyba bardziej poważna sprawa?

– I tak, i nie. Obejrzałam te uszkodzenia już wczoraj za dnia i stąd wiem, że przy pomocy elementów moździerza, który to tak uparcie taszczyłam, jestem w stanie ten płat zamocować.

– Elementami moździerza?

– Tak. Każda konstrukcja, jak ci już mówiłam, składa się z elementów. Dolny płat swoimi okuciami ściął śruby. My te śruby wybijemy wybijakiem i włożymy nowe z moździerza.

– A skąd weźmiesz wybijak? – Zaśmiał się Andrzej.

– Za wybijak posłuży wycior mojej broni, a za młotek kamień. Nie marnujmy czasu. Podejdź tu i przytrzymaj ten wycior, aby nie odskakiwał.

– Prawdziwa Wiedźma. Hitler musi się mieć na baczności!



Prace przy naprawie samolotu trwały do wieczora. Głównym powodem były prymitywne narzędzia, którymi dysponowali. Pozwoliły im one co prawda na wyregulowanie wszystkich śrub i cięgieł. W samolocie też znaleźli zestaw podstawowych kluczy. Jednak prace ciesielskie Zosia wykonywała głównie nożem i to

zabierało najwięcej czasu. Andrzej patrzył z podziwem na umiejętności dziewczyny. Co chwilę cmokał i achał na widok jakiejś magicznej sztuczki przy pracach w drewnie.

– Wiem na pewno, że w takich warunkach tego samolotu nie naprawiłby żaden znany mi mechanik. Jesteś po prostu cudotwórczynią.

– Ha! To pokaż, jak ty cudownie latasz. Więcej cudów na dzisiaj nam nie będzie trzeba.

Andrzej, gdy Zosia naprawiała aeroplan, zaznajamiał się z jego konstrukcją i przyrządami. Wyczyścił świece i końcówki iskrowników, aby samolot bez problemu wykonał start, gdy tylko dziewczyna skończy naprawy.

Kiedy wszystko było gotowe, zjedli ostatnie kromki chleba i zaczęli pakowanie sprzętu.

– Bierzesz pociski moździerzowe? Skąd ty bierzesz takie pomysły?! – Myśliwy kręcił głową z niedowierzaniem. – Mamy stąd uciekać, a nie bawić się w bombowiec.

– A wiesz, gdzie lecimy?

Zapadło milczenie. Do tej pory naprawa samolotu była taką abstrakcją dla Andrzeja, że wcale nie myślał o dalszym rozwoju akcji. Teraz, gdy naocznie ujrzał cud odtworzenia konstrukcji, po prostu go zatkało.

– Pewnie mi zaraz powiesz... – Westchnął zrezygnowany.

– Za Warszawę. Do Kampinosu. Mamy tyle paliwa?

– Myślę, że tak. Jednak nie latałem nocą. Nawigacja w nocy to wyższa szkoła gotowania nad ogniskiem. Nie każdemu wychodzi taka sztuka, no i trzeba oprócz mapy mieć informacje o punktach nawigacyjnych. Trzeba mieć...

– Trzeba mieć szczęście, aby wśród setek ludzi spotkać takiego, co umie latać samolotem właśnie wtedy, gdy ma się do dyspozycji samolot.

– Nooo tak... – Andrzej zastanawiał się, czy chytra Zośka od początku spotkania z nim układała plan ucieczki samolotem. Wolał milczeć i udawać, że się nie domyślił.

– No właśnie, ja mam takie szczęście. Lecimy.



Nie polecili jednak tego wieczoru. Andrzej nie zdecydował się na start bez planu lotu.

– Co cię tak martwi? – pytała niecierpliwie czarnowłosa, widząc przyjaciela, który gryzł źdźbło trawy i ślęczał nad mapą. – Przecież masz kompas i mapę. To nie wystarczy?

– Na ziemi pewnie tak. Jednak z góry wszystko wygląda inaczej. Nabiera innej perspektywy. Nawigacja powietrzna jest tak trudna, że wielu pilotów woli po prostu latać nad torami kolejowymi, aby dolecieć do wyznaczonego miasta.

– Ale piloci latają nawet w nocy na azymut – upierała się dziewczyna.

– To kwestia długiego treningu. Trzeba mieć także znajomość punktów orientacyjnych. Takich jak kominy, samotne góry, jeziora albo rzeki. Ja takich nie mam. Trudno by mi było wytyczyć taką trasę w dzień, a co dopiero w nocy.

– Zaraz, zaraz. Mówiłeś jeziora albo rzeki? Tak?

– Tak.

– A jaka rzeka przepływa przez Kraków i Warszawę? – Zapytała z figlarnym uśmiechem.

Myśliwy spoglądał to na nią, to na mapę. Patrzył z błyskiem w oku. Wodził trawką po mapie. Mruczał, że nadłożą drogi, że zabraknie paliwa. Ostatecznie poddenerwowany powiedział:

– Na linii Wisły wojska niemieckie będą chciały utworzyć umocnienia przed natarciem radzieckim. Nie znamy lokalizacji stanowisk obrony przeciwlotniczej! Już po pierwszych kilometrach wpadniemy na jakąś baterię!

– A mnie ten niemiecki szpieg mówił, że kukuruźnik jest cichym samolotem, którego używają do nocnych bombardowań pozycji. Lecą z dużej wysokości, a silniki pracują na wolnych obrotach. Potem zrzucają bomby. Atakują kukuruźnikami nawet baterie przeciwlotnicze.

Wstała, przeciągnęła się i obmacała swój policzek.

– Ja idę zdobyć coś do jedzenia, a ty myśl dalej. Jeśli Niemcy nas szukają, to niedługo może być tutaj gorąco. Jak twoja noga?

– Dobrze, bo ja też zgłodniałem, a noga jakby lepiej. Odpoczęła dzisiaj i już prawie nie czuję bólu.

– To dobrze. Mnie też głowa przestaje boleć. Została tylko ta opuchlizna.

Zosia zniknęła na parę godzin. Przyniosła manierki pełne mleka i chlebak wypełniony ptasimi jajkami.

– Dorwałam krowę na pastwisku za wsią, to ją wydoiłam. – Zaśmiała się do Andrzeja, któremu po wypiciu tłustego mleka pozostały białe wąsy. – A jajka trzeba jeść ze skorupkami, bo nie wiadomo, co jest w środku, i lepiej tego nie widzieć.

– Nie było innych chińskich potraw? – dopytywał myśliwy, kiedy pogryzł pierwsze jajko. – Chyba stracę ochotę na jajka na resztę życia.

– Byłam blisko naszej przedwczorajszej walki. Zrobiłam przy okazji zwiad. Pojawiła się tam grupa Niemców. Przyjechali ciężarówką. Wydaje mi się, że w wykrocie zrobili chłopcom i tym komunistycznym rzeźmieszkom zbiorowy pochówek. Pewnie nie z humanistycznych pobudek, tylko aby ukryć ślady walki. Nie mogłam polować, ponieważ ściągnęłabym ich na kark. Teraz jak już posprzątały i się naradzili, to mogą nas szukać.

Andrzej wziął do ust kilka jajek naraz, aby mieć tą nieprzyjemną czynność za sobą. Przeliczył się, co do możliwości swoich zębów i teraz krzywił się niemiłosiernie.

– Co ci jest? – Zaniepokoiła się czarnowłosa. – Masz udar?

Myśliwy w końcu pokonał skorupki i ten dziwny farsz w środku. Przełknął i szybko popił mlekiem dla zabicia smaku.

– Ja upolowałem puszki z mielonką i chleb, a ty zarodki piskląt w ich własnych skorupkach.

– A co jest bardziej pożywne? Świńskie, tłuste mięso czy drób?

– Jak się będziesz tak przekomarzać, to się nie dowiesz, co wymyśliłem. – Andrzej znacząco spojrzął na rozłożoną mapę.

Zosia nagle spowaźniała i z podlotka w jednej chwili stała się karnym, gotowym do boju, żołnierzem.

– Będziemy bombardować?



Cirrusy na niebie od południa zwiastowały pogorszenie pogody. Nie spodziewali się jednak, że nastąpi to tak szybko. Pogoda psuła się gwałtownie. Od zachodu nadciągały gęste, ołowiane chmury, przez co szybko zapadł zmrok.

– Musimy startować, i to szybko. Ten front atmosferyczny, który nadchodzi, może nas dogonić w powietrzu.

– Co wtedy będzie?

– Zobaczysz. – Zaśmiał się Andrzej. – Teraz zakręć śmigłem.

Dziewczyna stanęła na rozstawionych nogach i oburącz mocno chwyciła za śmigło. Odpalenie samolotu „na pych” to zawsze akt wiary. Wiary w zgranie zespołu i tego, że te setki śrubek i elementów zaczną pracować i polecą.

– Kontakt! – Zakrzyknęła czarnowłosa, pociągając z całej siły za śmigło.

Andrzej w tym czasie musiał włączyć zapłon. Musiał to zrobić tak precyzyjnie, aby utrafić dokładnie w moment, kiedy tłok jest w największej kompresji. W tak zwanym górnym punkcie zwrotnym. Inaczej mieszanka się nie zapali. Zaleje tylko świece i utrudni dalsze odpalenie.

Silnik odpalił za pierwszym razem, co utwierdziło dwójkę myśliwych, że wiara naprawdę czyni cuda. Zośka wskoczyła szybko na skrzydło i do kabiny. Samolot zaczął się rozpedzać.

Andrzej niczym rasowy pilot zrobił krąg lotniskowy, nabrał wysokości i sprawdził w powietrzu poprawność działania wszystkich instrumentów.

– Wszystko działa poprawnie! – krzyknął do Zośki.

– Skrzydła nie odpadają?!

– Nie żartuj! Jak nas ten front atmosferyczny dogoni, to te skrzydła będą ważyć dużo więcej.

Lecieli na północny wschód, oddalając się na szczęście od chmur i innych kłopotów, które by ich nieuchronnie dopadły.

Niemieccy żołnierze przeszukiwali teren dokładnie. Ich prace były wzmocnione dodatkowymi oddziałami policji. Wizja lokalna i znalezione listy z rozkazami przy rosyjskim spadochroniarzu postawiły na nogi wszystkie siły porządkowe w tym rejonie.

Zosia z Andrzejem patrzyli na wszystko z góry. Lecieli swobodnie na wysokości chmur i mieli już całkiem inne myśli i problemy.

– Lot po linii Wisły w kierunku Warszawy to ponad sto kilometrów więcej niż najkrótsza możliwa trasa! – zakrzyknął Andrzej do Zosi.

– Co to oznacza?!

– Że do Kampinosu zabraknie nam paliwa!



Już po dwóch godzinach lotu Andrzej wiedział, że musi szybko lądować. Znaleźli odpowiednie miejsce gdzieś na wysokości Krowiej Wyspy. Jej położenie na rzece dawało Andrzejowi wyraźny punkt orientacyjny. Rozległe nadwiślańskie łąki były komfortowym miejscem do lądowania.

Nadciągające chmury nie tylko, że niosły deszcz, ale niebezpieczeństwo pełnego zaciemnienia. Teraz, gdy przyświecał jeszcze księżyc i gwiazdy, mógł się pokusić o w miarę bezpieczne przyziemienie.

– To, Wujaszku, majstersztyk! Tak po nocy. W nieznanym terenie.

– Mój RWD też nie raz musiał lądować w nieznanym terenie. – Zaśmiał się Andrzej, nabijając rękoma po tułowiu z zimna. – A ten samolot jest wręcz stworzony do terenowych wypraw.

Zosia po wylądowaniu naścinała gałęzi wierzbowych i małych brzoźek, aby zamaskować samolot.

Pod jego skrzydłami umościli sobie legowiska i po położeniu się natychmiast zasnęli.

Nad ranem obudził ich deszcz. Bębnił o napięte płótna skrzydeł. Tłukł miarowo o kadłub i w dodatku dawał przenikliwą wilgoć.

Szczękając zębami, wyszli spod samolotu. Postanowili udać się do najbliższej wioski. Chcieli poszukać czegoś do zjedzenia i przede wszystkim – paliwa.

Nakryci oboje jedną pałatką, którą Andrzej miał na swoim wyposażeniu, musieli przejść kilka kilometrów, aby zobaczyć pierwsze domostwa. Andrzej pomimo wytrzymałości na ból podpierał się na Zosi, gdyż jego noga nie odzyskała jeszcze na tyle sprawności, żeby móc iść samodzielnie. Gdy doczłapali się do pierwszych zabudowań, byli przemoczeni do suchej nitki, gdyż jedna pałatka nie wystarczyła dla dwóch osób. Szczękali zębami i marzyli o ciepłym posiłku.

Jedzenie było drogie. Chłop, który im otworzył, zwietrzył okazję do podreperowania rodzinnego budżetu i kazał sobie zapłacić z góry. Jednak, oddając mu sprawiedliwość, Zosia stwierdziła w rozmowie z Andrzejem, że śniadanie, które uszykowali im wraz z małżonką, było wyśmienite.

– Po surowych jajkach z pisklętami w środku wszystko smakuje wybornie. – Andrzej pomimo szlacheckiego pochodzenia mówił z pełnymi ustami.

– A ja myślałam, że tym posiłkiem urozmaicam twoje nudne i zblazowane życie – skwitowała dziewczyna, po czym uśmiechnęła się do niego. – Nie mogę przestać jeść. Zaraz pękne.

Gospodarze przyglądali się dziwnej parze. On ubrany w drogie i szykowne ubrania. Ona, jak leśne licho w rozczapierzonych włosach i z zasiniałą połówą twarzy, przypominała jakąś postać z bajek. Tragiczną postać.



– Nie będę ukrywał, gospodarzu, bo i tak się pewnie domyślicie, jesteśmy partyzantami. Wojujemy z najeźdźcą... – Nie zdążył dokończyć, bo gospodyni zapytała szybko:

– A którym?

– Nooo, z Niemcami. – Zosia wskazała tego wroga, ponieważ wiedziała, że działania Armii Czerwonej niebawem przeniosą się właśnie na ten teren.

– To dobrze, że z Niemcami.

– Ale lepiej by było, gdyby z ruskiemi – wtrącił się teraz gospodarz. – Niemcy to jeno kontygient brali, a ruski jak biera, to wszystko.

– I baby gwałcą – jęknęła gospodyni.

– A jak bab nie ma, to kozy. Stąd u niech tyle kozaków – dopowiedział gospodarz. – Koza to wtedy dwa dni mleka ni daje.

– Niby ma to być zapłata za wolność, jaką niesą. Tfu! z taką wolnością. – Rozeźlona gospodyni stanęła przed obrazem świętej rodziny i przeżegnała się trzy razy. – Do nich lepiej wam strzelać.

Andrzej z Zosią westchnęli jak na komendę.

– Gospodarzu, potrzebujemy pojechać do miasta, bo benzyny na pewno u siebie nie macie. Zapłacimy za transport i za całą gościnę.

Gospodarza nie trzeba było zachęcać. Zaprzągnął konia, a na wóz włożył kilka ciężkich kanek. Wymościł resztę wozu słomą i przykrył wszystko plandeką, aby na podróży nie padał deszcz.

Gdy byli daleko od opłotków, Andrzej nie wytrzymał i wreszcie zapytał, co gospodarz wiezie w kankach.

– To, panie, przepustka, bo pewnie się nie spodziewaliście, że tak hardo drogami do miasta pojedziemy?

Dopiero teraz Zosia z Andrzejem wymienili niezrozumiałe spojrzenie.

– Przepustka?

– No bimber. Spirytus! U nas cała wieś z tego żyje. Dla Niemca zgodziliśmy się pędzić z żyta. Chwalić Boga, że tak jest, bo i żyto na co dzień mamy, i konia pozwalają nam trzymać. No i oczywista: przepustki wszelakie do miasta. O każdej porze możemy jechać i gwizdać nam na patrole. Na tym papierze takie pieczęcie i podpisy, że tylko nam salutują i puszczają dalej.

Gospodarz nie był gołosłowny. Z kosza, jaki zabrał na wóz, wyciągnął litrową butelkę z przeźroczystym płynem.

– Na wasze ręce, panie szlachcicu! – wypowiedział dostojnie, wręczając otwartą butelkę Andrzejowi.

Andrzej pociągnął łyk i oczy wyszły mu na wierzch. Chwilę łapał powietrze, po czym wysapał:

– To nie z żyta tylko z jadowitej żmii.

– Mówiłem, że spirytus robimy. Dwa razy trzeba przeganiać, ale spala się bez reszty. Andrzej podał butelkę Zosi, lecz ta odmówiła.

– Od tego bardzo mnie głowa boli. Wolę wodę albo kompot.

– Kumpot tyż mam – pochwalił się gospodarz i wyciągnął z kosza słoik z zaprawionymi wiśniami. – Na popitkę!

Na pierwszy niemiecki posterunek przy drodze dotarli tuż przed południem. Była to rogatka ze szlabanem i skleconą z desek wartownią. Gospodarz ledwie trzymał się na koźle, gdy wartownik poprosił go o papiery. Ten wytrenowanym ruchem machnął tylko przed oczami przepustką, a w rękę wartownika wcisnął bliźniaczą, przeźroczystą butelkę. Szlaban otworzył się natychmiast.

W podobny sposób przedarli się przez kolejne posterunki, aż wreszcie dojechali do miasteczka, gdzie na targu mogli kupić wszystko. Targ na pierwszy rzut wyglądał biednie. Kramy ze starymi ubraniami. Kramy ze zwiędłą włoszczyzną. Gdzieś z wozu chłop sprzedawał ostatnie zeszłoroczne ziemniaki.

Andrzej obkupił najpierw Zosię w cywilne ubranie, a potem kazał się przebrać pod plandeką na wozie. Gdy wyszła, była wręcz nie do poznania. Uczesała włosy w kucyk. Kołnierzyk haftowanej, białej koszuli zawiązała pod szyją. Na to nałożyła serdaczek także w przepiękne hafty. Ubioru dopełniała kolorowa, pasiasta spódnica i czerwone buciki.

– Janioł z nieba – jęknął gospodarz, gdy zobaczył przebraną Zosię.

– Teraz pójdziesz na zwiady – tłumaczył Andrzej zauroczony wyglądem dziewczyny. – Wypytuj pokątnie, kto ma coś do sprzedania poza targiem. Chodź głównie o benzynę, ale mięso w puszkach i skondensowane mleko też by się przydało.

Zosia poszła, lecz nie minął nawet kwadrans, gdy na targu wybuchła draka. Andrzej szybko wcisnął się w tłum, aby ochronić Zosię przed ewentualnym niebezpieczeństwem. Jednak szybko się okazało, że to właśnie jego czarnowłosa przyjaciółka jest prowodyrką wszystkiego...



Gdy Andrzej wpadł w krąg zmieszanych ludzi, ujrzał Zośkę przyciskającą kolanem jednego mężczyznę do ziemi. Drugi klęczał z twarzą zakrytą rękami, spod których ciekła krew.

Myśliwy, choć teraz wyglądający niczym bogaty szlachcic, podszedł do klęczącego i ekstrawaganckim ruchem wręczył mu białą chusteczkę.

– Weź, proszę, swojego kolegę i pójźmy do knajpy na wódkę. Tam pogadamy i wszystko się wyjaśni.

Położył dłoń na ramieniu czarnowłosej i delikatnie uściśnął, co otrzeźwiło ją wreszcie.

– Zejdz z niego. Już jest po walce. Będzie wszystko dobrze – powiedział do dziewczyny, a w tłum gromadzący się dookoła krzyknął. – Zaszło drobne nieporozumienie! To sprawa tajnej policji! Będę potrzebował kilku świadków zajścia!

Nagle tłum się rozpierzchnął, jakby na horyzoncie pojawiło się złowieszcze tornado. Pozostała na placu czwórka udała się do najbliższej karczmy.

Karczma nazywała się „Pod Lipą”. Przed wojną pewnie prowadził ją Żyd. Dzisiaj za kontuarem stał wąsał, którego policzki dawno nie widziały brzytwy, a biały fartuch mydła. Właściwie określenie biały zbyt mocno rozszerza pojęcie tego koloru. Na brzuchu widać było ślady po niejednokrotnym wycieraniu brudnych rąk, a na środku wielobarwne plamy. Dowód na to, że karczmarz, nie bacząc na swoje zdrowie, próbuje potrawy, które serwuje gościom.

Wokół roznosił się smród kwaśnego piwa i przypalonej cebuli. Do tych zapachów dołączał się jeszcze inny. Coś w rodzaju mieszanki „męskich” perfum, czyli potu konia i długo niepranych onuc. Świeże powietrze pomimo wiosny nie miało wstępu pod dach tego przybytku. Promienie słońca także miały tutaj ograniczony dostęp, ponieważ szyby były upstrzone muszymi kupami tak, jak makowiec makiem. Całości dopełniały firanki z pajęczyn, które miały w sobie mnóstwo ozdobników w postaci wysuszonych zwłok much.

– Wiele wódki trzeba wypić, aby czuć się tutaj znośnie – burknął Andrzej, zapraszając towarzystwo, które przyprowadził do ostatniego wolnego stolika.

Podszedł do karczmarza i zamówił butelkę wódki, butelkę wina dla Zosi i jajecznicę, która ze wszystkich potraw wydała mu się najbezpieczniejszym jadem.

– Jest wśród nas dama, proszę więc o czystą szklankę. – Położył na blacie taką liczbę banknotów, że wyraz twarzy karczmarza od razu stał się bardziej uprzejmy.

– Proszę usiąść, wielmożny panie. Zaraz wszystko podamy. – Karczmarz chytrze zgarnął pieniądze z lady tłustymi rękoma i zniknął za brudnym kocem zastępującym drzwi do kuchni.

Myśliwy dosiadł się teraz do stolika i gdy zauważył kwaśne miny chłopaków, zagaił:

– Chciałbym nas przedstawić. Jestem Andrzej Brachmański. Przed wojną byłem obszarnikiem. Gospodarzem na terenach wschodniej Polski. To panna Zofia, moja przyjaciółka. Przed wojną była cieślą w swojej wsi, także na wschodzie. Teraz razem bijemy szwabów. – Na koniec ściszył głos, bo dwa stoliki obok nich zajmowali właśnie Niemcy w mundurach Wehrmachtu.

– To skąd ten akcent? – Ten, który nie miał połamanego nosa, puknął się w czoło. – Przepraszamy was. Nie wiedzieliśmy, że wy też z partyzantki.

– Myśleliśmy, że to jakaś prowokacja. Wystrojona jak lalka dziewczyna wypytuje nie po naszymu o kontrabandę. Chcieliśmy jej dać nauczkę...

– Bić kobietę? – zdziwił się Andrzej.

– Nie! Nie! Nigdy nie bijemy. Takie, co pomagają Niemcom, strzyżemy na lyso.

Przy stoliku pojawił się kelner z tacą, na której znajdowały się butelki i szklanki.

– Dla kogo miała być czysta szklanka? – zapytał usłużnie.



Po zjedzeniu obfitego posiłku i naoliwieniu stawów pierwszym toastem, nowo poznani zaczęli wypytywać, w czym mogą pomóc.

– Potrzebujemy benzyny. Około stu litrów. Więcej też przyjmujemy.

– Fiu! Fiu! Benzyny?! Może być trudno. Podrabiamy dokumenty, szmuglujemy rąbankę, czasami jakiegoś gnata skołujemy. Benzyny tutaj nikt nie używa. Wszystko konno, pieszo albo na rowerze. Tu małe miasteczko, nawet szwabasy mają tylko dwa auta.

– Nawet jak mają dwa, to gdzieś je tankować muszą – zastanawiał się na głos Andrzej, polewając jeszcze jedną kolejkę do szklanek.

Zosia odmówiła, zasłaniając szklankę dłonią.

– To wino jest tak paskudne, że tylko do rynsztoku wylać – mruknęła.

– To prawda. Wódka też jedzie drożdżami i mysimi szczynami. Nasz gospodarz dużo lepszą pędzi.

– Macie wódkę? – Zainteresował się ten z połamanym nosem.

– Tak. Kilka kanek.

– To jest inna rozmowa. Za pieniądze u szwabów nic nie kupisz... Ale za wódkę? To jest towar wymienny lepszy od złota.

Niestety, ale gospodarzowi Andrzejowi musiał zapłacić właśnie złotem.

– Wielmożny panie, to ja głową ryzykuję tę transakcję. Te świńskie ryje jak się doliczą, ile powinienem im odstawić, rozwałą mnie na strzępy. Muszę coś sąsiadom odpalić, żeby mi coś pożyczyci ze swojego ugonu.

Marudził tak na okrągło i przestał dopiero, gdy na wozie oprócz benzyny znalazła się też kanka z naftą.



Do gospodarstwa dotarli późną nocą. Zosia pomogła wyprząc konia, ponieważ noga Andrzeja nie powróciła jeszcze do pełni sprawności, a gospodarz po prostu ledwie trzymał się na swoich, całkiem sprawnych nogach.

– Z niem to zawsze mam rympoł, jak do miasta jedzie – utyskiwała gospodyni. – A jutro całą wodę z ogórków wypije i cały dzień nic nie robi. Taka to ochlejorda.

Bardzo cieszyła się z nafty i z tego, że goście zadeklarowali jutrzejszy wyjazd.

– Wy się nie gniewajta, ale Niemcy to tu co rusz niespodziewanie najazdy robią. Wiedzą, że my wódką handlujem. To i starego pilnować muszą. Dawno ich nie było, to i tylko ich patrzeć.

– Jutro rano już nas nie będzie – zadeklarował Andrzej. Ucałował zdenerwowaną gospodynię w czoło i poszedł spać.

– A ja gdzie mam spać? – zapytała Zosia, gdy doszła do wniosku, że jedynym wolnym łóżkiem było to gospodarza.

– A no zy mną. Ten ochlapus niech śpi tak na stole do rana. Nic mu ni będzie. A tyle z tego pożytku, że ni będzie chrapać! – Zaśmiała się.

Niestety gospodarz w nocy zwałił się pod stół i chrapał tak, jakby co chwilę obrywała się lawina góraska. Nad ranem Zosia obudziła się z nie mniejszym bólem głowy od gospodarza.

– Potrafiłam zasnąć pod ostrzałem artylerii. – Skarzyła się Andrzejowi przy śniadaniu. – Tego chrapania nie jestem w stanie wytrzymać następną noc.

Andrzej kończył właśnie zupę mleczną z kluskami. Wytarł wąsy chusteczką i odpowiedział:

– Dzisiaj wieczorem polecimy dalej. Pogoda znowu się nam wyklarowała i mam nadzieję na księżycową noc.

– Znowu w powietrzu będzie zimno jak za kręgiem polarnym.

– Ale teraz mam niespodziankę. Kupiłem na targu futrzane czapki i rękawice. Teraz wiosną dostałem je za pół ceny.

Podnieśli się od stołu i podziękowali gospodyni za gościnę. Na podwórku gospodarz zaprzęgnął już konia do wozu i czekał na nich z cierpiącą miną.

– Nie jedliście śniadania, gospodarzu? – zainteresowała się czarnowłosa.

– Gdzie mi tam takie zbytki w głowie. – Wystękał. – Niczego w żołądku utrzymać nie mogę.



Do południa mężczyznom udało się zatankować samolot. Andrzej sprawdził świece i iskrowniki, a także stan ogólny kukuruźnika.

– Trzymają się te skrzydła! – pochwalił Zosię za wykonaną naprawę.

– Czy myślisz, że wsiadłabym do latającej maszyny, gdybym nie miała pewności co do jakości wykończenia?

– Bóg dał ci wielki talent – mruknął z podziwem. – Mamy pełen bak paliwa i dwie kanki w schowku na ogonie. Możemy przelecieć Polskę wzdłuż i wszerz.

– Ja muszę się teraz wyspać, bo następnej nieprzespanej nocy nie wytrzymam.

Gospodarz szykował się do odjazdu. Na pożegnanie chciał dać im jeszcze butelkę wódki, ale Andrzej, widzący kwaśną minę Zosi, stanowczo odmówił.

– Pilot musi być trzeźwy, panie gospodarzu. Bywajcie tedy zdrowi i małżonkę od nas całujcie. Dziękujemy wam za gościnę.

Klepnął konia po zadzie i sam też wszedł w gęstwinę brzoźek maskujących samolot.

– Też się zdrzemnę przed lotem – powiedział do dziewczyny, która już go nie słyszała. Zasnęła szybko jak na żołnierza przystało.

Obudzili się późnym popołudniem. Andrzej poszedł sprawdzić dokładnie trasę pasa startowego. Czy nie ma na nim jakichś niespodzianek jak jama borsuka czy karczyny naniesionych przyborem rzeki. Zosia przygotowała kolację na zimno. Od gospodyni dostała koszyk z chlebem, serem i masłem. Ser był świeżutki i soczysty. Podskubywała go więc w oczekiwaniu na przyjaciela.

– Nie boli cię już noga? – zapytała, gdy wrócił.

– Całkiem o niej zapomniałem. – Roześmiał się. – Goi się na mnie jak na psie!

Po kolacji Andrzej jeszcze raz prześledził mapę. Przypomniał sobie punkty orientacyjne i wytłumaczył Zosi dalszy plan lotu.

– Przetniemy linię Wisły jeszcze raz, ponieważ udamy się na północ. Potem miniemy rzekę Wieprz.

– Wieprz? Jest taka rzeka? – Zosia знаła różne dziwne nazwy geograficzne, ale ta była specyficzna.

– Nie wiem, skąd ludzie biorą takie nazwy, ale nazwa Grabów też niezbyt mile mi się kojarzy.

Dziewczyna przemyślała tę odpowiedź, ale Wieprz nie kojarzył jej się z niczym miłym.

– Mogli ją nazwać prosiaczek albo świnka...

– Jest też rzeczka Świnka i wpada do rzeki Wieprz. – Andrzej studiujący od dwóch dni mapy nadwiślańskich terenów mógł dawać wykład na ten temat.

– No to nie mam więcej pytań. – Czarnowłosa zadumała się jeszcze nad dziwnymi nazwami.

– Potem dotrzemy do Bugu i z jego prądem polecimy do Narwi. Tam już będzie Kampinos...

Wystartowali już po zmierzchu. Księżycy jeszcze nie było widać, ale zbliżała się pełnia, więc Andrzej miał nadzieję na spokojny i pewny lot.



– Trzymaj się! – Krzyknął do dziewczyny, po czym wprowadził samolot w nurka.

Z dołu zaczęły dochodzić odgłosy serii z działek przeciwlotniczych. Andrzej wykręcił teraz w lewo i zwiększył maksymalnie prędkość. Samolot nurkował, przez co nabierał takiej prędkości, że Zosia musiała trzymać także czapkę na głowie. Powietrze uderzające w twarz powodowało łzawienie. Zobaczyła jednak pod sobą punkty ogniowe, z których prowadzono ostrzał. Opanowała się szybko, zdjęła czapkę i odkręciła z pocisku moździerzowego osłonę zapalnika.

– Macie od cioci Zosi! – krzyknęła w lot za pierwszą bombą.

Pocisk nie spadł tam, gdzie rzuciła. Z powodu wysokości zrzutu, wylądował daleko od tego miejsca, gdzie celowała.

– Zejdź niżej, to im damy łupnia!

– Teraz już wiem na pewno, że zwariowałaś! – Andrzej przekrzykiwał ryk silnika i nie miał ochoty na dłuższe pogawędki. – Jak tylko namierzy nas reflektor, zostaniemy zestrzeleni! Oni ćwiczą strzelanie do samolotów codziennie, a ty będziesz rzucać bomby pierwszy raz w życiu! Jak myślisz, kto wygra ten pojedynek?!

Andrzej nie miał do końca racji. Odwaga, z jaką Zosia rzuciła pocisk od razu ochłodziła zapędy strzelców. Nie wiedzieli, czy ten samolot jest jedyny?

Niemcy bali się rozpoznania z powietrza, dlatego baterie na moment zamilkły. Samolot wyszedł w tym czasie z nurka i z pełną prędkością oddalił się z zagrożonego terenu. Teraz jednak informacja o kierunku ich lotu była przekazywana przez radio do wszystkich punktów obrony przeciwlotniczej.



Od tego momentu w powietrzu nie było już tak wesoło. Andrzej milczał. Skupiał się na pilotażu i utrzymaniu założonego kierunku lotu. Miał przy tym nadzieję, że sprytnie poruszanie się w powietrzu zmyli przeciwnika.

Niestety, drugi reflektor, który zapłonął na ziemi, zgrał się idealnie z dwoma sprzężonymi karabinami.

Mimo że Andrzej teraz prowadził samolot na niższym pułapie, to tak jak za pierwszym razem odważnie zanurkował. Samolot prowadził się nadzwyczaj pewnie, więc pilot wziął ostry zakręt, co pozwoliło mu wyminąć spotkaną na kursie baterię sprzężonych karabinów.

– To już nie jest ciekawe! To przerażające! Musimy gdzieś wylądować i przeczekać! – krzyknął do Zośki.

– Teraz, jak wiedzą o nas, to znajdą nas, jak tylko przyziemisz! Leć na dużej wysokości, to będzie mniejsze ryzyko zestrzelenia!

Andrzej posłusznie zaczął wypracowywać wysokość, a Zośka w tym czasie przygotowała dwie bomby do zrzucenia.

– Nie nurkuj od razu po salwach! Daj mi czas na rzucenie ładunków!

– Tragiczna wariatka. – Andrzej mruknął do siebie, ale jednocześnie się uspokoił.

Myśl, że nie są bezbronni dodała mu otuchy i nastawiła bardziej optymistycznie.

Lecieli na maksymalnej wysokości, gdzie mroźne powietrze wbijało się igłami w nieosłonięte części twarzy. Po półgodzinnej podróży na takiej wysokości Andrzej postanowił zniżyć lot dla ogrzania. Noc jednak była księżycowa i zimna. Nawet lot na kilkaset metrach chłodził ciała. Zamarzały mięśnie, a nawet myśli. Następny reflektor zaskoczył ich właśnie w takim stanie. Rozbłysnęła nagle przed nimi jak świetlny mur.

– Zośka! Bomby! – zakrzyknął Andrzej, gdy wiedział, że już nie zdąży zareagować.

Odjął trochę gazu, aby dźwięk silnika zmylił myśliwych polujących na mechaniczne ptaki. Czarnowłosa wystawiła obie ręce poza burtę i puściła pierwszy pocisk w momencie, gdy na dole rozbłysły salwy. Drugi pocisk rzuciła z rozmachem, ponieważ zauważyła, że musi bardziej się postarać, aby coś uszkodzić we wrogich oddziałach.

Tym razem się udało. Pocisk moździerzowy trafił w pobliże reflektora, co spowodowało uszkodzenie go i wyeliminowanie obsługi.

– Wróć tam, mamy szansę posłać ich w diabły! – krzyknęła podekscytowana dziewczyna.

Andrzejowi też udzielił się duch walki i po nawrocie zapikował na pozycje wroga oświetlone teraz dogasającym ogniem po wybuchu bomby. Zośka rzuciła ponownie dwa pociski. Tym razem każdy wywalił w powietrze jakiś sprzęt. Zrozpaczeni Niemcy otworzyli ogień na ślepo, ale samolot był już daleko. Odchodził pełnym gazem i ponownie nabierał wysokości.

– Rozgrzałaś się?! – Andrzej obrócił głowę, a na jego twarzy błyszczał biały uśmiech.

– Mam jeszcze pięć bomb! Jak zmarzniemy, to mamy się czym rozerwać!



Im bliżej Warszawy, tym obrona przeciwlotnicza była bardziej szczelna i bardziej wyćwiczona. Na pewno posterunki ostrzeżono drogą radiową. Gdy tylko samolot wchodził w zasięg działek, zapalały się reflektory. Teraz rzadko pojedyncze. Pracowały po dwa, a nawet trzy wspierane przez wielokalibrowe baterie.

Sprytny Andrzej wykorzystywał wszystkie swoje umiejętności, aby wymijać szperacze i wymykać się ich zdradzieckiemu światłu. Jednak było coraz bardziej jasne, że nie wylądują bezpiecznie w tym rejonie Polski.

– Będziesz musiała skoczyć! – krzyknął do dziewczyny.

– Co?!

– Skoczyć! Wyjść na skrzydło i skoczyć! – Próbował to powiedzieć spokojnie i łagodnie, ale huk silnika wymuszał krzyk i wypadło jak wypadło.

– Zwariowałeś?! Dostałeś jakiś postrzał w głowę, o którym nie wiem!? – Zosia nadal nie rozumiała.

– To dziwne coś, na którym siedzisz! – Próbował tłumaczyć.

– To co?!

– To spadochron!

– Wiem! Sam mi to mówiłeś! Mówiłeś, że jest na wypadek awarii lub zestrzelenia!

– Tak robi pilot, ale pasażer może czasami wyskoczyć, kiedy samolot jest sprawny, a nie może wylądować!

– Nigdy nie skakałam ze spadochronem!

– To dzisiaj masz szansę spróbować! – Andrzej nie chciał wysłać dziewczyny na szmacie w ciemną noc, ale wiedział, że jest to jedyny sposób, aby dotarła bezpiecznie do Kampinosu, a zresztą właśnie zaczynało świtać. – Nie każdy ma odwagę skoczyć! Niektórych kandydatów na skoczków wyrzuca się z samolotu, aby przełamać w nich pierwszy strach! Inni, ci najodważniejsi, sami skaczą w otchłań przestworzy i cieszą się swobodnym lotem! Nie wiem, do której kategorii ty należysz?!

Nie musiał mówić nic więcej. W Zośce zawrzała krew. Gdyby stali teraz naprzeciwko siebie, Andrzej dostałby pewnie za te słowa w splot słoneczny albo trochę niżej. Na pewno cierpiałby długo.

– Na które skrzydło mam wyjść?!



Krzyk uwiązał jej w gardle. Leciła w otchłań. Nagłe szarpnięcie rozwiniętej czaszy spadochronu wycisnęło jej resztki powietrza z płuc.

– Yyyp! – Zaciągnęła wdech jak płetwonurek po długim nurkowaniu.

Wrażenia od opuszczenia samolotu przekraczały wszystko, co do tej pory przeżyła. Leciła swobodnie. Lekki wiaterek, który czuła na twarzy, niósł ją w kierunku wschodnim.

– Jak mnie oni przyjmą do grupy? Nie mogę chyba tam po prostu wejść i powiedzieć: Cześć, jestem Zofia! – Szła skrajem lasu, gdy już wylądowała i zdążyła się wreszcie pozbiierać. – Jak tak zrobię, rozwalą mnie pierwsza czujka.

Szła, tak rozmyślając, gdy nagle las się urwał, a przed jej oczami pojawiło się szerokie pole. Gdzieś w odległości kilometra przecinał je tor kolejowy wraz z linią telefoniczną na słupach. Musiała tutaj zostać do nocy. Nie mogła pokonać płaskiego terenu w dzień i nie być narażoną na wykrycie. Zaległa na skraju lasu przykryta kępami suchej trawy i gałązek. Zasnęła natychmiast.

Obudził ją wybuch i wstrząs. Nie zerwała się jednak nagle, tylko najpierw ostrożnie otworzyła oczy. Potem rozejrzała się po okolicy, ledwo unosząc głowę.

Rumot i huk narastał. To walił się z nasypu eszelon wiozący czołgi i ciężkie działa na front. Wcześniej wybuch tuż pod kołami lokomotywy wyrwał kamienie spod podkładów, a jej ciężar zrobił resztę.

Dwóch saperów gnało teraz na złamanie karku w kierunku jej lasku. Jeden trzymał w rękę induktor, a drugi dźwigał RKM.

Z eszelonu po wywrotce wygramoliła się część wojska, która jeszcze przedstawiała jakąś siłę bojową. Ktoś pomimo katastrofy musiał zauważyć dywersantów, ponieważ już po minucie pierwsze karabiny otworzyły ogień. Naprędce utworzone oddziały udały się w pościg.

Dzielne zuchy! – pomyślała Zośka z wypiekami na twarzy obserwująca akcję.

Teraz z linii drzew odezwał się RKM. Krótkie serie były diabelnie celne i pościg musiał zalegnąć. Jednak z pociągu wychodziło coraz więcej wojska. Dowódcy pododdziałów szybko formowali grupy pościgowe.

Nie zostało za wiele czasu. Grupy rozeszły się na dwie strony, biorąc lasek w okrążenie. Wehrmacht działał jak najlepszy zegarek. Należy dawać nogę, a tu chłopaki nadal prują do szwabów – dziwiła się Zośka. Szybko przeładowała swojego pupilka i oddała strzał do najbardziej aktywnego dowódcy. Poderwała się i gdy tylko chłopaki zaczęli strzelać, podbiegła do nich od tyłu.

– Do kurki przepiórki! Czy nie widzicie, że zaraz was okrążą! – Wrzasnęła, gdy tylko umilkł karabin. – Dalej! W nogi!

Chłopaki obejrzeni się i zamarli, jakby zamienili się w kamień.

– Wstawać! Wstawać! – krzyczała, popędzając niegroźnymi kopnięciami.

Wiali teraz pomiędzy gałęziami, ile tylko mieli sił w nogach. W lesie nie groził im ostrzał, ale wojsko deptało im po piętach.

Wypadli na drogę. Była piaszczysta i obrośnięta z obu stron niewypasionymi pasami trawy.

– Tą drogą! – krzyknął ten z karabinem.

Odległość około trzech kilometrów do następnej ściany lasu. Puścili się biegiem, lecz już po kilkuset metrach chłopaki zaczęli zostawać w tyle. Jeden miał ciężki karabin, a drugi oprócz stena dźwigał skrzynkę indukcyjną. Nie dało się z takim sprzętem długo biec. Byli teraz na całkiem odkrytym terenie, widoczni jak plama na białym obrusie.

– Musimy zostawić sprzęt – odezwała się także zazajana Zośka. – Tam jest krzyż przy drodze. Od niego odliczcie dwadzieścia kroków. Zostawcie wszystko oprócz peemu. Przykryjcie zerwaną ozimną i dalej w nogi.

– Nie zostawię broni – wysapał dźwigający RKM.

– Wróćmy po niego nocą. Teraz trzeba wiać! – Zośka chwyciła chłopaka za ramiona. – Jak rozstawią moździerze, to na tym polu zostanie z nas mokra plama! – krzyknęła i popchnęła go w stronę pola.

Zrobiła to w samą porę. Niemcy nie mieli moździerzy, za to kilku z nich ścigało ich z całych sił. Teraz wybiegli na drogę i gdy uzyskali kontakt wzrokowy, zatrzymali się.

– Padnij! – krzyknęła dziewczyna, ponieważ zobaczyła, jak jeden z nich składa się do strzału z karabinu.

Odległość była znaczna. Ponad trzysta metrów, a delikatna krzywizna terenu uniemożliwiła strzelanie w pozycji leżącej. Niemiec klęknął i złożył się do strzału. Pocisk gwizdnął nad głową Zosi. Teraz i ona uklękła. Uspokoila oddech i pomimo iż nad głową ponownie świsnął pocisk, spokojnie wyciskała opór spustu. Nie czekała na potwierdzenie trafienia.

– W nogi! – krzyknęła i sama dała przykład, jak się ucieka przed strzelającymi żołnierzami.

Ściany lasu dopadli ostatkiem tchu.



W sztabie feldmarszałka Modela wrzało. Afera, jaka wynikła pod Krakowem, zebrała odpowiedzialnych za kontrwywiad i zadania specjalne.

– Co można ustalić na podstawie tych działań? Co wiadomo na temat tej Wiedźmy? Marszałek chce tylko konkrety! – Adiutant patrzył po zebranych. – Na waszej wiedzy musimy opracować plan likwidacji tej bandytki.

– Im głębiej się tym interesuję, tym mam większy mętlik w głowie. – Dowódca kontrwywiadu otworzył teczkę z aktami.

Wyjął z niej odnaleziony przy zabitym dywersancie list z rozkazami o natychmiastowej likwidacji wroga komunizmu, czarnowłosej Szeptuchy. List nosił wszystkie znamiona autentyczności, a poza tym był opatrzony podpisem, który na froncie wschodnim znali wszyscy.

– Założmy, że to prawdziwy rozkaz. Co może to dla nas znaczyć? – SS-man o drapieżnym wyglądzie i pooranej bruzdami twarzy zadał na głos to pytanie, które go niezwykle nurtowało.

– Że wysłaliśmy na śmierć doborowy oddział i gdyby nie natrafili na sowieckich dywersantów, może problem byłby zlikwidowany. – Major kontrwywiadu pocierał szorstki podbródek. – Teraz nie wiemy, gdzie jest Wiedźma...

– Nie mówcie, że tego nie wiecie! – Adiutant popatrzył w oczy każdego z nich. – Nie mogę tego przekazać feldmarszałkowi. – Przełknął ślinę. – Sami możecie to zrobić.



Do Puszczy Kampinowskiej dotarli już nocą. Zenek, ten od RKM-u, poszedł do wsi. Miał tutaj znajomego rolnika, od którego przyniósł chleb, masło i świeży ser. Zjedli kolację i ułożyli się spać.

– W nocy nie pójdziemy w las. Łatwo dostać kulkę od nerwowego wartownika. – Witek, ten szczuplejszy od skrzynki induktora, tłumaczył, dlaczego nie idą dalej. – Poza tym mógłbym pobiłdźić.

– Raczej to jest główny powód – prychnął Zenek.

Zośka już spała i nie wdawała się w jałowe dyskusje. Rano, gdy jeszcze nie nastał świt, a nadchodzący dzień zwiastował śpiew niektórych ptaków, Zośka wyszła z zagłębienia w Ziemi, w którym spali. Wróciła szybkim marszem do miejsca, gdzie schowali karabin i skrzynkę.

Sama ostrożnie zbadala okolicę. Obejrzała ją przez lunetę swojego pupilka i upewniwszy się, że jest czysto, wyszła po broń.

Wyszła to oczywiście słowo przenośnia. Najpierw skradała się skulona na obrzeżu drogi, a ostatnie sto metrów pokonała czołganiem. Upewniła się delikatnie, czy pod skrzynką niemiaszki nie podłożyły odbezpieczonego granatu. Potem wzięła cały majdan i rozpoczęła odwrót.

Zanim Witek i Zenek obudzili się na dobre, ona już oskórowała zającą, którego ustrzeliła w powrotnej drodze. Zając był stary i żyłasty, ale z solą i szczawiem dało się go zjeść. Przynajmniej tak twierdziła Zośka.

– Ty to masz zacięcie! – pochwalił Zeniu, żując zbyt duży kawałek mięsa. – Uratowałeś nas wczoraj od tych Niemców, nie ma co! Dzisiaj jeszcze zawstydzasz nas swoją aktywnością.

– A tak na poważnie, kto nauczył cię tak strzelać? – Witek dzielił swoje mięso szczyrzykiem na naprawdę małe kawałki i ich konsumpcja nie sprawiała mu kłopotu.

– Wszystkiego nauczył mnie mój tatko.

– Wspaniały nauczyciel. Dołączycy do nas w Kampinosie?

– Nie bardzo. Zamordowali go NKWD-iści. – Dokończyła ściśniętym głosem, a w oczach pojawiły się łzy.

– Ruskie, którzy przychodzą wyzwolić Polskę, to duży problem. Wyzwoloną ziemię traktują jak swoją i nie ma im się kto przeciwstawić. – Witek skończył jeść i zaczął przegład stena.

– Gadać możemy po drodze. Ruszamy! – Zenek podniósł się z ziemi i zarzucił machinę na plecy.

– Nie zapytasz dziewczyny, czy nie jest zmęczona? Zrobiła już dzisiaj ponad dychę kilometrów. – Witek był młodszy, ale bardziej rezolutny.

Zośka uśmiechnęła się i zgrabnie podniosła na nogi.

– Idziemy. Chciałabym też już być u waszego dowódcy. Idźcie przodem, a ja będę ubezpieczać tyły.

- Nie musisz się już obawiać. Ta puszcza to nasz dom. Faszystom tutaj wstęp wzbroniony.
- Nie wchodzi do lasu?
- Tutaj nie. Jest tu więcej pułapek i zasadzek, niż można się spodziewać. Fryce na samą myśl o naszym lesie srają ze strachu w gacie.



Feldmarszałek Model czekał na nich w idealnie odprasowanym mundurze. Błyszczały się na nim wszystkie medale i ordery, a wstęgi wisiały pod odpowiednim kątem. Patrzył spođe łba i po bardzo długim westchnieniu zaprosił na krzesła.

- To jest wojna! Nie będę musiał się tłumaczyć przed nikim, jeśli teraz któregoś z was zastrzelę za zdradę w obliczu wroga – mówił poważnie, a policzki jego przybrały intensywne kolory. – Wojsko traci ducha walki! W Polsce ciągłe akcje partyzantów, straciliśmy najnowsze czołgi, które miały jechać na wschód! Wojujemy na dwóch frontach, rozumiecie?! Wojska śmierdzących Sowieców komasują siły, a wy tracicie z oczu postać, która swą obecnością niszczy morale żołnierzy!

Milczenie oraz zakrzepłe miny świadczyły, że rozmówcy nie czuli się komfortowo. Nie śmieli jednak przerywać monologu.

- Zatrzymanie i publiczne rozstrzelanie sabotażysty numer jeden mocno wzmocniłoby ducha walki, którego tak teraz potrzebujemy. Czy wiecie dlaczego? Wiecie. – Teraz opadł z sił, sflaczał i spojrzał na nich znowu. – Musimy wytrzymać do uruchomienia produkcji najnowocześniejszej broni. Hitler nie kłamie – skłamał feldmarszałek Model. – Ta broń rozstrzygnie wszystko, ale potrzebujemy czasu.

Ten monolog był jak symfonia. Raz głośne stacatto przechodziło w cichy trel, aby znów zagrzemieć wszystkimi instrumentami.

- Musimy uruchomić seryjną produkcję wunderwaffe. Zatrzęsiemy Europą, Azją i Ameryką! Teraz, gdy wali się na nas cały świat, potrzebuję jednej rzeczy. – Ponowne piano położyło nastrój pod pointę tego utworu. – Potrzebuję tej Wiedźmy!!!



Wiedźma dostała przydział. Dowódca leśnych potrzebował kogoś, kto umie niszczyć konstrukcje i kogoś, kto potrafi strzelać jak wprawiony snajper. Tu otrzymał obie te cechy w jednym ciele. Ciele Zośki.

- Chudziutka jesteś i wątła. Dostaniesz dwóch pomocników do dźwigania ładunków i jakoś to będzie – powiedział i chciał odejść do swoich obowiązków.

- Tak! Jakoś to będzie. – Zośka odpowiedziała urażona. Podała rękę, wymuszając ten gest u dowódcy.

Włożyła swoją dłoń głęboko w jego aż jej palce mogły zamknąć uścisk. Dowódca był ułanem. Walczył szabłą, jeździł konno, utrzymywał ciało w sprawności fizycznej. Uścisk dłoni dziewczyny zaskoczył go całkowicie. Ona dokładała siły w uścisk i gdy osiągnęła

maksimum, potrząsnęła ramieniem dowódcy. Chrupnęły stawy w jego dłoni. Wtedy dziewczyna, jak gdyby nigdy nic, puściła dłoń i zaszalowała. Odsalutował koślawo i spojrział w oczy dziewczyny. Jej wzrok powiedział wszystko. Zrobił błąd, oceniając ją na podstawie wyglądu. To nie chude, koślawe dziewczę, lecz wojownik znający swoją wartość. Umiał przyznać się do błędu i szybko go naprawił.

– Widzę, że pomyliłem się w ocenie twojej osoby. Dobrze, że przypomniałaś mi o tym, aby nikogo nie oceniać na oko. – Uśmiechał się, rozcierając bolącą dłoń. – Tym bardziej cieszę się, że w naszych szeregach będzie rasowy wojownik. Wiedźma, tak o Tobie mówią?

– Tak, chyba nie bez przyczyny. Chciałam tylko przedstawić się z jak najlepszej strony – oznajmiła już uśmiechnięta Zośka.

Dowódca wyszedł na zewnątrz. Z grymasem twarzy masował obolałą dłoń. Z naprzeciwnika kroczył jeden z poruczników. Wyszedł właśnie z ćwiczeń i szedł nieśpiesznie na kwatery.

– Co taka cierpka mina, wodzu?

Ten zatrzymał się i westchnął.

– Pan Bóg zobaczył samotnego Adama w raju. Chciał jeszcze na świecie coś ulepszyć. Powiedział do Adasia: „Dam ci zaraz kobietę”.

Pułkownik zamilkł na dłuższą chwilę. Porucznik z uprzejmości dopytał.

– I co dalej?

– Wtedy miało początek powiedzenie: „Nie daj Boże!”.



– Jak trzymać broń, to już wiecie. Chłopaki wysysają to z mlekiem matki, ale jak sprawić, aby broń zawsze trafiała? – Zośka siedziała ze skrzyżowanymi nogami i mówiła do grupy dziesięciu żołnierzy AK. – O broń należy dbać. Czyścić, smarować i przeglądać. Naboje z piaskiem lub pyłem niszczą lufę, a o piasku w mechanizmie nie muszę chyba mówić.

– Baba miała nas uczyć strzelać, a tu mowa o porządkach. Zmieniaj onucki i myj rączki. – Jeden z partyzantów mówił cicho do kolegi. – Jakbym mamuszkę słyszał.

Zośka słyszała te uwagi i lekko poczerwieniała na twarzy. Poza tym nie dała po sobie poznać, że te przytyki trochę wyprowadziły ją z równowagi. Nie zmieniła jednak metodyki nauki. Postanowiła poczekać. Okazja nadarzyła się jeszcze tego samego dnia na zajęciach z walki wręcz.

Walkę wręcz prowadził znany zapaśnik i bokser. Miał pseudonim „Góra”, zupełnie nieprzypadkowo. Miał niesamowicie długie ręce. Zośka nie opuszczała żadnych zajęć, więc znalazła się w kręgu klęczących wokół instruktora.

– Dobierzecie się teraz w parę i przećwiczmy obezwładnianie przeciwnika.

„Góra” wyszedł z kręgu. Zośka spojrziała w oczy młodziana, który rano na jej zajęciach naśmiewał się z wszystkiego. Pokazała na siebie palcem, potem na niego i pytająco skinęła głową. On także kiwnął głową, że się zgadza. W tym momencie

dziewczyna skoczyła. Z klęku podpartego jak sprężyna wybiła się w górę i po skoku wykonała przewrót w przód. Jej pięta trafiła w obojczyk chłopaka, a za chwilę miał założony z jej nóg klucz zapaśniczy na klatce piersiowej.

Chłopak zanim się zorientował, znalazł się w śmiertelnym uścisku. Trener dopiero teraz zobaczył, że ćwiczenia już się rozpoczęły. Wszyscy w około ścisnęli się w krąg, aby zobaczyć finał tego pojedynku. Chłopak wzięty w kleszcze nóg dziewczyny najpierw próbował rozewrzeć jej nogi. Zrobił się czerwony na twarzy, a potem jego wzrok z braku powietrza stał się mętny.

Instruktor zareagował natychmiast. Klepnął Zośkę w plecy.

– Tak. Dobrze. Puść go teraz proszę!

Zośka rozłączyła nogi i szybko wstała. Chłopak najpierw podparł się na kolanach, a potem ciężko wstawał.

– Dobrze! – powiedział zdezorientowany instruktor. – Liczy się zaskoczenie i zdecydowane działanie. Spróbujecie jeszcze raz. Teraz na stojąco.

Nie przebrzmiała jeszcze jego ostatnia głoska, kiedy czarnowłosa uderzyła chłopaka hakiem pod żebro. On zgiął się na bok, a dziewczyna jednym skokiem znalazła się za plecami. Wykręciła mu rękę za plecy, a drugą podstawiła swoją nieodłączną finkę do gardła. Zrobiła to jednym płynnym ruchem, trzymała nóż za ostrze, a do szyi przytknęła rękojęść.

Instruktora ponownie zatkało.

– No tak. Bardzo dobrze. Liczy się zaskoczenie. To w zasadzie gwarancja sukcesu.

Nie mógł prowadzić zajęć dalej, ponieważ każda akcja Zośki kończyła się w sekundę. Reszta zamiast walczyć przyglądała się ciekawym walkom. Zaczęto się nawet zakładać. Buchały kpiny, ale i śmiechy. Dyscyplinę diabli wzięli.

Prowadzący był jednak zawodnikiem z najwyższej półki.

– Baaaczność! – zakrzyknął takim tubalnym głosem, jak ryczy byk na pastwisku, gdy zwącha koniczynę. – W szeregu zbiórka.

Przechadzał się teraz wzdłuż szeregu i patrzył każdemu w oczy. Był wyższy od najwyższego kursanta o ponad pół głowy, a rękę miał tak umięśnioną jak niejeden nogę.

– Co to za krotochwile? To jest wojsko! Za granicą lasu stacjonują wojska okupanta. Będą was tłuc po garnkach, na ile tylko im pozwolicie. – Przerwał na chwilę, aby jego mowa dotarła. – Ja mam to w nosie, ile każdy z was oberwie. Martwi mnie tylko los waszych matek, sióstr i dziewczyn, jak tę walkę przegracie.

Teraz dotarło. Wojsko spuściło wzrok i uśmiech schował się za powagą twarzy.

– Teraz ja pokażę, jak się walczy. Techniki ataku i obrony. Potem będziemy ćwiczyć w parach. – Przerwał na chwilę i zapytał: – Kto do mnie do pokazu na ochotnika? – Nie czekał na ochotnika. – Zofia? Dobrze, może być. – Machnął do niej ręką.

Dziewczyna wyszła hardo. Wzrostem sięgała instruktorowi do pachy, a jej tułów był cieńszy niż jego noga w udzie.

– Zadaj mi cios.

– Jaki cios?

– Obojętnie. Uderz gdzie chce... – Nie dokończył.

Noga Zośki wystrzeliła w jego podbrzusze. Nie dotarła jednak do celu. Facet o masie zdecydowanie ponad stu kilogramów odskoczył miękko jak gumowa piłka. Ręce uniesione do góry podczas skoku teraz pochwyciły nogę za piętę i pociągnęły dalej w górę. Dziewczyna wygięła się do tyłu i musiałaby upaść, gdyby nie odbiła się drugą nogą. Zrobiła salto w tył i wylądowała na przykucniętych nogach. Skoczyła z tej pozycji natychmiast i uderzyła poniżej pasa. Tym razem także nie trafiła. Facet był szybki jak kot. Jej pięść otarła się tylko o drelich jego spodni. Znowu na moment straciła równowagę.

Krążyli wokół siebie jak dwa koguty. Teraz każde z nich wiedziało o szybkości drugiego. Atak odsłoniłby atakującego i naraził na kontrę. W takiej wymianie ciosów Zośka nie miałaby jednak szans z bokserem wagi ciężkiej. Zaatakować postanowił instruktor. Także zaczął nogą. Zadał cios z wyskoku, trzymając ręce gotowe do oddania ciosu. Zośka skoczyła dołem i podcięła jego nogi tuż przed lądowaniem. Gruchnął o ziemię, jakby zwałił się na nią kloc drewna. Teraz inicjatywa była po stronie snajperki. Skoczyła na niego i oparła kolano na grdyce. Jedną ręką przytrzymała jego dłoń, a drugą zamarkowała cios nożem. Wbiła finkę w piach tuż obok głowy instruktora.

Wokół panowała taka cisza, że aż piszczało w uszach.



Wieczorem przy kolacji dowódca podsumował dzień i chciał skomentować wszystko to, co było do poprawki. Wypytywał wszystkich instruktorów o postępy. Dowiedział się pokątnie o drobnym zatargu. Chciał także wypytać, o co tak naprawdę chodziło i postanowił zagasić ogień, zanim się rozprzestrzeni.

– Zofio! Z kim dzisiaj miałaś największy problem?

Dziewczyna, która przez całą młodość musiała odpowiadać na takie pytania, podniosła głowę i z uśmiechem odrzekła:

– Z nikim, panie pułkowniku.

– Hm, hykhym. No, ale... jakieś drobne trudności miałaś. Jesteś tu nowa, więc na pewno nie ze wszystkimi znasz się jak łyse konie.

– Tak. Mam trudności z przekazem nauki strzelania. Próbuję nauczyć alfabetu, a tu uczniowie chcą od razu pisać całe zdania.

– Na treningu walki wręcz chyba były podobne problemy. Trener żalił się na brak spójności grupy.

– Każdy nauczyciel musi znaleźć swoją drogę nauczania. – Dziewczyna powiedziała to i zamilkła.

Wygadana Zośka zdawała się pyskować także do dowódcy!

– Skoro tak, to jakie widzisz rozwiązanie problemu?

– To w zasadzie nie jest problem. Ja także na początku nauki nie wiedziałam, o czym się do mnie mówi. Strzelectwo to bardzo skomplikowana sztuka. Pełna niuansów

i szczegółów. Chłopcy rwą się do strzelania, a nie poznali jeszcze wiedzy, dzięki której ono jest możliwe. Powinni uzbroić się w cierpliwość, a tej się nie nauczą. Nie wiem tylko, czy wystarczy czasu, aby oni to wszystko zrozumieli.

Zośka przypomniała sobie swoje opory przed suchym strzelaniem i rozumiała, o czym oni wszyscy mówią. Teraz czas, aby oni zrozumieli, o czym mówi ona.

– Zrobimy tak! Jutro zaprosimy na trening strzelecki dowódcę. Będziemy strzelać aż do znudzenia. Jutro z treningu każdy wyjdzie zadowolony.

Nikt nie śmiał zaprzeczyć. Czarnowłosa dała już się we znaki od dowództwa aż po szeregowca.



Ciężki chleb z tą nauką strzelania – pomyślała Zośka, niosąc podkłady pod tarcze. Jeden z nich wyniosła daleko w pole.

Za łąką była polna droga, a za drogą nieurodzajne tereny trudne do uprawy. Rósł tutaj dziki chrzan, tarnina i inne rośliny dające sobie radę na skąpej glebie. Tutaj dziewczyna wykarczowała kilka krzaków i umieściła podkład pod tarczę. Wracając, jeszcze raz przemierzyła krokami dystans do skraju lasu, gdzie będzie uczyć strzelać. Naliczyła osiemset osiemdziesiąt kroków.

– Osiemset metrów jeśli od początku wojny nie urosły mi nogi. – Pamiętała jak z ojcem urządziła strzelnicę. Dziesięć metrów to było jedenaście jej kroków.

Teraz ustawiła resztę podkładów w odległości pięćdziesięciu pięciu kroków i czekała na przyście grupy wraz z dowódcą. Zrobiła sobie rozgrzewkę i ćwiczenia rozciągające.

Grupa przyszła roześmiana i gotowa do strzelania. Zośka podeszła do każdego. Wytłumaczyła zasady bezpiecznego posługiwania się bronią oraz zasady celowania. Wszystkiemu z pewnego dystansu przyglądał się pułkownik.

– Ognia! – krzyknęła dziewczyna i rozpoczęła się kanonada.

Każdy miał do oddania po pięć strzałów, kiedy strzelanie ucichło, Zośka przejrzała broń i wszyscy poszli do tarcz. Wyniki były różne. W zasadzie każdy trafił w tarcze, lecz w niektórych przypadkach trudno było mówić o grupie strzałów. Czarnowłosa zaznaczyła przestrzeliny chemicznym ołówkiem i zarządziła powrót na linię ognia.

– Chcę wam pokazać, czym różni się strzelanie od STRZELANIA.

Teraz ona stanęła na linii ognia. Wytarła wyciorem lufę i strzeliła brudzący strzał.

– Do której tarczy strzelasz? – zapytał dowódca, bo nie widział wolnej przy oglądaniu wyników.

– Tam daleko za drogą są takie nieużytki, a za nimi krzaki tarnin. Tam stoi moja tarcza.

Była widoczna jak mały, biały punkcik. Wszyscy się zbliżyli, aby zobaczyć dokładnie kierunek, który opisała dziewczyna, ponieważ nie każdy mógł zobaczyć tak odległą tarczę.

– Jaka to jest odległość? – zapytał jeden z żołnierzy.

– Osiemset metrów – odparła Zośka i stanęła w pozycji strzeleckiej.

Oparła łokieć ręki o wysunięte lekko biodro, a karabin położyła na płaskiej dłoni. Zapadła totalna cisza, jakby każdy bał się głębiej wciągnąć powietrze. Zośka stała z przymkniętymi oczami i oddychała, aby uspokoić bicie serca. Gdy była gotowa, otworzyła oczy. Wzięła następny wdech, wypuściła do połowy powietrze z płuc i ustabilizowała przyrządy celownicze w rejonie.

Wtedy uderzyło to ją od środka. Żołądek z bólem podszedł do jej gardła, a potworna fala mdłości przeszła przez ciało. Zaczęła drżeć. Rozładowała karabin i oddała go szybko dowódcy. Sama biegiem poleciała w krzaki, bo wiedziała, że nie utrzyma wymiotów. Wcześniej wymiotowała tylko raz w życiu. Była wtedy młoda i najadła się zielonych śliwek. Od tamtej pory nigdy nie miała problemów gastrycznych. Błada jak kreda wyszła z krzaków do oniemiałej grupy.

– Nie będzie dzisiaj strzelania i na naukę chyba też nie mam siły. – Odebrała od pułkownika swojego pupilka. – Muszę wrócić na kwaterę i się położyć.

O dziwo chłopak, który wcześniej się naśmiewał z jej lekcji, teraz poprosił dowódcę o pomoc w odprowadzeniu Zośki. Dowódca się zgodził i chłopak wziął pod rękę ślaniającą się z mdłości dziewczynę.

Zaprowadził na kwaterę i przyniósł kubek wody.

– Przynies jeszcze wiadro – poprosiła, nie odrywając głowy od poduszki.

Rzygała do niego do wieczora.



Batalion realizował zadania szkolenia, lecz wszystko jakby się ślimaczyło i nie szło do przodu. Każdy lubił Zośkę pomimo jej zadziornego charakteru. Jej choroba wszystkim popsuła humory. Zośka ślaniała się, jakby miała umierać. Wszyscy jedli to samo, więc nie było podejrzenia zatrucia. Jednak dziewczyna nie mogła dojść do siebie.

– Nie odzyskamy zdolności bojowej, dopóki ona nie wyzdrowieje. – Z przekąsem oznajmił dowódca przy obiedzie. – Jednak kobiety w batalionach to udręka. Nie ma co.

– Wyślijmy kogoś do miasta po doktora, bo dziewczyna rzeczywiście leci z nóg – zaproponował jeden z poruczników.

– Tak właśnie myślałem zrobić. Chociaż łudziłem się, że jej dzisiaj przejdzie.

– Wyślę dwóch chłopaków, to się jeszcze przy okazji rozejrzą i posłuchają, co się w okolicy dzieje.

– Dobrze. Załatwmy to i będzie z głowy. Baby w wojsku. Nigdy to nie przejdzie.

O lekarza nie było jednak łatwo. Czas wojny sprawił, że nie mieli oni zbyt dużo wolnego czasu. Dopiero jakiś przygłuchy staruszek zgodził się pojechać do lasu, do partyzantki.

– Sraczką, wymioty, zawroty głowy. Opiliście się tam wódki. Najlepsza jest woda po ogórkach. Mówię wam. Woda po ogórkach.

Doktor marudził, ale spakował torbę, włożył marynarkę, wyszedł i zamknął drzwi na klucz.

– Mam papugę. Nasypałem jej ziarna i naląłem świeżej wody, ale do jutra muszę wrócić, bo mi zdechnie – powiedział do partyzantów, sadowiąc się na wozie.

– Wróci pan, wróci – obiecał jeden, a drugi klepnął konia.

Pojechali bocznymi drogami, gdzie nie było patroli niemieckich. Wieczorem dotarli do puszczy. Leśna droga doprowadziła na polanę, gdzie w leśniczówce miało siedzibę dowództwo batalionu AK.

Natychmiast pokazano lekarzowi pokój chorej. Doktor dokładnie umył ręce i wyciągnął czysty, biały fartuch z torby. Jeszcze raz umył ręce i wszedł do chorej.

Badanie trwało jakiś czas, a gdy lekarz wyszedł, całe dowództwo rzuciło się z pytaniami. Doktor lekko się uśmiechnął i poprosił najpierw o herbatę.

Czekała na niego oczywiście także spóźniona kolacja, a doktor, jakby nie słysząc wcześniejszych pytań, zaczął jeść i siorbać herbatkę. W końcu dowódca nie wytrzymał.

– Panie doktorze, niech pan powie nareszcie, co dolega naszej Zosieńce?

– Nic jej nie dolega. Jest młodą, w pełni zdrową kobietą.



– To co teraz mamy robić? – zapytał dowódca.

– Nic. Cięża to nie choroba. Raz będzie miała ochotę na słodkie truskawki, a raz na słonego śledzia. Innym razem zachce jej się kiszonych ogórków albo kapusty. Jak ją lubicie, to przywieziecie ze wsi to, co trzeba.

– No, ale co później? Co mamy robić przy porodzie?

– Nic. Najwięcej pomożecie, jak nie będziecie przeszkadzać. Warto oczywiście ściągnąć jakąś akuszerkę dla podtrzymania dziewczyny na duchu, ale od zarania dziejów poród to naturalny początek życia.

– No a później? – Dowódca jakoś nie mógł sobie tego wszystkiego poukładać w głowie.

– Później? Jest przecież ojciec tego dziecka? Prawda? – Doktor popatrzył w oczy dowódcy.

– Aaa! No właśnie! Ojciec! No niech ja go dor-r-r-wę w swoje ręce... Dostanie za ten cały ambaras, że mu się amorów do końca życia odechce. Jeszcze dwa tygodnie nie minęły, a już jest w ciąży! Zaraz się dowiem, który to zmajstrował!

Dowódca nie miał pojęcia, że tak poważne objawy ciąży nie występują po dwóch tygodniach. Doktorek natomiast miał niezły ubaw z całej sytuacji. Chyba nie pierwszy raz w swojej profesji brał udział w takim kabarecie. Nie komentował, tylko całym wysiłkiem woli wstrzymywał się, aby nie parsknąć śmiechem.

Zoska po upojnych dniach spędzonych nad rzeką z Irlandczykiem nigdy nie pomyślała o konsekwencjach. Teraz rzygała do wiadra, a później co drugi dzień nachodziły ją zachcianki na posiłki, o jakich partyzanci nawet nie słyszeli na uszy.



Zośka rzuciła się w wir pracy. Pomagała partyzantom szykować mundury i oporządzenie. Uczyla strzelać i walczyć wiele grup partyzantów. Spod jej ręki wychodzili wspaniali strzelcy i odważni żołnierze. Godzina zero nadchodziła szybko i nieubłagane. Brakowało jednak broni.

– Broń będziecie zdobywać na wrogu. To stara i sprawdzona metoda. Jest w niej ważny element psychologiczny. – Zośka tłumaczyła oddziałowi, który miał tylko mausera, dwa steny i parabelkę na stanie. – Niemcy będą się bronić, a wy atakować. To wy jesteście myśliwymi, a oni zwierzyną. Wy idziecie po ich skóry i broń, a oni mogą zdobyć tylko blaszane medale na kokardce.

Przechodziła wzdłuż szeregu i mówiła to z powagą i ogromną pewnością. Oddział złożony z kilkunastu chłopców już teraz rwał się do walki. Tylko na co trzeciego przypadała broń, lecz Zośka tłumaczyła to po swojemu.

– Niemcy mają taktykę zastraszania. Będą walić do was na oślep ze wszystkiego. To dobrze, bo ich gęganie nie uchroni ich przed atakiem lisa. Strzelec z mauserem ma zlikwidować dowódcę drobiu. Jednym strzałem. Pokażecie im od razu, kto tu rządzi.

Przerwała, kiedy zobaczyła błysk w oczach tego z karabinem.

– Tak! Ty tu jesteś myśliwym. Łowcą, który ma na ścianie wolne miejsca na następne trofeum. Drugi strzał ma być do CKM-isty. Wtedy zaczynacie roszy, podchody. Głośno rozkazy okrążania. Nie będą wiedzieli, że nie macie broni, tylko że świetnie strzelacie. Bez dowódcy zaczną się wycofywać. Wtedy są już wasi. Steny krótkimi seriami. Po dwa, najwyżej trzy strzały. Mauser strzela tylko do wysokich pagonów albo człowieka od sprzętu. Pod tym ogniem natychmiast wchodzicie po broń, sprzęt i jedzenie. Pamiętajcie, celnie rzucona cegła jest lepsza niż niecelna seria z peemu.

Morale w wojsku rosły. Partyzantów przybywało, a ona miała coraz więcej pracy. Najpierw segregowała. Nauczyła się wyłaniać strzelców z tłumu. Jak ktoś mrużył oczy przed wystrzałem, to będzie ciężko go szybko nauczyć.

– Ty! Kim byłeś w cywilu? – zapytała takiego, co mrużył oczy przy każdym strzale mimo uwag.

– Pomocnikiem rzeźnika.

– Będziesz sanitariuszem. Nie będziesz mdlał na widok krwi.

– Ty! Kim byłeś? – zapytała takiego, co bezwiednie szarpie za cyngiel.

– Kierowcą.

– Pójdiesz do poczty.

Po odsianiu niestrzelców brała się za potencjalnych championów strzelectwa. Broni było mało i tak różna, że każdego strzelca musiała traktować indywidualnie. Wieczorem zwałała się na łóżko jak kłoda i zasypiała w ciągu sekundy. Chciała wykorzystać całą swoją wiedzę i pchnąć całą swoją siłę w szkolenie partyzantów. Nie będzie miała innej możliwości pomocy w powstaniu. Jej rosnący brzuszek zabierał jej dwa atrybuty bojowe. Czołganie i strzelanie z pozycji leżącej.

Już wiedziała, że bój o Polskę będzie prowadzić bez karabinu.



Gdy wojska sowieckie stały rozlokowane na linii Wisły, Stalin wezwał wszystkich swoich generałów na naradę wojenną. Znajdowali się w wielkim holu przed salą narad i palili papierosy. Stalin wzywał ich pojedynczo, aby wysłuchać ich raportów i nabrać własnego zdania na temat planu. Następnie zawołał wszystkich i poprowadził naradę.

Marszałek Żukow miał kilka wytycznych. Nie uszło uwadze Wasilewskiego to, że w ogóle nie interesuje się Krakowem.

Albo wszystko o tym miejscu wie, albo nie odkrywa wszystkich kart – pomyślał Wasilewski. Skupił się tylko na tym temacie, bo w zasadzie jedynym jego zmartwieniem po ruszeniu wojska jest nienadające zaopatrzenie. Postanowił jednak zagrać mocną kartą. Męczyła go niezakończona sprawa Szeptuchy. Dla własnego spokoju zadał pytanie Żukowowi przy Stalinie. Ten musiał odpowiedzieć szczerze.

– Towarzyszu marszałku, mówicie o tym, że przygotowania dywersyjne przynoszą skutki, ale nie wspominacie o słynnej Wiedźmie?

Marszałek Żukow nie spodziewał się żadnego podstępu, więc odpowiedział szczerze. W ogóle nie wiedział, dlaczego Wasilewski o to pytał.

– Moja snajperka zaczęła rozrabiać na tyłach wroga tak, że Niemcy nazwali ją Wiedźmą. Najciekawsze jest to, że jej ataki uderzały w tak nieprawdopodobnych miejscach, jakby kierowała nimi jakaś dobrze zorganizowana jednostka dywersyjna.

– To chyba dobrze... Ja cieszyłbym się, gdyby wszyscy nasi żołnierze wykazywali się taką inicjatywą – stwierdził Stalin.

– Tak. Nie mamy z tym problemu. Nawet propagandowo wzmocniliśmy działania na froncie, dzięki jej wybrykom. – Marszałek Wasilewski mówił szczerze, lecz nagle musiał zacząć kłamać. – Jednak, gdy wysłałem oddział ratunkowy pod Kraków, aby wyciągnął ją z domniemanych opresji, ona pojawiła się pod Warszawą... i uczy niby strzelania partyzantów w Puszczy Kampinoskiej. Nagle stanęła po drugiej stronie barykady!

– To kim właściwie jest ta czarnowłosa snajperka? – dopytywał Stalin.

– Nie wiem. – Otwarcie przyznał Żukow. – Chyba naprawdę czarownicą.

EPILOG

– Skąd wiesz, że ich tędy będą przewozić?

– Pomyśl. Przez wieś idzie jedna droga. Z zachodu na wschód. Na wschodzie jest miasto z komendą milicji. To jak myślisz, którędy będą jechać? – Chłopak z rudymi jak płomień włosami tłumaczył swojemu koledze.

– Nie chcę, abys źle o mnie myślał, ale skąd wiesz, że dzisiaj?

– Cyganka mi wywróżyła. – Uśmiechnął się rudzielec.

Nie mógł zdradzić, że na posterunek obiady nosi jego wtyczka. Na dzisiaj milicjanci nie zamówili jedzenia. Konspiracja w razie wpadki musiała być pełna.

Dwóch młodych mężczyzn leżało w krzakach na skraju lasu i z nudów prowadzili różne rozmowy. Czarnowłosa i silnie umięśniony był bardziej niecierpliwy i pobudzony. Wiercił się i kręcił, jakby coś go nurtowało, zapytał:

– Mateusz?

– Co? – Rudzielec obserwujący drogę przez lornetkę tonem głosu starał się uspokajać kolegę.

– W sobotę będzie potańcówka w remizie. Przyjdiesz?

– Ty mnie zapraszasz? – Jego usta uśmiechnęły się kącikiem.

– Wiesz, że nie o mnie chodzi. Moja siostra Judyta cały czas o ciebie wypytuje. Już mi żyć nie daje.

Rudy teraz uśmiechnął się pełną gębą i odłożył lornetkę.

– To ją gdzieś zeswataj. Po co ci rudzielec w rodzinie? Chcesz być pośmiewiskiem dla całej wsi?

– Co ty mówisz? Jakim pośmiewiskiem? Niech by tylko ktoś spróbował się zaśmiać... – Jego potężne palce zacisnęły się na rączce szmajsera. – Wiesz, że nikogo tak nie cenię jak ciebie.

– Wiem, ale mnie znasz... Jak ja sobie coś do głowy wbiję, to pepeszą nie wygonisz.

– Wiem, wiem. Tylko Zośka i Zośka. Wszędzie o nią rozpytujesz i szukasz jej, ale minął ponad rok! Gdyby żyła, to byśmy ją gdzieś namierzyl.

– Nie gadaj mi takich głupstw! – Teraz dla odmiany rudy zacisnął pięści. – Przyjdę na zabawę dla towarzystwa i dlatego, aby nie siedzieć samemu w mojej izbie... Ale będę tańczył równo z każdą dziewczyną. – Po chwili uspokoił się i dodał: – Zrozum. Ta dziewczyna jest nieśmiertelna. Gdyby zginęła, to właśnie wtedy każdy szczyliłby się zwycięstwem i na pewno by to gdzieś ogłosił. Czuję, że jest tu gdzieś blisko, tylko tak samo zakamuflowana jak ja.

Dyskusję przerwał warkot ciężarówki. Zajęci rozmową zapomnieli obserwować drogę.

– Tnij! – krzyknął czarnowłosy Tomasz, który sam rąbał siekierą w zawiązany supeł liny.

Dwa drzewa prawie równocześnie zwały się na drogę, co zablokowało przejazd i ucieczkę na wstecznym. Konwojent i kierowca wyskoczyli z kabiny. Otworzyli ogień maszynowy na ślepo po krzakach. Odpowiedziały im pojedyncze, śmiertelnie skuteczne strzały.

Nagle zza przydrożnych krzaków wybiegła postać. Jednym akrobatycznym skokiem wspięła się na boczną burtę oplandekowanej ciężarówki. Teraz drugi akrobatyczny skok na dach. Rozległy się strzały z peemu. Postać z rudymi, rozwianymi włosami wykonała jeszcze jeden skok, trzymając się jedną ręką stelaża plandeki. W drugiej ręce trzymała błyszczący nóż.

Drugi z konwojentów chciał wziąć więźniów na zakładników i schował się za nimi. Szybki jak błyskawica Matt nie dał mu tej szansy.

Po boju grupa partyzantów szybko zakopała ciała bezpieczniaków.

– To Polacy, ale służący jak psy okupantowi sowieckiemu, więc jedyne, na co zasługują, to równy psom pochówek – oznajmił Tomasz, gdy uklepywał ziemię. – Pod drzewem w bezimiennej mogile.

Tylko taką sprawiedliwość mogli oddać chłopcy skatowanym prawie na śmierć jeńcom. Trzech z nich było prostymi rolnikami, których jedyną winą było to, że nie chcieli przystąpić do spółdzielni. Jeden był karczmarzem, który powiedział jedno zdanie za dużo o władzy ludowej, a kolejny fabrykantem, który domagał się zwrotu majątku po wojnie.

Jeńców szybko odwieziono do znajomego felczera, a ciężarówkę spalono w lesie.



Po akcji przyszedł czas na zabawę. Matt przyszedł do remizy trochę spóźniony. Jego koszula miała urwany guzik. Chwilę trwało, zanim znalazł pasujący i igłę z nitką.

Orkiestra grała nie do taktu, ale głośno. Przewodził saksofon, którego obsługi właściciel dopiero się uczył. Jedynym muzykiem w orkiestrze był akordeonista w podeszłym wieku. Nie miał siły przebić się z właściwym rytmem przez perkusję i fałszujący na całego saksofon. Jednak bawiącym się niewiele przeszkadzały te niuanse.

Na ławach z nieheblowanych desek siadano podczas przerw w tańcu. Wykonał je, podobnie jak stoły, Matthew, którego nazywano tutaj Mateuszem. Zmontował także oświetlenie i nagłośnienie sceny. Poza tym był bardzo przystojnym i wysportowanym młodzieńcem, więc gdy zapraszał dziewczynę do tańca, to żadna mu nie odmawiała.

Jego postać wzbudzała przez to zazdrość w grupie chłopców raczących się dużą ilością cienkiego jabłkowego wina. Jeden z nich, mocno wpatrzony w Judytę, już

kilkakrotnie dostał odmowę, gdy prosił o taniec. Nie uszło jego uwagi, że Judyta tańczy tylko z rudzielcem.

- Te, Dariusz! - Zazdrośnik odezwał się po kolejnej szklance wina do kolegi.
- No co?
- A wiesz, co na ciebie wygaduje Tomasz?
- No co?
- Że jesteś słabeusz, tchórz i nawet jedną ręką ciebie pokona.
- No co ty?
- No tak! Przy wszystkich to powiedział.

Dariusz nie dopytywał o dalsze szczegóły. Wstał od stołu i mimo że zataczał się odurzony alkoholem, szedł w stronę wysokiego, wyróżniającego się z tłumu Tomka. Zazdrośnik wymknął się tymczasem z remizy...

Zwyczajem sobotnich zabaw są też bijatyki. Są nieodłącznym elementem folkloru tak, jak gwiazdy - nocy. Bijatyka urozmaica zabawę, lecz jej pradawnym zwyczajem, wywodzącym się jeszcze ze szlachealnych pojedynków, musi się odbyć na zewnątrz.

Tomek chwycił jedną ręką za kołnierz pijanego jegomościa, który okładał go bezskutecznie pięściami i dał się bez większych przeszkód wyprowadzić za drzwi remizy. Wszyscy, którzy trzymali się jeszcze jako tako na nogach, ruszyli do drzwi za nimi. Ruszył także rudowłosy Matt, który poczuwał się do ochrony kolegi.

Przed remizą było ciemno. Błada poświata pochodziła z otwartych na oścież wrót. Tu dwóch dzentelmenów stanęło naprzeciwko siebie. Wybiegający za nimi zbili się w tłum otaczający Tomka i Darka. Jako ostatni do drzwi remizy dopchał się Matt. Gdy tylko stanął w progu, poczuł, jak w jego trzewia wbijają się widły. Dostrzegł też znikającą w ciemnościach sylwetkę, lecz tylko tyle. W ogólnym zamieszaniu nikt jednak tego nie zauważył, gdyż wszyscy skupili się na szykującej się bójce.

Gdy Tomek bezskutecznie próbował uspokoić agresora, jego kolega umierał bezgłośnie i samotnie, mimo że w pobliżu tłoczyli się rządni rozrywki mieszkańcy okolicznych miejscowości.

Matt miał rozerwaną wątrobę i trzustkę, a także przebity żołądek, którego kwas zalewał wnętrzności. Takie rany powodują najczęściej natychmiastową śmierć. Młodzieniec jednak skulony na klęczkach, jak mógł najdłużej, utrzymywał się przy życiu.

Konał w tęsknocie do swojej ukochanej... w niewiedzy, że gdzieś niedaleko spi spokojnie jego syn przytulony do matczynego łona.

Spis treści:

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Prolog](#)

[CZEŚĆ I](#)

[Zapoznanie z bronią](#)

[Wyobrażenia wspomagają naukę strzelectwa](#)

[Skupienie wzroku na przyrządach](#)

[Celny strzał oddaje strzelec, a nie karabin](#)

[Pogoda do nauki strzelania jest dobra albo bardzo dobra](#)

[Składowe strzału i dwie tajemnice trafienia](#)

[Dopasowanie broni](#)

[Zachwycający sport](#)

[Rozgrzewka i wyciszenie myśli](#)

[Ćwiczenia równowagi](#)

[CZEŚĆ II](#)

[Fale mózgowe](#)

[Strzela nie tylko karabin](#)

[1000 metrów](#)

[Notatnik o broni](#)

[Grupowanie amunicji](#)

[Gdzie jest źródło niewyczerpalnej energii?](#)

[Epilog](#)

Snajperka

ISBN: 978-83-8313-820-6

© Damian Cal i Wydawnictwo Novae Res 2024

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody Wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Emil Melerski

KOREKTA: Magdalena Brzezińska-Borcz

OKŁADKA: Paulina Radomska-Skierkowska

Wydawnictwo Novae Res należy do grupy wydawniczej Zaczytani.

Grupa Zaczytani sp. z o.o.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: sekretariat@novaeres.pl

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest na stronie zaczytani.pl.

Opracowanie ebooka

Katarzyna Rek

* Rogatka (gwar.) – proca.

** Na opakowaniach naboju produkowanych przez przemysł radziecki dla snajperów, wykonanych z większą dbałością, znajdował się napis: „ЦЕЛЕБЫЕ”. Stąd nierzadko wśród Polaków, którzy w jakiś sposób weszli w posiadanie tej amunicji sformułowanie „celewe”, co oznaczało wtedy tyle, że to amunicja lepszej jakości.